

Neal Stephenson

ŻYWE  
SREBRO

Tom III.

Cykl Barokowy

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH SZYPUŁA

2005

**trident**

## **Wydanie oryginalne**

**Tytuł oryginału:**

*Quicksilver*

**Data wydania:**

2003

## **Wydanie polskie**

**Data wydania:**

2005

**Ilustracja na okładce:**

Piotr Wyskok

**Projekt okładki:**

Jarosław Musiał

**Przełożył:**

Wojciech Szypuła

**Wydawca:**

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax(0-22)813 47 43

e-mail: [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

<http://www.mag.com.pl>

ISBN 83-7480-006-2

## **Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

# KSIĘGA TRZECIA

# ODALISKA

*Po wszystkie czasy królowie i osoby, posiadające władzę suwerenną, przez to, że są od siebie niezależni, wciąż sobie zazdroszczą wzajemnie i pozostają w stanie i postawie gladiatorów, którzy wysunęli swój oręż i mają oczy utkwione jeden w drugim; tą ich bronią są forty, garnizony i działa na granicach ich królestw oraz szpiegzy, których nieustannie utrzymują u sąsiadów; a to jest postawa wojenna.*

*Hobbes, Lewiatan<sup>1</sup>*

---

<sup>1</sup> Cytaty z „Lewiatana” w przekładzie C. Znamierowskiego (przyp. tłum.).

## Pałac Whitehall

### Luty 1685

Niczym dżokej kieltnający dzikiego rumaka, który, nie oglądając się na wolę jeźdźca, niósł go bez chwili wytchnienia przez obszar kilku hrabstw; albo jak kapitan statku, który po całej nocy uciekania przed sztormem wciąga żagle na maszt i wznawia żeglugę po nieznanym morzach – tak czuje się doktor Daniel Waterhouse, *Anno Domini* 1685, patrząc, jak w pałacu Whitehall umiera król Karol II.

Przez ostatnie dwanaście lat sporo się wydarzyło, ale właściwie wszystko zostało po staremu. Świat Daniela przypominał kawałek kauczuku, który rozciąga się, lecz nie pęka i zawsze wraca do poprzedniego kształtu. Po tym, jak został doktorem, w Cambridge pozostało mu już tylko prowadzenie wykładów przy pustych salach, nauczanie synów tępych dworaków, oraz obserwowanie Isaaca, jak osuwa się coraz głębiej w mrok, pochłonięty pogonią za rtecją filozoficzną, badaniem Księgi Objawienia i poszukiwaniami świątyni Salomona. Daniel przeniósł się więc do Londynu, gdzie fakty śmigają wokół niego jak muszkietowe kule.

Upadek Johna Comstocka, który wyprowadził się ze swojej rezydencji i zrezygnował z przewodniczenia Towarzystwu Królewskiemu, w swoim czasie wyglądał na epokowe wydarzenie. Tymczasem w ciągu zaledwie kilku tygodni Thomas More Anglesey nie tylko został przewodniczącym Towarzystwa, lecz także wykupił dom Comstocka (najpiękniejszy z londyńskich pałaców, nawet jeśli uwzględnić królewskie rezydencje) i sam się w nim zainstalował. Mimo że stanowczego i konserwatywnego arcyanglikanina zastąpił żarliwy papista, właściwie nic się nie zmieniło – co nauczyło Daniela, że świat jest wprawdzie pełen wpływowych ludzi, ale dopóki wszyscy grają te same role, można ich dowolnie podmieniać, jak statystów, wypowiadających w różne wieczory te same kwestie w tym samym teatrze.

Wydarzenia, których ziarno zostało posiane w tysiąc sześćset siedemdziesiątym drugim i trzecim roku, przez kolejne dwanaście lat rozrosły się do rozmiarów drzew: niektóre z nich były szlachetne i pięknie ukształtowane, inne los dziwnie powykrecał, a jeszcze inne padły pod uderzeniem pioruna. Knott Bolstrood zmarł na wygnaniu, jego syn Gomer zamieszkał w Holandii, a reszta Bolstroodów przemierzyła Atlantyk i osiadła w Nowej Anglii – wszystko przez to, że w roku tysiąc sześćset siedemdziesiątym dziewiątym Knott próbował doprowadzić do skazania Nell Gwyn za prostytucję, co w owym czasie wzbudziło ogromną sensację. W miarę, jak Karol II się starzał, w Londynie narastał lęk przed powrotem religii papistowskiej, do którego musiało dojść, gdy Jakub II zasiądzie na tronie. Król musiał więc utrzymywać w swoim otoczeniu paskudnego, nieprzejednanego protestanta – Bolstrooda – aby w ten sposób ugłaskiwać rodaków. Jednakże, im większą władzę zyskiwał Bolstrood, tym

łatwiej przychodziło mu podburzanie ludzi przeciw księciu Yorku i przeciw papieżowi. Pod koniec roku siedemdziesiątego ósmego podburzył ich tak bardzo, że zaczęli wieszać katolików za udział w domniemanym papistowskim spisku, a gdy zabrakło im katolików, przetrzucili się na protestantów, którzy śmieli zważyć w jego istnienie.

Tymczasem synowie Angleseya – Louis, hrabia Upnor, i Philip, hrabia Sheerness – zdążyli przepuć w karty większość rodowej fortuny i, nie mając do stracenia nic poza wierzycielami, uciekli do Francji. Roger Comstock, który otrzymał godność szlachecką i tytułował się teraz markizem Ravenscar, wykupił Anglesey House (dawniejszy Comstock House). Zamiast się jednak do niego wprowadzić, kazał go zrównać z ziemią i zaorać ogrody, po czym zaczął przekształcać posiadłość w „najpiękniejszą *piazza* w Europie”, czyli, po prostu, Waterhouse Square w większym i lepszym wydaniu. Raleigh zmarł w siedemdziesiątym ósmym, ale Sterling zastąpił go równie gładko i szybko, jak Anglesey Johna Comstocka, i wraz z markizem Ravenscar robił to samo, co przedtem, tylko dysponując większym kapitałem i popełniając mniej błędów.

Król rozpędził parlament na cztery wiatry, uniemożliwiając mu dalsze mordowanie swoich katolickich przyjaciół, i w myśl zasady „co z oczu, to z serca” wysłał Jakuba do hiszpańskich Niderlandów. Wydał również córkę Jakuba, Marię, za Obrońcę Protestantów, Wilhelma Orańskiego. Jakby tego wszystkiego było mało, zachęcił księcia Monmouth (protestanta) do paradowania po kraju i rozpalania wyobraźni Anglików, którzy mogli mieć nadzieję, że za pomocą jakiejś genealogicznej sztuczki zostanie uznany za prawowitego królewskiego potomka i oficjalnego dziedzica korony.

Inaczej mówiąc, Karol II w dalszym ciągu potrafił śmieszyć, tumanić, przestraszać. Niestety, jego alchemiczne badania prowadzone w podziemiach Privy Gallery nie przyniosły pożądanego skutku – nie udało mu się uzyskać złota z ołowiu. A bez parlamentu nie mógł podnieść starych podatków ani nałożyć nowych. Ocaleli złotnicy z Threadneedle, podobnie jak sir Richard Apthorp, właściciel nowego banku, nie mieli ochoty pożyczać mu pieniędzy. Ludwik XIV, który w swoim czasie hojnie sypnął groszem, w ostatecznym rozrachunku okazał się takim samym draniem jak wszyscy zirytowani powinowaci i zamiast spokojnie oczekiwać spłaty odsetek, zaczął Karola dręczyć. Król nie miał więc innego wyjścia, jak zwołać parlament, kiedy zaś to uczynił, przekonał się, że zgromadzeniem trzęsie sojusz londyńskiego City i przyjaciół Bolstroodów, noszący samozwańczy tytuł Wrogów Władzy Absolutnej, a za cel nadrzędny stawiający sobie nie podniesienie podatków, lecz wyłączenie Jakuba (i innych katolików) z kolejki do tronu. Parlament stał się wkrótce tak powszechnie zniechęcony przez wszystkich, którzy kochali króla – sędziów, stronników Lorda Kanclerza i im podobnych – że musiał się przenieść do Oxfordu, aby uniknąć linczu z rąk londyńskich tłumów, podjudzanych przez sir Rogera L'Estrange'a (przestał on uprzykrzać życie paszkwilantom i sam zaczął drukować pamflety). Znalazłszy w Oxfordzie bezpieczny (tak im się przynajmniej wydawało) azyl, wigowie, jak przezwali ich L'Estrange,

przegłosowali wykluczenie katolików z sukcesji i przyklasnęli Knottowi Bolstroodowi, kiedy nazwał Nellie kurwą.

Daniel dowiedział się tego wszystkiego od herolda, stojąc wraz z Robertem Hookiem w dawnej sali balowej Angleseya (a wcześniej Comstocka), która z czasem zmieniła się w usłane odłamkami włoskiego marmuru poletko, rozciągające się pod pięknym, błękitnym, październikowym niebem. W charakterze stołu do pracy wykorzystywali koryncki kapitel – spadł on na ziemię, gdy wesoła gromada irlandzkich robotników Ravenscara wybiła spod niego resztę kolumny. Kapitel do połowy wrył się w ziemię i znieruchomiał pod całkiem dogodnym kątem. Hooke i Waterhouse rozwinęli na nim płachty papieru i przycisnęli ich narożniki walającymi się w pobliżu kawałkami marmuru: czubkami anielskich skrzydeł i połamanymi liśćmi akantu. Były to rysunki ilustrujące plan Ravenscara, zamierzającego wtłoczyć kilka prostokątnych kłoców kartezyjańskiego racjonalizmu w przypominający kłębek korzeni w przyciasnej donicy układ londyńskich ulic. Mierniczowie z pomocnikami powbijali już kołki i rozpięli na nich sznurki wytyczające przebieg trzech krótkich równoległych uliczek, przy których, jak utrzymywał Roger, miały wkrótce stanąć najelegantsze sklepy w Londynie. Pierwsza z nich będzie nosić nazwę Anglesey, druga Comstock, trzecia zaś Ravenscar. Jednakże tego dnia Roger zjawił się na placu budowy uzbrojony w umoczone w atramencie pióro i wykreśliwszy stare nazwy, wpisał nowe: Northumbria<sup>2</sup>, Richmond<sup>3</sup> i St. Alban's<sup>4</sup>.

Miesiąc później w Brytanii nie było już ani parlamentu, ani Bolstroodów. Jakub wrócił z wygnania, Monmouth stracił łaski króla, Anglia zaś stała się *de facto* częścią Francji, odkąd Karol II bez żenady zaczął inkasować od Ludwika po sto tysięcy funtów rocznie, a większość londyńskich polityków – zarówno wigów, jak i torysów – nauczyła się brać od Króla Słońce łapówki. Uwolniono całkiem pokaźną liczbę katolików, wtrąconych do Tower za rzekomy udział w spisku papistów, robiąc w ten sposób miejsce dla zbliżonej liczby protestantów, zamieszanych ponoć w spisek zawiązany w Rye House i zmierzający do osadzenia Monmoutha na tronie. I podobnie jak wcześniej papistowscy spiskowcy, tak teraz konspiratorzy z Rye House szybko zaczęli „popępiać samobójstwa”. Jeden z nich dokonał prawdziwie heroicznego wyczynu: poderznął sobie gardło tak głęboko, że ostrze dotarło do samego kręgosłupa.

W ten oto sposób dzieło Wilkinsa zostało – przynajmniej tymczasowo – zniweczone. Tysiąc trzystu kwaków, barkerów i innych dysydentów wtrącono do lochów. Daniel również

---

<sup>2</sup> Księżę Northumbrii był nieprawym synem Karola II i jego kochanki Barbary Palmer, z domu Villers, księżnej Castlemaine.

<sup>3</sup> Księżę Richmond był nieprawym synem Karola II i jego kochanki Louise de Keroualle, księżnej Portsmouth.

<sup>4</sup> Księżę St. Alban's był nieprawym synem Karola II i jego kochanki Nell Gwyn, ślicznej komediantki i handlarki owocami.

spędził kilka miesięcy w cuchnącej ciemnicy, słuchając, jak rozeźleni mężczyźni śpiewają te same hymny, których w dzieciństwie uczył go Drake.

Tak właśnie wyglądało panowanie. Panowanie Karola II, króla, który kochał Francję, nienawidził protestantów, miał zawsze za dużo kochanek i za mało pieniędzy. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniało.

\* \* \*

A teraz doktor Waterhouse stał na prywatnych schodach królewskich – czyli prymitywnym drewnianym podejściu, uczepionym stromej ścianie z wapiennych bloków, opadającej wprost w nurt Tamizy. Wszystkie budynki pałacowe od strony rzeki wyglądały podobnie, toteż patrząc w dół jej nurtu w oczekiwaniu łodzi wiozącej medyków, Daniel miał po lewej ręce długi, nieprzerwany, choć niejednorodny mur, którego monotonię z rzadka przełamowały okna i ozdobne niby-bastiony. Trzysta stóp dalej z muru wystawał drewniany pomost; przechadzało się po nim kilkunastu niezmordowanych przewoźników. Spacerowali sztywno, ospale, jak ludzie starający się ze wszystkich sił nie zamarnąć na śmierć. Przy pomoście cumowały wyczekujące pasażerów łodzie, ale pora była późna, pogoda paskudna, król umierał i nikt z londyńczyków nie pałał chęcią skorzystania z odwiecznego prawa przechodu przez terytorium pałacu.

Dalej Tamiza zataczała łagodny łuk w prawo, w kierunku Mostu Londyńskiego. Kiedy blade światło dnia nieco przygasło i zapadł szary, popołudniowy półmrok, Daniel dostrzegł łódź odbijającą od „Starego Łabędzia” – gospody ulokowanej przy północnym skraju mostu i obsługującej klientów wołających nie ryzykować przeprawy przez kipieli pod jego przesłami. Od tamtej pory łódź mozolnie posuwała się w górę rzeki, aż znalazła się dostatecznie blisko, by Daniel, posilkując się wyjętą z kieszeni lunetą, mógł stwierdzić, że wiezie tylko dwóch pasażerów.

Przypomniała mu się pewna noc tysiąc sześćset siedemdziesiątego roku, kiedy przyjechał do Whitehallu w karecie Pepysa i błąkał się po królewskich ogrodach, udając ich bywalca. Wyobrażał sobie wtedy, że jest beczelnym romantykiem, teraz jednak na wspomnienie swojej głupoty zgrzytał zębami i dziękował Bogu, że jedynym świadkiem tej farsy była odcięta głowa Cromwella.

Ostatnio spędzał w pałacu sporo czasu. Król rozluźnił nieco swój żelazny uścisk, zaczął pomalutku wypuszczać barkerów i kwaków z więzień i mianował Daniela kimś w rodzaju nieoficjalnego sekretarza do spraw obłąkanych purytanów. Inaczej mówiąc, uczynił z niego następcę Knotta Bolstrooda, wyznaczając mu zbliżone obowiązki, lecz udzielając znacznie mniejszych prerogatyw. Z dwóch tysięcy komnat w Whitehallu Daniel odwiedził zapewne kilkaset – w każdym razie wystarczająco dużo, by przekonać się, że jest to w istocie brudna, zapuszczona i zapleśniała nora, przypominająca wnętrze umysłu dworzanina i tylko nazwą

różniąca się od miejskich ruder. Były tam rozległe obszary, na których niepodzielnie panowały na wpół zdziczałe królewskie spaniele. Chów wsobny osiągnął wśród nich skalę niespotykaną nawet pośród arystokracji, przez co były beznadziejnie głupie, nawet jak na standardy spanieli. Jakkolwiek by na to patrzeć, pałac Whitehall był jednak przede wszystkim domem mieszkalnym dziwacznej i wiekowej rodziny. Daniel zawarł z tą rodziną znajomość znacznie bliższą, niżby człowiek przy zdrowych zmysłach sobie tego życzył. Teraz wyszedł na schody tylko po to, żeby choć na chwilę wymknąć się z sypialni – a nawet z łóżka! – króla i pooddychać powietrzem, które nie cuchnęło monarszymi płynami ustrojowymi.

Po niedługiej chwili dołączył do niego markiz Ravenscar. W poniedziałek, kiedy król zaniemógł, Roger Comstock – najmniej obiecujący ze współstudentów Daniela w Cambridge, któremu jednak powiodło się w życiu najlepiej – przebywał na północy kraju. Nadzorował tam budowę dworku zaprojektowanego dlań przez Daniela. Musiał upłynąć dzień lub dwa, zanim dotarła do niego wieść o królewskiej chorobie, a on chyba natychmiast wyruszył do Londynu – był bowiem czwartkowy wieczór. Nie zdjął jeszcze podróznego ubrania, w którym wyglądał szaro i ponuro jak nigdy przedtem. Prawie purytańsko.

– Witaj, panie.

– Witaj, doktorze Waterhouse.

Po minie Rogera Daniel zorientował się, że Comstock najpierw zajrzał do królewskiej sypialni. Zresztą Roger zaraz rozwiął ewentualne wątpliwości: podkasawszy długie poły płaszcza, uklęknął, pochylił się i zwymiotował do Tamizy.

– Przepraszam najmocniej.

– Jak za studenckich czasów.

– Nie miałem pojęcia, że w ludzkim ciele mieści się taka masa płynów i wszelakiej treści!

– Niedługo zobaczysz nowe cuda. – Daniel skinieniem głowy wskazał zbliżającą się łódź.

– Sądząc po wyglądzie Jego Wysokości, lekarze nie próżnowali.

– W rzeczy samej. Dokładają wszelkich starań, aby przyspieszyć odejście króla z tego świata.

– Ależ Danielu! – zachnął się Roger. – Radzę ci, powściągnij język. Nie wszyscy doceniłoby twoje poczucie humoru, o ile w ogóle takie słowa można uznać za jego przejaw.

– Ciekawe, że poruszyłeś sprawę *humorów*. Wszystko zaczęło się od poniedziałkowego ataku apopleksji. Król ma silny organizm i zapewne sam by wydobrzeł, ale tak się złożyło, że w tej samej komnacie znajdował się medyk uzbrojony w komplet lancetów.

– Toż to prawdziwy pech!

– Błysnęło ostrze, medyk znalazł żyłę i król rozstał się z półkwatkiem albo dwoma życiodajnego *humoru*. Ponieważ jednak nigdy mu go nie brakowało, przeżył do wtorku, a nawet zachował dość sił, aby we wtorek przepędzić rojących się wokół niego lekarzy i w ten sposób doczekać środy. Niestety, wkrótce potem dostał ataku epilepsji i wszyscy medycy jednocześnie wparowali do sypialni – okopali się bowiem w przedpokojach, spierając się o to,



których *humorów* i ile należy królowi upuścić. Po spędzeniu całej bezsennej nocy i następnego dnia na uczonych debatach, wywiązała się między nimi swoista rywalizacja: kto zaleci najodważniejszą kurację. Kiedy król mimo heroicznego wysiłku stracił wreszcie przytomność i nie mógł się dłużej od nich oganiać, opadli go jak charty zająca. Ten, który utrzymywał, że przyczyną monarszych dolegliwości jest nadmiar krwi, zatopił lancet w lewej żyły szyjnej króla, zanim reszta zdążyła rozpakować torby. Krew trysnęła obficie...

– Widziałem.

– Czekaj, czekaj, to dopiero początek. Medyk, który winą za niemoc króla obarczył nadmiar żółci, stwierdził, że upuszczenie tak znacznej ilości krwi dodatkowo zachwiało równowagą *humorów*. Z pomocą dwóch krzepkich asystentów posadził króla na łóżku, otworzył mu usta i zaczął łaskotać go po przełyku przeróżnymi piórkami, odłamkami fiszbinów, *et caetera*. Udało mu się spowodować wymioty. Trzeci lekarz, do znudzenia powtarzający, że przyczyną wszystkich problemów jest nadmierne stężenie *humorów* okrężniczych, przetoczył Jego Wysokość na brzuch i wetknął w monarszy odbył niewiarygodnej długości rurę. Do środka popłynął tajemniczy, wielce kosztowny płyn, na zewnątrz zaś wydostały się...

– Wiem.

– Czwarty z kolei medyk obłożył Karola bańkami, które miały wyssać przez skórę zatrujące króla jady; stąd wzięły się te wielkie krwiaki i okrągłe oparzenia. Tymczasem pierwszy lekarz wpadł w panikę – kuracje pozostałej trójki doprowadziły do tego, że krwi znów zrobiło się za dużo, ponieważ, jak ci wiadomo, wszystkie *humory* są ze sobą powiązane. Otworzył więc drugą żyłę szyjną, obiecując, że upuści tylko odrobinę. Ale upuścił całkiem sporo. Pozostali medycy, urażeni jego samowolą, zażądali prawa do powtórzenia swoich kuracji. Tu jednak ja wkroczyłem do akcji i wykorzystując autorytet sekretarza Towarzystwa Królewskiego (niektórzy powiedzieliby pewnie, że go wręcz nadużyłem), zarządziłem pozbawienie króla medyków zamiast *humorów* i wyrzuciłem ich z sypialni. Grożono mojej reputacji i życiu, ale ostatecznie pozbyłem się konowałów.

– Kiedy przyjechałem do Londynu, doszły mnie słuchy, że król miewa się lepiej.

– Po tym, jak synowie Eskulapa dali mu wreszcie spokój, przez pełne dwadzieścia cztery godziny leżał całkiem nieruchomo. Można było pomyśleć, że zasnął. Jego organizm nie miał dość sił, żeby pozwolić sobie na kolejny atak, co z kolei można było interpretować jako poprawę. Kiedy od czasu do czasu przykładalem schłodzone lusterko do królewskich ust, odbicie monarchy przyćmiewała mgielka. Dzisiaj około południa król poruszył się i zaczął pojękiwać.

– Doprawdy, trudno mieć pretensje do Jego Wysokości! – zauważył wyniosłe Roger.

– Natychmiast doskoczyli doń lekarze, zdiagnozowali gorączkę i podali mu królewską dawkę *Elixir Proprietalis LeFebure*.

– Co z pewnością ogromnie poprawiło królowi nastrój!

– Tego możemy się tylko domyślać. W każdym razie jego stan się pogorszył, wskutek czego medycy, którzy przepisują proszki i tynktury, stracili łaski króla. Pijawki i czyszciciele znów są w natarciu!

– Wobec tego podeprę twój sekretarski autorytet moją reputacją przewodniczącego Towarzystwa. Przekonamy się, jak długo uda nam się powstrzymać medyków od sięgnięcia po lancety.

– Poruszyłeś ciekawą kwestię, Rogerze...

– Znowu robisz tę swoją zadumaną waterhouse'owską minę, Danielu. Obawiam się, że zamiast dosłownego znaczenia twoje słowa niosą jakiś sens ukryty...

– Pomyślałem, że...

– Ratunku! – Roger zamachał rękami, ale przewoźnicy na przystani stali plecami do schodów i obserwowali zbliżającą się łódź z lekarzami.

– Pamiętasz, jak Enoch Root uzyskiwał fosfor z końskich szczyń? I jak hrabia Upnor wygłupił się, sugerując, że fosfor musi pochodzić z moczu króla?

– Boję się, że zaraz usłyszę jakiś banał, Danielu, o tym, jak to królewska krew, żółć *et caetera* niczym nie różnią się od twoich *humorów*. Czy pozwolisz zatem, że zgodziwszy się z tobą, iż republikanizm jest ustrojem nad wyraz sensownym i całkiem nieźle sprawdza się w Holandii, zrezygnuję z dalszego udziału w tej konwersacji?

– Niezupełnie o to mi chodziło... – odparł z wahaniem Daniel. – Zastanawiałem się, z jaką łatwością Anglesey zastąpił twojego kuzyna i jak niewiele to zmieniło. Byłem tym rozczarowany.

– Zanim sam zapędzisz się w koziego róg, Danielu, z którego jak zwykle będę cię musiał wyciągać, radzę, byś nie nadużywał w przyszłości tego porównania.

– Którego porównania?

– Za chwilę powiesz, że Karol to Comstock, a Jakub to Anglesey, w związku z czym nie ma właściwie znaczenia, który z nich jest królem. Ale byłyby to dla ciebie niebezpieczne słowa, ponieważ dom, należący w przeszłości do Comstocka, a później do Angleseya, został zrównany z ziemią. – Roger ruchem głowy wskazał Whitehall. – A nie chcielibyśmy, żeby taki sam los spotkał ten oto dom.

– Nie to chciałem powiedzieć!

– A co? Coś mniej oczywistego?

– Tak jak Anglesey zastąpił Comstocka, Sterlinga Raleigha, a ja, w pewnym sensie, Bolstrooda...

– Tak to już jest, doktorze Waterhouse. W naszym społeczeństwie panuje porządek i jedni ludzie zajmują miejsca innych.

– Czasem tak. Ale zdarzają się też ludzie niezastąpieni.

– Nie jestem pewien, czy się z tobą zgadzam.

– Przypuśćmy, że umarłby Newton. Boże uchwój, ale kto miałby zająć jego miejsce?

– Hooke? Może Leibniz?

– Ale przecież Hooke i Leibniz są zupełnie inni. Zmierzam do tego, że niektórzy ludzie są naprawdę niepowtarzalni i niezastąpieni.

– Newtonowie to rzadkość na tym świecie. Isaac jest wyjątkiem od wszelkich możliwych reguł. Płyciutka i nędzna ta twoja retoryka, Danielu. Nie myślałeś o tym, żeby ubiegać się o miejsce w parlamencie?

– Może powinienem był w takim razie dać inny przykład. Próbuję ci uświadomić, że wszędzie dookoła, na targach, w kuźniach, w parlamencie, w City, w kościołach i kopalniach nie brakuje ludzi, których zniknięcie naprawdę byłoby odczuwalne.

– Tak? A co sprawia, że ci ludzie są tak wyjątkowi?

– To bardzo poważne pytanie. Leibniz szlifuje swój system metafizyczny...

– Obudź mnie, jak skończysz.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, przed laty, nieopodal pirsu Lion Quay, popisывał się znajomością Londynu, chociaż nigdy przedtem tu nie był. Studiował tylko panoramy miasta, nakreślone przez różnych rysowników z różnych punktów widzenia. Zaczął się rozwodzić nad tym, że miasto ma wprawdzie ustaloną formę, ale każdy jego mieszkaniec postrzega je nieco inaczej, w zależności od swojej sytuacji.

– Każdy student ci to powie.

– To było ponad dwanaście lat temu. W ostatnim liście Leibniz skłania się ku pogładowi, że miasto wcale nie ma jednej ustalonej postaci...

– To absurd.

– ...i w pewnym sensie jest sumą doznań swoich części składowych.

– Wiedziałem, że nie należało go przyjmować do Towarzystwa!

– Może nie najlepiej to przedstawiłem – przyznał Daniel. – Ale chyba dlatego że sam to jeszcze nie do końca rozumiem.

– Czemu w takim razie dręczysz mnie tym akurat teraz?!

– Najważniejsza jest percepcja. Chodzi o to, jak różne części świata, czyli różne dusze, postrzegają inne części – inne dusze. W wypadku niektórych dusz percepcja jest zaburzona, a obraz nieczytelny i nieostry, tak jakby obserwowały świat przez źle oszlifowane soczewki. Inne jednak przypominają Hooke'a patrzącego przez swój mikroskop, albo Newtona z okiem przy teleskopie. Ich postrzeganie jest niesłychanie wyostrzone.

– Nic dziwnego, skoro dysponują lepszą optyką.

– Nie. Nawet bez soczewek i luster parabolicznych Hooke i Newton widzą rzeczy, na które my jesteśmy ślepi. Leibniz zaproponował intrygujące odwrócenie definicji człowieka niepowtarzalnego, wybitnego. Używając takiego określenia, zazwyczaj mamy na myśli to, że taki człowiek sam przez się wyróżnia się z tłumu. Natomiast Leibniz utrzymuje, że wyjątkowość takiego osobnika wynika z jego zdolności postrzegania reszty wszechświata z nieprzeciętną wyrazistością. Z faktu, że lepiej niż inni rozróżnia elementy rzeczywistości.

Roger westchnął.

– Wiem tylko tyle, że doktor Leibniz wyrażał się ostatnio bardzo niegrzecznie o Kartezjuszu...

– Zgadza się, w *Brevis Demonstratio Erroris Memorabilis Cartesii et Aliorum Circa Legem Naturalem*...

– ...czym rozjuszył Francuzów.

– Powiedziałeś, że powołasz się na swoje stanowisko w Towarzystwie i podeprzesz mój sekretarski autorytet.

– Tak zrobię.

– Pochlebiasz mi. Owszem, istnieje możliwość, by niektórych ludzi dowolnie podmieniać. Na przykład tych dwóch medyków można by zastąpić dowolną inną dwójką, a król i tak zmarłby dzisiejszej nocy. Ale czy ja z równą łatwością mógłbym zająć twoje miejsce, Rogerze? Czy ktokolwiek by mógł?

– No, Danielu, chyba po raz pierwszy w życiu okazałeś mi coś na kształt szacunku.

– Jesteś człowiekiem wielkiej miary, Rogerze.

– Jestem wzruszony. I, naturalnie, zgadzam się z poglądem, który usiłowałeś mi wyłuszczyć, chociaż za diabła nie wiem, jaki on jest.

– Cieszę się, że się rozumiemy: Jakub nie nadaje się na następcę Karola.

Zanim Roger zdążył zripostować – ale zarazem już po tym, jak ochłonął z gniewu – łódź znalazła się w zasięgu głosu. Tym samym rozmowa dobiegła końca.

– Niech żyje król! – zawołał niejaki doktor Hammond. – Witam, markizie. Witam, doktorze Waterhouse. – Wygramolił się na burzę łodzi i zszedł z niej na podest.

Daniel i Roger nie mieli wyboru, musieli powtórzyć jego powitalny okrzyk.

Za Hammondem wysiadł doktor Griffin, który również przywitał Daniela i Rogera słowami „Niech żyje król!”, zmuszając ich do ponownego ich powtórzenia.

Daniel chyba nie okazał należytego entuzjazmu, bo doktor Hammond spojrział na niego spode łba, po czym odwrócił się do doktora Griffina, jakby go brał na świadka.

– Przybywasz w samą porę, mój panie – powiedział, zwracając się do Rogera Comstocka.

– Można by powiedzieć, że nasz król miał już zbyt wielu złych doradców, zarówno jezuitów, jak i purytanów.

W tym momencie Daniel poczuł się tak, jakby z oczu Rogera trysnęły nań dwie gorące strugi żrącego kwasu.

Roger miał w zwyczaju reagować na słowa rozmówców ze sporym opóźnieniem. Dopóki jako sizar błaznował w Kolegium Trójcy Świętej, sprawiał przez to wrażenie niezbyt rozgarniętego. Teraz jednak, jako markiz i przewodniczący Towarzystwa Królewskiego, z tego samego powodu uchodził za człowieka rozważnego i surowego. Kiedy weszli po schodach na taras, z którego wchodziło się do części pałacu nazywanej apartamentami królewskimi, odparł:

– Królewski umysł powinien zawsze mieć dostatek rad mężów uczonych lub pobożnych, tak jak królewskie ciało powinno cieszyć się obfitością wszelkich *humorów* utrzymujących je w dobrym zdrowiu.

Doktor Hammond szerokim gestem ogarnął wznoszący się nad nimi niezgrabny pałac i zwrócił się do Rogera:

– Biorąc pod uwagę, że znajdujemy się w istnej wylęgarni plotek i intryg, twoja obecność, panie, bardzo pomoże uciszyć ewentualne złośliwe szeptki, gdyby, broń Boże, wydarzyło się najgorsze.

Zaszczycił Daniela jeszcze jednym morderczym spojrzeniem i w ślad za markizem Ravenscar wszedł do królewskich apartamentów.

– Mam wrażenie, że niektórzy nie ograniczają się już do szeptów – zauważył Daniel.

– Jestem przekonany, że doktor Hammond ma na względzie wyłącznie pańską reputację, doktorze Waterhouse – powiedział Roger.

– Jak to? Odkąd Jego Wysokość wysadził w powietrze mojego ojca, minęło bez mała dwadzieścia lat. Czyżby ktoś sądził, że nadal chowam do niego urazę?

– Nie o to chodzi, Danielu...

– Jest wręcz odwrotnie! Odejście mego ojca z tego padolu łez nastąpiło tak szybko i w tak gorących okolicznościach, że nie pozostały po nim żadne szczątki doczesne. Tym bardziej więc balsamem na mą duszę było codzienne przebywanie w obecności króla, gdy noc w noc ściekała na mnie królewska posoka, gdy wdychałem ją do płuc, ocierałem własną skórą i w ogóle rozkoszowałem się bliskością, której zabrakło mi, gdy mój ojciec wznosił się do nieba...

Markiz Ravenscar i dwaj medycy zwolnili kroku i spojrzeli po sobie znacząco.

– No tak – odezwał się Roger Comstock po kolejnej dostojnej pauzie. – Zbyt długie przebywanie w tak dusznej atmosferze nie służy ciała duchowi ani umysłowi... Może, jeżeli dziś nieco odpoczniesz, Danielu, będziesz mógł, kiedy staraniem tych dwóch znakomitych lekarzy król wróci do zdrowia, pogratulować Jego Wysokości, a także potwierdzić swą niezłomną wobec niego lojalność, jaką pałasz i zawsze pałałeś, nie bacząc na wydarzenia sprzed dwóch dziesięcioleci, do których, można by rzec, uczyniono już aż nazbyt klarowną aluzję...

Zdanie to ciągnął przez następny kwadrans. Zanim litościwie je uśmiercił, zdążył w nie wpleść po kilka panegiryków dla doktorów Hammonda i Griffina (pierwszego porównał do Asklepiosa, drugiego zaś do Hipokratesa), nie zaniedbując przy tym rzuconych niby od niechcenia pochlebnych uwag na temat umiejętności wszystkich innych lekarzy, którzy przez ostatni miesiąc przewinęli się w promieniu stu jardów od króla. Przy okazji (Daniel był pełen podziwu) dał wszystkim obecnym jasno do zrozumienia, jak potworną tragedią byłaby śmierć króla i oddanie kraju w ręce obłąkanego papisty, księcia Yorku, a przy tym, używając niemal tych samych fraz, a z pewnością tych samych słów, zapewnił, że York jest tak wspaniałym

jegomościem, iż na dobrą sprawę powinni czym prędzej pognać do królewskiej sypialni i udusić Karola II jego własnym materacem. Dalej, posługując się powtarzalną jak takty fugi konstrukcją ze zdań złożonych, zdołał również wyrazić przekonanie, że Drake Waterhouse był najlepszym królewskim poddanym pod słońcem, twierdząc zarazem, że wysadzenie go w powietrze za pomocą tony prochu strzelniczego było niepodważalnym dowodem (w zależności od punktu widzenia) królewskiego geniuszu, który unieśmiertelniał Karola, albo niepohamowanego despotyzmu, który przemawiał za zastąpieniem go Jakubem.

Daniel i dwójka medyków słuchali tej przemowy, przemierzając w ślad za Rogerem korytarze, westybule, galerie, przedpokoje, przedsionki i kaplice Whitehallu, wyważając barkami odporne drzwi i strząsając tony kurzu z wiszących w przejściach kotar. Na początku pałac z pewnością ograniczał się do jednego budynku, nikt już jednak nie wiedział, który fragment postawiono pierwszy – tym bardziej że oblepiano go kolejnymi budowlami w możliwie jak najszybszym tempie, ograniczanym tylko powolnością dostaw kamienia i zaprawy. Skrzydła Whitehallu uznane za zbyt odległe łączono galeriami. W ten sposób powstawały dziedzińce, ulegające z czasem dalszym podziałom, kurczącym się pod naporem nowych dobudówek, a na koniec ginących w ich masie. Późniejsi budowniczowie dali upust swej pomysowości, zamurując jedne przejścia i przebijając inne, następnie zabudowując nowo przebite i odtwarzając te stare, oraz tworząc jeszcze inne, uprzednio nieistniejące. Każdą komnatę, każdym załomem korytarza i każdym gabinecikiem zawładnęła z czasem osobna dworska klika lub koteria – podobnie jak w Niemczech każdy skrawek kraju miał własnego barona. Gdyby Roger z orszakiem przemieszczali się w milczeniu, ich wędrówka od schodów do królewskiej sypialni obfitowałaby w konflikty graniczne i byłaby najeżona trudnościami natury protokołarnej. Na szczęście markiz Ravenscar, przemierzając pewnym krokiem pałacowy labirynt, nie ustawał w swej oracji, co było sztuką równie niewiarygodną, jak nawlekanie igieł na grzbiecie konia pędzącego galopem przez piwniczkę z winem. Daniel stracił rachubę sekt i kamaryli, jakie na swej drodze napotkali, pozdrowili i zostawili za sobą. Zwrócił jednak uwagę, że sporą część mieszkańców pałacu stanowią katolicy, a w dodatku nie brakowało wśród nich jezuitów. Obrona przez Rogera trajektoria przypominała zygzakowaty łuk, z dala omijający apartamenty królowej, które już dość dawno przeobraziły się w coś na kształt portugalskiego klasztoru żeńskiego, zdobionego wyłącznie modlitewnikami i makabrycznymi przedmiotami kultu, a przy tym tętniącego własnymi spiskami. Za każdym razem, gdy napotykali na swej drodze uchylone drzwi, z drugiej strony rozlegały się pospieszne kroki, ktoś z trzaskiem te drzwi zamykał i przekręcał klucz. Minęli również prywatną królewską kapliczkę, stanowiącą bazę wypadową dla tej katolickiej inwazji. Taki stan rzeczy niespecjalnie zaskoczył Daniela, ale gdyby było powszechnie wiadomo, jak wygląda życie w Whitehallu, dziewięć dziesiątych terytorium Anglii ogarnęłyby zamieszki.

Wreszcie stanęli pod drzwiami królewskiej sypialni, gdzie Roger przestraszył wszystkich tym, że nagle skończył piętnastominutowe zdanie. Udało mu się jakimś cudem oddzielić Daniela od lekarzy i zamienić z tymi ostatnimi dwa zdania na osobności, zanim wpuścił ich do króla.

– Co im powiedziałeś? – spytał Daniel, kiedy markiz wrócił do niego.

– Że jeżeli odważą się wyjąć lancety, oberwę im jądra i użyję ich zamiast piłeczek tenisowych. A teraz mam dla ciebie zadanie: idź do księcia Yorku i poinformuj go o stanie zdrowia jego brata.

Daniel wstrzymał oddech. Nagle poczuł się niewiarygodnie zmęczony.

– Mógłbym uczynić w tym miejscu narzucającą się uwagę, że każdy mógłby to zrobić, a prawie każdy zrobiłby to lepiej ode mnie, ty zaś odpowiedziałbyś w sposób, który zrobiłby ze mnie durnia, czyli...

– Rozumiem twoją troskę o naszego obecnego króla, ale nie możemy z jej powodu zaniedbywać dobrych stosunków z następnym monarchą.

– My? To znaczy kto?

– No jak to? – zachnął się Roger. – Towarzystwo Królewskie!

– Naturalnie. Co mam mu powiedzieć?

– Że ponieważ w pałacu zjawili się najlepsi londyńscy medycy, nie powinno to już długo potrwać.

\* \* \*

Mógł uniknąć wystawiania się na ziąb i wiatr i przejść przez Privy Gallery, ale miał szczerze dość Whitehallu, wyszedł więc na zewnątrz, przemierzył kilka podwórek i znalazł się przed frontem Banqueting House, nieopodal szafotu, na którym Karol I stracił przed laty głowę. Ludzie Cromwella wzięli króla w pałacu St. James, skąd przeprowadzili go przez park St. James na miejsce kaźni. Drake wziął Daniela na barana, dzięki czemu czterolatek mógł śledzić każdy krok króla.

Tego wieczoru trzydziestodwuletni Daniel miał przemierzyć tę samą drogę, co wówczas Karol I, tyle że w przeciwnym kierunku.

Dwadzieścia lat wcześniej Drake pierwszy by przyznał, że restauracja zniweczyła większość dokonań Cromwella, ale przynajmniej Karol II był protestantem – a w każdym razie miał dość przyzwoitości, by protestanta udawać. Daniel nie powinien więc być traktować swojego spaceru jak złego omenu; tego by tylko brakowało, żeby jak Isaac zaczął się we wszystkim doszukiwać okultystycznych symboli i aluzji. Nie mógł się jednak powstrzymać, żeby nie wyobrazić sobie, jak czas cofa się coraz bardziej, do panowania Elżbiety i dalej, do epoki Krwawej Marii. Wtedy to właśnie John Waterhouse, dziadek Drake'a, uciekł przez morze do Genewy, prawdziwej wylęgarni kalwinistów. Wrócił dopiero

po intronizacji Elżbiety, w towarzystwie syna Calvina (ojca Drake'a) i wielu Anglików i Szkotów, którzy dzielali jego religijne zapatrywania.

W każdym razie Daniel przeszedł właśnie przez stary Tilt Yard i zszedł po schodach do parku St. James, udając się na spotkanie z człowiekiem mającym zadatki na następną Krwawą Marię. Jakub mieszkał z królem i królową w pałacu Whitehall, dopóki zamiłowanie Anglików do wszczynania zamieszek i palenia przeróżnych dużych przedmiotów na ulicach na każdą, choćby najmniejszą wzmiankę o księciu Yorku nie skłoniło Karola do wysłania go najpierw do Brukseli, a następnie do Edynburga. Od tamtej pory Jakub stał się polityczną kometa, skazaną na przemierzanie mrocznych rubieży kraju i tylko z rzadka nawiedzającą Londyn, którego mieszkańcy, śmiertelnie przerażeni jej pojawieniem się, odpędzali ją z powrotem w ciemność płomieniami ognisk i podpalanych kościołów katolickich. Kiedy król ostatecznie stracił cierpliwość, zawiesił parlament, wyrzucił wszystkich Bolstroodów i wtrącił do więzienia dysydenckie niedobitki, Jakubowi pozwolono wrócić i osiedlić się w Londynie – ale nie w Whitehallu, tylko w pałacu St. James.

Z Whitehallu szło się tam pięć minut, przechodząc po drodze przez kilka ogrodów, parków i deptaków. Szatański Wicher, który powiał nad Anglią w dniu śmierci Cromwella, powalił większość starych drzew, toteż w dzieciństwie blakający się po Pall Mall Daniel widział, jak sadzono nowe, małe drzewka. Kiedy zobaczył, jak bardzo się od tamtej pory rozrosły, był przerażony.

Wiosną i latem dworzanie i służący króla, udający się na spacer, nabierające z czasem rytualnego charakteru procesji, wydeptywali wśród tych drzew głębokie ścieżki, ale teraz okolica była pusta, a grunt – skorupa zmrożonego błota, zastygła na grzędzawisku ze sporą domieszką końskiego gnoju – jednolicie szarobury. Buty Daniela przebijały przy każdym kroku pierwszą, skrzepniętą warstwę i nurzały się w bagnie, do czasu, aż nauczył się omijać półksiężycowate odciski kopyt koni gwardzistów Johna Churchilla, którzy parę godzin wcześniej ćwiczyli w tej okolicy musztrę, a przy okazji galopowali w tę i z powrotem, ścinając głowy słomianym ludzikom z szablami. Kukły nie zostały wprawdzie poprzebierane za wigów i dysydenckich, ale i bez tego wymowa parady była oczywista dla Daniela i tłumów londyńczyków, gromadzących się na obrzeżach Charing Cross i palących ogniska w intencji króla.

Niejaki Nahum Tate przetłumaczył niedawno na angielski stu pięćdziesięcioletni wiersz Hieronimusa Fracastoriusa, astronoma z Werony, zatytułowany w oryginale *Syphilis, Sive Morbus Gallicus*, a w wersji Tate'a *Syphilis, albo poetycka historia francuskiej choroby*. Jakkolwiek brzmiałby tytuł, wiersz opowiadał o pasterzu imieniem Syphilus, któremu los (jak wszystkim mitycznym pasterzom) zgotował smutną i zgoła niezasłużoną niespodziankę: Syphilus był pierwszym człowiekiem powalonym chorobą noszącą odtąd jego imię. Człowiek dociekliwy zainteresowałby się zapewne, dlaczego pan Tate zadał sobie trud przełożenia w tym akurat okresie poematu o zasyfiałym pastuchu, który przez półtora stulecia kurzył się w



wersji łacińskiej i nie był Anglikom do szczęścia potrzebny. Wiersz o chorobie przetłumaczony przez astronoma! Co bardziej cyniczni londyńczycy przypuszczali, że wyjaśnieniem zagadki mogą być pewne zadziwiające podobieństwa, łączące pasterza-eponima z Jakubem, księciem Yorku. A mianowicie: wszystkie kochanki i żony wyżej wzmiankowanego arystokraty nabawiły się wyżej wzmiankowanej przypadłości; jego pierwsza żona, Anna Hyde, zmarła prawdopodobnie z jej powodu; jej córki, Maria i Anna, miały kłopoty ze wzrokiem i rodzeniem dzieci; twarz księcia szpeciły paskudne wrzody, a sam książę musiał być albo niewiarygodnie głupi, albo zwyczajnie nienormalny.

Jako naturalista, Daniel doskonale zdawał sobie sprawę, że ludzie mają skłonność do wynajdowania skomplikowanych wytłumaczeń, z czasem przybierającą postać prawdziwego nałogu. Jednakże trudno było nie zauważyć paraleli między Syfilusem – pasterzem – i Jakubem – dziedzicem angielskiej korony. Zresztą, jakby tego było mało, sir Robert L’Estrange zaczął ostatnio wywierać naciski na Nahuma Tate’a, by ten odszukał i może przełożył jakieś inne zapleśniałe łacińskie wierszydła. Wszyscy wiedzieli o staraniach L’Estrange’a i wszyscy rozumieli, co one mają na celu.

Jakub, będąc katolikiem, chciał zostać świętym, co było całkiem zrozumiałe, zważywszy, że przyszedł na świat w pałacu St. James, czyli świętego Jakuba, który to pałac zawsze był dla niego prawdziwym domem. Za młodu pobierał w nim podstawową książęcą edukację, czyli uczył się fechtunku i francuskiego. Podczas wojny domowej przewieziono go do Oxfordu i od tamtej pory sam musiał zadbać o swoje dalsze wychowanie. Czasem tylko tatko wpadał po niego i porywał gdzieś na linię frontu, gdzie dostawał wciry od Olivera Cromwella.

Jakub spędzał sporo czasu ze swoim kuzynostwem, potomstwem ciotki Elżbiety (Królowej Zimy) – obfitującą w owoce, lecz pechową gałęzią królewskiego rodu. Po przegranej wojnie wrócił do St. James i mieszkał tam w luksusach, choć w charakterze zakładnika. Wałęsał się po parku i od czasu do czasu podejmował dziecinne próby ucieczki, w których nie brakowało nawet zaszyfrowanych listów, przemycanych do wiernych konfederatów. Kiedy jeden z tych listów został przechwycony, wezwano Johna Wilkinsa, aby go odszyfrował, Jakubowi zagrożono zaś, że zostanie przeniesiony do zdecydowanie mniej gościnnej londyńskiej Tower. W końcu przemknął przez park w dziewczęcym przebraniu, uciekł w dół Tamizy i przedostał się do Holandii. Dlatego też nie było go w kraju, kiedy przez tenże park przeprowadzano jego ojca z zamiarem ucięcia mu głowy. Angielska wojna domowa z wolna wygasła, Jakub zaś wyrósł przez ten czas na mężczyznę, kursując między Holandią, wyspą Jersey i St. Germain, królewskim przedmieściem Paryża, i poświęcając czas książęcym rozrywkom: jeździe konnej, strzelaniu i bzykaniu szlachetnie urodzonych Francuzek. Jednakże skutek nieustającego naporu Cromwella, który na każdym kroku dawał wycisk rojalistom – już nie tylko w samej Anglii, lecz także w Irlandii i we Francji – Jakubowi skończyły się w końcu pieniądze i został żołnierzem (i to całkiem niezłym) pod rozkazami marszałka Turenne’a, niezrównanego francuskiego dowódcy.

\* \* \*

Idąc, Daniel zerkał od czasu do czasu na północ, na drugą stronę Pall Mall. Za każdym razem widok był nieco inny, co potwierdzało spostrzeżenia doktora Leibniza. Ale w chwilach, gdy paralaksa mu nie przeszkadzała, jego wzrok sięgał za ogniska rozpalone przy Pall Mall przez podenerwowanych protestantów, w głąb uliczek ochrzczonych od królewskich bękartów, aż po place, na których Roger Comstock i Sterling Waterhouse stawiali nowe domy i sklepy. Materiałem do budowy największych z nich były olbrzymie bloki kamienia zabrane z ruin rezydencji Johna Comstocka i przez samego Comstocka sprowadzone z gruzowiska powstałego po zawaleniu się południowego transeptu starej katedry Świętego Pawła. W oknach paliły się światła, z kominów unosił się dym – głównie z palonego węgla, ale północny wiatr niósł chwilami także woń pieczonego. Idąc z chrzęstem i mlaskaniem przez zapuszczony park i deptając po ściętych przed paroma godzinami słomianych łbach, Daniel uświadomił sobie, że wraca mu apetyt. Chciałby usiąść tam przy ogniu z kuflem piwa w jednej ręce i kurzym udkiem w drugiej – ale na razie znajdował się tutaj i robił to, co robił.

Czyli co właściwie?

Pałac St. James był coraz bliżej. Daniel czuł, że powinien odpowiedzieć sobie na to pytanie, zanim dotrze na miejsce.

\* \* \*

W pewnym momencie Cromwell zawarł zaskakujący sojusz z Francuzami, co zmusiło młodego Jakuba do przeprowadzki na północ, do hiszpańskich Niderlandów, gdzie wiódł samotny, nudny i nędzny żywot. W okresie bezpośrednio poprzedzającym restaurację błąkał się po Flandrii na czele zbieraniny banitów z irlandzkich, szkockich i angielskich regimentów i toczył pod Dunkierką potyczki z siłami Cromwella. Po restauracji, kiedy przypadł mu w udziale dziedziczny tytuł Lorda Admirala, brał udział w burzliwych i krwawych morskich bitwach z Holendrami.

Tymczasem skłonność jego rodzeństwa do wymierania w młodym wieku i niezdolność brata, Karola, do spłodzenia prawowitego potomka, sprawiły, że stał się jedyną nadzieją na przedłużenie królewskiego rodu. Podczas gdy ich matka mieszkała sobie wygodnie we Francji, jej szwagierka, Królowa Zimy, poniewierała się po Europie niczym nadmuchany świński pęcherz kopany przez dzieciaki na jarmarku. Ale to właśnie Elżbieta produkowała potomstwo z nie ludzką wręcz wydajnością, rozsiewając je po całym kontynencie. Z wielu jej dzieci nie wyrosło nic dobrego, lecz jedna z córek, Zofia, zapowiadała się nader obiecująco i – kontynuując matczyną tradycję – wydała na świat już siedmioro zdrowych potomków. Wyglądało więc na to, że Henrietta Maria, matka Karola i Jakuba, na dłuższą metę przegrywa

z żalostną Królową Zimy wyścig do tronu. Mogła już liczyć tylko na Jakuba. W związku z tym wykorzystywała całe swoje wpływy i wszystkie koneksje, by uchronić go od krzywdy podczas jego rozlicznych przygód, przez co Jakub musiał żyć z wieczną świadomością, że nie unicestwił tyłu armii i nie zatopił tyłu flot, ile naprawdę by mógł.

Ponieważ matka pokrzyżowała mu w ten sposób szyki, mniej więcej od tysiąc sześćset siedemdziesiątego roku Jakub zajmował się... Czym właściwie? Wydobywaniem w Afryce najpierw złota, a później, na skutek niepowodzenia, niewolników. Nawracaniem angielskiej arystokracji na katolicyzm. Wypoczywaniem w Brukseli, a potem także w Edynburgu, gdzie przynajmniej mógł się do czegoś przydać – jeździł po całej Szkocji i gnębił dzikich przezbiterian, gromadzących się w swoich wiejskich zborach. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że wytracał czas. Czekał.

Tak jak Daniel.

Następne kilkanaście lat minęło jak z bicza trząśł, włokąc Daniela za sobą niczym jeźdźca, który wprawdzie spadł z konia, ale noga uwięzła mu w strzemieniu.

Co to oznaczało? Że powinien wziąć się w garść i uporządkować swoje życie, wymyślić, co robi z przydzielonym mu czasem na ziemi. Bo na razie aż zanedbano upodobił się do Drake'a, żyjącego wyczekiwaniem na Apokalipsę, która miała nigdy nie nadejść.

Myśl o tym, że na tronie miałby zasiąść Jakub, rządząc ręką w rękę z Ludwikiem XIV, przyprawiała go o mdłości. To była sytuacja absolutnie wyjątkowa, równie niebezpieczna jak pożar Londynu.

Przerazające wizje same pchały mu się do głowy – a właściwie wszystkie jednocześnie stanęły Danielowi przed oczami, tak jakby uzbrojona od stóp do głów Atena nagle wyskoczyła mu z czaszki. Musiał je sobie tylko poukladać.

Sytuacje awaryjne wymagały zdecydowanych, czasem nawet rozpaczliwych działań, takich jak wysadzanie domów w powietrze (co król Karol II osobiście uczynił) lub zatapianie połowy kraju, byle nie wpuścić do niego Francuzów (jak z kolei zrobił Wilhelm Orański). Albo wręcz – Daniel snuł coraz odważniejsze rozważania – obalenie królów i obcinanie im głów, do czego Drake się przyczynił. Tacy ludzie, jak Karol, Wilhelm i Drake podejmowali tego rodzaju działania, nie wahając się, wobec czego Daniel albo (a) był nędznym tchórzem, albo (b) mądrze zwlekał.

Może to był właśnie powód, dla którego Bóg i Drake sprowadzili go na świat, może miał odegrać kluczową rolę w ostatecznej bitwie między babilońską wszeteczną, znaną również jako Kościół rzymskokatolicki, z jednej strony, oraz wolnym handlem, wolnością wyznania, ograniczeniem władzy i różnymi innymi anglosaksońskimi cnotami z drugiej. Bitwie, która miała rozgorzeć za mniej więcej dziesięć minut.

\* \* \*

*Rzymscy katolicy panoszą się na dworze z arogancją, jakiej nie widziano tu od czasów reformacji.*

Dziennik Johna Evelyny

Myśli te napawały go takim przerażeniem, że niewiele brakowało, by przed wejściem do pałacu padł na kolana. Wbrew pozorom nie byłoby to wcale aż tak krępujące: kręcący się tam dworzanie, podobnie jak strażnicy z regimentu grenadierów, grzejący ręce w targanych wiatrem fioletowych płomieniach koksowników, wzięliby go zapewne za kolejnego obłąkanego purytanina w napadzie zielonoświątkowego szału. Ale Daniel utrzymał się na nogach, wczołgał po frontowych schodach i wszedł do pałacu. Idąc, znaczył wypolerowaną kamienną posadzkę błotnistymi odciskami butów; nie tylko nabrudził, ale także zostawił po sobie wyraźny ślad, co dyskwalifikowało go jako spiskowca.

Pałac St. James był przestronniejszy niż dawne książęce apartamenty w Whitehallu, dzięki czemu (co Daniel dopiero teraz sobie uświadomił) Jakub miał dość miejsca i spokoju, żeby zgromadzić wokół siebie własny dwór, który mógł w mgnieniu oka przenieść się na drugą stronę parku i zastąpić świtę Karola. Dworzanie księcia Yorku tworzyli dziwną mieszaninę religijnych fanatyków i drugorzędnych urzędasów. Daniel przeklinał się w duchu, że wcześniej nie zwracał na nich baczniejszej uwagi. Niektórym z nich los przeznaczył granie tych samych ról i wygłaszanie tych samych kwestii co ludzie, których mieli zastąpić, inni jednak – jeśli rozważania, jakie prowadził na podeście nad rzeką, nie były całkowicie pozbawione sensu – musieli mieć niezwykle bystre umysły. I dobrze by było, gdyby zawczasu się na nich poznał.

Przemierzając pałacowe wnętrza, coraz rzadziej widywał grenadierów, coraz częściej zaś zgrabne, odziane w zieleń kostki, migające pod falbaniastymi rąbkami spódnic. Jakub miał pięć głównych kochanek, w tym jedną hrabinę i jedną księżną, oraz siedem dodatkowych, przeważnie wesołych wdówek po różnych Ważnych Zmarłych. Większość z nich posiadała tytuł damy książęcego dworu, co pozwalało im do woli włóczyć się po całym pałacu. Daniel, który dla zabawy usiłował śledzić tego rodzaju koneksje i mógł z łatwością wyliczyć z pamięci wszystkie metresy króla, całkowicie gubił się w legionie książęcych faworyt. Było jednak powszechnie wiadomo – i potwierdzone empirycznie – że Jakub ugania się za każdą młodą kobietą w zielonych pończochach, co bardzo ułatwiało orientację w tłumie mieszkańców St. James. Wystarczyło patrzeć na kostki.

Od metres i tak nie mógł się niczego dowiedzieć, dopóki nie pozna ich imion i nie poświęci im więcej uwagi. A dworzanie? Niektórych dawało się w pełni opisać krótkimi słowami „dworak” lub „bezmyślny dandys”, ale innych należało dobrze poznać i w pełni zrozumieć ich złożoną naturę. Daniel wzdrygnął się na widok mężczyzny, którego, gdyby nie strój francuskiego arystokraty, można by wziąć za zwykłego obdartusa. Jego głowa wyglądała tak, jakby członkowie Towarzystwa Królewskiego stworzyli ją w jakimś makabrycznym

eksperymentem przez rozcięcie na pół czaszek dwóch różnych ludzi i sklejenie niepasujących do siebie połówek. W dodatku co chwila odskakiwała gwałtownie w bok, jakby połówki spierały się o to, w którą stronę patrzeć. Od czasu do czasu spór przycichał i właściciel głowy stał przez kilka sekund nieruchomo, milcząc, z rozdziawionymi ustami i wywalonym językiem. Zaraz jednak otrząsał się, mrugał i zaczynał bełkotać silnie zniekształconą angielszczyzną do towarzyszącego mu młodego oficera, którym był John Churchill.

Lepsza połowa niezwyklej głowy mogła mieć od czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Francuz nazywał się Louis de Duras, był bratankiem marszałka Turenne'a i naturalizowanym Anglikiem. Dzięki ożenkowi z odpowiednią Angielką i szczodremu wsparciu finansowemu, jakiego udzielił Karolowi, uzyskał tytuły barona Throwley, wicehrabiego Sondes i hrabiego Feversham. Feversham (bo tak go najczęściej nazywano) był szambelanem Karola II, co oznaczało, że na dobrą sprawę powinien w tej chwili przebywać w Whitehallu. Jego nieobecność mogłaby dowodzić absolutnej niekompetencji, gdyby nie fakt, że był także dowódcą Gwardii Konnej. To zaś uzasadniało jego obecność w St. James, ponieważ Jakub, wielce nielubiany, ale zdrów i cały przyszedł król, potrzebował ochrony znacznie bardziej niż Karol – monarcha popularny, lecz za to pukający już do bram nieba.

Daniel skręcił w następny korytarz, w którym panował taki ziąb, że z ust rozmawiających ludzi buchały obłoczki pary. Zauważywszy Pepysa, skierował się w jego stronę, ale w tej samej chwili podmuch wiatru przecisnął się przez spaczoną ramę okna i zdmuchnął kłęb pary przed twarzą rozmówcy Pepysa. Był nim Jeffreys. Spojrzenie jego pięknych oczu, teraz uwieczonych w czerwonej, obrzmiałej twarzy, spoczęło na Danielu, który przez sekundę poczuł się jak mały ssak zahipnotyzowany przez węża. Miał jednak dość rozumu, żeby szybko odwrócić wzrok i wymknąć się przez pierwsze z brzegu drzwi na galerię łączącą prywatne apartamenty księcia.

Gdzieś w tych mrocznych zakamarkach musiała przebywać samotna i nieszczęśliwa Maria Beatrycze d'Este, znana również jako Maria z Modeny, druga żona Jakuba. Daniel nawet nie próbował sobie wyobrazić, co taka niewola musiała znaczyć dla włoskiej księżniczki, wychowanej we Florencji, Wenecji i Genui, a potem uwięzionej tutaj na wieki, otoczonej w pierwszym rzędzie przez kochanki męża-syfilityka, dalej przez protestantów, a następnie przez połacie lodowatej wody. Jedynym celem jej życia było wydanie męskiego potomka, by na tronie Anglii zasiadł katolik, ale na razie jej łono pozostawało jałowe.

Znacznie pogodniej wyglądała Catherine Sedley, hrabina Dorchester, która nie dość, że od samego początku była całkiem zamożna, to jeszcze zapracowała sobie na emeryturę, rodząc dwóch z niezliczonej rzeszy Jakubowych bękartów. Nie była atrakcyjną kobietą, nie była katoliczką, nie zwracała sobie głowy wkładaniem zielonych pończoch, ale z niewiadomych powodów i tak ze wszystkich metres Jakuba miała na niego największy wpływ. Szła teraz niespiesznie galerią, *tête-à-tête* z ojcem Petre, jezuitą, do którego

rozlicznych obowiązków należało także wychowywanie nieślubnych dzieci Jakuba na dobrych katolików.

Przez twarz panny Sedley przemknął uśmiezek rozbawienia; Daniel domyślił się, że zakonnik opowiada właśnie o wybrykach jej synków. W pozbawionej okien galerii, gdzie mrok ledwo ledwo rozjaśniały nieliczne świece, musiał przypominać odzianego w czerń ducha o bladej twarzy, purytański błędny ognek, koszmar z rodzaju tych, jakie prześladowały roztrzęsionych rojalistów, którzy uszli z życiem z wojny domowej. Panna Sedley i jezuita spoważnieli nagle, zerkając podejrzliwie na Daniela. Czy jest zaproszonym gościem, czy może raczej fanatykiem, *hashishinem*?. W ogóle nie pasował do tego miejsca, ale lata spędzone w Kolegium Trójcy Świętej przyzwyczyły go do takich sytuacji.

Uklonił się hrabinie Dorchester i wymienił oschłe powitalne spojrzenia z ojcem Petre. Nie lubili go, nie chcieli, żeby tu był, i nigdy nie staną się jego przyjaciółmi w żadnym istotnym znaczeniu tego słowa, niepokoiła go jednak niezwykła symetria całej sytuacji. Na ich twarzach odmalowała się najpierw ostrożna ciekawość, potem rozpoznanie, a na koniec opadły na nie maski uprzejmości, przesłaniając rzeczywiste myśli. Oboje zastanawiali się, co Daniel Waterhouse robi w pałacu St. James, i gorączkowo próbowali wpasować jego osobę w ramy zaistniałej sytuacji. Jednakże gdyby Daniel przejrzał się w lustrze, na swojej twarzy mógłby prześledzić dokładnie taki sam proces.

Był jednym z nich. Nie miał ani takiej władzy, ani tak wysokiej rangi – na dobrą sprawę nie miał żadnej rangi – ale znalazł się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie, a dla takich ludzi był to jedyny wyznacznik zajmowanej pozycji. Fakt, że tu był, że oddychał pałacowym powietrzem i kłaniał się metresie księcia, stanowił swoistą inicjację. Drake powiedziałby, że samo wejście do ich domu i okazanie im zwykłej uprzejmości równało się współuczestnictwu w systemie władzy. Daniel – zresztą nie tylko on – kpił dotąd z takich nedorzecznych pomysłów, teraz jednak zaczynał rozumieć, że ojciec miał rację. Gdy hrabina rozpoznała go i odpowiedziała na jego ukłon, poczuł się ważny. Gdyby Drake miał grób, to teraz by się w nim przewrócił – tyle że jego grobem były przestworza nad Londynem.

Wiekowa belka stropowa skrzypnęła donośnie, gdy kolejny podmuch wiatru uderzył w mury pałacu.

Hrabina uśmiechnęła się do Daniela porozumiewawczo – on miał kiedyś kochankę, a ona o tym wiedziała, wiedziała o niezrównanej Tess Charter, która przed pięciu laty zmarła na ospę. Obecnie Daniel nie miał żadnej kochanki – i ten fakt chyba też był znany pannie Sedley.

Zwolnił, niemal się zatrzymując. Usłyszał kroki za plecami i skulił się odruchowo, oczekując, że ktoś za chwilę położy mu dłoń na ramieniu, ale dwóch dworzan – a potem dwóch następnych, wśród nich Pepys – ominęło go jak woda opływająca kamień leżący w łożysku potoku i skupiło się przy olbrzymich gotyckich drzwiach, poszarzałych ze starości jak pochmurne niebo. Rozpoczęła się wymagana protokołem procedura stukania, chrząkania i

poruszania klamką, aż w końcu ktoś otworzył drzwi od środka. Zawiasy jęknęły przeciągle jak ciężko chory człowiek.

Pałac St. James był w lepszym stanie niż Whitehall, ale nie przestał z dnia na dzień być wielkim, starym domem; prezentował się marniej niż dawna rezydencja Comstocka i Angleseya – tyle że tamten dom legł już w gruzach, a do jego upadku doprowadziła nie rewolucja, lecz prawa rynku. To nie ołowiane kule, tylko złote monety przyniosły ruinę Comstockom i Angleseyom. Dzielnicę wyrosłą na gruzach ich pałacu gęsto zaludniali ludzie, których skarbcze były po brzegi wypełnione taką właśnie nowoczesną amunicją.

Aby zmobilizować ich do działania, wystarczyła odrobina królewskiej zdolności do podejmowania decyzji i determinacji w działaniu.

Pepys skinął na Daniela i postąpił krok ku niemu, wyciągając przy tym rękę, jakby chciał go złapać pod łokieć. Gdyby Daniel był księciem, Pepys z pewnością miałby dla niego jakąś dobrą, mądrą radę.

– Co mam powiedzieć? – zapytał Daniel.

Pepys odpowiedział bez zająknięcia, jakby od trzech tygodni ćwiczył tę ripostę przed lustrem:

– Nie przejmuj się tak strasznie tym, że ksiązę nienawidzi i boi się purytanów, Danielu. Pomyśl lepiej o ludziach, których uwielbia: o generałach i papieżach.

– No dobrze, panie Pepys, już o nich pomyślałem... I wcale mi to nie pomogło.

– Przyznaję, że Roger mógł ci wyznaczyć rolę kozła ofiarnego, a ksiązę może cię wziąć za płatnego mordercę. Jeśli tak się stanie, wszelkie twoje próby zwodzenia go i pochlebiania mu zostaną niewłaściwie odczytane. Tym bardziej że jesteś kiepskim łgarzem.

– A zatem... Skoro i tak mam stracić głowę, powinienem zachować się jak mężczyzna i sam złożyć ją na katowskim pieńku...

– Wyśpiewaj jakiś hymn, pocałuj kata, powiedz, że mu wybaczasz... Pokaż tym mięczakom, że jesteś ulepiony z twardszej gliny.

– Czy naprawdę uważa pan, że Roger przysłał mnie tu jako...

– Oczywiście, że nie, Danielu! Tylko żartowałem.

– Ale zabijanie posłańca ma długą tradycję.

– Pewnie trudno ci będzie w to uwierzyć, ale purytanie mają pewne cnoty, które ksiązę podziwia: trzeźwość myślenia, powściągliwość, niezłomność. Widział, jak walczył Cromwell; patrzył, jak wyrzyna w pień całe pokolenie dworskich dandysów. I na pewno tego nie zapomniał.

– Sugeruje pan, że miałbym udawać Cromwella?!

– Udawaj kogo chcesz, byle nie dworzanina – odparł Samuel Pepys.

Chwycił Daniela pod rękę i wepchnął go za drzwi.

Daniel Waterhouse stanął przed obliczem Jakuba, księcia Yorku.

Księżę miał na głowie blond perukę. Zawsze był blady i miał sarnie oczy; w przeszłości czyniło to z niego atrakcyjnego młodzieńca, teraz zaś dziwnie niekształtnego i z lekka upiornego dorosłego mężczyznę. Otaczał ich krąg dworzan, przestępujących z nogi na nogę i pochrzakujących w wartę majątek rękawy. Od czasu do czasu dźwięczały ostrogi.

Daniel się uklonił. Jakub udawał, że tego nie zauważył. Patrzyli na siebie dłuższą chwilę; Karol zdążyłby już poczynić jakieś dowcipne spostrzeżenie, przełamać lody i uspokoić Daniela, Jakub zaś tylko przyglądał się mu wyczekująco.

– Jak się miewa mój brat, Danielu Waterhouse? – zapytał w końcu.

Ze sposobu, w jaki zadał to pytanie, Daniel wywnioskował, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, jak poważna jest choroba Karola. Wszyscy wiedzieli, że Jakub bywa porywczy, i nikt nie odważył mu się powiedzieć prawdy.

– Brat Waszej Wysokości umrze najdalej za godzinę – odparł Daniel.

Krąg dworaków zacieśnił się jak pęk klepek, kiedy bednarz ściśnie je obręczą.

– A zatem jego stan się pogorszył?! – wykrzyknął Jakub.

– Jego Wysokość przez cały czas był o krok od śmierci.

– Dlaczego do tej pory nikt mi o tym nie powiedział?!

Prawidłowa odpowiedź brzmiała zapewne tak, że mówiono mu o tym, lecz nie zwrócił na to uwagi. Tego jednak nikt nie mógł mu teraz powiedzieć.

– Nie mam pojęcia, Wasza Wysokość – odpowiedział Daniel.

\* \* \*

Roger Comstock, Samuel Pepys i Daniel Waterhouse spotkali się w jednym z westybulów Whitehallu.

– Powiedział: „Otaczają mnie ludzie, którzy boją się powiedzieć mi prawdę w oczy”. I dalej: „Nie jestem tak wyrafinowany, jak mój brat. Nie nadaję się na króla”. A później: „Wiem, że potrzebuję twojej pomocy”.

– Naprawdę tak powiedział?! – wypalił z niedowierzaniem Roger.

– Oczywiście, że nie – prychnął Pepys. – Nie dosłownie. Ale to właśnie miał na myśli.

Westybul miał dwoje drzwi. Jedne prowadziły do Londynu i można było pomyśleć, że po ich drugiej stronie zebrało się w tej chwili pół miasta. Za drugimi znajdowała się królewska sypialnia, gdzie nad łóżkiem umierającego monarchy zebrał się Jakub, księżę Yorku; księżna Portsmouth, najważniejsza z królewskich metres; katolicki ksiądz ojciec Huddleston; oraz Louis de Duras, hrabia Feversham.

– Co jeszcze mówił? – zapytał niecierpliwie Roger. – A właściwie, co jeszcze miał na myśli?

– Że jest głupi i ograniczony, w związku z czym potrzebuje kogoś mądrego i oświeconego. A ja, najwyraźniej, cieszę się opinią człowieka, który posiada obie te cechy.



– To wspaniale! – wykrzyknął Roger, okazując chyba nadmierny w tej sytuacji entuzjazm. – Powinieneś być wdzięczny panu Pepysowi. Księżę mu ufa, a pan Pepys wypowiadał się o tobie w samych superlatywach.

– Dziękuję, panie Pepys...

– Nie ma za co, doktorze Waterhouse.

– ...za to, że powiedział pan księciu, iż jestem tchórzem gotowym w każdej chwili wyrzec się swoich przekonań.

– Brzydę się opowiadaniem tak potwornych oszczerstw na twój temat, ale jestem gotów zawsze wyświadczyć ci przysługę – zapewnił Daniela Pepys. – Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

– Czy jego Królewska Mość poprosił cię o jakąś radę? – zapytał Roger, całkowicie ignorując tę krótką wymianę zdań.

– Kiedy szliśmy przez park, powiedziałem mu, że żyjemy w kraju protestanckim, w którym należy do mniejszości religijnej. Nie posiadał się ze zdumienia.

– Musiał być tym wstrząśnięty.

– Zasugerowałem, że może obrócić wywołaną kiłą demencję na swoją korzyść. Choroba podkreśli jego ludzką naturę, a przy tym częściowo będzie tłumaczyć dziwaczne zachowanie.

– Nie! Tego chyba nie powiedziałeś?!

– Doktor Waterhouse chciał tylko sprawdzić, czy wasza lordowska mość uważnie go słucha – wtrącił usłużnie Pepys.

– Już dwadzieścia lat temu, w Epsom, powiedział mi, że ma syfilis – wyjaśnił Daniel. – Tajemnica, bo w owym czasie nie był to jeszcze fakt powszechnie znany, nie od razu się wydała. Może dlatego dziś mi ufa.

Tak przestarzałe informacje nie interesowały jednak Rogera, który utkwiał wzrok w drugim kącie pomieszczenia, gdzie ojciec Petre stał w towarzystwie Barrillona, francuskiego ambasadora.

Otworzyły się jedne z drzwi. Za nimi było widać martwego człowieka, leżącego w poplamionej pościeli. Ojciec Huddlestone kreślił nad nim znak krzyża, kończąc rytuał ostatniego namaszczenia. Księżna Portsmouth szlochała, zasłaniając twarz chusteczką, a księżę Yorku – nie, teraz już król Anglii – modlił się, złożony ręce przy twarzy.

Hrabia Feversham wyszedł z pokoju na chwiejnych nogach i oparł się o framugę drzwi. Nie był ani zasmucony, ani wesoły – sprawiał raczej wrażenie całkowicie zagubionego. Nagle stał się naczelnym wodzem armii. Paul Barrillon miał taki wyraz twarzy, jakby ukradkiem ssał czekoladową trufkę i nie chciał, żeby się to wydało. Samuel Pepys, Roger Comstock i Daniel Waterhouse mieli niewyraźne miny.

– Jakie wieści, mój panie? – zapytał Pepys.

– Słucham? Ach tak... Król nie żyje – oznajmił Feversham. Zamknął oczy i oparł głowę na uniesionej ręce, jakby chciał się zdrzemnąć.

– Niech żyje... – odpowiedział mu Pepys.

Feversham się ocknął.

– Niech żyje król!

– Niech żyje król! – powtórzyli wszyscy.

Ojciec Huddleston skończył udzielanie sakramentu i spojrział w stronę drzwi. Roger Comstock wybrał akurat ten moment, żeby się przeżegnać.

– Nie wiedziałem, że wasza lordowska mość jest katolikiem – przyznał Daniel.

– Cicho bądź! Dobrze wiesz, że z całego serca opowiadam się za wolnością wyznania – odparł markiz Ravenscar. – Czy kiedykolwiek robiłem ci wstręty z powodu twojej religii?

## Wersal

### Lato 1685

*Niewiasty są teraz w niskiej cenie. Młoda dziewczyna – nawet jeśli jest piękna, dobrze urodzona, obyczajna, dowcipna, i to w najwyższej mierze – jeśli nie ma pieniędzy, jest niczym i nic jej po tych wszystkich cnotach. Teraz tylko pieniądź stanowi o wartości kobiety, a mężczyźni bez skrupułów wykorzystują swoją przewagę.*

Daniel Defoe, *Fortunne i niefortunne przypadki sławetnej Moll Flanders*<sup>5</sup>

*Do Pana hrabiego d'Avaux*

*12 lipca 1685*

Monseigneur,

jak Pan widzi, zaszyfrowałam ten list zgodnie z Pańskimi instrukcjami, chociaż tylko Pan wie, czy powodem tego jest wola ukrycia jego treści przed holenderskimi szpiegami, czy przed Pańskimi rywalami na królewskim dworze. Bo rzeczywiście przekonałam się, że ma Pan tu rywali.

W drodze do Paryża zostałam zaatakowana i wykorzystana przez paru brutali i prostaków – typowych Holendrów. Ich wygląd i maniery niczego nie zdradzały, ale było coś, co łączyło ich z bratem francuskiego króla, a mianowicie fascynacja kobiecą bielizną. Przewrócili do góry nogami zawartość moich sakwojaży, które po tym zabiegu stały się o kilka funtów lżejsze.

Powinien się Pan wstydzić, Monseigneur! Jak Pan mógł umieścić w moich rzeczach te swoje listy?! Przez chwilę bałam się, że zostanę za karę wtrącona do jakiegoś okrutnego holenderskiego więzienia i spędzę resztę żywota na szorowaniu chodników i dzierganiu

---

<sup>5</sup> Przeł. K. Tarnowska (przyp. tłum.).

pończoch. Sądząc jednak po pytaniach, jakie mi zadano, moi prześladowcy byli całkowicie zbici z tropu zastosowanym przez Pana francuskim szyfrem. Chcąc ich sprawdzić, odparłam, że umiem wyczytać z tych listów tyle samo, co oni. Ich ponure miny dowodziły niedwuznacznie, że za jednym zamachem obnażyłam głębię ich niekompetencji i dowiodłam swojej niewinności.

Wybaczę Panu, Monseigneur, że naraził mnie Pan na przeżycie tych niespokojnych chwil, jeżeli Pan wybaczy mi, że jeszcze do niedawna uważałam Pański zamysł wysłania mnie do Wersalu za całkowicie niedorzeczny. Bo niby jak taka prosta dziewczyna miałaby znaleźć sobie miejsce w najwspanialszym i najszlachetniejszym pałacu pod słońcem?

Teraz jednak wiem już więcej – i więcej rozumiem.

Krąży po pałacu opowiadka, która z pewnością dotarła już do Pańskich uszu. Jej bohaterką jest biedna dziewczyna, niewiele lepsza od niewolnicy, córka drobnego, podupadłego szlachcica, która stoczyła się na dno i została wagabundą. Kiedy dotarła do Paryża, zrozpaczona wyszła za mąż za kalekiego karła, pisarza. Jego salon przyciągał całkiem sporo ważnych person, znudzonych banalnymi dysputami, jakie prowadziło się na dworze. Młoda małżonka zaznajomiła się z kilkoma dostojnymi gośćmi. Kiedy pisarz zmarł i zostawił po sobie wdowę bez grosza przy duszy, zlitowała się nad nią pewna księżna. Sprowadziła dziewczynę do Wersalu i uczyniła ją guwernantką swoich nieślubnych dzieci. Księżna ta była *maîtresse déclarée* samego króla, rodziła więc królewskich bękartów. Jeśli wierzyć słowom opowieści, król Ludwik XIV, wbrew uświęconym tradycją zwyczajom chrześcijańskich władców, traktuje swoje nieślubne dzieci jako znajdujące się zaledwie jeden mały stopieniek poniżej delfina i innych *Enfants de France*. Protokół stwierdza zaś, że guwernantka *Enfants de France* musi być księżną. Naturalną kolejną rzeczą król nadał więc nauczycielce swoich bękartów tytuł markizy. Od tamtej pory minęło kilka lat. *Maîtresse déclarée* stopniowo traciła łaski monarchy, w miarę jak tyła i stawała się coraz bardziej egzaltowana, aż doszło do tego, że król, który zwykł ją odwiedzać codziennie o godzinie pierwszej, zaraz po mszy świętej, przechodził przez jej apartamenty, nie zatrzymując się, i udawał się na spotkanie z guwernantką – markizą de Maintenon, tak się bowiem teraz nazywała. Dowiedziałam się również, Monseigneur, że – co w Wersalu jest tajemnicą poliszynela – całkiem niedawno król potajemnie ożenił się z markizą de Maintenon, czyniąc z niej faktyczną królową Francji.

Nie ulega wątpliwości, że Ludwik bardzo krótko trzyma francuskich wielmożów. Nie pozostaje im nic innego jak oddawać się hazardowi pod jego nieobecność lub małpować jego słowa i czyny, kiedy akurat jest w Wersalu. Z tego też powodu wszyscy książęta, hrabiowie i markizowie włączają się po żłobkach i szkółkach w Wersalu, zakłócając naukę i wychowanie dostojnych dzieci i wypatrując atrakcyjnych nauczycielek. Z pewnością zdawał Pan sobie z tego sprawę, polecając mnie jako guwernantkę dla dzieci hrabiego de Béziers. Wzdragam się na samą myśl o tym, jakież to dług musiał ów nieszczęsny wdowiec zaciągnąć u Pana, Monseigneur, że teraz przystał na Pańską propozycję. Właściwie równie dobrze mógłby mnie

Pan ulokować w burdelu, jeśli wziąć pod uwagę tłumy młodych zuchów kręcących się przy drzwiach apartamentów hrabiego i czyhających na mnie w pałacowych ogrodach, gdy staram się wykonywać swoje obowiązki – przy czym nie przyciąga ich moja ewentualna uroda, lecz wyłącznie fakt, że Ludwik zachował się podobnie.

Na szczęście król nie uznał jeszcze za stosowne obdarzyć mnie tytułem szlacheckim, wtedy bowiem nie miałabym nawet czasu pisywać do Pana, Monseigneur. Przypominam czasem tym próżniakom, że madame de Maintenon słynie ze swej pobożności, król zaś (który mógłby mieć każdą kobietę na świecie i który dwa lub trzy razy w tygodniu zażywa rozkoszy z jednorazowymi kochankami) zakochał się w niej z powodu jej inteligencji. W ten sposób od większości z nich udaje mi się skutecznie opędnąć.

Mam nadzieję, że moja opowieść pozwoliła Panu choć na chwilę zapomnieć o nużących obowiązkach, które zatrzymują Pana w Hadze, i że dzięki temu wybaczy mi Pan, że nie napisałam nic znaczącego.

Pańska uniżona służka

Eliza

PS Finanse pana hrabiego de Béziers są w opłakanym stanie – w zeszłym roku wydał czternaście procent swych dochodów na peruki i aż trzydzieści siedem procent na spłatę odsetek, głównie od długów hazardowych. Czy to normalne? Spróbuję mu pomóc. Czy tego właśnie się Pan po mnie spodziewa, Monseigneur? Czy też woli Pan, aby hrabia pozostał bezbronny i bezradny? Tak będzie łatwiej.

\* \* \*

*Me niejasne słowa zawierają wszak  
Prawdę – tak jak szafka ze złota – cenny skarb.  
John Bunyan, Wędrowka pielgrzyma<sup>6</sup>*

*Do Gottfrieda Wilhelma Leibniza*


*4 sierpnia 1685*

Drogi doktorze Leibniz,

początkowe trudności<sup>7</sup> napotyka się w każdym nowym przedsięwzięciu i moja przeprowadzka do Wersalu nie była od tej reguły wyjątkiem. Dziękuję Bogu, że przez kilka

---

<sup>6</sup> Cytaty z „Wędrowki pielgrzyma” w przekładzie J. Prowera (przyp. tłum.).

<sup>7</sup>  Początkowe trudności: trzeci heksagram *I Ching*. Po zapisaniu w postaci 010001 jest kluczem do szyfru, którego użyto do zakodowania dodatkowej wiadomości w treści tego listu (polskie nazwy heksagramów zaczerpnięto z wersji *I Ching* opracowanej przez O. Sobańskiego) (przyp. tłum.).

lat mieszkałam w *harimie* w pałacu Topkapi, w Konstantynopolu, gdzie uczyłam się, co to znaczy być sułtańską małżonką, żadne inne doświadczenie bowiem nie przygotowałyby mnie lepiej na spotkanie z Wersalem. W przeciwieństwie do francuskiego pałacu, rezydencja sułtańska nie powstawała według z góry założonego planu i z zewnątrz wygląda jak zlepek kopuł i minaretów, ale w środku obie budowle stanowią istny labirynt dusznych, pozbawionych okien pokoi, powstałych przez podział innych, większych komnat. Rzecz jasna, opisuję je z mysiej perspektywy – tak jak nigdy nie byłam w wysoko sklepionym pawilonie, w którym Wielki Turek defloruje swoje niewolnice, tak nie zaproszono mnie na razie do Salonu Apolla, bym mogła podziwiać Króla Słońce w całej jego krasie. W obu pałacach oglądałam głównie żałosne klitki, stryżki i piwnice, zamieszkiwane przez dworzan.

Niektóre fragmenty pałacu, podobnie jak większość ogrodów, są dostępne dla każdego, kto zjawi się w nich przyzwoicie ubrany. Z początku były więc zamknięte dla mnie, jako że ludzie Wilhelma podarli mi wszystkie suknie. Kiedy jednak wieści o moich przygodach rozeszły się po Wersalu, zaczęłam otrzymywać ochłapy strojów od arystokratek, które albo mi współczuły, albo musiały zrobić w swoich garderobach miejsce na suknie zgodne z przyszłoroczną modą. Za pomocą igły z nitką udało mi się doprowadzić te prezenty do stanu, w jakim – choć może nie będę wyglądała jak najmodniejsza dama w towarzystwie – nie narazę się przynajmniej na śmieszność, spacerując po ogrodzie z synem i córką hrabiego de Béziers.

Wszelkie próby opisanie Wersalu słowami są skazane na niepowodzenie, i to, moim zdaniem, nieprzypadkowo – każdy, kto chce się przekonać jak tu jest, musi tutaj przyjechać, a królowi właśnie o to chodzi. Proszę sobie wyobrazić, że tutaj każda uncja wody, każdy listek i płatek kwiatu, każdy cal podłóg, ścian i sufitów nosi wyraźne piętno wpływu człowieka; wszystkie elementy zostały wymyślone przez nieprzeciętne umysły. Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Zamysły twórców są widoczne na każdym kroku. Gdziekolwiek się człowiek obróci, czuje na sobie wzrok architektów, a za ich pośrednictwem także samego Ludwika. Kontrast z naturą obfitującą w kamienne bloki i pnie drzew, które gdzie indziej rzemieślnicy po prostu gromadzą i co najwyżej delikatnie zmieniają ich kształt, jest uderzający. W Wersalu nie ma miejsca dla tak nieprzemysłanych tworów.

W Topkapi wszędzie leżały i wisały przepiękne kobierce, doktorze, dywany, jakich świat chrześcijański na oczy nie widział, utkane ręcznie, nitka po nitce i węzeł po węźle. Taki właśnie jest Wersal. Zwyczajne budowle z drewna i kamienia tak się mają do tutejszego pałacu jak worki mąki do diamentowego naszyjnika. Rzetelne przedstawienie każdej, najzwyczajniejszej nawet czynności, jaką jest rozmowa czy zwyczajny posiłek, wymagałoby poświęcenia najprzód pięćdziesięciu stron na opisanie komnaty i jej wystroju, oraz pięćdziesięciu na deskrypcję strojów, biżuterii i peruk uczestników. Dalsze pięćdziesiąt stron zajęłaby prezentacja ich drzew genealogicznych, a kolejne pięćdziesiąt omówienie ich pozycji na

dworze i roli w dworskich intrygach. Na koniec na jednej stronie zmieściłby się zapis samej konwersacji.

Nie muszę chyba dodawać, że podobna relacja byłaby wysoce niepraktyczna, mam wszakże nadzieję, że od czasu do czasu zniesie Pan moje przydługie i barwne opisy. Zdaję sobie sprawę, doktorze, że mimo iż nie widział Pan Wersalu ani strojów jego mieszkańców, zetknął się Pan w Niemczech z ich nieudolnymi kopiami, co dzięki nieprzeciętnemu umysłowi pozwoli Panu wyobrazić sobie to co ja widzę. Spróbuję więc powstrzymać się od rozwodzenia nad każdym drobiazgiem. Mam również świadomość, że na prośbę Zofii prowadzi Pan badania drzew genealogicznych i dysponuje źródłami, które pozwolą zgłębić rodowód wszystkich, nawet najmniej znaczących arystokratów, o których mogłabym wspomnieć. Dlatego również w tej materii postaram się zachować powściągliwość. Spróbuję jednak przedstawiać na bieżąco przebieg dworskich machinacji, o których nie ma Pan skąd czerpać informacji. I tak, na przykład, pewnego wieczoru, a było to dwa miesiące temu, mojego pracodawcę, hrabiego de Béziers, spotkał zaszczyt trzymania świecy podczas wieczornej ceremonii układania króla do snu. Dzięki temu przez następne dwa tygodnie bywał zapraszany na wszystkie najważniejsze przyjęcia. Później jednak jego gwiazda przygasła, a życie stało się na powrót spokojne i nudne.

*Jeżeli czyta Pan te słowa, doktorze, znaczy to, że zidentyfikował Pan zawarty w I Ching klucz. Wygląda na to, że kryptografia Francuzów nie dorównuje ich sztuce wystroju wnętrz. Holendrzy złamali francuski szyfr dyplomatyczny, ale ponieważ wymyślił go pewien szanowany przez króla dworzanin, nikt nie odważy się powiedzieć o nim złego słowa. Jeżeli to, co się mówi o Colbercie, jest prawdą, nigdy nie dopuściłby do podobnej sytuacji, ale, jak Panu wiadomo, zmarł przed dwoma laty, a od czasu jego śmierci nikt nie zajął się aktualizacją szyfrów. Tym właśnie złamanym kodem posługuję się, pisząc listy do d'Avaux, do Holandii, spodziewam się bowiem, że wszystko, co w nich zawrę, zostanie odczytane przez Holendrów. Natomiast – co zapewne jest już oczywiste – pisząc do Pana, zakładam, że Pański szyfr gwarantuje nam poufność korespondencji.*

*Ponieważ szyfr Wilkinsa wymaga aż pięciu liter tekstu dla zakodowania jednej litery właściwej wiadomości, muszę napisać pięć słów śmiecia, aby zaszyfrować jedno słowo znaczące. Proszę więc na przyszłość spodziewać się przydługich opisów strojów, etykiety i innych nużących detali.*

Mam nadzieję, że założenie, iż ciekawi Pana moja pozycja na dworze, nie będzie mi poczytane za przejaw nieskromności. Naturalnie, jestem tu nikim, osobą niewidzialną, czymś mniej znaczącym niż plamka na marginesie rejestru ceremonii. Ponieważ jednak arystokraci zauważyli, że Ludwik XIV wybrał swoich najważniejszych ministrów spośród przedstawicieli klasy średniej, i wiedzą, że ożenił się (potajemnie) z panną niskiego stanu, można powiedzieć, że pokazywanie się w towarzystwie gorzej urodzonej kobiety jest w pewnym sensie dobrze widziane, jeśli ta kobieta jest uważana za bystrą lub użyteczną.

*Rzecz jasna, całe tłumy młodych mężczyzn mają na mnie chrapkę, ale rozpisywanie się na ten temat ze szczegółami byłoby nudne i w złym guście.*

Jako że lokum hrabiego de Béziers w południowym skrzydle pałacu nie należy do najbardziej luksusowych, korzystając z pięknej pogody, spędzam po kilka godzin dziennie na spacerach z moimi podopiecznymi, dziewięcioletnią Beatrice i sześciolatnim Louistem. Wersal leży wśród rozległych parków i ogrodów, zazwyczaj świecących pustkami – chyba że król udaje się na przechadzkę lub polowanie, wtedy bowiem wprost roi się w nich od dworzan. Do niedawna bywało w nich również mnóstwo zwyczajnych ludzi, którzy przyjeżdżali z Paryża podziwiać widoki, ale z taką natarczywością garnęli się do władcy i tak okrutnie niszczyli rzeźby i fontanny, że ostatnio Ludwik zakazał *mobile* wstępu do królewskich ogrodów.

Jak Panu wiadomo, wszystkie wysoko urodzone damy mają w zwyczaju zakrywać twarze maskami, kiedy wychodzą na dwór, aby ich cera nie pociemniała od słońca. Wielu szlacheckich mężczyzn postępuje podobnie; brat króla Ludwika, Filip, o którym najczęściej mówi się po prostu „Monsieur”, również zakłada maskę, chociaż zawsze się skarży, że psuje mu makijaż. W ciepłe dni, jakie ostatnio często się zdarzają, jest to nad wyraz niewygodne, przez co wersalskie damy, a co za tym idzie, także ich służący i fatyganci, wolą nie wychodzić z pałacu. Błąkam się więc po ogrodach całymi godzinami w towarzystwie Beatrice i Louisa, napotykając przy tym zaledwie garstkę ludzi – głównie ogrodników, rzadziej kochanków udających się na schadzki w położonym na uboczu zagajniku czy dyskretnej grotcie.

Ogrody są poprzecinane długimi, prostymi alejami, z których – przynajmniej na niektórych skrzyżowaniach – otwierają się nieoczekiwane widoki na fontanny, grupy rzeźb lub na sam *château*. Uczę dzieci geometrii, każąc im rysować plany ogrodów.

*Jeżeli z zachowania tej dwójki można wyciągać jakieś wnioski na temat przyszłości arystokracji, Francja, jaką znamy, jest zgubiona.*

Wczoraj szłam wzdłuż kanału, który ciągnie się na zachód od *château* i ma kształt krzyża – jego dłuższe ramię biegnie ze wschodu na zachód, krótsze zaś z południa na północ. Ponieważ w zbiorniku nie ma żadnych przegród, cała jego powierzchnia jest idealnie pozioma; to przecież znana właściwość wody. Wbiłam igłę w korek, który od drugiej strony obciążylam (na wypadek, gdyby był Pan zainteresowany, dodam, że użyłam do tego korkociągu), i położyłam go na wodzie w okrągłym basenie, gdzie przecinają się ramiona krzyża. Miałam nadzieję (czego Pan, doktorze, z pewnością już się domyślił), że stercząca pionowo igła zilustruje Beatrice i Louisowi pojęcie trzeciego wymiaru, prostopadłego do dwóch pozostałych. Niestety, korek nie chciał trzymać pionu. W dodatku oddalił się od brzegu i musiałam wyciągać go z wody, położywszy się na brzuchu. Przy tej okazji zamoczyłam rękawy mojej używanej sukienki. Przez cały ten czas słyszałam namolne biadolenie znudzonych dzieci, a w dodatku dręczyły mnie wspomnienia. Przyznam się Panu,

że łzy ciekły mi po opalonych policzkach, wspominałam bowiem rozliczne lekcje, jakich udzielały mi w Algierze mamusia i panie z Ligi Ochotniczek Stowarzyszenia Branek Brytyjskich.

W pewnym momencie usłyszałam dwa głosy, męski i kobiecy, i zdałam sobie sprawę, że ich właściciele już od dłuższego czasu rozmawiają gdzieś nieopodal, lecz zajęta czym innym i pogrążona w myślach, nie zwróciłam na nich wcześniej uwagi. Uniósłszy głowę, ujrzałam po drugiej stronie kanału dwie postaci na koniach: wysokiego, przystojnego mężczyznę, w peruce bujnej jak lwia grzywa, i kobietę, zbudowaną prawie jak turecki zapaśnik, ubraną w strój myśliwski i trzymającą w ręku szpicrutę. Nie ukrywała twarzy przed słońcem, i to z pewnością od dawna, bo cerę miała brunatną jak skóra siodła. Rozmawiali o czymś, ale kiedy na nich spojrzałam, przyciągnęłam uwagę mężczyzny, który natychmiast uklonił mi się z drugiej strony kanału, uchylając kapelusza. Wtedy zaś słońce padło na jego twarz i rozpoznałam w nim króla Ludwika XIV.

Nie wiedząc, jak wybrnąć z tej nader niezręcznej sytuacji, udałam, że ich nie widziałam. W linii prostej dzieliła nas niewielka odległość, ale gdyby zmierzyć dystans dzielący nas na stałym lądzie, byliśmy daleko od siebie – król i jego przypominająca Dianę towarzyszka musieliby udać się na zachód, objechać duży, okrągły basen, którym kończył się kanał, a następnie przejechać taki sam odcinek na wschód. Wmówiłam więc sobie, że znajdują się bardzo daleko i mam prawo ich nie widzieć. Niech mnie Bóg ma swojej opiece, jeśli podjęłam błędną decyzję. Próbując ukryć zakłopotanie, zaczęłam opowiadać dzieciom o Kartezjuszu i Euklidesie.

Król włożył kapelusz.

– Kto to? – zapytał.

Zamknęłam oczy i odetchnęłam z ulgą; król postanowił podjąć grę i udawać, że nie zauważyliśmy się nawzajem. Mnie tymczasem udało się wreszcie zagarnąć korek w dłonie. Podniosłam się z ziemi, usiadłam na brzegu kanału w powodzi falban, bokiem do króla, i kontynuowałam swój wykład. W duchu zaś modliłam się, żeby nie okazało się, że kobieta zna moje imię. Z pewnością domyślił się Pan już, doktorze, że była to królewska bratanica, Elżbieta Charlotta, w Wersalu znana jako „Madame”, a przez ukochaną ciotkę Zofię nazywana „Liselotte”.

*Dlaczego nie powiedział mi Pan, doktorze, że Kawaler Szeleszczących Liści jest clitoriste? Nie powinnam się pewnie temu dziwić, skoro Filip, jej mąż, jest homoseksualistą, ale przyznam, że trochę mnie to zaskoczyło. Czy ona ma kochanki? Ale nie, zaraz; zbyt daleko się posuwam. Czy w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, kim naprawdę jest?*

Wpatrywała się we mnie przez długą chwilę. W Wersalu ludzie ważni nigdy nie odpowiadają szybko i spontanicznie; każde słowo jest tu starannie zaplanowane, jak ruch w partii szachów. Wiedziałam, że powie „Nie wiem, nie znam jej”. Modliłam się, żeby tak właśnie powiedziała, wtedy bowiem król wiedziałby, że jestem nikim, nie istnieje i nie warto



mi poświęcać więcej uwagi niż przelotnej zmarszczce na powierzchni wody w kanale. W końcu usłyszałam jej głos:

– To chyba ta dziewczyna, która dała się oszukać hrabiemu d’Avaux i wykorzystać Holendrom, a potem przybyła tu z włosami i strojem w nieładzie, oczekując współczucia.

*Wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, by Liselotte rozpoznała mnie w tych okolicznościach, nie mając innego źródła informacji. Czy Pan przypadkiem do niej nie napisał, doktorze? Nigdy nie potrafię powiedzieć, w jakiej mierze działa Pan na własną rękę, a w jakiej jest Pan pionkiem – choć może należałoby powiedzieć „skoczkiem” lub „wieżą” – Zofii.*

Z pewnością zapłakałabym, słysząc te okrutne słowa, gdybym była jedną z tych wiejskich hrabin, które zlatują się do Wersalu jak ćmy, by dać się rozdewiczyć jakiemuś arystokracie. Jednakże poznałam już pałac i jego mieszkańców dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że najokrutniejsze słowa w tym miejscu brzmią „Jest nikim” – a tego Madame nie powiedziała. Dlatego król musiał na mnie spojrzeć jeszcze raz.

Louis i Beatrice też go zauważyli i zamarli jak posągi, w pozie wyrażającej zarazem nabożną cześć i przerażenie.

Uplęnęła kolejna długa chwila, zanim usłyszałam słowa króla:

– Znam tę historię. Gdyby d’Avaux schował listy w gorsecie jakiejś starej wiedźmy, byłyby zupełnie bezpieczne. Ale jakież Holender nie miałby ochoty złamać pieczęci na takiej kopercie jak ta?

– Z drugiej strony, mój panie, d’Avaux jest Francuzem. A jaki Francuz zrobiłby coś takiego?

– Nie ma aż tak wyrafinowanego gustu, jak mogłoby się wydawać – odparł król. – Ona zaś wcale nie jest tak pospolita, jak ty, pani, chciałabyś mi ją przedstawić.

W tej samej chwili mały Louis podbiegł na skraj kanału tak gwałtownie, że wystraszyłam się, że wpadnie do wody i będę musiała go ratować. On jednak zatrzymał się na brzegu, wysunął jedną nogę naprzód i jak prawdziwy dworzanin uklonił się królowi. Udałam, że dopiero w tej chwili dostrzegłam monarchę, i zerwałam się na równe nogi. Razem z Beatrice dygnęliśmy wdzięcznie. Król ponownie uchylił kapelusza; być może była w tym geście odrobina żartobliwej przesady.

– Znam to spojrzenie, *vôtre majesté* – zauważyła Liselotte.

– Ja również poznaję ten błysk w twoim oku, Artemido.

– Wasza Wysokość nasłuchał się plotek. Powiadam Waszej Wysokości: wszystkie te nisko urodzone dziewczki, które przybywają tu uwodzić arystokratów, są jak mysie bobki w pojemniku z pieprzem.

– Doprawdy? Cóż za banał!

– Najbardziej banalne przebrania są często najlepsze, panie.

Na tym ich dziwaczna rozmowa się skończyła i razem odjechali znad kanału.

*Król uchodzi za doskonałego myśliwego, ale siedział na koniu w dziwnie sztywnej pozycji. Myślę, że ma hemoroidy. Albo kłopoty z kręgosłupem.*

Natychmiast zabrałam dzieci do domu i usiadłam do pisania tego listu. Dla tak nędznej istoty jak ja dzisiejsze wydarzenia były największym wyobraźalnym zaszczytem. Chciałam je unieśmiertelnić, zanim szczegóły zatrać się w mej pamięci.

\* \* \*

*Do Pana hrabiego d'Avaux*

*1 września 1685*

Monseigneur,

w dalszym ciągu nie mogę narzekać na brak gości (co ogromnie drażni hrabiego de Béziers), ale odkąd mocno się opaliłam, zaczęłam nosić włosiennicę i gęsto cytować Biblię, ich zainteresowanie romansem ze mną znacznie spadło. Znacznie częściej wypytyją mnie teraz o mojego wuja z Hiszpanii.

– To przykre, że pani stryj musiał się przeprowadzić do Amsterdamu, mademoiselle – mówią. – Ale podobno życiowe trudności wiele go nauczyły.

Kiedy syn jakiegoś markiza pierwszy raz odezwał się do mnie w te słowa, powiedziałam mu, że musiał mnie pomylić z inną dziewczką i odesłałam go z kwitkiem. Następemu wymknęło się jednak przypadkiem Pańskie nazwisko, dzięki czemu zrozumiałam, że – w pewnym sensie – przychodzi od Pana, a właściwie, by wyrazić się bardziej precyzyjnie, przychodzi do mnie, żywiąc złudzenia, że mam mądrego hiszpańskiego stryja, a owe złudzenia są skutkiem zainicjowanego przez Pana ciągu wydarzeń. Przyjąwszy takie założenie, podjęłam grę, wykazując przy tym największą ostrożność, nie wiedziałam bowiem, na czym owa gra ma polegać. Słuchając tego jegomościa, domyśliłam się wkrótce, że uważa mnie za kogoś w rodzaju kryptożydówki, nieślubnej córki śniadego hiszpańskiego Żyda i maślanowłosej Holenderki. Mój wygląd – opalona skóra i rozjaśnione od słońca włosy – mógł go rzeczywiście utwierdzić w takim podejrzeniu.

Wszystkie te rozmowy przebiegają tak samo, a ich szczegóły są zbyt nużące, żeby je tu przytaczać. Nie mam cienia wątpliwości, Monseigneur, że rozpowiadasz o mnie różne rzeczy, dzięki czemu co drugi pomniejszy arystokrata w Wersalu uważa, że mogę (sama lub z pomocą mego nieistniejącego stryja) pomóc mu spłacić długi karciane, opłacić przebudowę *château* albo nabyć nową, wspaniałą karetę. Widząc ich chciwość, mogę tylko wznosić oczy ku niebu, ale jeśli mówią prawdę, ich ojcowie i dziadowie wydali całe swoje fortuny na powołanie prywatnych armii i ufortyfikowanie miast, aby oprzeć się potędze ojca i dziada obecnego króla. Ja zaś uważam, że pieniądze powinny raczej trafiać do krawców, rzeźbiarzy, malarzy i *chefs de cuisine*, zamiast do najemników i rusznikarzy.

Prawdą jest, naturalnie, że ich złoto, mądrze zainwestowane w Amsterdamie, przyniosłoby znacznie większe zyski niż kiedy trzymają je w skrzyniach pod łózkami. Problem z prowadzeniem takiego przedsięwzięcia polega jednak na tym, że nie mogę zarządzać ich inwestycjami z klitki w Wersalu, zajmując się jednocześnie edukacją dwójki pólśierot. Mój hiszpański stryj jest Pańskim wymysłem, który był Panu potrzebny zapewne z tego względu, że Francuzi nie powierzyliby majątku kobiecie. To zaś oznacza, że powinnam zająć się pomnażaniem ich fortun osobiście, a nie może być o tym mowy, dopóki przynajmniej kilka razy do roku nie będę mogła swobodnie podróżować między Paryżem i Amsterdamem...

\* \* \*

*Do Gottfrieda Wilhelma Leibniza*

*12 września 1685*

Dziś rano wezwano mnie do stosunkowo przestronnych i w miarę ładnych apartamentów damy dworu delfiny, znajdujących się w południowym skrzydle pałacu i przylegających do apartamentów samej delfiny. Damą tą jest księżna d'Oyonnax. Ma młodszą siostrę, markizę d'Ozoir, która akurat przebywa z wizytą w Wersalu i przywiozła ze sobą swoją dziewięcioletnią córkę.

*Dziewczynka jest dość bystra, ale umiera na astmę. A markizie przy porodzie coś pękło w środku i nie może mieć więcej dzieci.*

Państwo d'Ozoir są jednym z rzadkich wyjątków od zasady, że wszyscy liczący się francuscy arystokraci muszą mieszkać w Wersalu – ale tylko dlatego że obowiązki zatrzymują markiza w Dunkierce. Na wypadek, gdyby zaniedbał Pan, doktorze, studiowanie drzew genealogicznych europejskiej arystokracji, przypomnę, że markiz d'Ozoir jest nieślubnym synem diuka d'Arcachon.

*Który to diuk, będąc piętnastoletnim młokosem, splodził przyszłego markiza z ponętą dwórką własnej babki. Biedna dziewczyna została zmuszona do tego, by udzielić młodemu diukowi pierwszej miłosnej lekcji.*

Diuk d'Arcachon ożenił się dopiero w wieku lat dwudziestu pięciu, a musiały minąć dalsze trzy lata, nim jego małżonka powiła pożądanego potomka (Étienne'a d'Arcachon). Bękart był więc młodzieńcem, kiedy urodził się jego brat przyrodni, prawowity dziedzic. Wysłano go do Suratu w charakterze adiutanta Boullaye'a i Bebera, którzy około roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego próbowali założyć tam Francuską Kompanię Wschodnioindyjską.

Jednakże, jak z pewnością Panu wiadomo, Francuska KW radziła sobie znacznie gorzej niż angielska czy holenderska. Zaczęli organizować w Suracie karawanę, która jednak musiała wyruszyć w drogę przed zakończeniem wszystkich przygotowań, ponieważ miasto

lada dzień miało wpaść w ręce zbuntowanych Marathów. Ruszyli w głąb Hindustanu, licząc na nawiązanie stosunków handlowych. Kiedy dojeżdżali do jednego z wielkich miast, wyszła im na spotkanie delegacja *banyanów*, najbogatszych i najbardziej wpływowych *commerçants*. Zgodnie z miejscowym zwyczajem kupcy przynieśli w miseczkach drobne podarki. Boullaye i Beber, biorąc tych ludzi za żebraków, wychłostali ich szpicrutami, jak przystało na dobrze urodzonych Francuzów, którym na drodze stanęli natrętni jałmużnicy.

Bramy miasta zostały przed nimi zatrzaśnięte na głucho i francuska delegacja poszła błąkać się po interiorze niczym banda wyrzutków. Wynajęci w Suracie tragarze i przewodnicy wkrótce uciekli, a Francuzom zaczęli się naprzykrzać Marathowie i pospolici rozbójnicy. W końcu udało im się dotrzeć do Szachdżahanabadu, gdzie zamierzali prosić o pomoc Aurangzeba, ale dowiedzieli się tylko, że Wielki Mogoł przeprowadził się na starość do Czerwonego Fortu w Agrze. Udali się więc do Agry, gdzie z kolei poinformowano ich, że urzędnicy, przed którymi trzeba się ukorzyć i których należy obsypać darami, aby uzyskać dostęp do mogolskiego władcy, stacjonują w Szachdżahanabadzie. W ten oto sposób przemierzali najbardziej niebezpieczne rejony Hindustanu w tę i z powrotem, do czasu, aż Boullaye został uduszony przez dakoitów, a Beber zmarł na skutek choroby (albo odwrotnie). Reszta ich ekspedycji padła łupem innych, mniej lub bardziej egzotycznych zagrożeń.

Nieślubny syn diuka d'Arcachon przeżył ich wszystkich i dotarł do Goa, gdzie przekonał kapitana portugalskiego statku, by zabrał go do Mozambiku. Przemierzając dość przypadkowym kursem niewolnicze wybrzeże Afryki, natknął się w końcu na francuską fregatę pod banderą rodziny Arcachon (ozdobioną liliami i głowami Negrów w metalowych obrożach). Przekonał kilku Afrykanów, aby swoją dłubanką zawieźli go na fregatę, tam zaś przedstawił się kapitanowi, który, naturalnie, słyszał o jego zaginięciu i któremu przykazano mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Takim oto sposobem młody d'Arcachon znalazł się na pokładzie.

*A Afrykanie, którzy go przywieźli, w nagrodę otrzymali chrzest, żelazną biżuterię i darmowy transport na Martynikę, gdzie znaleźli dożywotnie zatrudnienie w sektorze rolniczym.*

I rozpoczął karierę handlarza niewolników dostarczającego siłę roboczą do Francuskich Indii Zachodnich. W latach siedemdziesiątych zgromadził w ten sposób małą fortunę i nabył za nią tytuł markiza – a właściwie został nim nagrodzony przez króla. Wtedy bezzwłocznie osiadł we Francji i się ożenił. Powodów, dla których nie osiedli z żoną w pobliżu Wersalu, było kilka. Po pierwsze, markiz jest bękartem i diuk d'Arcachon woli trzymać go od siebie z daleka. Po drugie, jego córka ma astmę i morskie powietrze dobrze jej robi. A po trzecie, markiz ma pewne obowiązki, nie pozwalające mu oddalać się od wybrzeża. Zapewne słyszał Pan o tym, doktorze, że mieszkańcy Indii wierzą w wieczny cykl reinkarnacji dusz. Francuska Kompania Wschodnioindyjska jest właśnie taką duszą – co parę lat bankrutuje, ale wkrótce odradza się w nowej postaci. Ostatnio znów się to zdarzyło. Większość działań Kompanii, co

zrozumiałe, wiąże się z portami w Dunkierce, Hawrze i innych nadmorskich miastach, nic więc dziwnego, że markiz tam właśnie spędza większość czasu. Za to markiza często odwiedza siostrę, księżną d'Oyonnax, i zwykle przywozi ze sobą córkę.

Jak już wspomniałam, d'Oyonnax jest damą dworu delfiny, która to pozycja uchodzi w Wersalu za nadzwyczaj pożądaną. Królowa Francji zmarła przed dwoma laty, a król już wtedy od dawna jej unikał. Teraz ma wprowadzić madame de Maintenon, ale ona oficjalnie nie jest jego żoną. Dlatego też najważniejszą kobietą w pałacu (*nie faktycznie, ale oficjalnie, zgodnie z protokołem*) jest delfina, małżonka najstarszego syna króla i prawowitego następcy tronu. Nic więc dziwnego, że wśród francuskich arystokratek rywalizacja o stanowiska u jej boku jest niezwykle zażarta...

*Do tego stopnia, że doprowadziła już do czterech przypadków otrucia. Nie wiem, czy siostra markizy d'Ozoir osobiście kogoś otruła, ale powszechnie uważa się, że użyczała swego nagiego ciała w charakterze żywego ołtarza podczas czarnych mszy odprawianych w opuszczonym wiejskim kościółku nieopodal Wersalu. Działo się to, zanim jeszcze król powziął podejrzenie, że na jego dworze roi się od satanistów o morderczych zapędach, i powołał chambre ardente, aby przeprowadziła śledztwo w tej sprawie. D'Oyonnax znalazła się wśród ponad czterystu aresztowanych i przesłuchanych arystokratów, lecz niczego jej nie udowodniono.*

Pokrótkie mówiąc, zmierzałam do tego, że księżna d'Oyonnax jest naprawdę wspaniałą damą i podejmuje swoją szwagierkę, markizę d'Ozoir, z szacunkiem i przepychem.

Kiedy weszłam do jej salonu, zdumiał mnie widok mojego pracodawcy, pana de Béziers, siedzącego na taboreciku tak niziutkim i maleńkim, że hrabia przywodził na myśl psa, który przycupnął na podłodze – tym bardziej że zgarbił się i zerkał z ukosa na markizę jak stary wiejski kundel, który w każdej chwili spodziewa się, że oberwie pałką po łbie. Księżna zasiadała w fotelu z litego srebra, a markiza na mniejszym krześle wykonanym z tego samego kruszcu.

Ja stałam. Dokonano prezentacji. Nastąpiły obowiązkowe uprzejmości i nieciekawa pogawędka, których szczegóły pominię, aż w końcu markiza oznajmiła mi, że szuka guwernantki dla swojego dziecka. Co ciekawe, dziewczynka ma już jedną guwernantkę, ale jest to kobieta prawie niepiśmienna, na czym ucierpiał rozwój intelektualny córki markizy. *A może dziewczynka jest po prostu głupia?* Tak się jakoś złożyło, że markiza uznała mnie za najlepszą potencjalną nauczycielkę. *To sprawka d'Avaux.*

Kompletnie zaskoczona, *choć tylko na niby*, próbowałam tłumaczyć, że to nierozsądna decyzja, albowiem nie nadają się do tak odpowiedzialnego zadania. Napomknęłam również o tym, że Beatrice i Louis, biedactwa, stracą opiekunkę, ale hrabia de Béziers oznajmił z uśmiechem, że trafiło mu się ciekawe zajęcie na południu i wkrótce opuści Wersal.

*Nie wiem, czy i to Panu wiadomo, ale jednym z nielicznych forteli, do jakich może się uciec francuski arystokrata, by zarobić pieniądze, nie tracąc przy tym swojego statusu, jest*

*służba w charakterze oficera na statku handlowym. De Béziers objął właśnie takie stanowisko na jednostce Francuskiej KW, która wiosną wypłynie z Bassin d'Arcachon i obierze kurs na Przylądek Dobrej Nadziei. Następnie skręci na wschód, po czym, jeżeli wolno mi wyrazić swoją opinię, pójdzie prosto na dno.*

Jeżeli madame de Maintenon otworzy w przyszłym roku szkołę dla ubogich szlachcianek w St. Cyr, *a ma obsesję na tym punkcie; St. Cyr leży na południowy zachód od Wersalu, tuż za pałacowym murem*, Beatrice może właśnie tam trafić. Szkoła przygotowałaby ją do życia na dworze.

W tej sytuacji nie mogłam okazać ani cienia wątpliwości, nie mówiąc już o odrzuceniu oferty. Dlatego też piszę do Pana ten list ze swojej nowej komnatki na strychu nad apartamentami księżnej. Bóg jeden wie, jakie jeszcze czekają mnie przygody! Markiza zamierza zostać w Wersalu do końca miesiąca, *król, jak zwykle, spędzi październik w Fontainebleu, a pod jego nieobecność nie ma sensu siedzieć w Wersalu*, po czym wróci do Dunkierki. Ja, rzecz jasna, pojedę z nią, ale przedtem z pewnością wyślę Panu jeszcze jeden list.

\* \* \*

*Do Pana hrabiego d'Avaux*

*25 września 1685*

Minęły dwa tygodnie, odkąd zostałam zatrudniona przez państwa d'Ozair. Za tydzień wyjeżdżamy z markizą do Dunkierki, toteż jest to ostatni list, jaki ślę Panu z Wersalu.

Jeżeli dobrze zrozumiałam Pańskie intencje, zabawię w Dunkierce tylko tyle czasu, ile potrzeba na zaokrętowanie się na statek odpływający do Holandii. Jeżeli tak właśnie się stanie, wszystkie moje następne listy dotrą do Amsterdamu później ode mnie.

Kiedy przybyłam tu przed kilkoma miesiącami, zatrzymałam się na jedną noc w Paryżu, gdzie byłam świadkiem następującej sceny. Okno *pied-à-terre*, w którym był Pan uprzejmy pozwolić mi zanoć, wychodziło na rynek. Z jednej strony mieszczanie zamontowali na placu drewnianą belkę sterczącą w przestrzeń. Belka przypominała żurawie, którymi kupcy podnoszą towary na piętra magazynów. Przez belkę przerzucili sznur, a pod nią, na chodniku, rozpalili ognisko.

Przygotowania te zwabiły tłum gapiów, toteż trudno mi było śledzić przebieg wydarzeń, ale z wybuchów śmiechu i gwałtownych szarpnięć liny wnosiłam, że na ulicy dzieje się coś niezwykle zabawnego i że prawdopodobnie doszło do jakiejś szarpaniny. Zbłąkany kot uciekł stamtąd spłoszony, dwaj chłopcy rzucili się za nim w pogoń, lecz bez szczególnego entuzjazmu. W końcu lina napięła się i podniesiono na niej duży, pękaty wór, który zaczął się kołysać nad ogniem. Domyśliłam się, że musi być wypełniony kiełbaskami, które tłum zamierza upiec.

Wtedy jednak zauważyłam, że coś się w środku poruszyło.

Ktoś popuścił sznur i worek zjechał tak nisko nad ogień, że odbłask płomieni padł na jego spodnią stronę. Ze środka dobiegł przeraźliwy jazgot, worek zaczął gwałtownie podskakiwać i zrozumiałam, że wypełniony jest bezdomnymi kotami, wyłapanymi na ulicach Paryża ku uciechu gapiów. I może mi Pan wierzyć, Monseigneur, że gapie naprawdę byli ubawieni.

Gdybym była mężczyzną, mogłabym wjechać konno na plac, jednym ruchem szabli przeciąć sznur i skrócić cierpienia nieszczęsnych zwierząt, które znalazłyby szybką śmierć w płomieniach. Niestety, nie jestem mężczyzną i nie mam konia ani szabli, a nawet gdybym je miała, zabrakłoby mi zapewne odwagi. W całym moim życiu znałam tylko jednego człowieka, który byłby dostatecznie odważny – lub popędliwy – aby dokonać podobnej sztuki, brakowało mu jednak kręgosłupa moralnego i najpewniej bawiłby się całym przedstawieniem nie gorzej od zebranej na rynku tłuszczy. Nie pozostało mi nic innego, jak zatrzaskać okiennice i zatkać uszy. Zanim jeszcze to zrobiłam, zwróciłam uwagę, że wiele wychodzących na plac okien jest otwartych. Kupcy i różne ważne osoby nie tylko oglądali przedstawienie, ale nawet sadzali na parapetach dzieci, żeby te miały lepszy widok.

W czasach przerażającej rewolucji Frondy, kiedy młody Ludwik XIV musiał uciekać przed zbuntowanymi książątkami i wygłodniałym tłumem, z pewnością był świadkiem takiego palenia kotów żywcem, ponieważ później, będąc dorosłym, zorganizował podobne widowisko. Zebrał wszystkich możliwych, którzy dręczyli go za młodu jak wystraszoną myszkę, wsadził ich do worka, jakim jest Wersal, i zawiesił worek w powietrzu, trzymając w rękach drugi koniec sznura. Ja też trafiłam do tego worka, ale ponieważ jestem zaledwie małym kociątkiem, któremu nie wyrosły jeszcze pazurki, nie pozostaje mi nic innego, jak trzymać z większymi i groźniejszymi kotami.

Księżna d'Oyonnax prowadzi swoje gospodarstwo żelazną ręką, niczym kapitan okrętu wojennego. Panuje tu idealny porządek. Odkąd najęłam się na służbę u jej siostry, nie wychodzę z pałacu. Moja opalenizna przybladła, połatane ubrania z mej garderoby podarto na szmaty i podarowano mi nowe. Nie olśniewają może przepychem, bo nie wypadaloby przecież przyćmiewać siostr w ich własnych apartamentach, ale ponieważ równie źle widziane byłoby przynoszenie im wstydu, mogę przynajmniej stwierdzić, że księżna przestała się wreszcie krzywić na mój widok.

Efekt jest taki, że znów zaczęłam zwracać na siebie uwagę młodzieńców. Gdybym w dalszym ciągu pracowała dla hrabiego de Béziers, nie miałabym chwili spokoju, ale księżna d'Oyonnax ma pazury (niektórzy powiedzieliby nawet, że zatrute) i kły. Dzięki temu chutliwi dworzanie gubią się w domysłach i wyżywają w rozsiewaniu tradycyjnych plotek na mój temat: że jestem ladaczną, świętoszką, córą Safony, cnotliwą dziewicą albo dawną metresą lubującą się w egzotycznych praktykach seksualnych. Jedną z zabawnych konsekwencji mojej wątpliwej sławy jest fakt, że księżna nie może się opędzić od gości. Większość z nich marzy wprawdzie tylko o tym, żeby się ze mną przespać, ale niektórzy przynoszą weksle lub

sakiewki wypełnione diamentami i pytają, ile byłyby warte w Amsterdamie. Odpowiadam niezmiennie, że wszystko zależy od kaprysów króla. Czyż nie jest bowiem prawdą, że amsterdamskie rynki reagują na wypowiedzenia wojen i traktaty pokojowe, które podpisuje Jego Wysokość? Oni jednak uważają mnie za kokietkę.

Dzisiaj odwiedził mnie sam król – ale nie chodziło o to, o czym Pan myśli.

O nadejściu Jego Wysokości uprzedził mnie kuzyn księżnej, jezuicki ksiądz Édouard de Gex, który przybył do Wersalu z jednego z *pays* na południowym wschodzie kraju, gdzie od wieków znajduje się siedziba jego rodu. Ojciec Édouard jest bardzo pobożnym człowiekiem. Zaproszono go, by odegrał epizodyczną rolę w ceremonii budzenia króla, przy której to okazji podsłuchał rozmowę dwóch dworzan, spierających się o to, kto odbierze mi dziewictwo. Do rozmowy wtrącił się trzeci, twierdząc, że nie ma mi już czego odbierać, czwarty zaś stwierdził, że gdybym jednak jeszcze je zachowała, z pewnością oddałabym je kobiecie, nie mężczyźnie, i jako dwie najbardziej prawdopodobne kandydatki do tego zaszczytu wymienił delfinę, która romansuje ze swoją dworką, oraz Liselotte.

Jak mówił ojciec Édouard, król w pewnym momencie zwrócił uwagę na tę rozmowę i zapytał, której z dam dotyczy.

– Nie chodzi o damę – odparł jeden z dworzan – lecz o guwernantkę córki państwa d’Ozoir.

– Słyszałem o niej – przyznał król po chwili namysłu. – Podobno jest piękna.

Kiedy ojciec Édouard opowiedział mi tę historię, zrozumiałam, dlaczego od tamtej pory nie węszył wokół mnie żaden młody dworzanin – uznali, że król się mną zainteresował, i bali się do mnie zbliżyć.

Dzisiaj księżna i markiza z całą świtą udały się nieoczekiwanie na mszę o godzinie pół do pierwszej po południu. Mnie kazano zostać w apartamentach i pakować rzeczy przed planowaną podróżą do Dunkierki.

Kiedy dzwony w kaplicy wybiły godzinę pierwszą, moje panie nie wróciły, pojawił się natomiast mężczyzna, najstłynniejszy paryski chirurg, który wśliznął się do apartamentu drzwiami dla służby, prowadząc orszak asystentów i ojca Édouarda de Gex. Chwilę później Ludwik XIV, król Francji, wszedł *solus* głównym wejściem, zatrzasnął drzwi przed nosami zgromadzonych w westybulu dworzan i przywitał się ze mną uprzejmie.

Podczas gdy ja z królem stanęliśmy w kącie salonu księżnej i (wiem, że zabrzmi to niezwykle) zajęliśmy się banalną rozmową, asystenci chirurga pracowali bez wytchnienia. Nawet osoba tak mizernie obeznana z dworską etykietą jak ja wie, że w obecności króla należy udawać, że nie zauważa się innych ludzi – udawałam więc, że nie widzę, jak pomocnicy lekarza przestawiają ciężkie, srebrne krzesła na skraj pokoju, zwijają dywany, rozkładają na podłodze płachty płótna i wnoszą ciężką drewnianą ławę. Chirurg układał na stoliku jakieś bardzo nieprzyjemnie wyglądające utensylia i półgłosem wydawał polecenia, ale większość czynności odbywała się w całkowitej ciszy.



– D’Avaux mówił, że znasz się, pani, na finansach.

– A ja powiem, że d’Avaux zna się na komplementach.

– Źle robisz, udając skromność w rozmowie ze mną – zauważył król stanowczym, choć nie zagniewanym tonem.

Natychmiast zrozumiałam swój błąd. Udajemy pokorę, kiedy postrzegamy w rozmówcy rywala bądź zagrożenie. O ile jednak nasze podejrzenia mogą być uzasadnione w wypadku ludzi z gminu, czasem nawet arystokratów, to w wypadku *le Roi* nie mają racji bytu. Okazywanie pokory wobec Jego Wysokości sugerowałoby, że król tak samo jak zwykli ludzie ulega czasem zazdrości i lękom.

– Wybacz mi moją głupotę, panie.

– Głupotę nigdy. Ale wybaczam ci brak doświadczenia. Colbert był człowiekiem prostym, lecz gospodarnym. Zbudował wszystko, co tu widzisz. I też z początku nie wiedział, jak się do mnie zwracać. Czy doświadczyłaś kiedyś rozkoszy seksualnej, mademoiselle?

– Tak.

Król się uśmiechnął.

– Szybko się nauczyłaś, jak odpowiadać na moje pytania. To mi się podoba. Zadowolisz mnie jeszcze bardziej, jeśli zaczniesz wydawać odgłosy, jakie wydawałaś, przeżywając tę rozkosz. Uprzedzam, że być może będziesz musiała je wydawać przez dłuższy czas, nawet przez kwadrans.

Musiałam chyba złożyć dłonie na podołku, albo wykonać inny gest zdradzający podenerwowanie, ponieważ król pokręcił głową i uśmiechnął się znacząco.

– Zadowoliliby mnie również, gdybyś po upływie tegoż kwadransa ukazała się w *déshabille*, nie mnie jednak, lecz oczekującym na galerii dworzanom. Powinni zobaczyć cię, przez moment, w uchylonych drzwiach. – Skinieniem głowy wskazał drzwi, przez które wszedł. – A teraz proszę o wybaczenie, mademoiselle. Możesz zaczynać w dowolnej chwili.

Odwrócił się do mnie plecami, zrzucił pelerynę i podawszy ją jednemu z asystentów medyka, podszedł do ławy, ustawionej na środku komnaty w morzu płótna żaglowego i przykrytej białym materiałem. Chirurg z pomocnikami zlecieli się do niego jak muchy do mięsa i nagle – ku mojemu nieopisanemu zdumieniu – któryś z nich ściągnął królowi spodnie do samych kostek. Król położył się na brzuchu na ławie i pomyślałam, że może należy do tych mężczyzn, którzy lubią, kiedy ich chłostać po pośladkach. Później jednak rozchylił nogi i oparł stopy na podłodze po dwóch stronach ławy, ja zaś ujrzałam między pośladkami paskudną, fioletową opuchliznę.

– Ojciec Édouardzie – powiedział, zniżając głos. – Jesteś jednym z największych francuskich uczonych; nawet wśród jezuitów uchodzisz za człowieka, którego uwagi nie umknie żaden szczegół. Ponieważ nie mogę sam śledzić przebiegu operacji, zadowolisz mnie, obserwując ją z bliska i zdając mi później dokładną relację, abym wiedział, czy ten chirurg jest przyjacielem, czy wrogiem Francji.

Ojciec Édouard skinął głową i coś odpowiedział, ale nie dosłyszałam jego słów.

– Ależ Wasza Wysokość! – wykrzyknął lekarz. – Doskonalam swe umiejętności, wykonałem setkę takich operacji przez ostatnie pół roku, czyli odkąd doszły mnie słuchy o kłopotach Waszej Wysokości...

– Tamta setka mnie nie interesuje.

Ojciec Édouard zauważył mnie stojącą w kącie. Wolę sobie nie wyobrażać, jaką miałam wtedy minę! Spojrzał mi głęboko w oczy – jest przystojnym mężczyzną – i znacząco skinął głową na drzwi, zza których dobiegał stłumiony pomruk rubasznych żartów. Kilkunastu dworaków musiało jakoś zabić czas.

Podeszłam do tych drzwi – ale niezbyt blisko – i wydałam z siebie gardłowy jęk:

– Mmm, *Vôtre Majesté!*

Dworzanie zaczęli się nawzajem uciszać. Z drugiej strony pokoju dobiegł mnie metaliczny odgłos – to chirurg wziął do ręki nóż.

Jęknęłam.

Król też.

Krzyknęłam.

Król też.

– Delikatnie! – zawołałam. – To mój pierwszy raz!

Król wykrzykiwał przekleństwa pod adresem chirurga, ale jedwabna poduszka, którą ojciec Édouard przyciskał mu do twarzy, tłumiała jego głos.

I tak to szło. Z początku krzyczałam, jakby mi się działa krzywda, ale z biegiem czasu coraz częściej wydawałam jęki rozkoszy. Wydaje mi się, że trwało to znacznie dłużej niż kwadrans. Położyłam się na zrolowanym dywanie i zaczęłam zdzierać z siebie ubranie, wyciągać wplecione we włosy wstążki i dyszeć ciężko, aby moja twarz była należycie spocona i zaczerwieniona. Pod koniec nawet zamknęłam oczy – po części dlatego, żeby nie widzieć makabrycznych scen rozgrywających się na środku pokoju, po części zaś po to, by lepiej wczuć się w rolę. Wyraźnie słyszałam dobiegające z galerii głosy dworzan.

– Jaka krzykliwa – stwierdził jeden z nich z podziwem. – Lubię takie. Od razu krew szybciej krąży w żyłach.

– Co za brak dyskrecji! – zachnął się drugi.

– Królewska metresa nie musi być dyskretna.

– Metresa? Przecież ona zaraz pójdzie w odstawkę. Gdzie się wtedy podzieje?

– Mam nadzieję, że w moim łóżku!

– No to kup sobie zatyczki do uszu.

– Najpierw niech się nauczy rżnąć jak król!

Coś kapnęło mi na czoło. Otworzyłam oczy, bojąc się, że zobaczę krew, ale dostrzegłam nad sobą twarz ojca Édouarda de Gex. Ksiądz rzeczywiście był cały zbryzgany królewską krwią, ale na twarz kapnęła mi kropelka potu z jego brwi. Nie mam pojęcia, jak długo

wpatrywał się z natężeniem w moją twarz. Zerknęłam w stronę ławy. Wszędzie było pełno krwi, wyczerpany lekarz siedział na podłodze, a jego asystenci wciskali garście szmat między królewskie pośladki. Gdybym nagle zamilkła, cały fortel by się wydał, zamknęłam więc ponownie oczy i doprowadziłam się do rozkrzyczanego – choć udawanego – szczytu, sapnęłam głośno i znów rozchyliłam powieki.

Ojciec Édouard w dalszym ciągu stał nade mną, miał jednak zamknięte oczy i dziwnie spokojne rysy. Widywałam już wcześniej ten wyraz twarzy.

Król wstał, wspierając się na asystentach medyka, którzy byli gotowi podtrzymać go w każdej chwili, gdyby miał zemdleć. Zbladł jak ściana i chwiał się na nogach, ale – co niewiarygodne – był żywy, przytomny i sam zapiął sobie spodnie. Reszta pomocników zwijała zakrwawione płótna i wynosiła je tylnym wyjściem.

A oto co król powiedział mi na odchodnym:

– Francuscy arystokraci z racji urodzenia cieszą się moim szacunkiem i zaufaniem; tracą je i pospolitują się, kiedy popełnią błąd. Ludzie prości mogą zasłużyć na mój szacunek i zaufanie, a tym samym uszlachetnić samych siebie, jeżeli mnie zadowolą. Ty mnie zadowolisz, zachowując dyskrecję.

– A co z d’Avaux? – zapytałam.

– Możesz mu o wszystkim powiedzieć. Niech czuje się dumny, jeśli jest moim przyjacielem, i niech się boi, jeśli jest mi wrogiem.

Nie wiem co Jego Wysokość miał na myśli, ale Pan, Monseigneur, z pewnością będzie wiedział...

\* \* \*

*Do Gottfrieda Wilhelma Leibniza*

*29 września 1685*

Doktorze,

nastała jesień i przyniosła wcześniej gasnące światło<sup>8</sup>. Za dwa dni słońce osunie się jeszcze niżej za południowy widnokrąg, ja zaś wyruszę z markizą d’Ozoir do Dunkierki, położonej na północnym skraju królewskich włości. *A stamtąd, jak Bóg da, do Holandii.* Słyszałam za to, że na południu, zwłaszcza w Sabaudii, słońca nie brakuje. *Do tego jeszcze wróć.*

Król wojuje – nie tylko z protestanckimi heretykami, którzy wyroili się w jego kraju, ale także z własnymi lekarzami. Kilka tygodni temu miał wrywany ząb. Pierwszy lepszy wyrwiząb spod Pont-Neuf poradziłby sobie z takim zabiegiem, ale d’Aquin, królewski medyk, pokpił sprawę i zębodół zaczął ropieć. W ramach kuracji d’Aquin postanowił usunąć



<sup>8</sup> Gasnące światło: trzydziesty szósty heksagram *I Ching*. Inaczej 000101.

wszystkie inne zęby z górnej szczęki, lecz przy tej okazji wydarł królowi także kawałek podniebienia. Paskudną ranę, która w ten sposób powstała, trzeba było przyżec rozpalonym do czerwoności żelazem, ale i tak zaropiała i wymagała dalszej kauteryzacji. *Mam Panu do opowiedzenia jeszcze jedną historię dotyczącą zdrowia króla, ale o tym przy innej okazji.*

To właściwie nie do pomyślenia, żeby władca musiał tak cierpieć. Gdyby wieść o jego udręce się rozniosła, wieśniacy z całą pewnością zinterpretowaliby ją jako dowód Bożej niełaski. W westybulach Wersalu, gdzie większość *ale nie wszystkie!* cierpień króla nie stanowi tajemnicy, również trafiło się paru półgłówków, którzy tak pomyśleli. Na całe szczęście w pałacu od kilku tygodni przebywa ojciec Édouard de Gex, młody, energiczny jezuita z dobrego rodu *kiedy w tysiąc sześćset sześćdziesiątym siódmym Ludwik zajął Franche-Comté, ród ten zdradził swoich hiszpańskich sąsiadów i wpuścił królewskie wojska; Ludwik nagroził ich tytułami szlacheckimi* i faworyt madame de Maintenon, która upatruje w nim swojego duchowego przewodnika. Podczas gdy większość naszych dworskich księżypochlebców wolałaby uniknąć odpowiedzi na pytanie o teologiczny sens królewskiej boleści, ojciec Édouard chwycił byka za rogi i najpierw otwarcie postawił to pytanie, a następnie prosto i na forum publicznym udzielił na nie odpowiedzi. Wygłosił podczas mszy długie kazanie, a madame de Maintenon zleciła wydrukowanie go i rozpowszechnienie w Wersalu i Paryżu. Postaram się przesłać Panu egzemplarz tej broszurki, ale w wielkim skrócie rzecz cała przedstawia się następująco: król to Francja, a jego przypadłości i cierpienia są odbiciem stanu państwa. Jeżeli w różnych rejonach jego ciała zbiera się ropa, jest to cielesna metafora ciągłego istnienia herezji na terytorium Francji. Herezja – o czym wszyscy wiedzą – oznacza w tym wypadku erpeerów, czyli „religion pretendue reformée” albo hugenotów, bo i tak są nazywani. Podobieństw między wspólnotami erpeerów i wzbierającymi ropą wrzodami nie brakuje. Weźmy na przykład...

*Proszę mi wybaczyć ten przydługi wywód, ale mam Panu wiele do opowiedzenia, a nuży mnie już ciągle opisywanie strojów i biżuterii dla zatarcia śladów. Ród, z którego wywodzą się ojciec de Gex, księżna d'Oyonnax i markiza d'Ozoir, od dawna mieszka w górach Jury, wciśniętych między Burgundie i południowy cypelek Franche-Comté. W tamtej okolicy zbiega się wiele granic i interesów, nic więc dziwnego, że wszyscy wszystkich mają tam za wrogów. Od pokoleń zerkali zazdrośnie na panującego po sąsiedzku diuka Sabaudii, który zbijał majątek – w pieniądzach i wpływach – dzięki temu, że przez jego ziemie przebiega szlak handlowy łączący Genuę z Lyonem, finansowa aorta świata chrześcijańskiego. Ze swoich châteaux na południu Jury mogli spoglądać w głąb zimnych wód Jeziora Genewskiego, krynicy protestantyzmu, nad którą angielscy protestanci uciekali za panowania Krwawej Marii, a hugenoci znajdowali wytchnienie od prześladowań ze strony francuskich królów. Ostatnio często widuję ojca Édouarda, ponieważ regularnie odwiedza kuzynki w ich apartamentach. Pała taką nienawiścią do protestantów, że gdyby mógł mu Pan spojrzeć w oczy, doktorze, ciarki przeszłyby Panu po plecach.*

*Jak wspomniałam, długo wyczekiwana szansa pojawiła się wreszcie, kiedy Ludwik najechał Franche-Comté, i trzeba przyznać, że ród ojca Édouarda jej nie zmarnował. A ubiegły rok był dla nich jeszcze pomyślniejszy: diuk Sabaudii został zmuszony do ożenku z Anną Marią, córką Monsieur z małżeństwa z Minette, a więc bratanicą króla Ludwika XIV. W ten oto sposób diuk, dotychczas samowładny, wszedł do rodziny Burbonów i stał się podległy kaprysom patriarchy.*

*Sabaudia również przylega do tego niepokornego jeziora, toteż od najdawniejszych czasów kalwińscy kaznodzieje zapuszczali się w głąb tamtejszych dolin i głosili swą ewangelię ich mieszkańcom. A że sabaudzcy wieśniacy, podobnie jak ich władca, byli z natury niezależni i niepokorni, chętnie przyjmowali buntowniczą wiarę.*

*Nie muszę chyba więcej mówić, doktorze. Ojciec Édouard cały czas tłumaczy swojej uczennicy, madame de Maintenon, że szerzący się w Sabaudii jak zaraza protestantyzm przenika przez granicę z Francją i zakaża nowych erpeerów. De Maintenon powtarza jego słowa udręczonemu królowi, który, nawet miewając lepsze dni, nie waha się być okrutny wobec poddanych i rodziny, a wszystko dla dobra królestwa. Teraz jednak nie przeżywa najlepszych dni. Jego światło wyraźnie przygasło – to dlatego wybrałam ten heksagram jako klucz do szyfru. Król poinformował diuka Sabaudii, że nie wystarczy tylko ukarać „buntowników”, bo tak ich nazywa; powinni zostać wybici do nogi. Diuk postanowił grać na zwłokę, licząc na to, że gdy król wyzdrowieje, poprawi mu się humor. Przedstawił jedną wymówkę za drugą, ostatnio jednak popełnił błąd: stwierdził, że nie może wykonać królewskiego polecenia, ponieważ brakuje mu funduszy na podjęcie zbrojnej interwencji. Król bez wahania złożył mu hojną ofertę: zaproponował, że z własnej kieszeni sfinansuje taką kampanię.*

*Kiedy piszę te słowa, ojciec Édouard szykuje się do wyruszenia na południe w charakterze kapelana francuskiej armii dowodzonej przez marszałka de Catinat. Nie oglądając się na diuka, wojsko wkroczy do sabaudzkich dolin i wymorduje wszystkich, których napotka. Czy zna Pan jakiś sposób na to, by ostrzec tych ludzi?*

Król i wszyscy, którzy wiedzą o jego ostatnich udrękach, znajdują pociechę w słowach ojca Édouarda. Ksiądz uświadomił nam, że kroki podjęte przeciw erpeerom, choć mogą wydawać się okrutne, są najbardziej bolesne dla króla. Trzeba jednak znieść dzielnie ten ból, bo w przeciwnym razie obumrze całe ciało.

Czas na mnie; obowiązki czekają. Jeśli Bóg pozwoli, następny list wyślę z Dunkierki.

Pańska kochająca i oddana uczennica

Eliza

## Londyn

### Wiosna 1685

*Filozofia zapisana jest w tej wspaniałej księdze, która zawsze spoczywa szeroko otwarta przed naszymi oczyma (mam na myśli Wszechświat). Nie można jej jednak odczytać, nie poznawszy wprzód języka i alfabetu, którym ją zapisano. Język ten to język matematyki, znakami alfabetu zaś są trójkąty, okręgi i inne figury geometryczne, bez których nie sposób zrozumieć ani słowa. Bez nich filozofia przypomina błędzenie po skrytym w mroku labiryncie.*

Galileo Galilei, *Il Saggiatore*  
w *Opere*, t. 6, str. 197

Wciągając do płuc kawiarniane powietrze, Daniel miał wrażenie, że pogrzebano go pod stosem szmat.

Roger Comstock, który patrzył w głąb sali ponad cybuchem glinianej fajki, wyglądał jak pijany astronom, biorący na cel nową gwiazdę. W tym wypadku gwiazdą był Robert Hooke, członek Towarzystwa Królewskiego, widoczny jak przez mgłę (na skutek kłębow dymu i panującego we wnętrzu półmroku), i to tylko od czasu do czasu (z winy przechodzących między stolikami klientów). Hooke zabarykadował się za miniaturową ladą aptekarską, zastawioną mnóstwem buteleczek, woreczków i flakonów, i zajął się przyrządzaniem sobie obiadu – mieszaniny rtęci, opiłków żelaza, okruchów siarki, wód źródłanych (mających działanie przeczyszczające i częstokroć trujących dla ptactwa wodnego), oraz wyciągów z przeróżnych roślin, wśród nich rabarbaru i maku.

– Wciąż żyje, jak widzę – mruknął Roger. – Gdyby jeszcze trochę pokręcił się na progu królestwa śmierci, szatan osobiście by go stamtąd przepędził. Za włóczęgostwo. Ale kiedy ja zastanawiam się, czy znajdę czas, żeby przyjść na jego pogrzeb, on, jak słyszałem, z zapalem francuskiego żołdaka buszuje po wszystkich burdelach w Whitechapel.

Danielowi nie przyszło do głowy nic, co mógłby dodać do tych słów.

– A co z Newtonem? – zainteresował się Roger. – Mówiłeś, że umrze.

– Wcześniej tylko dzięki mnie nie umierał z głodu – odparł niepewnie Daniel. – Odkąd zamieszkaliśmy razem, do czasu, gdy w siedemdziesiątym siódmym mnie wyrzucił, opiekowałem się nim jak niańka. Miałem więc podstawy do takich przewidywań.

– Najwidoczniej od tamtej pory ktoś inny go karmi. Może któryś z jego uczniów?

– On nie ma uczniów – zauważył Daniel.

– Ale przecież jeść musi – odparował Roger.

Daniel zerknął na Hooke'a, który właśnie mieszał swoją miksturę szklanym pręcikiem.

– Może uwarzył *Elixir Vitae* i stał się nieśmiertelny?

– Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni! To chyba twoja trzecia porcja *usquebaugh*, co? – Roger spojrzął znacząco na stojący przed Danielem kieliszek bursztynowego płynu. Daniel osłonił go lewą ręką. – Mówię poważnie. Kto się nim opiekuje?

– A jakie to ma znaczenie? Ważne, że ktoś to robi.

– Równie ważne jest, kim jest ten ktoś. Mówiłeś, że podczas studiów Newton żył z pożyczania pieniędzy i pilnował spłat kredytów jak Żyd.

– Wydaje mi się, że chrześcijański lichwiarz też chciałby odzyskać pieniądze...

– Mniejsza z tym, wiesz o co mi chodziło. Zmierzałem do tego, że ktoś, kto zajmuje się Newtonem, ma prawo oczekiwać czegoś w zamian. Jakichś... usług.

Daniel wyprostował się na krześle.

– Podejrzewasz go o przynależność do ezoterycznego bractwa.

Roger uniósł brwi w okrutnej parodii niewiniątka.

– Ja nie, ale ty najwyraźniej tak.

– Był taki moment, że Upnor zagiął na niego parol – przyznał Daniel. – Ale to dawne czasy.

– Pozwól, że ci przypomnę, że dla ludzi pamiętających o udzielonych pożyczkach, w przeciwieństwie do tych, którzy puszczają długi w niepamięć, „dawno temu” oznacza „ogromny procent składany”. Ale mówiłeś, że co roku Newton znika gdzieś na kilka tygodni.

– Niekoniecznie w grzesznych celach. Ma w Lincolnshire posiadłość, która wymaga opieki.

– Kiedy o tym wcześniej wspomniałeś, brzmiało to grzesznie.

Daniel westchnął, zapomniał o kieliszku i podparł głowę ręką. Zasłonił sobie oczy, przez co widział tylko różowawe, dziobate od ospy wnętrza dłoni. Biedna Tess. Ćwierć ciała miała pokryte wrzodami, a z twarzy i torsu zeszła jej większość skóry, zanim wreszcie wyzionęła ducha.

– Będę z tobą szczerzy: nic mnie to nie obchodzi. Próbowałem go powstrzymać, zwrócić jego uwagę ku astronomii, dynamice, fizyce, w ogóle ku filozofii naturalnej, w przeciwieństwie do niezgodnej z naturą teologii. Ale nic z tego. Zawiodłem, odszedłem i oto jestem.

– Odszedłeś? Czy on cię wyrzucił?

– Przejęczyłem się.

– Za którym razem?

– Słowa „wyrzucił” użyłem w sensie metaforycznym.

– Jesteś przebrzydłym łgarzem, Danielu!

– Coś ty powiedział?!

– Och, przepraszam, to było w sensie metaforycznym.

– Spróbuj mnie zrozumieć, Rogerze. Okoliczności mojego rozstania z Newtonem były... a raczej są... bardzo złożone. Kiedy próbuję wyrazić je jednym czasownikiem, takim jak

„odejść” czy „wyrzucić”, zawsze w pewnym sensie kłamie i, jako kłamca, zasługuje na potępienie.

– W takim razie czekam na dalsze czasowniki – odparł Roger. Rzucił okiem na przechodzącą obok szynkarę i posłał jej znaczące spojrzenie, jakby mówił: „Już jest mój. Rozkręca się. Dolewaj mu i pilnuj, żeby nikt nas nie zaczepiał”. Nachylił się nad stołem niczym wynurzające się z kłębow dymu straszdyło. Blask świecy podświetlił mu twarz od dołu. – Przypomnij sobie: rok siedemdziesiąty szósty! – zagrział. – Leibniz drugi raz przyjeżdża do Londynu! Oldenburg jest na niego wściekły, bo zamiast skonstruować i przywieźć obiecaną cyfrową maszynę liczącą, przez ostatnie cztery lata siedział w Paryżu i zabawiał się w matematyka, a teraz zadaje niewygodne pytania o jakieś matematyczne prace Newtona sprzed lat. Coś się święci. Ty, Danielu, na zlecenie Newtona przepisujesz jakieś dokumenty i szyfrujesz tajemnicze wzory matematyczne, Oldenburg wyłazi ze skóry, Enoch Root też macza w tym palce, chodzą słuchy, że Newton koresponduje z Leibnizem, a nawet że ze sobą rozmawiają! Później Oldenburg umiera. Niedługo potem w twoim mieszkaniu w Trójcy wybucha pożar i większość alchemicznych papierzyk Newtona ginie w wielobarwnych płomieniach, a ty przenosisz się do Londynu i nabierasz wody w usta, kiedy zapytać cię o powód przeprowadzki. Jaki czasownik będzie bardziej na miejscu: odejść? Zostać wyrzuconym?

– Najzwyczajniej w świecie nie było tam dla mnie miejsca. Moje łóżko zajmowało przestrzeń, w której zmieściłby się jeszcze jeden piec.

– Spiskować? Knuć?

– Od wdychania oparów rtęci zrobiłem się nerwowy.

– Podżegać? Podpalać?

Daniel zacisnął ręce na oparciach krzesła, jakby lada chwila miał wstać i wyjść. Roger uniósł rękę w pojednawczym geście.

– Jestem przewodniczącym Towarzystwa Królewskiego. Ciekawość to mój obowiązek.

– Ja zaś jestem jego sekretarzem i moim obowiązkiem jest dbać o przetrwanie Towarzystwa, kiedy przewodniczy mu głupiec.

– Lepszy głupiec w Londynie niż piroman w Cambridge. Wybacz mi, że zastanawiam się, co tam zaszło.

– Ponieważ ostatnio udajesz katolika, poproś o rozgrzeszenie któregoś z tych waszych francuskich kapłanów, nie mnie.

– Twoja obłuda upodabnia cię do człowieka prawego, który potajemnie dopuścił się jakiegoś paskudnego występku. Nie twierdzę, Danielu, że masz jakieś mroczne sekrety; mówię tylko, że tak się właśnie zachowujesz.

– Czy ta rozmowa ma inny cel niż wzbudzenie we mnie żądz mordy?

– Chcę się tylko dowiedzieć, co robi Newton, do ciężkiej cholery!

– Czemu zatem zadreżasz mnie pytaniami o rok siedemdziesiąty siódmy?



Roger wzruszył ramionami.

– Nie chcesz mówić o terażniejszości, więc pomyślałem, że spróbuję cię podpytać o przeszłość.

– Skąd to nagle zainteresowanie Isaakiem?

– Z powodu *De Motu Corporum in Gyrum*. Halley twierdzi, że to epokowe dzieło.

– Bez wątpienia.

– Powiedział również, że to zaledwie szkic większej całości, która w tej chwili bez reszty pochłania Newtona.

– Cieszę się, że Halley znalazł wytłumaczenie kształtu orbity swojej komety. Jeszcze większą radość sprawia mi fakt, że przejął opiekę nad Newtonem. Ale czego ty ode mnie chcesz?

– Światło komety oślepia Halleya – prychnął Roger. – Skoro Newton postanowił rozgryźć tajniki grawitacji i ruchu planet, Halley nie wnika w przyczyny jego zainteresowań. Jako astronom jest w siódmym niebie! A biorąc pod uwagę, że Flamsteed zaniża średnią, szczęśliwców wśród astronomów nigdy za wiele.

W roku pańskim tysiąc sześćset siedemdziesiątym czwartym sieur de St. Pierre (francuski dworzanin; bliższe szczegóły nie są tu istotne) uczestniczył właśnie we wspaniałej kolacji na królewskim dworze, gdy ponad krawędzią kielicha zamajaczył mu falujący biust Louise de Kéroualle. I tak jak większość tych, którzy znaleźli się w jej towarzystwie, sieur poczuł przemożną, aczkolwiek niewytłumaczalną chęć zaimponowania jej w jakiś sposób. Wiedząc, że na dworze Karola II panuje moda na filozofię naturalną, zastosował następujący fortel. Stwierdził, że problem określenia długości geograficznej wybranego miejsca można rozwiązać poprzez wykreślenie trajektorii księżyca na tle gwiazd i posłużenie się firmamentem w charakterze olbrzymiego zegara. Podczas poświęconych naturalizmowi łóżkowych pogaduszek Kéroualle powiedziała o tym Karolowi, on zaś zlecił rozstrzygnięcie tej kwestii czterem wybranym członkom Towarzystwa Królewskiego (byli to książę Gunfleet, Roger Comstock, Robert Hooke oraz Christopher Wren). Oni zaś zwrócili się z tym pytaniem do niejakiego Johna Flamsteeda. Flamsteed, rówieśnik Daniela, był zbyt chorowity, by uczęszczać do szkół, został więc astronomem-samoukiem. W wieku młodzieńczym stan jego zdrowia poprawił się na tyle, że Flamsteed mógł uczęszczać na zajęcia w Cambridge; nauczył się tam wszystkiego, co tylko wykładano – choć w owym okresie nie było tego wiele. Kiedy wyżej wzmiankowani czterej członkowie Towarzystwa przedstawili mu królewskie pytanie, kończył właśnie studia i rozglądał się za jakąś pracą. Odpisał więc przebiegle, że pomysł sieur de St. Pierre'a, choć teoretycznie wykonalny, jest całkowicie niemożliwy do zrealizowania z braku rzetelnych danych astronomicznych, te zaś można zgromadzić wyłącznie w drodze długiego i kosztownego programu badawczego. Był to pierwszy i ostatni polityczny podstęp Flamsteeda. Karol II bezzwłocznie mianował go królewskim astronomem i ufundował Królewskie Obserwatorium Astronomiczne.

Z początku – przez pierwsze kilka lat – apartamenty Flamsteeda mieściły się w londyńskiej Tower, na ostatnim piętrze iglicy Białej Wieży. Stamtąd prowadził pierwsze obserwacje, czekając, aż na skrawku królewskich nieużytków w Greenwich powstanie prawdziwy ośrodek badawczy.

Henryk VIII, nieusatisfakcjonowany posiadaniem sześciu małżonek, utrzymywał ogromną liczbę kochanek, przechowując je – w chwilach, kiedy nie były mu potrzebne – w ustronnym pawilonie na pagórku wznoszącym się nad pałacem Greenwich. Następcy Henryka nie podzielali jego apetytów i królewski burdelik popadł w ruinę. Ostały się jednak solidne fundamenty, na których Wren i Hooke pospiesznie i za małe pieniądze zbudowali kilka komnat, służących za postument olbrzymiego, ośmiokątnego graniastosłupa z niesymetrycznym dwuspadowym dachem. Jego zwieńczeniem była nieduża wieżyczka, nawiązująca kształtem do normańskich baszt Tower. W apartamentach miał zamieszkać Flamsteed. Stojący na nich ośmiokąt powstał głównie po to, żeby próżniacy z Towarzystwa Królewskiego mieli gdzie się zbierać i z uczonymi minami zaglądać w teleskopy. Ponieważ jednak budynek posadowiono na fundamentach miłosnego gniazdka Henryka VIII, był niewłaściwie ustawiony i dla dokonywania użytecznych obserwacji konieczne stało się wymurowanie w ogrodzie, na tyłach domu, samotnego kawałka ściany z wapiennych bloków, biegnącej z północy na południe. Ścianę tę osłonięto czymś na kształt szalasu bez dachu. Hooke zawiesił na niej dwa zaopatrzone w celowniki kwadranty swojego pomysłu – jeden skierowany na południe, drugi na północ. Życie Flamsteeda wyglądało od tej pory następująco: przesypiał cały dzień, a w nocy wychodził z domu, opierał się o mur w ogrodzie i przez celowniki wpatrywał się w wędrujące po niebie gwiazdy, notując ich położenie. Co kilka lat rutynę urozmaicało mu pojawienie się komety.

– Co robił Newton w zeszłym roku, Danielu?

– Moi informatorzy twierdzą, że usiłował wyznaczyć dokładną datę i godzinę Apokalipsy, posiłkując się strzępkami wiedzy tajemnej zawartymi w Biblii.

– Musimy korzystać z tych samych informatorów. – Roger z aprobatą pokiwał głową. – Ile im płacisz?

– W zamian za informacje mówię im różne rzeczy. To się nazywa „rozmowa” i dla niektórych jest wystarczającą zapłatą.

– Z pewnością, Danielu. Jakiś czas temu Halley przyszedł do Newtona i zapytał: „Posłuchaj no, staruszk, co ty wiesz o kometach?”. I Newton cisnął Apokalipsę w kąt, zajął się Euklidesem i po paru miesiącach wydał *De Motu*...

– Większość tego materiału opracował już w siedemdziesiątym dziewiątym, w okresie ostatniej rywalizacji z Hookiem. Ale potem gdzieś zapodział wyniki i musiał wszystko liczyć od nowa.

– Doktorze Waterhouse, co łączy alchemię, Apokalipsę i eliptyczne orbity ciał niebieskich? Poza faktem, że Newton ma obsesję na punkcie wszystkich trzech.

Daniel nie odpowiedział.

– Coś? Nic? Wszystko? – Roger uderzył otwartą dłońią w stół. – Czy Newton jest kulą bilardową, czy kometą?

– Słucham?

Roger zacmokał z dezaprobatą.

– Chodź ze mną – powiedział i nieoczekiwanie zerwał się z miejsca.

Jednakże, zamiast najpierw wstać, a potem ruszyć, nasunął perukę na czoło, uniósł się z krzesła i natarł na tłum niczym szarżujący byk. Mimo pokaźnej tuszy, średniego wieku, podagry i wypitego alkoholu przemierzał zatłoczone wnętrza kawiarni z taką szybkością, że Daniel nie miał szans za nim nadążyć. Kiedy mignął mu następnym razem, przepychał się właśnie obok jakiegoś fircyka. Fircyk trzymał w rękach drewniany przyrząd, nieco podobny do szufelki z długą rączką, i celował nim w pomalowaną, drewnianą kulę, spoczywającą na firmamencie z zielonego rypsu.

– Patrz! – wykrzyknął triumfalnie Roger.

Pchnął kulę, która potoczyła się, zderzyła z drugą taką samą i znieruchomiła. Druga kula poturlała się dalej. Kiedy fircyk zacisnął mocniej dłonie na przyrządzie, szykując się do połamania go na głowie Rogera, Roger odwrócił się plecami do stołu i spojrzał na niego. Fircyk wypuścił kij z rąk.

– Piękne uderzenie, mój panie – wyjąkał. – Aczkolwiek nie do końca zgodne z duchem i literą reguł gry...

– Jestem naturalistą i kieruję się danymi od Boga regułami rządzącymi wszechświatem, a nie wziętymi z sufitu przepisami waszej nedorzecznej zabawy! – zadudnił basem Roger. – Bila przekazuje swą *vis viva* drugiej bili, ilość ruchu pozostaje stała, porządek nie zostaje zakłócony. – Otworzył dłoń, w której, jak się okazało, trzymał zgarniętą ze stołu trzecią bilę. – Mógłbym ją również rzucić, o tak... – Tu zrobił to co zapowiedział. – Zakreśli wtedy w powietrzu galilejską trajektorię. Parabolę. – Bila wpadła prosto do kufła z gorącą czekoladą stojącego na stole w drugim końcu sali. Właściciel kufła wykazał się błyskawicznym refleksem i uniósł naczynie w toaście za zdrowie Rogera. – Ale komety nie są posłuszne żadnym prawom. Przybywają Bóg wie skąd, w najbardziej niespodziewanych momentach, i przemierzają kosmos po niepojętych trajektoriach. Dlatego pytam, Danielu: czy Newton jest kometą? Czy też, jak kula bilardowa, podąża po jakiejś racjonalnej trajektorii, której z powodu swojego ograniczenia nie jestem w stanie ogarnąć rozumem?

– Teraz już rozumiem twoje pytanie – przyznał Daniel. – Dawniej astronomowie próbowali tłumaczyć pozorny wsteczny ruch planet wizją niebiańskiego drzewa, na którego pniu, jak na osi, osadzone były kryształowe sfery. Teraz wiemy już, że planety poruszają się po wydłużonych elipsach, a ich ruch w kierunku przeciwnym do ruchu Ziemi jest tylko złudzeniem wywołanym przez fakt, że prowadząc nasze pomiary, znajdujemy się na ruchomej platformie obserwacyjnej.

– Czyli na Ziemi.

– Gdybyśmy mogli przyjrzeć się planetom z jakiegoś nieruchomego układu odniesienia, nie zaobserwowalibyśmy ruchu wstecznego. Ty, Rogerze, obserwując złożoną trajektorię Newtona, który jednego roku wynajduje coraz to nowe sposoby otrzymania ręki filozoficznej, a rok później pracuje bez wytchnienia nad krzywymi stożkowymi, usiłujesz zrozumieć, czy istnieje jakiś układ odniesienia, w którym wszystkie ruchy Isaaca miałyby jakiś sens.

– Jakbym słyszał samego Newtona – powiedział Roger.

– Jesteś ciekaw, czy jego ostatnie prace z dziedziny grawitacji to zmiana tematu rozważań, czy tylko zmiana punktu widzenia, nowe spojrzenie na stary, dobrze znany temat.

– Teraz znów mówisz jak Leibniz.

– Nie bez powodu. Newton i Leibniz pracują nad tym samym zagadnieniem, i to co najmniej od roku tysiąc sześćset siedemdziesiątego siódmego. Kartezjusz nie dał mu rady. Problem sprowadza się do tego, czy zderzenia bil można opisać za pomocą samej arytmetyki i geometrii, czy jednak należałoby porzucić królestwo czystej myśli i zagłębić się w świat empirii i/lub metafizyki.

– Zamknij się. Właśnie walczę z potwornym bólem głowy i nie chcę słyszeć o metafizyce. – Słowa Rogera brzmiałyby bardziej przekonująco, gdyby nie zerkał jednym okiem ponad ramieniem Daniela.

Daniel odwrócił się i stanął twarzą w twarz z...

– Pan Hooke! – zawołał Roger.

– Witaj, mój panie.

– Nauczył pan tego oto młodego człowieka konstruować termometry?

– Owszem, mój panie.

– Właśnie mu tłumaczyłem, że chciałbym, aby pojechał do Cambridge i dokonał tam pomiarów temperatury.

– W całym kraju panują upały, mój panie – odparł z powagą Hooke. – Zwłaszcza na jego wschodnim limbusie.

– Słyszałem, że ciepło sięga również coraz dalej na zachód. Oto pretekst. – Markiz Ravenscar wcisnął Danielowi do prawej tylnej kieszeni zwitek papierów. – A to coś, nad czym będziesz mógł pomyśleć po drodze. Prosto z Lipska. – Do lewej kieszeni włożył mu coś znacznie cięższego. – Dobranoc panom.

– Przejdźmy się po Londynie – zaproponował Hooke.

Nie musiał dodawać: „W którym większość ulic wytoczyłem osobiście”.

\* \* \*

– Ravenscar nienawidził swojego kuzyna, Johna Comstocka, doprowadził go do ruiny, wykupił jego pałac i kazał zburzyć – powiedział Hooke, jakby zapędzono go w kozi róg i zmuszono do potwierdzenia tych faktów. – Ale też czegoś się od niego nauczył! Dlaczego John Comstock udzielił poparcia świeżo powstałemu Towarzystwu Królewskiemu? Czyżby interesował się filozofią naturalną? Możliwe. A może Wilkins go do tego przekonał? Po części na pewno. Z pewnością jednak zauważyłeś, że w tamtych czasach większość naszych eksperymentów...

– Wiązała się z użyciem prochu strzelniczego. To oczywiste.

– Roger Comstock nie ma fabryki prochu, ale jego zainteresowanie pracami Towarzystwa ma równie pragmatyczne podłoże. Nie daj się zwieść. Dziś w naszym kraju rządzą Francuzi i papiści. Pytanie brzmi: czy rządzą także Newtonem?

Daniel milczał. Po latach sporów na temat grawitacji, pod wpływem wizyty Halleya Newton wznosił się wysoko poza zasięg Hooke'a.

– Rozumiem... – odrzekł w końcu Daniel. – Cóż, i tak muszę udać się na północ, żeby odegrać rolę purytańskiego Mojżesza.

– W takim razie warto byłoby zajrzeć do Cambridge, by...

– By oczyścić nazwisko Newtona z oszczerstw i fałszywych oskarżeń, których nie szczedzą mu zazdrośni rywale.

– By uwolnić Newtona od towarzystwa zagranicznych zauszników przegranego króla – odparł Hooke. – To raczej miałem na myśli. Dobranoc, Danielu.

Szurając nogami, Hooke postąpił kilka kroków i zniknął w cuchnącej siarką mgłę.

„W całym kraju panują upały... Zwłaszcza na wschodnim limbusie”. Hooke mógł miotać nieprzemyślane oskarżenia, ale nie rzucał słów na wiatr. Kiedy ludzie, którzy mieli zwyczaj oglądać niebo przez teleskopy, mówili o „limbusie”, mieli na myśli skraj tarczy ciała niebieskiego, na przykład oświetlony z boku rąbek księżycowego dysku. Przed wyruszeniem następnego dnia na północny wschód Daniel zerknął na mapę Essexu, Suffolku oraz Norfolku i stwierdził, że tworzą półkolisty limbus, wciśnięty między Tamizę na południu i zatokę Wash na północy, i wyrzuszający się pomiędzy nimi w głąb Morza Północnego. Blask mocnej latarni zapalanej na wysokości Hagi rozjaśniłby cały ten odcinek wybrzeża, podświetlając go niczym półksiężyc – alchemiczny symbol srebra. Srebro było pierwiastkiem Księżyca, komplementarnym i zarazem przeciwstawnym wobec złota, pierwiastka słonecznego. W czasach, kiedy Król Słońce zalewał Anglię złotem, istnienie srebrnego księżycowego rąbka na północ od Londynu mogło mieć swoją wagę. Roger nie miał cierpliwości do alchemicznych domysłów i przesądów, ale na polityce znał się jak mało kto.

Ipswich i Haga leżą na tym samym – pięćdziesiątym drugim – równoleżniku, toteż byle półgłówek wyposażony w kwadrant i efemerydy mógł przepłynąć z jednego miasta do drugiego i z powrotem. Daniel dobrze znał tę okolicę; Morze Północne wrzynało się w wybrzeże Suffolku takim mnóstwem macek słonej wody, że kiedy o świcie patrzyło się na

wschód, ziemia wyglądała jak pocięta strugami światła. Nie sposób było przejechać wzdłuż wybrzeża, tak więc droga z Londynu biegła od dziesięciu do dwudziestu mil od brzegu, w przybliżeniu prostą linią łącząc Chelmsford z Colchesterem i dalej z Ipswich. Cały obszar leżący na prawo od niej – czyli między nią i morzem – był całkowicie bezużyteczny z punktu widzenia króla lub innego potencjalnego władcy; stanowił długi pas mokradeł porznięty ujściami rzek i rzeczek, nieprzejezdny dla koni i łodzi, i łatwiej dostępny z Holandii niż z Londynu. Dało się tam mieszkać (choć lepiej było tego nie robić), ale podróżowanie rzadko bywało warte zachodu. Ciało fizyczne nie będą się przemieszczać w ośrodku, który stawia im opór, o ile nie napędza ich jakaś potężna siła, dlatego też jedynymi podróżnymi byli przemysłowcy, przyciągani nadzieją zysków i odpychani autorytetem prawa, w jedną stronę – z Anglii do Holandii – przewożący surowce, w drugą zaś – gotowe wyroby. Za młodu Daniel, podobnie jak wcześniej jego bracia, Sterling, Oliver i Raleigh, spędzał w tej okolicy sporo czasu, ładując i rozładowując płaskodenne holenderskie łodzie, ukryte pod opadającymi gałęziami wierzb płaczących przy brzegach rzeczułek.

Podczas pierwszego etapu podróży czuł się tak, jakby wraz z kilkoma innymi osobami zamknięto go w trumnie, zniesiono do kopalni i oddano w ręce tragarzy cierpiących na epilepsję. Na szczęście w Chelmsford część pasażerów wysiadła, a dalej droga była na tyle równa, że Daniel mógł się pokusić o próbę przeczytania otrzymanego od Rogera dokumentu. Był to egzemplarz *Acta Eruditorum*, uczonego szmatławca wydawanego przez Leibniza w jego rodzinnym Lipsku.

Leibniz (który od tysiąc sześćset siedemdziesiątego siódmego roku mieszkał w Hanowerze) od dłuższego już czasu próbował założyć organizację zrzeszającą bystrych Niemców. Bystry Brytyjczycy postrzegali jego starania jako nieudolne przymiarki do skopiowania Towarzystwa Królewskiego, a bystry Francuzi – jako budzącą politowanie próbę złapania w nędzne, zmatowiałe zwierciadło odprysków intelektualnego blasku, jakim emanował tętniący naukową aktywnością Paryż. Daniel przyznawał wprawdzie jednym i drugim nieco racji, ale czynił to bez specjalnego zapału, ponieważ podejrzewał, że Leibnizem kierują zupełnie inne motywy – on po prostu uznał, że to będzie dobry pomysł. W każdym razie *Acta Eruditorum* były odpowiedzią Leibniza (a zatem także i Niemiec) na *Journal des Savants* i miały ambicję przekazywać najświeższe i najlepsze idee wywodzące się z Niemiec – czyli te, które akurat zaprzętały umysł Leibniza.

Ten konkretny egzemplarz pochodził sprzed kilku miesięcy i zawierał napisany przez Leibniza artykuł poświęcony matematyce. Kartkując go, Daniel od razu zwrócił uwagę na znajomą terminologię, z którą nie stykał się już od dobrych ośmiu lat...

– A niech mnie kule biją! – mruknął. – Udało mu się!

– Co się udało?! – zapytał Exaltation Gather, który siedział naprzeciwko Daniela i ścisnął w ramionach skrzynkę pełną pieniędzy.

– Opublikować rachunek różniczkowy!

– A cóż to takiego jest, bracie Danielu?

Góra monet w skrzyni Gathera pobrzękiwała cicho, kiedy powóz kołysał się na resorach – jednym z tych drażniąco dobrych francuskich wynalazków.

– Nowa matematyka, oparta na analizie wielkości, które są infimezymalne, czyli nieskończenie małe.

– Brzmi to bardzo metafizycznie – stwierdził wielebny Gather.

Daniel spojrział na niego z ukosa. Nie było chyba na świecie człowieka mniej metafizycznego niż wielebny. Daniel dorastał wśród ludzi takich jak Gather i nawet przez krótki czas naprawdę uważał ich wygląd za całkiem normalny, ale po latach spędzonych w londyńskich kawiarniach, teatrach i pałacach jego gust niepostrzeżenie się zmienił. Teraz za każdym razem, gdy widział członka jakiejś purytańskiej sekty, coś mu się skręcało w żołądku. Nawiasem mówiąc, purytanie właśnie taki efekt chcieli wywołać. Gdyby wielebny Gather miał na imię Exultation, jego strój byłby zgoła nie na miejscu. Ponieważ jednak na chrzcie dano mu Exaltation<sup>9</sup>, wszystko było w porządku. Tacy jak on traktowali wychwalanie ze śmiertelną powagą.

Danielowi udało się w końcu przekonać Jakuba II, że królewskie zapewnienia o wsparciu dla dysydentów wszelkiej maści będą znacznie bardziej wiarygodne, jeśli zdejmie czaszkę Cromwella z piki, na której przetrwała całe trwające ćwierć wieku panowanie Karola II, i złoży ją do grobu, w którym spoczywa reszta ciała. Danielowi – i wielu innym – trudno było nie zauważać czaszki na tyczce, toteż ich zdaniem prośba o jej usunięcie była całkowicie zrozumiała. Natomiast Jego Wysokość i dworzanie przyjęli to żądanie z niedowierzaniem, gdyż na śmierć zapomnieli o jej istnieniu. Stała się elementem londyńskiego krajobrazu, tak jak ptasie gówienko na parapecie, którego się po prostu nie zauważa. Prośba Daniela, stosowny edykt królewski oraz późniejsze ściągnięcie i ponowne pochowanie czaszki zwróciły na nią powszechną uwagę. Uwaga zaś oznaczała – przynajmniej na dworze – mnogość złośliwych żartów. Przyjęło się więc nazywać wędrownych protestanckich kaznodziejów „Oliverami”, ponieważ nie nosili peruk, byli chudzi i nędznie odziani, co w pewnej mierze upodabniało ich do nabitych na tyczki głów. Exaltation Gather do tego stopnia przypominał czaszkę na patyku, że Daniel miał ogromną ochotę przewrócić go i przysypać ziemią.

– Newton pewnie by się z tobą zgodził – powiedział. – A w każdym razie boi się, że jezuita mogliby go o to oskarżyć, co na jedno wychodzi.

– Nie trzeba być jezuitą, by sceptycznie podchodzić do próżnych imaginacji... – zaczął zirytowany Gather.

– Ale coś w tym musi być. Spójrz przez okno, w tamtą stronę. Strumyki pocięły bagno na niezliczone mrowie małych poletek; jedno z nich są naturalnego pochodzenia, inne wytyczyli

---

<sup>9</sup> Exaltation (ang.) - w tym wypadku: sławienie, wychwalanie; exultation (ang.) - radosne uniesienie, euforia (przyp. tłum.).

przedsiębiorczy farmerzy. Każdy prostokąt ziemi można podzielić na dwa mniejsze: wystarczy przeciągnąć patykami po błocie, a woda zaraz wypełni powstały w ten sposób rowek, tak jak eter wypełnia pustkę między cząstkami materii. Czy to już metafizyka?

– Skądże znowu, to doskonałe porównanie: konkretne, namacalne, praktyczne, jakby żywcem wyjęte z Biblii Genewskiej. Czyżbyś ją niedawno przeglądał?

– A jeżeli będziemy kontynuować to dzielenie, to co? Nic się nie zmieni? Czy też w pewnym momencie coś się stanie, osiągniemy stan, w którym dalsze podziały będą niemożliwe i w grę wejdą fundamentalne właściwości Stworzenia?

– No... Nie mam pojęcia, bracie Danielu.

– Czy fakt, że w ogóle rozważamy tę kwestię, świadczy o naszej próżności? Czy też może Bóg nie bez powodu obdarzył nas rozumem?

– Nie ma religii, poza może judaizmem, która z większym entuzjazmem niż nasza podchodziłaby do sprawy wykształcenia – odparł wielebny Gather. – Tak więc twoje pytanie można uznać za retoryczne. Musimy jednak rozważać te... eee... infinitezymalne wielkości bardzo rygorystycznie, umysłem czystym, wolnym od pogańskiego bałwochwalstwa, francuskiej próżności i papistowskiego zaślepienia.

– Leibniz też tak uważa. Wynik zastosowania się do twoich zaleceń w królestwie matematyki mam właśnie przed sobą. – Daniel poklepał rozłożony na kolanach artykuł. – Nazywamy go rachunkiem różniczkowym.

– Czy brat Isaac podziela tę opinię?

– Podzielał ją dwadzieścia lat temu, kiedy to wszystko wymyślił. Jak jest teraz, nie wiem.

– Od jednego z naszych braci w Cambridge słyszałem, że zachowanie brata Isaaca w kościele stawia jego wiarę pod znakiem zapytania.

– Bracie Exaltation – przerwał ostrym tonem Daniel. – Może zanim zaczniesz rozpowszechniać plotki, które mogą spowodować wtrącenie Isaaca Newtona do więzienia, spróbujemy wyciągnąć stamtąd paru naszych braci?

\* \* \*

Portowe Ipswich od wieków żyło z handlu tkaninami, ale dla branży tekstylnej nastąpiły ciężkie czasy, a to na skutek nałożenia się dwóch zabójczych czynników: dostępu do tanich materiałów indyjskich i łatwości ich transportu do Europy na pokładzie holenderskich statków. Było wzorowym prastarym angielskim miasteczkiem, ulokowanym nad rozszerzającym się ujściem Orwell, w miejscu tak idealnie nadającym się do zamieszkania, że dosłownie każdy, od jaskiniowca do Kawalera, chętnie by się tu osiedlił. Daniel przypuszczał, że pierwszą budowlą w okolicy było więzienie, które musiało liczyć jakieś pięć do sześciu tysięcy lat, i że tydzień, najdalej dwa po jego wybudowaniu wprowadziły się do miasta szczury. Ipswich było stolicą hrabstwa, toteż kiedy Karol II pod wpływem kaprysu



postanowił wprowadzić w życie Kodeks Karny, kazał aresztować najważniejszych kwaków, barkerów, ranterów, kongregacjonalistów i prezbiterian, a także nielicznych żydów, i osadzić ich właśnie tutaj. Mogli zostać uwolnieni już przed miesiącem, lecz nowy król nalegał, żeby Daniel, jako jego przedstawiciel, zajął się tą sprawą osobiście.

Powóz zajechał pod więzienie. Exaltation Gather nie ruszył się z miejsca, nerwowo ściskając skrzynkę z pieniędzmi, Daniel zaś wysiadł i śmiertelnie przestraszył dozorcę, wymachując mu przed nosem dokumentem wielkim jak obrus, opatrzonym w dodatku woskową pieczęcią wielkości ludzkiego serca. Wszedł do środka, przerwał osadzonym modlitwę i wygłosił przemowę, którą ćwiczył już w półtuzinie innych więzień – nędzną, wyżętą jak szmata perorę, tak banalną i pozbawioną wagi, że właściwie nie wiedział już, czy przekazuje w niej choć odrobinę treści, czy po prostu bełkoce. Zaskoczenie i podejrzliwość, malujące się na twarzach uwięzionych purytanów, dowodziły, że oni wyłowili z niej jakiś sens, chociaż Daniel nie miał zielonego pojęcia jaki. Dopiero znacznie później dowiedział się, jak interpretowano jego słowa.

Więźniów należało wypuszczać pojedynczo. Każdy musiał zapłacić za posiłki i pokryć inne poniesione na niego wydatki, a niektórzy spędzili w celach po kilka lat. Stąd właśnie wziął się Exaltation Gather i jego skrzynka z pieniędzmi. Gest króla zdałby się psu na budę, gdyby uwolnieni dysydenci z miejsca trafiali do więzienia za długi nagromadzone podczas odsiadki niesprawiedliwych i niechrześcijańskich wyroków, toteż król (za pośrednictwem Daniela) zarządził specjalną zbiórkę pieniędzy w kościołach, które współczuły osadzonym, oraz (co miało być absolutną tajemnicą) z własnej kasy wsparł wysiłki wiernych, aby cała operacja się powiodła. W praktyce oznaczało to, że londyńscy dysydenci i angielski król wykorzystali skrzynkę wielebnego Gathera w charakterze śmietniczki na swoje najstarsze, najczarniejsze, najlżejsze, najbezpieczniej sfalszowane, najmocniej oberżnięte, najbardziej wytarte i spiłowane monety. Prawdziwa wartość tych przedmiotów stała się tematem żaźartej dyskusji między dozorcą więzienia w Ipswich oraz wielebnym Gatherem i tymi spośród uwalnianych purytanów, którzy (a) w kwestiach finansowych byli szczególnie nieprzejednani i (b) uwielbiali słowne potyczki – czyli wszystkimi, co do jednego.

Daniel wycofał się dyskretnie na dziedziniec kościoła, skąd rozpościerał się widok na port. Szum i chlupot fal częściowo zagłuszały odgłosy sprzeczki. Kolejni purytanie znajdowali go tam i ustawiali się w kolejce, aby podzielić się z nim swoimi przemyśleniami. Trwało to prawie cały dzień. Wśród rozmówców Daniela znalazł się również niejaki Edmund Palling, który podszedł i podał mu rękę na powitanie.

Edmund Palling był zawsze stary, a przynajmniej zawsze sprawiał takie wrażenie. Trzeba przyznać, że radykalna strategia golenia całej czaszki utrudniała odgadnięcie jego wieku, ale wydawał się Danielowi stary już w czasie wojny domowej. Później jako stary człowiek szedł w orszaku żałobnym na pogrzebie Cromwella, a jako stary kupiec bywał na targu w

Stourbridge, handlując tym i owym, i składając niezapowiedziane wizyty mieszkającemu w Cambridge Danielowi. Stary Palling wziął również udział w nabożeństwie żałobnym po śmierci Drake'a, a kiedy Daniel na dobre osiadł w Londynie, od czasu do czasu spotykał go na ulicy.

Teraz zaś Edmund Palling stanął przed nim w Ipswich.

– Powiedz mi, Danielu, czy to głupota, czy obłąd? – zapytał. – Znasz przecież króla.

Edmund Palling był człowiekiem rozsądnym; prawdę powiedziawszy, był jednym z tych Anglików, którzy w swym rozsądku posuwali się aż do głupoty. Przecież pierwszy lepszy sfrancuziały dworzanin powiedziałby mu, że twierdzenie, jakoby wszystko na tym świecie miało sens, było z gruntu rzeczy fałszywe, a upieranie się przy nim nierozsądne.

– Głupota – odparł Daniel.

Do tej pory był w każdym calu człowiekiem króla, ale przed kimś takim jak Palling nie mógł dłużej udawać. Przy nim czuł się tak, jakby się cofnął o czterdzieści lat, do czasów, gdy każdy Anglik mający odrobinę oleju w głowie mógł otwarcie głosić oczywistą dla wszystkich, lecz wcześniej starannie przemilczaną prawdę, że monarchia to w istocie kupa gówna. Fakt, że później nastąpiła restauracja, a Europą nadal rządzą wielcy królowie, był w tym wypadku bez znaczenia. Daniel czuł się wśród wyzwolonych protestantów bezpiecznie jak w domu, co mogło poniekąd niepokoić, skoro był bliskim doradcą Jakuba II. Zamiast bronić Jakuba (czy innych monarchów) w rozmowie z Edmundem Pallingiem, mógłby z równym powodzeniem wybrać się na spotkanie Towarzystwa Królewskiego i upierać się przy tym, że Słońce krąży wokół Ziemi.

Zafascynowany Palling pokiwał z namysłem głową.

– Niektórzy zarzucają mu chorobę umysłową, no wiesz... przez syfilis.

– Zgoła niesłusznie.

– Niemożliwe! Wszyscy są święcie przekonani, że król ma kiłę.

– Bo ma. Ale ponieważ całkiem nieźle znam Jego Wysokość, panie Palling, twierdząc, jako sekretarz Towarzystwa Królewskiego, że kiedy król... no...

– Podejmuje zdumiewająco niedorzeczne decyzje?

– W rzeczy samej, panie Palling, niektórzy tak właśnie by to ujęli...

– Na przykład, wypuszczając nas z więzień, liczy na to, że nie dostrzeżemy w tym cynicznej manipulacji z jego strony i zbiegniemy się pod jego sztandary, tak jakby naprawdę popierał wolność wyznania?

– Nie ustosunkuję się wprost do pańskich słów, panie Palling, ale radzę, by w poszukiwaniu wyjaśnienia skierował pan swą uwagę raczej ku pospolitej głupocie. Nie chodzi o to, że całkowicie neguję możliwość napadów syfilitycznego szału...

– Jaka to wobec tego różnica? A może jest to rozróżnienie bez żadnego praktycznego znaczenia?

– To – Daniel wskazał ręką więzienie w Ipswich – jest głupota. Obłąd wywołany kiłą doprowadziłby do zupełnie innych wydarzeń: przypadkowych spazmów przemocy, masowych uwięzień, egzekucji.

Palling pokręcił głową i zapatrzył się na morze.

– Pewnego dnia, a dzień ten nadejdzie wkrótce, zza tego oto morza wszędzie słońce, które rozproszy mgłę głupoty i opary syfilitycznego obłądu.

– To bardzo poetyckie porównanie, panie Palling, ale ja poznałem księcia Monmouth osobiście, mieszkałem z nim w jednym pokoju i bywałem przez niego obrzygiwany. Muszę panu powiedzieć, że Monmouthowi daleko do Karola II, nie wspominając już o Oliverze Cromwellu.

Palling wznosił oczy ku niebu.

– No cóż... Jeżeli Monmouth zawiedzie, pierwszym statkiem popłynę do Massachusetts.

\* \* \*

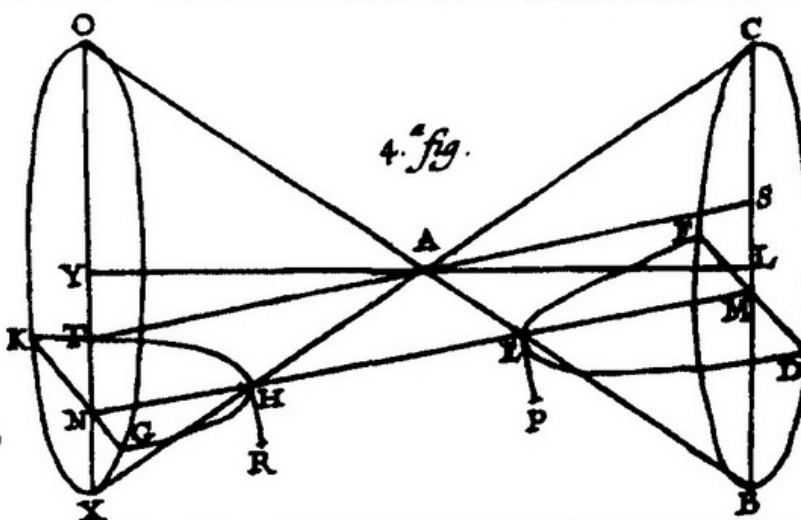
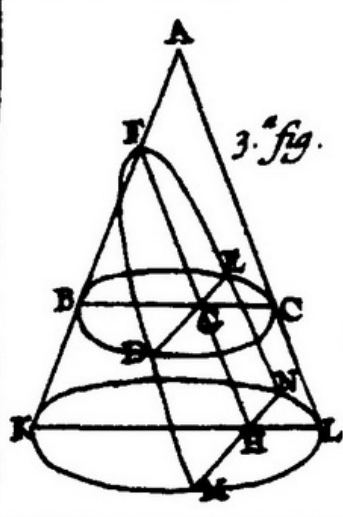
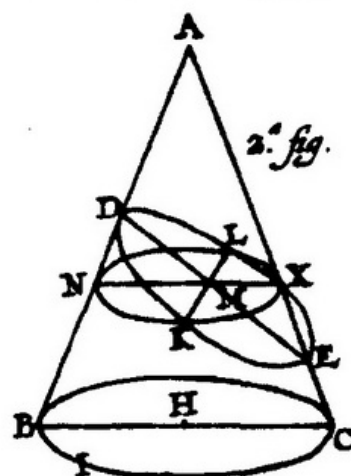
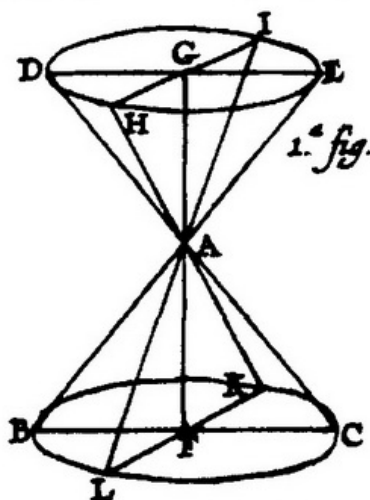
Wyobraźmy sobie dwie przecinające się proste. Kiedy obrócimy jedną wokół drugiej, zakreśli w przestrzeni stożek. Przebijmy tym stożkiem płaszczyznę (rys. 1) i zaznaczmy na niej wszystkie punkty przebicia. Najczęściej w wyniku takiego przecięcia otrzymuje się elipsę (rys. 2). Jednakże jeśli płaszczyzna będzie równoległa do powierzchni stożka, z przecięcia otrzymamy parabolę (rys. 3), a jeżeli będzie równoległa do osi stożka, wynikiem będzie składająca się z dwóch części krzywa zwana hiperbolą (rys. 4).

Ciekawą cechą charakterystyczną wszystkich tych trzech krzywych – elipsy, paraboli i hiperboli – jest fakt, że zostały wygenerowane za pomocą obiektów niezakrzywionych: dwóch linii prostych i płaszczyzny. Hiperbola ma jeszcze jedną interesującą właściwość: w pobliżu środka jest ostro zakrzywiona, natomiast im bardziej się od tego środka oddalamy, tym bardziej jej ramiona upodabniają się do prostych.

Grecy, wśród nich Euklides, zajmujący się takimi zagadnieniami dawno temu, odkryli wiele innych – mniej lub bardziej interesujących – własności krzywych stożkowych (bo tak nazywa się tę rodzinę krzywych), jak również innych obiektów geometrycznych, na przykład kół czy trójkątów. Jednakże ich znajomość geometrii wynikała z zainteresowania czystą myślą i przypominała działania arytmetyka, wyliczającego sumę dwóch liczb. Każde geometryczne twierdzenie Greków wypływało z łańcucha logicznych dowodów, który można było prześledzić wstecz i sprowadzić do kilku oczywistych aksjomatów, takich jak na przykład stwierdzenie „najkrótszą drogą łączącą dwa punkty jest linia prosta”. Prawdy geometryczne były prawdami *koniecznymi*. Ludzki umysł mógł sobie wyobrazić wszechświat, w którym Daniel miałby na imię David, a Ipswich zbudowano by na drugim brzegu Orwell, ale geometria i arytmetyka nie dopuszczały takiego zabiegu. Nie mógł istnieć wszechświat, w którym dwa plus trzy równałoby się dwa plus dwa.

# LIBRI I. CONICORVM APOLLONII

FIGVRÆ  
PRIMARVM  
XVI. PROPO:  
SITIONVM  
LIBRI I. CO:  
NICORVM  
APOLLONII  
PERGÆI.



Czasem dawało się dostrzec związek między fizycznymi obiektami w świecie rzeczywistym i tworamii czystej matematyki. Na przykład droga, którą przebył Daniel, jadąc z Londynu do Ipswich, była niemal idealną linią prostą, ale po tym, jak dopilnował uwolnienia wszystkich dysydentów, gwałtownie zmienił kierunek ruchu i następnego ranka wyruszył na pożyczonym koniu do Cambridge. Od tej pory, im bardziej oddalał się od Ipswich, tym bardziej jego trajektoria – z początku zakrzywiona – przypominała prostą. Inaczej mówiąc, Daniel zakreślał na terenie Essexu, Suffolku i Cambridgeshire coś na kształt hiperboli.

Nie wybrał jednak takiej drogi dlatego, że przypominała hiperbolę, a jego szlak (jeśli spojrzeć na to z innego punktu widzenia) wyglądał jak hiperbola nie dlatego, że Daniel tego chciał. Po prostu jechał traktem, którym od wieków przemieszczali się kupcy w drodze z targu na targ, wyjechawszy z Ipswich z wozem pełnym przeschmuglowanych towarów. Daniel równie dobrze mógłby jechać zygakiem; o tym, że jego trajektoria rzucona na mapę Anglii wyglądała jak hiperbola, decydował przypadek. Była to prawda *warunkowa*.

Która *nic* nie znaczyła.

W kieszeni miał notatki, które jego patron, dobry markiz Ravenscar, wcisnął mu z wyjaśnieniem „Oto pretekst”. Ich autorem był John Flamsteed, królewski astronom, który sporządził je najwyraźniej w odpowiedzi na wyrażone przez Isaaca zapytanie. Daniel nie odważył się ich rozpakować i przeczytać; bał się, że nadludzko wyczulone zmysły Newtona pozwolą mu wywęszyć na kartkach odciski palców – albo coś w tym guście. Jednakże wierzchnią stronę mógł odczytać bez przeszkód. W szparach w barokowym słowotoku tkwiło kilka suchych faktów. Po wyłowieniu ich Daniel złożył je w całość i wywnioskował, że Isaac prosił o informacje na temat komety z tysiąc sześćset osiemdziesiątego roku, niedawnej koniunkcji Jowisza i Saturna, oraz przyptywów i odpływów morza.

Każdy inny naukowiec, który poprosiłby o dane na temat tak różnych zjawisk, zdradziłby, że jest niespełna rozumu. Tymczasem sam fakt, że Isaac interesował się nimi wszystkimi naraz, jednoznacznie dowodził ich ścisłych związków. Pływy miały w oczywisty sposób coś wspólnego z Księżycem, ponieważ ich wysokość zależała od jego faz. Co jednak łączyło unoszącą się w przestworzach kamienną kulę ze wszystkimi morzami, jeziorami i kałużami na Ziemi? Jowisz, krążący po węższej orbicie, od czasu do czasu wyprzedzał w swoim biegu Saturna, który z ociąganiem truchtał po obrzeżach Układu Słonecznego. Zaobserwowano, że Saturn zwalnia, gdy Jowisz się do niego zbliża, i przyspiesza, gdy go minie. Dystans dzielący obie planety był co najmniej dwa tysiące razy większy niż odległość z Ziemi na Księżyc. Jaka siła mogłaby pokonać taką otchłań? A komety niemal z definicji nie podlegały prawom rządzącym Księżycem i planetami (jakiegokolwiek te prawa były); były nie tyle ciałami niebieskimi, czy w ogóle elementami natury, co raczej metaforą wszystkiego co obce, swobodne, transcendentne. Były potworami, piorunami, przesyłkami od Boga. Próba podporządkowania ich systemowi praw naturalnych byłaby aktem niewyobrażalnej pychy. Szukaniem guza.

Tymczasem kiedy przed kilkoma laty jedna kometa przyleciała w okolice Ziemi, a wkrótce później zaobserwowano drugą, która się od Ziemi oddalała (po innej trajektorii), John Flamsteed wychylił się z tłumu na dobre dziesięć mil i zadał pytanie: „A może to wcale nie były dwie komety, tylko jedna i ta sama?”

Argument przeciw temu rozumowaniu wydawał się oczywisty: różne tory lotu komet. Jedna prosta – jedna kometa; dwie proste – dwie komety. Flamsteed, który spośród wszystkich żyjących ludzi chyba najlepiej zdawał sobie sprawę z bolesnych ograniczeń obserwacji astronomicznych, odparł, że komety nie poruszają się po liniach prostych i nigdy się po nich nie poruszały. Zwrócił uwagę, że astronomowie śledzili ich lot tylko na krótkich odcinkach, mogących w istocie być wycinkami bardzo spłaszczonych krzywych. Wiadomo było, na przykład, że większą część hiperboli praktycznie nie sposób odróżnić od linii prostej. Skąd zatem pewność, że rzekome dwie komety z roku osiemdziesiątego nie były w rzeczywistości jedną, która w pobliżu Słońca – poza zasięgiem wzroku astronomów – gwałtownie zmieniła kurs?

W innej epoce wyrażanie takich wątpliwości postawiłoby Flamsteeda w jednym szeregu z Keplerem i Kopernikiem, ponieważ jednak żył w swoich czasach, stał się kimś w rodzaju informacyjnej mlecznej krowy, trzymanej przez Newtona w oborze w Greenwich i dojranej, kiedy tylko zachciało mu się pić. Daniel miał spełnić rolę dojarki, która dostarczy do Cambridge skopek spienionego mleka.

Kilka aspektów tej sprawy powinno było zainteresować każdego Europejczyka, mającego ambicję, by uchodzić za człowieka wykształconego.

(1) Komety swobodnie przemierzały przestrzeń kosmiczną, a ich ruchem rządziło – wciąż niezbadane – oddziaływanie Słońca. Fakt, że zakreślały w kosmosie krzywe stożkowe, nie mógł być przypadkiem. Kometa pędząca przez eter po precyzyjnie wytyczonej hiperboli była czymś zupełnie innym niż Daniel, przez przypadek przemierzający angielską wieś po torze, który tylko przypominał z kształtu hiperbolę. Jeżeli komety i planety poruszały się po krzywych stożkowych, musiała być to jedna z prawd *koniecznych*, jedna z cech charakterystycznych wszechświata. I musiała *coś* znaczyć. Tylko co?

(2) Pogląd, że Słońce wywiera na planety jakąś siłę dośrodkową, zdążył już zyskać w miarę powszechną akceptację. Jednakże, wypytując o dane na temat oddziaływania Księżyca i mórz oraz Jowisza i Saturna, Isaac dawał do zrozumienia, że owe interakcje mają ten sam charakter, że wszystko przyciąga wszystko; że oddziaływanie na Saturna ze strony Słońca, Jowisza czy Tytana (odkrytego przez Huygensa księżyc Saturna) nie różni się naturą, lecz tylko kierunkiem i siłą. Przypominało to trochę przeróżne towary, zebrane w magazynie amsterdamskiego kupca, które mogły pochodzić z różnych stron i mieć różną wartość, ale koniec końców liczyło się tylko to, ile złota dostanie się za nie na Damplatu. Kruszec, którym płacono za funt malabarskiego pieprzu, po przetopieniu mieszał się z kruszcem, za który kupiono ładunek śledzia z Morza Północnego, i stawał po prostu złotem, pozbawionym woni ryb i aromatu przypraw. W wypadku niebiańskiej dynamiki tym złotem – czyli uniwersalnym środkiem wymiany, do którego redukowałą się wartość wszystkich rzeczy – była siła. Siła, z jaką Słońce przyciągało Saturna, nie różniła się od siły, z jaką oddziaływał na niego Tytan. Wystarczyło je dodać, aby powstał jeden wektor, siła sumaryczna, w której zacierały się jej składniki. Był to rodzaj potężnej alchemii, pozwalającej sprowadzić kwestię ruchu ciał niebieskich z nieosiągalnych niebiańskich wyżyn wprost w zasięg ludzi mających opanowaną tajemną sztukę geometrii i algebry. Isaac wyciągał ręce po sekrety stanowiące do tej pory wyłączną domenę bogów.

\* \* \*

Przykładową konsekwencją tego alchemicznego połączenia sił był fakt, że kometa, która oddalała się od Słońca po niemal prostym ramieniu hiperboli, przelatując w pobliżu planety, została przez tę planetę przyciągnięta. Słońce nie było władcą absolutnym; nie miało żadnej

specjalnej, danej od Boga mocy. Kometa reagowała na jego wpływ w takim samym stopniu, jak na wpływ planet – ba, nawet nie zauważyłaby między nimi różnicy, gdyż oba te wpływy zostały już przeliczone na uniwersalną walutę siły i przetopione w jeden wektor. Daleko od Słońca i blisko planety przyciąganie tej drugiej musiałoby przeważyć i kometa gwałtownie zmieniłaby trajektorię.

Tak samo uczynił Daniel. Przejechał niemal na wprost przez podmokłe tereny na północny wschód od Cambridge (co zajęło mu większą część dnia) i pokonawszy ubity z błota i odchodów plac, na którym odbywał się targ w Stourbridge, skręcił ostro wzdłuż biegu Camu i wszedł na orbitę wokół pewnego kompleksu apartamentów, położonych tuż obok głównej bramy Kolegium Świętej Trójcy.

Wciąż miał do nich klucze, ale na razie się tam nie wybierał. Zostawił konia w stajni na tyłach kolegium i wszedł na jego teren tylnym wejściem – co okazało się złym pomysłem. Zdawał sobie sprawę, że Wren rozpoczął budowę biblioteki, ponieważ kolegium regularnie nękało jego, Rogera i innych prośbami o datki. Z na przemian dowcipnych i rozpaczliwych sprawozdań, jakie Wren składał na spotkaniach Towarzystwa, wiedział również, że budowę kilkakrotnie już przerywano i wznawiano. Nie pomyślał jednak, co to w praktyce oznacza. Dawne gładkie łąki, rozciągające się między Camem i tyłem kolegium, zajęło niechlujne obozowisko robotników, ich zwierząt pociągowych oraz osób towarzyszących (nie tylko dziwek, lecz także wędrownych karczmarzy, szlifierzy i gońców). Czekalo go więc brnięcie w końskim gnoju, błąkanie się po ślepo kończących się drózkach (dawnych torach do gry w kule), potykanie się o kury i odrzucanie mniej lub bardziej atrakcyjnych propozycji uciech cielesnych, zanim w ogóle udało mu się zobaczyć bibliotekę.

W czasie, kiedy torował sobie drogę przez obóz murarzy, zmierzch pochłonał większość Cambridge – co i tak niewiele zmieniło, bo niebo przez cały dzień przypominało płat kutego ołowiu. Jednakże górne piętro Biblioteki Wrena sięgało dostatecznie wysoko, żeby spoglądać na zachód, wprost w dzień następnny, zapowiadający się na pogodny i ciepły. Dach był prawie gotowy, a w tych miejscach, gdzie jeszcze go brakowało, jego przyszłą powierzchnię wytyczały krokwie i belki z czerwonego dębu. Zdawały się wpadać w rezonans z ciepłym światłem zachodzącego słońca, jakby, zamiast zatrzymywać jego promienie, buczały cicho, chłonąc ich ciepło. Przez chwilę Daniel po prostu stał i patrzył, dobrze wiedząc, że tak piękne momenty nigdy nie trwają długo, a chciał go jak najlepiej opisać cierpiącemu Wrenowi, kiedy wróci do Londynu.

Rozległ się dzwon, wzywając wykładowców i studentów na kolację. Powłócząc nogami, Daniel przeszedł pod pustymi łukami biblioteki, przemierzył Dziedziniec Neville'a, zdążył jeszcze narzucić togę i dołączył do kolegów w jadalni.

Portwajn i blask świec nadawały ciepłe barwy pochylonym nad stołem twarzom, wyrażającym całą gamę uczuć – ale przede wszystkim zadowolenie. Ostatni przelożony kolegium, który próbował zaprowadzić w nim choćby pozory dyscypliny, dostał ataku serca,

wydzierając się na krnąbrnych podopiecznych. Personel i studenci szybko wyciągnęli z tego faktu wnioski i nowym mistrzem został pewien hrabia, dobry znajomy Ravenscara, który od wczesnych lat siedemdziesiątych regularnie bywał na spotkaniach Towarzystwa Królewskiego i zawsze w połowie zasypiał. W Cambridge zjawiał się tylko wówczas, gdy przybywał tam ktoś ważniejszy od niego. Książę Monmouth przestał być kanclerzem kolegium. Kiedy któryś raz z kolei przebywał na wygnaniu, odarto go ze wszystkich podobnych tytułów, a jego miejsce zajął książę Tweed, generał Lewis, literka „L” w CABAL Karola II.

Obsada stanowiska kanclerza nie miała zresztą najmniejszego znaczenia, ponieważ kolegium i tak było zarządzane przez kolegialną starszyznę. Przed dwudziestu pięciu laty, gdy Daniel i Isaac pierwszy raz przekroczyli progi kolegium, Karol II wyrzucił z Trójcy wszystkich purytańskich uczonych, jacy zagnieździli się tam z Wilkinsem na czele, i ulokował na ich miejscach Kawalerów, do których najlepiej pasowało określenie „dżentelmen-uczoney”, w takiej właśnie kolejności. Kiedy Daniel i Isaac się kształcili, dżentelmeni-uczenni powoli przekształcali kolegium w prywatną termitierę, aż objęli stanowiska starszych wykładowców. Dieta przy profesorskim stole, bogata w łój, ser i portwajn, zrobiła swoje i teraz trudno byłoby powiedzieć, czy bardziej rozmiękły im ciała, czy mózgi.

Nikt nie pamiętał, kiedy stopa Isaaca ostatni raz powstała w jadani. Przyczyn jego nietowarzystości dopatrywano się jednak nie w wadliwym funkcjonowaniu kolegium, lecz raczej w wadliwym funkcjonowaniu Isaaca. W pewnym sensie słusznie – jeżeli obowiązkiem Trójcy było przekazywanie następnym pokoleniom określonego stylu bycia, kolegium wywiązywało się z niego znakomicie, a Isaac tylko by w tym przeszkadzał.

Wykładowcy musieli zdawać sobie z tego sprawę. (Tak właśnie myślał o nich Daniel – patrząc na nich, nie widział pojedynczych osób w pokoju, lecz Wykładowców, coś na kształt roju albo stada, zbioru. Kwestia zbiorów nie dawała spokoju Leibnizowi. Stado owiec składało się z pojedynczych sztuk i było stadem tylko dzięki przyjętej umowie. To ludzie nadawali mu cechę „stawatości”; stado istniało wyłącznie w ich umysłach jako pewna konwencja postrzegania zwierząt. Tymczasem Hooke stwierdził, że ludzkie ciało składa się z komórek, czyli w gruncie rzeczy niewiele różni się od stada owiec. Czy oznaczało to, że ciało również jest tylko percepcyjnym złudzeniem? Czy może jednak istniała jakaś siła jednocząca komórki i tworząca z nich nowy, spójny twór? A co powiedzieć o ludziach zasiadających przy profesorskim stole w Kolegium Trójcy Świętej? Czy jako zbiorowość byli bliżsi stadu owiec, czy ludzkiemu ciału? W tej chwili znacznie bardziej przypominali Danielowi ciało. Chcąc wypełnić zadanie, które zlecił mu Roger, musiał w jakiś sposób przełamać jednoczącą ich siłę, rozbić kolegium i oddzielić kilka sztuk od stada). Zbiór nazywany Kolegium Trójcy Świętej zwrócił uwagę, że Isaac bywa w kościele tylko raz w tygodniu, w niedzielę, a swoim zachowaniem w kaplicy wywołuje powszechne zdumienie wiernych Wysokiego Kościoła,



którzy jednak – w przeciwieństwie do purytanów – woleli zachować swoje religijne przemyślenia dla siebie. Danielowi to odpowiadało. Wiedział, co robi Newton i o czym myślą profesorowie.

Dopiero później, kiedy wraz z kilkoma innymi wykładowcami wymknęli się z jadalni i przeszli do pokoiku na piętrze, postanowił ich sprowokować. Zarzucił przynętę i czekał, kto złapie się na pławiący się w mętnej wodzie haczyk:

– Wiedząc, w jakim towarzystwie obraca się Newton, zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zbliżył się zanadto z papistami.

Cisza.

– Panowie! – ciągnął Daniel. – Przecież nie byłoby w tym nic zdrożnego. Nie zapominajcie, że nasz król jest katolikiem.

Poza nim w pokoju znajdowało się jeszcze trzynastu wykładowców. Jedenastu uznało jego wypowiedź (całkiem słusznie) za przejaw wyjątkowo złego gustu i nie odezwało się ani słowem. Nie przejmował się nimi; wiedział, że złożą jego słowa na karb alkoholu i wybaczą mu, bo ma koneksje. Jeden natychmiast zorientował się, do czego Daniel zmierza – był to Vigani, alchemik. Gdyby Vigani wcześniej śledził i słuchał Isaaca z taką uwagą, jaką tego wieczoru poświęcił Danielowi, wiedziałby wszystko. Ale na razie ukrył uśmiech w kielichu i tylko czubki wąsów podkręciły mu się złowieszczo.

Za to jeden człowiek, najmłodszy i najbardziej wstawiony, który nie ukrywał, że za wszelką cenę chce się wkraść w szeregi Towarzystwa Królewskiego, złapał haczyk.

– Prędzej nocni goście pana Newtona nawrócą się na jego wiarę, niż on na ich.

Odpowiedziały mu stłumione chichoty, które uznał za zachętę do dalszych wynurzeń.

– Ale niech ich ręka boska broni, żeby próbowali potem wrócić do Francji. Biorąc pod uwagę, jak Ludwik rozprawił się z hugenotami, można sobie wyobrazić, jak powitałby w pełni rozwiniętą...

– Nie mówiąc już o Hiszpanii i inkwizycji – wtrącił rozbawiony Vigani w mistrzowskiej, heroicznej próbie skierowania rozmowy na temat tak banalny, żeby nikomu nie chciało się go kontynuować. W końcu hiszpańska inkwizycja miała w Anglii niewielu zwolenników.

Daniel jednak nie na darmo spędził tyle lat wśród dworzan.

– Wydaje mi się, że będziemy musieli poczekać na angielską inkwizycję, żeby dowiedzieć się, co nasz towarzysz chciał powiedzieć!

– To już nie potrwa długo – mruknął ktoś.

Pierwszy wyłom w szeregach! Ale Vigani nie tracił rezonu:

– Inkwizycja? To nedorzeczne. Król opowiada się przecież za wolnością wyznania. Tak przynajmniej twierdzi doktor Waterhouse.

– Ja tylko przekazuję słowa Jego Wysokości.

– Zdaje się, że właśnie uwolnił pan z więzień wielu dysydentów, czyż nie?

– Pańska wiedza na temat tego, jak spędzam czas, jest zdumiewająca. Ale ma pan rację, w więzieniach jest teraz wiele pustych cel.

– Szkoda, żeby się marnowały – wtrącił jeden z wykładowców.

– Już król znajdzie im lokatorów – zapewnił go inny.

– To dość oczywisty domysł. Ale proponuję trudniejszą zagadkę: jak będzie brzmiało imię króla?

– Anglia.

– Chodzi mi o imię nadane mu na chrzcie.

– Zakłada pan więc, że będzie chrześcijaninem?

– A pan zakłada, że już jest?

– Czy mówimy o królu, który mieszka w Whitehallu, czy o tym, którego ślad widziano w Hadze?

– Ten z Whitehallu od czasu powrotu z Francji też ma ślady: na twarzy, na rękach, na...

– Panowie, panowie – wtrącił najstarszy z obecnych wykładowców. Wyglądał, jakby też miał za chwilę dostać zawału. – Ten pokój jest zbyt ciasny i duszny, by pomieścić wasze bystre umysły. Doktor Waterhouse pytał tylko o swojego starego przyjaciela, a naszego kolegę po fachu, doktora Newtona...

– Czy tak mamy zeznawać angielskiej inkwizycji?

– Jesteście, panowie, nazbyt rozdokazywani! – Uczony poczerwieniał, i to bynajmniej nie ze wstydu. – Doktor Newton mógłby być dla was wzorem, ponieważ podchodzi do swoich obowiązków z powagą, rozważając najtrudniejsze zagadnienia z zakresu geometrii, matematyki, astronomii...

– Eschatologii, astrologii, alchemii...

– Nie! Wcale nie! Odkąd pan Halley zwrócił się do niego z pytaniem o komety, Newton przyjmuje znacznie mniej gości spoza kolegium. Nawet signore Vigani musiał sobie szukać towarzystwa w jadalni.

– Wystarczy, że do niej wejść, a towarzystwo samo się znajduje – odparł bez zająknięcia Vigani. – Nie muszę go szukać.

– Wybaczcie, panowie – wtrącił Daniel – ale wydaje mi się, że Newton chętnie przyjmie gościa.

– A jeszcze chętniej jakiś okrucuch chleba – zauważył ktoś. – Ostatnio cały czas grzebie w ziemi w ogrodzie, jak jakaś wygłodniała kura.

\* \* \*

*Nie mam innego wyjścia niż tylko potępić ludzi, którzy – dając się osłepić  
pozłocie szlachetnych czynów starożytnych – poświęcają wszystkie wysiłki*

*wychwalaniu ich pod niebiosa. Zapominają, że późniejsze wieki przyniosły nam nowe dokonania, nie mniej heroiczne i wspaniałe.*

Gemelli Careri

Przy bramie wziął od odźwiernego latarnię i wyszedł na wąską dróżkę, wciśniętą między zwieńczone blankami mury i prowadzącą na ulicę. W ścianie po lewej stronie znajdowała się wąska furtka. Za pomocą swojego starego klucza otworzył ją i wszedł do sporego ogródka, w którym kratownica wysypanych żwirem ścieżek rozdzielała kwadraty zieleni. Na jednych poletkach rosły drzewka owocowe, na innych krzewy i trawa. Na lewo od niego rząd wyższych drzew przesłaniał okna pomieszczeń ulokowanych pomiędzy bramą i kaplicą. Pąki dopiero zaczynały przeobrażać się w liście i tam, gdzie padało na nie światło z Newtona, lśniły niczym Newtona, lśniły niczym zamrożone eksplozje zielonego jak fosfor płomienia. Większość okien była ciemna. Gwiazdy nad kominami błyszczały czysto i wyraziście; nie było przyćmiewającego ich dymu ani rozgrzanego powietrza, w którym mogłyby drzeć. Piece wygasły, materia w tyglach stężała, umysł Isaaca wchłonał całe ich ciepło.

Daniel opuścił rękę z latarnią, dzięki czemu światło padło na ziemię z wysokości jego kolan i podkreśliło kontury kurzych rysunków Isaaca.

Każdy z nich zaczynał się tak samo: Isaac czubkiem buta lub laski kreślił na ziemi krzywą – nie jakąś konkretną parabolę czy okrąg, lecz po prostu zakrzywioną linię. W kosmosie wszystko było zakrzywione, a krzywe bywały infinitezymalne i różniczkowe, ale tym gestem Isaac wyrывał z rozedrganego wszechświata jedną konkretną linię, wszystko jedno którą, jak żaba, która jednym mlaśnięciem języka wyławia jednego gza z całego ich roju. Unieruchomiona w żwirze krzywa stawała się bezbronna; Isaac mógł nad nią stać i przyglądać się jej do woli, tak jak sir Robert Moray przyglądał się wypchanemu węgorzowi w szklanej gablotce. Następnie zaczynał kreślić w żwirze odcinki, budując rusztowanie z promieni, stycznych, cięciw, normalnych i równoległych. Z początku konstrukcja zdawała się rozrastać w sposób całkowicie przypadkowy, ale z czasem niektóre linie przecinały się i tworzyły trójkąt, zgoła nieoczekiwanie okazujący się echem innego trójkąta, ulokowanego w zupełnie innym miejscu. Ten fakt otwierał coś na kształt śluzy, przez którą uwolnione informacje przepływały swobodnie z jednego krańca wykresu na drugi, a nawet przeskakiwały do innych diagramów... Zanim jednak Daniel zdążył ogarnąć całość rozumowania, Isaac stracił zainteresowanie schematem. Z tego miejsca odciski stóp, niczym miniaturowe kraterzy w żwirze, kreśliły jego pospieszny powrót do domu, gdzie mógł utrwalić diagram w atramencie.

Poszedł śladem Isaaca do apartamentów, które dawniej z nim dzielił. Pozostałości alchemicznych eksperymentów zaśmiecały większość parteru, były jednak mniej groźne niż zwykle, bo całkowicie zimne. Przyświecając sobie latarnią, rozejrzał się najpierw po jednym ciemnym pomieszczeniu, potem po następnym. Gdziekolwiek padło światło, dostrzegał tylko

twardą materię, martwe i nieczułe formy, do których natura powracała najchętniej: skrzepnięte metale w tyglach, okopcone retorty, zardzewiałe szczypce, czarne kryształy węgla drzewnego, uwięzione w szparach podłogi krople rtęci. Otwarta skrzynka pełna gwinei stała pod samym oknem, jakby właściciel pracowni chciał udowodnić przechodniom, że nie dba o złoto.

Na biurku wały się napisane po łacinie listy z Pragi, Neapolu i St.-Germain, których adresatem był JEOVA SANCTUS UNUS. Przejerał spod nich duży, przyszpilony do blatu rysunek, przedstawiający najprawdopodobniej plan jakiegoś budynku. Daniel odgarnął zasłaniające go papiery i książki. Przyszło mu do głowy, że Isaac – wzorem Wrena, Hooke’a i jego samego – zajął się architekturą.

Wyglądało na to, że projektuje jakiś plac, obwiedziony murem kwadratowy dziedziniec, pośrodku którego znajdowała się prostokątna budowla. Przeniósłszy trapez światła z latarni nad umieszczony z boku rysunku blok pisma, Daniel zaczął czytać:

*Ten sam Bóg najpierw podał Mojżeszowi wymiary przybytku Arki Przymierza, a potem Dawidowi i Ezechielowi wymiary świątyni. Nie zmienił przy tym proporcji budowli, lecz tylko podwoił jej wielkość... Dlatego rozmiary świątyni u Salomona i Ezechiela się zgadzają i są dwukrotnie większe niż liczby podane Mojżeszowi.*

– Próbuje tylko odtworzyć to, co wiedział Salomon – powiedział Isaac.

Zdając sobie sprawę, że latarnia oślepiłaby nadwrażliwe oczy Isaaca, Daniel podniósł ją i zdmuchnął, zanim się odwrócił. Isaac bezszelestnie zszedł po schodach. Sączące się z pracowni na piętrze światło świec kładło się ciepłą, pomarańczową poświatą na kamiennych stopniach za jego plecami. Sam Isaac był czarną postacią w szlafroku, o posrebrzonej siwizną głowie. Od czasów studenckich nie przybrał na wadze, czemu właściwie nie należało się dziwić, jeśli rzeczywiście nie zmienił nawyków żywieniowych.

– Przypuszczam, że nasza, a na pewno twoja wiedza na dowolny temat jest znacznie większa niż wiedza Salomona – zauważył Daniel.

Isaac nie odpowiedział od razu, ale coś w jego sylwetce sugerowało, że poczuł się zraniony. Albo zasmucony.

– Wszystko jest w Biblii, Danielu. Pierwszy rozdział: raj. Ostatni rozdział: Apokalipsa.

– Wiem o tym, wiem. Świat na początku był doskonały, ale od tamtej pory stacza się po równi pochyłej. Pozostaje tylko zadać sobie pytanie, jak bardzo podupadnie, zanim Bóg postanowi w końcu spuścić kurtynę. Dorastałem w przekonaniu, że ta tendencja jest równie naturalna i nieunikniona jak prawo ciężenia, Isaacu. Ale w sześćdziesiątym szóstym nie było Apokalipsy.

– Nastąpi wkrótce po roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym. To właśnie jest rok upadku Bestii.

– Większość anglikańskich dziwaków uważa, że w tysiąc siedemsetnym nastanie koniec Kościoła katolickiego.

– Anglikanie mylą się w wielu sprawach.

– Czy to możliwe, Isaacu, że sprawy mają się ku lepszemu? Albo że przynajmniej świat nie zmienia się radykalnie na gorsze, lecz pozostaje w przybliżeniu niezmienny? Naprawdę myślę, że wiesz o rzeczach, które nie śniły się Salomonowi.

– W pracowni na górze próbuję rozgryźć ustrój świata – stwierdził Isaac. – Mamy podstawy sądzić, że Salomon i inni starożytni znali go i zakodowali w projektach świątyń.

– Przecież Biblia twierdzi, że dostali plany świątyń wprost od Boga.

– Wyjdź na dwór i spójrz w gwiazdy. Jeżeli będziesz pilnym uczniem, zrozumiesz, że Bóg nam też próbuje przekazać istotę tego ustroju.

– Jeżeli Salomon o tym wiedział, dlaczego po prostu nie wyszedł z pałacu i nie powiedział: „Słońce znajduje się w centrum Układu Słonecznego, a planety obiegają je po elipsach”?

– Moim zdaniem właśnie to powiedział, budując świątynię.

– No dobrze, ale dlaczego i Bóg, i Salomon tak kręcą, do diabła? Dlaczego niczego nie mówią wprost?

– Cieszę się, że nie muszę marnować czasu na czytanie twoich nudnych listów. Mając list w ręce, widzę słowa, ale nie potrafię zgłębić umysłu tego, kto je napisał. Dobrze się stało, że przyszedłeś mnie odwiedzić. I że spotykamy się w nocy.

– Jak alchemicy?

– Albo jak pierwsi chrześcijanie w pogańskim Rzymie...

– To chrześcijanie rysowali jakieś kreski na ziemi?

– ...lub w ogóle chrześcijanie, którzy odważyli się sprzeciwić bałwochwalcom. Gdybyś w liście próbował podejść mnie w podobny sposób, doszedłbym do wniosku, że służysz Bestii. Niektórzy tak właśnie o tobie mówią.

– Dlaczego? Tylko dlatego że śmiałem zasugerować, że świat robi coś poza gniciem?

– Świat gnije, Danielu. To oczywiste. *Perpetuum mobile* nie istnieje.

– A serce?

– Serce też gnije. Czasem zaczyna gnicić już w żywym ciele właściciela. Daniel nie odważył się kontynuować tego wątku. Isaac ciągnął zdławionym głosem:

– Gdzie szukać Boga w świecie? Tylko to chcę wiedzieć. Na razie Go nie znalazłem. Ilekroć jednak odkrywam coś, co nie podlega rozkładowi, tak jak funkcjonowanie Układu Słonecznego, euklidesowskie dowody, doskonałość złota, czuję, że przybliżyłem się do boskości.

– Znalazłeś już rtęć filozoficzną?

– W siedemdziesiątym siódmym Boyle był przekonany, że mu się udało.

– Pamiętam.

– Początkowo się z nim zgadzałem, ale to były pobożne życzenia. Teraz szukam jej w geometrii. A właściwie szukam jej tam, gdzie geometria zawodzi.

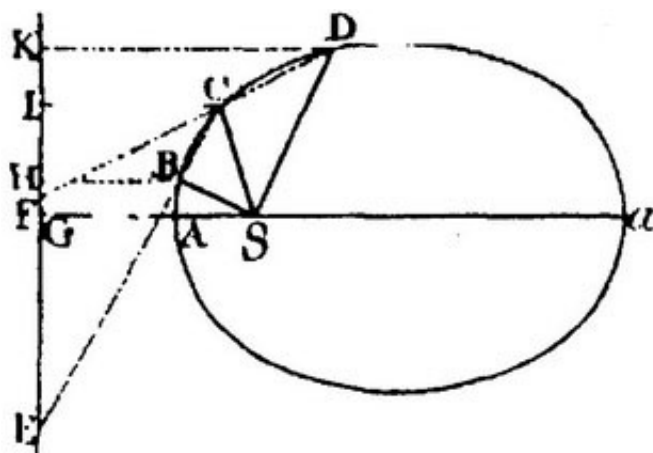
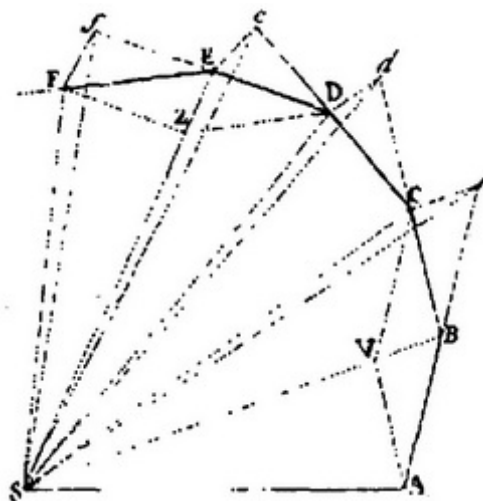
- Jak to, zawodzi?
- Chodź ze mną na górę, Danielu.

\*\*\*

Pierwszy dowód Daniel rozpoznał równie łatwo jak własny podpis.

- Ciała przyciągane siłą dośrodkową zachowują stałą prędkość połową. Pole powierzchni wycinka elipsy zakreślanego w jednostce czasu nie zmienia się.

- Czytałeś moje *De Motu Corporum in Gyrum*.
- Pan Halley zapoznał Towarzystwo Królewskie z jego treścią – odparł cierpko Daniel.
- Część lematów wyprowadziłem z tego.



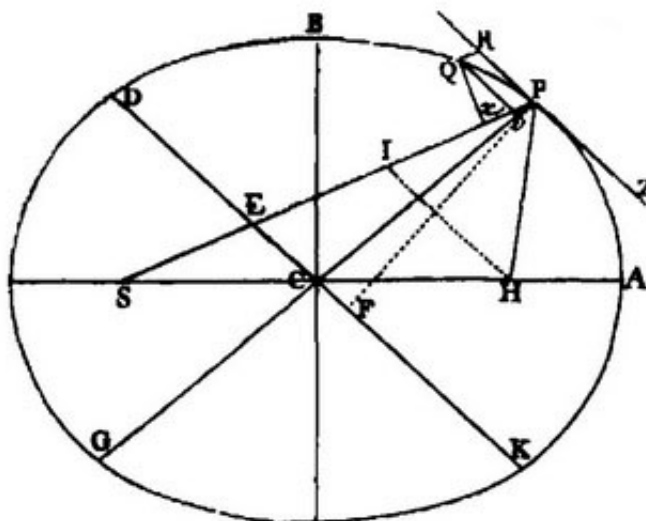
Isaac przykrył jeden rysunek następnym.

- Skąd łatwo możemy przejść do tego.

- O, to jest ważne – zauważył Daniel. – Jeżeli siła dośrodkowa jest odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości, ciało porusza się po elipsie.

A w każdym razie po jakiejś krzywej stożkowej.

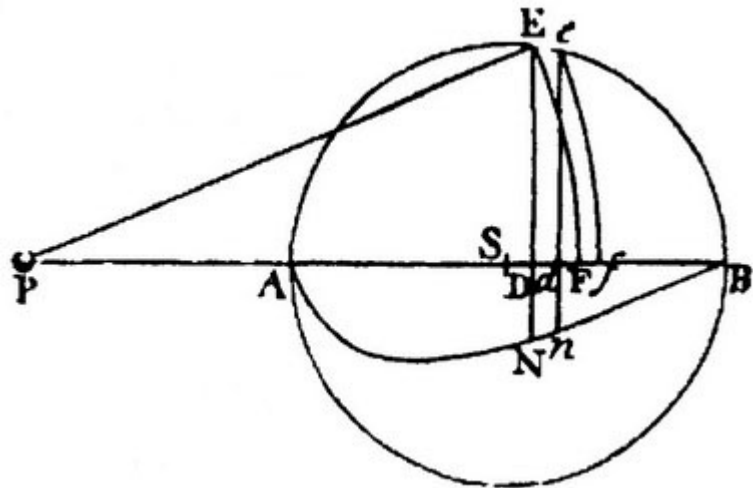
- Ja bym to ujął inaczej: fakt, że ciała poruszają się po krzywych stożkowych, dowodzi odwrotnej proporcjonalności siły i kwadratu odległości. Ale na razie to wszystko bajki, bo te dowody odnoszą się wyłącznie do nieskończenie małych koncentracji masy, a takie w rzeczywistym wszechświecie nie występują. Prawdziwe ciała niebieskie mają własną geometrię; składają się z ogromnej liczby mikroskopijnych cząstek, ułożonych w kształt kuli. Jeżeli gravitacja naprawdę istnieje, wszystkie tworzące Ziemi drobinki przyciągają się nawzajem. Poza tym



przyciągają drobinki, z których składa się Księżyc, i *vice versa*. Każda cząstka Księżyca przyciąga wodę w ziemskich oceanach i wywołuje pływy. Ale jaki jest wpływ sferycznego kształtu planety na jej grawitację?

Isaac rozwinął następujący diagram, znacznie nowszy od poprzednich.

Tego rysunku Daniel nie znał. W pierwszej chwili pomyślał, że przedstawia przekrój gałki ocznej, jeden z wielu, jakie Isaac sporządził w czasach studenckich – ale przecież teraz mówił o planetach, nie o oczach.



Niezręczne milczenie przedłużało się.

– Isaacu – odezwał się w końcu Daniel – może dla ciebie dowód staje się oczywisty po jednym rzucie oka na taki diagram. Ja potrzebuję wyjaśnień.

– Doskonale. – Isaac wskazał okrąg zajmujący środek arkusza. – Rozważmy ciało w kształcie kuli, a właściwie zlepek nieprzeliczonych cząstek, z których każda przyciąga pozostałe z siłą odwrotnie proporcjonalną do kwadratu dzielącej je odległości. – Sięgnął po pierwszy z brzegu przedmiot, jaki wpadł mu w rękę (kałamarz), i postawił go w rogu arkusza, jak najdalej od „ciała w kształcie kuli”. – Co będzie czuł taki satelita, jeżeli zsumujemy siły wywierane przez te wszystkie drobinki?

– Nie zamierzam uczyć cię fizyki, Isaacu, ale mam wrażenie, że ten problem aż się prosi o zastosowanie rachunku całkowego. Dlaczego się uparłeś, żeby rozwiązać go geometrycznie?

– A dlaczego by nie?

– Chodzi ci o to, że Salomon nie znał całek?

– Rachunek całkowity, jak go niektórzy nazywają, to metoda dość brutalna. Wolę wyprowadzać swoje twierdzenia na drodze geometrycznej.

– Ponieważ geometria wywodzi się od starożytnych, a wszystko, co starożytne, jest dobre.

– Gadanie! Wystarczy spojrzeć na mój rysunek, a wynik będzie oczywisty. Sferyczne ciało niebieskie, czyli planeta, księżyc albo gwiazda, zawierające określoną ilość materii, przyciąga inne ciała z taką siłą, jakby cała ta materia skupiła się w geometrycznym punkcie w samym środku sfery.

– Taką samą? Dokładnie taką samą?

– To dowód geometryczny – odparł Isaac. – Fakt, że cząsteczki są rozproszone w objętości kuli, nie ma znaczenia. Taka jest natura kuli. Przyciąganie się nie zmienia.

Daniel rozejrzył się w poszukiwaniu krzesła. Miał wrażenie, że cała krew z nóg odpływa mu do mózgu.

– Jeżeli to prawda, to wszystkie twierdzenia, które udowodniłeś dla obiektów punktowych... na przykład to, że poruszają się po krzywych stożkowych...

– ...odnoszą się także do ciał kulistych.

– Czyli do rzeczywistych obiektów! – Danielowi stanęła przed oczami niezwykła wizja podnoszącej się z ruin świątyni Salomona: kolumny dźwigały się z gruzu, sam gruz przybierał kształty serafinów i cherubinów, na odtworzonym ołtarzu zapalał się ogień. – Dokonałeś tego, Isaacu. Stworzyłeś ustrój świata.

– Bóg go stworzył. Ja tylko objaśniłem. Odkryłem coś, co zostało zapomniane. Spójrz na ten rysunek, Danielu. Tu jest wszystko. Prawda objawiona. *Epiphanes*.

– Mówiłeś, że szukasz Boga tam gdzie zawodzi geometria...

– Naturalnie. – Isaac postukał w stół. – To nie pozostawia żadnego wyboru. Nawet Bóg nie mógłby inaczej stworzyć świata. Jedyne Bóg, jakiego tu mamy – tym razem z impetem uderzył w arkusz – to Bóg Spinozy, Bóg, który jest wszystkim, i zarazem niczym.

– Przecież wszystko wytłumaczyłeś!

– Nie wyjaśniłem proporcjonalności siły i kwadratu odległości.

– Tu masz najlepszy dowód, że jeśli grawitacja podlega temu prawu, satelity poruszają się po krzywych stożkowych.

– A Flamsteed twierdzi, że tak właśnie jest. – Isaac wyciągnął Danielowi z kieszeni plik zapisków. Odrzucił list, zdarł wstążkę, którą były przewiązane kartki, i zaczął je przeglądać. – Siła ciężenia rzeczywiście jest odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości. Ale wiemy to tylko dzięki obserwacjom Flamsteeda. Jeżeli dziś w nocy wypatrzy kometę, która porusza się po spirali, cała moja praca będzie nic niewarta.

– Pytasz, po co w ogóle potrzebny nam jest Flamsteed?

– Twierdzę, że fakt, iż jest nam potrzebny, dowodzi, że Bóg jednak dokonuje wyborów.

– Albo już ich dokonał.

Przez twarz Isaaca przebiegł ledwie dostrzegalny, pobłażliwy uśmiech. Zamknął oczy i pokręcił głową.

– Nie należę do ludzi, którzy utrzymują, że Bóg po stworzeniu świata przestał się nim interesować i go porzucił. Wierzę, że jest wszędzie i cały czas dokonuje wyborów.

– Tylko dlatego że jeszcze nie wszystko udało ci się udowodnić geometrycznie?

– Powtarzam: szukam Boga tam, gdzie zawodzi geometria.

– Może po prostu nie odkryłeś jeszcze geometrycznego dowodu tej odwrotnej proporcjonalności? Może ona ma jakiś związek z zawirowaniami eteru?

– Nikomu jeszcze nie udało się ich zrozumieć.



- No to może mamy do czynienia z oddziaływaniem jakichś mikroskopijnych cząstek?
- Cząstek, które pokonują przestrzeń między Słońcem i Saturnem w tę i z powrotem, z nieskończoną prędkością, i w dodatku nic sobie nie robią z eteru, tak?
- Masz rację, trudno ten pomysł traktować poważnie. Jaką w takim razie masz hipotezę?
- *Hypothesis non fingo.*
- Nieprawda. Zaczynasz od hipotez – widziałem je narysowane na ścieżkach – a potem przechodzisz od nich do tych rysunków. Nie umiem wyjaśnić, jak to robisz; może to Bóg przez ciebie przemawia. Ale kiedy skończysz, hipoteza staje się dowiedzioną prawdą.
- Geometria nie wyjaśni grawitacji.
- A rachunek różniczkowy?
- Jest tylko ułatwieniem, uproszczonym sposobem uprawiania geometrii.
- Czyli jeżeli zagadnienie wykracza poza możliwości geometrii, rachunek różniczkowy też zda się na nic?
- Naturalnie. Z definicji.
- A zatem twierdzisz, że filozofia naturalna jest bezradna wobec istoty grawitacji. Gdzie w takim razie mamy szukać odpowiedzi? U metafizyków? Teologów? Czarnoksiężników?
- Ja ich nie rozróżniam. Jestem jednym z nich.

## **Plaża na północ od Scheveningen**

### **Październik 1685**

Można by pomyśleć, że Wilhelm Orański przeczesał cały świat w poszukiwaniu miejsca jak najbardziej różniącego się od Wersalu, po czym właśnie tam wyznaczył Elizie spotkanie. W Wersalu wszystko zostało wymyślone i zbudowane przez człowieka, tutaj zaś jak okiem sięgnąć ciągnęły się tylko piasek i morze. Każde ziarenko piasku trafiło na swoje miejsce dzięki falom, formującym się w głębinach oceanu zgodnie z tajemnymi prawami fizyki, które doktor Leibniz może by zrozumiał, ale Eliza na pewno nie.

Zsiadła z konia i prowadziła go właśnie plażą na północ. Piasek był twardy, wilgotny i usiany muszelkami sercaków w tyłu wzorach i kolorach, że z pewnością to właśnie ich obfitość natchnęła pierwszych Holendrów do wyruszenia za morze w poszukiwaniu skarbów. Muszle, przyjemnie kontrastujące z monotonnym połączeniem plaży, wody i przymglonego nieba, miały na Elizę wręcz hipnotyzujący wpływ. Od czasu do czasu zmuszała się, żeby oderwać od nich wzrok i rozejrzeć się dookoła, ale jedyną zmienną w tym krajobrazie były ślady piany na piasku.

Domyślała się, że nie ma dwóch takich samych fal, tak jak nie było dwóch takich samych ludzkich dusz. Każda sama pędziła do brzegu, rodząc się jako ucieleśnienie żywotności i siły,

i każda zwalniała w biegu, słabła, potykała się, rozpływała w syczącą smużkę szarej piany, a potem ginęła, przygnieciona przez swoją następczynię. Końcowym efektem ich powtarzalnych, szemrzących i dudniących wysiłków była plaża. Gdyby została obejrzana pod lupą, ułożenie tworzących ją ziarenek piasku wydałoby się zapewne niezwykle skomplikowane i można by się w nim doszukać wkładu każdej fali, która w tym miejscu zakończyła swój żywot. Jednakże widziana z poziomu oczu Elizy plaża była wręcz niewyobrażalnie płaska; w Biblii nazwano by ją „obrzydliwością spustoszenia w ciemnym miejscu”.

Słyszając trzepot przypominający odgłos rozdzieranego materiału, odwróciła się i spojrzała na południe, w stronę odległego o kilka mil zakłębienia brzegu, w którym ulokował się port w Scheveningen. Kiedy poprzednio patrzyła wstecz, między nią i zatoczką znajdowało się tylko paru zbieraczy małży, teraz zaś nad piaskiem pojawił się żagiel – płócienny trójkąt, wyдутy wilgotną bryzą i naprężony jak skóra na bębnie. Pod nim rozpościerało się pająkowane drewniane rusztowanie, zaopatrzone w koła od wozu. Przechył pojazdu sprawił, że jedno z kół uniosło się nad piaskiem, co w połączeniu z niezwykle szybkością ruchu sprawiało złudzenie, że wehikuł unosi się nad ziemią. Swobodne koło obracało się, bryzgając mokrym piaskiem z obręczy, która dzięki okazałej szerokości mogła toczyć się po piasku i wesołej mozaice muszelek, zamiast się w nie wrzynać. Koło umieszczone z drugiej strony kreśliło na plaży szeroką smugę, lawirując między skulonymi zbieraczami. Sto metrów za bojerem fale rozmywały jego ślad.

Podczas przyływu do brzegu podpłynął rybacki kuter; kiedy woda się cofnęła, łódź ugrzęzła na piaszczystej łasze. Rybacy podparli ją drewnianymi kłocami, wyciągnęli połów z ładowni i wyłożyli go na piasek, tworząc miniaturowy rybi targ, który miał potrwać do czasu, gdy następny przyływ przepędzi klientów i podniesie łódź z mielizny. Ludzie z kosztami przybywali z miasteczka pieszo i w powozach, a potem prowadzili z rybakami długie dyskusje o wartości skarbów z morskich głębin.

Teraz część z nich odwróciła się i spoglądała z zaciekawieniem na piaskowego żeglarza. Kiedy bojer przemknął obok Elizy – znacznie szybciej od najszybszego rumaka – rozpoznała mężczyznę przy sterze; niektórzy z kupców również go rozpoznali, paru nawet zdjęło kapelusze i zgięło się w ukłonie. Eliza dosiadła konia i ruszyła za nim.

Wysokie wydmy nie pozwalały spojrzeć daleko w głąb lądu. Nie były to zwykłe kopce z piasku, jakie Eliza знаła z Sahary, lecz raczej hybrydy wydmy i żywopłotów; piaskowe formy były pokryte – i utrwalone – roślinnością, która na niższych zboczach miała odcień jasnozielony, a wyżej nabierała sinawego odcienia i upodabniała się do krzaczastych brwi, groźnie zmarszczonych na widok oceanu.

Mniej więcej milę na północ od unieruchomionego kutra brzeg łagodnie się zakrzywiał, zasłaniając widok na miasteczko, a od podnóża wydmy wybiegał w morze płaski jezior piasku. Kiedy stanęło się w tym miejscu, jedynym dowodem na to, że w Holandii mieszkają ludzie,

była wysoka wieża obserwacyjna ze stożkowym dachem, stojąca na wydmie w odległości około pół mili. Piaskowa żaglówka znieruchomiła, luźne żagle łopotały na wietrze.

– Powinam pewnie zapytać „Gdzie twój dwór, o książę? Gdzie orszak, strażnicy, świta malarzy, poetów i historyków?”. A w odpowiedzi usłyszałabym surowe kazanie o francuskiej dekadencji.

– Być może – odparł Wilhelm, książę orański i stadhouder Republiki Holenderskiej. Wyplątał się z płóciennego siedzenia bojera i stał na plaży zwrócony plecami do lądu. W złożonym z wielu warstw skóry i wełny ubraniu, oblepionym mokrym piaskiem i zbryzganym morską pianą, wydawał się bardziej korpulentny, niż był w rzeczywistości. – A może ja po prostu lubię samotnie żeglować po piasku, zaś twoje zbyt daleko idące wnioski dowodzą, że za długo przebywałeś w Wersalu?

– Skąd wzięła się tutaj ta wydma?

– Nie wiem. Jutro może jej nie być. Czemu pytasz?

– Kiedy patrzę na fale, których mozolne wysiłki przynoszą tak mizerny skutek, zdumiewa mnie, że od czasu do czasu potrafią stworzyć coś tak niezwykłego jak ona. Przecież taka wydma w niczym nie ustępuje Wersalowi; jest takim samym tworem geniuszu. Fale Oceanu Indyjskiego, napotykając przy Wybrzeżu Malabarskim wody Morza Arabskiego, z pewnością o niej szepczą i wypytyują się nawzajem o najświeższe plotki z Scheveningen.

– To u kobiet normalne, że raz w miesiącu, zwłaszcza w pewnych porach roku, popadają w dziwny nastrój – stwierdził zamyślony książę.

– Wniosek interesujący, lecz chybiony. W Barbarii żyją chrześcijańskie niewolnice, które ogromnym nakładem sił dokonują małych rzeczy. Na przykład zdobywają nowe meble do swoich *banyolarów*...

– Jakich znowu *banyolarów*?

– Tak się nazywa miejsce, w którym mieszkają.

– Co za żalosna historia.

– Owszem. One są jednak usprawiedliwione: osiągają niewiele, ponieważ znajdują się w rozpaczliwej i beznadziejnej sytuacji. W pewnym sensie berberyjska niewolnica może mówić o szczęściu – marzeniami i fantazjami sięga nieba. Nic jej nie ogranicza. W Wersalu jest inaczej, tam strop zawsze ma się tuż nad głową. Mieszkańcy pałacu chodzą wiecznie przygarbieni, bo perukami i nakryciami głowy wciąż zahaczają o nieboskłon, który wydaje im się przez to niski i nędzny. Kiedy podnoszą wzrok, nie widzą rozległej, otwartej przestrzeni, lecz...

– Krzykliwie pomalowany sufit.

– W rzeczy samej. Teraz rozumiesz, mój panie? Brakuje przestrzeni życiowej. Ktoś, kto dopiero niedawno przybył z Wersalu, może spojrzeć na te fale, które tak niewiele mogą, i dojść do wniosku, że choćbyśmy nie wiadomo jak się starali, przerzucamy tylko ziarenka piasku na plaży, która – jako całość – wcale się nie zmienia.

– Zgoda. A prawdziwi geniusze mogą co najwyżej usypać mały kopczyk, okrzyknięty ósmym cudem świata.

– Właśnie!

– Posłuchaj, dziewczyno. Bardzo to wszystko piękne i poetyckie, chociaż na raczej smętną, gotycką modłę, ale, za przeproszeniem, kiedy podnoszę wzrok, nie widzę żadnego sufitu. Widzę natomiast tłum przeklętych Francuzów, którzy spoglądają na mnie z góry, z wysokości co najmniej mili. Muszę albo sprowadzić ich do swojego poziomu, albo się do nich podciągnąć, zanim będę mógł ocenić, czy udało mi się usypać wydme, czy inny kopczyk. Dlatego pomówmy może o nich.

– Chętnie. Tym bardziej że tutaj niewiele jest rzeczy wartych uwagi.

– Jak sądzisz, co król miał na myśli, udzielając przestrogi, o której pisałaś pod koniec swojego ostatniego listu?

– Jakiej... Pytasz, panie, o słowa, które wypowiedział po zakończeniu operacji?

– Tak.

– „Bój się, jeśli jesteś moim wrogiem, i bądź dumny, jeśli jesteś przyjacielem”? O to chodzi?

– Właśnie.

– Wydawało mi się, że to oczywiste.

– Ale dlaczego, na litość boską, król miałby w ten sposób strofować d’Avaux?

– Może powątpiewa w jego lojalność.

– To niedorzeczność. Nie ma wierniejszego królewskiego sługi niż d’Avaux.

– A może postradał zmysły i zaczyna widzieć wrogów tam, gdzie wcale ich nie ma?

– Wątpię. Żyje zbyt wielu prawdziwych jego wrogów, żeby mógł sobie w ten sposób folgować. Poza tym z całą pewnością jest przy zdrowych zmysłach.

– Hmm... Widzę, że moje wyjaśnienia cię nie zadowalają, mój panie.

– Przestań się tak dąsać, księżno. Nie jesteś już we Francji. Robisz to prześlicznie, ale jeśli zrobisz taką minę w obecności Holendra, możesz co najwyżej dostać w twarz.

– Czy podzielił się ze mną swoimi domysłami, panie, jeśli obiecuję, że nie będę się już dąsać?

– Najwidoczniej ostrzeżenie było skierowane do kogoś innego, nie do d’Avaux.

Zbita z tropu Eliza nie wiedziała co powiedzieć. Kiedy przetrawiała słowa księcia, on zajął się klarowaniem takielunku piaskowego jachtu.

– Sugerujesz, mój panie, że król wie, że Holendrzy przechwytyują i czytają moje listy do d’Avaux... i że ostrzeżenie jest w istocie przeznaczone dla... ciebie. Dobrze zrozumiałam?

– Dopiero zaczynasz rozumieć... a ja nie mam na to czasu. Pozwól, że ci to wyjaśnię, bo dopóki nie zrozumiesz wszystkiego, będziesz dla mnie bezużyteczna. Każdy list wysyłany z Wersalu za granicę – przez ciebie, Liselotte, de Maintenon czy nawet jakąś pokojówkę – trafia do rąk poczmistrza, który otwiera go i przekazuje do *cabinet noir*.

– Na Boga! Kto zasiada w *cabinet noir*?

– Mniejsza o to. Skupmy się na tym, że ci ludzie czytają twoje listy do d’Avaux i przekazują królowi wszystko, co wyda im się istotne. Potem zwracają je poczmistrzowi, on zaś starannie je zapieczętowuje i wysyła na północ. Tutaj z kolei mój poczmistrz otwiera je, czyta, zapieczętowuje i przekazuje d’Avaux. Adresatem królewskiej przestrogi mogło być każde ogniwo tego łańcucha: d’Avaux (choć to mało prawdopodobne), ja, moi doradcy, członkowie *cabinet noir* Ludwika... Albo ty.

– Ja? Po co król miałby strofować takie nic jak ja?

– Dodałem cię, aby wywód był kompletny.

– Nie wierzę.

Wilhelm Orański parsknął śmiechem.

– No dobrze. Cały system władzy Ludwika opiera się na tym, że arystokracja jest uboga i bezradna. Jednym się to podoba, innym nie. Ci drudzy próbują się jakoś dorobić. Jeżeli im się uda, zaczynają zagrażać królowi. Jak ci się wydaje, dlaczego Francuska Kompania Wschodnioindyjska raz za razem bankrutuje? Dlatego że Francuzi są głupi? Nie wszyscy. Tych głupich wysyła się do Indii, ponieważ Ludwik chce, żeby Kompania padła. Port, w którym roi się od zamożnych *commerçants*, taki jak Londyn czy Amsterdam, to dla króla najkoszmarniejszy sen. Tymczasem niektórzy z żądnych pieniędzy arystokratów zainteresowali się Amsterdamem i zaczęli korzystać z usług holenderskich brokerów. W ten właśnie sposób majątku dorobił się twój dawny wspólnik, pan Sluys. Król ucieszył się, że doprowadziłaś go do ruiny, ponieważ, idąc na dno, pociągnął za sobą kilku francuskich hrabiów, a ich los stał się przestrogą dla wszystkich, którzy chcieliby zainwestować w holenderski handel. Ale teraz niektórzy zaczynają robić podchody pod ciebie, prawda? Cały Wersal mówi o twoim „hiszpańskim stryju”.

– Nie spodziewasz się chyba, mój panie, że uwierzę, że to właśnie we mnie król dopatruje się zagrożenia?

– Oczywiście, że nie.

– To ty jesteś zagrożeniem, Wilhelm Orański, obrońca Protestantów.

– Ja, Wilhelm, ze wszystkimi tytułami, jakie zechcesz mi przypiąć, jestem wrogiem Ludwika, ale mu nie zagrażam. Mogę mu wypowiedzieć wojnę, ale nie podważę jego pozycji. To mogą zrobić tylko mieszkańcy Wersalu.

– Ci straszni diukowie, księżęta i tak dalej.

– Oraz księżne. Owszem. I należy cię mieć na oku, ponieważ mogłabyś im pomóc. Co ty sobie myślałaś, że po co d’Avaux ulokował cię w Wersalu? Z wdzięczności? Nie. Wysłał cię tam, żeby łatwiej cię było upilnować. Z drugiej strony, możesz pomóc Ludwikowi utrzymać arystokrację w ryzach. Możesz mu się przydać, stać się narzędziem, jednym z wielu, jakimi dysponuje, ale narzędziem obcym i niezwykłym. A niezwykłe narzędzia często bywają najbardziej użyteczne.

– Skoro jestem przydatna Ludwikowi, który jest twoim wrogiem, kim jestem dla ciebie, mój panie?

– Na razie tępą i niezbyt pilną uczennicą.

Eliza westchnęła ciężko, starając się udawać znudzoną i zniecierpliwioną, ale nie zdołała powstrzymać dreszczu. Zbierało się jej na płacz.

– Chociaż obiecującą – pocieszył ją Wilhelm.

Od razu poczuła się lepiej. Niemniej jednak była wściekła na siebie, że tak bardzo przypomina myśliwskie psy Wilhelma.

– Listy, które pisuję do d’Avaux, na razie były dla ciebie całkowicie bezużyteczne, mój panie.

– Dopiero zaczynasz – odparł Wilhelm.

Niczym harfista, szarpnął kilka wybranych lin i płócien bojera, a potem wdrapał się na pokład i usadowił w płóciennym foteliku. Następnie jedne liny pociągnął, inne poluzował i piaskowy jacht ruszył z kopyta. Zjechał po zboczu wydmy i nabierając szybkości, potoczył się w kierunku Scheveningen.

\* \* \*

Eliza dosiadła konia i zawróciła. Wiatr od morza dmuchał jej teraz w twarz, siekąc jakby wystrzeloną z garłacza mieszaniną drobnusieńkich kryształków lodu i ziarenek soli. Postanowiła zjechać w głąb łądu, żeby schronić się przed wiatrem. Pokonanie wydmy, która w tym miejscu wznosiła się na całkiem sporą wysokość, zapowiadało się na ambitne zadanie.

Między gałązkami porastających plażę kolczastych krzewów (były wysokie jak dorosły mężczyzna, miały liście barwy wina i czerwone jagody) pająki porozpinały sieci. Mgła osiadła na nich miriadami lśniących perełek, dzięki czemu były widoczne z odległości stu stóp i niespecjalnie nadawały się na dyskretne pułapki. Za to, gdyby jakiś człowiek chciał się schować w zaroślach i z ukrycia obserwować plażę, byłby całkowicie niewidoczny z dołu. Wyżej rosły wysmagane wichurami drzewa, w koronach których mieszkwały nerwowe, hałaśliwe ptaszki. Za punkt honoru przyjęły oznajmienie całemu światu, że Eliza przejeżdża obok nich.

W końcu wspięła się na grzbiet wydmy. Kawalek od niej rozpościerało się morze traw, przechodzące dalej w poldery wokół Hagi. Aby do niego dotrzeć, musiała przedrzeć się przez las karłowatych, powykręcanych drzewek o srebrzystoszarych liściach, rosnący na zawietrznym stoku wydmy. Na chwilę wstrzymała konia, żeby zorientować się w okolicy. Widziała stąd iglice budynków Hagi, Lejdy i Wassenaaru, a w oddali majaczyły kanciaste kontury ozdobnych ogrodów w prywatnych posiadłościach pobudowanych wzdłuż wybrzeża.

Zjechała między drzewa. Szmer fal przycichł, zastąpił go szelest kapuśniaczku na liściach, ale nie dane jej było długo napawać się spokojem. Zakapturzony mężczyzna

wyskoczył zza jednego z drzew i przykrył dłonią chrapy konia. Koń stanął dęba, a Eliza, kompletnie zaskoczona, spadła na miękki piasek. Człowiek w kapturze klepnął konia po zadzie. Zwierzę opadło na cztery nogi i galopem pobiegło do domu.

Mężczyzna przez chwilę stał tyłem do Elizy, odprowadzając wierzchowca wzrokiem. Potem przeniósł wzrok na grzbiet wydmy i odległą wieżę, jakby chciał sprawdzić, czy przypadkiem ktoś nie zauważył napaści. Ale jedynymi jej świadkami były wrony, które z ogłuszającym wrzaskiem zrywały się do lotu, gdy spłoszony koń przedzierał się przez ich posterunki. Eliza miała pełne prawo spodziewać się, że los szykuje jej bardzo przykrą niespodziankę. Zakapturzony napastnik ledwie jej mignął, ale po sposobie, w jaki się poruszał, zdążyła poznać, że jest człowiekiem silnym i zdeterminowanym, a nie afektowanym dżentelmenem; z pewnością nie pobierał lekcji tańca i szermierki. Poruszał się jak janczar... jak żołnierz, poprawiła się w duchu. A to nie wróżyło nic dobrego. Całkiem pokaźna liczba morderstw, rabunków i gwałtów w Europie była dziełem bezrobotnych żołnierzy, a tych w Holandii nie brakowało.

Zgodnie z warunkami pewnego starego traktatu, który Anglia zawarła z Holandią, sześć regimentów Anglików i Szkotów od dawna stacjonowało na holenderskiej ziemi. Miały stanowić pierwszą linię obrony na wypadek najazdu z Francji (lub, co mniej prawdopodobne, z hiszpańskich Niderlandów). Kiedy przed paroma miesiącami książę Monmouth przeprawił się do Anglii i wszczął tam rebelię, jego niedoszła ofiara, król Jakub II, nakazał tym oddziałom pilny powrót. Wilhelm Orański bez słowa spełnił prośbę Jakuba (mimo że bardziej sympatyzował z Monmouthem niż z królem) i odesłał regimenty do domu. Zanim jednak wylądowały na angielskiej ziemi, bunt został stłumiony i przestały być potrzebne. Król ociągał się z odesłaniem ich z powrotem, ponieważ nie ufał swojemu zięciowi (Wilhelmowi Orańskiemu) i obawiał się, że pewnego pięknego dnia te same sześć regimentów mogłoby stanowić forpoczta holenderskiej armii inwazyjnej. Dlatego wolał ulokować je we Francji. Jednakże Ludwik, który miał wojska pod dostatkiem, uznał utrzymywanie Anglików i Szkotów za zbędny wydatek, a że Wilhelm upierał się przy dotrzymaniu litery traktatu, regimenty wróciły w końcu do Holandii.

Wkrótce potem zostały rozwiązane. Naturalną więc kolejną rzeczą po Holandii włączyły się tłumy bezrobotnych żołdaków bez żołdu i dowództwa. Eliza domyślała się, że spotkała właśnie jednego z nich. A skoro nie ukradł jej konia, musiał mieć inne plany.

Przetoczyła się na łokcie i kolana, stęknąwszy, jakby zaparło jej dech w piersi. Jedną ręką podparła głowę, drugą przycisnęła do brzucha. Długa peleryna rozpięła się nad nią jak namiot. Oparłszy brodę na dłoni, spojrzała w głąb tego namiotu, drugą ręką grzebiąc w wilgotnych splotach szarfy, którą była przepasana.

Jedną z ciekawostek, jakie przyswoiła sobie w pałacu Topkapi, był fakt, że mieszkańcy Imperium Ottomańskiego najbardziej bali się nie janczarów z wielkimi szablami i muszkietami, lecz *hashishinów* – doskonale wyszkolonych morderców, których jedyną bronią

był zatknięty za pas niewielki sztylet. Eliza nie miała wprawdzie aż takich umiejętności, jak prawdziwy *hashishin*, ale pomysł jej się spodobał i od tamtej pory nie rozstawała się z takim właśnie sztylecikiem. Wiedziała jednak, że na razie nie powinna go wyciągać; upewniła się tylko, że tkwi na swoim miejscu.

Uniosła głowę, dźwignęła się na klęczki i spojrzała na swojego prześladowcę. Ten akurat odwrócił się w jej stronę i odrzucił kaptur. Ujrzała twarz Jacka Shaftoe.

\* \* \*

Eliza zamarła jak sparaliżowana.

Ponieważ Jack prawie na pewno już nie żył, naturalne byłoby przypuszczenie, że stoi przed nią jego duch. Sprawy jednak miały się inaczej. Duch powinien być błądy i chudy, stanowić wynędzniałą wersję oryginału, tymczasem można by pomyśleć, że to Jack był duchem tego człowieka: cięższego, masywniejszego, o zdrowszej cerze i zębach...

– Bob.

Lekko zdziwiony, ukłonił się i odparł:

– Bob Shaftoe, panienko Elizo. Do usług.

– Mówisz „do usług” po tym, jak zrzuciłeś mnie z konia?

– Za przeproszeniem, ale sama panienka z niego spadła. Mimo to przepraszam. Nie chciałem, żeby się panienka oddaliła i wezwała ludzi gildii.

– Co ty tu robisz? Należałeś do jednego z tych rozwiązanych regimentów?

Bob zastanawiał się przez chwilę. Kiedy już zaczął mówić i reagować, podobieństwo do Jacka szybko się zacierało. Z wyglądu bardzo go przypominał, ale miał zupełnie inną naturę.

– Widzę, że Jack trochę panience o mnie opowiadał... Chociaż nie wchodził w szczegóły. Nie. Mój regiment nadal istnieje, tylko że zmienił nazwę. Pilnuje króla w Londynie.

– Czemu zatem cię tam nie ma?

– John Churchill, nasz dowódca, wyznacza mi czasem nietypowe zadania.

– To musi być wyjątkowo nietypowe, skoro przywiodło cię aż na drugi brzeg Morza Północnego.

– Można powiedzieć, że to misja ratunkowa. Nikt nie spodziewał się, że stacjonujące w Holandii oddziały zostaną rozpuszczone. Szukam sierżantów i kaprali; niektórzy z nich cieszą się dobrą opinią. Mam ich zwerbować do służby u mojego pana, nim zawisną na szubienicy w którymś z holenderskich miasteczek za kradzież kur, zostaną siłą wcieleni do załogi statku płynącego do Indii albo trafią do wojska księcia Oranu...

– Czy ja ci przypominam zarośniętego sierżanta, Bobie Shaftoe?

– Na kilka godzin zawiesiłem wykonywanie mojej misji, ponieważ chciałbym porozmawiać z panienką o pewnej sprawie osobistej. Nie zajmie to więcej czasu niż powrót piechotą do Hagi.



– No to chodźmy. Robi się zimno.

## Dorset

### Czerwiec 1685

*Nigdy nie usprawiedliwiałem ścięcia króla, lecz nieszczęścia, które przydarzają się monarchom nazbyt autorytarnym, mają swoje zalety. Mogą służyć ich następcom niczym latarnie morskie, wytyczając mielizny, których powinni unikać.*

*Szkody, których słusznie należy obawiać się przy rządach wigów – anonim  
przypisywany Bernardowi Mandeville, 1714*

– Jeżeli w majączeniach biednego Jacka było choć ziarno prawdy, obracasz się, pani, w towarzystwie ważnych person. Wiesz zatem, jak istotna jest dla nich rodzina: daje im nie tylko nazwisko, ale także rangę, dom, kawałek ziemi, dochód i wyżywienie; stanowi tafłę szkła w oknie, przez które postrzegają świat. Ale przysparza im też kłopotów. Rodzą się przecież jako spadkobiercy starszyny i muszą być jej posłuszni. Razem z nazwiskiem dostają przeciekające dachy i masę lokalnych problemów.

Podstaw teraz „zwykłych ludzi ze skłonnościami do wojaczki” w miejsce „ważnych person”, a zamiast „rodzina” powiedz „regiment”, i będziesz wiedziała, jak wyglądało moje życie.

Ponieważ mam wrażenie, że spędziłaś z Jackiem sporo czasu, oszczędzę ci szczegółowego tłumaczenia, jak to się stało, że dwa młode niebieskie ptaszki trafiły do oddziału stacjonującego w Dorset. Powiem tylko, że moja kariera była lustrzanym odbiciem kariery Jacka – czyli wszystko szło dokładnie na odwrót.

Regiment, o którym ci opowiadał, niczym się nie różnił od większości starych angielskich regimentów, co oznacza, że mówimy o oddziale milicji. Żołnierzami byli chłopci z hrabstwa, oficerami miejscowi arystokraci, a głównym dowódcą – par, lord porucznik, w naszym przypadku Winston Churchill, otrzymawszy tę robotę za to, że mieszkał w Londynie, stosownie się ubierał i zawsze wiedział co komu powiedzieć.

Przed laty te właśnie wiejskie oddziały zebrały się w utworzoną przez Cromwella Armię Nowego Ładu, która pobiła Kawalerów, zabiła króla, obaliła monarchię, a nawet przepłynęła na drugą stronę Kanału z zamiarem przegrania Hiszpanów z Niderlandów. Karol II nigdy o tym nie zapomniał. Dlatego od czasu powrotu zawsze zatrudniał zawodowych żołnierzy, mających trzymać milicję w ryzach.

Być może wiesz o tym, że Kawalerowie, którzy osadzili go na tronie, wylądowali na północy Anglii i pomaszerowali na Londyn z Tweed, forsując po drodze Cold Stream wraz z

regimentem generała Lewisa. Ten regiment nosi dziś nazwę Coldstream Guards, a Lewis za swoje starania został nagrodzony tytułem księcia Tweed. Król Karol stworzył również regiment grenadierów. Gdyby tylko mógł, najpewniej rozpędziłby milicję na cztery wiatry, ale w latach sześćdziesiątych i bez tego miał dość zmartwień – zarazę, Wielki Pożar, wściekłych purytan włóczących się po całym kraju. Król potrzebował lordów poruczników, aby uspokoił ludzi, przyznał im więc specjalne uprawnienia – mieli prawo przeprowadzać rewizje w domach w poszukiwaniu broni i wtrącać awanturników do więzień. Ale ponieważ lordowie mogli wykonywać swoje zadania tylko za pośrednictwem milicji, oddziały te przetrwały. W tym właśnie okresie zostaliśmy z Jackiem wyciągnięci z obozu wagabundów i zrobiono z nas synów pułku.

Parę lat później John Churchill osiągnął wiek, w którym uznano go za gotowego do przyjęcia pierwszych obowiązków – czyli osiemnaście lat – i przydzielono mu dowództwo całkiem nowego regimentu grenadierów. Dostał ludzi, trochę broni i innego wyposażenia, ale o resztę musiał się postarać sam. Zrobił rzecz najprostsza: zwerbował żołnierzy i podoficerów – w tym mnie i Jacka – z podlegającego ojcu regimentu milicji w Dorset. Jest bowiem pewna różnica między rodziną i regimentem – w regimencie nie ma kobiet, przez co nie może się on w naturalny sposób rozmnażać. Nowych członków trzeba zabierać z ziemi, jak, nie przymierzając, zboże. Albo, jeśli wolisz, jak podatki.

Nie będę ci opisywał mojej kariery pod rozkazami Johna Churchilla, bo jej oszczerczą wersję z pewnością słyszałaś już od Jacka. Była raczej nudna i składała się głównie z długich marszów i oblężeń na kontynencie. Poza tym zajmowaliśmy się defilowaniem wokół Whitehallu i pałacu St. James, ponieważ naszym oficjalnym obowiązkiem jest ochrona króla.

Ostatnio, po śmierci Karola II, John Churchill wyjechał z Anglii – w Wersalu spotkał się z królem Ludwikiem, a potem przez pewien czas siedział w Dunkierce, gdzie miał na oku Monmoutha. Towarzyszyłem mu tam i kiedy Jack zawinął do portu na statku kupieckim wiozącym ładunek kauri, ucieliśmy sobie braterską pogawędkę.

W tym miejscu moja opowieść mogłaby stać się makabryczna, nie będę jednak opisywał Jacka. Powiem tylko, że na polach bitew zdarzają się gorsze i lepsze widoki. Francuska choroba poczyniła spustoszenie w jego ciele i umyśle, ale to od niego usłyszałem o tobie. W szczególności dowiedziałem się, że pałasz okrutną niechęcią do niewolnictwa, do czego zaraz wrócę. Najpierw jednak parę słów o księciu Monmouth.

Na pokładzie *Bożych Ran* znajdował się niejaki pan Foot, jeden z tych miło i nieszkodliwie wyglądających ludzi, którym wszystko można powiedzieć i którzy dzięki temu wiedzą wszystko o wszystkich. Czekając, aż Jack dojdzie do siebie, przegadałem kilka godzin z panem Footem i zebrałem najświeższe ploteczki – czy też, jak mówimy w wojsku, informacje wywiadowcze – z Amsterdamu. Dowiedziałem się, że flota inwazyjna Monmoutha zbiera się przy Texel i że z całą pewnością skieruje się do portu w Lyme Regis.

Pożegnawszy się z biednym Jackiem, poszedłem na plażę. Chciałem znaleźć mojego dowódcę, Johna Churchilla, i przekazać mu tę wiadomość. On jednak wypłynął już z Londynu *via* Dover i kazał mi wyruszyć za nim, ale wolniejszym statkiem i z żołnierzami.

Słuchając mnie, mogłaś pomyśleć, że grenadierzy stacjonowali w Dunkierce. Niesłusznie. Zostali w Londynie, żeby strzec króla. Dlaczego nie było mnie wśród nich? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym ci wyjaśnić, kim jestem dla Johna Churchilla i kim on jest dla mnie, ale szkoda na to czasu i zachodu. Dzięki podeszłemu wiekowi – dobiegam trzydziestki – i długiej historii służby jestem starszym podoficerem. Bardzo starszym. Gdybyś znała się na wojsku, ów fakt powiedziałyby ci bardzo wiele o szczególnym i nieprzewidywalnym charakterze moich obowiązków. Zajmuję się sprawami, których nie sposób wytłumaczyć.

Nie wyrażam się dość jasno, tak? No to dam ci przykład. Zignorowałem rozkazy i zrzuciłem mundur; powołując się na mojego dobrego dowódcę, pożyczyłem pieniądze, a następnie popłynąłem na zachód na pokładzie statku, który dowiózł mnie do Lyme Regis. Zanim wszedłem na jego pokład, wysłałem do mojego pana wiadomość, że będę zajęty na zachodzie, gdzie jakieś wagabundy dopominają się o stryczek. Z pewnością zauważyłaś, pani, że słowa te były zarówno przepowiednią najbliższej przyszłości, jak i wspomnieniem czasów dawno minionych. Monmouth wyruszył do Dorset, ponieważ Dorset cieszyło się sławą gniazda zbuntowanych protestantów. Z Ashe House, rodowej siedziby Churchillów, roztaczał się widok na Lyme Regis, które podczas wojny domowej było areną ponurego oblężenia. Niektórzy Churchillowie poparli Kragłogłowych<sup>10</sup>, inni przystali do Kawalerów. Winston poparł króla, zaprowadził porządek i obaj z synem stali się ważnymi ludźmi. A teraz Monmouth, towarzysz broni Johna z czasów oblężenia Maastricht, zamierzał zrobić w Dorset rozpiarduchę. Gdyby Winston do tego dopuścił, w oczach parlamentu wyszedłby albo na durnia, albo na zdrajcę, a w dodatku zaszkodziłby reputacji Johna.

John od lat jest dworzaniem księcia Yorku, obecnego króla Jakuba II, ale jego żona Sarah została szambelanką księżęcej córki, księżniczki Anny – protestantki, mającej szansę zostać w przyszłości królową. Wśród tych londyńczyków, którzy żyją z wzajemnego szeptania sobie sekretów, uważano to za dowód nielojalności Johna; uznano, że udaje wiernego poddanego króla, a w rzeczywistości wyczekuje stosownego momentu, by zdradzić papistę i osadzić na tronie protestantkę. To tylko dworskie plotki, ale jak to by wyglądało, gdyby Monmouth wykorzystał rodowe ziemie Johna w charakterze przyczółku swojej protestanckiej rebelii?

Dwa dni po moim przybyciu do Lyme Regis do portu weszła nieduża flota Monmoutha, przyprawiając mieszkańców o zawrót głowy. Wszyscy uznali, że oto narodził się drugi Cromwell. W ciągu zaledwie jednego dnia pod sztandary Monmoutha zbiegło się półtora

---

<sup>10</sup> Kragłogłowi (Roundheads) - przeciwnicy króla Karola I w jego konflikcie z parlamentem, nazywani tak pogardliwie przez Kawalerów z powodu krótko przyciętych włosów i nienoszenia peruk (przyp. tłum.).

tysiąca ochotników. Burmistrz był jednym z nielicznych obywateli Lyme Regis, którzy nie ucieszyli się z jego przybycia, ale ostrzegłem go zawczasu, żeby się spakował i trzymał osiodłanego konia na podorędziu. Pomogłem jemu i jego rodzinie wymknąć się z miasta tajnymi ścieżkami wagabundów, on zaś pchnął gońców do rezydujących w Londynie Churchillów. Dzięki temu Winston mógł pójść do króla i powiedzieć: „Na moich ziemiach wybuchł bunt. Oto co z moim synem zamierzamy w tej sprawie zrobić”, zamiast czekać, aż nowina porazi go jak grom z jasnego nieba.

Na mój maszerujący z Londynu regiment trzeba by czekać co najmniej tydzień, a to oznacza, że Monmouth miał tydzień na zwerbowanie armii, ja natomiast tydzień na to, żeby zrobić coś użytecznego. Odstąpiłem swoje w kolejce na rynku w Lyme Regis i urzędnik werbunkowy zapisał moje nazwisko w ogromnej księdze – jako Jack Shaftoe zaciągnąłem się do armii Monmoutha. Następnego dnia ćwiczyliśmy musztrę na polu leżącym powyżej miasta. Tam też wydano mi broń, czyli przywiązany do kija sierp.

Wydarzenia następnego tygodnia zainteresowały Johna Churchilla, kiedy później mu o nich opowiadałem, dla ciebie, pani, byłyby jednak nudne. Właściwie jedyna ciekawa rzecz zdarzyła się w Taunton. Taunton to miasteczko leżące nieco w głębi lądu. Nasza mała armia dotarła do niego po paru dniach błąkania się po okolicy; było nas już wtedy trzy tysiące. Zostaliśmy powitani jeszcze cieplej niż w Lyme Regis; dziewczęta ze szkoły podarowały Monmouthowi sztandar, który specjalnie dla niego wyhaftowały, a nam wszystkim serwowały posiłki na głównym placu miasteczka. Jedna z nich miała szesnaście lat i nazywała się Abigail Frome...

Pozwolisz, że w tysiącu... nie, w dziesięciu tysiącach słów opiszę, jak zakochałem się w Abigail Frome? „Zakochałem się” to właściwie złe określenie, ale i dziesięć tysięcy słów by nie wystarczyło, żeby to opisać, poprzestańmy więc na tym jednym zdaniu. Może pokochałem w niej buntowniczkę, bo w duchu sprzyjałem rebelii? Widziałem, że bunt jest skazany na niepowodzenie, jednak moje serce słuchało ducha przekory. Podałem się za Jacka, ponieważ przypuszczałem, że mój brat nie żyje i imię nie będzie mu już potrzebne, ale fakt że zostałem Jackiem Shaftoe, obudził we mnie dawno zapomniane pragnienie – chciałem znów zostać wagabundą. I chciałem zabrać ze sobą Abigail Frome.

Tak to w każdym razie wyglądało przez pierwsze dwa dni mojego zauroczenia. Długie, słoneczne dni czerwca były poprzedzane krótkimi, niespokojnymi nocami, kiedy wzburzone myśli przepływały w dziwaczne sny i budziłem się gwałtownie, siadając na łóżku, jak marynarz, który poczuł uderzenie statku o rafy i zdał sobie sprawę, że powinien coś zrobić, zamiast po prostu leżeć na koi. Nie przespałem się jeszcze z tą dziewczyną, nawet się nie pocałowaliśmy, ale byłem święcie przekonany, że jesteśmy dla siebie stworzeni i że czas rozpocząć przygotowania do całkiem nowego życia – życia, w którym nie będzie miejsca na rebelie i włóczęgi. One są dobre dla mężczyzn, lecz mężczyźni, którzy próbują w nie wciągać

żony i dzieci, są najzwyklejszymi łotrami. Spędziłaś z Jackiem trochę czasu na szlaku, więc wiesz, co mam na myśli.

I tak oto moja wagabundzka miłość do buntowniczkii sprawiła, że koniec końców zwróciłem się przeciw rebelii. Mogłem flirtować z jedną albo drugą, ale nie z obiema naraz – a flirt z Abigail zapowiadał się bardziej obiecująco.

Poszły słuchy, że chłopska milicja – mój dawny oddział – szykuje się do wykonania zadania, dla którego ją powołano, czyli stłumienia buntu. Porzuciłem swój obecny regiment, wymknąłem się z Taunton i udałem na miejsce zbiórki. Jedni chcieli sprzymierzyć się z Monmouthem, inni pozostali wierni królowi, ale większość była zbyt przerażona, żeby podjąć decyzję i zdobyć się na jakieś działanie. Zebrałem grupę włóczęgów lojalnych wobec króla i poprowadziłem ich do Chardu, gdzie John Churchill założył swój obóz.

To chyba najlepszy moment, żeby napomknąć o tym, jak wykradając się z Taunton, wpadłem na strażnika – a właściwie nie tyle strażnika, którym był drzemiący na warcie parobek, co na jego psa. Pies rzucił się na mnie, złapał za nogawkę i przytrzymał, a to wystarczyło, żeby parobek zdążył chwycić w rękę widły i mnie dogonić. Jak widzisz, trochę się zagapiłem – wszystko przez to, że darzę psy głupkowatą sympatią, i to od małego, bo kiedy byłem jeszcze dzieckiem, różne ważne osoby nazywały mnie psem. Wcześniej już odczepiłem od kija sierp i zostawiłem go w miasteczku, ale samego kija nie wyrzuciłem. Wziąłem więc zamach i pchnąłem psa końcem drąga prosto między brunatne ślepia, które – pamiętam to do dziś – wpatrywały się we mnie ze złością. Jednakże pies, jak na rozwścieczonego terierka przystało, ani myślał mi odpuścić. Tymczasem parobek próbował dźgnąć mnie widłami. Odwróciłem się bokiem. Jeden ząb wideł przebił mi skórę na plecach, wszedł na szerokość dłoni i wyszedł kawałek dalej. Machnąłem na odlew kijem i trafiłem wieśniaka w nasadę nosa. Puścił widły i złapał się za twarz. Wyrwałem sobie żelastwo spod skóry, zamachnąłem się nim na psa i obiecałem parobkowi, że jeśli odciągnie bydlę ode mnie, nie będzie trzeba przelewać więcej krwi.

Docenił rozsądek mojej propozycji, ale też zdążył mnie rozpoznać.

– Shaftoe! – zawołał. – Już cię tchórz obleciał?

Ja również go rozpoznałem – przegadaliśmy sporo czasu, stojąc w kolejce na rynku w Lyme Regis i czekając, aż zapiszą nas do armii Monmoutha.

Dobrze się czuję w regularnym i przewidywalnym cyklu marszów, musztr i obleżeń. Wystarczyło jednak parę dni chłopięcego zadurzenia w Abigail Frome, żebym wpakował się w sam środek farsy godnej czwartego aktu słabej komedii. Zamierzałem porzucić rebelię i rozpocząć nowe życie z buntowniczką, która zakochała się nie we mnie, lecz w moim bracie, w dodatku nieżyjącym. Zabiłem w swoim życiu sporo ludzi, a teraz dałem się złapać i zdemaskować, bo nie chciałem skrzywdzić kundla. W dodatku, mimo że podjąłem się zadania, które wymagało – jeśli można tak powiedzieć – odrobiny odwagi, i w ten sposób

dowodłem swojej lojalności, zanosilo się na to, że przypną mi łątkę tchórzliwego zdrajcy i dla Abigail już zawsze nim pozostanę.

Cywil – za przeproszeniem – byłby zapewne kompletnie zbity z tropu, ale mój wojskowy umysł natychmiast rozpoznał klapę. Wpadkę. Klops. Czyli sytuację całkowicie normalną. W wojsku na co dzień stykamy się z takim bałaganem, który w dodatku ma zwykle poważniejsze konsekwencje niż niechęć miłej dziewczuszki. Najlepszym lekarstwem są sfermentowane napoje i czarny humor.

W każdym razie obeszło się bez dalszych aktów przemocy. Niestety, zanim dotarłem do obozu Johna Churchilla, rana od wideł zropiała i cyrulik musiał mi ją na nowo otworzyć i oczyścić. Sam jej nie widziałem, ale ktokolwiek na nią spojrział, odwracał się z niesmakiem. Rana zresztą była powierzchowna i gdy tylko odzyskałem siły na tyle, żeby przegnać cyrulika, szybko się zagoiła. Fakt, że, zataczając się, zakrwawiony i w gorączce, sprowadziłem Churchillowi oddział wiernych wojaków, urósł do rangi heroicznego wyczynu; John obsypał mnie pochwałami i wręczył mi sakiewkę z pieniędzmi, a kiedy wszystko mu opowiedziałem, roześmiał się i zamyślił.

– W takim razie zaciągnąłem u twojego brata podwójny dług – stwierdził. – Dzięki niemu zyskałem pięknego konia i niezwykle istotne informacje.

Jack mówił, że umiesz czytać. W takim razie opis walk znajdziesz w każdym podręczniku historii, a ja ograniczę się do podania ci paru szczegółów, których historycy mogli nie uznać za godne uwiecznienia w druku.

Z powodów, o których mówiłem wcześniej, król nie ufał Johnowi Churchillowi. Głównodowodzącym wojsk królewskich został więc Feversham, wbrew pozorom będący Francuzem. Dawno temu podjął się wysadzenia w powietrze jakichś domów – rzekomo po to, by powstrzymać rozprzestrzeniający się pożar, ja jednak podejrzewam, że kierowała nim wspólna dla wszystkich mężczyzn żądza wysadzania w powietrze różnych rzeczy dla czystej przyjemności. Ledwie zdążył zaspokoić to chłopięce pragnienie, odłamek gruzu strzaskał mu czaszkę. Feversham padł bez zmysłów na ziemię. Mózg mu opuchł, więc żeby zrobić dla owego narządu miejsce, chirurdzy wywiercili Fevershamowi dziurę w głowie. Resztę może pani sobie sama dopowiedzieć; skończyło się na tym, że Feversham jest żywą reklamą cechu perukarzy. W dodatku cieszy się szczególnymi względami króla Jakuba II. Sam ten fakt, nawet gdybyś nic więcej o królu nie wiedziała, pozwoliłby ci wyrobić sobie opinię na temat jego panowania.

W każdym razie Feversham stanął na czele armii wysłanej z zadaniem stłumienia rebelii księcia Monmouth, a potem zebrał laury za udaną kampanię, ale to John Churchill wygrał bitwy, a mój regiment – jak zwykle – walczył za trzech. W którymś starciu książę Grafton poprowadził naszą kawalerię do natarcia. Nie była to najważniejsza bitwa w tej wojence, ale wspominam o niej jak o ciekawostce: Grafton – tak jak Monmouth – jest bękartem Karola II.

Gdyby nie narkolepsja Fevershama, cała kampania byłaby raczej nudna. Ale ponieważ Feversham nawet na jawie nie bardzo był w stanie dowodzić, przez pierwszy dzień czy dwa można było odnieść wrażenie, że Monmouthowi może się udać. Większość czasu spędziłem, leżąc na brzuchu i czekając, aż zagoi mi się rana od wideł. Właściwie uważam się z tego powodu za szczęśliwca – nie przepadałem i nadal nie przepadam za królem, a polubiłem tych wiejskich protestantów z sierpami i gałaczami.

Skończyło się na tym, że Monmouth porzucił swoich ludzi, a ci dalej walczyli i umierali za niego. Znaleźliśmy go, jak kulił się w rowie, i odesłaliśmy do Tower, gdzie marnie skończył.

Wieśniacy i kupcy z Lyme Regis i Taunton, z których składała się jego armia, byli Anglikami do szpiku kości – nie tylko z racji swej przyzwoitości, zrównowżenia i umiarkowania, ale też dlatego że nie wiedzieli, a nawet sobie nie wyobrażali, że można by żyć inaczej. Przez myśl im nie przeszło, że Monmouth mógłby ich zostawić własnemu losowi i uciec na kontynent. Ale ja – po latach wojowania w Europie – właśnie czegoś takiego się po nim spodziewałem.

Nie mieli również pojęcia, jakie czekają ich represje. Ci, którzy mieszkają na zielonej angielskiej wsi i w sennych miasteczkach, w ogóle nie rozumieją, co się dzieje w rozgorączkowanych umysłach londyńczyków. Każdy, kto regularnie bywa w teatrze, tak jak my bywaliśmy z Jackiem, szybko odkrywa, że dramatopisarze dysponują ograniczoną liczbą fabuł. Dlatego w kółko operują tymi samymi historiami. Często zdarzało się, że spóźniwszy się na sztukę, stwierdzaliśmy, że postaci są dziwnie znajome, a przed końcem pierwszej sceny rozpoznawaliśmy widziane po kilka razy motywy – tyle że wszystko działo się w Toskanii zamiast we Flandrii, dyrektora szkoły zastąpił pastor, a zgrzybiałego pułkownika młody i dziarski admirał. Podobnie jest z możliwymi tego kraju: historia Cromwella na dobre utkwiała im w pamięci i teraz, kiedy tylko wydarzy się coś niepokojącego – zwłaszcza z dala od Londynu i z udziałem dysydentów – natychmiast dochodzą do wniosku, że wybuchła nowa wojna domowa. Chcą jak najszybciej ustalić, kto gra rolę Cromwella, i zatknąć jego głowę na tyczce. A pozostałych uciszyć. I tak to będzie trwało do czasu, aż ludzie rządzący Anglią wymyślą nową fabułę.

Ale najgorsze, że francuski arystokrata Feversham traktował chłopów (a za takich uważał buntowników) jak polana, które można bezkarnie wrzucić do kominka. Kiedy kampania dobiegła końca, na każdym drzewie w Dorset wisieli martwi farmerzy, kołodzieje, bednarze i górnicy.

Churchill nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Najkrótszą drogą wrócił do Londynu, zabierając swoje oddziały, w tym także i mnie. Feversham zadbał o to, żeby wieści o jego wspaniałych zwycięstwach odbiły się szerokim echem; sam zrobił z siebie bohatera i w podobny sposób uszlachetnił swoją relację. Rów, w którym pojaliśmy Monmoutha, stał się w ustach kronikarzy wzburzonym potokiem o nazwie Black Torrent, Czarna Struga. Królowi

tak się spodobała ta część opowieści, że nadał naszemu regimentowi nową nazwę – od tej pory po wsze czasy mamy się nazywać Black Torrent Guards.

No i teraz mogę wreszcie przejść do niewolnictwa, o którym, jak mi mówił Jack, masz, pani, wyrobioną opinię.

Przewodniczącym Sądu Najwyższego jest niejaki Jeffreys, człowiek, który nawet w spokojniejszych czasach słynął z okrucieństwa i żądzy krwi. Przez całe życie nadskakiwał Kawalerom, katolikom i sfrancuziałemu dworowi królewskiemu, toteż kiedy Jakub II zasiadł na tronie, doczekał się nagrody i został naczelnym angielskim sędzią. Kiedy wybuchła rebelia Monmoutha i zachodni wiatr przyniósł zapach krwi, Jeffreys ruszył jego śladem jak śliniący się chart. W Dorset Sąd Najwyższy urzędował na sesji wyjazdowej. Nazwano ją Krwawym Sądem. Jeffreys osobiście skazał na śmierć co najmniej czterysta osób; do tego dochodziły ofiary walk i ludzie powieszani przez Fevershama. Są w Europie takie okolice, gdzie egzekucja czterystu ludzi przeszłaby bez echa, ale w Dorset to pokaźna liczba.

Jeffreys wykazywał się niezwykłą pomysłowością, kiedy potrzebował pretekstu, by kogoś skazać, ale w niektórych wypadkach nawet on nie był w stanie udowodnić, że winny zasługuje na śmierć. Takich podejrzanych skazywał na niewolę. Swoją drogą daje to pewne pojęcie o jego sposobie myślenia, skoro niewolę uznaje za łagodniejszy wyrok od kary śmierci. Tysiąc dwustu zwyczajnych protestantów sprzedał na Karaiby jako niewolników. W tej chwili są w drodze na Barbados, gdzie najpierw oni sami, a potem ich dzieci będą po kres swoich dni ścinać trzcinę cukrową wraz z Negrami i Irlandczykami, bez najmniejszej nadziei na uwolnienie.

Moja ukochana Abigail Frome również została niewolnicą, jak wszystkie dziewczęta ze szkoły w Taunton. Większość z nich nie mogła trafić na plantacje trzciny, bo nie przeżyłyby podróży na Karaiby, Jeffreys porozdawał je więc – jak ostrzygi w barze – różnym londyńskim dworakom. Ich rodziny nie mają innego wyjścia, jak wykupić je z niewoli za cenę, jakiej zażądają nowi właściciele.

Abigail stała się własnością dawnego kolegi Jeffreysa ze studiów, Louisa Angleseya, hrabiego Upnor. Jej ojca powieszono, matka od lat nie żyje, większość wujów, ciotek i kuzynostwa wysłano na Barbados, a tych, którzy zostali, nie stać na jej wykupienie. Upnor ma ogromne długi karciane, którymi doprowadził ojca do bankructwa i sprzedania – jakiś czas temu – rodowej rezydencji. Teraz żywi nadzieję, że sprzedaż Abigail powoli mu częściowo spłaci te zobowiązania. Nie muszę chyba dodawać, że chcę zabić Upnora. I że, jak Bóg da, pewnego dnia to zrobię. Tylko że w ten sposób nie pomogę Abigail, bo po prostu przejdzie ona na własność jego spadkobierców. Tylko pieniądze mogą jej zwrócić wolność, a wydaje mi się, że ty znasz się na pieniądzach. Proszę cię więc, byś wykupiła Abigail, a w zamian ofiarowuję ci siebie. Wiem, że nienawidzisz niewolnictwa i nie potrzebujesz kogoś takiego jak ja, ale jeżeli się zgodzisz, będę twoim najprawdziwszym niewolnikiem.



\* \* \*

Opowiadając swoją historię, Bob Shaftoe prowadził Elizę labiryntem leśnych ścieżek, najwyraźniej świetnie się w nim orientując. Wkrótce znaleźli się na brzegu kanału, który zaczynał się w Hadze i uchodził do morza w okolicach Scheveningen. W tej okolicy nie miał – tak jak w mieście – ostrych, kamiennych krawędzi, lecz miękkie, łagodne brzegi, tu i ówdzie porośnięte sitowiem. Żujące zielsko krowy łypały ślepiami na przechodzących obok ludzi, od czasu do czasu przerywając Bobowi swoim dziwnym, bezsensownym zawodzeniem. Im bliżej Hagi się znajdowali, tym większą niepewność okazywał Bob na skrzyżowaniach kanałów, toteż Eliza musiała przejąć prowadzenie. Sceneria prawie się nie zmieniała, tylko z wolna przybywało domów i wąskich kanałów, odchodzących od głównego. Przez jakiś czas po lewej stronie ciągnął się las.

Haga podkrađła się do nich znienna. Nie była miastem ufortyfikowanym, nie przeszli więc po drodze przez bramę w murze, ale w pewnym momencie Eliza skręciła nad brzegiem kanału – kamiennym i solidnym – w prawo i Bob nagle zdał sobie sprawę, że znaleźli się w czymś w rodzaju miejskiej dzielnicy. I to w nie byle jakiej, bo w Hofgebied. Jeszcze chwila i dotarliby do Binnenhofu.

W lesie nad morzem Eliza musiałaby być głupia, żeby rozmawiać z Bobem szczerze. Teraz jednak mogła w każdej chwili krzykiem wezwać pomoc – siedziba gildii Świętego Jerzego znajdowała się w zasięgu głosu.

– Twoja gotowość odpłacenia mi nie ma dla mnie żadnego znaczenia – powiedziała.

Była to odpowiedź dość chłodna, ale dzień był zimny, Wilhelm Orański potraktował ją oziębło, a Bob Shaftoe zrzucił z konia.

Bob był przerażony. Nie przywykł jeszcze do tego, żeby ktoś poza Johnem Churchillem rządził jego życiem, a teraz znalazł się we władzy dwóch niespełna dwudziestoletnich dziewcząt – Abigail, która zabrała mu serce, oraz Elizy, mogącej (jego zdaniem) stać się właścicielką Abigail. Człowiek bardziej oswojony z bezradnością stawiałby zapewne większy opór, ale Bob Shaftoe po prostu zwiotczał, jak janczarzy pod Wiedniem, kiedy stało się oczywiste, że ich tureccy panowie zginęli. Spojrzał załzawionymi oczyma na Elizę i pokręcił z niedowierzaniem głową, a ponieważ Eliza się nie zatrzymała, musiał pobiec za nią.

– Ja też byłam niewolnicą – ciągnęła. – Tak jak twoja Abigail. Miałam wrażenie, że wielka fala porwała nas z mamusią z plaży i ściągnęła w otchłań. Nikt nie przyszedł mnie wykupić. Czy to oznacza, że zasłużyłam na taki los?

– Mówisz od rzeczy. Nie...

– Jeżeli niewola Abigail jest czymś złym, a tak właśnie uważam, twoja oferta jest ni przypiął, ni przyłatał. Jeśli miałabym ją uwolnić, musiałabym też uwolnić wszystkie jej towarzyski. Sam fakt, że jesteś gotów wyświadczyć mi przysługę albo dwie, nie powinien przesuwać jej na czoło kolejki.

– Teraz rozumiem. Robisz z tego poważną kwestię moralną. My, żołnierze, mamy zwyczaj traktować takie problemy z najwyższą podejrzliwością.

Wyszli na Plein, szeroki plac po wschodniej stronie Binnenhofu. Bob czujnie rozglądał się na wszystkie strony. Tuż obok znajdowała się strażnica pełniąca rolę aresztu. Zastanawiał się pewnie, czy Eliza zamierza go do niej zaprowadzić.

Ona jednak zatrzymała się przed drzwiami domu – a właściwie sporej rezydencji, zgodnie z barokową modą przepysznej, lecz nieco dziwnie ozdobionej. Na kominach, gdzie można byłoby się spodziewać krzyży lub posągów greckich bóstw, zamontowano zbudowane z obręczy kule, wiatrowskazy i teleskopy na obrotowych podstawach. Eliza sięgnęła pod szarfę, odsunęła na bok sztylet i wyjęła klucz.

– Co to ma być? Klasztor?

– Nie bądź durniem. Wyglądam na francuską mademoiselle, która mieszkałaby w klasztorze?

– Wynajmujesz tu pokój?

– To dom przyjaciela. A właściwie przyjaciela przyjaciela.

Eliza zakręciła zawieszonym na czerwonej wstążce kluczem.

– Chodź – powiedziała w końcu.

– Że co?

– Wejdź ze mną do środka. Porozmawiamy jeszcze.

– Ale sąsiedzi...

– Nic, co mogłoby się tu wydarzyć, nie zaskoczy sąsiadów tego dżentelmena.

– A co z samym dżentelmenem?

– Śpi. – Eliza otworzyła zamek. – Bądź więc cicho.

– Śpi? W południe?

– Wstaje w nocy i obserwuje gwiazdy.

Eliza podniosła wzrok. Cztery piętra nad ich głowami znajdowała się uczepona dachu drewniana platforma. Nad jej krawędzią wystawał czubek jakiegoś rurowatego przyrządu – zbyt delikatnego, by mógł miotać armatnie kule.

Główna izba na parterze miała zadatki na wspaniałą komnatę – jej ogromne okna wychodziły wprost na Plein i Binnenhof – ale była zavalona tysiącem książek i zaśmiecona pozostałościami po szlifowaniu soczewek i zwierciadeł (niektóre śmieci mogły być niebezpieczne, a wszystkie bez wyjątku powiększały panujący w pokoju bałagan). Książki, o czym Bob nie mógł wiedzieć, dotyczyły nie tylko filozofii naturalnej, lecz także historii i literatury. Zostały napisane głównie po francusku lub łacinie.

Wszystkie te przedmioty wyglądały jednak w miarę znajomo i po pierwszych paru nerwowych minutach nauczył się je ignorować. Paraliżował go natomiast wszechobecny hałas – chociaż wcale nie dlatego, że był głośny. Przeciwnie – dźwięki były ledwie słyszalne. W pokoju znajdowały się co najmniej dwa tuziny zegarów, gotowych i niewykończonych,

napędzanych ciężarkami i sprężynami, w których wysokości i naprężeniu łącznie zgromadzono tyle energii, że wystarczyłoby do wybudowania stodoły. Całą tę moc więziły przeróżne zębate mechanizmy – mosiężne insekty pełzające niezmordowanie po obrzeżach kolczastych kół i konstelacje metalowych gwiazd, zawieszane na sztywnych osiach jak na drzewach, poruszały się i kołysały w rytmie rozhuśtanych wahadeł.

W profesji, którą parał się Bob Shaftoe, długowieczność zawdzięczało się (przynajmniej po części) czujności i wyczuleniu na (między innymi) podejrzaną dźwięki. Głośne hałasy zwróciłyby uwagę nawet największego gamonia, ale doświadczony podoficer, taki jak Bob, powinien interesować się przede wszystkim dźwiękami cichszymi. Eliza miała wrażenie, że Bob należy do ludzi, którzy bezustannie uciszają rozmówców, wstrzymują oddech i strzygą uszami, by się zorientować, czy sporadyczne skrobanie to myszy drapiące w kredensie, czy wróg robiący podkop pod murami; czy rytmiczny stukot to szewc naprawiający po sąsiedzku buty, czy regiment piechoty, który właśnie zajmuje pozycje pod miastem.

Każda zębatka i każde łożysko w tym pokoju wydawały odgłosy, na dźwięk których najczęściej zamierał w bezruchu jak spłoszone zwierzę. Nawet kiedy dotarło do niego, że znajduje się wśród zegarów i ich elementów, paraliżowała go świadomość, że zewsząd otaczają go twory tętniące cierpliwym, mechanicznym życiem. Stał wyprężony na baczność na środku komnaty, z rękami w kieszeniach, oddychając przez usta i strzelając oczami na boki. Te zegary miały tylko wskazywać dokładny czas, nic więcej. Nie wyposażono ich więc w kuranty, gongi ani kukułki; gdyby Bob czekał na takie atrakcje, skończyłby jako zakurzony szkielet wśród osnutych pajęczynami, nieruchomych trybów.

Eliza zwróciła uwagę, że rano, przed wyruszeniem ze swą niezwykłą misją, ogolił się (Jackowi nie przyszłoby to do głowy), i zaczęła się zastanawiać, jak działa męski umysł. Co kazało Bobowi pomyśleć „Lepiej podrapię się po twarzy brzytwą, zanim się do tego zabiorę”? Może była to symboliczna ofiara złożona ukochanej Abigail?

– To kwestia dumy, prawda? – spytała, wrzucając do pieca brykiet torfu. – Czy raczej „honoru”, bo pewnie tak wolałbyś to ująć.

Zamiast odpowiedzieć, Bob spojrział na nią. A może samo spojrzenie miało być odpowiedzią.

– Daj spokój, nie musisz być aż tak cicho.

Eliza postawiła czajnik na piecu.

– Jedno nas z Jackiem łączy – mamy odrazę do zebrania.

– Tak myślałam. Zamiast więc wyblagać u mnie okup za Abigail, proponujesz coś na kształt transakcji handlowej; kredytu, który spłacisz w naturze.

– Nie znam tych wszystkich słów, ale mniej więcej o coś takiego mi chodziło.

– Ale dlaczego przyszedłeś z tym do mnie? Jesteśmy w Republice Holenderskiej, finansowej stolicy świata. Nie musiałeś szukać jednego konkretnego pożyczkodawcy. Mogłeś zaproponować ten układ komukolwiek.

Bob zacisnął w garściach poły płaszcza i zaczął je powoli wyżywać.

– Nie rozumiem zawłości rynków finansowych. Wolałem nie zadawać się z obcymi...

– A kim ja dla ciebie jestem, jeśli nie obcym? – Eliza parsknęła śmiechem. – Gorzej niż obcym, przecież cisnęłam harpunem w twój brata.

– No właśnie. W ten sposób przestałaś być obca. Przecież dzięki temu cię poznałem.

– I to ma dowodzić tego, że gardzę niewolnictwem?

– Tego i innych twoich cech... Tych, które w tym wypadku są ważne.

– Nie jestem ważną osobą, nie mów więc do mnie w ten sposób. To, co zrobiłam, dowodzi tylko, że z niechęci do niewolnictwa zachowuję się czasem irracjonalnie. I właśnie czegoś takiego, irracjonalnej reakcji, teraz ode mnie oczekujesz.

Bob wypuścił z rąk zmietoszony materiał i przysiadł na chwiejnym stosie książek.

– Rzuciła harpunem w mojego brata – ciągnęła tymczasem Eliza. – Więc może rzuci mi trochę pieniędzy? Tak to sobie wykoncypowałeś?

Bob Shaftoe ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się, ale tak cichutko, że tykanie i zgrzyt zegarów całkowicie zagłuszały jego szloch.

Eliza przeszła do kuchni, gdzie w kącie leżały nawinięte na kij osłonki na kielbasy. Odwinęła sześć cali, zastanowiła się, odwinęła jeszcze sześć, odcięła i zawiązała z jednego końca na supeł. Naciągnęła tak powstałą pończoszkę z owczej kieszki na trzonek topora, sterczącego z rzeźnickiego pniaka, po czym delikatnie, czubkami palców, zaczęła go zwijać do góry. Początek był najtrudniejszy, potem wystarczył jeden szybki ruch ręki i w ręce została jej półprzezroczysta elastyczna obrączka z zasupłanym końcem rozpiętym na niej jak skóra na bębnie. Podwinęła spódnicę i wetknęła obrączkę za skraj sięgającej do pól uda pończochy. Tak zaopatrzona wróciła do izby, w której płakał Bob.

Nie było sensu bawić się w subtelności, toteż wcisnęła się mu między uda i wepchnęła biust w twarz.

Po chwili wahania wyciągnął ręce pomiędzy swych wilgotnych od łez policzków i piersi Elizy. Jego twarz przez moment – ale tylko przez moment – była chłodna w dotyku. Zaraz potem Eliza poczuła, jak kładzie jej ręce u dołu pleców, w miejscu gdzie gorset łączył się ze spódnicą.

Trzymał je tak przez chwilę. Już nie płakał, tylko myślał. Elizie szybko się jego myślenie znudziło, przestała więc gładzić go po włosach i zaczęła tarmosić za uszy w sposób, którego nie mógł długo ignorować. Wreszcie zorientował się co ma robić. Domyśliła się, że dla Boba najtrudniejsze jest podjęcie decyzji – dalej już było z górki. Przez te wszystkie lata spędzone wśród wagabundów Bob prawił młodszemu bratu kazania, świadom tego, że do drugiego ucha szepcze Jackowi duch przekory. W efekcie wyrósł na zdeterminowanego flegmatyka, który – kiedy już raz się na coś zdecydował – upodabniał się do wystrzelonej kuli armatniej. Elizie zrobiło się żal, że świat nie dopuścił do tego, żeby połączyli z Jackiem siły, bo taka mieszanka byłaby intrygująca.

Objął ją w talii jedną ręką i podrzucił w powietrze pchnięciem umięśnionych ud; musnęła włosami zakurzoną belkę stropową, schyliła się i objęła mocno jego głowę. Bob ściągnął z sofy koc; walające się na nim do tej pory książki były teraz porozrzucane na nieprzykrytej sofie. Niosąc Elizę i wlokąc za sobą koc, przemieścił się – przy wtórze ogłuszającego trzeszczenia desek podłogi – w pobliże eliptycznego stołu, zarzuconego resztkami posiłku naukowca: obierkami jabłka i zrzynkami goudy. Okrążywszy powoli stół, zawinął rogi obrusa do środka, zebrał je w dłoń i delikatnie odłożył utworzony w ten sposób worek ze śmieciami na podłogę. Następnie rozpostarł na stole koc, przyklepał dłonią, żeby od razu się nie zsunął, i wtoczył Elizę na środek wełnianego owalu.

Stanąwszy nad nią, zaczął się mocować z zapięciem spodni, ale Eliza uznała jego wysiłki za przedwczesne. Wcisnęła mu więc sprytnie kolano między uda i pociągnęła go garścią za włosy, zmuszając w ten sposób, żeby się na niej położył. Leżeli przez chwilę nieruchomo, z nogami przeplecionymi jak palce dwóch złożonych dłoni. Eliza czuła, że Bob powoli staje się gotowy, sama też była coraz bliżej, ale i tak jeszcze przez długą chwilę ocierali się o siebie, jakby Bob mógł jakimś cudem przebić się przez rozliczne warstwy męskiego i damskiego odzienia. Robili to, bo sprawiało im to przyjemność; byli w zimnym, pustym domu w Hadze i nigdzie im się nie spieszyło. Eliza przekonała się, że Bob rzadko miewa dobre samopoczucie i trudno mu się odprężyć. Był strasznie sztywny i długo trwało, zanim ta sztywność spłynęła z jego kończyn i karku, by się skupić w jednym konkretnym miejscu, on zaś dał się przekonać, że nie musi się to dziać w mgnieniu oka. Z początku stał mocno nogami na ziemi i trzymał twarz między piersiami Elizy, ale ta cał po calu wciągała go na siebie; bronił się całym swoim żołnierskim duchem przed utratą kontaktu z ziemią, lecz w końcu zrozumiał, że jeżeli znajdzie się bliżej szczytu stołu, czekają go dalsze rozkosze. Zzuł więc buty i dźwignął na blat najpierw kolana, a potem także stopy.

Przez jakiś czas leżeli twarzą w twarz, co – zdaniem Elizy – zapowiadało się na chyba najprzyjemniejszą część całej zabawy, dopóki w końcu nie przekonała Boba, żeby uniosł głowę i odsłonił przed nią szyję. Jednocześnie zaczęła rozpinać górne guziki jego koszuli, po czym ściągnęła ją w dół, unieruchamiając mu w ten sposób ręce i odsłaniając tors.

Zahaczyła swoim prawym kolaniem o jego lewe, przebiła językiem ochronny kłęb włosów, znalazła prawy sutek Boba i delikatnie go przygryzła. Bob wykręcił się i odsunął. Eliza przyciągnęła do siebie jego unieruchomione kolano, oparła lewą stopę na jego prawym biodrze i mocno pchnęła. Zanim przetoczył się na wznak, wyśliznęła się spod niego i usiadła mu na udach. Szarpnęła w dół spodnie Boba, za jednym zamachem uwalniając jego sztywnego penisa i pętając mu uda. Wyjęła zza pończochy zwiniętą kieszkę, naciągnęła na niego i dosiadła go okrakiem. Bob, który właśnie próbował udawać rozzłoszczonego, dał się wziąć rozkoszy przez zaskoczenie. Eliza też była oszołomiona, bo pierwszy raz znalazł się w niej jakiś mężczyzna. Krzyknęła ze złością, a po policzkach pociekły jej łzy. Przycisnęła pięści do oczu i napięła mięśnie ud, chociaż instynkt nakazywał jej zerwać się na równe nogi.

Miała wrażenie, że Bob nią kołysze, co ją złościło, ale czuła też, że kolanami cały czas opiera się o twardey blat, więc wrażenie ruchu musiało wynikać z zawrotów głowy.

I tę słabość musiała jak najszybciej zwalczyć.

Nie podobało jej się, że Bob tak na nią patrzy. Pochyliła się nad nim, wsparła rękami o stół po obu stronach jego głowy i strząsnęła włosy, które jak kurtyna przesłoniły mu jej twarz i wszystko, co znajdowało się poniżej jego piersi – chociaż Bob i tak nie zamierzał się rozglądać. Doszedł już chyba do wniosku, że mógł się znaleźć w gorszych opałach.

Przez chwilę poruszała się na nim w górę i w dół – powoli, ponieważ wciąż czuła ból, a poza tym nie miała pojęcia, jak dużo mu brakuje do końca. Mężczyźni różnili się między sobą, a każdy konkretny osobnik mógł jeszcze różnie reagować w zależności od pory dnia, jej zaś pozostało tylko wsłuchiwanie się w oddech Boba (który dobrze słyszała) i obserwowanie jego – napiętej lub rozluźnionej – twarzy (która migiała jej w wąskiej szczelinie między zwisającymi swobodnie lokami). Sądząc z tych oznak, sporo jeszcze brakowało jej do końca i czekała ją długa, żmudna harówka. W końcu jednak Bob doszedł, czemu towarzyszyło wyginanie pleców w łuk i wpieranie głowy w blat.

Bob wziął głęboki oddech – ten, po którym ostatecznie poznała, że skończył – i otworzył oczy. Napotkał jej wzrok.

– Bolało jak cholera – powiedziała. – Ale cierpiąc w ten sposób, chciałam ci coś udowodnić.

– Co? – zapytał oszołomiony, otepiąty, ale zadowolony z siebie Bob.

– Chciałam ci pokazać, co myślę o tym twoim całym honorze. Gdzie było w tym miejsce dla Abigail?

Bob Shaftoe próbował się rozgniewać, lecz bez szczególnego powodzenia. Szlachetnie urodzony Anglik prychnąłby pewnie i powiedział „Też coś!”, ale Bob tylko zacisnął szczęki i zaczął się podnosić ze stołu. Wyszło mu to lepiej niż gniewanie się, ponieważ Eliza była drobną dziewczyną – ale do czasu. Ręka zaciśnięta na tureckim sztylcieku – całkiem ładnym, esowatym, z migotliwej stali – wynurzyła się zza kaskady włosów, przysunęła do lewego oka Boba i zmusiła go do ponownego położenia się na płask.

– Mój pokaz był bardzo ważny – powiedziała, a właściwie warknęła Eliza. Ból nadal ją dręczył. – Wstawiasz mi jakieś głodne kawałki o honorze i oczekujesz, że zemdleję i wykupię tę twoją Abigail. Wielokrotnie słyszałam, jak mężczyźni wycierali sobie gęby honorem w obecności dam, po czym zapominali o nim na śmierć, kiedy lęk lub żądza brały w nich górę nad szlachetnymi porywami. Jak rycerze, którzy porzucają błyszczące zbroje i kolorowe sztandary, uciekając przed nacierającą zgrają wagabundów. Nie jesteś od nich gorszy, ale i nie lepszy. Nie dlatego ci pomogę, że wzruszyła mnie historia twojej miłości do Abigail albo poruszyło twoje bełkotanie o honorze. Pomogę ci, ponieważ chcę być czymś więcej niż jedną z wielu fal rozplywających się bezwolnie na zapomnianej przez Boga i ludzi plaży. Monsieur Mansart może pozostawić królewskie *châteaux* na dowód tego, że kiedyś istniał, a ty możesz

się ożenić z Abigail i splodzić klan Shaftoe. Ale jeśli ja mam odcisnąć na tym świecie swoje piętno, będzie miało ono coś wspólnego z walką z niewolnictwem. I pomogę ci tylko w stopniu, w jakim pomaganie ci przybliży mnie do tego celu. Wykupienie jednej dziewczyny z niewoli niczego by nie zmieniło, lecz Abigail może mi się jeszcze przydać... Pomyślę nad tym. A dopóki ja będę myśleć, ona pozostanie niewolnicą tego całego Upnora. Jeżeli w ogóle cię zapamiętała, jesteś dla niej żalonym zdrajcą, tchórzem i nikczemnikiem. Może kiedy w swojej melancholii sięgniesz dna, zrozumiesz moją pozycję.

W tej właśnie chwili rozmowę – o ile tak to można nazwać – przerwało dobiegające z kąta pokoju donośne chrząknięcie, jakby całe galony powietrza przepychały w tchawicy ogromne masy flegmy.

– Skoro już mowa o pozycjach... – rozległ się chrapliwy głos Holendra. – Czy moglibyście państwo przybrać jakąś inną? Jako że skutecznie uniemożliwiliście mi sen, chciałbym przynajmniej coś zjeść.

– Uczyniłbym to z przyjemnością, *meinheer*, ale pańska lokatorka trzyma sztylet przy moim oku – odparł Bob.

– W stosunku do mężczyzn jesteś znacznie bardziej opanowany niż w kontaktach z kobietami – zauważyła *sotto voce* Eliza.

– Taka kobieta jak ty nie widziała opanowanego mężczyzny – odparł Bob. – Chyba że podglądając go przez dziurę po sęku.

Właściciel domu – krzepki, siwiejący mężczyzna po pięćdziesiątce – ponownie odchrząknął. Uniósł krzaczastą brew, niczym włochaty proporzec, i zerknął pytająco na Elizę, jak typowy astronom, który wszystko lepiej widzi jednym okiem.

– Doktor uprzedzał mnie, że mogę się spodziewać niezwykłych gości... ale nic nie mówił o zawieraniu w moim domu transakcji handlowych.

– Niektórzy nazwaliby mnie kurwą – przyznała Eliza. – Niektórzy nawet nazywają. – Spojrzała spode łba na Boba. – Ale w tym wypadku myli się pan, monsieur Huygens. Transakcja, o której rozmawialiśmy, nie ma nic wspólnego z aktem, którego właśnie dokonaliśmy...

– Po co w takim razie zajęliście się oboma tymi rzeczami naraz? Tak wam się spieszy? Czy też po prostu tak właśnie załatwia się te sprawy w Amsterdamie?

– Staram się rozjaśnić temu panu w głowie, żeby zaczął myśleć rozsądnie.

Eliza wyprostowała się; plecy zaczynały ją już boleć, a gorset wrzynał się w brzuch.

Bob odtrącił w bok jej rękę ze sztyletem i gwałtownie usiadł, przez co Eliza omal nie wywinęła koziołka do tyłu. Wylądowałaby na głowie, gdyby nie złapał jej za ramiona i nie obrócił. Właściwie nie bardzo wiedziała, co z nią zrobił, oprócz tego, że manewr ten był skomplikowany i niebezpieczny, ale koniec końców poczuła, że ma zawroty głowy, serce podeszło jej do gardła, włosy opadły na twarz, a sztylet wypadł z ręki. Bob, który tymczasem

znalazł się za plecami Elizy, użył jej w charakterze parawanu i jedną ręką podciągnął spodnie. Palce drugiej dłoni wpił w sznurówki jej gorsetu, próbując ją w ten sposób unieruchomić.

– Nie powinnaś prostować ręki – wyjaśnił spokojnym tonem. – Po tym można poznać, że boisz się pchnąć.

W podzięce za lekcję szermierki Eliza obróciła się na pięcie, licząc na to, że wyłamie mu palce. Bob zaklął, puścił gorset i podciągnął spodnie do końca.

– Panie Huygens, to jest Bob Shaftoe z królewskich Black Torrent Guards. Bob, przedstawiam ci pana Christiaana Huygensa, najznamienitszego naturalistę świata.

– Hooke zamordowałby panią za takie słowa... Leibniz jest bystrzejszy ode mnie. A Newton, choć zdarza mu się błędzić, ma ponoć wielki talent. Powiedzmy zatem, że jestem najznamienitszym naturalistą w tym pokoju – zaproponował Huygens, obrzuciwszy spojrzeniem wszystkich obecnych: siebie, Boba, Elizę i wiszący w kącie szkielet.

Bob, który do tej pory nie zauważył szkieletu, zaniepokoił się, gdy Huygens postanowił uwzględnić go w swej przemowie.

– Proszę o wybaczenie, mój panie. To było haniebne...

– Przestań! – syknęła Eliza. – On jest naturalistą. Filozofem. Jego to nie interesuje.

– Kiedy byłem młody, przychodził tu czasem Kartezjusz. Siadał przy tym stole, wypijał za dużo i zaczynał rozważać problem ciała i umysłu – powiedział zamyślony Huygens.

– Problem? A jaki to problem? Ja tam żadnego problemu nie widzę – mruczał pod nosem Bob, dopóki Eliza nie oparła się o niego plecami i nie przydepnęła mu obcasem śródstopia.

– Eliza nie mogła znaleźć lepszego miejsca na próbę przywrócenia panu pełni władz umysłowych przez upuszczenie zakłócających równowagę *humorów* – ciągnął Huygens.

– Skoro już mówimy o *humorach*... – Bob pomachał długim, pękatym woreczkiem. – Co mam z tym zrobić?

– Włóż do pudełka i wyślij Upnorowi jako pierwszą ratę – poradziła Eliza.

Słońce przedarło się przez chmury i pokój znienacka został zalany złocistym światłem znad Plein. Taki widok ucieszyłby serce każdego Holendra, ale Huygens zareagował nań dość dziwnie, jakby nagle przypomniał sobie o jakimś przykrym obowiązku. Powiódł wzrokiem po swoich licznych zegarach i zegarkach.

– Został mi jeszcze kwadrans na przekąskę – stwierdził. – Potem obowiązki wzywają nas z Elizą na dach. Proszę się rozgościć, sierżancie Shaftoe, chociaż...

– Dziękuję. I tak był pan już dla mnie aż nazbyt łaskawy.

\* \* \*

Praca Huygensa polegała na staniu nieruchomo na dachu, wsłuchiwaniu się w wybijające południe haskie dzwony i zaglądaniu jednym okiem w przyrząd. Eliza miała nie płatać mu się pod nogami, sporządzać notatki i od czasu do czasu podawać niezbędne drobiazgi.



– Próbuje pan ustalić, w którym miejscu słońce znajduje się w południe...

– Wszystko ci się pomieszało. Południe jest wtedy, gdy słońce znajdzie się w określonym punkcie. Inaczej określenie „południe” nie miałoby sensu.

– Więc chce pan stwierdzić, kiedy będzie południe.

– Teraz! – Huygens zerknął na zegarek.

– W takim razie wszystkie zegary w Hadze źle chodzą.

– Zgadza się. Moje również. Nawet najlepiej wykonany zegar z biegiem czasu rozjeżdża się i wymaga korekty. Ja robię to za każdym razem, gdy świeci słońce. Flamsteed za parę minut zrobi to samo na szczycie pagórka w Greenwich.

– Szkoda, że człowieka nie da się tak łatwo skalibrować. – Eliza westchnęła.

Huygens spojrzał na nią z taką samą uwagą, z jaką przed chwilą wpatrywał się w swój instrument.

– Zapewne masz na myśli jakąś konkretną osobę. O ludziach mogę powiedzieć tylko tyle, że wprawdzie trudno stwierdzić, kiedy wszystko działa w nich jak należy, ale łatwo się zorientować, kiedy coś się popsuje.

– Pan z całą pewnością mówi o konkretnej osobie. Obawiam się, że to ja nią jestem.

– Leibniz mi cię polecił. Zna się na ludzkich intelektach. Na charakterach chyba trochę mniej; o każdym chciałby mieć jak najlepsze zdanie. Popytałem o ciebie w Hadze. Różne bardzo ważne osobistości zapewniały mnie, że nie przysporzysz mi kłopotów natury politycznej. Wywnioskowałem z tego, że będziesz umiała się zachować.

Eliza nagle poczuła się bezbronna i zagrożona upadkiem. Cofnęła się i oparła o masywny trójnog teleskopu.

– Przepraszam – powiedziała. – Głupio się zachowałam, tam na dole. Wiem, że tak było, bo naprawdę umiem się zachować. Ale nie zawsze byłam dworką. Na dwór zaprowadziła mnie kręta ścieżka, a po drodze życie kształtowało mnie na różne sposoby, nie zawsze miłe. Może powinnam się wstydzić, ale łatwiej przychodzi mi przekora.

– Rozumiem cię lepiej, niż myślisz – zapewnił ją Huygens. – Wychowywano mnie na dyplomatę, ale kiedy skończyłem trzynaście lat, zbudowałem sobie obrabiarkę.

– Co takiego?

– Obrabiarkę. Tu, w tym domu. Wyobraź sobie konsternację moich rodziców. Uczyli mnie łaciny, greki, francuskiego i innych języków, gry na lutni, wioli i klawikordzie; o literaturze i historii wiedziałem wszystko, co potrafili mi przekazać. Tajniki matematyki i filozofii zgłębiałem pod okiem samego Kartezjusza. A potem skonstruowałem obrabiarkę. Sam nauczyłem się szlifować soczewki. Rodzice zaczęli się bać, że wychowali sobie rzemieślnika.

– Nikt nie cieszy się tak jak ja, że sprawy ułożyły się po pańskiej myśli – powiedziała Eliza. – Ale chyba jestem głupia, bo nie widzę związku pańskiej historii z moją.

– Zegar może się spieszyć lub późnić, trzeba go tylko od czasu do czasu skalibrować podług słońca. Wystarczy, żeby słońce pokazywało się na niebie raz na dwa tygodnie. Kilka minut światła w okolicy południa pozwala wychwycić błąd i wprowadzić poprawkę, pod warunkiem, że będzie się nam chciało wyjść na dach i dokonać pomiarów. Moi rodzice o tym wiedzieli, dlatego nie martwił ich zbytnio mój zapał do dziwacznych spraw. Byli pewni, że nauczyli mnie, jak rozpoznać, że zbaczam z właściwej ścieżki, i jak skorygować swój błąd.

– Teraz chyba rozumiem. Nie pozostaje mi nic innego, jak zastosować tę zasadę do mojej osoby.

– Nie ukrywam, że kiedy rano schodzę do jadalni i zastaję cię kopulującą na stole z jakimś dezenterem, jakbyś była wagabundą, drażni mnie to. Ale większą wagę przykładam do tego, co robisz później. Jeżeli okazujesz przekorę, jest to dla mnie sygnał, że nie nauczyłaś się rozpoznawać i naprawiać swoich błędów. W takim wypadku musisz opuścić mój dom, tacy ludzie bowiem staczają się coraz niżej, aż do ostatecznego unicestwienia. Jeżeli jednak wykorzystasz tę okazję do refleksji nad tym, gdzie zrobiłaś fałszywy krok, i wrócisz na właściwy kurs, będę wiedział, że poradzisz sobie w życiu.

– Dziękuję panu, bo to dobra rada. Przynajmniej w teorii. W praktyce nie wiem co myśleć o Bobie.

– Mam wrażenie, że masz z nim jakieś rachunki do wyrównania.

– Nie z nim. Z całym światem.

– W takim razie przyłóż się do tego, a ja chętnie będę cię dalej gościł. Proszę tylko, byś dalsze próby uwodzenia mężczyzn podejmowała w swojej sypialni.

## **Giełda [między Threadneedle i Cornhill]**

**Wrzesień 1686**

*Znam i tych wysokich (jak pnie dużych drzew),  
Co formą dialogu kłamstwa czynią siew.  
Tych nikt nie zaczepia za pisanie tak!...  
Lecz Pan im przekleństwa wnet da straszny znak!  
Dajmy wolność prawdzie, niech zapali nas  
Tak, abyśmy Boga uwielbili wraz,  
Jak On tego pragnie.*

John Bunyan, *Wędrowka pielgrzyma*

**DRAMATIS PERSONAE**

DANIEL WATERHOUSE, purytanin;  
SIR RICHARD APHORP, dawny złotnik, właściciel Aphorp's Bank;  
HOLENDER;  
ŻYD;  
ROGER COMSTOCK, markiz Ravenscar, dworzanin;  
JACK KETCH, naczelny kat Anglii<sup>11</sup>;  
HEROLD;  
WOŹNY;  
EDMUND PALLING, starszy mężczyzna;  
KUPCY;  
SŁUGI APHORPA;  
POCHLEBCY APHORPA;  
POMOCNICY JACKA KETCHA;  
ŻOŁNIERZE;  
MUZYKANCI.

SCENA: dziedziniec otoczony kolumnami.

*DANIEL WATERHOUSE siedzi na krześle wśród krzątających się KUPCÓW. Wchodzi sir RICHARD APHORP ze Sługami i Pochlebcami.*

APHORP: Własnym oczom nie wierzę... Doktor Daniel Waterhouse!

WATERHOUSE: Witaj, sir Richardzie.

APHORP: Proszę, proszę, zasiada na krześle!

WATERHOUSE: Długi dzień, sir Richardzie. Jestem zmęczony.

APHORP: Powinieneś być w ciągłym ruchu, to pomaga. Nawiasem mówiąc, taka jest przecież idea giełdy. To świątynia Merkurego, nie Saturna!

WATERHOUSE: Uważasz, że jestem ociężały? Saturn to Kronos, bóg czasu. Jeżeli szukasz kogoś o tak ponurej naturze jak on, powinieneś poznać pana Hooke'a, najlepszego zegarmistrza na świecie...

*Wchodzi Holender.*

HOLENDER: Ależ proszę pana! To nasz pan Huygens nauczył pana Hooke'a wszystkiego, co ten umie!

---

<sup>11</sup> Jack Ketch to postać historyczna. Z czasem jego imię i nazwisko stało się po prostu synonimem „kata” (przyp. tłum.).

*Wychodzi.*

WATERHOUSE: W różnych krajach czci się tych samych bogów pod różnymi imionami. Grecy mieli Kronosa, Rzymianie Saturna, Holendrzy mają Huygensa, a my Hooke'a.

APTHORP: Skoro nie uważasz się za Saturna, kim jesteś, że przesiadujesz na krześle, zadumany i ponury, w samym środku giełdy?

WATERHOUSE: Przyszedłem na świat jako rodzinny wybraniec do udziału w Apokalipsie. Nazwano mnie na pamiątkę najbardziej niezwykłej księgi w całej Biblii. Przegnałem z Londynu zarazę i sprowadziłem do niego pożogę. Odprawiłem z tego świata Drake'a Waterhouse'a i króla Karola. Tymi rękami złożyłem głowę Cromwella z powrotem do grobu.

APTHORP: Na Boga! Mój panie!

WATERHOUSE: Ostatnio widuje się mnie w okolicach Whitehallu, jak, odziany na czarno, napawam dworzan lękiem.

APTHORP: Co zatem sprowadza Plutona do świątyni Merkurego?

*Wchodzi Żyd.*

ŻYD: Za pozwoleniem, za pozwoleniem *señor*... z łaski swojej... Gdzie jest *tablero*?

*Oddala się niespiesznie.*

APTHORP: Zobaczył, że masz krzesło, i pomyślał, że będziesz wiedział, gdzie jest stół.

WATERHOUSE: Stół byłby *mesa*. Może chodziło mu o *banca*, biurko...

APTHORP: Prawie każdy, kto na terenie giełdy zasiada na krześle, ma przed sobą *banca*. Ten człowiek pytał, co się stało z twoim!

WATERHOUSE: Może po prostu szuka banku.

APTHORP: Czyli mnie?

WATERHOUSE: Przecież tak właśnie przemianowałeś swój warsztat złotniczy, prawda? Na „bank”?

APTHORP: Istotnie, przemianowałem. Ale dlaczego w takim razie nie zapytał po prostu o mnie?

WATERHOUSE: *Señor?! Proszę chwileczkę zaczekać!*

*Żyd wraca ze świstkiem papieru.*

ŻYD: Coś takiego! Coś takiego!

APTHORP: Czym on tam tak wymachuje? Nie mam okularów.

WATERHOUSE: Nakreślił coś, co naturalista nazwałby kartezjańskim układem współrzędnych, a pan, sir Richardzie, księgą rachunkową. W jednej kolumnie są wypisane słowa, w drugiej liczby.

APTHORP: *Tablero*... Chodzi mu o tablicę z wypisanymi cenami. Towarów, zapewne.

ŻYD: Tak, towarów!

WATERHOUSE: Jak rany... Przecież stoi tam, w kącie. Czy ten człowiek jest ślepy?

APTHORP: Rabbi, nie obraż się, że mój przyjaciel się zirytował. On jest władcą świata podziemnego i słynie z humorów. Tutaj, w świątyni Merkurego, panuje wieczny ruch, wszystko płynie... Wiedza i informacja przepływają jak woda, o której mówią Psalmy. Popełniłeś jednak błąd, pytając Plutona, boga sekretów. Co on tu robi? To rzeczywiście tajemnica. Sam się zdziwiłem na jego widok. Pomyślałem, że widzę ducha.

WATERHOUSE: *Tablero* jest tam.

ŻYD: To wszystko?!

APTHORP: Przyjechał pan z Amsterdamu?

ŻYD: Tak.

APTHORP: Ile towarów umieszcza się na *tablero* w Amsterdamie?

ŻYD: O, tyle...

*Pisze.*

APTHORP: Danielu, co on tam napisał?

WATERHOUSE: Pięćset pięćdziesiąt.

APTHORP: Boże, chroń Anglię! Holendrzy mają *tablero* z blisko sześciuset towarami, a my w Londynie kawałek deski z paroma tuzinami.

WATERHOUSE: Nic dziwnego, że jej nie rozpoznał.

*Żyd wychodzi, udając się w kierunku wyżej wzmiankowanej deski, prychnając i wywracając oczami.*

APTHORP (do SŁUGI): Idź za tym Żydem i dowiedz się, czego chce. On coś wie.

*Sługa wychodzi.*

WATERHOUSE: Kto jest bogiem sekretów?

APTHORP: Ty. Nie powiedziałeś mi jeszcze, dlaczego tu jesteś.

WATERHOUSE: Jako władca świata podziemnego najczęściej siedzę na tronie w Studni Dusz, gdzie duchy zmarłych unoszą się i wirują wokół mnie jak suche liście. Po tym, jak dziś rano obudziłem się w Kolegium Greshama, gdzie mieszkam, i wyszedłem na przechadzkę

Bishopsgate, przez przypadek zerknąłem zza kolumnady na dziedziniec giełdy. Był pusty. Tylko mały wir powietrzny porывał porzucone przez kupców karteluski, które orbitowały wokół *bancas* niczym suche liście... Skonfundowany, pomyślałem, że znalazłem się w piekle i zająłem należne mi miejsce.

APTHORP: Drażni mnie twój sposób wysławiania się.

*Wchodzi markiz Ravenscar w przepysznym stroju.*

RAVENSCAR: „Hipoteza zawirowań przysparza wielu problemów”!

WATERHOUSE: Boże, chroń króla.

APTHORP: Boże, chroń króla. I przeklnij tych, którzy bawią się w zagadki.

WATERHOUSE: Niepotrzebnie znów przeklinasz Plutona.

RAVENSCAR: On przeklina mnie, Danielu, za gadanie o zawirowaniach.

APTHORP: Tajemnica rozwikłana. Rozumiem teraz, że umówiliście się tu na spotkanie. A ponieważ mówisz o zawirowaniach, mój panie, domniemywam, że ma ono dotyczyć filozofii naturalnej.

RAVENSCAR: Pozwolę sobie nie zgodzić się z panem, sir Richardzie. To on, człowiek na krześle, wskazał mi to miejsce spotkania. Zazwyczaj spotykamy się w „Złotym Pasikoniku”.

APTHORP: A więc tajemnica trwa. Dlaczego dziś wybrałeś giełdę, Danielu?

WATERHOUSE: Wkrótce się przekonacie.

RAVENSCAR: Może chodzi mu o to, że mamy przehandlować pewne dokumenty? *Voilà!*

APTHORP: Co wyjąłeś z kieszeni, mój panie? Co to za papiery? Nie mam okularów.

RAVENSCAR: Przesyłka prosto z Hanoweru. Doktor Leibniz zaszczycił cię, Danielu, przesłaniem opatrzonego autografem egzemplarza *Acta Eruditorum*. Znajdziesz tam całe mnóstwo matematycznych inkantacji, pociętych wydłużonymi literami „S”. Cudowne!

WATERHOUSE: A zatem doktor Leibniz postanowił dłużej nie trzymać świata w niepewności i opublikował rachunek całkowity.

RAVENSCAR: Mam również listy. Są zaadresowane do ciebie osobiście, co oznacza, że czytało je dotąd zaledwie kilkadziesiąt osób.

WATERHOUSE: Za pozwoleniem...

APTHORP: Na Boga, mój panie, gdyby pan WATERHOUSE wyrwał je panu z ręki choć odrobinę szybciej, z pewnością zajęłyby się ogniem! Mieszkaniec świata podziemnego powinien ostrożniej obchodzić się z łatwopalnymi przedmiotami.

WATERHOUSE: Proszę, zgodnie z obietnicą. Księga pierwsza i druga *Principia Mathematica* Isaaca Newtona, prosto z Cambridge... Proszę uważać! Niektórzy powiedzieliby, że to cenny dokument.

APTHORP: Phi! Co to ma być: kamień węgielny domu czy zwykły rękopis?

RAVENSCAR: Uch! Sądząc po wadze, raczej to pierwsze.

APTHORP: Cokolwiek to jest, jest za długie. Za długie!

WATERHOUSE: To dzieło wykłada istotę ustroju świata.

APTHORP: Przydałby mu się redaktor obdarzony odrobiną krytycyzmu!

RAVENSCAR: Proszę tylko spojrzeć, ile tu rysunków... Do diabła! Masz pojęcie, ile to będzie kosztowało? Z tyloma drzeworytami?!

WATERHOUSE: Wyobraź sobie, że każdy z nich oznacza oszczędność tysiąca stron żmudnych wyjaśnień i obliczeń obfitujących w rozciągnięte „S”.

RAVENSCAR: Mimo wszystko... Wydanie tych ksiąg drukiem zrujnuje Towarzystwo!

APTHORP: To dlatego pan Waterhouse zasiadł na krześle, ale nie przy *banca*. W ten sposób symbolicznie wyraża kondycję finansową Towarzystwa Królewskiego. Mam poważne obawy, że za chwilę zostanę poproszony o pieniądze. Słyszycie mnie, panowie?

*Cisza.*

APTHORP: Proszę, proszę, czytajcie sobie dalej. Nie przeszkadza mi, że mnie ignorujecie. A te papiery są z pewnością fascynujące. Mam rację?

*Cisza.*

APTHORP: O! Niczym łosoś, który krętym torem podąży w górę rzeki, prześlizgując się po głazach i przeskakując zatopione kłody, wraca mój asystent.

*Wchodzi Sługa.*

SŁUGA: Miał pan rację co do tego Żyda, sir Richardzie. Planuje zakup określonych towarów, i to w dużych ilościach.

APTHORP: Najwidoczniej w tej chwili ich cena na tablicy w Amsterdamie jest wyższa niż na naszej skromnej angielskiej deszczulce. Żyd chce tanio kupić u nas i drogo sprzedać u nich. Powiedz mi, z łaski swojej, na jakie to towary jest taki popyt w Amsterdamie?

SŁUGA: Szczególnie interesował się grubymi, wytrzymałymi tkaninami...

APTHORP: Płótno żaglowe! Ktoś buduje flotę!

SŁUGA: Zaznaczył wyraźnie, że nie chodzi mu o płótno na żagle, lecz o coś tańszego.

APTHORP: Materiał na namioty! Ktoś werbuje armię! Chodź, trzeba wykupić wszystko, co może się przydać na wojnie.

*Apthorp z orszakiem wychodzą.*

RAVENSCAR: Więc to nad tym pracował Newton?

WATERHOUSE: A jak mógłby tyle napisać, gdyby nie pracował?

RAVENSCAR: Kiedy ja nad czymś pracuję, Danielu, efekty moich starań są pokawałkowane; otrzymuję je po grudce na raz. A to jest spójna całość, 3ez szwów, jak szata Zbawiciela... Czym się Newton zajmie w trzeciej księdze? Wskrzeszaniem zmarłych i wniebowstąpieniem?

WATERHOUSE: Zamierza wyznaczyć orbitę Księżyca, pod warunkiem że Flamsteed wypuści z rąk dane niezbędne do obliczeń.

RAVENSCAR: Jeśli ich nie wypuści, wyrwę mu je razem z paznokciami. Na Boga, to ci dopiero ciekawostka: „Każdemu działaniu towarzyszy przeciwdziałanie, równe co do wielkości, lecz przeciwnie skierowane... Kiedy naciskamy kamień palcem, kamień również naciska na palec”. Nawet ja, Danielu, potrafię docenić perfekcję tego dzieła. Jak ty je musisz postrzegać...

WATERHOUSE: Skoro już w ten sposób stawiasz sprawę, pomyśl, czym będzie ono dla Leibniza, który przerasta mnie w podobnym stopniu, jak ja ciebie. Jeżeli Newton jest palcem, Leibniz jest kamieniem; przyciskają się nawzajem z równą, choć przeciwnie skierowaną siłą, która z każdym dniem się wzmacnia.

RAVENSCAR: Ale Leibniz, w przeciwieństwie do ciebie, nie czytał rękopisu, więc nie byłoby go sensu pytać.

WATERHOUSE: Pozwoliłem sobie streścić *Principia* Leibnizowi, w ogólnym zarysie. To dlatego wysłał mi teraz taką masę listów.

RAVENSCAR: Chyba nie odważy się podać w wątpliwość tak znakomitego dzieła?!

WATERHOUSE: Niestety, nie widział go. Chociaż może to i dobrze. Rękopis Newtona oszałamia czytelnika wspaniałością geometrii, a trudno coś krytykować, kiedy człowiek na klęczkach zasłania ręką oślepione oczy.

RAVENSCAR: Naprawdę myślisz, że Leibniz znalazłby jakiś błąd w tych dowodach?

WATERHOUSE: Nie. Dowody Newtona nie mogą zawierać błędów.

RAVENSCAR: Jak to nie mogą?

WATERHOUSE: Kiedy człowiek patrzy na leżące na stole jabłko, mówi „Na stole leży jabłko”. Podobnie, patrząc na rysunki Newtona, można od razu stwierdzić „Newton ma rację”.

RAVENSCAR: W takim razie czym prędzej prześlę doktorowi egzemplarz, aby mógł ukłęknać razem z nami.

WATERHOUSE: Nie rób sobie kłopotu. Leibniz nie krytykuje tego co Newton zrobił, lecz to co pominął.

RAVENSCAR: Może namówimy Newtona, żeby zajął się tym w trzeciej księdze. W ten sposób usunąłby źródła wątpliwości Leibniza. Mógłbyś wpłynąć na Newtona, żeby...

WATERHOUSE: To, że działam mu na nerwy, nie znaczy wcale, że mam na niego wpływ.

RAVENSCAR: A zatem przekazemy mu obiekcje Leibniza wprost.



WATERHOUSE: Nie rozumiesz natury tych obiekcji. Nie chodzi o to, że Newton pozostawił bez dowodu jakiś lemat, albo zaniedbał jakiś obiecujący kierunek rozważań. Cofnij się do początku, przed „Prawa ruchu”, i spójrz, co pisze we wstępie. Zacytuję z pamięci: „Albowiem zamierzam przedstawić tu jedynie matematyczną reprezentację tych sił, nie wdając się w rozważania ich fizycznych przyczyn i źródeł”.

RAVENSCAR: I co w tym złego?

WATERHOUSE: Ktoś mógłby powiedzieć, że jako naturaliści powinniśmy badać przyczyny i źródła sił. Dzisiaj rano, Rogerze, usiadłem sobie na tym pustym dziedzińcu, po którym hulał niewidzialny wiatr, tworząc w powietrzu wir. Wiru nie było widać; skąd zatem wiedziałem o jego istnieniu? Stąd, że wprawiał w ruch nieprzeliczone świstki papieru, które zaczęły wokół mnie orbitować. Gdybym przyniósł swoje przyrządy, mógłbym dokonać obserwacji i pomiarów, wyliczyć prędkości i wykreślić trajektorie tych skrawków, a gdybym dodatkowo był równie bystry jak Isaac, mógłbym na ich podstawie stworzyć ogólny i spójny wizerunek wiru powietrznego. Ale gdybym był Leibnizem, nie zrobiłbym żadnej z tych rzeczy. Po prostu bym zapytał: skąd się tu wziął ten wir?

#### PRZERWA

*Dźwięki zza kulis: ponury pochód wchodzi na Fish Street Hill od strony TOWER.*

*Zaskoczeni Kupcy wymieniają zaleźnione spojrzenia, gdy pochód wchodzi na giełdę i zakłóca handel.*

*Wchodzą dwa pierwsze plutony Black Torrent Guards. Królewscy strażnicy mają muszkiety z zatkniętymi na lufach długimi ostrzami w rodzaju tych, które od niedawna stosuje francuska armia, nazywając je bagnetami. Żołnierze opuszczają muszkiety do pozycji poziomej i poganiając bagnetami Kupców, przepędzają ich z dziedzińca i zmuszają do uformowania koncentrycznych pierścieni wokół jego środka, niczym gapiów na zaimprovizowanym przedstawieniu Punchinella.*

*Wchodzą trębacze i dobosze, a za nimi HEROLD wykrzykujący jakiś prawniczy belkot. Dobosze wybijają na bębnach dostojny, powolny rytm. Wchodzi JACK KETCH w czarnym kapturze. Kupcy milczą jak zakłęci.*

*Wjeżdża wóz zaprzężony w czarnego konia, wypełniony drewnem na opał, pęczkami chrustu i słojami. Obok niego idą POMOCNICY Jacka Ketcha. Układają chrust na ziemi i polewają go oliwą ze słoików.*

*Wchodzi WOŹNY z KSIĘGĄ oplataną zapiętym na kłódkę łańcuchem.*

JACK KETCH: W imieniu króla, stój! Ktoś ty?

WOŹNY: John Buli, woźny sądowy.

JACK KETCH: Co tu robisz?

WOŹNY: Wypełniam wolę króla. Mam tu więźnia, na którym ma zostać wykonany wyrok.

JACK KETCH: Jak nazywa się więzień?

WOŹNY: *Historia niedawnych rzezi i prześladowań francuskich hugenotów; z dołączonym skróconym sprawozdaniem z krwawych i okrutnych zbrodni, których ofiarą na rozkaz króla Francji Ludwika XIV padli niewinni protestanci zamieszkujący Księstwo Sabaudii.*

JACK KETCH: O co więzień został oskarżony?

WOŹNY: Nie tylko go oskarżono, ale także sprawiedliwie osądzono za uparte rozpowszechnianie nieprawdy, podżeganie do buntu, oraz obrzucanie licznymi oszczerstwami najbardziej chrześcijańskiego monarchy, Ludwika XIV, prawdziwego przyjaciela naszego króla i lojalnego sojusznika Anglii.

JACK KETCH: Zaiste, ohydne to zbrodnie! Czy sąd ogłosił wyrok?

WOŹNY: W rzeczy samej. Jak już wcześniej wspomniałem, lord Jeffreys nakazał przekazanie więźnia w twoje ręce celem natychmiastowego wykonania egzekucji.

JACK KETCH: W takim razie przyjmę go równie uprzejmie, jak świętej pamięci księcia Monmouth.

*Jack Ketch podchodzi do Woźnego i łapie koniec łańcucha. Woźny wypuszcza księgę z rąk i otrzepuje dlonie. W powolnym, stłumionym rytmie bębnow Jack Ketch podchodzi do stosu, ciągnąc księgę po ziemi. Z zamachem ciskają na stos, cofa się i bierze pochodnię z rąk Pomocnika.*

JACK KETCH: Chcesz jeszcze coś powiedzieć, wszeteczna księgo? Nie? Doskonale. Idź do diabła!

*Podpala stos.*

*Kupcy, Żołnierze, Muzykanci, Pomocnicy kata i inni patrzą w milczeniu, jak ogień pochłania księgę.*

*Wychodzą Woźny, Herold, Jack Ketch, jego Pomocnicy, Muzykanci i Żołnierze, zostawiając za sobą dymiącą stertę popiołu.*

*Kupcy wracają do swoich zajęć, jak gdyby nigdy nic – wszyscy poza EDMUNDEM PALLINGIEM, starszym mężczyzną.*

PALLING: Panie Waterhouse! Z faktu, że jako jedyny przyniósł pan coś do siedzenia, wnoszę, że spodziewał się pan tego niegodnego widowiska, które tak zhańbiło giełdę?

WATERHOUSE: Można by to wyczytać między wierszami.

PALLING: Między wierszami... Łacinnie powiedziane. Ciekawe co z treścią nieodżałowanej księgi, wspominającej o prześladowaniach naszych braci w wierze we Francji i Sabaudii. Czy teraz, kiedy została spalona, między jej wierszami też można coś wyczytać?

WATERHOUSE: Wysłuchałem w życiu wielu kazań, panie Palling, i wiem, do czego pan zmierza. Za chwilę powie pan, że tak jak nieśmiertelna dusza oddziela się od ciała i jednoczy z Bogiem, tak i treść świętej pamięci księgi unosi się na wietrze tam, gdzie snuje się dym... Zaraz, a pan się czasem nie wybierał do Massachusetts?

PALLING: Zbieram pieniądze na podróż, tylko to mnie zatrzymało. Gdyby kat nie zmaćcił i nie zmieszał subtelných prądów rynku, pewnie już byłoby po wszystkim.

*Wychodzi.*

*Wchodzi sir Richard Aphorp.*

APTHORP: Palenie książek... Czy nie jest to przypadkiem ulubiona praktyka hiszpańskiej inkwizycji?

WATERHOUSE: Nigdy nie byłem w Hiszpanii, sir Richardzie, toteż wiem o paleniu ksiąg przez inkwizycję tylko dzięki ogromnej liczbie ksiąg, które na ten temat napisano.

APTHORP: No tak... Chyba rozumiem.

WATERHOUSE: Błagam, sir Richardzie, proszę nie mówić „chyba rozumiem” w tak znaczący sposób. Nie chciałbym stać się następnym klientem Jacka Ketcha. Pytałeś wielokrotnie, dlaczego zasiadam tu na krześle. Teraz już wiesz: przyszedłem zobaczyć, jak wymierza się sprawiedliwość.

APTHORP: Wiedziałeś, że do tego dojdzie. Sam maczałeś w tym palce. Dlaczego na miejsce wykonania wyroku wybrałeś giełdę? Pod drzewem rosnącym w Tyburn, podczas którejś z regularnych piątkowych egzekucji miałbyś o wiele bardziej entuzjastyczną widownię. Ba, mógłbyś tam spalić cały księgozbiór jakiejś biblioteki, a tłuszczka tylko by się darła o jeszcze.

WATERHOUSE: Tacy ludzie nie czytają książek. Pokaz nie miałby sensu.

APTHORP: Skoro chodziło o to, by zasiać bojaźń Bożą w sercach ludzi czytających, dlaczego nie urządziłeś palenia w Cambridge? Albo w Oxfordzie?

WATERHOUSE: Jack Ketch nie lubi podróżować. W tych nowych powozach jest mało miejsca na nogi, a katowski topór nie mieści się do kufra...

APTHORP: Może chodzi o to, że uczeni nie mają ani dość władzy, ani środków, by wszcząć bunt?

WATERHOUSE: W rzeczy samej. Po co zastraszać słabych? Należy pogrozić palcem tym, którzy sami mogą być groźni.

APTHORP: Po co? Żeby utrzymać ich w karchach? Czy żeby zaszczyć w ich umysłach myśl o rebelii?

WATERHOUSE: Stawiając tę kwestię w ten sposób, sir Richardzie, pytasz, czy jestem skażonym trującą atmosferą Whitehallu zdrajcą, który wyparł się sprawy przodków, czy renegatem, który potajemnie szykuje bunt.

APTHORP: Na to wygląda.

WATERHOUSE: W takim razie albo zacznij mi zadawać łatwiejsze pytania, albo daj mi spokój. Albowiem bez względu na to, czy jestem skrytobójcą, czy fanatykiem, z całą pewnością nie jestem już uczonym, z którym można bezkarnie igrzać. Jeżeli musisz kogoś zadrećcać takimi pytaniami, proszę, zadaj je sobie; jeżeli jednak nalegasz na odpowiedź, najpierw zdradź mi swoje sekrety, zanim zażadasz, bym podzielił się z tobą moimi. Gdybym jakiegś miał.

APTHORP: Myślę, że masz, mój panie.

*Kłania się.*

WATERHOUSE: Dlaczego zdejmujesz przede mną kapelusz?

APTHORP: Aby okazać ci szacunek, panie. Tobie i temu, kto cię stworzył.

WATERHOUSE: Drake'owi?!

APTHORP: Skądże znowu. Miałem na myśli pańskiego mentora, świętej pamięci Johna Wilkinsa, lorda biskupa Chester, którego niektórzy nazwaliby wcieleniem Janusa. Przecież to on jedną ręką napisał *Cryptonomicon*, a drugą *Pismo Uniwersalne*. Przyjaźnił się z najwyższymi rangą Kawalerami, zalecając się w tym samym czasie do siostry Cromwella, którą zresztą wkrótce potem poślubił. Przypominał Janusa jeszcze pod wieloma innymi względami, ale nie chce mi się ich teraz tu wyliczać, tym bardziej że niedaleko pada jabłko od jabłoni: ty też w jednej chwili dzielisz się informacją jak Merkury, by zaraz potem milczeć niczym Pluton.

WATERHOUSE: Minerwa również występowała w przebraniu mentora, kiedy jej uczniem był wielki Ulisses. Będę się ściśle trzymał klasycznej interpretacji twoich słów, sir Richardzie, i postaram się nie obrazić.

APTHORP: Postaraj się i nie obraż, dobry panie. Nie zamierzałem cię bowiem urazić. Miłego dnia.

*Wychodzi.*

*Wchodzi Ravenscar, niosąc Principia Mathematica.*

RAVENSAR: Zaraz zaniosę to do drukarza, ale tak się jeszcze zastanawiałem nad tą sprawą Newtona i Leibniza...

WATERHOUSE: Co takiego?! Wystąpienie Jacka Ketcha nie zrobiło na tobie wrażenia?!

RAVENSAR: Ta szopka? Domyślałem się, że zaaranżowałeś ją, by umocnić swoją pozycję jako dyżurnego królewskiego lizusa ze strony protestantów, a przy okazji obudzić ducha buntu w głowach i sercach ludzi zamożnych i wpływowych. Wybacz, że się nie zachwygam. Dwadzieścia lat temu byś mi zaimponował, ale według moich obecnych standardów twoja

intryga jest zaledwie umiarkowanie wyrafinowana. Bardziej interesowali mnie Newton i Leibniz.

WATERHOUSE: W takim razie słucham.

RAVENSCAR: Już dawno temu Kartezjusz wyjaśnił, że planety okrążają Słońce jak porwane wiatrem skrawki papieru. Wobec tego wątpliwości Leibniza są bezpodstawne – nie ma w tym żadnego sekretu, a Newton niczego nie przeoczył.

WATERHOUSE: Leibniz przez wiele lat usiłował zgłębić przedstawioną przez Kartezjusza dynamikę, aż wreszcie się poddał. A Kartezjusz się mylił. Jego teoria dynamiki jest piękna, to czysta geometria i matematyka, lecz kiedy przyrównać ją do rzeczywistości, dostajemy jedną wielką katastrofę. Idea zawirowań w ogóle się nie sprawdza. Nie ma cienia wątpliwości, że prawo odwrotnej proporcjonalności siły do kwadratu odległości obowiązuje i rządzi ruchem ciał niebieskich po krzywych stożkowych. Nie ma jednak nic wspólnego z zawirowaniami, eterem ani innymi podobnymi bzdurami.

RAVENSCAR: No to skąd się bierze?

WATERHOUSE: Isaac twierdzi, że od Boga. Że jest przejawem Jego obecności w świecie fizycznym. Leibniz utrzymuje, że w grę wchodzi oddziaływanie cząstek tak małych, że aż niewidocznych.

RAVENSCAR: Atomów?

WATERHOUSE: W skrócie, pomijając to co najciekawsze, można powiedzieć, że atomy nie mogłyby poruszać się i wymieniać dostatecznie szybko. Dlatego Leibniz mówi o monadach, cząstkach bardziej podstawowych niż atomy. Gdybym próbował ci to wytłumaczyć, obu nas rozbolełyby głowy. W każdym razie Leibniz wziął się na serio do roboty i w odpowiednim czasie na pewno się czegoś dowiemy.

RAVENSCAR: To dziwne. W liście do mnie stwierdził, że po opublikowaniu rachunku całkowego zamierza zająć się badaniami genealogicznymi.

WATERHOUSE: Studia nad genealogią wiążą się z podrózkami, a doktorowi pracuje się najlepiej, kiedy podskakuje w rozklekotanym powozie na europejskich drogach. Może jednocześnie zając się obiema interesującymi go kwestiami, i czymś jeszcze przy okazji.

RAVENSCAR: Jego decyzja o podjęciu studiów historycznych będzie przez wielu postrzegana jako przyznanie się do porażki. Ja osobiście nie rozumiem, po co traci czas na grzebanie w prastarych rodowodach.

WATERHOUSE: Może nie jestem jedynym naturalistą, który w razie potrzeby potrafi uknuć „umiarkowanie wyrafinowaną intrygę”?

RAVENSCAR: Co ty wygadujesz, do diaska?!

WATERHOUSE: Obejrzyj sobie jakieś stare drzewa genealogiczne, przestań uważać Leibniza za pokonanego niedołęgę i przemyśl to wszystko. Użyj swojej biegłości w filozofii naturalnej. Pomyśl na przykład o tym, że dzieci syfilityków często dziedziczą tę chorobę i nie mogą same spłodzić zdrowego potomstwa.

RAVENSCAR: Zapuszczasz się na głębokie wody, Danielu. A na głębinie żyją potwory. Nie zapominaj o tym.

WATERHOUSE: To prawda. Wydaje mi się, że kiedy człowiek osiąga w życiu taki moment, że musi zabić potwora, tak jak święty Jerzy, albo jak Jonasz dać się potworowi pożreć, rzuca się do wody i płynie.

RAVENSCAR: A ty? Chcesz zabić czy dać się zjeść?

WATERHOUSE: Mnie już zjedzono. Mogę teraz tylko zabić albo dać się zwymiotować na jakiś skrawek suchego łądu... Na przykład wybrzeże Massachusetts.

RAVENSCAR: No dobrze. Zanim jeszcze bardziej mnie nastraszysz, idę do drukarza.

WATERHOUSE: To może być twoje najwspanialsze zlecenie, Rogerze.

*Wychodzi markiz Ravenscar.*

*Wchodzi sir Richard Aphorp, sam.*

APTHORP: Biada! Źle się dzieje! Nieszczęście zawisło nad Anglią! O, nieszczęsna wyspo!

WATERHOUSE: Co takiego mogło się wydarzyć w świątyni Merkurego, żeby tak ci zepsuć humor, sir Richardzie? Straciłeś fortunę?

APTHORP: Przeciwnie. Zarobiłem krocie, kupując tanio i sprzedając drogo.

WATERHOUSE: Co kupowałeś?

APTHORP: Płótno namiotowe, saletrę, ołów i inne towary wojenne.

WATERHOUSE: Od kogo?

APTHORP: Od gorzej poinformowanych.

WATERHOUSE: A komu sprzedawałeś?

APTHORP: Lepiej poinformowanym.

WATERHOUSE: Typowa transakcja handlowa.

APTHORP: Z tą różnicą, że przy okazji czegoś się dowiedziałem. I ta wiedza napawa mnie lękiem.

WATERHOUSE: W takim razie podziel się nią z Plutonem, który zna wszystkie tajemnice, większości z nich dochowuje, a w lęku pławi się jak stary pies w blasku słońca.

APTHORP: Kupcem był król Anglii.

WATERHOUSE: To dobra wiadomość! Nasz król zbroi kraj.

APTHORP: Jak ci się wydaje, dlaczego ten Żyd zaryzykował przeprawę przez Morze Północne, żeby zrobić zakupy w Anglii?

WATERHOUSE: Bo tu jest taniej?

APTHORP: Nie jest. Ale kupując w Anglii, oszczędza na transporcie. Towary te nie trafiają na jakieś zagraniczne pole bitwy. Król chce ich użyć tu, w Anglii.

WATERHOUSE: To w istocie niezwykle. W kraju nie ma przecież cudzoziemców, z którymi można by toczyć wojnę.

APTHORP: Wszędzie sami Anglicy, jak okiem sięgnąć!

WATERHOUSE: Może król obawia się najazdu.

APTHORP: To cię pociesza?

WATERHOUSE: Myśl o inwazji? Nie. Ale myśl o tym, że grenadierzy, Coldstream Guards i Black Torrent Guards mieliby walczyć z cudzoziemcami zamiast z Anglikami – jak najbardziej.

APTHORP: Można chyba w takim razie powiedzieć, że wszyscy dobrzy Anglicy powinni dołożyć starań, aby doszło do inwazji, prawda?

WATERHOUSE: Uważajmy, co mówimy. Jack Ketch nie śpi.

APTHORP: Nikt nie waży słów tak jak ty, Danielu.

WATERHOUSE: *Aby angielska broń krwi bratniej nie przelewała –*

*Z braku zewnętrznych wrogów i waśni zagranicznych –*

*Niech stanie u Anglii brzegów obca flota cała,*

*Niech miasta przez Burów będą obleżone liczących.*

*Ci żołnierze, co szczerze marszałka kochają,*

*Sprawiają, że wróg czmycha i ogon podkula.*

*Lecz jeśli nagle swe sztandary porzucają,*

*Znak to, że nie widzą wcale w swym marszałku króla.*

## Wersal

1687

*Do d'Avaux, marzec 1687*

Monseigneur,

pierwszy prawdziwie wiosenny dzień; odzyskałam czucie w zgrabiących palcach i znów mogę pisać. Wolałabym wprawdzie wyjść do ogrodu i cieszyć się kwiatami, ale musi mi wystarczyć ślanie listów do kraju tulipanów.

Ucieszy Pana pewnie wiadomość, że od zeszłego tygodnia nie ma we Francji żebraków: król wydał edykt, w którym uznał żebranie za przestępstwo. Zdania dworzan w Wersalu są podzielone. Wszyscy, rzecz jasna, uważają, że to wspaniała decyzja, ale niektórzy z nich niewiele się różnią od żebraków i zaczynają się zastanawiać, czy nowe prawo przypadkiem ich także nie dotyczy.

Na szczęście – w każdym razie na szczęście dla tych, którzy mają córki – madame de Maintenon udało się wreszcie otworzyć szkołę dla dziewcząt w St. Cyr, dosłownie kilka minut konnej jazdy od Wersalu. Moja sytuacja trochę się przez to skomplikowała. Dziewczynka, którą miałam uczyć – córka markizy d'Ozoir – zaczęła uczęszczać do szkoły

madame de Maintenon, ja zaś stałam się zbędna jako guwernantka. Na razie jednak nie słyhać o tym, żeby chciano mnie odesłać, a ja staram się dobrze wykorzystywać wolny czas. Już dwukrotnie odwiedziłam Lyon, aby dowiedzieć się, jak funkcjonuje tam handel. Przypuszczam jednak, że Édouard de Gex zachwala moje guwernanckie zalety pani de Maintenon, ta bowiem przebąkuje o ściągnięciu mnie do St. Cyr w charakterze nauczycielki.

Pisałam już o tym, że w tej szkole uczą wyłącznie siostry zakonne?

De Maintenon i de Gex tak się obnoszą ze swoją pobożnością, że nie potrafię przejrzeć ich rzeczywistych motywów. Naprawdę można by pomyśleć, że widzą we mnie dobrą kandydatkę do zakonu – czyli są tak bardzo oderwani od rzeczywistości, że nie pojmują, jaką naprawdę pełnię tu rolę. A może jest odwrotnie? Może dokładnie wiedzą, że zarządzam aktywami dwudziestu jeden francuskich arystokratów i chcą mnie zneutralizować – albo przejąć nade mną kontrolę, grożąc mi neutralizacją?

Przejdę do interesów. Zyski z pierwszego kwartału tego roku są zadowalające, o czym jako mój klient dobrze Pan wie. Zebrałam wszystkie pieniądze w jedną pulę i zainwestowałam ją za pośrednictwem amsterdamskich brokerów, specjalistów od wybranych towarów, przypraw i pochodnych V.O.C. Wciąż zarabiamy na indyjskich tkaninach – dzięki królowi Ludwikowi, który uznał ich import za nielegalny, czym spowodował wzrost cen. Za to akcje V.O.C. spadły, po tym, jak Wilhelm Orański ogłosił utworzenie Ligi Augsburskiej. Wilhelm upaja się wizją protestanckiego sojuszu, który zrównoważy potęgę Francji, ale rynek w jego własnym kraju nie bardzo wierzy w te zapewnienia. Podobnie zresztą jak tutejszy dwór; *tout le monde* zaśmiewa się do łez na myśl o tym, że Wilhelm, Zofia z Hanoweru i zbieranina odmrożonych luteranów ośmielają się rzucać wyzwanie *la France*. Mówi się głośno o tym, że ojciec de Gex i marszałek Catinat, którzy zbrojnie rozprawili się z protestantami w Sabaudii, powinni teraz ruszyć na północ i w podobny sposób potraktować Holendrów i Niemców.

Na razie muszę zapomnieć o moich osobistych przekonaniach politycznych i skupić się wyłącznie na wpływie bieżących wydarzeń na rynek. Moja pozycja jest niepewna. Przypominam klacz, która galopuje po grząskiej plaży i boi się uczynić fałszywy krok, żeby nie wpaść w ruchome piaski. Rynek w Amsterdamie jest płynny, sytuacja zmienia się z godziny na godzinę i trudno byłoby zarządzać finansami z Wersalu. Dlatego większość transakcji zlecam moim współnikom z północy.

Francuscy arystokraci nie życzą sobie jednak, by kojarzono ich z holenderskimi heretykami i Żydami z Hiszpanii. Dlatego jestem figurantką, niczym przedstawiający piękną syrenę galion na dziobie statku wyladowanego skarbami należącymi do innych ludzi i sterowanego przez śniadych piratów. Jedyne zalety takiej pozycji to doskonały widok i mnóstwo czasu na rozmyślanie. Pomóż mi, Monseigneur, uzyskać jak najlepszy obraz mórz, przez które mamy pożeglować. Nie mogę oprzeć się przypuszczeniu, że za rok, najdalej dwa, cały majątek moich klientów będzie zależał od wyniku ważnych wydarzeń. W czasie



poprzedzającym inwazję Monmoutha inwestowanie było prostsze, ponieważ znałam księcia i wiedziałam, jak skończy. Tymczasem, znając Wilhelma – nie aż tak dobrze, ale niezgorzej – wiem, że w jego wypadku nie mogę wszystkiego postawić na jedną kartę. Jeżeli porównamy Wilhelma do konia wyścigowego, Monmouth był przy nim zaledwie kucem. Doświadczenie nabyte w jeździe na kucyku może być mylące, kiedy próbuje się dosiąść prawdziwego rumaka. Dlatego proszę o informacje, Monseigneur. Opowiadaj mi o wszystkim. Wiesz, Monseigneur, że Twoje listy będą bezpieczne, ponieważ znamy doskonały szyfr. A ja z pewnością nikomu nie zdradzę ich treści; nie mam tu przyjaciółek, z którymi mogłabym plotkować.

\* \* \*

*Tylko umysły małe chcą zawsze mieć słusność.*

Ludwik XIV

*Do d'Avaux, czerwiec 1687*

Monseigneur,

skarżąc się na brata de Gex i madame de Maintenon, którzy próbowali zrobić ze mnie zakonnice, nigdy nie podejrzewałam, że w odpowiedzi na moje prośby zasugerujesz dworzanom, jakobym była dziwką! Niewiele brakuje, żeby księżna d'Oyonnax została zmuszona do wystawiania Szwajcarów przed wejściem do swoich apartamentów, aby opędzić się od moich zalotników. Jakież to plotki rozsiewasz, Monseigneur? Że jestem nimfomanką? Że pierwszy Francuz, który zaciągnie mnie do łóżka, dostanie sto luidorów?

Ale mniejsza z tym. Mam już pewne pojęcie o tym, kto wchodzi w skład *cabinet noir*. Pewnego dnia – zgoła nieoczekiwanie – brat de Gex zaczął traktować mnie niezwykle oschle, a Étienne d'Arcachon, jednoreki syn diuka, odwiedził mnie i zapewnił, że nie wierzy w żadne plotki na mój temat. Spodziewał się chyba, że taka szlachetność zwali mnie z nóg, chociaż w jego wypadku trudno być czegoś pewnym. Z jednej strony potrafi być ujmująco grzeczny (niektórzy posuwają się wręcz do stwierdzenia, że chyba jest niespełna rozumu), a z drugiej widział mnie przecież z Monmouthem w operze i zna – przynajmniej częściowo – moją historię. Po co syn diuka miałby tracić czas na spotkanie ze zwykłą służącą?

Człowiek jego stanu mógłby publicznie rozmawiać z kimś takim jak ja tylko w jednej sytuacji: na balu maskowym, kiedy status człowieka przestaje się liczyć i wszystkie reguły protokołu zostają na kilka godzin zawieszane. Przedwczoraj wieczorem Étienne d'Arcachon zabrał mnie do Dampierre, *châteaux* diuka Chevreuse; ja byłam przebrana za nimfę, on za fauna. Prawdziwa dama dworu poświęciłaby najbliższe kilka stron na opisanie kostiumów, oraz intryg i machinacji, do których dochodziło na balu, ale ponieważ ja nie jestem prawdziwą damą dworu, a Pan jest człowiekiem zajęтым, nie będę się nad tym rozwodziła.

Nadmienię tylko, że Étienne kazał sobie wyrzeźbić z drewna bukszpanu protezę dłoni i paskami przypiął ją do kikuta. W tej dłoni trzymał srebrną fletnię Pana, oplecioną bluszczem (mającym, naturalnie, liście ze szmaragdów i jagody z rubinów), Czasem unosił ją do ust i wygrywał prostą melodyjkę, którą Lully dla niego skomponował.

Kiedy jechaliśmy powozem do Dampierre, Étienne zwrócił się do mnie:

– Nie wiem, czy wiesz, ale diuk de Chevreuse jest zięciem człowieka z gminu, świętej pamięci Colberta, który – jako *Contrôleur-Général* – między innymi wybudował Wersal.

Jak Panu wiadomo, nie pierwszy raz zdarza mi się, że wysoko postawiony Francuz czyni takie zawoalowane aluzje pod moim adresem. Za pierwszym razem byłam ogromnie podekscytowana, bo pomyślałam, że już tylko krok dzieli mnie od tytułu szlacheckiego. Później przez pewien czas traktowałam te wzmianki z cynizmem, jak ochłapy, którymi macha się psu przed nosem, żeby nauczyć go różnych sztuczek. Ale tego wieczoru, jadąc do pięknego *châteaux* w Dampierre pod rękę z przyszłym diukiem, w kostiumie zdejmującym ze mnie na kilka godzin brzemień niskiego stanu, wyobraziłam sobie, że słowa Étienne'a mogą mieć rzeczywistą wagę i że jeżeli wykorzystam moje talenty dla dokonania czegoś niezwykłego, tak jak Colbert, mogę zostać podobnie jak on wynagrodzona.

Proszę uznać, że sumiennie opisałam wszystkie kostiumy, nakrycia, potrawy i rozrywki, jakie diuk de Chevreuse zapewnił gościom; zaoszczędzimy w ten sposób tyle papieru, że wystarczyłoby na małą książkę. Z początku na balu panował dość ponury nastrój, ponieważ wśród gości znalazł się Mansart, królewski architekt, który niedawno otrzymał wiadomość, że ateński Partenon wyleciał w powietrze. Wygląda na to, że Turcy urządzili w nim magazyn prochu, a Wenecjanie, próbujący odzyskać Ateny dla chrześcijaństwa, zbombardowali go pociskami z moździerzy i doprowadzili do potężnej eksplozji. Mansart, który od dawna miał ochotę wybrać się na pielgrzymkę do Aten i na własne oczy zobaczyć słynną budowlę, był niepokieszony. Étienne zawadiacko odgrażał się, że osobiście poprowadzi eskadrę okrętów ojcowskiej floty śródziemnomorskiej i na jej czele odbije Ateny z rąk niewiernych, co okazało się pewnym *faux pas*, jako że to miasto nie leży wszak na wodzie. Po wypowiedzi Étienne'a zapadła więc niezręczna cisza.

W tym momencie postanowiłam zaatakować. Nikt mnie tam nie znał, a nawet gdyby ktoś poznał moją tożsamość, mój status i reputacja (którą zawdzięczam Panu!) nie mogły już być gorsze.

– Tak nas te zagraniczne wieści przygnębiły! – zawołałam. – Czymże jednak są nowiny, jak nie słowami, i czym słowa, jeśli nie powietrzem?

Moja wypowiedź wywołała zaledwie kilka nerwowych chichotów. Wszyscy podejrzewali, że mają przed sobą kolejną księżnę, która naczytała się za dużo Pascala. Ale przynajmniej zwróciłam na siebie ich uwagę; zresztą gdybyś mógł zobaczyć moją suknię, Monseigneur, nie wątpiłbyś w to, co piszę: twarz miałam ukrytą, ale cała reszta wietrzyła się swobodnie. Mówiłam więc dalej:

– Może przywołajmy wieści, które bardziej przypadną nam do gustu, i wtrąćmy w ponury nastrój Holendrów, naszych wrogów? W ten sposób odzyskamy dobry humor.

Większość słuchaczy w ogóle mnie nie zrozumiała, paru jednak wyraziło zainteresowanie moimi słowami. Wśród nich znalazł się gość przebrany za Oriona po oślepieniu przez Oinopiona – krew spływała mu z pustych oczodołów po masce. Poprosił, bym rozwinęła swą myśl.

– Poddajemy się emocjom – mówiłam więc – ponieważ jesteśmy ludźmi wielkich namiętności. Słusznie zasmuca nas zniszczenie Partenonu, cenimy sobie bowiem piękno. Mieszkańcy Amsterdamu mają inwestycje zamiast emocji i niczego nie cenią tak wysoko, jak akcji V.O.C. Moglibyśmy zniszczyć wszystkie cuda świata klasycznego, a Holendrzy nawet by tego nie zauważyli. Jeśli jednak usłyszą złe wieści o V.O.C, spadną w otchłań rozpacz – a właściwie nie oni sami, lecz kurs akcji Kompanii, co na jedno wychodzi.

– Skoro tak się znasz na rzeczy, pani, powiedz nam, jaka byłaby dla nich najgorsza wiadomość – zasugerował ślepy Orion.

– To oczywiste: wieść o zajęciu Batawii, będącej przecież centrum ich zamorskiego imperium.

Orion stanął tymczasem twarzą w twarz ze mną i znaleźliśmy się w kręgu przebranych arystokratów, którzy wyciągali szyje i wyteżali słuch, żeby nie uronić ani słowa. Było oczywiste, że Orionem jest król we własnej osobie.

– Poczynania tych pospolitych serowarów są dla nas niepojęte; równie dobrze można by próbować zrozumieć angielskich wieśniaków, utaplanych w błocie i kąpiących się po puszczelach. Skoro tak łatwo doprowadzić do katastrofy na amsterdamskiej giełdzie, dlaczego nie obserwuje się tam krachu za krachem? Każdy przecież mógłby puścić w obieg plotkę, o jakiej mówisz, pani.

– Wielu tego próbuje. Często zdarza się, że kilku inwestorów zawiera sojusz, swoiste tajne stowarzyszenie, które manipuluje rynkiem dla własnych korzyści. Machinacje tych koterii bywają niezwykle złożone, niczym kroki i figury skomplikowanego tańca, ale koniec końców wszystko sprowadza się do posiania niesłusznych wątpliwości w głowach łatwowiernych inwestorów. Takie klikie nieustannie powstają i łączą się, a potem dzielą i rozpływają jak chmury na letnim niebie. Rynek uodpornił się więc na nieoczekiwane nowiny, zwłaszcza te złe. Większość inwestorów zakłada teraz, że niepomyślne wieści z zagranicy to fałszywe plotki rozsiewane przez giełdowe kamaryle.

– Skąd zatem nadzieja, że moglibyśmy przekonać tych sceptycznych heretyków, że Batawia padła?

– Fakt, że wszyscy goście noszą przebrania, nieco utrudnia mi odpowiedź – odparłam. – Ale można chyba założyć, że wielki admirał floty francuskiej (diuk d’Arcachon) i *Contrôleur* Francuskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej (markiz d’Ozoir) są wśród nas i słyszą moje słowa. Osoby tak wysoko postawione nie miałyby kłopotu z przekonaniem marynarzy we

francuskiej flocie wojennej i handlowej, a także ludzi w portach od Hiszpanii po Flandrię, że duża grupa francuskich okrętów opłynęła Przylądek Dobrej Nadziei, uderzyła z zaskoczenia na Batawię i odbiła ją z rąk V.O.C. Wieść poniosłaby się na północ, jak płomień po loncie, a po dotarciu na Damplatz...

– Damplatz byłby beczką prochu – dokończył Orion. – Piękny plan. Nie wymaga od nas wielkich wydatków, nie pociąga za sobą znaczniejszego ryzyka, a narobi Wilhelmowi Orańskiemu większych szkód niż szturm pięćdziesięciu tysięcy naszych dragonów.

– A przy tym pozwoli wzbogacić się każdemu, kto przewidzi rozwój sytuacji i zajmie stosowną do niej pozycję na rynku – dodałam.

Wiem bez cienia wątpliwości, że następnego dnia rano Ludwik XIV udał się do swojej rezydencji w Marły, zapraszając na spotkanie markiza d'Ozoir i diuka d'Arcachon.

Jeśli zaś chodzi o mnie, resztę balu spędziłam na rozmowach z francuskimi arystokratami, którzy rozpaczliwie chcieliby wiedzieć, jak wygląda ta „stosowna pozycja”. Nie pamiętam już, ile razy musiałam wyjaśniać ideę gry na zniżkę i tłumaczyć, że kiedy cena akcji V.O.C. spadnie, wzrosną ceny towarów, bo kapitał przeniesie się z jednych na drugie. Ale przede wszystkim musiałam uczulić moich słuchaczy na fakt, że jeśli nagle masa Francuzów zacznie wyprzedawać akcje V.O.C. i inwestować w kontrakty terminowe, Holendrzy natychmiast zorientują się, że tym razem giełdowa klika powstała na dworze Króla Słońce. Dlatego też przygotowania należy prowadzić delikatnie i starannie. Krótko mówiąc, tylko ja mogę się tym zająć.

W przyszłym tygodniu francuskie złoto zacznie obfitym strumieniem płynąć na północ. Szczegóły w następnym liście.

\* \* \*

*Uważni Holendrzy zwrócili uwagę na łatwość uprawy tej rośliny, a także na fakt, że jej własności są niezależne od ziemi, powietrza, wody i miejsca hodowli. Pojawwszy to, posadzili drzewka kawowe na Jawie, nieopodal miasta zwanego Batawią, gdzie rośnie doskonale, a owoce rodzą się i dojrzewają nie gorzej niż w Mokce. Holendrzy zaczęli więc omijać Morze Czerwone i przywozić po dwadzieścia lub trzydzieści ton kawy wprost z Batawii, która leży na piątym stopniu szerokości geograficznej południowej.*

Daniel Defoe, *Opisanie handlu angielskiego*

*Do Leibniza, sierpień 1687*

Doktorze,

wszystkim chodzi tu o powiększenie zysków<sup>12</sup>: ogrody, sady i winnice toną pod lawiną swoich produktów, a na wiejskich drogach tłoczą się wozy wiozące towary na rynki. We Francji panuje pokój, żołnierze wrócili do domów, zajęli się budowaniem i odbudowywaniem oraz płodzeniem nieślubnych dzieci, aby i w przyszłości żołnierzy nie zabrakło. W całym Wersalu wre praca przy budowie. Wielu mieszkańców pałacu wzbogaciło się albo przynajmniej częściowo spłaciło długi karciane po krachu na giełdzie w Amsterdamie.

*Przepraszam, że tak długo się nie odzywałam. Ten szyfr jest ogromnie czasochłonny, a ostatnio bez reszty pochłonęła mnie intryga związana z „zajęciem Batawii”.*

Księżna d'Oyonnax wyprawiła niedawno przyjęcie, którego główną atrakcją było odegranie Upadku Batawii (jak już powszechnie wiadomo, w rzeczywistości wcale on nie nastąpił) na tutejszym kanale. Flota francuskich „fregat”, mających wielkość łódek wiosłowych, fantazyjny takielunek i ozdoby jak okręty rodem ze snów, oblegała zbudowaną na skraju kanału makietę Batawii. Holendrzy pili piwo i liczyli złoto, aż wreszcie wszyscy posnęli i wtedy flota marzeń ruszyła do szturm. Holendrzy, z początku przerażeni, uspokoiли się, kiedy zrozumieli, że to był tylko zły sen – ale kiedy wrócili do stołów liczyć pieniądze, okazało się, że całe złoto naprawdę zniknęło! Załatwiono to jakąś sprytną sztuczką, która zaskoczyła wszystkich gości. Potem przez prawie godzinę flota pływała po kanale, a my, stłoczeni na brzegach, mogliśmy ją podziwiać. Każdy okręt symbolizował jakąś cnotę *la France*: Płodność, Męstwo, Pobożność i tak dalej. Kapitanem każdej jednostki był diuk lub książę w stosownym przebraniu. Pływając po kanale w tę i z powrotem, obrzucali widzów zdobycznymi monetami jak deszczem złota.

Delfin miał na sobie złoty surdut, wyszywany...

*Widziałam Upnora. Zajmuje wysokie stanowisko na dworze Jakuba II i ma we Francji wielu przyjaciół, jeszcze z czasów dzieciństwa, które spędził w tym kraju, kiedy w Anglii rządził Cromwell. Wszyscy wypytyują go o jego protestancką niewolnicę, a on chętnie o niej opowiada. Jest zbyt dobrze wychowany, żeby przesadnie się nad nią rozwodzić, ale widać, że posiadanie tej dziewczyny sprawia mu ogromną przyjemność. Sprzedawanie angielskich buntowników w niewolę porównuje się tu najczęściej do wysyłania hugenotów na galery. Oba te rozwiązania są uważane za bardziej humanitarne niż zwyczajne mordowanie protestantów, tak jak to zrobiono w Sabaudii. Właściwie chyba nie do końca wierzyłam w opowieść Boba, bo ogromnie się zdumiałam, widząc Upnora i słysząc jego słowa. Dla mnie byłaby to sprawa wstydliva, skandal, który raczej ukrywa się przed światem, ale ci ludzie nic sobie z niego nie robią. Ja zaś, chociaż współczuję nieszczęsnej Abigail Frome, cieszę się, że spotkał ją taki los. Gdyby handlarze zachowali większą dyskrecję i nadal ograniczali się do uprowadzania niewolników z Czarnej Afryki, nikt by tego nie zauważył – a na pewno nikt by się tym nie przejął. Przecież ja też jestem współwinna, kiedy, sypiąc cukier do kawy, nie myślę o Negrach,*

*którzy w dalekich krajach go dla mnie wytwarzają. Jakub i jemu podobni ryzykują więcej, znajdując niewolników w Irlandii, nawet jeśli wybierają samych przestępców. Ale niewolenie angielskich dziewcząt z małych miasteczek jest czymś obrzydliwym (dla wszystkich oprócz mieszkańców Wersalu) i tylko patrzeć buntu. Wysłuchawszy Upnora, jestem święcie przekonana, że wkrótce cała Anglia chwyci za broń. A Jakub chyba się ze mną zgadza: chodzą słuchy, że na obrzeżach Londynu buduje ogromne obozy wojskowe i wyklada olbrzymie pieniądze na swoje ulubione oddziały. Boję się tylko, że w chaosie rebelii Anglicy zapomną o dziewczętach z Taunton i ich znaczeniu dla kwestii niewolnictwa.*

...której rumpel i ster były obrośnięte żywą winoroślą.

Proszę mi wybaczyć ten przydługi opis wszystkich ksiąząt i ich pięknych łodzi. Kiedy zerkam wstecz na zapisane kartki, widzę, że trochę się zapomniałam.

\* \* \*


*Do Leibniza, październik 1687*

Doktorze,

rodzina, rodzina, rodzina<sup>13</sup>. Wszyscy najchętniej tylko o niej by rozmawiali. Zadaje Pan sobie pewnie pytanie, kto w ogóle chce rozmawiać ze mną, dziewczyną z gminu? Otóż w niektórych zakątkach tego olbrzymiego *château* znajdują się olbrzymie salony przeznaczone w całości dla hazardystów (hazard jest jedyną rozrywką tutejszych arystokratów), w których nie obowiązuje dworska etykieta i każdy może porozmawiać z każdym. Naturalnie, cała sztuka polega na tym, żeby się do takiego salonu dostać, ale po sukcesie, jakim było dla mnie „Zajęcie Batawii”, niektóre drzwi stanęły przede mną otworem (przynajmniej tylne: w takie miejsca wolno mi się zakradać tylko wejściami dla służby). Zdarza mi się więc czasem zamienić parę słów z jakąś księżną lub księżniczką. Bywam jednak w tych salonach rzadziej, niż mógłby Pan pomyśleć. Nie bawię się tam najlepiej. *Właściwie powinnam powiedzieć, że nienawidzę samych salonów i odwiedzających je ludzi. Ponieważ jednak niektórzy przyszli czytelnicy tego listu są zazartymi hazardystami, wolę pisać oględnie.*

Coraz częściej ludzie wypytują mnie o rodzinę; ktoś rozpuścił nawet pogłoskę, że w moich żyłach płynie błękitna krew! Mam nadzieję, że Pańskie badania genealogiczne przyniosą choćby cień potwierdzenia tej tezy. Zrobienie ze mnie hrabiny powinno być banalnie proste – skoro Zofia może być elektorką... *Tak wielu ludzi w Wersalu jest teraz ode mnie zależnych, że mój status prostaczki zaczyna być niezręczny. Potrzebują pretekstu, by nadać mi tytuł szlachecki. Wtedy mogliby ze mną rozmawiać otwarcie, zamiast obmyślać wyrafinowane podstępny – takie jak bale maskowe – w celu obejścia wymogów etykiety.*

---

<sup>13</sup>  Rodzina: trzydziesty siódmy heksagram *I Ching*. Inaczej 110101.

Nie dalej jak przedwczoraj grałam w basseta z diukiem de Berwick, nieślubnym synem Jakuba II i Arabelli Churchill, siostry Johna. Takie pochodzenie stawia go w doskonałej sytuacji, ponieważ, jak Pan wie, oznacza, że jego babką ze strony ojca była Henrietta Maria, siostra Ludwika III...

*Znów muszę prosić o wybaczenie mi tego genealogicznego bajdurzenia. Czy mógłby mi Pan wyjaśnić pewne zawilości związane z czarnoksiężnikami, alchemikami, templariuszami i wyznawcami szatana? Wiem, że zaczynając swoją karierę, wmówił Pan pewnym zamożnym alchemikom, że naprawdę wierzy w te ich bzdury. Wiem również, że przyjaźni się Pan z niejakim Enochem Rudym, który najwyraźniej jest wysoce poważanym alchemikiem. Jego nazwisko wypływa czasem w rozmowach przy karcianym stole. Większość graczy nie wie, o kim mowa, ale niektórzy unoszą brwi, chrząkają znacząco, wymieniają porozumiewawcze spojrzenia i w ogóle niezbyt dyskretnie starają się udawać dyskrecję. Zauważyłam, że podobnie zachowują się także w innych sytuacjach, gdy jest mowa o naukach ezoterycznych. Powszechnie wiadomo, że pod koniec lat siedemdziesiątych rozplenili się w Wersalu sataniści, truciele i im podobni, i że nie wszystkich udało się przepędzić. Przez to cała sprawa jest jeszcze bardziej tajemnicza i podejrzana. Ojciec hrabiego Upnor, książę Gunfleet, zmarł w tamtym okresie po wypiciu szklanki wody na przyjęciu wydanym przez księżnę d'Oyonnax; mąż księżnej zmarł w podobnych okolicznościach zaledwie dwa tygodnie później, zostawiając jej w spadku wszystkie swoje tytuły i cały majątek. Wszyscy, jak jeden mąż, podejrzewają, że w tych dwóch przypadkach – a także w wielu innych – doszło do otrucia. Gdyby dalsze śmiertelne wypadki nie odwróciły uwagi publiki, Upnor i d'Oyonnax z pewnością znaleźliby się w centrum uwagi. Upnor z całą pewnością interesuje się wiedzą tajemną i przy każdej okazji napomyka o swoich sekretnych konszachtach z Kolegium Trójcy Świętej w Cambridge. Kusi mnie, żeby potraktować ten cały okultyzm jako z lekka żalosne hobby arystokratycznych elegancików, których ciągła nuda i upokarzająca miałkość Wersalu doprowadzają do szału. Ponieważ jednak wybrałam sobie Upnora na wroga, chciałabym się dowiedzieć, co to w praktyce znaczy. Czy może rzucić na mnie czar? Czy w każdym mieście ma sekretnych sprzymierzeńców? I kim jest Enoch Root?*

Większą część zimy spędzę z Holandii. Stamtąd wyślę Panu następny list.

Eliza

## **Brzeg Het Kanaal pomiędzy Scheveningen i Hagą**

**Grudzień 1687**

*Nikt nie zajdzie tak wysoko, jak człowiek, który nie wie dokąd zmierza.*

Cromwell

– Witaj, bracie Williamie – powiedział Daniel.

Postawił nogę na stopniu i wskoczył do powozu. Przy tej okazji śmiertelnie przeraził siedzącego w środku Anglika o krągłej jak pączek twarzy i długich, ciemnych, pozlepianych w strąki włosach, który złapał połę czarnego surduta i przyciągnął ją do siebie. Daniel nie umiałby powiedzieć, czy chciał mu zrobić miejsce, czy raczej uniknąć wszelkiego z nim kontaktu – obie te możliwości były równie prawdopodobne. Pasażer spędził w strasznych angielskich więzieniach znacznie więcej czasu od Daniela i nauczył się schodzić ludziom z drogi. W dodatku Daniel był pochlapany błotem (przyjechał nad kanał konno), a strój pasażera, choć surowy i niemodny, był nieskazitelnie czysty. Brat William miał drobne usta, ściągnięte w tej chwili jak odbył.

– Poznałem twój herb na drzwiach – wyjaśnił Daniel. Zatrzasnął drzwiczki, wyciągnął przez okno rękę i poklepał umieszczony z boku powozu herb. – Zamachałem na woźnicę i kazałem mu stanąć, bo pomyślałem, że jedziemy w to samo miejsce, na spotkanie z tym samym dżentelmenem.

– Kiedy Adam orał, a Ewa przędła, nie było dżentelmenów.

– Wybacz, bracie. Powinienem był powiedzieć „z tym samym gościem”. Albo „facetem”. Co tam słyhać w zamorskich posiadłościach, panie Penn? Udało się załagodzić spór z Marylandem?

William Penn wywrócił oczami i wyjrzał przez okno.

– Musiałbym mieć sto lat i legion mierniczych, żeby to załatwić! Dobrze przynajmniej, że udało się wziąć w karby tych przeklętych Szwedów. Wszyscy uważają, że odkąd mam w posiadaniu wielki las, moje sprawy zostały raz na zawsze uregulowane. Ale muszę ci powiedzieć, bracie Danielu, że są z nim same kłopoty. Jeżeli pożądanie rzeczy doczesnych, takich jak koń czy kołatka na drzwiach, jest grzechem, to powiedz sam, w co ja się najlepszego wpakowałem? Otworzył się przede mną cały grzeszny wszechświat.

– Miałeś do wyboru albo przyjmując Pensylwanię, albo dalej biernie czekać, aż król zwróci ci twoje tysiąc sześćset funtów, prawda?

Penn nie odwrócił się od okna. Zacisnął szczęki i zmrużył oczy, jakby ze wszystkich sił próbował powstrzymać się od puszczenia bąka. Zapatrzył się w dal, w punkt odległy o jakieś tysiąc mil. Znajdowali się jednak na holenderskim wybrzeżu i w oddali mógł podziwiać jedynie krzywiznę kuli ziemskiej. Zimą, kiedy słońce jest nisko nad horyzontem, nawet kamyki rzucają olbrzymie cienie. Nie mógł tak po prostu zignorować Daniela.

– Twoja obecność drażni mnie, zasmuca i upokarza! Nie jesteś mile widzianym gościem, bracie Danielu. Stanowisz problem. Przeszkodę. Gdybym nie był pacyfistą, zatłukłbym cię na śmierć pierwszym lepszym kamieniem.

– Bracie Williamie... Często spotykamy się w Whitehallu, w obecności króla, aby prowadzić uroczę pogawędki o tolerancji religijnej, trudno jednak wtedy o szczerą wymianę



poglądów. Tym bardziej cieszę się, że trafiła ci się wreszcie okazja, aby zbryzgać mnie śledzienniczymi *humorami*, które od tak dawna musiałeś w sobie dusić.

– Sam widzisz, że nie umiem mówić zagadkami. Może i ty, bracie Danielu, powinienes czasem powiedzieć otwarcie, co myślisz. Życie byłoby wtedy o wiele prostsze.

– Łatwo ci mówić. W każdej chwili możesz się schować w swojej posiadłości, leżącej za oceanem i wielkiej jak Włochy.

– Nie godzi się tak mówić, bracie Danielu. Chociaż... Jest w twoich słowach trochę racji. Ta... posiadłość... czasem mnie rozprasza, moje myśli wybiegają ku niej w najdziwniejszych momentach i niespodziewanie zaczynam się zastanawiać, co się dzieje nad brzegami Susquehanna...

– No właśnie. Jeśli pewnego dnia w Anglii zupełnie nie da się już żyć, po prostu z niej wyjedziesz. A ja...

Dopiero teraz Penn spojrzął na Daniela.

– Nie mów mi, że nie myślałeś o przeprowadzce do Massachusetts.

– Codziennie o niej myślę. Niestety, większość moich zwolenników nie może nawet marzyć o takim luksusie. Dlatego bardziej interesuje mnie niedopuszczenie do stoczenia się Starej Anglii na dno.

Penn przed niespełną godziną zszedł z pokładu statku w Scheveningen, które było połączone z Hagą kilkoma drogami i kanałem. Droga wybrana przez woźnicę biegła wzdłuż kanału, skrajem polderów i pól, na których żołnierze ćwiczyli musztrę. Taki krajobraz ciągnął się prawie do samego Binnenhofu.

Wóz skręcił w lewo na żwirową drogę, prowadzącą granicą wyjątkowo rozległego parku zwanego Malieveld, gdzie ci, których było na to stać, przy ładnej pogodzie jeździli konno. Tego dnia park świecił pustkami. Na wschodzie przechodził w Haagsche Bos, dobrze utrzymany las poprzecinany drózkami dla koni. Przejechali jedną z nich około mili, aż zaczęło im się wydawać, że zapuścili się w sam środek puszczy, gdy nagle żwir pod kołami powozu przeszedł w bruk, pojawiły się strzeżone bramy i zwodzone mostki nad kanałami. Wokół nich rozciągał się regularny ogród niewielkiej posiadłości. Zatrzymali się przed stróżówką. Danielowi mignął skrawek żywoplotu i narożnik ładnego budynku, zanim pole widzenia wypełniła mu głowa – a właściwie głównie hełm – kapitana Błękitnej Gwardii.

– William Penn – powiedział William Penn i niechętnie dodał: – I doktor Daniel Waterhouse.

\* \* \*

Rezydencja była właściwie domkiem myśliwskim. Znajdowała się dość blisko Hagi, aby dało się do niej szybko dojechać, a przy tym wystarczająco daleko, by powietrze było już

czyste. Wilhelm Orański mógł tu odpocząć od dręczącej go astmy, toteż w chwilach, gdy musiał być w pobliżu Hagi, większość czasu spędzał właśnie w tym domku.

Zaprowadzono ich do salonu. Dzień był ponury i chociaż ogień buzował w kominku, od czasu do czasu zapuszczając macki w głąb pokoju, ani Penn, ani Waterhouse nie zdjęli wierzchnich okryć.

W salonie zastali dziewczynę, młodą i drobną, o wielkich niebieskich oczach. Daniel wziął ją z początku za Holenderkę, ale kiedy usłyszała, że goście rozmawiają po angielsku, przemówiła do nich po francusku i wyjaśniła pewne ich wątpliwości co do Wilhelma Orańskiego. Penn mówił po francusku znacznie lepiej od Daniela, ponieważ spędził kilka lat na wygnaniu w protestanckim (obecnie już nieistniejącym) kolegium w Saumur. Zamieniwszy z dziewczyną kilka zdań, zwrócił się do Daniela:

- Dziś są doskonałe warunki do żeglowania po piasku.
- Domyślam się. Zobacz, jak wieje.
- Księżę wróci najwcześniej za godzinę.

Jeszcze przez jakiś czas stali przy ogniu, aż w końcu, przyrumienieni z obu stron, rozsiedli się na krzesłach. Dziewczyna, odziana w smętny holenderski strój, postawiła przy kominku garnek z mlekiem i zajęła się kuchennymi sprawami. Daniel nie mógł się skupić – było w niej coś dziwnie frapującego i prowokującego, a im dłużej się jej przyglądał, tym gorzej się z tym czuł. Albo tym lepiej. Siedzieli więc w milczeniu: Penn rozmyślał o pensylwańskich rzekach, a Daniel głowił się nad tym, co go do tego stopnia drażni w dziewczynie. Czuł się trochę tak, jakby już ją kiedyś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć szczegółów – a zarazem był pewien, że nie o to chodzi; z pewnością nigdy wcześniej się nie spotkali. Mimo to niepokojące wrażenie nie ustępowało.

Powiedziała coś, co wyrwało z zadumy Penna, który utkwił spojrzenie w Danielu.

– Czuje się urażona – powiedział. – Mówi, że może są w Amsterdamie kobiety pewnej nienazwanej profesji, które nie mają nic przeciwko temu, żeby mężczyzna patrzył na nie w taki sposób, jak ty na nią. Ale pyta, jakim prawem ty, gość na holenderskiej ziemi, pozwalasz sobie na taką śmiałość?

– Sporo tego, jak na pięć francuskich słów.

– Jest oszczędna w słowach, bo ufa bystrości mojego umysłu. Ja zaś użyłem wielu słów, bo wiem, że na twoim rozumie polegać zbytnio nie należy.

– No wiesz, bracie Williamie... Uporczywe podlizywanie się królowi tylko dlatego, że wymachuje ci przed oczami *Deklaracją o Tolerancji Religijnej*, nie potwierdza twojej bystrości. Niektórzy powiedzieliby nawet, że dowodzi czegoś wręcz przeciwnego.

– Naprawdę chcesz, żeby wybuchła następna wojna domowa, Danielu? Obaj dorastaliśmy w czasie takiej wojny; niektórzy z niej wyrosli, ale inni najwyraźniej chcieliby wrócić do czasów dzieciństwa.

Daniel zamknął oczy i ujrzał pod powiekami obraz, który trzydzieści pięć lat wcześniej wypalił mu się na siatkówkach: Drake rzuca kamienną głową świętego w witraż; kolorowe szkiełka znikają, ich miejsce zajmuje zielony angielski pagórek; srebrzysta mżawka przenika do środka jak Duch Święty; kropelki padają Danielowi na twarz.

– Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo moglibyśmy teraz zmienić Anglię, gdybyśmy tylko chcieli. Wychowano mnie w przekonaniu, że Apokalipsa jest blisko. Ja sam od lat w to nie wierzę, ale ludzie, którzy wierzą, to moi bracia. Rozumiem ich sposób myślenia. Dopiero niedawno spojrzałem na sprawę z innej strony. Z nowego punktu widzenia, jak powiedziała by Leibniz. Wiem już teraz, że sama idea gwałtownej zmiany i porzucenia wszystkiego co stare jest słuszna, a Drake i reszta pomylili tylko szczegóły. Ustalając konkretną datę kataklizmu, w pewnym sensie popadli w bałwochwalstwo. Jeżeli pomylenie symbolu z symbolizowanym obiektem można uznać za idolatrię, to właśnie tego się dopuścili: opisane w Księdze Objawienia znaki wzięli za samą Apokalipsę. W pewnym sensie przypominali stado ptaków, które instynktownie wyczuwają, że zbliża się niebezpieczeństwo, i jak na dany sygnał zrywają się do lotu. To wspaniały widok, prawdziwy cud Stworzenia. Tym razem ptaki dały się jednak zwieść, pofrunęły prosto w pułapkę i ich rewolucja wzięła w łeb. Ale czy to znaczy, że nie miały racji, rozkładając skrzydła? Bynajmniej. Zmysły wcale ich nie zawiodły; to raczej umysł się nie sprawdził. Czy dlatego, że zbłądziły, mamy się ich wyrzec? Czy z ich spuścizny można się tylko śmiać? Przeciwnie. Uważam, że teraz naprawdę niewielkim wysiłkiem możemy przyspieszyć nadejście Apokalipsy – nie dokładnie takiej, jaką oni sobie wyobrażali, ale podobnie, lub nawet bardziej, skutecznej.

– Naprawdę powinieneś wyjechać do Pensylwanii – stwierdził Penn. – Jesteś człowiekiem wszechstronnie utalentowanym, ale w Londynie twoje talenty mogą co najwyżej zawieść cię na szafot, gdzie zostaniesz podduszony, rozerwany końmi i poćwiartowany. W Pensylwanii zaś byłbyś człowiekiem wielkim. A już na pewno chętnie zapraszany na przyjęcia.

– Dziękuję, ale na razie nie zrezygnowałem jeszcze z Anglii.

– Może Anglia wolałaby, żebyś z niej zrezygnował, zamiast wywoływać następną wojnę domową albo kolejne krwawe sesje wyjazdowe Sądu Najwyższego?

– Wielu Anglików ma na ten temat inne zdanie.

– Ja również się do nich zaliczam, Danielu. Tylko że garstka dysydentów to za mało, żeby wywołać zmiany, o które ci chodzi.

– To prawda... Ale co powiesz o ludziach, którzy podpisali te listy?

Daniel wyjął zza pazuchy plik złożonych we czworo, przewiązanych wstążkami i zalakowanych pergaminów.

Usta Penna skurczyły się do rozmiarów pępka. Przez dobrą minutę milczał. Dziewczyna podała im gorącą czekoladę.

– To z twojej strony bardzo niedzentelemeńskie tak mnie zaskakiwać.

– Kiedy Adam orał, a Ewa przędła...

– Cicho bądź! Nie kpij sobie ze mnie. Fakt, że jestem właścicielem Pensylwanii, w oczach Boga nie czyni mnie lepszym od wagabundy, ale uświadamia mi, że nie wolno ze mnie bezkarnie drwić.

– Właśnie dlatego, bracie Williamie, igrając ze śmiercią przepłynąłem Morze Północne na skrzydłach sztormu, a potem pędziłem na złamanie karku po zmrożonych holenderskich błotach. Chciałem z tobą porozmawiać, zanim spotkasz się ze swoim przyszłym królem. – Daniel wyjął z kieszeni zrobiony przez Hooke'a zegarek i obrócił wykonany z kości słoniowej cyferblat do kominka. – Mamy jeszcze trochę czasu, więc z łaski swojej też napisz taki list i dołącz go do pozostałych.

\* \* \*

– Miałem zapytać, czy wiesz, ilu ludzi w Amsterdamie chciałoby cię zamordować, ale twój widok jest w pewnym sensie odpowiedzią na moje pytanie – stwierdził Wilhelm, księżę Orański. – Nie wiesz.

– Mój list do d'Avaux był chyba jasnym ostrzeżeniem, czyż nie?

– Ledwie zdążyłem go w porę odebrać... Zresztą główny wstrząs przyjęli na siebie duzi amsterdamscy udziałowcy, których nie ostrzegłem.

– Frankofile.

– Wcale nie. Niewielu Holendrów zaprzedał się teraz Francuzom. Moimi głównymi wrogami są dziś Holendrzy, którzy, można by powiedzieć, nie są dostatecznie dalekowzroczni. W każdym razie twój batawski podstęp kosztował mnie sporo nerwów.

– Posiadanie pierwszorzędnej informacji na dworze Ludwika XIV słono kosztuje.

– Nędzny truizm. W dodatku łatwo go odwrócić: skoro ponoszę takie koszty, mam prawo oczekiwać pierwszorzędnych informacji. A skoro o informacji mowa, to czego się dowiedziałas od tych dwóch Anglików?

Wilhelm zerknął na niedomytą łyżkę. Nozdrza mu się rozděły i przy stole jak spod ziemi wyrósł młody lokajczyk, ładniejszy od Elizy, który natychmiast zaczął pucować łyżkę, ścierając z niej ślady czekoladowej uczy.

Dzwonienie sztuców i nakryć irytowało Wilhelma chyba bardziej niż huk wystrzałów na polu bitwy. Opadł głębiej w fotel, przymknął oczy i odwrócił twarz do ognia. Świat był dla niego mrocznym, ciasnym lochem, pociętym siecią niewidzialnych tuneli, kruchych i zwiewnych jak pajęczyny, którymi od czasu do czasu przepływały zaszyfrowane informacje. W takim świecie ogień promieniujący ciepłem na wszystkie strony był czymś na kształt cudu, manifestacją pogańskiego bożka w delikatnej gotyckiej katedrze. Eliza poczekała, aż chłopiec skończy, w pokoju zapanuje cisza, a zmarszczki na książęcej twarzy się rozpląną. Księżciu

brakowało jeszcze dwóch lat do czterdziestki, ale czas spędzony na słońcu i nad morzem bardzo postarzył mu skórę; doświadczenie wojenne sprawiało, że miał równie stary umysł.

– Obaj wierzą w to samo i z równą żarliwością – odparła Eliza. – Obaj nacierpieli się w życiu. W pierwszej chwili pomyślałam, że ten grubszy jest stary i zepsuty, ale szczupły chyba tak nie uważał.

– Może szczupły jest naiwny.

– Nie w taki sposób. Należą do jednej sekty czy czegoś w tym guście; znają się. Nie przepadają za sobą i dążą do różnych celów, ale zdrada, przekupstwo lub zejście ze ścieżki, którą obaj obrali, nie wchodzi w grę. Czy to nie do tej sekty należał Gomer Bolstrood?

– I tak, i nie. Z purytanami jest jak z hindusami: mogą się ogromnie różnić między sobą, ale wszyscy są z jednej bandy.

Eliza pokiwała głową.

– Co cię tak fascynuje w purytanach? – zaciekawiał się Wilhelm.

Ton jego głosu wcale nie był przyjazny. Księżę podejrzewał ją o jakąś słabość, o ukryte motywy. Spojrzała na niego jak mała dziewczynka, którą właśnie przejechał wóz; pod takim spojrzeniem większość mężczyzn rozplątywała się jak rozgotowany kurczak – ale nie Wilhelm Orański. Eliza zwróciła uwagę, że otaczają go młodzi, śliczni chłopcy, choć miał też kochankę, Angielkę, Elizabeth Villiers, kobietę przeciętnej urody, ale wielkiego intelektu i dowcipu. Nadmierna słabość do jednej płci byłaby dla księcia Oranu słabością niedopuszczalną. Gdyby Eliza wzbudziła w nim pożądanie, mógł z łatwością przenieść je na młodego lokaja, tak jak holenderski rolnik, który podnosi lub opuszcza służę i w ten sposób kieruje wodę na jedno lub drugie pole. Takie przynajmniej chciał sprawiać wrażenie, sądząc po towarzystwie, w jakim się obracał.

Eliza wyczuwała, że niechcący wpakowała się w niebezpieczeństwo. Księżę przyłapał ją na jakiejś sprzeczności i jeżeli nie zadowolą go jej wyjaśnienia, uzna ją za wroga. Ludwik XIV mógł trzymać swoich nieprzyjaciół w złotej klatce Wersalu, ale Wilhelm Orański z pewnością rozprawiał się ze swoimi w bardziej bezpośredni sposób.

Prawda nie była wcale taka najgorsza.

– Uważam, że są interesujący – odparła. – Specyficzni. Różnią się od innych ludzi. Ale wcale nie są idiotami i budzą szacunek. Rządy Cromwella były tylko przygrywką. Wprawka. Penn włada ogromną posiadłością. Kwakrzy mieszkają również w New Jersey, a innych purytanów jest pełno w całym Massachusetts. A Gomer Bolstrood wygadywał najróżniejsze herezje; plan obalenia monarchii był wśród nich najłagodniejszą. Twierdził, że biali i czarni są równi w obliczu Boga, w związku z czym należy znieść wszelkie niewolnictwo. Mówił też, że tacy jak on nie odpuszczają, dopóki wszyscy na świecie nie przyjmą ich racji. „Najpierw przeciągniemy na swoją stronę kwaków”, mówił. „Są bogaci. Potem przyjdzie czas na innych dysydentów, następni będą anglikanie, katolicy i reszta chrześcijan”.

Słuchając Elizy, Wilhelm znów zapatrzył się na kominek, dając w ten sposób do zrozumienia, że jej wierzy.

– Dziwi mnie twoja fascynacja Negrami. Zauważyłem jednak, że nawet najlepsi ludzie miewają jakieś dziwactwa. Nauczyłem się je wyszukiwać i nie ufać tym, którzy wydają się całkiem zwyczajni. Twoje niecodzienne poglądy na temat niewolnictwa zupełnie mnie nie interesują. Jednakże sam fakt, że żywisz jakieś niezwykle przekonania, każe mi obdarzyć cię odrobiną zaufania.

– Jeżeli ufasz mojemu osądowi, powinieneś mieć tego szczupłego na oku, panie.

– Ale przecież on nie ma ani posiadłości w Ameryce, ani pieniędzy, ani zwolenników!

– Właśnie dlatego zasługuje na uwagę. Założę się, że miał silnego ojca. Może także starszych braci. Wiele razy rodzina stawała mu na drodze do realizacji życiowych planów. Nie ożenił się, nie odniósł nawet tak marnego sukcesiku, jak spłodzenie dziecka. A w jego wieku to już ostatni dzwonek, żeby odcisnąć swoje piętno na tym świecie. Osobiste kompleksy połączyły się w jego głowie z wizją bliskiej rebelii przeciw angielskiemu królowi. I postanowił postawić wszystko na jedną kartę: nie chodzi o to, czy zginie, czy będzie żył, lecz o to, czy coś w życiu osiągnie, czy nie. Wilhelm się skrzywił.

– Obyś nigdy nie zajrzała tak w głąb mojej duszy.

– Dlaczego? Może wyszłoby ci to na dobre, mój panie?

– Nie sędzę. Przypominasz mi członka Towarzystwa Królewskiego, który robi wiwisekcję psu. Jesteś taka spokojna w swoim okrucieństwie.

– Ja? A co powiesz o sobie? Toczenie wojen ma być przejawem łagodności?

– Większość mężczyzn prędzej dałaby się przeszyć bełtem z kuszy, niż z własnej woli poddała się takiej analizie jak twoja.

Eliza nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Wcale nie uważam, żebym była okrutna wobec tego szczupłego. Przeciwnie, moim zdaniem uda mu się. Sądząc po tej stercie listów, popiera go wielu wpływowych Anglików. Zebranie tylu zwolenników, kiedy przebywa się stale w sąsiedztwie króla, to nie lada sztuka.

Miała nadzieję, że Wilhelm zdradzi się może z tym, kim byli autorzy listów, ale książę przejrzał ją na wylot. Odwrócił wzrok.

– To niebezpieczne. Nierozsądne. Chore. Zastanawiam się, jak mógłbym zaufać człowiekowi snującemu takie desperackie plany.

Zapadła cisza, którą przerwała dopiero seria trzasków i syków pękającego polana w palenisku.

– Mam coś zrobić w tej sprawie?

Znów zrobiło się cicho, ale tym razem ciężar odpowiedzialności spoczął na Wilhelmie. To on musiał przerwać milczenie, a Eliza mogła się odprężyć i go obserwować. Jego twarz zdradzała, że źle się czuje w tej sytuacji.

– Jesteś mi potrzebna w Wersalu. Nie mogę cię posłać do Londynu, żebyś zajęła się Danielem Waterhouse'em. Zresztą nawet w jego sprawie bardziej mi się przydasz w Wersalu.

– Nie rozumiem...

Wilhelm otworzył oczy i odetchnął głęboko, z klinicznym zainteresowaniem wsłuchując się w pracę swoich płuc. Wyprostował się w fotelu, który mimo to górował nad jego drobną sylwetką, i spojrzał w ogień.

– Mógłbym kazać Waterhouse'owi mieć baczenie na wszystko, on odpowiedziałby „Tak, mój panie”, a i tak nie miałoby to żadnego znaczenia. Nie będzie czujny, dopóki nie znajdzie sobie celu w życiu.

Książę spojrzał Elizie w oczy.

– Ja mam mu go wskazać?

– Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby stracić Waterhouse'a, a wraz z nim ludzi, którzy podpisali te wszystkie listy. I to tylko przez to, że w pewnym momencie odechce mu się żyć. Musi mieć o co walczyć.

– To będzie proste.

– Tak? Jakoś nie przychodzi mi do głowy żaden pretekst, który pozwoliłby umieścić was oboje w jednym pokoju.

– Mam jeszcze jedno dziwactwo, mój panie. Interesuję się filozofią naturalną.

– No tak, przecież mieszkasz u Huygensa.

– A w mieście przebywa akurat przyjaciel Huygensa, szwajcarski matematyk nazwiskiem Fatio. Jest młody, ambitny i za wszelką cenę chciałby nawiązać kontakt z Towarzystwem Królewskim, którego Daniel Waterhouse jest sekretarzem. Zaaranżuję kolację.

– Fatio... Brzmi znajomo – powiedział zamyślony Wilhelm. – Dobijał się do mnie. Chciał, żebym udzielił mu audiencji.

– Dowiem się, czego chce.

– Dobrze.

– A co z tą drugą sprawą?

– Z jaką drugą sprawą?

– Czym się mam zająć w Wersalu?

– Ach tak... Przyjdź do mnie przed wyjazdem. Wtedy ci wszystko wyjaśnię. Teraz jestem zmęczony. Mam dość gadania. Zadanie, które ci wyznaczę, jest niezwykle ważne. Absolutnie kluczowe. Chciałbym mieć świeży umysł, kiedy będę ci je tłumaczył.

\* \* \*

*Panu – Kartezjuszowi udało się przekonać wielu ludzi, aby jego fantazje i domysły uznali za fakty. Ci, którzy przeczytali jego Zasady filozofii, doświadczyli podobnego uczucia, jak czytelnicy powieści sprawiającej przyjemność i udającej*

*prawdziwą historię. Obraz mikroskopijnych cząstek i zawirowań tchnie przyjemną świeżością. Kiedy sam czytałem to dzieło... za pierwszym razem wydawało mi się, że wywód jest doskonały. Nawet jeśli napotykałem jakieś trudności, składałem je na karb własnego niezrozumienia myśli autora... Od tamtej pory znalazłem w nim twierdzenia w oczywisty sposób fałszywe, oraz takie, które wydają się wysoce nieprawdopodobne. Z czasem wyzbyłem się życzliwego nastawienia do fizyki Kartezjusza i obecnie nie znajduję w niej niczego, co mógłbym uznać za fakt...*

Huygens, cytowany w 1971 u Westfalla,  
*Koncepcja siły w fizyce newtonowskiej:*  
*nauka o dynamice w siedemnastym wieku*, str. 186

Christiaan Huygens siedział u szczytu stołu, w peryhelium elipsy, Daniel Waterhouse zajął miejsce na wprost niego, w afelium, a Nicolas Fatio de Duilliers i Eliza usiedli naprzeciwko siebie pośrodku. Rodzina, od pokoleń służąca w domu Huygensów, podała na kolację pieczoną gęś, szynkę i zimowe jarzyny. Eliza wyznaczyła gościom miejsca, na których zasiedli. Należało rozdzielić Huygensa i Waterhouse'a, bo w przeciwnym razie zapomnieliby o bożym świecie i nie odzywali do nikogo poza sobą nawzajem. Dlatego lepiej było tak jak teraz: Fatio będzie chciał rozmawiać tylko z Waterhouse'em, Waterhouse wyłącznie z Elizą, a Eliza będzie udawała, że słucha tylko Huygensa. W ten sposób zostaną zmuszeni, by gonić się wokół stołu zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara i przy odrobinie szczęścia może uda się doprowadzić do prawdziwej konwersacji.

Zbliżała się pora zimowego przesilenia. Słońce zaszło w połowie popołudnia i twarze gości, podświetlone martwą naturą ze świec zatkniętych w obrośniętych woskiem butelkach, unosiły się w ciemności jak księżycy Jowisza. Tykanie stojących w drugim końcu pokoju zegarów z początku im przeszkadzało, z czasem jednak stało się nieodłącznym elementem świata; mogli je słyszeć, jeśli tylko chcieli – jak bicie swoich serc. Miarowy odgłos działał kojąco, uspokajał, że wszystko będzie dobrze, a przy tym nie pozwalał zapomnieć o upływie czasu. W towarzystwie tylu zegarów trudno być barbarzyńcą.

Daniel Waterhouse przybył pierwszy i zaczął od przeproszenia Elizy za to, że podczas poprzedniego spotkania wziął ją za służącą. Nie posunął się jednak dalej i nie zapytał, kim naprawdę jest. Przyjęła jego przeprosiny z cierpkim rozbawieniem, nie udzielając mu żadnych wyjaśnień. Był to całkiem niewinny, rutynowy flirt, który w Wersalu – gdyby komuś chciało się go zauważyć – wywołałby co najwyżej zde gustowane westchnienie. Tym niemniej wystarczył, aby przyprawić Waterhouse'a o bezbrzeżną konsternację. To z kolei zaniepokoiło Elizę.

– Mademoiselle... – zaczął jeszcze raz. – Byłbym niezmiernie...

– Niechże pan mówi po angielsku!



Daniel zaniemówił – najpierw ze zdumienia, że Eliza mówi po angielsku, a potem ze strachu, że podsłuchiwała całą jego rozmowę z Pennem.

– Co pan chciał powiedzieć?

Desperacko próbował sobie przypomnieć o co mu chodziło. Gdyby był o połowę młodszy, Eliza uznałaby jego zakłopotanie za urocze, ale, widok takiej bezradności wywołał jej przerażenie. Co by się z nim stało, gdyby jakaś zaprawiona w bojach francuska hrabina zatopiła w nim swoje szpony? Wilhelm miał rację: Daniel Waterhouse stanowił przeszkodę. Zagrożenie dla żeglugi.

– Eee... Byłbym niezmiernie... – Skrzywił się. – Po francusku brzmiało to szarmancko, po angielsku co najwyżej pompatycznie. Tak sobie myślałem... w obecnej sytuacji, kiedy stosunki międzypaństwowe są tak skomplikowane, układy między osobami przeciwnych płci równie złożone... W dodatku etykieta nie jest moją specjalnością... Czy istnieje jakiś pretekst, jakkolwiek, pod którym mógłbym z panią rozmawiać lub korespondować, nie ryzykując przy tym, że panią urażę?

– Nie wystarczy panu ta kolacja? – spytała, kokieteryjnie udając oburzenie.

W tej samej chwili zjawił się Fatio. Zauważyła go już wcześniej, kiedy szedł przez Plein, i stosownie rozegrała sytuację z Waterhouse'em. Daniel musiał usunąć się na bok i, siedząc jak na szpilkach, rozpamiętywać ogrom swojej klęski, podczas gdy Eliza i Fatio odprawiali rytuał powitalny jakby żywcem przeniesiony z Salonu Apolla w Wersalu. Ceremonia do złudzenia przypominała dworski taniec, choć uzupełniony elementami pojedynku: Eliza i Fatio sondowali się, wysyłając sygnały zakodowane w strojach, gestach i modulacji głosu, i obserwując się nawzajem z czujnością godną mistrzów szermierki, aby stwierdzić, czy druga strona zrozumiała przekaz, i – jeśli tak – sprawdzić, jak zareaguje. Eliza, która całkiem niedawno przybyła z dworu Króla Słońce, miała przewagę; musiała tylko odgadnąć jak wielki szacunek powinna okazać nowemu gościowi. Gdyby miała do czynienia z katolikiem, Francuzem, w dodatku arystokratą z tytułem szlacheckim, sprawa byłaby oczywista, zanim jeszcze przekroczyłyby drzwi domu. Ale Fatio był protestantem, Szwajcarem i pochodził z niewybitnego rodu. Mógł mieć niewiele ponad dwadzieścia lat, chociaż próbował sobie dodać powagi, nosząc doskonale francuskie ubrania. Nie był przystojny: olbrzymie niebieskie oczy wyzierały spod wysklepionego jak kopuła czoła, dolna połowa twarzy była natomiast nieproporcjonalnie drobna. Przywodził na myśl żywego jak iskierka, ale udręczonego zamknięciem w klatce ptaka – tym bardziej że jego sterczący nos przypominał do złudzenia ptasi dziób.

W którymś momencie Fatio musiał w końcu oderwać spojrzenie swoich wielkich ślepi od Elizy i wdać się w podobny tańco-pojedynek z Danielem. I znów, gdyby był członkiem Towarzystwa Królewskiego, albo chociaż doktorem na jakimś uniwersytecie, Daniel wiedziałby jak go traktować. A w obecnej sytuacji Szwajcar musiał się uwiarygodnić, dyskretnie rzucając nazwiskami i napomykając o przeczytanych książkach, rozwiązanych

problemach, przekłutych balonach samozadowolenia, przeprowadzonych doświadczeniach i widzianych na własne oczy stworach.

– Właściwie miałem nadzieję zastać tu pana Enocha Roota – stwierdził w pewnym momencie, rozglądając się po jadalni. – Pewien mój (hmm, hmm) znajomy, zapalony chemik (hmm), podzielił się ze mną plotką, tylko plotką, niczym więcej, jakoby przedwczoraj widziano człowieka odpowiadającego rysopisowi Roota, jak schodził z pokładu barki, która przybyła z Brukseli.

Fatio przeciągał tę nowinę jak gumę, co rusz zerkając na Waterhouse'a. Francuski arystokrata dawno już mrugnąłby lub chociaż z zaciekawieniem podkręcił wąsa, tymczasem Daniel wpatrywał się w niego jak bazyli szek.

Była to ostatnia wzmianka Fatia na temat alchemii; dalsza rozmowa dotyczyła wyłącznie matematyki i ostatnich dokonań Newtona. Eliza słyszała już od Leibniza i Huygensa, że Newton wydał jakiś traktat, którym wpędził innych naturalistów w depresję, aż pióra powypadały im z omdlałych palców, toteż wiedziała o czym Szwajcar mówi. Od czasu do czasu zwracał się jednak do niej bezpośrednio i przez chwilę odgrywał przykładowego dworzanina. Przychodziło mu to całkiem naturalnie, zgoła bez wysiłku, co dobrze świadczyło o jego wyszkoleniu i równowadze *humorów* w organizmie, ale Eliza zaczynała odczuwać znużenie. Odkąd przekroczył próg, wszystkie rozmowy kręciły się wokół niego; on był, a inni tylko reagowali na jego obecność. Elizie to odpowiadało, a Daniel czuł frustrację – co też było jej na rękę i pozwalało spokojnie obserwować sytuację. Zastanawiała się tylko, skąd Fatio czerpie energię. Był najszybszym i najgłośniejszym zegarem w pokoju; jego sprężyna musiała zostać nakręcona do granic możliwości. Z ulgą przyjęła fakt, że nie przejawiał nawet śladu erotycznego zainteresowania jej osobą. Miał zadatki na nieustępliwego i męczącego adoratora.

Dlaczego po prostu nie wyrzucili go za drzwi i nie zjedli w spokoju kolacji? Bo Fatio potrafił być naprawdę interesujący. Widząc człowieka, który tak desperacko walczy o swoją reputację, z początku myślała (Waterhouse chyba zresztą również), że to *poseur*. Myliła się jednak. Gdy tylko się zorientował, że Eliza nie jest katoliczką, okazało się, że ma wiele do powiedzenia na temat religii i stanu francuskiego społeczeństwa; gdy stwierdził, że Waterhouse nie jest alchemikiem, zaczął rozprawiać o matematyce z takim zapałem, że Daniel słuchał go z rozdziawionymi ustami. Natomiast Huygens (kiedy w końcu obudził się i zszedł z piętra) swoim traktowaniem Fatia dał do zrozumienia, że traktuje go jak równego sobie – a przynajmniej bliskiego mu w stopniu, w jakim, w wypadku człowieka pokroju Huygensa, było to możliwe.

– Człowiek w moim wieku, legitymujący się w dodatku mizernymi osiągnięciami, nie jest godny pamięci dżentelmena, który kiedyś zasiadł przy tym stole...

– Nie zasiadł, lecz zasiadał – wtrącił bezceremonialnie Huygens. – Kartezjusz często tu bywał.

– ...i zaproponował opisanie fizycznej rzeczywistości językiem matematyki – dokończył Fatio.

– Nie mówiłby pan o nim w taki sposób, gdyby nie chciał mu pan czegoś zarzucić – zauważyła Eliza.

– Nie jemu samemu, lecz jego późniejszym naśladowcom. Rozpoczęty przez Kartezjusza projekt ostatecznie upadł. Zawirowania są skończone! Dziwię się, że Leibniz wciąż pokłada w nich jakąś nadzieję.

Wszyscy wyteżyli słuch.

– Być może ma pan lepszy kontakt z Leibnizem niż ja – powiedział Daniel.

– Doprawdy, przecenia mnie pan, doktorze Waterhouse. Przecież to chyba nie do pomyślenia, żeby doktor Leibniz komunikował swoje najświeższe odkrycia mnie, nie przedstawivszy ich uprzednio Towarzystwu Królewskiemu. Ale jeśli się mylę, proszę mnie oświecić.

– Nie chodzi o to, że Leibniz darzy teorię zawirowań jakimś szczególnym sentymentem. On po prostu nie wierzy w żadne tajemnicze oddziaływanie na odległość.

Na te słowa Huygens uniósł rękę, jakby udzielał mówiącemu poparcia. Fatio od razu to zauważył, Daniel zaś mówił dalej:

– Oddziaływanie na odległość to pojęcie raczej mętne, być może atrakcyjne dla osób obdarzonych specyficzną psychiką...

– Ale nie dla tych, którzy przyjęli filozofię mechaniczną przedłożoną przez monsieur Descartesa! Przy tym stole!

– W dodatku z tego krzesła! – dodał Huygens, celując w Fatio gęsim udkiem.

– Mam własną teorię grawitacji, która tłumaczy odwrotną proporcjonalność siły i kwadratu odległości – powiedział Fatio. – Kiedy wrzucimy kamień do stawu, na wodzie pojawiają się kręgi. Planety powodują w eterze podobne, koncentryczne zaburzenia, które oddziałują na jej satelity...

– Proszę to spisać – zaproponował Waterhouse. – I przesłać do mnie. Opublikujemy tę teorię razem z wywodem Leibniza. Niech wygra lepszy.

– Z wdzięcznością przyjmuję pańską ofertę! – Fatio zerknął z ukosa na Huygensa, jakby go brał na świadka. – Obawiam się wszakże, iż zanudzamy mademoiselle Elizę.

– Skądże znowu, monsieur. Interesuje mnie wszystko, co dotyczy doktora Leibniza.

– A jest coś, co by Leibniza nie dotyczyło?

– Alchemia? – podsunął ponuro Daniel.

Fatio, który chwilowo postawił sobie za cel włączenie Elizy do rozmowy, udał, że nie słyszał tej wymiany zdań.

– Zastanawiałem się właśnie, czy doktor nie przyłożył czasem ręki do utworzenia Ligi Augsburskiej.

– Raczej nie – odparła Eliza. – Leibniz od dawna marzy o tym, żeby zjednoczyć Kościoły katolicki i luterński i zapobiec wybuchowi następnej wojny trzydziestoletniej, ale powstanie Ligi, na mój gust, grozi raczej prowokowaniem sporów. Nie doktor wpadł na ten pomysł, lecz książe Oranu.

– obrońca Protestantów – dodał Fatio. Eliza przywykła słyszeć ten tytuł ociekający francuskim sarkazmem, tymczasem Szwajcar wypowiedział go starannie, z namysłem, jak naturalista ważący w duchu niesprawdzoną hipotezę. – Naszym sabaudzkim sąsiadom zabrakło obrony, kiedy nadciągnął de Catinat ze swoimi dragonami. W tym wypadku nie mogę się zgodzić z doktorem, choćby miał najlepsze intencje... Potrzebujemy obrońcy i Wilhelm Orański świetnie się na niego nadaje. Dopóki nie wpadnie w szpony Francuzów.

Mówiąc, Fatio nie spuszczał wzroku z Elizy.

Huygens zachichotał.

– To mu raczej nie grozi. Nie rusza się z Holandii na krok.

– Ale wybrzeże jest tu długie i w większości pustawe. Francuzi mogliby wysadzić desant w dowolnym miejscu.

– Francuska flota pływająca w tę i z powrotem wzdłuż holenderskich brzegów rzucałaby się w oczy – zauważył Huygens, nadal nie kryjąc rozbawienia.

Fatio wciąż patrzył na Elizę.

– Nie mówiłem o flocie. Wystarczyłby jeden jacht, żeby wysadzić na plaży oddział dragonów.

– I co wskóraliby ci dragoni w potyczce z potężną armią holenderską?

– Gdyby byli na tyle głupi, żeby rozbić obóz na plaży i czekać na mobilizację tej armii, zginęliby marnie. Ale gdyby wylądowali na tym skrawku piasku, po którym Wilhelm tak lubi żeglować, w dodatku o odpowiedniej porze, rano, to w kilka minut mogliby wykreślić nowe granice i zmienić dalsze dzieje Europy.

Przez następną minutę było słycać tylko tykanie zegarów. Fatio wpatrywał się w Elizę ogromnymi oczami, które niczym para niebieskich soczewek zdawały się skupiać w sobie całe światło w pokoju. Co mogły przegapić? Czego mógł nie wiedzieć kryjący się za nimi umysł?

A z drugiej strony – jakie znał sztuczki? I jak się uchronić przed wpadnięciem w sidła właściciela takich oczu?

– Sprytny pomysł – przyznała Eliza. – Jakby żywcem wyjęty z pikarejskiego romansu. – Wysokie czoło Fatia zmarszczyło się, oczy zaś, jeszcze przed chwilą tak przenikliwe, nagle spojrzały błagalnie. – Skoro pan Fatio dostarczył nam już rozrywki – ciągnęła Eliza – może pan, monsieur Huygens, zechciałby nas wznieść na wyżyny?

– Jak mam to rozumieć? – spytał Huygens. – Kiedy ostatnim razem jeden z pani gości wznosił się w tym domu na wyżyny, musiałem odwracać wzrok.

– Proszę zaprowadzić nas na dach, skąd zobaczymy gwiazdy i planety – wyjaśniła spokojnie Eliza. – A potem wydźwignąć nasze umysły z pomroki, pokazując przez teleskop jakieś nowe zjawisko.

– W takim towarzystwie wszyscy powinniśmy nawzajem wynosić się pod niebiosa. Nie mam bowiem żadnej przewagi nad tymi dżentelmenami.

Te słowa Huygensa wywołały długą i nieciekawą wymianę wyrazów skromności ze strony Fatia i Waterhouse'a, ale koniec końców wszyscy przywdziali zimowe okrycia, wdrapali się po schodach – tu krętych, tam znów prostych – i stanęli na dachu w świetle gwiazd. Jedyne obłoki, które mogłyby im przesłaniać widok, formowały się z wydychanej przez nich pary wodnej. Huygens zapalił glinianą fajkę. Fatio, który już wcześniej mu asystował, z precyzją godną kolibra zdjął płócienną osłonę z newtonowskiego reflektora, strzygąc uchem w kierunku Huygensa i Waterhouse'a, rozmawiających o optyce, i strzelając oczami w stronę Elizy, która przechadzała się po parapecie i podziwiała widoki. Na wschodzie rozpościerał się Haagsche Bos, wełnisty i czarny od drzew; na południu było widać dymiące kominy i rozświetlone okna Hofgebied; na zachodzie smagany wiatrem Plein ciągnął się aż do Bramy Grenadierów strzegącej wejścia do Binnenhofu. W pałacu płonęły całe kilogramy wosku i wielorybiego tłuszczu, rozświetlając salę balową, w której wydano uroczyste przyjęcie. Zaproszone na nie młode damy musiały być zachwycone, ale Huygens kłął całą tę iluminację w żywy kamień. Wilgotne powietrze chłonęło blask lamp i świec i skrzyło się delikatnie – tak delikatnie, że przeciętny człowiek niczego by nie zauważył, ale zarazem dostatecznie jaskrawo, żeby uprzykrzyć życie astronomowi.

Fatio uporał się wreszcie z pokrowcem i Waterhouse z Huygensem zajęli się wymierzaniem teleskopu w Saturna, który powinien być wyraźnie widoczny bez względu na liczbę świec zapalonych w Binnenhofie. Fatio podszedł do Elizy, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

– Zapomnijmy na chwilę o etykietce i porozmawiajmy otwarcie – zaproponowała.

– Jak sobie pani życzy, mademoiselle.

– Czy ten pomysł z jachtem i dragonami to tylko pańska imaginacja, czy może...

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę. W dni, kiedy pogoda nie jest absolutnie ohydna, a wiatr wieje od morza, księżę Oranu udaje się o godzinie dziesiątej rano do swojego hangaru w Scheveningen, wybiera sobie bojer i jedzie nim na północ, w okolice wydm w rejonie Katwijk; przy sprzyjającej aurze zapuszcza się aż do Noordwijk. Tam zawraca i przed południem jest z powrotem w Scheveningen.

– Tak dokładnie przestudiował pan zwyczaje księcia? – spytała Eliza, nie chcąc sprawiać Fatiowi satysfakcji przyznaniem, że ma całkowitą rację.

– Ja nie, ale hrabia Fenil owszem.

– Fenil... Słyszałam to nazwisko w salonie księżnej d'Oyonnax... Pochodzi, zdaje się, z tego rejonu, gdzie łączą się Szwajcaria, Sabaudia, Burgundia i Piemont, prawda?

– Zgadza się.

– Poza tym jest katolikiem i frankofilem.

– Nazwisko ma sabaudzkie, ale bardzo wcześnie zorientował się, że Ludwik XIV przyćmi gwiazdę księcia Sabaudii i zagarnie jego ziemie, toteż stał się bardziej francuski od Francuzów i wstąpił do armii Louvois. Już sam ten fakt dowodzi jego lojalności wobec króla, ale po niedawnej demonstracji siły, jaką francuska armia urządziła mu tuż za progiem, Fenil uznał chyba, że powinien jakoś potwierdzić swoje przywiązanie do korony. Obmyślił więc plan, o którym mówiłem: chciałby uprowadzić Wilhelma z plaży i zawieźć go w kajdanach do Francji.

Przystanąli w narożniku budynku, skąd dobrze było widać Plein i Binnenhof. Kiedy d’Avaux zabierał Elizę na łyżwy, pałac wydawał się jej przepyszny (przynajmniej jak na europejskie standardy). Teraz jednak, kiedy przywykła do Wersalu, Binnenhof przywodził jej na myśl drewnutnię. Tej nocy, w powodzi świateł, i tak prezentował się najlepiej jak mógł. Wśród gości mieli być William Penn i rozmaici członkowie korpusu dyplomatycznego – między innymi d’Avaux, który proponował Elizie, żeby wystąpiła na balu u jego boku. Nawet przyjęła zaproszenie, ale potem zmieniła zdanie, by zająć się organizacją kolacji u Huygensa. Niepocieszony d’Avaux zaczął zadawać niewygodne pytania. Po tym, jak ją zwerbował i wysłał do Wersalu, ich stosunki upodobniły się do układu łączącego feudalnego pana z wasalem; d’Avaux odsłonił przed nią okrutną i mściwą stronę swojej natury, głównie na drodze ostrzeżeń i gróźb, co się z nią stanie, jeśli nie będzie mu posłuszna. Domyślała się, że to on dostarczył Fenilowi szczegółów na temat rozkładu dnia Wilhelma.

Zima na razie była łagodna, toteż położony przed Binnenhofem Hofvijver nie zamrzął i płomyki świec odbijały się w czarnej, marszczonyj wiatrem toni. Elizie zbierało się na płacz, kiedy przypominała sobie, jak ją samą uprowadzono z plaży. Historyjka Fatia nie musiała być prawdziwa, ale w połączeniu z kąśliwymi uwagami, jakich ostatnio nie szczędził jej d’Avaux, napęliła jej serce prawdziwą żalostí. Przyczyną nagłej melancholii nie był żaden konkretny człowiek, żaden plan ani jego skutki; ten smutek przypominał czarną wodę, która pożera światło.

– Skąd tak dobrze zna pan zamysły hrabiego Fenila?

– Niedawno byłem u ojca w Duilliers – to nasza rodowa posiadłość w Szwajcarii – kiedy odwiedził go Fenil. Poszliśmy na spacer i tak dowiedziałem się tego, co pani opowiedziałem.

– Hrabia musi chyba być imbecylem, żeby tak otwarcie o tym rozmawiać.

– To niewykluczone. Jeżeli realizacja planu miałaby zwiększyć jego prestiż, uważa, że powinien jak najwięcej o nim mówić.

– Plan jest co najmniej dziwaczny. Czy przedstawił go już komuś, kto mógłby go wprowadzić w życie?

– Tak, marszałkowi Louvois. Marszałek odpisał mu i kazał poczynić stosowne przygotowania.

– Kiedy to było?

– Z pewnością dostatecznie dawno temu, by przygotowania zostały już zakończone.

– Więc przybył pan tutaj z zamiarem ostrzeżenia Wilhelma?

– Bardzo chciałem to zrobić – przyznał Fatio. – Ale księżę nie chciał mnie przyjąć.

– Dziwne, że w takim razie zwrócił się pan do mnie. Dlaczego księżę Oranu miałby mnie posłuchać? Mieszkam w Wersalu, gdzie zajmuję się inwestowaniem pieniędzy należących do dworzan króla Francji. Od czasu do czasu przyjeżdżam do Holandii, żeby spotkać się z brokerami i zobaczyć z moim przyjacielem i klientem, hrabią d’Avaux. Dlaczego, na litość boską, uważa pan, że coś mnie łączy z Wilhelmem?

– Po prostu to wiem – odparł spokojnie Fatio.

– Kto jeszcze wie?

– A kto wie o tym, że ciała w polu rządonym prawem odwrotnej proporcjonalności poruszają się po krzywych stożkowych? Albo że pierścienie Saturna nie są jednolite?

– Pierwsze: każdy, kto czytał *Principia Mathematica*. Drugie: każdy, kto patrzył przez teleskop.

– Pod warunkiem, że ma dość rozumu, by pojąć to co przeczytał lub zobaczył.

– Zgoda. Każdy może kupić książkę Newtona, ale mało kto ją zrozumie.

– Właśnie, mademoiselle. Tak samo każdy może panią zobaczyć lub usłyszeć plotki na pani temat. Jednakże właściwa interpretacja tych faktów, pozwalająca odkryć prawdę, wymaga darów, których Bóg zazdrośnie strzeże i nie rozdaje lekką ręką.

– Dużo się pan o mnie dowiedział z rozmów ze swoimi braćmi? Zdaję sobie sprawę, że można ich znaleźć na wszystkich dworach, w kościołach i kolegiach, i że rozpoznajecie się za pomocą tajemnych znaków i szyfrów. Proszę nie bawić się ze mną w kotka i myszkę, panie Fatio. To takie pospolite.

– Nie śmiałybym w ten sposób obrażać kobiety tak wyrafinowanej jak pani. Dlatego nie będę zaprzeczał: rzeczywiście należę do bractwa ezoterycznego, które zrzesza w swych szeregach wielu możliwych tego świata. *Raison d’être* bractwa jest wymiana informacji. I właśnie od braci dowiedziałem się o pani.

– Chce pan powiedzieć, że hrabia Upnor, podobnie jak co drugi arystokrata obsikujący wersalskie korytarze, wiedzą o moich związkach z Wilhelmem Orańskim?

– Większość z nich to ograniczeni *poseurs*. Proszę nie zmieniać swoich planów wyłącznie z obawy, że mogliby się domyślić tego, czego ja się domyśliłem.

Eliza nie odpowiedziała. Wyjaśnienia Fatio nieszczególnie ją uspokoiły. Jej milczenie wywołało u niego znajome, błagalne spojrzenie. Odwróciła się do niego plecami (w przeciwnym razie pozostałoby jej tylko prychnąć i wznieść oczy ku niebu) i spojrzała na Plein, gdy nagle coś przyciągnęło jej wzrok. Wysoka postać w czarnym płaszczu, ze spływającymi na ramiona srebrzystymi włosami, przeszła właśnie przez Bramę Grenadierów,

jakby pod jakimś pretekstem wymknęła się z przyjęcia. Para buchnęła z jej ust wraz z okrzykiem:

– Jak tam dzisiejsze obserwacje?!

– Znacznie lepiej, niżbym chciała – odparła Eliza.

– Źle, panie Root. Całkiem źle! Wszystko przez to natrętne sąsiedztwo.

– Proszę nie tracić ducha – powiedział Enoch Rudy. – Jestem przekonany, że meteor upiękniejszy dziś w nocy sylwetkę Pegaza. Radzę właśnie tam zwrócić teleskop.

Eliza i Fatio jak na komendę odwrócili się do teleskopu, który stał po przekątnej od nich – co oznaczało, że Huygens i Waterhouse nie widzieli i nie słyszeli Enocha Roota. Kiedy znów wyrzeli na plac, zwrócony do nich plecami Root zniknął właśnie w jednej z wąskich uliczek Hofgebied.

– Że też spotyka mnie taki zawód! – zmartwił się Fatio. – Chciałem zaprosić go do nas na górę... Z pewnością wyszedł przed chwilą z balu w Binnenhofie.

Eliza dopowiedziała sobie resztę w myślach: „Gdzie bratał się z moimi braćmi na holenderskim dworze – tymi samymi, którzy nie umieją utrzymać języka za zębami, kiedy rozmowa schodzi na pani temat, Elizo?”.

Fatio spojrzał na Gwiazdę Polarną.

– Pół do pierwszej, chociaż kościelne dzwony milczą...

– Skąd pan wie, która jest godzina?

– Z położenia gwiazd. Pegaz jest daleko na zachodzie, o, tam. Za dwie godziny schowa się pod linię widnokregu. Fatalny moment do obserwacji. Zresztą meteory przemykają po niebie tak szybko, że nikt nie zdążyłby złapać ich w teleskop... Co on mógł mieć na myśli?

– Czy tak właśnie rozmawiacie ze sobą w bractwie? Nic dziwnego, że alchemicy słyną głównie z wysadzania swoich domów w powietrze.

Elizie ulżyło. Udało jej się uchylić rąbka tajemnicy – i nie znalazła tam nic poza konsternacją Fatia.

Potem przez blisko godzinę oglądano – i spierano się o – szczelinę między pierścieniami Saturna, nazwaną na cześć Cassiniego, francuskiego astronoma królewskiego, a której istnienie Fatio umiał matematycznie uzasadnić. Krótko mówiąc, Eliza marzła, nudziła się i była powszechnie ignorowana. W danej chwili tylko jedna osoba mogła zaglądać w okular teleskopu, a obecni na dachu mężczyźni całkowicie zapomnieli o dobrych manierach i ani razu nie dali jej popatrzeć.

Fatio przekonał pozostałą dwójkę, żeby wycelowała teleskop w stronę Pegaza, a przynajmniej tych paru ocalałych z niego gwiazd, których Morze Północne nie zdążyło jeszcze pochłonać. Pegaz był jednak znacznie mniej interesujący od Saturna, toteż panowie pozwolili Elizie patrzeć do woli i kręcić teleskopem we wszystkie strony w poszukiwaniu zapowiadanego meteoru.



– Znalazła pani coś, mademoiselle? – zainteresował się w pewnej chwili Fatio, widząc, jak Eliza zgrabiałyimi palcami kręci śrubą ogniskującą.

– Nad horyzontem zawisła chmura.

– Piękna pogoda nigdy nie trwa długo – stwierdził Huygens, dając próbkę holenderskiego pesymizmu, pogoda bowiem była przez cały dzień paskudna.

– Czy to chmura deszczowa, czy...

– Właśnie staram się to ustalić – odparła Eliza, próbując wyostrzyć obraz.

– Enoch was nabrał – powiedział Huygens. Opowiedzieli mu już o dziwnym zachowaniu Enocha na Plein. – Strzyka go w kościach, więc wie, że zanosi się na zmianę pogody. A że kazał wam obserwować Pegaza... No cóż, stamtąd wieje wiatr. Bardzo to sprytnie wymyślił.

– Istotnie, widzę tam pasemka mgły... Ale to, co z początku wzięłam za ciężką burzową chmurę, to w rzeczywistości statek pod żaglami. Przy świetle księżyca wciąga płótna na maszty i mknie wzdłuż wybrzeża.

– Przemysłnicy – domyślił się Waterhouse. – Wiozą z Ipswich tkaniny. – Eliza cofnęła się, ustępując mu miejsca przy okularze. – Nie, pomyliłem się... Statki przemysłników mają inny osprzęt.

– Ten takielunek sprzyja szybkości, ale w tej chwili płyną wolno i ostrożnie – stwierdził Huygens i odstąpił swoje miejsce Fatiowi.

– Założę się, że szmuglują coś z Francji – orzekł Szwajcar. – Sól, wino, albo jedno i drugie.

Podobne nudnawe spory trwały jeszcze jakiś czas, aż w końcu Eliza oznajmiła, że idzie spać.

\* \* \*

Obudził ją dźwięk dzwonu. Z niewiadomych powodów wiedziała, że powinna koniecznie policzyć uderzenia, ale nie miała pewności, czy już jakiegoś nie przegapiła. Kładąc się, przykryła sobie stopy zimowym płaszczem, żeby rozgrzać palce, teraz zaś usiadła na łóżku i jednym płynnym ruchem zarzuciła go sobie na ramiona, zanim ziaęb zdążył przeniknąć przez porowate płótno koszuli nocnej. Spuściła nogi na podłogę, szturchnęła pantofle z króliczej skórki, żeby ewentualnie przegonić myszy, które mogły się w nich schować, i wsunęła je na stopy.

Tak jak gryzonie po ciemku urządzają sobie legowiska w elementach ludzkiej garderoby, tak w umyśle Elizy załęgła się podczas snu uporczywa myśl. Zdała sobie z niej sprawę w pełni dopiero po kilku minutach, kiedy zeszła do jadalni rozpaścić w kominku i powiodła wzrokiem po zegarach Huygensa. Wszystkie wskazywały kilka minut po dziewiątej.

Wyrzała przez okno na Plein. Wysokie, białe chmury zasnuły niebo. Dym wzbijający się z lasu kominów Binnenhofu snuł się ku wschodowi, popychany nadmorską bryzą. To był idealny dzień na żeglugę piaskową.

Podeszła do drzwi sypialni Huygensa, zacisnęła pięść, wzięła zamach i... zawahała się. A jeśli się myliła? Byłaby głupia, budząc go teraz. Jeżeli zaś miała rację, tym bardziej nie należało tracić kwadransa na budzenie go i przekonywanie.

Huygens trzymał przy domu tylko kilka koni. Tereny jeździeckie Malieveld i Koekamp znajdowały się w zasięgu strzału z muszkietu; jeśli gospodarz lub któryś z gości chcieli wybrać się na przejażdżkę, wystarczyło się przespacerować do którejś z licznych stajni wynajmujących konie.

Eliza – cały czas w kapciach – wybiegła tylnym wyjściem, omal nie wpadła na zamiatającą chodnik Holenderkę, i skręciła za róg.

Tam przystanęła, bo przypomniała sobie, że nie zabrała z domu pieniędzy.

– Elizo! – zawołał kro«

Odwróciła się. Biegł za nią Nicolas Fatio de Duilliers.

– Ma pan pieniądze?! – odkrzyknęła.

– Tak!

Pobiegła dalej. Zatrzymała się dopiero przy pierwszej stajni, która znajdowała się kilkaset długich kroków od domu – wystarczająco daleko, żeby serce zaczęło jej walić jak młotem, a na twarz wypłynęły rumieńce. Jeszcze przed przybyciem Fatia dobiła targu z właścicielem; szwajcarski matematyk wpadł przez bramę stajni w samą porę, żeby zobaczyć wycelowany w siebie palec Elizy i usłyszeć jej słowa:

– Ten pan płaci!

Osiodłanie koni musiało potrwać kilka minut. Elizie zbierało się na wymioty; Fatio też był podekscytowany, ale dobre maniere walczyły w nim ze zdrowym rozsądkiem – i w końcu wygrały. Spróbował nawiązać rozmowę.

– Jak mniemam, mademoiselle, pani również odebrała dziś rano jakąś wiadomość od Enocha Rudego?

– Tak, jeśli wyszeptał mi ją do ucha, kiedy spałam!

Fatio wyraźnie nie wiedział co odpowiedzieć.

– Spotkałem go przed chwilą w kawiarni, w której regularnie bywam... Wyjaśnił mi, co chciał nam wczoraj powiedzieć...

– Mnie jego wczorajsza wypowiedź wystarczyła. – Zaspany stajenny upuścił siodło, ale zamiast je podnieść, próbował głupio zażartować. Właściciel stajni dodawał słupki gęsim piórem, które cały czas ciekło. Bezradnej Elizie łzy napłynęły do oczu. – Niech to wszystko szlag trafi!

\* \* \*

– Na oklep jeździ się tak samo jak w siodle, tylko bardziej – powiedział jej kiedyś Jack Shaftoe.

Starła się jak najrzadziej o nim myśleć, ale to wspomnienie wypłynęło samo, nieproszone. Do dnia, w którym spotkali się w podziemiach Wiednia, nigdy nie jeździła konno. Jack z wyraźną przyjemnością udzielał jej pierwszych lekcji, zwłaszcza gdy okazywała wahanie, spadała z Turka lub dawała mu się ponieść. Kiedy jednak nabrała doświadczenia, stał się marudny i opryskliwy. Przy każdej okazji wypominał jej, że umiejętność jazdy w siodle to żadna sztuka, i że kto nie nauczy się jeździć na oklep, nie ma o jeździe konnej pojęcia. On natomiast był w tych sprawach ekspertem – przecież tak właśnie wagabundy kradły konie.

Najważniejszy był wybór właściwego wierzchowca (tak twierdził). Stojąc przed rzędem boksów w stajni, należało wybrać konia o płaskim, ale niezbyt szerokim grzbiecie, żeby dało się go mocno ścisnąć kolanami. Kłęb – kościsty występ u nasady karku – powinien być nie za duży, aby nie uniemożliwiał położenia się na szyi konia w galopie, i nie za mały – bo czegoś trzeba było się rękami przytrzymać. Poza tym dobrze by było, żeby koń miał łagodny charakter, ponieważ prędzej czy później musiał nadejść moment, w którym koniokrad zsunie się w tył lub w bok (po pokonaniu jakiejś przeszkody lub ostrego zakrętu), a wtedy tylko od dobrej woli konia będzie zależało, czy wagabunda zostanie zrzucony z grzbietu, czy dostanie szansę ułożyć się na nim ponownie.

Może przez czysty przypadek ulubiona klacz Elizy, którą znała z imienia i zabierała na wszystkie przejażdżki, miała płaski, nie za szeroki grzbiet, umiarkowany kłęb i przymilną naturę, a może to rady Jacka utkwiły jej w pamięci i wpłynęły na decyzję o wyborze konia. W każdym razie klacz nazywała się Vla („Kremowa”) i zdaniem Elizy nie zanosilo się na to, żeby kiedykolwiek miała ją zrzucić. Stajenny siodłał innego konia. Vla stała w boksie dosłownie kilka kroków dalej.

Eliza otworzyła drzwi boksu, zawołała Vłę po imieniu, podeszła bliżej, przytknęła nos do nosa klaczy i dmuchnęła jej delikatnie w chrapy. Vla odruchowo uniosła olbrzymi łeb, podstawiając się pod ciepły podmuch. Eliza ujęła ją pod brodę i chuchnęła ponownie, co klacz przyjęła z dreszczem wdzięczności. Potężne, nakładające się bryły mięśni zadrgały pod skórą. Eliza pogładziła bok klaczy, a potem, wykorzystując przegrodę między boksami w charakterze drabiny, wdrapała się na wysokość, z której mogła już przegramolić się na grzbiet Vli. Wylądowała na brzuchu. Jedną ręką złapała za poręczny kłęb, obróciła się i ścisnęła klacz nogami – musiała w tym celu podciągnąć wąską koszulę aż do bioder, tak że tylko zwieszający się na boki płaszcz zasłaniał jej nogi. Nagimi pośladkami, udami i łydkami przywarła do ciała klaczy, które okazało się niewiarygodnie ciepłe. Vla przyjęła to wszystko z wielkim spokojem. Nie zareagowała na pierwsze kopnięcie piętami, ale kiedy drugi raz ściśnięto ją kolanami, wyszła przed stajnię, a gdy została za to pochwalona i ponaglona po raz

trzeci, ruszyła żwawym truchtem, omal nie zrzucając przy tym jeźdźca. Eliza padła w przód, kładąc się na grzbiecie i karku Vli, wtuliła twarz w grzywę i zacisnęła zęby na szorstkim włosiu. Kiedy podniosła wzrok, znajdowały się już na ulicy, ścigane przez nie okazujących specjalnego zapału stajennych i parobków, nie bardzo wiedzących, czy są świadkami dziwnego zdarzenia, czy może jednak przestępstwa.

Ruszyli na północ skrajem terenów jeździeckich Koekamp, które z tej strony przylegały do szerokiego kanału biegnącego wprost do Scheveningen. Zamiast walczyć z kąśliwym nadmorskim wiatrem, Vla wołałaby zjechać na Koekamp – z tego przecież żyła – ale za każdym razem, gdy zwracała chrapy w stronę lądu, Eliza udzielała jej surowej reprimendy, popartej kopniakiem w ten właśnie bok. Nic więc dziwnego, że poruszały się naprzód skokami, a łączące je stosunki były dość napięte, dopóki z prawej strony ciągnął się najpierw Koekamp, a potem Malieveld. Kiedy jednak te pokusy zniknęły, Vla zrozumiała chyba, że pojedą wzdłuż kanału do samego Scheveningen i wyraźnie się uspokoiła. Po następnym szturchnięciu przeszła w szybki kłus, znacznie wygodniejszy od dotychczasowego kroku, a wkrótce potem pędziła galopem. Eliza pokrzykiwała „Z drogi! Z drogi w imieniu stadhoudera!”, gdy tylko ktoś napatoczył się na drodze, ale zdarzało się to rzadko, ponieważ znalazły się już na terenach wiejskich, gdzie spotykało się więcej krów niż ludzi.

Doszła do wniosku, że Jack miał rację – utrzymanie się na grzbiecie galopującego konia bez korzystania z dobrodziejstw siodła wymagało zmysłu równowagi i przewidywania ruchów wierzchowca – oraz odrobiny współpracy z jego strony. Kiedy niedługo potem Vla się spociała i jej sierść zrobiła się śliska, Eliza była zmuszona porzucić wszelkie myśli o rozwiązaniach siłowych i całkowicie zaufać skomplikowanej i dynamicznie zmiennej więzi łączącej ją z klaczą.

Zanim Fatio ją dogonił, pokonała już ponad połowę drogi do Scheveningen. W pewnej odległości za nimi pędzili jeszcze dwaj jeźdźcy, najprawdopodobniej strażnicy z gildii Świętego Jerzego. Dopóki jednak nie zbliżyli się na dystans umożliwiający strzał z pistoletu, nie było się czym przejmować. Później wszystko się im wyjaśni.

– Ten statek... który widzieliśmy...! – wykrzyczała Eliza, wciskając słowa w przerwy między łapaniem oddechu i co bardziej gwałtownymi ruchami klaczy. – To był ten... jacht?!

– Tak! To... *Météore*, okręt flagowy... diuka d'Arcachon! Na pokładzie... na pewno... są... dragoni...

Za plecami usłyszeli dźwięk rogu, w który zadął strażnik z wieży obserwacyjnej w Hadze. Dawał w ten sposób sygnał szeryfowi Scheveningen, który podlegał haskiej radzie miejskiej. Fatio i Eliza mieli się wkrótce przekonać, czy szeryf zachowuje czujność i jak radzi sobie z organizacją pracy straży.

Dziesięć po dziesiątej zajechali przed hangar w Scheveningen. Widząc wyciągnięty na plażę bojer, przy którym uwijał się cieśla, Eliza wydała triumfalny okrzyk – wyglądało na to, że przybyli w samą porę. W tej samej chwili zauważyła jednak ślady kół na piasku. Podążyła

za nimi wzrokiem i dostrzegła drugi jacht piaskowy, przechylający się w podmuchach morskiej bryzy dobrą milę od hangaru.

Hangar nie był pojedynczym budynkiem, lecz tworzącym podkowę kompleksem szop, baraków i warsztatów, kuźni i magazynów, pozlepianych ze sobą bez ładu i składu, i wypełnionych oszałamiającą mnogością narzędzi... Eliza na chwilę zagubiła się w tej masie drobiazgów, a kiedy się odwróciła, przed jej oczami rozpełtało się istne pandemonium: zdyszani członkowie gildii, żołnierze Błękitnej Gwardii, marynarze z cumujących w porcie statków, rozwścieczeni strażnicy ze straży miejskiej w Scheveningen – wszyscy jednocześnie wyciągali ręce po Fatia, który próbował się tłumaczyć po francusku. Rzucał przy tym Elizie niezrozumiałe spojrzenia, jakby nie mógł się zdecydować, czy prosić ją o pomoc, czy bronić jej przed tłuszcą.

– Dajcie ognia! – zawołała po niderlandzku. – Księżę jest w niebezpieczeństwie!

Swoim łamanym niderlandzkim wytłumaczyła, ile mogła. Kapitan Błękitnej Gwardii cały czas kiwał głową; Eliza jak przez mgłę przypomniała sobie, że od początku kręcił nosem na księżę eskapady bojerowe. W pewnym momencie uznał, że wystarczy mu wyjaśnień, i strzałem w powietrze uciszył tłum. Rzucił pustą, dymiącą broń podwładnemu, który odrzucił mu drugi pistolet, naładowany. Kapitan wypowiedział parę słów po niderlandzku i wszyscy się rozbiegli.

– Co on powiedział, mademoiselle? – zainteresował się Fatio.

– Gwardia na koń! Strażnicy ognia! Żeglarze na morze! A reszta niech się stąd zabiera!

Zafascynowany Fatio patrzył, jak szwadron Błękitnej Gwardii rzuca się w pościg za księciem i gna po plaży na złamanie karku. Marynarze popędzili do portu, a artylerzyści zaczęli ładować działa portowych baterii. Każdy, kto miał naładowaną broń, strzelał w powietrze – ale księżę, który znajdował się w osobnym wszechświecie wiatru i fal, niczego nie słyszał.

– Wydaje mi się, że zaliczamy się do tej „reszty” – stwierdził nieco przygnębiony Fatio. – Ale chyba nie ma w tym nic złego. Kawalerzyści zaraz dogonią księcia.

Słońce znalazło lukę w chmurach i jego promienie rozproszyły się na welonie mgiełki końskiego potu, otulającym oddział jeźdźców.

– Nie mają szans – odparła Eliza. – Nie przy takim wietrze.

– No to może to zwróci uwagę księcia! – powiedział Fatio, wystraszony nierówną salwą z dział.

– Pomyśli, że to salut na cześć jakiegoś statku wchodzącego do portu.

– Co możemy zrobić?

– Wykonać rozkaz. Zabieramy się stąd.

– Proszę mi w takim razie powiedzieć, z łaski swojej, dlaczego zsiada pani z konia?

– Jest pan dżentelmenem, Fatio – rzuciła przez ramię Eliza. Zzula królicze kapcie i boso podbiegła do stojącego na piasku bojera. – I wychował się pan nad Jeziorem Genewskim. Umie pan żeglować?

– Mademoiselle... – Fatio również zsiadł z konia. – Na jachcie z takim osprzętem prześcignę nawet Holendra. Potrzebuję tylko jednej rzeczy.

– Jakiej?

– Bojer będzie się mocno przechylał. Wtedy żagiel zgubi wiatr, a ja wytracę szybkość. Chyba że będzie ze mną ktoś drobny, zwinny, nieustępliwy i bardzo odważny, kto wychylając się za burtę od nawietrznej będzie równoważył przechył.

– W takim razie ruszajmy. – Eliza wskoczyła na pokład. – Musimy bronić Obrońcy.

\* \* \*

Niemożliwe, żeby poruszali się aż tak szybko! Tak przynajmniej myślała Eliza, dopóki nie dogonili szwadronu Błękitnej Gwardii. Gdyby Fatio leciutko pchnął rumpel, objechaliby konnych jak nieruchome posągi. Szwajcar popuścił jednak szot żagla, zgubił wiatr i zwolnił. Eliza miała wrażenie, że strasznie się wloką, ale i tak bez trudu dotrzymywali kroku jeźdźcom. Bojer opadł z powrotem na trzy koła i Eliza, wychylona z burty, która jeszcze przed chwilą znajdowała się wysoko w powietrzu, niemal zaryła głową w piasek. Miała szczęście, że oburącz trzymała się liny, którą Fatio przywiązał do masztu, bo dzięki niej wciągnęła się na pokład bojera, zanim plaża wybiegła jej na spotkanie. Teraz zaś miała chwilę, żeby otrzeć z twarzy piasek i wilgoć i związać przemoczone włosy w warkocz, który jak mokra, szorstka szmata oklapł jej na kark. Fatio zwrócił na siebie uwagę gwardzistów, gestykulując z ożywieniem i pokrzykując w tuzinie języków naraz. Coś poleciało w jego stronę, koziółkując w powietrzu, zaplątało się w luźny żagiel i zjechało Fatiowi na kolana. Muszkiet. Drugi muszkiet, rzucony przez innego żołnierza, przeleciał Szwajcarowi nad głową i wbił się lufą w piasek. Oblała go morska fala – i już został z tyłu. Następny poleciał pistolet. Tym razem Eliza była przygotowana i zdołała go złapać w locie.

Fatio natychmiast pociągnął szot, żagiel wyprężył się i bojer skoczył naprzód. Wyprzedziwszy najszybszego gwardzistę, oddalili się od wody i zjechali na suchszy, twardszy piasek. Eliza zdążyła przez ten czas zatknąć pistolet za szarfę, którą była przepasana, i obwiązać sobie ręce liną. Fatio bezlitośnie wybrał żagiel i jacht z takim impetem wgrzył się w wiatr, że tylko cudem uniknęli wywrotki. Jedno z kół, obracając się, uniosło się w powietrze i zbryzgało wodą i piaskiem Elizę, która wdrapała się na nie, stanęła obiema nogami na wystającej końcówce osi i przepuściła nadmiar liny przez zgrabiałe palce. Kiedy lina się skończyła, Eliza była odchylona niemal równolegle do płaszczyzny bojera i – w tych chwilach, kiedy w ogóle coś widziała – mogła podziwiać jego podwozie.

Zaciekawiło ją, czy ktoś w dziejach ludzkości poruszał się z większą prędkością niż w tej chwili ona z Fatiem. Przez chwilę bawiła się tą myślą, ale zaraz odezwał się w niej naturalista, który zauważył, że na lodzie bojery poruszają się z mniejszymi oporami i – zapewne – mkną jeszcze szybciej.

Skąd w takim razie to przepelniające ją uniesienie? Stąd, że mimo zimna, niebezpieczeństwa i wątpliwości co do zakończenia rejsu czuła się wolna jak ptak. Takiej wolności nie zaznała od czasu wagabundzkiej włóczędzy z Jackiem. Wszystkie wersalskie zmartwienia i intrygi poszły w niepamięć.

Odwracając głowę, mogła spojrzeć na morze. Na wodach przybrzeżnych trwał normalny ruch, ale większość jednostek miała trójkątne ożaglowanie. Rejowy żaglowiec diuka d’Arcachon wyróżniałby się z tego tłumu. Wydawało się jej nawet, że widzi taki statek, zacumowany kilka mil morskich od brzegu... To musiał być *Météore*! O świcie wysłał pewnie na ląd szalupę, którą wyciągnięto na plażę, żeby przedwcześnie nie zwrócić uwagi księcia.

Fatio od jakiegoś czasu rozwodził się na temat Bernoullich – Szwajcarów i matematyków, a zatem jego przyjaciół i kolegów po fachu.

– Sto lat temu marynarze wyobrażali sobie, że żagle działają jak zwykłe worki na wiatr. To dlatego żagle na starych rycinach okrętów są takie brzuchate. Nas to dziwi; wydaje się, że powinno się je wybrać. Ale my już wiemy, że żagiel czerpie siłę z opływających go prądów powietrza, które kształtują krzywiznę płótna i same są przez nią kształtowane. Nie rozumiemy jednak szczegółów... Rodzina Bernoullich zamierza się specjalizować w tej materii. Niedługo dzięki mojemu rachunkowi różniczkowemu będziemy mogli formować żagle według reguł naukowych...

– Dzięki pańskiemu rachunkowi różniczkowemu?!

– Tak! Umożliwi nam osiągnięcie jeszcze większych... prędkości... niż... teraz!

– Widzę go! – krzyknęła Eliza.

Żagiel przesłaniał Fatiowi widok, ale Eliza ze swojego stanowiska za burtą dobrze widziała top masztu książęcego bojera, sterczący ponad czubkiem porośniętej zielskiem wydmy. Bojer odchyłał się od pionu, nie tak bardzo jednak jak pojazd Fatia i Elizy, ponieważ u Wilhelma nie miał kto balansować. Wyprzedzał ich o mniej więcej pół mili. W połowie drogi znajdowała się wspomniana już wydma, doskonale (jak nagle uświadomiła sobie Eliza) nadająca się na kryjówkę dla szykujących zasadzkę francuskich dragonów. Maszt Wilhelma powoli się prostował; jacht musiał zwalniać...

– Zaczęło się! – krzyknęła.

– Życzy sobie pani wysiąść, mademoiselle? Mógłbym się zatrzymać i...

– Bez żartów!

– Oczywiście.

Fatio wprowadził bojer w ostry łuk wokół podstawy wydmy i po chwili ich oczom ukazał się długi na milę odcinek plaży.

Na wprost nich – i niepokojąco blisko – znajdowała się szalupa, przyrzucona gałęziami, które miały ją zamaskować. Pół tuzina muskularnych dragonów wyciągnęło ją z zagłębienia przy północnym stoku wydmy i zaczęło spychać do wody. Jej kil właśnie przecinał ślady pozostawione na piasku przez bojer Wilhelma, który przemknął tędy zaledwie kilkanaście sekund wcześniej. W ten sposób Francuzi odcięli księciu odwrót, a Fatiowi i Elizie zablokowali drogę. Fatio szarpnął za rumpel i skierował jacht w górę stoku, próbując objechać szalupę od strony rufy. Elizie nie pozostało nic innego, jak tylko jeszcze mocniej trzymać palce na linie. Zacisnęła zęby, żeby nie odgryźć sobie języka, i zamknęła oczy. Bojerem zatrzęsło; dwa koła, które jechały po ziemi, podskoczyły na bruździe wyżłobionej przez kil szalupy, a trzecie, obracające się w powietrzu, trafiło w głowę zaskoczonego żołnierza, który padł jak ścięty.

Równowaga i kurs bojera zostały poważnie zakłócone. Musieli odpaść od wiatru i dobrą chwilę trwało, zanim Fatio odzyskał panowanie nad pojazdem. Prędkość nie była już najważniejsza, Eliza napięła więc linę, wybiła się z obu nóg i skoczyła do podstawy masztu. Fatio zwolnił. Oboje patrzyli, co się dzieje na plaży.

W odległości strzału z łuku ujrzeli następnych sześciu dragonów, goniących pieszo bojer Wilhelma. Jacht księcia zatrzymał się przed barierą z wbitych w piasek i powiązanych łańcuchem drewnianych pali. Francuzi byli odwróceny plecami do Fata i Elizy i całkowicie skoncentrowani na księciu, który wygramolił się z siodełka bojera i odwrócił w ich stronę. Odsunął się od pojazdu, zrzucił pelerynę na piasek, i wyciągnął szablę.

Fatio wjechał wprost w szyk dragonów, nadziewając na bojer dwóch z nich – w tym kapitana. Tak jednak zakończyła się ich żegluga, ponieważ jacht zarył dziobem w piasek i przekoziółkował. Eliza upadła twarzą w mokry piach. Ziemia zadrżała, kiedy bojer wyrznął w ziemię obok niej, ale na nią spadło tylko parę splotów wilgotnej liny – które i tak utrudniły jej dźwignięcie się z ziemi. Kiedy wreszcie wstała – przemoczona, oblepiona piaskiem, przemarznięta i poobijana – stwierdziła, że zgubiła pistolet. A zanim udało jej się go znaleźć i otrzepać, było po wszystkim. Szabla Wilhelma, przed chwilą czysta i błyszcząca, ociekała krwią, a dwóch dragonów leżało na plaży, przyciskając ręce do brzucha. Trzeciego Fatio szachował muszkietem, a czwarty – i ostatni – biegł w stronę szalupy, wymachując rękami i drąc się wniebogłosy.

Szalupa kołysała się już na płyciźnie, gotowa przewieźć żołnierzy z jeńcem na *Météore'a*. Po krótkiej wymianie zdań czterech spośród dragonów, którzy zepchnęli ją na wodę, pod przywództwem tego, który ich zaalarmował, ruszyło w stronę unieruchomionych bojerów. Piąty został, by pilnować łodzi, a szósty nadal leżał nieruchomo na piasku ze śladem od koła na głowie.

Elizy nikt jeszcze nie zauważył.



Przykucnęła za pękniętym kadłubem bojera i dokładnie obejrzała zamek pistoletu. Próbowała oczyścić go z piasku, nie usuwając przy tym całego prochu z panewki.

Usłyszała krzyk. Uniósłszy głowę, stwierdziła, że Wilhelm po prostu zrzeszył szablą pojmanego żywcem dragona. Następnie zabrał Fatiowi muszkiet, przyklęknął na jedno kolano, przymierzył starannie i strzelił w kierunku pięciu biegnących ku nim żołnierzy.

Nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia.

Eliza położyła się na brzuchu i zaczęła się czołgać z powrotem. Ułamek sekundy później biegnący dragoni minęli ją w odległości najwyżej dziesięciu kroków, ale – tak jak się tego spodziewała – nie zwrócili na nią uwagi. Interesowali ich tylko Wilhelm i Fatio, którzy stanęli plecami do siebie, z obnażonymi szablami, i czekali na rozwój sytuacji.

Wstała i zrzuciła z ramion ciężki płaszcz. Zanim wskoczyła w Scheveningen na pokład bojera, sztyletem Fatia rozcięła dół nocnej koszuli i skróciła ją o kilka cali, żeby mieć większą swobodę ruchu. Rzuciła się pędem w stronę szalupy. Bała się, że zaraz usłyszy strzały, które oznaczałyby, że dragoni postanowili po prostu rozstrzelać Fatia i Wilhelma, ale ciszę mącił tylko szum przyboju. Najwyraźniej mieli rozkaz sprowadzić księcia żywcem. Fatio był dla nich nikim i chętnie by się go pozbyli, ale strzelając do niego, mogli zranić Wilhelma.

Samotny dragon, trzymający szalupę na przywiązanej do dziobu cumie, był kompletnie oszołomiony widokiem biegnącej Elizy – zresztą nawet gdyby nie był, nie pozostałoby mu nic innego jak stać nieruchomo w miejscu. Gdyby puścił linę, straciliby szalupę, a sam nie dałby rady wyciągnąć jej na brzeg. Z bliska Eliza dostrzegła, że Francuz ma za pasem pistolet, lecz biorąc pod uwagę, że fale sięgały mu do talii, a piana chlapała nawet na pierś, pistoletem nie musiała się raczej przejmować.

Stanąła w lekkim rozkroku, wyjęła swoją broń, odciągnęła kurek i wycelowała w dragona z odległości najwyżej dziesięciu kroków.

– Pistolet może wystrzelić albo nie – powiedziała po francusku. – Liczę do dziesięciu. Sam zdecyduj, czy chcesz ryzykować życie i przyszłość swojej nieśmiertelnej duszy. Raz... Dwa... Trzy... Mówiłam już, że mam okres? Cztery...

Wytrzymał do siedmiu. Martwił go chyba nie tyle sam pistolet w rękach kobiety, co jej podejrzana powierzchowność i złowrózbnе spojrzenie. Puścił cumę, podniósł ręce i bokiem cofnął się na plażę, trzymając się w bezpiecznej odległości od Elizy, aż w końcu obrócił się na pięcie i rzucił biegiem w stronę towarzyszy. Było to całkiem niegłupie posunięcie. Gdyby nie uciekł, a pistolet by wypalił, on straciłby życie, a reszta dragonów łódź. Gdyby zaś udało mu się sprowadzić posiłki, mieliby szansę odbić szalupę z rąk Elizy.

Eliza ostrożnie zwolniła kurek, wrzuciła pistolet do szalupy, weszła kilka kroków do wody i złapała sięgającą jej ponad głowę burtę. Podciągnęła się i machnęła parę razy nogami w powietrzu, aż udało jej się zahaczyć stopą o krawędź burty. Przetoczyła się przez nią i wpadła do łodzi.

Jej wzrok padł na uszczelnioną marynarską skrzynię. Podczołgawszy się bliżej, stwierdziła, że podobnych masywnych skrzynek jest w szalupie więcej. Najprawdopodobniej były pełne broni. Ale gdyby doszło do strzelaniny, Fatio, Wilhelm i ona sama byliby zgubieni. Potrzebowała nie muszkietu, lecz wiosła – a te leżały na widoku, w poprzek ławek. Chwyła jedno i z przerażeniem stwierdziła, że jest dwa razy wyższe od niej i stanowczo zbyt ciężkie. Z wysiłkiem zepchnęła je z pokładu i zanurzyła pióro w wodzie. Stanąwszy na rufie, gdzie woda była naj płytsza, dźgnęła wiosłem wodę, aż pióro oparło się o piasek. Szalupa ani drgnęła. Człowiek nie znający treści *Principia Mathematica* Isaaca Newtona pewnie szybko by się poddał. Eliza wiedziała jednak, że podstawę tego wiekopomnego dzieła stanowią pewne prawa rządzące ruchem, wedle których, kiedy wywierała nacisk na wiosło, łódź musiała się poruszać. Po prostu musiała. Z początku ruch mógł być niezauważalny, ale był nieunikniony. Zignorowała więc niegodne zaufania świadectwo zmysłów (które uparcie utrzymywały, że szalupa się nie porusza) i pchała drzewce ze wszystkich sił. W końcu poczuła, jak wbite w dno wiosło zmienia kąt nachylenia. Łódź zeszła z mielizny.

Gdy tylko wciągnęła wiosło do środka, wiatr i fale zaczęły spychać szalupę z powrotem na brzeg, wysysając z niej nadaną przez Elizę *vis inertiae*. Znów zaparła się wiosłem o dno; woda była niewiele głębsza niż za pierwszym razem.

Strasznie ją kusilo, żeby obejrzeć się przez ramię i sprawdzić, co się dzieje na plaży, ale wiedziała, że to nie ma sensu. Tylko oddalenie łodzi od brzegu mogło im pomóc. Odepchnęła się więc jeszcze kilkakrotnie, aż dystans dzielący ją od plaży się podwoił, zanim odważyła się podnieść wzrok.

Fatio leżał na piasku. Jeden z dragonów siedział na nim i przystawiał mu coś do głowy. Wilhelm oganiał się szablą od czterech Francuzów, którzy mierzyli do niego z muszkietów. Jeden z nich – sądząc po sylwetce i gestykulacji – chyba rozmawiał z księciem, jakby próbował ustalić warunki kapitulacji. Ten, którego zostawili na straży przy szalupie, wreszcie do nich doczłapał i rozpaczliwie wymachiwał rękami, próbując coś przekazać kompanom. Czwórka otaczająca Wilhelma nie zwracała na niego uwagi, ale ten, który przyciskał Fatio do piasku, zrozumiał, co się stało, i przeniósł wzrok na Elizę.

Spojrzała prosto w stronę brzegu: przybój znów zepchnął ją dobre kilka jardów wstecz; woda przy szalupie sięgnęłaby jej najwyżej do pasa. Czym prędzej umocowała wiosła w dulkach, usiadła i zaczęła wiosłować. Pierwsze kilka ruchów zdało się na nic, gdyż fale, na przemian sumując się i odejmując, odsłaniały jedno lub oba pióra, które bezużytecznie ślizgały się po powierzchni i młóciły powietrze. Widząc dragonów, spokojnie formujących szyk, Eliza doszła do wniosku, że najwyższy czas wziąć przykład z ich opanowania. Wstała z ławki, podniosła drzewca wiosła pod większym kątem i pociągnęła mocno w tył, zapierając się nogami i wyginając ciało w łuk. Szalupa drgnęła. Eliza powtórzyła manewr.

Fatio, już niepilnowany, leżał nieruchomo. Dwaj dragoni zaszli Wilhelma z boków, celując mu z muszkietów w głowę. Pozostała czwórka przebiegła po plaży na wysokość

zwodowanej szalupy i zerknęła spode łba na Elizę, od której dzieliło ich pięćdziesiąt stóp wzburzonej wody. Jeden z nich właśnie skończył się rozbierać i gdy Eliza wstała, żeby wykonać następne pociągnięcie wiosłami, zobaczyła, jak wbiega w morze i zaczyna płynąć. Pozostała trójka uklękła, podniosła muszkiety i wzięła szalupę na cel, czekając na moment, w którym wiosłarka znów się pokaże.

Przykucnąwszy w zębie, była bezpieczna od kul, ale nie mogła wiosłować.

Palce zacisnęły się na krawędzi burty. Eliza wyrzuciła w nie kolbę pistoletu. Zniknęły, ale chwilę później pojawiły się ponownie, w innym miejscu. Były zakrwawione, lecz towarzyszyła im tym razem druga dłoń. Za chwilę pokazały się łokcie, w końcu także głowa. Eliza wycelowała broń między mrugające oczy i pociągnęła za spust. Kurek obrócił się na sprężynie, krzemień skrzesał wątłą iskierkę – i nic więcej się nie stało. Odwróciła pistolet w rękę, zamierzając uderzyć dragona w czoło, ale widząc, że zasłonił się ręką, zmieniła zamiar. Wstała, złapała uchwyty jednej ze skrzyń i dźwignęła ją z pokładu, a gdy żołnierz przekładał nogę nad burta, gwałtownym ruchem bioder pchnęła skrzynię i trafiła go w twarz. Wpadł do wody. Klęczący na plaży dragoni strzelili. Kule utkwiły w deskach szalupy i choć żadna nie trafiła Elizy, świeżo wydarte w drewnie kraterę stłumiły chwilowe uczucie ulgi, które ogarnęło ją, gdy pozbyła się pływaka.

Mogła za to przez chwilę spokojnie powiosłować, zanim żołnierze przeładują broń. Kiedy wstała, szykując się do pierwszego pociągnięcia, kątem oka zauważyła jakiś ruch na południe od dragonów. Kilkunastu żołnierzy Błękitnej Gwardii pokonywało właśnie ostatnią wydmy – jedni wdrapali się na jej szczyt, inni objechali ją łukiem po plaży, ale wszyscy pędzili na złamanie karku na spienionych, zdyszanych koniach. Widząc rozgrywającą się przed nimi scenę, stanęli w strzemionach, wzniesli szable i wydali triumfalno-gniewny okrzyk. Zdegustowani Francuzi rzucili broń na piasek.

\* \* \*

– Przez jakiś czas ludzie nie powinni nas razem widywać – stwierdził Wilhelm Orański. – Zorganizuję ci jakiś transport. Ty znikniesz, a moi agenci rozpuszczą plotki, które wytłumaczą twoją obecność na plaży.

Księżę zawiesił głos, słysząc dochodzące zza wydmy pokrzykiwania. Jeden z gwardzistów wbiegł na górę i krzyknął, że właśnie natrafił na świeże ślady kopyt. Jeździec całkiem niedawno (końskie odchody były jeszcze ciepłe) śledził wydarzenia z dogodnego punktu obserwacyjnego, paląc fajkę, i dosłownie przed chwilą odjechał (poruszony kopytami piasek był jeszcze suchy). Na tę wieść trzech gwardzistów spięło konie ostrogami i ruszyło w pościg – ale ich rumaki były zmęczone, a szpieg miał wypoczętego wierzchowca, więc los pogoni został z góry przesądzony.

– To musiał być d’Avaux – stwierdził Wilhelm. – Czekał, aż mnie skuja, żeby wyjść z ukrycia i sobie ze mnie pokpić.

– Czyli wie o mnie!

– Może tak, a może nie – odparł księżę obojętnym tonem, który bynajmniej nie uspokoił Elizy. Zerknął z ciekawością na siedzącego na piasku Fatia. Jeden z gwardzistów opatrywał mu zakrwawioną głowę. – Twój przyjaciel jest naturalistą? Ufunduję mu stanowisko na naszym uniwersytecie. A ciebie w stosownym czasie ogłoszę księżną. Na razie jednak musisz wrócić do Wersalu i zostać kochanką Liselotte.

– Że co?!

– Nie złość się tak na pokaz, to naprawdę nudne. Wiesz chyba, kim jestem, więc z pewnością wiesz również, kim ona jest.

– Ale dlaczego?

– No, to już bardziej błyskotliwe pytanie. Wydarzenia, których byłaś tu świadkiem, Elizo, są jak padająca na panewkę iskra, od której zapala się proch w lufie muszkietu, który wystrzeli kulę, która zabije króla. Nawet jeśli dziś nic więcej się nie zdarzy, zapamiętaj to sobie dobrze. Teraz nie mam już innego wyjścia, jak podporządkować sobie Brytanię. Będzie mi jednak potrzebna armia, a nie odważę się wycofać wojsk z południa kraju, dopóki Ludwik mi tam zagraża. Jeżeli jednak Ludwik postanowi powiększyć swoje królestwo kosztem Niemców, a czegoś takiego właśnie się po nim spodziewam, odwoła żołnierzy z holenderskiego pogranicza. Wtedy będę mógł spokojnie przerzucić swoje wojska na drugi brzeg Morza Północnego.

– Ale co to ma wspólnego z Liselotte?

– Liselotte jest wnuczką Królowej Zimy, która, jak się powszechnie uważa, poprzez przyjęcie czeskiej korony przyczyniła się do wybuchu wojny trzydziestoletniej. W każdym razie większość owych trzydziestu lat królowa spędziła niedaleko stąd, w Hadze. Moi rodacy przygarnęli ją, ponieważ w Czechach zapanował chaos, a Palatynat Reński, którego była prawowitą władczynią, dostał się papistom jako łup wojenny. Kiedy jednak zawarto w końcu pokój westfalski, a było to dobre czterdzieści lat temu, Palatynat wrócił do jej rodu i jej najstarszy syn, Karol Ludwik, został nowym elektorem. Jego bracia i siostry – wśród nich Zofia – sprowadzili się do Palatynatu i osiedli na zamku w Heidelbergu. Liselotte, która jest córką Karola Ludwika, właśnie tam się wychowała. Kilka lat temu Karol Ludwik zmarł i korona trafiła do brata Liselotte. Niestety, brat był niespełna rozumu i niedawno zginął w inscenizowanym oblężeniu jednego z nadreńskich zamków. Kwestia sukcesji jest dyskusyjna. Król Francji opowiedział się po rycersku po stronie Liselotte, która, jakkolwiek na to patrzeć, jest teraz jego bratową.

– Sprytnie. Udzielając Madame braterskiej pomocy, *le Roi* może przyłączyć Palatynat Reński do Francji.

– Na co nawet przyjemnie byłoby popatrzeć, gdyby Ludwik XIV nie był antychrystem. Ja nie mogę pomóc ani Liselotte, ani nieszczęsnym mieszkańcom Palatynatu, ale mogę sprawić, żeby Francja zapłaciła za Palatynat Wyspami Brytyjskimi.

– Musisz się tylko upewnić, panie, że *le Roi* wycofa wojsko spod twojej granicy i przeniesie je w dolinę Renu.

– No właśnie. A nikt nie wie tego lepiej niż Liselotte. Tym bardziej że w tej partii nie jest pionkiem, lecz królową, uwięzioną po francuskiej stronie szachownicy.

– Skoro gra toczy się o tak wysoką stawkę, powinnam chyba dołożyć wszelkich starań, aby zbliżyć się do Liselotte.

– Nie chcę, żebyś się do niej zbliżała. Masz ją uwieść. Chcę, żebyś zrobiła z niej swoją niewolnicę.

– Staralam się być delikatna...

– W takim razie przepraszam.

Wilhelm uklonił się Elizie, mierząc ją przy tym wzrokiem od stóp do głów. Wytarzana w piasku, zbryzgana solą i okryta zakrwawionym dragońskim płaszczem, z całą pewnością nie miała w sobie nic z delikatności. Wyglądało na to, że księżę zamierza jej to powiedzieć wprost, ale zmienił zdanie i spuścił wzrok.

– Nadałeś mi szlachectwo, mój księżę. Dawno temu. Nauczyłeś się traktować mnie jak arystokratkę, mimo że mój tytuł pozostaje tajemnicą nas dwojga. W Wersalu jednak wciąż jestem plebejuską, i to obcą. Dopóki się to nie zmieni, Liselotte nie zbliży się do mnie na krok.

– Nieoficjalnie.

– Prywatnie też nie! Nie wszyscy są aż takimi hipokrytami, za jakich najwyraźniej ich bierzesz, mój panie.

– Nie mówiłem, że będzie łatwo. Właśnie dlatego proszę o to ciebie, a nie kogoś innego.

– Powtarzam: jestem gotowa spróbować. Jednakże d’Avaux mógł mnie dziś rozpoznać, a wtedy mój powrót do Wersalu byłby nierozważnym posunięciem.

– D’Avaux uważa, że jest niezwykle przebiegły i wyrafinowany. To jego słabość. Poza tym jest uzależniony od twoich porad finansowych. Nie zniszczy cię od razu.

– Ale później tak?

– Będzie próbował – poprawił Elizę Wilhelm.

– Z powodzeniem.

– Nie. Ponieważ, zanim wykona swój ruch, będziesz już kochanką Madame, bratowej króla. A Liselotte ma wprawdzie swoje słabe strony i czyhające na jej potknięcie rywalki, ale rangą ogromnie przewyższa d’Avaux.

## Wersal

### 1688, początek

*Do Leibniza, 3 lutego 1688*

Doktorze,

Madame łaskawie zgodziła się dołączyć ten list do innych, które jeden z jej przyjaciół osobiście zawiezie do Hanoweru i dostarczy Zofii do rąk własnych. Postanowiłam więc darować sobie szyfr.

Zastanawia się Pan zapewne, dlaczego Madame wyświadcza mi taką uprzejmość, skoro w przeszłości byłam dla niej mysim bobkiem w pieprznicze.

Wygląda na to, że całkiem niedawno, podczas porannej ceremonii wstawania, król poinformował asystujących mu dostojników, że słyszał w zaufaniu, jakoby w żyłach „tej kobiety z Qwghlm” płynęła szlachecka krew.

Także dla mnie fakt ten pozostawał tajemnicą, dopóki jakąś godzinę później nie usłyszałam, jak ktoś pyta o „mademoiselle hrabinę de la Zeur”. „De la Zeur” to (jak się w końcu domyśliłam) sposób, w jaki Francuzi usiłują wymówić „Sghr”. Jak Panu zapewne wiadomo, moja ojczysta wyspa jest znaną przeszkodą nawigacyjną. Przerażeni marynarze rozpoznają ją po trzech skalnych iglicach, które tak właśnie nazywamy. Najwidoczniej któryś z dworzan musiał się kiedyś nierozważnie zapędzić w okolice Qwghlm, a teraz skojarzył ten fakt i obmyślił dla mnie tytuł. Tutejszym damom dworu, zwłaszcza tym ze starszych rodów, nie podoba się barbarzyńskie brzmienie „de la Zeur”. Na szczęście jest w Wersalu sporo cudzoziemskich księżniczek, które nie mają tak wysokich wymagań i już zaczęły przysyłać mi sługi z zaproszeniami na przyjęcia.

To zrozumiałe, że królowie mogą uszlachcić kogo chcą i kiedy chcą; nie rozumiem zatem, dlaczego ktoś zadał sobie trud, aby nadać mi tytuł, który jest dziedziczny. Mam jednak pewną wskazówkę. Ojciec Édouard de Gex wypytywał mnie o Kościół qwghlmiański, na dobrą sprawę nie będący Kościołem protestanckim, ponieważ powstał przed powołaniem Kościoła rzymskokatolickiego (a w każdym razie przed powiadomieniem Qwghlmian o tym fakcie). Ksiądz rozważa wizytę w Qwghlm, pozwoliłaby mu ona bowiem potwierdzić, że nasza wiara rzeczywiście niczym nie różni się od jego i że należałoby je połączyć.

Regularnie zdarza mi się słyszeć wyrazy współczucia ze strony francuskich arystokratów, którzy cmokają z troską na wieść o barbarzyńskiej okupacji mojej ojczyzny przez Anglię. Tymczasem Qwghlmianie byliby zachwyceni, gdyby Anglicy zechcieli zająć naszą wyspę, bo z pewnością przywieźliby trochę jedzenia i jakieś ciepłe okrycia. Ludwik domyśla się chyba, że wkrótce może ujrzeć swojego zaprzysięgłego wroga na angielskim tronie, i usiłuje go przechytryć, nawiązując dobrosąsiedzkie kontakty z Irlandią, Szkocją i tą muszą bździną, na której się urodziłam. Qwghlm od lat nie miało dziedzicznych arystokratów (dziewięćset lat

temu Szkoci zgarnęli wszystkich i zamurowali w jaskini razem ze stadem niedźwiedzi), ale teraz ma. Mama byłaby ze mnie dumna!

Sądząc z daty, którą był opatrzony Pański ostatni list, pisał go Pan podczas wizyty na dworze w Brandenburgii, u córki Zofii, w okolicy Bożego Narodzenia. Proszę mi opowiedzieć o Berlinie. Wiem, że wielu hugenotów tam właśnie się schroniło. Właściwie to aż dziw, że jeszcze tak niedawno, zaledwie przed kilku laty, Zofia i Ernest August proponowali Ludwikowi XIV rękę swojej córki. A teraz Zofia Charlotta jest elektorką brandenburską i (jeśli wierzyć plotkom) przewodniczy w Berlinie salonowi skupiającemu wolnomyślicieli i dysydentów religijnych. Gdyby jej życie potoczyło się odrobinę inaczej, dziś skazywałyby tych samych ludzi na śmierć lub niewolę. Wydaje mi się jednak, że jest szczęśliwsza z tym, co robi teraz.

Podobno z niezwykłą swadą i pewnością siebie uczestniczy w dysputach mędrców i uczonych. Z całą pewnością zawdzięcza to Panu, doktorze – nie na darmo w dzieciństwie słuchała Pańskich konwersacji z jej matką. Teraz, gdy jestem już księżną i Madame uznała mnie za godną wysłuchiwania ploteczek, cały czas błagam ją, żeby powiedziała, o czym rozmawiacie z Zofią w Hanowerze – ale ona tylko wywraca oczami i mówi, że taka uczona mowa do niej nie trafia. Podejrzewam, że zbyt wiele czasu spędziła w towarzystwie samozwańczych alchemików i teraz wszelkie naukowe rozważania uważa za bezwartościowe.

## **Izba Gwiazdzista, pałac Westminster**

### **Kwiecień 1688**

*Żeby oskarżać, trzeba mniejszej wymowy (taka już jest natura ludzka) niż żeby bronić; i potępienie bardziej podobne jest do sprawiedliwości niż oczyszczenie z oskarżenia.*

Hobbes, *Lewiatan*

– Jak to szło? Sama praca bez zabawy czyni z nas nudziarzy! – rozległ się bezcielesny głos.

W tej chwili mózg Daniela nie rejestrował innych doznań. Wzrok, smak i pozostałe zmysły były uśpione. Pamięć nie istniała. Dzięki temu mógł słuchać głosu z ponadprzeciętną uwagą i docenić wszystkie jego subtelności. A było ich niemało. Głos brzmiał cudownie. Należał do mężczyzny z wyższych sfer, który nawykł do tego, że go słuchano.

– Jego wywody rzeczywiście są śmiertelnie nudne – grzmiał głos. – W dodatku to śmierdzący leń!

Kilku mężczyzn parsknęło śmiechem. Poruszyły się odziane w jedwabie ciała. Dźwięki odbijały się echem od wysoko sklepionego sufitu.

Umysł Daniela przypominał sobie, że jest przyczepiony do ciała – tyle że ciało zachowywało się jak oddział wojska, który stracił kontakt z dowódcą i od dawna nie otrzymywał od niego rozkazów. Stało się rozlazłe, niezdyscyplinowane i przestało wysyłać sygnały do dowodzącego.

– Dajcie mu jeszcze wody! – polecił piękny głos.

Daniel usłyszał dobiegający gdzieś z lewej chrobot podeszew na kamiennej posadzce, poczuł ucisk na odrętwiałych wargach, usłyszał stuknięcie butelki o jeden z przednich zębów. Jakiś napój zaczął mu wypełniać płuca. Próbował cofnąć głowę, ale ta ospale reagowała na polecenia, a w dodatku coś zimnego wyrznęło go w kark i unieruchomiło. Płyn spływał Danielowi po brodzie i ściekał pod ubranie. Gardło ścisnęło mu się w rozpaczliwej próbie wykrztuszenia ciecicy z płuc. Szarpnął głową w przód – i poczuł zimny ucisk z przodu szyi. Rozkaszał się i zwymiotował jednocześnie, obryzgując się ciepłymi *humorami*.

– Ależ ci purytanie mają słabe głowy... Aż strach się z nimi gdzieś pokazać.

– Chyba że na Barbadosie, mój panie! – zasugerował inny głos.

Daniel miał kaprawe oczy i pozlepiane ropą powieki. Chciał podnieść ręce do twarzy, ale jedna z nich w połowie drogi zderzyła się ze sterzącym żelaznym prętem. Złapał go i pociągnął, ale wtedy coś przykrego przydarzyło się jego szyi, więc zamiast walczyć z żelastwem, ominął je ostrożnie i przetarł twarz. Stwierdził, że siedzi na krześle na środku sporego pomieszczenia. Była noc i tylko nieliczne świece rozjaśniały wnętrze. Ich blask kładł się na białych fularach zawiązanych na szyjach kilku dżentelmenów, którzy półkołem otaczali Daniela.

Słabe światło i mętny wzrok nie pozwalały mu rozeznaczyć natury okuwającej mu szyję żelaznej konstrukcji, musiał więc zbadać ją dotykiem. Namacał żelazną sztabę zwiniętą w obrozę, z której obwodu w równych odstępach wystawały cztery pręty, jak szprychy z piasty koła. Miały po pół jarda długości i były zakończone dwoma odchylonymi w tył zadziorami, przypominającymi zęby kotwiczki.

– Kiedy odsypiałeś skutki działania dekoktu pana LeFebure’a, pozwoliłem sobie zafundować ci nowy kołnierz – mówił dalej głos. – Ponieważ jednak jesteś purytaninem i obca ci wszelka próżność, zamiast krawca wezwałem kowala obeznanego z modą obowiązującą na karaibskich plantacjach trzciny cukrowej.

Kiedy Daniel próbował – niezbyt mądrze – pochylić głowę, zadziory za jego plecami utkwiły w oparciu krzesła. Złapał więc teraz za pręty wystające w przód i szarpnął się do tyłu, wrywając w ten sposób tylne zadziory z drewna. Impet szarpnięcia sprawił, że kiedy plecy Daniela natrafiły na oparcie i zostały zatrzymane, żelazny kołnierz, który próbował lecieć dalej, omal nie urwał mu głowy. Koniec końców Daniel znieruchomiał z zadartą głową, wpatrując się niemal pionowo w strop. W pierwszej chwili pomyślał, że ktoś w jakiś sposób



rozwiesił na suficie świece, albo znużeni żołnierze ostrzelali go płonącymi strzałami, ale kiedy udało mu się zogniskować wzrok, stwierdził, że na sklepieniu wymalowano gwiazdy, które odbijały padające z dołu światło świec. Już wiedział, gdzie jest.

– Sąd Izby Gwiazdzistej rozpoczyna posiedzenie – zabrzmiał inny piękny głos, lekko zachrypnięty, zdławiony z emocji. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby się czymś takim wzruszać?! – Przewodniczy Lord Kanclerz Jeffreys.

Tak jak zmysły Daniela budziły się jeden po drugim, tak teraz jego umysł po kawałku odzyskiwał normalną sprawność. Ta jego część, w której przechowywał wiedzę o dawno minionych wydarzeniach, chwilowo spisywała się znacznie lepiej od tej, która odpowiadała za spryt i rozsądek.

– To nonsens... Sąd Izby Gwiazdzistej został zniesiony przez Długi Parlament w tysiąc sześćset czterdziestym pierwszym... pięć lat przed moim narodzeniem. Twoim też, Jeffreys.

– Nie uznaję egoistycznych decyzji tego zbuntowanego parlamentu – odparł z niesmakiem Jeffreys. – Sąd Izby Gwiazdzistej wyrastał z tradycji antycznej. Powołał go Henryk VII, ale jego korzenie tkwiły w prawodawstwie rzymskim, które było wzorem przejrzystości i skuteczności. W niczym nie przypominało tego potwora zwanego prawem zwyczajowym, obrośniętego pajęczyną kolosa na glinianych nogach, starczego kompendium mądrości ludowych i babcinego bajania, strupieszalego sita, odsiewającego niekształtne grudy ze świetlistej materii społeczeństwa i zlepiającego je w prawny salceson.

– Racja! Racja! – przytaknął któryś z pozostałych sędziów, najwyraźniej zgadzając się z opinią Jeffreysa na temat angielskiego prawa zwyczajowego.

Daniel domyślał się, że wszyscy zgromadzeni w komnacie mężczyźni muszą być sędziami. Albo Jeffreys osobiście ich wybrał, albo, co też było możliwe, ściągał ich ku sobie podczas całej długiej kariery sądowej. Zawsze byli przy nim, gdziekolwiek się obejrzał. Głos zabrał następny:

– Świętej pamięci arcybiskup Laud uznawał tę Izbę za dogodne miejsce do stłamszenia dostojników Niskiego Kościoła, takich jak twój ojciec, Drake Waterhouse.

– Całe życie mojego ojca dowodzi, że nie udało się go stłamsić. Kiedy Izba Gwiazdzista obciąła mu nos i uszy, stał się jeszcze groźniejszym przeciwnikiem.

– Drake’a cechowała niezwykła siła i nieprzeciętna odporność – przyznał Jeffreys. – W dzieciństwie śnił mi się po nocach. Ojciec opowiadał mi o nim jak o jakimś straszidło. Ale wiem, że tobie do niego daleko. Przecież w Trójcy Świętej stałeś i przyglądałeś się biernie, jak pod twoim oknem hrabia Upnor morduje jednego z waszych. Nic nie zrobiłeś. Nie! Doskonale to pamiętam i wiem, że i ty nie zapominałeś, Waterhouse.

– Czy ta szopka ma jakiś cel poza snuciem wspomnień z czasów studenckich? – zapytał Daniel.

– Zróbcie mu rewolucję – polecił Jeffreys.

Mężczyzna, który wcześniej poił Daniela (i wyglądał na uzbrojonego dozorcę); złapał za jedną z czterech kotwiczek i zakręcił kołnierzem na szyi więźnia. Ciężka żelazna konstrukcja obracała się do chwili, gdy Daniel zablokował jej ruch ręką. Człowiek mniej wykształcony przypuszczalnie uznałby – wnioskując z potwornego bólu – że kołnierz przepiłował mu szyję do połowy. Daniel jednak narozcinał się w życiu tyle szyj, że dokładnie wiedział, gdzie znajdują się w nich najważniejsze narządy. Przeprowadziwszy kilka szybkich eksperymentów (przełknąwszy, odetchnąwszy głęboko i poruszywszy palcami u nóg) stwierdził, że żaden z głównych przewodów nie został naruszony.

– Jesteś oskarżony o wypaczenie angielszczyzny – oznajmił Jeffreys. – Mianowicie: wielokrotnie podczas pogawędek w kawiarniach oraz w prywatnej korespondencji używałeś słowa „rewolucja”, zgoła niewinnego i całkiem użytecznego angielskiego określenia, nadając mu jednak całkiem nowy sens, przez siebie wymyślony i rozpowszechniony. Według ciebie rewolucja oznacza radykalną zmianę rządów, do której doprowadza się przemocą<sup>14</sup>.

– Moim zdaniem przemoc nie jest niezbędna.

– Ha! Zatem przyznajesz się do winy!

– Doskonale zdaję sobie sprawę, jak działała prawdziwa Izba Gwiazdzista. I wiem, że jej parodia tak naprawdę niewiele się różni od oryginału. Dlaczego według ciebie miałbym ją nobilitować, udając, że próbuję się bronić?

– Oskarżony jest winny zarzucanych mu czynów – orzekł triumfalnie Jeffreys, jak gdyby nadludzkim wysiłkiem udało mu się właśnie doprowadzić do zakończenia wyczerpującego procesu. – Nie będę udawał, że jestem zdziwiony tym faktem. Kiedy ty sobie spałeś, przesłuchaliśmy świadków. Wszyscy potwierdzili, że używałeś słowa „rewolucja” w rozumieniu, które jest obce wszelkim podręcznikom astronomii. Pytaliśmy nawet twojego dawnego kumpla z Trójcy...

– Monmoutha? Przecież kazałeś go ściąć!

– Nie o nim mówię, tylko o tym naturaliście, który bezczelnie sprzeczał się z królem na temat ojca Francisa...

– Przesłuchiwałeś Newtona?!

– Właśnie, Newtona. Powiedziałem mu tak: „Jest pan autorem całych opasłych tomiszczy z dziedziny astronomii. Co dla pana oznacza słowo »revolution«?”. A on odpowiedział, że chodzi o ruch jednego ciała wokół drugiego. Ani słowem nie zająknął się o polityce.

– Nie mogę uwierzyć, że próbowałeś w to wciągnąć Newtona. Jeffreys nagle przestał zgrywać wielkiego inkwizytora, przyjął uprzejmy, roztargniony ton salonowca i odparł:

– No cóż, i tak musiałem mu udzielić audiencji w sprawie ojca Francisa. Nie wie, że tu jesteś. Tak jak i ty najwyraźniej nie zdawałeś sobie sprawy z jego obecności w Londynie...

---

<sup>14</sup> Angielskie słowo „revolution” oznacza „rewolucję”, ale także „obrót” (przyp. tłum.).

– Nie dziwię się, że nie możesz się w tym połapać – powiedział Daniel podobnym tonem.  
– Zakładałeś zapewne, że z chwilą przybycia do Londynu Newton popędzi odnowić znajomość ze mną i innymi członkami Towarzystwa Królewskiego.

– Z wiarygodnych źródeł wiem, że zamiast to zrobić, spędza czas w towarzystwie tego przeklętego szwajcarskiego zdrajcy.

– Jakiego szwajcarskiego zdrajcy?

– Tego, który przestrzegł Wilhelma Orańskiego przed francuskimi dragonami.

– Fatia?

– Tak, Fatia de Duilliers.

Jeffreys odruchowo przyglądał perukę, wspominając spotkanie z Newtonem. Niespodziewana zmiana w zachowaniu Lorda Kanclerza już wcześniej wywołała u Daniela niebezpieczną wesołość, którą usilnie próbował stłumić. Teraz jednak cały brzuch zaczął mu się trząść od z trudem powstrzymanego śmiechu.

– Jeffreys! Fatio jest szwajcarskim protestantem i powiadomił Holendrów, w Holandii, o francuskim spisku... Za to nazywasz go zdrajcą?

– Zdradził hrabiego Fenila, a teraz sprowadził się do Londynu, bo wie, że nie ma czego szukać na kontynencie, ani w ogóle tam, gdzie ludzie poważają sprawiedliwość. Co innego tutaj. Londyn, Anglia! W innych okolicznościach nie tolerowano by tu jego obecności, ale kraj zszedł na psy i nikt nawet okiem nie mrugnie, kiedy ktoś taki przyjeżdża i osiedla się w naszym mieście. Kiedy publicznie kupuje substancje alchemiczne i spotyka się w kawiarniach z naszym czołowym naturalistą, nikt nie uważa tego za skandal!

Daniel zorientował się, że Jeffreys znów wprowadza się w stan niepotrzebnej ekscytacji, i postanowił mu przerwać, zanim Lord Kanclerz do reszty się wścieknie.

– Prawdziwa Izba Gwiazdzista słynęła nie tylko z surowych wyroków, ale i z szybkiego ich wykonywania – zauważył.

– W rzeczy samej! Gdyby to zgromadzenie miało taką władzę, twój nos dawno leżałby w rynsztoku, a reszta osoby płynęła do Indii Zachodnich, gdzie do końca życia ścinałaby trzcinę cukrową na mojej plantacji. Na razie jednak nie mogę cię ukarać, dopóki nie udowodnię przed sądem, że złamałeś prawo zwyczajowe. Co w gruncie rzeczy nie powinno być wcale takie trudne.

– Niby czemu?

– Przechylić oskarżonego!

Woźni (czy też dozorczy albo kaci) Izby Gwiazdzistej zaszli Daniela od tyłu, złapali za oparcie krzesła i odchylił je do tyłu, tak że stopy podsądnego zawisły nad podłogą. Ciężar ciała Daniela przeniósł się z pośladków na plecy, a wprawiony w ruch żelazny kołnierz spadłby na podłogę, gdyby na drodze nie stanęła mu szyja. Daniel podniósł ręce, żeby zdjąć go z miażdżonej tchawicy, ale ludzie Jeffreysa przewidzieli ten manewr – każdy z nich wolną ręką przyszpilił jedno ramię Daniela. Więzień widział już tylko gwiazdy – te namalowane na

suficie, kiedy miał otwarte oczy, i te przelatujące mu pod powiekami, kiedy oczy przymykał. Twarz Lorda Kanclerza wypełniła środek jego niebosłonu niczym księżyc w pełni.

W młodości Jeffreys był mężczyzną niewiarygodnej urody – nawet wedle standardów pokolenia młodych kawalerów, do których zaliczali się tacy adonisowie, jak książę Monmouth i John Churchill. Zwłaszcza oczy miał przepiękne; może to dzięki temu potrafił zahipnotyzować wzrokiem młodego Daniela Waterhouse'a. Ale w przeciwieństwie do Churchilla brzydko się zestarzał. Lata spędzone w Londynie – najpierw w roli doradcy prawnego księcia Yorku, potem prokuratora domniemanych spiskowców, przewodniczącego sądu, a teraz Lorda Kanclerza – sprawiły, że obrósł słoniną i przypominał nerkę na straganie rzeźnika. Jego brwi upodobniły się z czasem do powykrzywianych skrzydeł albo rogów. Oczy, piękne jak zawsze, nie wyzierały już z gładkiej młodzieńczej twarzy, lecz zerkały jak przez ambrazury między zwałami tłuszczu na policzkach i poskręcanymi brwiami. Minęło dobre piętnaście lat od chwili, gdy potrafił wymienić z pamięci wszystkich tych, których zamordował za pośrednictwem angielskiego systemu sądowniczego; jeśli nie stracił rachuby, rozprawiając się z papistowskim spiskiem, z pewnością pogubił się po Krwawym Sądzie.

Wszystko to nie zmieniało faktu, że Daniel nie mógł oderwać wzroku od jego oczu. Pod pewnymi względami Jeffreys źle zaplanował przedstawienie. Środek usypiający wsypano Danielowi zapewne do drinka w kawiarni, a kiedy zasnął w taksówce wodnej, zabrali go słudzy Jeffreysa. Niestety, eliksir sprawił, że Daniel miał ciężką głowę i aż do tej chwili był zbyt oziębiały, żeby się bać.

Drake nie wystraszyłby się Jeffreysa nawet gdyby był zupełnie przytomny; kiedy siedział w tej samej sali i pluł w twarz arcybiskupa Lauda, dobrze wiedział, co mu zrobią. Daniel okazywał dotychczas odwagę tylko dlatego, że narkotyk go ogłupił. Teraz jednak, patrząc Jeffreysowi w oczy, zaczął sobie przypominać wszystkie makabryczne historie, których źródło było w Tower, kiedy Jeffreys robił tam karierę – o dysydentach popełniających samobójstwa, podrzynając sobie gardła aż do kręgosłupa, i o księciu Monmouth, któremu Jack Ketch odcinał powoli głowę – uderzał pięć albo sześć razy – a Jeffreys przyglądał się temu swoimi pięknymi oczyma.

Świat tracił barwy. Coś białego i puchatego zamajaczyło obok twarzy Jeffreysa – dłoń wystająca z koronkowego mankietu. Jeffreys złapał za kotwiczkę sterczącą z żelaznego kołnierza.

– Twierdzisz, że rewolucja nie musi się wiązać z użyciem przemocy. Chyba powinienes jeszcze raz przemyśleć jej naturę. Spójrz, ten zadziór znajduje się w tej chwili u góry. Drugi, naprzeciwko niego, jest na dole. Możemy wynieść go na wyżyny za pomocą rozumianej po staremu rewolucji...

Jeffreys zakreślił kołnierzem opierającym się całym ciężarem na Danielowym jabłku Adama. Daniel miał pełne prawo zawyc z bólu, ale zdołał tylko jęknąć, z najwyższym trudem wciągając do płuc odrobinę powietrza.

– Patrzcie państwo! Jakże nisko osunął się ten, który jeszcze niedawno był tak wysoko! Z pewnością mu się to nie podoba. Powinniśmy więc znów go wywyższyć. – Ponownie obrócił żelazną obręcz. – I tak oto wróciliśmy do punktu wyjścia: co było na górze, jest na górze, co było na dole, jest na dole. Po co było robić rewolucję? – Jeffreys powtórzył pokaz, naśmiewając się z przyduszonego Daniela. – Czegóż więcej chcesz od życia? Właśnie dekapituję na raty człowieka, z którym razem studiowałem! Staraliśmy się jak najdłużej utrzymać Monmoutha przy życiu, ale ciosom topora brakuje precyzji. Poza tym Jack Ketch to rzeźnik. Za szybko to załatwił. Widzę za to, że ten kołnierz idealnie by się nadał: Monmouth umierałby tygodniami!

Jeffreys westchnął z zachwytem. Daniel nic już nie widział – w kłębach wszechobecnej szarości pływały nieliczne fioletowe plamy. Jeffreys musiał chyba dać znak dozorcóm, bo nagle kołnierz oparł się na obojczykach Daniela, który stwierdził, że znów może oddychać.

– Mam nadzieję, że rozwiąłem twoje niedorzeczne złudzenia na temat rewolucji. Jeśli chcesz wywyższyć poniżonych, Danielu, musisz poniżyć wywyższonych. Ale wywyższeni lubią swoją pozycję, a do tego mają armię i flotę wojenną. Nie da się przeprowadzić rewolucji bez przemocy. Każda rewolucja jest skazana na niepowodzenie. Tak jak skazany był twój ojciec. Zrozumiałeś tę lekcję czy mam powtórzyć?

Daniel chciał coś powiedzieć – mianowicie poprosić, żeby niczego mu nie powtarzano. Ból był straszny; bał się, że go zabije. Błaganie o litość byłoby przejawem zdrowego rozsądku – i tchórzostwa, ale Daniela powstrzymał tylko fakt, że jego aparat mowy nie funkcjonował jak należy.

– Sędzia musi zwykle dać skazańcowi nauczkę, aby pomóc mu wrócić na ścieżkę prawa i dobra – stwierdził w zadumie Jeffreys. – Dlatego przejdźmy do następnej fazy procesu, do ogłoszenia wyroku. W tej kwestii mam dla ciebie dwie wiadomości, złą i dobrą. Jest taki zwyczaj, że adresat wiadomości ma prawo wyboru, którą z nich chce usłyszeć pierwszą. Ale ponieważ wiadomość dobra dla ciebie jest złą dla mnie – i na odwrót – pozostawienie ci w tej sprawie wolnej ręki wprowadziłoby niepotrzebne zamieszanie. Do rzeczy więc. Zła wiadomość dla mnie jest taka, że masz rację – sąd Izby Gwiazdzistej rzeczywiście nie został oficjalnie rekonstruowany. Stanowi wyłącznie rozrywkę dla nas, starszych sędziów, i jego wyroki nie mają żadnej mocy prawnej. Dobra wiadomość dla mnie brzmi następująco: mogę skazać cię na najsurowszą karę, nawet nie posiadając po temu stosownych uprawnień. Dlatego skazuję cię, Danielu Waterhouse, na pozostanie Danielem Waterhouse'em po kres twoich dni, i na życie ze świadomością swojej obrzydliwej tchórzliwości. Odejdź! Swoją obecnością bezczęścisz tę Izbę! Twój ojciec był złym człowiekiem, zasłużył na to, co go tu spotkało, ale ty hańbisz jego pamięć! Właśnie tak! Wstań! W tył zwrot i naprzód marsz! Wynoś się stąd! To, że ty musisz znosić swoje towarzystwo, nie oznacza wcale, że i my musimy poddawać się temu samemu poniżeniu. Już cię tu nie ma! Woźni! Wyrzucić mi tę

roztrzęsioną kupę gówna do rynsztoka. Miejmy nadzieję, że kiedy się zleje w spodnie, jego własne szczyny zmyją go do Tamizy.

\* \* \*

Porzucili go jak trupa na polu powyżej Westminsteru, pomiędzy opactwem i Chelsea. Kiedy zwalili go z wozu, omal nie stracił głowy, bo jeden z opatrzonych zadziorami prętów zaklinował się w szparze między deskami i szarpnął go z taką siłą, jakby chciał mu wyciągnąć przez gardło duszę. Na szczęście drewno pękło wcześniej niż kości i Daniel upadł na ziemię – tak w każdym razie wnosił z tego, co zobaczył, kiedy wreszcie się ocknął.

Miał ochotę wyciągnąć się jak długi i płakać, aż umrze z odwodnienia, lecz kołnierz nie pozwalał mu się położyć. Dopóki miał go na szyi, czuł się tak jak wtedy, gdy Drake stał nad nim i pomstował, że Daniel nie chce wstać z łóżka. Wstał więc, pozataczał się i trochę sobie popłakał. Zorientował się, że jest w Hogs-den, a właściwie w Pimlico, jak nazywali tę okolicę handlarze nieruchomości. Pimlico nie leżało właściwie ani na wsi, ani tak do końca w mieście, łączyło za to najgorsze cechy obu. Bezpańskie psy uganiały się za zdziczałymi kurami po ziemi zrytej przez wieprze i oskubanej z wszelkiej zieleni przez włóczące się po okolicy kozy. Nocne ognie, buzujące w piecach piekarń i browarów, przeświecały snopami makabrycznej czerwieni przez szpary w dziurawych ścianach, wyławiając z mroku kurwy i pijaków.

Mogło być gorzej. Mogli porzucić go w miejscu nie pozbawionym roślinności. Kołnierz na szyi miał z założenia uniemożliwić niewolnikowi ucieczkę, zahaczając o wszystkie gałązki, trzciny i pnącza po drodze i zmieniając je w bezlitosnych konstabli, którzy chwytają go za szyję. Błąkając się po Pimlico, Daniel obmacał obrożę i stwierdził, że zamknięto ją miękkim drewnianym kołkiem, przebitym przez dwa ucha. Poruszał kołkiem do góry i w dół, aż w końcu udało mu się go wyjąć, poluźnić kołnierz, i w końcu pozbyć się go na dobre. Miał ochotę zanieść go na brzeg Tamizy i teatralnym gestem cisnąć w nurt, ale w porę się opamiętał. Od Westminsteru dzieliła go mila mokradeł, a nie wiedział, ilu po drodze napotka wagabundów i ile bezdomnych psów, od których będzie się musiał opędzać. Zatrzymał więc kołnierz i od czasu do czasu wymachiwał nim w ciemnościach dla poprawienia sobie samopoczucia. Nikt go jednak nie napadł. Nie miał wrogów, których dałoby się powalić uderzeniem żelaznego pręta.

\* \* \*

Na południowym skraju zamieszkaną, cywilizowaną część Westminsteru powstawała ulica, mająca zostać w niedalekiej przyszłości najmodniejszą w okolicy. Był to najnowszy projekt Sterlinga Waterhouse'a, obecnie hrabiego Willesden, spędzającego większość czasu w

swojej skromnej posiadłości na południowy zachód od Londynu i dbającego o dobre samopoczucie inwestorów.

Jedną z osób, które zainwestowały w westminsterską ulicę, była Eliza, od niedawna hrabina Zeur – Daniel poświęcał jej około połowy swoich świadomych myśli. Właściwie było to niesprawiedliwe oszacowanie: gdyby przychodziły mu do głowy coraz to nowe i oryginalne fantazje na jej temat, mógłby ewentualnie uzasadnić fakt, że poświęca jej dziesięć do dwudziestu procent swojego czasu – ale on marzył o niej zawsze w ten sam sposób. A ponieważ podczas mniej więcej godziny spędzonej w Izbie Gwiazdzistej Eliza ani przez chwilę nie przyszła mu do głowy, teraz musiał nadrobić zaległości i przez godzinę albo dwie nie myślał o niczym innym!

Przyjechała do Londynu w lutym i – mając osobiste poparcie Leibniza i Huygensa – wkręciła się na spotkanie Towarzystwa Królewskiego. Była w dziejach Towarzystwa jedną z nielicznych kobiet, które dostały tego zaszczytu; wybryki natury, przybywające zademonstrować swoje zwielokrotnione pochwy i dwugłowe dzieci, nie liczyły się w tej konkurencji. Z duszą na ramieniu Daniel prowadził hrabinę Zeur do Kolegium Greshama. Bał się, że Eliza zrobi z siebie pośmiewisko, albo że członkowie Towarzystwa źle zrozumieją jej obecność i dokonają na niej wiwisekcji. Ale ubrała się i zachowywała skromnie i wszystko poszło jak po maśle. Później zabrał ją do Willesden na spotkanie ze Sterlingiem, z którym od razu znalazła wspólny język. Tego też Daniel się spodziewał – pół roku wcześniej oboje byli nikim, a teraz przechadzali się po przyszłym francuskim ogrodzie Sterlinga, dyskutując o rozmieszczeniu urn i posągów, i dzielili się poglądami w kwestii najlepszych miejsc do zakupu antyków.

Skończyło się na tym, że oboje zainwestowali pieniądze w próbę ucywilizowania Hogsden. Nawet Daniel wyłożył parę funtów – nie dlatego, że uważał się za wielkiego inwestora, ale angielski pieniądź w ostatnich dwudziestu latach zszedł na psy (co wydawało się już niemożliwe) i nie było sensu trzymać gotówki w skarpecie. Aby zapobiec conocnemu niszczeniu placu budowy przez jego dawnych mieszkańców (ludzkich i nie tylko), wynajęto dozorcę, który zamieszkał w naprędce zbudowanym domku z pokaźną liczbą mniej lub bardziej głupich psów. Przechodząc po ciemku przez płot o trzeciej nad ranem, z na wpół przeciętą szyją, Daniel zdołał zaalarmować je wszystkie; dozorca, co było do przewidzenia, obudził się ostatni, a zanim wreszcie odwołał psy, Danielowi została na grzbiecie najwyżej połowa ubrania. Na szczęście, po tym co przeszedł wcześniej, i tak nie było wiele warte.

Ogromnie się ucieszył, że ktoś go rozpoznał, i zbył dozorcę tradycyjną historyjką o tym, jak to napadli go rozbójnicy. Dozorca zareagował tradycyjnym zaskoczeniem, poczęstował przybysza *ale* (ten akt najczystszej dobroci przyprowadził Daniela o lży wzruszenia) i posłał chłopaka do Westminsteru z zadaniem sprowadzenia lektyki. Lektyka przypominała postawioną pionowo trumnę, zawieszoną na dwóch dragach, które opierały się na ramionach

dwóch potężnie zbudowanych, małowównych mężczyzn. Daniel wgramolił się do środka i natychmiast zasnął.

Obudził się o świcie na drugim końcu Londynu, przed Kolegium Greshama, gdzie czekał na niego list z Francji.

List zaczynał się następująco:

*Czy w Londynie nadal jest taka wstrętna pogoda? Z wersalskiego punktu widzenia mogę Pana zapewnić, że wiosna zbliża się do Londynu. Ja również niebawem przybędę.*

Daniel odczytał te słowa w sieni kolegium, przerwał lekturę, wcisnął list za pas i potykając się, zaczął brnąć przez zakamarki szlachetnej kupy gruzów. Nawet świętej pamięci sir Thomas Gresham we własnej osobie zabłądziłby w kolegium, gdyby przyszło mu do głowy wrócić i w nim straszyć. Towarzystwo Królewskie panoszyło się w budowli od blisko trzech dekad i z wolna przestawało się w niej mieścić. Daniel obruszał się na wszelkie sugestie budowy nowego gmachu (według projektu Wrena) i ewentualnej przeprowadzki. Upierał się, że Towarzystwa Królewskiego nie da się sprowadzić do kolekcji dziwacznych przedmiotów i że próba przenosin w inne miejsce w drodze przetransportowania rzeczony kolekcji byłaby równie niedorzeczna, jak wysłanie człowieka do Francji poprzez wycięcie mu wszystkich organów wewnętrznych i przewiezienie ich w beczkach na drugą stronę Kanału. Tak jak dowód geometryczny obejmował – w postaci aksjomatów i odnośników – całą historię geometrii, tak sterty rupieci rozrzucone po stercie kamienia, jaką było Kolegium Greshama, zawierały całe dzieje filozofii naturalnej od czasów pierwszych spotkań Boyle’a, Wrena, Hooke’a i Wilkinsa aż do współczesności. Wzajemne położenie utworzonych przez nie warstw odzwierciedlało funkcjonowanie umysłów członków Towarzystwa (głównie umysłu Hooke’a) w kolejnych epokach, toteż naruszenie tego układu – nawet zaprowadzenie w nim ładu – równałoby się spaleni biblioteki. Kto nie umiał znaleźć w nim tego, co go interesowało, nie zasługiwał na to, by go wpuścić za próg. Daniel żywił w stosunku do siedziby Towarzystwa podobne uczucia, jak Francuz wobec francuszczyzny – trzeba ją było zrozumieć, żeby docenić jej sens. Kto zaś jej nie rozumiał, mógł iść do diabła.

Znalezienie egzemplarza *I Ching* w mrocznym wnętrzu zajęło mu około minuty. Przeniósłszy go w miejsce, gdzie różanopalca jutrzeńka desperacko skrobała do zarośniętego brudem okna, odszukał heksagram dziewiętnasty: *Lin*. Zbliżenie. Księga opisywała ze szczegółami głębokie jak studnia bez dna znaczenie tego symbolu, ale Daniela interesowała tylko liczba 000011, bo tak właśnie układ ciągłych i przerywanych linii przekładał się na system dwójkowy. W notacji dziesiętnej liczbę tę zapisano by jako 3.

Daniel miał pełne prawo powlec się do swojego pokoiku na strychu kolegium i położyć się spać, ale uznał, że doba spędzona w oparach opium powinna na jakiś czas zastąpić mu sen.



Poza tym wydarzenia w Izbie Gwiazdzistej i Hogs-den wpłynęły nań dość orzeźwiająco. Miał aż trzy powody, żeby nie spać, każdy z nich sam w sobie wystarczający – otartą do żywego mięsa szyję, odgłosy budzącego się City i niepohamowaną żądzę, której obiektem była Eliza. Wszedł na piętro do pokoju, który z przesadną emfazą nazywano biblioteką – nie dlatego że były w nim książki (wszędzie były), ale dlatego że miał okna. Rozłożył list od Elizy na stole oznaczonym plamami niepokojących kształtów i kolorów. Obok położył zużyty świstek papieru (próbna odbitkę jednego z drzeworytów, które miały się znaleźć w trzecim tomie *Principia Mathematica* Newtona). Przyglądając się kolejnym literom z listu Elizy, przypisał każdą z nich do alfabetu „zerowego” lub „jedynkowego”, a następnie wypisał je na odwrocie drzeworytu, łącząc w grupy po pięć:

D O C T O	R W A T E	R H O U S	E
0 1 1 0 0	0 0 1 0 0	1 0 0 0 0	0

Pierwsza grupa w zapisie dziesiętnym oznaczała liczbę 12, druga 4, trzecia 16, czwarta 6. Wypisał je w nowej linijce i od każdej odjął 3:

12	4	16	6
3	3	3	3
9	1	13	3

Co po przełożeniu na kolejne litery alfabetu dało:

I A M C

Pracował bez wytchnienia. Coraz więcej światła wpadało przez okno.

Leibniz budował w Wolfenbüttel piękną bibliotekę z wysoką rotundą, w której światło z góry miało padać wprost na stojący pośrodku stół...

Czoło Daniela znalazło się na blacie. Nie była to najlepsza pozycja do pracy. Nieszczerze nadawała się też do spania, chyba że okaleczona szyja uniemożliwiła położenie się w łóżku, bo wtedy nie miało się wyboru. A Daniel z całą pewnością przysnął. Kartki przy twarzy zmieniły się w morze okrutnego, bezlitosnego światła południa.

– Byłbyś prawdziwym natchnieniem dla wszystkich naturalistów, Danielu Waterhouse.

Daniel się wyprostował. Był sztywny jak groteskowy posąg. Czuł i słyszał, jak pękają mu strupy na szyi i karku. Dwa stoły dalej siedział Nicolas Fatio de Duilliers z piórem w ręce.

– Mój panie!

Fatio uciszył go gestem.

– Nie chciałem przeszkadzać. Nie ma potrzeby...

– Jest potrzeba, jak najbardziej! Muszę wyrazić panu swoją wdzięczność. Nie widziałem pana po tym, jak ocalił pan życie księciu Oranu.

Fatio przymknął oczy.

– To było coś w rodzaju koniunkcji planet – czysty zbieg okoliczności. Łut szczęścia. Nie było w nim żadnej mojej zasługi, najlepiej więc będzie do niego nie wracać.

– Dopiero niedawno doszły mnie słuchy, że jest pan w Londynie i że w kontynentalnej Europie grozi panu niebezpieczeństwo. Gdybym wiedział o tym wcześniej, udzieliłbym panu gościny...

– Gdybym zaś ja zasługiwał na miano dżentelmena, zczekałbym na taką propozycję, zanim bym się tu rozgościł.

– Isaac, co zrozumiałe, oddał panu kolegium do dyspozycji. Doskonale.

Daniel zauważył, że Fatio przygląda mu się przenikliwym, analitycznym wzrokiem; to spojrzenie przypominało mu Hooke’a zagląającego w mikroskop – tylko że gdyby Hooke go w ten sposób obserwował, Daniel nie miałby nic przeciwko temu. A kiedy robił to Fatio, czuł się dotknięty. Szwajcar z pewnością zastanawiał się, skąd Waterhouse wie, że zbratał się z Isaakiem. Daniel wolał mu nie opowiadać o swoich przygodach w Izbie Gwiazdziej, żeby nie wprowadzać większego zamętu.

Chyba dopiero teraz Fatio dostrzegł rany na szyi Daniela. Olbrzymimi oczami obejmował wszystko naraz, ale w tej chwili nie potrafił ukryć, co przyciągnęło jego uwagę. W przeciwieństwie do Jeffreysa, który mógł niepostrzeżenie zerkać gdzie chciał z głębi swoich ambrazur, Fatio nie miał szans rzucić dyskretnego spojrzenia.

– Proszę nie pytać – uprzedził go Daniel. – Pan odniósł honorową ranę na plaży, ja mniej honorową tu, w Londynie, ale obaj cierpieliśmy w tej samej sprawie.

– Dobrze się pan czuje, doktorze Waterhouse?

– Miło, że pan pyta. Nic mi nie jest. Wystarczy filiżanka kawy i będę jak nowo narodzony.

Po tych słowach Daniel zgarnął swoje papiery i udał się do kawiarni, gdzie mimo tłumów cieszył się większą prywatnością niż w obecności Fatia.

Cyfry binarne, ukryte w subtelnościach pisma Elizy, w zapisie dziesiętkowym przybierały następujące postaci:

12 4 16 6 18 16 12 17 10...

Po odjęciu od każdej z nich liczby 3 (klucza zaszyfrowanego we wzmiance o heksagramie z *I Ching*) Daniel otrzymał:

9 1 13 3 15 13 9 14 7...

A to z kolei oznaczało:

I AM COMING...

Przyjeżdżam...

\* \* \*

Odszyfrowanie całego listu zajęło sporo czasu, ponieważ Eliza ze szczegółami opisywała w nim trasę podróży i plan pobytu w Londynie. Spisawszy wiadomość do końca, Daniel zdał sobie sprawę, że siedzi nad listem od bardzo dawna, wypił morze kawy i natychmiast musi oddać mocz. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio miał po temu okazję, udał się więc w tym celu w róg maleńkiego podwóreczka na tyłach kawiarni.

Nic z tego nie wynikło. Po mniej więcej pół minucie bezowocnego stania w kącie, zgiął się wpół niczym w ukłonie i oparł się głową o mur. Wiedział z doświadczenia, że w takiej pozycji rozluźniają się niektóre mięśnie brzucha, co ułatwia wydalanie moczu. Ten fortel, w połączeniu z głębokimi oddechami i zręcznymi ruchami bioder, sprawił, że z pęcherza trysnęło kilka strużek rdzawej cieczy. Kiedy podstęp przestał skutkować, Daniel podkasał ubranie i przykucnął tak jak to robią Arabowie. Dzięki przeniesieniu w ten sposób środka ciężkości wymusił stały, ciepły wyciek, który – gdyby trwał odpowiednio długo – powinien przynieść mu ulgę.

A na razie miał mnóstwo czasu na myślenie o Elizie – jeśli snucie fantazji można nazwać myśleniem. Z jej listu jasno wynikało, że zamierza odwiedzić Whitehall, co jednak nic jeszcze nie znaczyło: każdy, kto miał na grzbiecie jakieś ubranie i nie obnosił się z bombą z zapalonym lontem, mógł kręcić się do woli po terenie pałacu. Ponieważ jednak Eliza była hrabiną z Wersalu, Daniel zaś (wbrew temu, co mówił Jeffreys) kimś na kształt dworzanina, jej chęć złożenia wizyty w Whitehallu oznaczała, że zamierza wybrać się tam na kolację w towarzystwie ważnych osobistości. Nie spodziewał się, żeby załatwienie takiej wizyty miało mu przysporzyć kłopotów. Katolicycy frankofoni, którzy stanowili znakomitą większość na królewskim dworze, będą się zabijać o możliwość spotkania z Elizą – choćby po to, żeby zapoznać się z wiosennymi tendencjami w modzie.

Tym niemniej zaaranżowanie kolacji wymagało planowania, z tym samym zastrzeżeniem, że śnienie niedorzecznych snów można nazwać planowaniem. Niczym astronom kreślący tablice przyptywów i odpływów, Daniel musiał uwzględnić leniwy cykl pór roku, kalendarz liturgiczny, sesje parlamentu oraz zobowiązania różnych ważnych person, a także ich śmiertelne choroby i ciążę, i zestawić te uwarunkowania z planami Elizy.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że wybrała idealny moment. Za dwa tygodnie król miał opublikować nową *Deklarację o Tolerancji Religijnej*, która uczyni z Daniela bohatera

(przynajmniej w oczach dysydentów). Ale kiedy siedząc w kucki zaczął odliczać tygodnie – tyk, tyk, tyk, jak krople moczu, spadające jedna po drugiej z czubka jego przyrządu – uświadomił sobie, że Eliza wcale nie dotrze do Londynu tak szybko: mógł się jej spodziewać najwcześniej w połowie maja. Kapłani Wysokiego Kościoła zdążą przez ten czas po kilka razy wykląć *Deklarację* z ambon; stwierdzą, że nie ma nic wspólnego z tolerancją, że jest papistowskim mydleniem oczu, sam Daniel zaś jest w najlepszym razie durniem, a w najgorszym – zdrajcą. Mogło się okazać, że ze względów bezpieczeństwa będzie wtedy zmuszony do zamieszkania w Whitehallu.

Właśnie sobie to wyobraził – siebie w roli zakładnika w jakimś obskurnym zakamarku Whitehallu, chronionego przez gwardzistów Johna Churchilla – kiedy z otchłani pamięciowego kalendarium wyłowił jeszcze jedną datę. I od razu odechciało mu się sikać.

Królowa była brzemienna. Do tej pory nie urodziła jeszcze żadnego dziecka, ta ciąża zaś wydawała się postępować szybciej niż zwykle ludzkie ciążę. Może dwór zwlekał z podaniem jej do publicznej wiadomości, ponieważ z początku spodziewano się, że zakończy się – tak jak wszystkie poprzednie – poronieniem. Wyglądało jednak na to, że tym razem będzie inaczej, a rozmiary królewskiego brzucha wzbudzały żywe emocje w całym Whitehallu. Porodu spodziewano się na przełomie maja i czerwca – czyli dokładnie w czasie planowanej wizyty Elizy.

Eliza chciała wykorzystać Daniela do tego, by przedostać się do pałacu, jak najszybciej dowiedzieć się, czy król doczekał się prawowitego dziedzica korony, i stosownie do sytuacji zarządzić swoimi funduszami. Powinno to być równie oczywiste jak fakt, że Daniel miał w pęcherzu ogromny kamień, ale Danielowi udało się jakimś cudem dokończyć to, co zaczął, i wrócić do kawiarni, nie zdając sobie sprawy ani z jednego, ani z drugiego.

Jedyną osobą sprawiającą wrażenie, że rozumie powagę sytuacji, był Robert Hooke, rozmawiający w tej samej kawiarni – jak zwykle – z sir Christopherem Wrenem. Kątem oka cały czas obserwował Daniela przez okno. Miał minę człowieka, który nie zawaha się mówić prosto z mostu o nieprzyjemnych sprawach, toteż Daniel postanowił nie wchodzić mu w drogę.

## **Wersal**

### **Lipiec 1688**

*Do d'Avaux*

Monsieur,

zgodnie z Pańskim życzeniem zmieniałam szyfr. Pomysł, że Holendrzy złamali ten poprzedni i teraz czytają wszystkie Pańskie listy, wydaje mi się niedorzeczny! Ale, jak

zwykle, jest Pan dla mnie wzorem dyskrecji, będę więc stosowała wszelkie zalecane przez Pana środki ostrożności.

Dziękuję za uroczy, choć nieco sarkastyczny list gratulacyjny z okazji otrzymania przeze mnie należnego mi zgodnie z prawem dziedzicznego tytułu szlacheckiego. Ponieważ jesteśmy teraz równi sobie rangą – bez względu na to, jakie zastrzeżenia żywi Pan wobec mojego tytułu – pozwoliłam sobie zwrócić się do Pana „Monsieur” zamiast „Monseigneur”; mam nadzieję, że nie poczuje się Pan urażony. Przed tym ostatnim listem milczał Pan przez kilka miesięcy. Z początku myślałam, że wskutek prostackiej, przesadnej reakcji księcia orańskiego na tak zwaną próbę porwania siedzi Pan w Hadze odcięty od świata i nie może wysyłać listów. Z upływem czasu zaczęłam się obawiać, że po prostu uczucie, jakim darzył Pan swoją najwierniejszą i najpokorniejszą służkę, wygasło, teraz jednak widzę, że moje obawy były płonne, że okazałam – jakże typową dla kobiety – nadmierną skłonność do niepotrzebnego zamartwiania się. Jesteśmy sobie jeszcze bliżsi niż dawniej. Dlatego postanowiłam napisać miły list i zachęcić Pana do odpowiedzi.

Zacznę od interesów. Nie zrobiłam jeszcze podsumowania drugiego kwartału, muszę więc prosić o zachowanie dyskrecji wobec innych inwestorów, ale jestem pewna, że powiodło nam się znacznie powyżej oczekiwań. Prawdą jest, że akcje V.O.C. spisują się żałośnie, a rynek jest zbyt niepewny, by opłacało się je blankować lub grać na prawach pochodnych. Tym niemniej pewne wydarzenia – do których doszło, o dziwo, w Londynie – pozwoliły mi uchronić nasze inwestycje przed ostateczną katastrofą. Jedną z takich okoliczności jest handel srebrem. Angielski pieniądz z każdym dniem traci na wartości, przez co kraj stał się rajem dla fałszerzy. Nie będę zanudzać Pana szczegółami, ale stały przepływ złota i srebra z wyspy na kontynent i z powrotem daje szansę przyzwoitego zarobku, jeśli tylko należycie się zainwestuje.

Zastanawia się Pan pewnie, skąd wiem jak inwestować, skoro mieszkam w Wersalu. Aby Pana uspokoić, spieszę z wyjaśnieniem, że od naszego ostatniego spotkania złożyłam w Londynie już dwie wizyty – pierwszą w lutym, drugą w maju, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy urodził się syn Jakuba II. Oczywiście ta druga podróż była dla mnie absolutnie obowiązkowa. Wszyscy wiedzieli, że angielska królowa jest w ciąży i że przyszłość Brytanii i całej Europy zależy od tego, czy wyda na świat prawowitego następcę tronu. Rynek w Amsterdamie musiał zareagować na wieści z Whitehallu, zatem ja musiałam tam właśnie się znaleźć. Uwiodłam Anglika, który jest bliskim zausznikiem króla – tak bliskim, że zdołał mnie wprowadzić do pałacu w czasie, gdy królowa zleżała w połogu. Ponieważ jest to sprawozdanie handlowe, Monsieur, nie będę się dłużej rozwodziła nad porodem. Pozwolę sobie tylko napomknąć, że towarzyszyły mu dość niezwykle okoliczności, o których napiszę przy innej okazji.

Anglik, o którym wspomniałam, jest ważną postacią w Towarzystwie Królewskim. Ma poza tym starszego brata przyrodniego, zarabiającego pieniądze na tyle przeróżnych

sposobów, że nie umiałabym ich nawet wyliczyć. Ich ród ma szerokie koneksje wśród właścicieli warsztatów złotniczych, które dawniej znajdowały się przy Cornhill i Threadneedle, a także całkiem nowe powiązania z *banca* założonym przez sir Richarda Apthorpa po tym, jak z winy Karola II większość złotników straciła pracę. Nie wiem, czy spotkał się Pan już z ideą *banca*. Na wszelki wypadek wyjaśniam, że właściciel *banca* robi dokładnie to samo, co dawniej złotnik, tylko nie udaje już, że zajmuje się wyrobem biżuterii – jest finansistą specjalizującym się w obrocie kruszcami i papierami. Wiem, że może to brzmieć dziwacznie, ale ten rodzaj działalności naprawdę ma sens (przynajmniej w kontekście Londynu) i Apthorp całkiem nieźle z niego żyje. Dzięki tym właśnie koneksjom dowiedziałam się o wspomnianych przed chwilą tendencjach w handlu srebrem i złotem, i dokonałam stosownych transakcji.

Jako że Anglikom brakuje francuskiego wyrafinowania, nie mają odpowiednika Wersalu, przez co wszyscy – arystokraci, wyznawcy różnych religii, *commerçants* i wagabundy – spotykają się i mieszają w Londynie. Ponieważ mieszka Pan w Amsterdamie, może Pan mieć pewne pojęcie o wyglądzie Londynu – tyle że w Londynie panuje większy chaos. Do towarzyskiego mieszania się dochodzi głównie w kawiarniach; wokół giełdy znajduje się mnóstwo kawiarni i pijalni czekolady, które z czasem wyspecjalizowały się w obsłudze różnych klientów. Swoją drogę ciągnie – ci, którzy handlują akcjami Kompanii Wschodnioindyjskiej, spotykają się zawsze w tym samym lokalu, i tak dalej. Ostatnio angielski handel zamorski przybiera coraz większe rozmiary, toteż ubezpieczanie wypraw handlowych i inne podobnie ryzykowne przedsięwzięcia zaczynają tworzyć odrębną dziedzinę interesów. Ci, którzy chcą ubezpieczyć statek, coraz chętniej odwiedzają kawiarnię Lloyda, będącą ulubionym miejscem spotkań ubezpieczycieli morskich. Taki układ jest korzystny dla obu stron – wystarczy, że klient przejdzie się pomiędzy stolikami, a zbierze oferty różnych ubezpieczycieli; ci zaś mogą podzielić się ryzykiem, zawierając spółki i sojusze zgodnie z potrzebami chwili. Mami nadzieję, że Pana nie zanudzam, Monsieur, ale to naprawdę fascynujący widok. Zresztą sam Pan również pomnożył swój majątek częściowo w ten właśnie sposób i za zarobione pieniądze może Pan w każdej chwili kupić sobie jakąś powieść pikarejską, ciekawszą od moich wynurzeń. *Tout le monde* w Wersalu zgodnie uważa, że *L'Emmerdeur w Barbarii* to świetna lektura. Z dobrych źródeł wiem, że egzemplarz tej książki znaleziono nawet w królewskiej sypialni.

Dość już jednak o interesach. Przejdźmy do plotek.

Odkąd jestem hrabiną, Madame zniżyła się do tego, że raczy mnie zauważać. Przez bardzo długi czas traktowała mnie jak pasożyta, jak dławiące żywiciela pnące, spodziewałam się więc, że niechętnie uzna we mnie arystokratkę. Zaskoczyła mnie jednak uprzejmym, niemal życzliwym przyjęciem i zaszczyciła krótką, grzeczną rozmową o polityce, kiedy przed paroma dniami spotkałyśmy się w ogrodzie. Przypuszczam, że jej dotychczasowa rezerwa w stosunku do mnie miała dwa powody. Pierwszy z nich wiąże się z tym, że jak wszyscy

cudzoziemscy arystokraci, *La Palatine* (jak czasem bywa tu nazywana Liselotte) jest niepewna swojej pozycji i ma skłonność do wywyższania się kosztem ludzi, w których żyłach monarsza krew jest jeszcze bardziej rozwodniona. Niezbyt miła to cecha, ale jakże ludzka! Drugi to fakt, że jej główną rywalką jest de Maintenon, która przecież kiedyś była nikim, teraz zaś jest nieoficjalną królową Francji. Ilekroć Madame widzi na dworze kobietę, która ma jakieś ambicje, przypomina jej się ta, której serdecznie nienawidzi.

Wielu arystokratów ze starych rodów patrzy na mnie z góry, bo mam do czynienia z pieniędzmi. Liselotte do nich nie należy; przeciwnie, wydaje mi się, że moje zajęcie ułatwiło jej zaakceptowanie mnie.

Spędziwszy dwa lata przy księżnej d'Oyonnax, w otoczeniu właśnie takich młodych, ambitnych kobiet, jakich nie cierpi Madame, rozumiem już, dlaczego tak stara się ich unikać. Te dziewczyny mają niewiele atutów – nazwisko, ciało i (przy odrobinie szczęścia, bo to rzecz wrodzona) rozum. Pierwsza z nich, czyli nazwisko i związany z nim rodowód, daje im przepustkę do pałacu; trochę przypomina zaproszenie na bal. Tyle że większość tych rodów ma więcej pasywów niż aktywów. Kiedy dziewczyna znajdzie sobie miejsce u boku którejś z rezydentek Wersalu, ma zaledwie kilka lat na to, żeby ustawić się na resztę życia. Przypomina ściętą różę w wazonie. Co dzień o świcie patrzy przez okno, jak ogrodnik wywozi wózek zwiedłych kwiatów, które trafiają na wieś, gdzie kończą jako nawóz, i uświadamia sobie, jak bardzo podobne mogą być jej losy. Za kilka lat młodsze dziewczęta zaczną ją przyćmiewać na balach, a jej bracia odziedziczą ewentualny rodowy majątek. Jeżeli uda jej się dobrze wyjść za mąż, tak jak udało się Zofii, czeka ją jeszcze jakaś przyszłość, ale jeżeli nie, odeślą ją do klasztoru – tak jak dwie piękne i mądre siostry Zofii. Kiedy taką desperację połączyć z naturalną lekkomyślnością cechującą każdego młodego człowieka, wynikiem jest niesłychane okrucieństwo.

Nic więc dziwnego, że Madame stara się unikać takich kobiet. Dotychczas zakładała, że i ja się do nich zaliczam, bo przecież nie miała mnie jak odróżnić od reszty. Dopiero niedawno, o czym już wspominałam, dowiedziała się, że zarządzam inwestycjami. To wyróżnia mnie z tłumu, świadczy o tym, że nie interesuję się wyłącznie dworskimi intrygami i w związku z tym jestem mniej groźna od innych. Efekt jest taki, że Madame traktuje mnie jak świeżo upieczoną małżonkę jakiegoś zamożnego i przystojnego diuka, która raz na zawsze ułożyła sobie życie. Zamiast być ściętą różą, jestem w jej oczach krzewem różanym, który zapuścił korzenie głęboko w żyzną glebę.

A może po prostu wyciągam zbyt daleko idące wnioski z jednej krótkiej rozmowy?

Zapytała mnie, czy w Qwghlm dobrze się poluje. Wiedząc, że uwielbia polowania, odparłam, że w mojej ojczyźnie polowania wypadają nędznie, chyba żeby zaliczyć do nich rzucanie kamieniami w szczury. Poprosiłam, aby z łaski swojej opowiedziała mi o polowaniach w Wersalu. Naturalnie, miałam na myśli rozległe parki rozciągające się wokół *château*, ale Liselotte spytała:

- W pałacu? Czy poza nim?
  - Widziałam polowania odbywające się w murach pałacu – przyznałam. – Ale zwierzyne łapie się wtedy w sidła lub karmi trutką, a to sposoby dobre dla wieśniaków.
  - Czy Qwghlmianie całe życie spędzają na otwartej przestrzeni?
  - Owszem, choćby dlatego że wiatr bardzo często zwiewa nasze domostwa, pani.
  - Umie pani jeździć konno, mademoiselle?
  - W pewnym sensie... Nauczyłam się jeździć na oklep.
  - Tam, skąd pochodzisz, nie macie siodeł?
  - Dawniej mieliśmy, bo mogliśmy je na noc wieszać na drzewach, żeby różne małe zwierzątka ich nie zjadły. Ale odkąd Anglicy wycięli wszystkie drzewa, mamy w zwyczaju jeździć na oklep.
  - Chętnie bym to zobaczyła – przyznała Liselotte. – Choć to chyba wysoce niestosowne.
  - Jesteśmy gośćmi w domu króla – zgodziłam się. – Powinniśmy przestrzegać jego standardów obyczajności.
  - Jeżeli pokażesz mi, że umiesz utrzymać się w siodle, zaproszę cię do St. Cloud. To moja posiadłość i obowiązują w niej moje reguły.
  - Nie spodziewasz się protestów ze strony małżonka, pani?
  - Mój mąż sprzeciwia się wszystkiemu, co robię. W efekcie jego protesty nie mają znaczenia.
- W następnym liście dam znać, czy zdałam egzamin jeździecki i zapracowałam na zaproszenie do St. Cloud. Prześlę również kwartalny bilans.

Eliza de la Zeur

## **Londyn, Tower**

### **Lato i jesień 1688**

*Stąd zdarza się bardzo często, że ludzie, którzy oceniają sami siebie na podstawie swego bogactwa, wążą się na przestępstwa w nadziei, że unikną kary, przekupując sprawiedliwość publiczną albo zdobywając uniewinnienie za pieniądze czy też za inne wynagrodzenie.*

Hobbes, *Lewiatan*

Ponieważ w Anglii wysoko ceni się tradycję, wtrącono go do tej samej celi, w której dwadzieścia lat wcześniej ulokowano Oldenburga.

Ale nawet w Anglii pewne rzeczy się zmieniają. W przeciwieństwie do brata, który miał wesołe usposobienie, Jakub II był drażliwy i skory do gniewu, toteż Daniela pilnowano



surowiej niż Oldenburga i bardzo rzadko wypuszczano na spacer na blanki. Tak więc prawie cały czas przebywał w komnacie, wśród tajemnych znaków pozostawionych na kamieniu przez dawno potępionych alchemików i czarnoksiężników, oraz żałośliwych łacińskich skarg, wyrytych przez papistów za panowania Elżbiety.

Dwadzieścia lat temu żartowali z Oldenburgiem, że można by wyryć tu nowy napis, posługując się opracowanym przez Johna Wilkinsa pismem uniwersalnym. Ich rozmowa wciąż zdawała się rozbrzmiewać echem w okrągłej celi, jakby kamienne ściany stanowiły wklęsłe zwierciadło teleskopu, które odbija wszelką informację ku środkowi pomieszczenia. Idea pisma uniwersalnego wydawała się teraz Danielowi dziwaczna i naiwna, toteż przez pierwsze dwa tygodnie niewoli nie przyszło mu do głowy ryć w kamieniu. Spodziewał się, że pozostawienie trwałego śladu wymagałoby długotrwałego wysiłku, na który – jak się domyślał – nie wystarczy mu życia. Jeffreys z pewnością zamknął Daniela w Tower z zamiarem zabicia go, a kiedy Jeffreys coś takiego sobie postanowił, nic nie mogło zmienić jego decyzji. Zabijał z taką samą łatwością, z jaką wieśniaczki skubią gęsi. Nie trwały jednak żadne oficjalne czynności prawne, co oznaczało, że nie zanosi się na zabójstwo w majestacie prawa (czyli dostojne i – mniej lub bardziej – przewidywalne), lecz egzekucję innego rodzaju.

Ponieważ menniszce chwilowo zamknięto, w Tower panowała niesamowita cisza. Nikt nie odwiedzał Daniela, i bardzo dobrze – mało która ofiara morderstwa ma tyle czasu, żeby przed śmiercią poukładać sobie życie duchowe. W przeciwieństwie do papistów purytanie nie chodzili do spowiedzi ani nie mieli specjalnych przedśmiertnych sakramentów, ale Daniel przypuszczał, że i tak powinien trochę posprzątać w sercu, odkurzyć ciemne kąty, zanim przyjdą ludzie ze sztyletami.

Spędził więc trochę czasu na zaglądaniu w głąb swojej duszy, ale niczego tam nie znalazł; jego duch był pusty jak obrabowana katedra. Nie miał żony ani dzieci. Pożądał Elizy, hrabiny de la Zeur, ale coś w jego obecnej sytuacji podpowiadało mu, że ona ani go nie pragnie, ani nawet specjalnie za nim nie przepada. Nie zrobił kariery naukowej, ponieważ żył w epoce Hooke'a, Newtona i Leibniza, przez co przypadły mu role skryby, kopisty, tuby propagandowej i gońca. Kiedy jego wszechstronne przygotowanie na nadejście Dnia Sądu Ostatecznego zdało się psu na budę, nieporadnie próbował wykorzystać swoją energię i umiejętności na doprowadzenie do świeckiej apokalipsy, którą nazwał rewolucją. Niestety, na razie nic nie wróżyło rewolucji powodzenia. Wydrapany na ścianie napis byłby trwałą pamiątką dla potomności, ale wyglądało na to, że zabraknie mu czasu.

Jego epitafium i tak brzmiałoby następująco: DANIEL WATERHOUSE, 1646-1688, SYN DRAKE'A. Zwykły człowiek odczułby na taki widok co najwyżej lekkie ukłucie melancholii, ale jego surowa prostota przemawiała do wyobraźni Daniela-purytanina i naturalisty. A gdyby miał gromadkę dzieci, napisał sto książek, odbił Turkom ileś tam miast i wsi, dorobił się pomników i dopiero wtedy został wtrącony do Tower, gdzie poderżnięto by

mu gardło? Czy coś by się zmieniło? Czy też jego osiągnięcia byłyby tylko nic nie znaczącymi drobiazgami, próżną pozłotą, fałszywą pociechą?

Pewne było tylko to, że dusze w jakiś sposób powstają i trafiają do ciał, które żyją krócej lub dłużej. Wszystko, co działo się później, stanowiło przedmiot wiary i spekulacji. Może śmierć była końcem wszystkiego? Ale jeśli nie, Daniel nie mógł uwierzyć, że to, co go po niej czeka, mogłoby mieć związek z ziemskimi dokonaniem ciała – liczbą splodzonego potomstwa albo ilością nagromadzonego złota, chyba że jedno lub drugie zmieniłoby jego duszę, stan jego świadomości.

W ten sposób doszedł do wniosku, że bezbarwne, ponure życie nijak nie zaszkodziło jego duszy. Posiadanie potomstwa mogło go było zmienić, ale tylko pod warunkiem, że dzięki dzieciom odkryłby głębię istnienia, która ułatwiłaby mu lub uprawdopodobniła jakąś zmianę wewnętrzną, jakieś duchowe przeobrażenie. Wszelki rozwój, w ogóle każda przemiana ludzkiej duszy musiała być w swej istocie przemianą wewnętrzną, podobną do metamorfoz, jakie zachodzą w kokonach, nasionach i jajach. Warunki zewnętrzne mogły tę przemianę przyspieszyć lub spowolnić, ale w gruncie rzeczy nie były niezbędne. W przeciwnym razie świat byłby nie fair. Nic nie miałyby sensu. Bo koniec końców każda dusza przypominała Daniela Waterhouse'a, który przesiadywał samotnie w okrągłym pokoju w kamiennej wieży i odbierał sygnały ze świata tylko przez kilka wąskich szczelin.

Tak sobie przynajmniej powtarzał. Wkrótce miał albo zostać zamordowany i przekonać się, czy ma rację, albo ułaskawiony, a wtedy do końca życia głowiłby się nad tą zagadką.

Dwudziestego dnia niewoli – wedle rachuby Daniela był siedemnasty sierpnia tysiąc sześćset osiemdziesiątego ósmego roku – z drugiej strony szczelin zaczęły docierać sygnały wściekłego sporu i radykalnej zmiany. Żołnierze, którzy migali mu na dziedzińcu, zniknęli, ich miejsce zajęli nowi, inaczej umundurowani. Przypominali królewskich gwardzistów z Black Torrent Guards, ale nie mogli nimi być, bo tamci stacjonowali w Whitehallu, a Danielowi nie przychodził do głowy żaden powód, dla którego mieliby zostać przerzuceni na drugi koniec miasta.

Obcy strażnicy przyszli opróżnić jego nocnik i przynieśli mu jedzenie – znacznie lepsze niż to, do którego już zdążył przywyknąć. Zadał im kilka pytań. Mówiąc z akcentem z Dorsetshire, wyjaśnili, że faktycznie służą w Black Torrent Guards i że jedzenie, które mu podali, pochodzi z zapasów nagromadzonych w stróżówce, a dostarczanych przez jego przyjaciół. Po prostu ludzie jeszcze poprzedniego dnia rządzący w Tower – żołnierze podrzędnego regimentu piechoty – nie przekazywali mu tych darów.

Daniel przeszedł do bardziej ambitnych pytań, ale wtedy strażnicy przestali odpowiadać. Nie pomogło nawet częstowanie ich ostrygami. Ponieważ Daniel nalegał, zgodzili się w końcu przekazać jego pytania sierżantowi, który jednak (o czym go uprzedzili) był człowiekiem bardzo zajęтым, ponieważ sporządzał listę więźniów i prowadził przegląd umocnień Tower.

Dopiero dwa dni później sierżant znalazł czas, żeby odwiedzić Daniela. To były trudne dni. Ledwie Daniel zdołał sobie wmówić, że jego dusza jest bezcielesną świadomością uwięzioną w kamiennej wieży i postrzegającą rzeczywistość przez szczeliny strzelnicze, podano mu ostrygi, i to najlepsze. Przysłał je Roger Comstock. Uszczęśliwiły ciało Daniela i wywarły na jego duszę wpływ zgoła niestosowny dla bezcielesnej świadomości. Albo więc jego teoria była błędna, albo uroki świata bardziej uwodzicielskie, niż pamiętał. Kiedy Tess zaraziła się ospą, choroba postępowała błyskawicznie. Gdy krosty pokryły całe ciało, skóra odeszła od mięsa, a wnętrzności wypłynęły przez odbyty, tworząc na łóżku krwawą stertę, Tess jakimś cudem żyła jeszcze przez całe dziesięć i pół godziny. Mając w pamięci cielesne radości, jakich dostarczyła mu przez te lata, gdy była jego kochanką, Daniel potraktował jej chorobę tak samo, jak zrobiłby to Drake – jako ostrzegawczą przypowieść o doczesnych rozkoszach. Lepiej było postrzegać świat tak jak Tess w swoich ostatnich chwilach niż tak jak Daniel, kiedy ją rznął. Ale ostrygi były przepyszne, ich aromat intensywny i subtelnie niebezpieczny, a konsystencja nasuwała ewidentnie seksualne skojarzenia.

Daniel poczęstował nimi także sierżanta, który zgodził się, że smakują wspaniale, ale poza tym niewiele miał do powiedzenia. Przy większości pytań uciekał wzrokiem, a przy niektórych kulił się i krzywił niemiłosiernie, ale koniec końców obiecał, że porozmawia o nich ze swoim sierżantem. W sennym koszmarze Daniel ujrzał niekończącą się drabinę sierżantów, z których każdy kolejny był wyższy rangą i trudniej dostępny od poprzednika.

Robert Hooke przyniósł antałek *ale* i Daniel rzucił się na beczułkę z podobnym zapachem, jak mordercy mieli rzucić się na niego samego.

– Bałem się, że wzgardzisz moim darem i wylejesz go do Tamizy – przyznał zirytowany Hooke. – Widzę jednak, że odosobnienie w Tower zmieniło cię w prawdziwego satyra.

– Pracuję nad nową teorią postrzegania i związku zmysłów z duszą. To będzie część moich badań – wyjaśnił Daniel, łączywie żłowiąc smakowity trunek. Zdmuchnął pianę z wąsów (od tygodni się nie golił) i spróbował zrobić dociekliwą minę. – Wyrok śmierci to potężny bodziec do rozważań filozoficznych, które jednak marnują się, kiedy egzekucja zostanie wykonana. Mnie, na szczęście, oszczędzono...

– Abyś mógł przekazać swoje przemyślenia akurat mnie – dokończył kąśliwie Hooke. I dodał, siłąc się na taktowność: – Ale ponieważ moja pamięć ostatnio bywa zawodna, bądź łaskaw je spisać.

– Nie dają mi tu pióra i papieru.

– A pytałeś w ostatnich dniach? Do wczoraj nie pozwalali cię odwiedzać; nie wpuszczali ani mnie, ani nikogo innego. Ale z nowym regimentem nastał nowy reżim.

– Próbowałem coś wydrapać na ścianie.

Daniel machnięciem ręki wskazał zaczątki diagramu geometrycznego.

Hooke zmierzył rysunek beznamiętnym spojrzeniem.

– Od razu to zauważyłem – przyznał. – Ale pomyślałem, że to jakaś na wpół zatarta starość. Do głowy by mi nie przyszło, że to coś nowego i niedokończonego.

Daniel z początku trochę się speszył – w sam raz, żeby tętno mu skoczyło, na twarz wypłynął rumieniec, a struny głosowe boleśnie się ścisnęły.

– Trudno mi potraktować te słowa inaczej niż jako krytykę – powiedział. – Chciałem po prostu sprawdzić, czy uda mi się odtworzyć z pamięci jeden z dowodów Newtona.

Hooke odwrócił wzrok. Słońce przed chwilą zaszło i wpadające przez zachodnią szczelinę światło odbijało się w jego oczach podwójną czerwoną kreską.

– Nie ma w tym nic złego – odparł. – Gdybym za młodu pilniej studiował geometrię, zamiast prowadzić obserwacje i uczyć się widzieć różne rzeczy, może to ja, a nie Newton, napisałbym *Principia*.

Te słowa wstrząsnęły Danielem. W Towarzystwie Królewskim zazdrość snuła się równie gęsto jak dym tytoniowy, ale takie otwarte przyznawanie się do niej należało do rzadkości. Z drugiej strony, Hooke nigdy nie słuchał i nie przejmował się tym, co inni o nim pomyślą.

Chwilę trwało, zanim Daniel się otrząsnął, ale dzięki temu wypowiedź Hooke'a spotkała się z wymaganą protokołem minutą ciszy.

– Leibniz ma sporo do powiedzenia na temat percepcji – odezwał się w końcu Daniel. – Do niedawna zupełnie go nie rozumiałem. Nie musisz przepadać za Leibnizem, ale posłuchaj mnie: Newton wymyślił rzeczy, które nikomu przed nim nie przyszły do głowy. To wielki wyczyn, bez dwóch zdań, być może największe osiągnięcie w dziejach ludzkiej myśli. Co nam to mówi o Newtonie? I o nas samych? Ano to, że jego umysł jest skonstruowany w taki sposób, że działa sprawniej niż umysły innych ludzi. Chwała niech będzie Isaacowi Newtonowi! Bijmy przed nim pokłony i czcimy siłę stwórczą, która ten umysł ukształtowała. A teraz spójrzmy na Hooke'a. Hooke dostrzegł rzeczy, jakich nikt przed nim nie widział. Co nam to mówi o Hooke'u i o nas? Że Hooke został inaczej stworzony? Lepiej? Wcale nie. Nie gniewaj się, Robercie, ale spójrz na siebie. Jesteś garbaty, kapryśny, masz astmę i masę innych przypadłości, oraz całkiem przeciętne oczy i uszy, niczym nie różniące się od oczu i uszu ludzi, którzy nie dostrzegli nawet jednej tysięcznej tego, co ty. Newton dokonuje swoich odkryć w królestwie geometrii, dokąd nasze umysły nie mają wstępu; przechadza się po obwiedzionym murem ogrodzie pełnym cudów i ma do niego jedyny klucz. Ty zaś, Hooke, jesteś taki sam jak reszta ludzi tworzących londyński tłum. Każdy może patrzeć na to, co ty, ale nikt nie widzi tego, co ty. Milion osób przed tobą patrzyło na iskrę, pchłę, kroplę deszczu, Księżyc – ale ty pierwszy je zobaczyłeś. Jeżeli ktoś mówi, że to wyczyn mniejszy niż dzieło Newtona, postrzega świat w sposób uproszczony i dziecinny. Równie dobrze można by pójść na przedstawienie Szekspira i zapamiętać z niego same pojedynki.

Hooke milczał. W celi zapadł półmrok i gość Daniela upodobił się do szarej zjawy o czerwonych, płonących jak iskry ślepiach. Westchnął ciężko i iskry na chwilę zgasły.

– Jeżeli tak ma wyglądać dyskusja z tobą, mój panie, będę zmuszony przynieść ci pióro i papier – stwierdził w końcu.

– Jestem przekonany, że w przyszłości wszyscy ludzie wykształceni będą podzielać moje zdanie. Co nie zmienia faktu, że za życia twoja sytuacja może nie ulec dramatycznej poprawie. Sława jest jak chwast, ale renoma przypomina wolno rosnący dąb; przez całe życie możemy co najwyżej poskakać po jego gałęziach jak wiewiórki i zasadzić w ziemi zebrane żołędzie. Nie widzę powodu, dla którego miałbym ukrywać swoje poglądy. Uprzedzam cię, że mogę je wyrażać do woli, niekoniecznie przynosząc ci uznanie czy majątek.

– Wystarczy, że wyraziłeś je w mojej obecności, w okrutnej samotności tej komnaty – odparł Hooke. – Oświadczam, że jestem twoim dłużnikiem i pewnego dnia spłacę ten dług. W najmniej spodziewanej chwili otrzymasz ode mnie dar wielkiej wartości. Bezcenną perłę.

\* \* \*

Na widok następnego sierżanta Daniel poczuł się stary. Po sposobie, w jaki wyrażali się na jego temat podwładni, spodziewał się ujrzeć siwobrodego weterana, któremu amputowano więcej niż jedną kończynę. Tymczasem poblížniony i ogorzały mężczyzna mógł mieć najwyżej trzydzieści lat. Wszedł do celi bez pukania, nie przedstawił się i rozejrzał po niej jak po swoim mieszkaniu. Szczególnie interesowały go strefy ostrzału z poszczególnych ambrazur – miało się wrażenie, że wodząc głową z boku na bok, wyobraża sobie ziemię zasłaną ułożonymi w kształt wachlarza zwłokami wrogów.

– Spodziewa się pan wybuchu wojny, sierżancie? – spytał Daniel. Gryzmołił coś piórem na papierze, z rzadka tylko zerkając ukradkiem na swojego gościa.

– A pan zamierza jakąś wywołać? – odezwał się sierżant dobrą minutę później, jakby nie widział potrzeby, żeby spieszyć się z odpowiedzią.

– Skąd takie dziwne pytanie?

– Próbuję sobie wyobrazić, jakim cudem purytanin dał się zamknąć w Tower akurat teraz, kiedy purytanie są jedynymi przyjaciółmi króla.

– Zapomniał pan o katolikach.

– Ja nie. To król o nich zapomniał. Odkąd tu pana wtrącono, wiele się zmieniło. Zaczęło się od aresztowania anglikańskich biskupów za odmowę nauczania tolerancji wobec katolików i dysydentów.

– To wiem. Wtedy jeszcze byłem wolnym człowiekiem.

– Niewiele brakowało, żeby cały kraj chwycił za broń, zaczęło się podpalanie katolickich kościołów... Tak więc król wypuścił biskupów, żeby uspokoić nastroje.

– To chyba nie jest zapominanie o katolikach, sierżancie.

– Zgoda, ale później, po tym jak pana internowano... No cóż, król zaczął gonić w piętkę.

– Na razie nie dowiedziałem się od pana niczego niezwykłego. Może poza faktem, że jest w służbie króla sierżant, który zna znaczenie słowa „internować”.

– Widzi pan, ojciec nigdy nie wierzy, że jego syn to naprawdę jego syn. Dlatego nie może spać spokojnie.

– Co to niby ma znaczyć?

– Mówi się, że królowa wcale nie była w ciąży, że tylko nosiła poduszki pod suknią. I że tak zwany prawowity następca tronu jest dzieckiem z gminu, wyciągniętym z jakiegoś sierocińca i przeszmuglowanym do królewskiej sypialni w skandali.

Daniel nie wiedział co powiedzieć.

– Na własne oczy widziałem, jak dziecko wychodzi ze sromu królowej – wykrztusił w końcu.

– Radzę się mocno uczyć tego wspomnienia, profesorze. Może jeszcze uratować panu życie. Poza panem wszyscy w Anglii uważają, że to mały podrutek. Król jest przegrany. Anglikanie przestali się go bać, a papiści biją na alarm, że wyparł się jedynej prawdziwej wiary.

Daniel zamyślił się na chwilę.

– Król chciał, żeby uniwersytet w Cambridge przyznał tytuł naukowy benedyktyńskiemu mnichowi, niejakiemu ojcu Francisowi, który w kręgach naukowych był postrzegany jako papistowski koń trojański. Wiadomo coś o nim?

– Król wszędzie usiłował wciskać swoich jezuitów i im podobnych, ale przez ostatnie dwa tygodnie wielu z nich odwołał. Założę się, że Cambridge nie musi się już niczego obawiać. Królewska władza słabnie.

Tym razem Daniel zamilkł na dłużej i sierżant w końcu znów się odezwał. Mówił cichym, bardziej przyjaznym głosem:

– Żaden ze mnie uczony, ale często bywam w teatrze. To tam nauczyłem się takich słów jak „internowanie”. Często się zdarza, zwłaszcza w nowszych sztukach, że aktor zapomni tekstu i jakiś halabardnik czy muzykant musi mu podpowiedzieć jego kwestię. Pomyślałem, że ja też podsunę panu następną linijkę. Powinna brzmieć mniej więcej tak: „Na Boga, toż to prawdziwa katastrofa! Mój król, prawdziwy przyjaciel wszystkich dysydentów, jest w tarapatkach! Co z nami będzie? Jak mógłbym się przysłużyć Jego Wysokości?!”.

Daniel nadal milczał, a sierżanta najwyraźniej poniosły nerwy, bo zaczął przechadzać się niespokojnie po celi, tak jakby więzień był ciekawym okazem, o którym można się więcej dowiedzieć, jeśli mu się przyjrzeć, biorąc pod uwagę różne punkty widzenia.

– Z drugiej strony, nie jesteś chyba przeciętnym nonkonformistą, mój panie. Byle kogo nie zamyka się w Tower.

– Pan również tu tkwi, sierżancie.

– Ja mam klucz.

– Phi! A może pan stąd odejść?

Te słowa na chwilę uciszyły sierżanta.

– Naszym dowódcą jest John Churchill – podjął po chwili. – Król już mu nie ufa tak jak dawniej.

– Ciekaw byłem, kiedy król zwątpi w lojalność Churchilla.

– Jesteśmy jego najlepszymi ludźmi. Potrzebuje nas i chce mieć blisko, ale nie tak blisko jak Gwardię Konną. Jej koszary są tuż koło Whitehallu, w zasięgu strzału muszkietowego od królewskich apartamentów.

– Dlatego was przeniesiono do Tower. Tak jest bezpieczniej.

– Ma pan wiadomość.

Sierżant rzucił na stół list zaadresowany GRUBENDOL LONDYN. Od Leibniza.

– To do pana, prawda? Proszę nie zaprzeczać; widzę po pańskiej twarzy, że mam rację. Żeby pan wiedział, ile wysiłku kosztowało nas ustalenie adresata...

– List jest przeznaczony dla tego z członków Towarzystwa Królewskiego, do którego obowiązków należy odbieranie zagranicznej korespondencji – odparł wyniośle Daniel. – Tak się składa, że obecnie to ja piastuję to zaszczytne stanowisko.

– To pan, prawda? To pan przekazywał listy Wilhelmowi Orańskiemu?

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym udzielić odpowiedzi na to pytanie – odparł Daniel, kiedy po pierwszym szoku odzyskał mowę.

– Proszę mi w takim razie powiedzieć coś innego. Czy ma pan przyjaciół o nazwiskach Bob Carver i Dick Gripp?

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– To ciekawe. W stróżówce znaleźliśmy pisemny zakaz wpuszczania do pana wszelkich gości poza Bobem Carverem i Dickiem Grippem, którzy mogli pana odwiedzać o każdej porze dnia i nocy.

– Nie znam ich – upierał się Daniel. – I bardzo pana proszę, pod żadnym pozorem nie wpuszczajcie ich tutaj.

– To bardzo poważna prośba, profesorze. Zakaz, o którym mówię, wyszedł spod pióra pana Jeffreysa. Nosi jego podpis.

– Wobec tego wie pan równie dobrze jak ja, że Bob Carver i Dick Gripp to zwykli mordercy!

– Wiem jedno, pan Jeffreys jest Lordem Kanclerzem. Niesubordynacja byłaby w tym wypadku aktem buntu.

– W takim razie proszę, by się pan zbuntował.

– Pan pierwszy – odparł sierżant.

\* \* \*

*Hanower, sierpień 1688*

Drogi Danielu,

nie mam zielonego pojęcia, gdzie Cię szukać, toteż wysyłam ten list do starego dobrego GRUBENDOLA i mam nadzieję, że zastanie Cię w dobrym zdrowiu.

Niedługo ruszam w długą podróż do Włoch, gdzie spodziewam się znaleźć dowody, które pozwolą rozwiązać ostatnie wątpliwości kładące się cieniem na rodowodzie Zofii. Pewnie masz mnie za głupca, ponieważ tyle czasu tracę na genealogiczne poszukiwania, ale bądź cierpliwy, a przekonasz się, że mam ku temu ważne powody. Po drodze zajadę do Wiednia, gdzie, jak Bóg da, cesarz przyjmie mnie na audiencji, a ja opowiem mu o planach stworzenia uniwersalnej biblioteki. Projekt górniczy w górach Harzu upadł – nie dlatego jednak, że moje wynalazki zawiodły, lecz z powodu oporu górników, którzy z obawy przed utratą pracy cały czas rzucali mi kłody pod nogi. Jeśli więc biblioteka ma powstać, nie sfinansują jej zyski z kopalń srebra, lecz skarbiec jakiegoś możnowładcy.

Z każdą podróżą wiąże się niebezpieczeństwo, wolałem więc spisać kilka faktów i wysłać Ci list przed wyjazdem z Hanoweru. Wszystko są to świeże pomysły, zielone jabłka, które po skonsumowaniu przyprawiają każdego erudytę o ból brzucha. Po drodze będę miał czas ubrać je w słowa bardziej pobożne (aby ugłaskać jezuitów), bardziej pompatyczne (aby zaimponować mędrcom) lub prostsze (aby przypochlebić się bywalcom salonów), wierzę jednak, że Ty, Danielu, wybaczysz mi, że piszę tak zwyczajnie i nieoficjalnie. Gdyby przydarzyło mi się jakieś nieszczęście, może któryś z członków Towarzystwa Królewskiego (obecnych lub przyszłych) będzie mógł podjąć rozpoczęty przeze mnie wątek.

Wystarczy się rozejrzeć dookoła, aby dostrzec różne prawdy – niebo jest niebieskie, Księżyc okrągły, ludzie chodzą na dwóch nogach, psy na czterech i tak dalej. Niektóre z tych prawd są z natury toporne i geometryczne, nie sposób się od nich odgrodzić – tak jak ta, że najkrótszą drogą łączącą dwa punkty jest linia prosta. Do czasów Kartezjusza powszechnie uważano, że takich prawd jest raczej niewiele i że starożytni z Euklidesem na czele prawie wszystkie już odkryli. Kiedy jednak Kartezjusz zainicjował swoje prace, nabraliśmy zwyczaju przenoszenia wszystkiego, co znamy, w świat, który można opisać za pomocą liczb. Przywykliśmy rysować dwie osie liczbowe przecinające się pod kątem prostym, definiując w ten sposób płaszczyznę współrzędnych, czyli tak zwany „kartezjański układ współrzędnych”. Trzeba przyznać, że idea ta powszechnie się przyjęła – trudno byłoby dziś znaleźć salę uniwersytecką, w której wykładowca nie kreśli w którymś momencie olbrzymiego krzyża na tablicy. W każdym razie po tym, jak nauczyliśmy się opisywać wielkość, położenie i ruch wszystkich możliwych obiektów za pomocą liczb, prostych, krzywych i innych konstrukcji znanych ludziom wykształconym od czasów Euklidesa, modne stały się próby objaśniania za pomocą geometrii wszelkich prawd obowiązujących we wszechświecie. Doskonale pamiętam moment, kiedy i ja dałem się uwieść tej wizji. Miałem czternaście lat i spacerowałem po Rosenthalu nieopodal Lipska, udając, że wącham kwiaty, a w istocie wiodąc w głowie spór z samym sobą, w którym dawnej scholastyce przeciwstawiłem filozofię mechaniczną



Kartezjusza. Jak wiesz, wybrałem tę drugą i od tamtej pory nieprzerwanie studiuje matematykę.

Kartezjusz badał ruch i zderzenia kul, sprawdzał, jak się będą rozpędzać na pochyłościach *et caetera*, i usiłował wyjaśnić ich zachowanie teorią czysto geometryczną. Wynik jego rozumowania był typowo francuski – nie miał nic wspólnego z rzeczywistością, ale wyglądał pięknie i był spójny logicznie. Potem nasi przyjaciele Huygens i Wren włożyli sporo wysiłku w podobne rozważania, ale nie muszę Ci chyba tłumaczyć, że Newton prześcignął wszystkich i ogromnie poszerzył świat prawd geometrycznych. Naprawdę wierzę, że gdyby udało się wskrzesić Euklidesa i Eratostenesa, padliby przed nim na twarz (jak na pogan przystało) i czcili go jak boga. Ich geometria bowiem koncentrowała się na prostych, abstrakcyjnych kształtach, liniach rysowanych na piasku; geometria Newtona wytycza prawa rządzące ruchem planet.

Przeczytałem egzemplarz *Principia Mathematica*, który byłeś uprzejmy mi przysłać. Wiedziałem, że nie należy spodziewać się luk w przeprowadzonych przez autora dowodach, ani liczyć na to, że można by rozszerzyć jego pracę na dziedziny, w jakie się nie zapuścił. *Principia* to dzieło skończone. Przypomina kopułę – gdyby nie było kompletne, musiałoby się zawalić. Skoro jednak trzyma się mocno, jest skończoną całością i nie ma sensu niczego tam dodawać.

Niemniej jednak jego kompletność sama w sobie jest sygnałem, że wciąż czeka nas ogrom pracy. Moim zdaniem, w murach olbrzymiego gmachu *Principia Mathematica* zamknięte są prawie wszystkie prawdy geometryczne dotyczące naszego świata. Ale każda kopuła, nawet największa, ma wewnętrzną konstrukcję i zewnętrzną powłokę. Kopuła Newtona obejmuje wszystkie prawdy geometryczne, ale pomija te, które wypływają z przyczyn ostatecznych. Kiedy Newton napotyka prawdę tego rodzaju – taką jak prawo odwrotnej proporcjonalności rządzące siłą ciężenia – nawet nie stara się go zrozumieć, lecz po prostu stwierdza fakt i tłumaczy go wolą Bożą. Dla niego prawdy tego typu leżą poza obszarem zainteresowań filozofii naturalnej i należą do królestwa, do którego – jego zdaniem – najkrótsza droga prowadzi przez alchemię.

Pozwól, że Ci wyjaśnię, dlaczego Newton się myli.

Próbując ocalić coś cennego z geometrycznej teorii zderzeń Kartezjusza, stwierdziłem, że jest całkowicie bezwartościowa.

Kartezjusz utrzymuje, że dwa ciała po zderzeniu powinny zachować tę samą ilość ruchu, jaką miały przed zderzeniem. Dlaczego tak twierdzi? Czy to wynik obserwacji empirycznych? Bynajmniej. Kartezjusz nie prowadził takich obserwacji, a jeśli nawet, to widział tylko to, co chciał zobaczyć. Otóż upiera się przy tym twierdzeniu, ponieważ z góry założył, że jego teoria musi być geometryczna, a geometria to surowa nauka; każdy jej adherent może zmierzyć i zapisać w równaniach tylko pewne określone wielkości. Najważniejszą wśród nich jest „rozciągłość”, który to pompatyczny termin oznacza po prostu

„wszystko, co da się zmierzyć przymiarem”. Kartezjusz i jego naśladowcy za taką wielkość uznają również czas, ponieważ jego upływ można zmierzyć wahadłem, a wahadło przymiarem. Odległość przebyta przez ciało (mierzalna za pomocą przymiaru) i podzielona przez czas niezbędny na jej pokonanie (mierzalny za pomocą wahadła, które następnie mierzy się przymiarem) daje nam prędkość. A prędkość jest niezbędna w kartezjuszowskim rachunku ilości ruchu – im większa prędkość, tym więcej ruchu.

Na razie wszystko wygląda bardzo pięknie, ale w tym miejscu Kartezjusz trochę się pogubił, traktując ilość ruchu jako skalar, zwykłą, pozbawioną kierunku liczbę – podczas gdy w rzeczywistości jest ona wielkością wektorową. To jednak jeszcze niewielkie uchybienie. W systemie złożonym z dwóch prostopadłych osi jest mnóstwo miejsca dla wektorów. Rysujemy je jako strzałki na płaszczyźnie kartezjańskiej i proszę: mamy geometryczne twory, posłuszne geometrycznym prawidłom. Możemy geometrycznie dodawać ich składowe, wyznaczać ich długość w oparciu o twierdzenie Pitagorasa i tak dalej.

Ten mechanizm ma jednak dwie wady. Jedną z nich jest względność: przymiary się poruszają. Nie ma ustalonego układu odniesienia dla pomiarów rozciągłości. Geometra na płynącej po kanale łodzi, próbując zmierzyć prędkość ptaka w locie, uzyska inny wynik niż geometra stojący na brzegu. A według geometry, który siedziałby na grzbiecie takiego ptaka, jego prędkość byłaby równa zeru!

Drugi problem to fakt, że spadające ciała nie zachowują zdefiniowanej przez Kartezjusza ilości ruchu, czyli iloczynu masy i prędkości ( $mv$ ). Tymczasem wystarczy wykonać – a nawet tylko wyobrazić sobie – prosty eksperyment, by udowodnić, że wielkość zostaje zachowana, jeśli zdefiniujemy ją jako iloczyn masy i kwadratu prędkości ( $mv^2$ ).

Ta właśnie wielkość,  $mv^2$ , ma kilka ciekawych właściwości. Określa na przykład wielkość pracy, jaką może wykonać poruszające się ciało. Praca ma wartość absolutną, jest niezależna od zagadnienia względności, o którym przed chwilą wspomniałem, a które nieodłącznie towarzyszy Wszystkim teoriom opartym na zastosowaniu przymiarów. W wyrażeniu  $mv^2$  prędkość zostaje podniesiona do kwadratu, przez co traci swój wektorowy charakter, traci kierunek, zwrot i wszelki sens geometryczny.  $mv$  można wykreślić na płaszczyźnie kartezjańskiej i poddać wszystkim wymyślonym przez Euklidesa zabiegom, ale  $mv^2$  już nie. Po podniesieniu do drugiej potęgi prędkość utraciła swą kierunkowość i (wybacz mi to popadanie w metafizykę) wyrwawszy się z więzów płaszczyzny geometrycznej, wstąpiła do nowego królestwa – królestwa algebry. Natura skrupulatnie przestrzega stałości tej  $mv^2$  i regułę jej zachowania można by właściwie uznać za uniwersalne prawo wszechświata, gdyby nie fakt, że wykracza poza ramy geometrii, nie mieści się pod zbudowaną przez Newtona kopułą, jest kolejną prawdą warunkową, niegeometryczną, jedną z wielu odkrytych i wciąż odkrywanych przez naturalistów. Czy wszyscy mamy powtórzyć za Newtonem, że tego rodzaju prawdy są arbitralnym wymysłem Boga? Czy w związku z tym

mamy ich szukać w naukach tajemnych? Przecież jeśli Bóg wprowadził je bez dania racji, ze swej natury należą do dziedziny okultyzmu.

Dla mnie to niemiła perspektywa. Stawia Boga w roli kapryśnego despoty, który pragnie ukryć prawdę przed ludźmi. W pewnych sprawach – takich jak na przykład twierdzenie Pitagorasa – Bóg mógł nie mieć innego wyjścia przy tworzeniu świata; w innych – takich jak odwrotna proporcjonalność w prawie ciężenia – mógł mieć wybór. Wierzę jednak, że w takim wypadku podjąłby mądrą decyzję, kierując się jakimś spójnym planem, który my – mając umysły stworzone na Jego obraz i podobieństwo – możemy przeniknąć.

W przeciwieństwie do alchemików, na każdym kroku widzących anioły, demony, cuda i boskie esencje, ja uznaję tylko istnienie ciał i umysłów. Przy czym ciała są dla mnie wyłącznie zbiorem dających się zaobserwować (i czasem zmiennych) wielkości, takich jak rozmiar, sylwetka i położenie. Wszystko poza tym to tylko słowa pozbawione sensu; dźwięki bez znaczenia. Niczego, co na świecie istnieje, nie da się pojąć bez zredukowania do takich wielkości. Jeżeli świata fizycznego nie można objaśnić za pomocą praw mechaniki, Bóg, nawet gdyby chciał, nie zdołałby odsłonić przed nami tajemnic natury.

Najprawdopodobniej resztę życia spędzę na tłumaczeniu tych zagadnień wszystkim, którzy zechcą mnie słuchać, i na obronie ich przed tymi, którzy słuchać nie będą. Cokolwiek ode mnie w przyszłości usłyszysz, Danielu, pamiętaj o tym, co tu napisałem. Jeżeli Towarzystwo Królewskie zechce mnie publicznie potępić, spróbuj im, proszę, wyjaśnić, że staram się rozwinąć dzieło Newtona, a nie je zburzyć.

Leibniz

PS Znam tę Elizę (obecnie hrabinę de la Zeur), o której wspomniałeś mi w ostatnim liście. Wydaje mi się, że pociągają ją naturaliści. Dziwne to zamiłowanie u kobiety, ale przecież nie będziemy się chyba skarżyć?

\* \* \*

– Doktorze Waterhouse?

– Witam, sierżancie Shaftoe.

– Ma pan gości. Pan Bob Carver i pan Dick Gripp.

Daniel usiadł na łóżku. Nigdy w życiu nie oprzytomniał tak szybko, jak po tych słowach.

– Błagam, sierżancie, proszę ich nie...

Zawiesił głos. Przyszło mu do głowy, że klamka zapadła – sierżant Shaftoe podjął decyzję, sam akt był właściwie formalnością, a on, Daniel, tylko się upokarza. Wstał i powłócząc nogami, ruszył w stronę świecy i podświetlonej przez nią twarzy sierżanta, które wisiały w powietrzu jak rozmazana gwiazda podwójna – twarz była mdłą, czerwona plamą, a świeca oślepiająco białym punktem. Chwiał się na nogach, krew skapywała mu z

czoła, ale dzielnie szedł przed siebie; dopóki nie znajdzie się w balansującym na czubku płomienia kręgu światła, będzie tylko bezcielesnym głosem meczącym bezradnie w ciemnościach. Jeżeli Bob Shaftoe zamierza wpuścić do celi morderców, niech najpierw spojrzy mu w oczy. Intensywność światła – tak jak siła ciężenia – była odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości.

W końcu kontury twarzy sierżanta wyostrzyły się. Shaftoe wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty.

– Nie jestem takim bezwzględnym draniem, żeby pozwolić dwóm wynajętym zbirom zaciukać bezbronnego profesorka. Jest tylko jeden człowiek, którego nienawidzę tak bardzo, że mógłbym mu życzyć takiej śmierci.

– Dziękuję – powiedział Daniel. Z tej odległości czuł na twarzy bijące od świecy ciepło.

Coś zwróciło uwagę sierżanta, bo odwrócił się bokiem i odchrząknął. Nie było to jednak pretensjonalne, arystokratyczne „ehem”, lecz szczerą, nieudawaną próbą pozbycia się najprawdziwszej grudy flegmy, która zalegała mu w gardle.

– Zauważył pan, że się zmoczyłem, tak? I pomyślał pan, że to przez pana. Że tak mnie pan przeraził, że nie zapanowałem nad pęcherzem. Powiem prawdę: tak, popuściłem z pańskiego powodu. Ale to nie dlatego mocz ścieka mi po nodze. Mam kamień w pęcherzu i nie mogę wydaląc mocz, kiedy chcę. Dlatego przeciekam jak nieszczelna baryłka.

Bob Shaftoe pokiwał głową. Dręczące go wyrzuty sumienia chyba trochę osłabły.

– Ile panu zostało?

Zadał to pytanie tak beztroskim tonem, że Daniel nie od razu je zrozumiał.

– Ile... Ile życia, znaczy?

Sierżant skinął głową.

– Proszę o wybaczenie, sierżancie Shaftoe. Zapomniałem, że w pańskim fachu człowiek jest ze śmiercią za pan brat i mówi o niej z równą swobodą, jak kapitan statku o morskich wiatrach. Ile mi zostało? Jakiś rok...

– Mógłby go pan kazać sobie wyciąć.

– Dziękuję pięknie. Widziałem, jak wyglądają takie operacje, sierżancie, i wolę po prostu umrzeć. Założę się, że takiego koszmaru nie widział pan na żadnym polu bitwy. Dlatego pójdę za przykładem mojego mistrza, Johna Wilkinsa.

– Przecież są tacy, którzy przeżyli wycięcie kamienia, prawda?

– Pan Pepys. Operowano go prawie trzydzieści lat temu, a wciąż żyje.

– Może chodzić? Mówić? Sikać?

– Tak, sierżancie.

– W takim razie za przeproszeniem, doktorze Waterhouse, wycięcie kamienia nie może być gorsze od tego, co widywałem na pobojuwiskach.

– Wie pan, jak wygląda taka operacja? Przecina się tę miękką część krocza ulokowaną między moszną i odbytem...

– Możemy się powymieniać mrozącymi krew w żyłach opowieściami, doktorze Waterhouse, ale uprzedzam, że świeca się przez ten czas wypali. I to na próżno. Poza tym, jeśli naprawdę chce pan umrzeć z powodu tego kamienia, nie powinien pan tracić czasu w tak bezsensowny sposób.

– W tym miejscu nie pozostaje mi nic innego, jak tracić czas.

– I tu się pan myli, doktorze. Mam dla pana ciekawą propozycję. Możemy sobie nawzajem pomóc.

– Mam panu zapłacić za niewpuszczenie do celi nasłanych przez Jeffreysa morderców?

– Tego bym właśnie zażądał, gdybym był prymitywnym, tchórzliwym gadem. I jeżeli nie przestaniesz mnie pan za takiego uważać, to kto wie, może rzeczywiście sprowadzę Boba i Dicka...

– Proszę o wybaczenie, sierżancie. Słusznie się pan na mnie oburza. Po prostu nie bardzo sobie wyobrażam, jaką transakcję moglibyśmy...

– Widział pan, jak przed zachodem słońca chłostano pewnego mężczyznę? W suchej fosie... Przez tamtą szczelinę miałby pan dobry widok.

Daniel dobrze pamiętał to widowisko. Najpierw z twierdzy wyszło trzech pikinierów. Związali piki przy samych grotach i rozstawili drzewca na boki, tworząc trójnóg. Następnie wyprowadzono półnagięgo człowieka ze związanymi rękami. Przez pętający go powróż przewleczono linę, którą później przerzucono przez związane piki, naciągnięto i umocowano. Skazaniec stanął przy trójnogu z rękami wyciągniętymi nad głowę. Na koniec jeden z żołnierzy przywiązał mu jedną nogę w kostce do jednego drzewca, a drugą do drugiego, unieruchamiając go na dobre. Wtedy pojawił się olbrzym z biczem i zrobił z tego bicza użytek. Była to procedura całkiem typowa dla obozów wojskowych i całkiem niezłe tłumacząca niechęć ludzi bogatych do osiedlania się w pobliżu koszar.

– Nie przyglądałem się zbyt uważnie – przyznał Daniel. – Mniej więcej wiem, jak to wygląda.

– Pewnie bardziej by się pan zainteresował przedstawieniem, wiedząc, że chłostany przedstawił się jako Dick Gripp.

Daniel zaniemówił.

– Przyszli po pana w nocy – ciągnął Shaftoe. – Kazałem ich zamknąć w osobnych celach, bo chciałem się zastanowić, co z nimi zrobić. Rozmawiałem z nimi, ale tylko obrzucili mnie bluzgami. A ja to widzę tak: niektórzy ludzie mają prawo pyskować; można by powiedzieć, że to, co zrobili i przez co przeszli, upoważnia ich do tego. Ale na mój gust Bob Carver i Dick Gripp się do nich nie zaliczają. Czasem niektórym pozwala się gadać, co im ślina na język przyniesie, bo nas bawią; miałem brata, który właśnie taki był. Ale Bob i Dick są inni. Niestety, nie jestem sędzią, nie mogę nikogo aresztować ani zmusić do mówienia. Mogę za to, będąc sierżantem, werbować ludzi do wojska. Ponieważ Bobowi i Dickowi najwyraźniej się nudziło, z miejsca wcieliłem ich do Black Torrent Guards. Już po chwili zorientowałem

się, że popełniłem błąd, bo byli diabelnie niezdyscyplinowani. Należała im się kara. Użyłem więc sztuczki starej jak świat: kazałem wychłostać Dicka, który wydał mi się lepszym człowiekiem z tej pary, przed samym oknem celi Boba Carvera. Dick to twardziel. Nie pękł. Kto wie, może jeszcze zatrzymam go w oddziale. Ale Bob na myśl o chłóście, którą zaplanowałem dla niego na rano, wzdraga się tak samo, jak pan na myśl o wycinaniu kamienia. I dlatego przed godziną obudził strażników, oni obudzili mnie, a ja uciałem sobie z nim pogawędkę.

– Sierzancie, jestem pełen podziwu dla pańskiej przedsiębiorczości. Z trudem nadążam za pańskimi pomysłami.

– Bob powiedział, że Jeffreys osobiście kazał panu poderżnąć gardło. Mieli to robić powoli i wyjaśnić panu przed śmiercią, że umiera pan na rozkaz Jeffreysa.

– Spodziewałem się tego. Ale i tak kręci mi się w głowie, kiedy ktoś mi to tak wprost mówi.

– W takim razie poczekam, aż dojdzie pan do siebie. Powiem więcej: poczekam, aż wzbierze w panu gniew. Proszę mi wybaczyć, że ośmielam się pouczać człowieka o pańskiej erudycji, ale w takiej chwili jak ta powinien pan odczuwać gniew.

– Najdziwniejsze u Jeffreysa jest to, że choćby potraktował człowieka najokrutniej, wcale go nie rozżołości. W dziwny sposób wpływa na umysły ofiar, jak szklany pręcik, który zakrzywia strumień wody. I potem człowiek myśli, że zasłużył na takie traktowanie.

– Dobrze go pan zna.

– To prawda.

– Zabijmy go.

– Słucham?

– Zamordujmy. Zarznijmy. Doprowadźmy do jego śmierci. Wtedy przestanie pana dręczyć.

Daniel był wstrząśnięty.

– To nad wyraz niedorzeczny pomysł...

– Bynajmniej. W dodatku coś w pana głosie podpowiada mi, że to by się panu spodobało.

– Dlaczego powiedział pan wcześniej „my”? Przecież moje problemy pana nie dotyczą.

– Zajmuje pan wysokie stanowisko w Towarzystwie Królewskim.

– Zgadza się.

– Zna pan wielu alchemików.

– Wolałbym nie znać.

– Zna pan hrabiego Upnora.

– Znam. Równie długo jak Jeffreysa.

– Upnor jest właścicielem mojej ukochanej.

– Jak to... właścicielem?

– Jeffreys sprzedał mu ją po Krwawym Sądzie.

- Taunton... Zakochał się pan w dziewczynie z Taunton!
- No właśnie.
- Proponuje mi pan jakiś układ... – stwierdził zafascynowany Daniel.
- Razem oczyścimy świat z Jeffreysa i Upnora. Ja odzyskam Abigail, a pan przeżyje swój ostatni rok, czy ile tam Bóg panu przeznaczy, w spokoju.
- Nie chciałbym wybrzydzać, sierzancie...
- Ależ proszę, proszę. Moi ludzie cały czas wybrzydząją.
- ...ale czy nie zapomniał pan czasem, że Jeffreys jest Lordem Kanclerzem?
- Już niedługo.
- Skąd pan to wie?
- Na dobrą sprawę sam to ogłosił. Proszę popatrzeć, co robi. Za co trafił pan do Tower?
- Za pośredniczenie w kontaktach z Wilhelmem Orańskim.
- To zdrada stanu! Powinno się pana powiesić, rozerwać końmi i poćwiartować! Ale nie. Jeffreys zachował pana przy życiu. Dlaczego?
- Bo byłem świadkiem narodzin następcy tronu i mogę być użyteczny, kiedy będzie trzeba potwierdzić prawowitość nowego króla.
- A teraz Jeffreys postanowił pana zlikwidować. Co to oznacza?
- Że nie obchodzi go już król... nie obchodzi go cała dynastia... Że szykuje się do ucieczki. Teraz już rozumiem, do czego pan zmierza. Dziękuję za cierpliwość.
- Nie proszę, żeby sięgał pan po broń czy robił inne rzeczy, przed którymi by się pan wzdragał.
- Niektórzy mogliby się obrazić za takie słowa, sierzancie, ale...
- Bezpośrednią przyczyną mojego nieszczęścia jest wprawdzie Upnor, ale ponieważ za wszystkim i tak stał Jeffreys, nie zawaham się ciąć mieczem na odlew, jeśli jego głowa znajdzie się w moim zasięgu.
- Proszę oszczędzać miecz na Upnora – odparł Daniel po krótkim namyśle.
- W rzeczywistości decyzję podjął już wcześniej, ale nie chciał się z tym zdradzać, żeby Bob Shaftoe nie uznał go za człowieka, który lekceważy tak poważne sprawy.
- W takim razie jest pan po mojej stronie.
- Nie tyle ja jestem po pańskiej stronie, co raczej cała Anglia jest po naszej. A my po jej. Chce pan uśmiercić Jeffreysa mieczem, ja zaś powiadam panu, że jeśli mielibyśmy polegać tylko na pańskiej prawicy, to choćby była nie wiem jak silna, przegramy. Jeżeli jednak – o czym jestem przekonany – będziemy mieli poparcie całej Anglii, wystarczy znaleźć go i powiedzieć głośno „Oto lord Jeffreys”, a jego śmierć będzie naturalna i nieuchronna jak ruch kuli staczającej się w rynnie. To właśnie mam na myśli, mówiąc o rewolucji.
- Czy to francuskie określenie buntu?
- Nie. Buntem było przedsięwzięcie księcia Monmouth: drobne zamieszanie, nic nie znacząca i skazana na niepowodzenie aberracja. Rewolucja przypomina obrót gwiazd wokół

bieguna. Napędzają ją niewidoczne siły, jest nieuchronna, wszechobecna, a ludzie roztropni mogą ją przewidzieć, zrozumieć i wykorzystać.

– W takim razie najlepiej będzie, jak rozejrzę się za kimś roztroptym, zamiast tracić noc na gładzenie z żalonym wrakiem człowieka – mruknął Bob Shaftoe.

– Ja po prostu nie rozumiałem do tej pory, jaka mogłaby dla mnie płynąć korzyść z rewolucji. Wszystko, co robiłem, robiłem dla Anglii, nie dla siebie. Brakowało mi nadrzędnej myśli, która pozwoliłaby uporządkować moje zamiary. Nie odważałem się pomyśleć, że mógłbym pokonać Jeffreysa!

– Jako niebieski ptak i żołnierz-wagabunda polecam się na przyszłość – odparł Bob Shaftoe. – Zawsze można na mnie liczyć, że podsunę jakiś podły, morderczy pomysł.

Daniel cofnął się na skraj kręgu światła i wyciągnął świeczkę wbitą w szyjkę stojącej na stole butelki, po czym wrócił do sierżanta i odpalił ogarek od jego świecy.

– Zdarzało mi się widzieć, jak lordowie giną w bitwach – mówił dalej sierżant. – Znacznie rzadziej, niżbym chciał, ale się zdarzało. I muszę powiedzieć, że ich śmierć w niczym nie przypomina obrazów.

– Obrazów?

– No wie pan... Wiktoria spływa spod nieba na promieniu słońca, cycki wyłażą jej z sukienki, wymachuje wieńcem laurowym, który ma złożyć na czole wyżej wspomnianego umierającego lorda, Matka Boska zsuwa się po drugiej promienistej strzale...

– Ach, tak. Już rozumiem jakie obrazy ma pan na myśli. I wierzę panu.

Daniel zaczął obchodzić celę, trzymając świecę blisko zakrzywionej ściany, aby łatwiej wydobyć z mroku wykonane na przestrzeni wieków ryciny. Zatrzymał się przy najświeższej z nich, niedokończonym układzie łuków i promieni nałożonych na jakiś starszy rysunek.

– Chyba nie uda mi się już dokończyć tego dowodu – stwierdził po dłuższych oględzinach.

– Jeszcze nie wyjeżdżamy. Będzie pan miał tydzień, może dwa. Nie musi pan przerywać pracy nad tym... cokolwiek to jest.

– To stary koncept, dawniej całkiem sensowny, ale po tym, jak ostatnio wywrócono go do góry nogami, stał się tylko przypadkowym zlepkiem wydumanych pojęć. Niech zostanie tu razem z resztą staroci.

## **Château Juvisy**

### **Listopad 1688**

*Monsieur Bonaventure Rossignol, château Juvisy  
do Jego Wysokości króla Ludwika XIV, Wersal*



21 listopada 1688

Mój Panie,

mój ojciec miał zaszczyt pełnić funkcję kryptografa na dworze Waszej Wysokości, a wcześniej także ojca Waszej Wysokości. Usiłował przekazać mi całe swoje doświadczenie w dziedzinie szyfrowania wiadomości. Powodowany synowską miłością, jak również zarliwym pragnieniem poddanego, który chce służyć swojemu królowi, dołożyłem wszelkich starań, aby pojąć z tych nauk to, na co pozwolił mi mój niedoskonały umysł. Po tym, jak mój zmarły przed sześciu laty ojciec przekazał mi dziesiątą część posiadanej wiedzy, najlepiej w całym świecie chrześcijańskim nadają się na kryptografa Waszej Królewskiej Mości – co dowodzi nie moich wyjątkowych kwalifikacji (albowiem ich nie posiadam), lecz talentu mego ojca oraz żalostnego poziomu kryptografii wśród niecywilizowanych narodów otaczających Francję, jak niegdyś barbarzyńskie hordy potężny Rzym.

Wraz z częścią jego wiedzy odziedziczyłem również pensję, przyznaną mu wspaniałomyślnie przez Waszą Wysokość, oraz *château*, które le Nôtre zbudował dla niego w Juvisy – *château* dobrze znane Waszej Wysokości, gdyż nie raz zaszczycał je swoją obecnością i rozświetlał blaskiem swojego dowcipu, odwiedzając je w drodze do – lub z – Fontainebleu. W naszym *petit salon* i w ogrodzie omawiano wiele spraw wagi państwowej. Świętej pamięci ojcu Waszej Wysokości i kardynałowi Richelieu również zdarzało się zawitać w te skromne progi, w czasach gdy mój ojciec, odszyfrowując korespondencję hugenotów, przyczynił się do stłumienia ich heretyckiej rebelii.

Nie ma na świecie monarchy, który lepiej od Waszej Wysokości zdawałby sobie sprawę ze znaczenia kryptografii. Wyłącznie tej właśnie świadomości, nie zaś żadnym swoim zasługom czy wrodzonym cnotom, przypisuję zaszczyty i bogactwa, jakie Waszej Wysokości zawdzięczam. I tylko ze względu na zainteresowanie tymi sprawami, często i chętnie przejawiane przez Waszą Wysokość, ośmieliłem się sięgnąć po pióro i spisać tę zgoła niecodzienną opowieść o sztuce szyfrowania.

Jak wiadomo Waszej Wysokości, w niezrównanym wersalskim *château* bawią rozliczne damy, które niezmordowanie piszą listy. Jest wśród nich moja przyjaciółka madame de Sévigné, jest *la Palatine*, jest również Eliza, hrabina de la Zeur. Są również inne, ale my, mając zaszczyt służyć w *cabinet noir* Waszej Wysokości, poświęcamy na lekturę listów tych trzech dam tyle samo czasu, co na lekturę pism wszystkich pozostałych rezydentek Wersalu łącznie.

Moja relacja dotyczy głównie hrabiny de la Zeur, często pisującej do przebywającego w Hadze hrabiego d’Avaux. Używa przy tym uzgodnionego szyfru, aby zataić treść korespondencji przed moimi holenderskimi kolegami po fachu. Koresponduje również regularnie z niektórymi Żydami z Amsterdamu, lecz te listy składają się głównie z liczb i handlowego żargonu, który po przeczytaniu nie sposób rozszyfrować, a po rozszyfrowaniu zrozumieć, chyba że czytający zna mechanizmy rządzące amsterdamskim rynkiem

towarowym, równie pospolite, jak złożone. Te listy są wyjątkowe skąpe i interesują wyłącznie Żydów, Holendrów i ludzi, którzy wszystko robią dla pieniędzy. Ale najdłuższe listy śle hrabina do hanowerskiego uczonego nazwiskiem Leibniz. Jego nazwisko jest Waszej Wysokości znane – to on przed laty zbudował dla Colberta maszynę liczącą, a obecnie jest zatrudniony na stanowisku doradcy księcia i księżnej Hanoweru, których działania na rzecz zjednoczenia protestantów przysporzyły wielu trosk Waszej Wysokości. Na pierwszy rzut oka listy hrabiny de la Zeur do tego Leibniza zawierają niekończące się opisy wspaniałości Wersalu i jego mieszkańców. Sama objętość i regularność tej korespondencji kazały mi się zastanowić, czy nie stanowi ona przypadkiem kanału do przesyłania zaszyfrowanych wiadomości. Moje wysiłki zmierzające do odkrycia ukrytego znaczenia kwiecistych słów hrabiny nie przyniosły jednak żadnych efektów. Podejrzenia, jakie wobec niej żywię, nie opierają się na wadach jej szyfru – który, jeśli w ogóle istnieje, jest naprawdę znakomity – lecz na mojej (miernej, przyznaję) znajomości natury ludzkiej. Jako że bywam czasem w Wersalu, podczas jednej z wizyt odszukałem hrabinę de la Zeur, odbyłem z nią krótką pogawędkę i stwierdziłem, że jest niezwykle inteligentna i doskonale zorientowana w najnowszych dokonaniach matematyków i naturalistów we Francji i poza jej granicami. Rzecz jasna, nikt nie wątpi w erudycję i intelekt Leibniza. Tym bardziej nieprawdopodobne mi się wydaje, aby taka kobieta przeznaczala tyle czasu na rozpisywanie się – a taki mężczyzna na czytanie – o dworskich fryzurach.

Mniej więcej przed dwoma laty hrabia d’Avaux, przebywający akurat z wizytą na dworze Waszej Wysokości, zwrócił się do mnie – wiedząc, jakie stanowisko piastuję w *cabinet noir* – z licznymi szczegółowymi pytaniami o epistolarne zwyczaje hrabiny. Wydało mi się oczywiste, że przynajmniej częściowo podziela moje podejrzania. Później powiedział mi, że na własne oczy widział zdarzenie świadczące jednoznacznie o tym, że hrabina de la Zeur jest zaufaną wysłanniczką księcia orańskiego. Przy okazji wspomniał również o Szwajcarze nazwiskiem Fatio de Duilliers, wyraźnie dając do zrozumienia, że tych dwoje coś łączy.

Był bardzo pewny siebie, tak jakby uznał, że wie wystarczająco dużo, by móc ją pogrążyć. Zamiast jednak uczynić to od razu, doszedł do wniosku, że lepiej przysłuży się Waszej Wysokości, stosując strategię bardziej złożoną, choć, za pozwoleniem Waszej Wysokości, także bardziej ryzykowną. Powszechnie wiadomo, że hrabina zarabia pieniądze dla poddanych Waszej Wysokości, w tym także dla samego d’Avaux, prowadząc w ich imieniu inwestycje. Jej nagłe zniknięcie wielu z nich wiele by kosztowało. Tego rodzaju troski z pewnością nie przyćmiłyby osądu Waszej Wysokości, są jednak zrozumiałe i powszechne wśród ludzi o mniejszych umysłach i lżejszych sakiewkach. D’Avaux przypuszczał ponadto – w czym również się z nim zgodziłem – że hrabina komunikuje się z Zofią, a za jej pośrednictwem z Wilhelmem, i liczył na to, że jeśli złamię ich szyfr, *cabinet noir* będzie mógł śledzić tę korespondencję, nie budząc podejrzeń hrabiny. Byłoby to o wiele

korzystniejsze dla Francji i przyjemniejsze dla Waszej Wysokości niż zamknięcie tej kobiety w klasztorze i odcięcie jej od świata do końca życia, na co, oczywiście, zasługuje.

W pierwszej połowie roku hrabina de la Zeur i *la Palatine* rozpoczęły niewinny flirt, którego szczytowy okres przypadł na sierpień, kiedy to hrabina została zaproszona przez Madame do odwiedzenia jej (i brata Waszej Wysokości) w St. Cloud. Wszyscy, którzy wiedzieli o tym zaproszeniu, zakładali, że chodzi o niewinny – acz saficki – romans. Interpretacja ta była jednak tak oczywista, że powinna natychmiast wzbudzić wątpliwości każdego, kto chępli się swoim doświadczeniem życiowym. Było jednak ciepłe i pogodne lato i nikomu nie chciało się bliżej interesować tą sprawą. Wkrótce po przybyciu do St. Cloud hrabina wysłała do hrabiego d’Avaux list, który po drodze trafił na moje biurko. Oto on.

## St. Cloud

### Sierpień 1688

*Eliza, hrabina de la Zeur, do d’Avaux*

*16 sierpnia 1688*

Monsieur,

lato osiągnęło u nas punkt szczytowy. Dla ludzi, którzy tak jak Madame lubią polować na dzikiego zwierza, wymarzona pora dopiero nadejdzie. Za to dla takich jak Monsieur, który woli polować na wyrafinowanych ludzi (lub sam być ich zwierzyną), teraz właśnie nastaly najlepsze dni. Madame zmaga się więc z upałem, przesiaduje w domu w towarzystwie piesków pokojowych i pisze listy, Monsieur zaś skarży się tylko czasem na to, że od skwaru spływa mu makijaż. W St. Cloud wprost roi się od młodych mężczyzn, amatorów szermierki, z których każdy marzy tylko o tym, aby włożyć swój miecz do futerału pana domu. Sądząc po dochodzących z sypialni odgłosach, ulubionym kochankiem Monsieur jest kawaler de Lorraine. Kiedy braknie mu sił, dzielnie zastępuje go markiz (d’Effiat, za nim zaś czekają w kolejce następni przystojni kawalerowie. Inaczej mówiąc, w Wersalu obowiązuje ściśle przestrzegany porządek dziobania (choć jest to specyficzny rodzaj dziobania) i większość tych młodzieńców w najlepszym razie musi się zadowolić rolą pałacowych ornamentów. Ale, jak wszyscy mężczyźni, stale pałają niegasnącą chucią, a ponieważ nie wszyscy mogą ją zaspokoić z Monsieur w *château*, ćwiczą na sobie nawzajem w ogrodach. Trudno nie trafić na schadzke, wybrawszy się na spacer lub konną przejażdżkę. A kiedy nawet im się przerwie, nie umykają chyłkiem, lecz (zachęceni łaskami, jakich nie szczędzi im Monsieur) bezczelnie strofują intruza, nie przebierając w słowach. Gdziekolwiek się udam, wszędzie wiatr przynosi zapach *humoru* namiętności, który porozchlapywany jest po całym ogrodzie, jak wino po karczmie.

Liselotte znosi to już od siedemnastu lat – od dnia, gdy przekroczyła Ren, aby już nigdy nie wrócić na jego drugi brzeg. Nic więc dziwnego, że rzadko udziela się towarzysko i woli spędzać czas z pieskami i kałamarzem. Słynie z tego, że bardzo się przywiązuje do służby. Miała kiedyś dworękę imieniem Théobon, której towarzystwo przynosiło jej ukojenie. Jednakże kochankowie Monsieur – którzy mogą liczyć na jego poparcie i po całych dniach zajmują się snuciem intryg – zaczęli szeptać mu na ucho złe plotki na jej temat i doprowadzili do tego, że odesłał Théobon z St. Cloud. Madame tak się na niego rozzłościła, że poskarżyła się samemu królowi. Jego Wysokość udzielił reprimendy kochankom Monsieur, ale nie chciał się mieszać do domowych spraw brata, przypuszczam więc, że Théobon trafiła do jakiegoś klasztoru i nigdy więcej jej nie zobaczymy.

Od czasu do czasu państwo przyjmują gości. Jak Pan wie, protokół wymaga w takiej sytuacji, żeby wszyscy przebrali się w kostium nazywany *en manteau*, sztywniejszy i bardziej niewygodny (choć trudno to sobie wyobrazić!) niż noszony w Wersalu *en grand habit*. Jako ambasador stale widuje Pan tak odziane kobiety, ale będąc mężczyzną, nie ma Pan pojęcia, jakich zabiegów dokonują one w garderobach na długo przed rozpoczęciem przyjęcia, aby stosownie się na nim prezentować. Włożenie *en manteau* to zadanie inżynierskie, równie złożone jak otaklowanie statku – nie obejdzie się bez licznej i dobrze wyszkolonej załogi. Tymczasem na skutek intryg kochanków Monsieur służba w domu Madame została zredukowana do minimum; Madame nie ma zresztą cierpliwości do damskich fatalasek. Jest wystarczająco stara, obca i inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że moda (przez młodsze kobiety postrzegana jak nieunikniona siła ciężenia) jest tylko ludzkim wynalazkiem, narzędziem wymyślonym przez Colberta w celu zneutralizowania tych Francuzów i Francuzek, którzy – ze względu na swój majątek i niezależność – najbardziej zagrażali królowi. Liselotte, która mogła stanowić zagrożenie, została zneutralizowana przez małżeństwo z Monsieur i wejście do rodziny królewskiej. Jediną przeszkodą na drodze do przyłączenia jej ojczyzny do Francji jest spór o to, czy właśnie Liselotte, czy inny potomek Królowej Zimy powinien odziedziczyć koronę po jej świętej pamięci bracie.

Ale mniejsza o to; ważne, że Liselotte odmawia udziału w grze Colberta. Ma, naturalnie, garderobę, a w niej po kilka kostiumów zasługujących na miana *grand habit* i *manteau*, ale kazała je uszyć w niezwykle sposób. W strojach Madame wszystkie warstwy bielizny, elementy gorsetu, halki i wierzchnie okrycia, które normalnie wkłada się po kolei, są zszyte w jeden lity twór, tak ciężki i sztywny, że kiedy go postawić, nie przewraca się. Kostium taki ma na plecach rozcięcie. Kiedy Monsieur wydaje bal, Liselotte wchodzi naga do garderoby, wychodzi w jednym z tych przebrań i czeka, aż któraś ze służących zwiąże i pozapina rozcięcie na przeróżne guziki i haftki. Potem udaje się wprost na przyjęcie, nawet nie zerkając po drodze w lustro.

Na zakończenie tego krótkiego opisu życia w St. Cloud zostawiłam historyjkę z życia psów. Jak już wspominałam, *la Palatine*, niczym Artemida, rzadko rozstaje się ze swoją psią

sforą. Nie są to, rzecz jasna, ręce ogary, lecz malutkie pieski salonowe – kulą się u jej stóp w zimne dni i grzeją ją w palce. Ponadawała im imiona ludzi i nazwy miejsc, które pamięta z dzieciństwa w Palatynacie. Całymi dniami myszkują po jej apartamentach, wdając się w absurdalne spory i utarczki jak prawdziwi dworzanie. Czasem pani wygania je na trawnik. Wtedy biegają w kółko, pławiąc się w słońcu i psując amory zauszniakom Monsieur, a ciszę wspaniałych ogrodów mącą wściekłe krzyki i szczekanie. Kawalerowie z opuszczonymi spodniami przepędzają pieski ze swoich miłosnych kryjówek, a Monsieur wychodzi na taras w nocnej koszuli, przeklina wszystkich i zastanawia się głośno, za co Bóg pokarał go taką żoną jak Liselotte.

Król ma dwa psy myśliwskie, Phobosa i Deimosa, nazwane zresztą bardzo stosownie, ponieważ wykarmiły się na resztkach z królewskiego stołu i urosły do niespotykanych rozmiarów. Jego Wysokość okrutnie im pobłaża, brakuje im więc dyscypliny i myślą, że wolno im rzucać się na wszystko, co zwróci ich uwagę. Wiedząc o zamiłowaniu Liselotte do polowań i psów, i zdając sobie sprawę z jej osamotnienia i izolacji, król próbował zainteresować ją tymi potworami. Chciałby, żeby traktowała Phobosa i Deimosa jak własne ogary i odnosiła się do nich z taką samą jak on czułością. Wtedy mogliby razem wybrać się na wschód na łowy, kiedy nastanie sezon. Na razie to tylko propozycja, nic więcej. Madame się waha, i to nawet bardzo. Phobos i Deimos są tak duże i nieposłuszne, że niepodobna trzymać je dalej w Wersalu, więc król przekonał brata, by przygarnął je w St. Cloud, gdzie biegają luzem na ogrodzonym wybiegu. Zdążyły już wylapać i pożreć wszystkie króliki dzielące z nimi ten teren i teraz skupiają się na poszukiwaniu słabych punktów w ogrodzeniu. Gdyby udało im się zrobić podkop – albo przeskoczyć nad płotem – mogłyby bezkarnie włóczyć się po okolicy. Ostatnio przedarły się przez ogrodzenie w południowo-wschodnim rogu i zagryzły wszystkie kury wałęsające się po podwórzu. Dziurę załatano. Pisząc te słowa, widzę Phobosa patrolującego północny odcinek ogrodzenia i zastanawiającego się jak przejść do sąsiedniej posiadłości, z której właścicielem moi gospodarze nigdy nie żyli w specjalnej przyjaźni. Deimos prowadzi tymczasem wykopy na wschodzie. Ma nadzieję przeryć tunel i trafić na podwórko, po którym biegają pieski Madame. Nie wiem, któremu z nich pierwszemu się uda.

Muszę teraz odłożyć pióro, ponieważ przed paroma miesiącami obiecałam Madame, że pokażę jej, jak jeździ się konno na oklep, po qwghlmiańsku, i ten dzień właśnie nadszedł. Mam nadzieję, że opis naszego życia w St. Cloud nie wydał się Panu przesadnie pospolity, ale pomyślałam, że jako człowiek dystyngowany interesuje się Pan naturą ludzką i chętnie dowie się, jakie też wiejskie hałasy i jazgoty dobiegają zza niezwykle eleganckiej fasady St. Cloud.

Eliza, hrabina de la Zeur

## **Rossignol do Ludwika XIV, ciąg dalszy**

**Listopad 1688**

Wasza Wysokość z pewnością zorientował się już, że Phobos i Deimos są metaforą militarnej potęgi Francji. Polowanie na kury to aluzja do niedawnej kampanii, w której Wasza Wysokość zaprowadził porządek w protestanckiej Sabaudii. Co się zaś tyczy dalszych zamiarów brytanów, hrabina daje do zrozumienia, że nie wie, czy Wasza Wysokość zamierza ruszyć na północ, do Niderlandów, czy raczej na wschód, do Palatynatu Reńskiego. Wydaje się oczywiste, że adresatem tych słów jest w równej mierze Wilhelm Orański (jego ludzie przeczytają list, zanim dotrze do d'Avaux), co sam hrabia.

Mniej zrozumiała jest zapewne wzmianka o jeździe na oklep. Podejrzewałbym, że chodzi o jakieś praktyki erotyczne, gdyby nie fakt, że hrabina nigdy nie posuwa się w swoich listach do takiej wulgarności. Dlatego po namyśle uznałem, że te jej słowa należy traktować dosłownie. Być może wyda się to Waszej Wysokości nieprawdopodobne, ale kilku przyjaciół Monsieur potwierdziło, że Madame i hrabina de la Zeur istotnie wybrały się tego dnia na przejażdżkę. Co więcej, hrabina zażyczyła sobie, by nie siodłać jej konia. Pojechały do parku w asyście dwóch młodych kuzynów Madame, przybyłych z Hanoweru. Kiedy Madame wróciła do St. Cloud, koń hrabiny nie niósł już nie tylko siodła, ale także i amazonki. Hrabina spadła ponoć z jego grzbietu, kiedy się spłoszył, i odniosła obrażenia uniemożliwiające jej powrót wierzchem. Ponieważ zdarzyło się to blisko rzeki, panie zatrzymały przepływającą łódź, która zabrała hrabinę do pobliskiego klasztoru, hojną ręką finansowanego przez Madame. Siostry zakonne miały ją tam otoczyć czułą opieką do czasu, aż wróci do zdrowia. Nie muszę chyba mówić, że tylko dziecko uwierzyłoby w taką bajeczkę. Wszyscy snuli oczywiste domysły: hrabina zapewne jest w ciąży, a jej rzekoma rekonwalescencja w klasztorze potrwa do czasu, aż spędzi płód lub urodzi dziecko. Sam nie wracałem myślami do tej sprawy, dopóki kilka tygodni później nie otrzymałem listu od d'Avaux. List był, naturalnie, zaszyfrowany. Tutaj załączam go w wersji odszyfrowanej, a także odartej z uprzejmości, oficjalnych zwrotów i innych zbędnych ozdobników.

## **Ambasada francuska, Haga**

**17 września 1688**

*Jean Antoine de Mesmes, hrabia d'Avaux*

*Ambasada francuska, Haga*

*Do Monsieur Bonaventure'a Rossignola*

Château Juvisy, Francja

Monsieur Rossignol,

mieliśmy ostatnio okazję porozmawiać o hrabinie de la Zeur. Od jakiegoś czasu wiem, że jest wierną poddaną księcia orańskiego. Do niedawna starała się za wszelką cenę to ukryć, ale dziś wciągnęła prawdziwą banderę na maszt. Otóż uważa się powszechnie, że przebywa w klasztorze nieopodal St. Cloud, spodziewając się dziecka. Tymczasem hrabina de la Zeur właśnie dzisiaj pod samymi murami Binnenhofu zeszła z pokładu statku, który przybył do Hagi z Nijmegen. Większość heretyków, którzy również zeszli na brzeg, pochodzi z dalszych okolic, bo aż z Palatynatu Reńskiego. Wiedząc, że inwazja na ich ojczysty kraj jest coraz bliższa, czmychnęli z niego tak samo, jak to ponoć czynią szczury, które przeczuwają, że zamieszkanemu przez nie domowi grozi trzęsienie ziemi. Abyś wyrobił sobie właściwą opinię na ich temat, Monsieur, nadmienię, że wśród nich znalazły się co najmniej dwie księżniczki (Eleonora z Saxe-Eisenach i jej córka Wilhelmina Karolina z Brandenburgii-Ansbach) oraz wiele innych Ważnych osobistości, chociaż nigdy byś się tego nie domyślił, Monsieur, patrząc na ich zszargane, ubogie stroje. W efekcie hrabina de la Zeur, prezentująca się jeszcze gorzej, przyciągała mniejszą uwagę niż zwykle. Wiem jednak, że przyплыła tym statkiem, ponieważ moje źródła w Binnenhofie twierdzą, że księżę orański kazał przygotować dla niej apartament, w którym może zostać, jak długo zechce. Dawniej hrabina nie obnosiła się ze znajomością z księciem, a teraz mieszka w jego domu.

Wróć jeszcze do tego tematu, na razie jednak chciałbym zadać retoryczne pytanie: jak udało się tej kobiecie przejechać z St. Cloud do Hagi, przekraczając po drodze Ren, w ciągu zaledwie miesiąca? Jak to możliwe, że mimo idących pełną parą przygotowań do wojny nikt o tym nie wiedział? To, że była szpiegiem księcia Oranu, jest oczywiste. Ale gdzie była? Co widziała? I o czym opowiada teraz Wilhelmowi w Binnenhofie?

Ślę pospieszne ukłony

d'Avaux

## **Rossignol do Ludwika XIV, ciąg dalszy**

### **Listopad 1688**

Wasza Wysokość rozumie zapewne, że list d'Avaux mnie po prostu zafascynował. Otrzymałem go ze sporym opóźnieniem, ponieważ wskutek rozpoczętych działań wojennych hrabia musiał trochę się nagłowić, żeby załatwić dostarczenie go do Juvisy. Zdawałem sobie sprawę, że dalszych listów nie należy się spodziewać i że próba odpowiedzenia mu byłaby zwykłym marnotrawstwem papieru. Postanowiłem więc udać się osobiście, incognito, do Hagi. Pragnienie służenia Waszej Wysokości jest moją pierwszą myślą o poranku i ostatnią

przed zaśnięciem, a w tej sprawie oczywistym było, że pozostając w domu, na nic się nie przydam.

Mojej podróży do Hagi mógłbym poświęcić wiele pospolitych i sensacyjnych słów, gdybym tylko uważał, że przysłużę się Waszej Wysokości, dostarczając mu rozrywki, ale taka relacja nie miałaby nic wspólnego z treścią mojego raportu. Ponieważ zaś lepsi ludzie niż ja poświęcali życie w służbie Waszej Wysokości, nie myśląc ani o sławie, ani o żadnej nagrodzie poza skromnym udziałem w chwale *la France*, przytaczanie w tym miejscu mojej opowieści wydaje mi się niestosowne. Przecież to, co Anglik (powiedzmy) mógłby uznać za niezwykłą i ekscytującą przygodę, dla francuskiego dżentelmena jest niegodnym dłuższej wzmianki chlebem powszednim.

Przyjechałem do Hagi osiemnastego października i zgłosiłem się do francuskiej ambasady, gdzie hrabia d’Avaux dopilnował kilku spraw – resztki mojego odzienia spalono, mojemu służącemu zorganizowano chrześcijański pogrzeb, mojego konia zabito, aby nie zarażał innych, a zamieszkały w Hadze francuski balwierz opatrzył moje rany od wideł i oparzenia od pochodni. Następnego dnia rozpocząłem śledztwo, oparte, rzecz jasna, na solidnej podstawie wiedzy zgromadzonej przez d’Avaux od czasu, gdy przysłał mi cytowany tu list. Tak się złożyło, że tego samego dnia – dziewiętnastego października tysiąc sześćset osiemdziesiątego ósmego roku – niepomyślna zmiana wiatrów pozwoliła liczącej pięćset okrętów flocie Wilhelma Orańskiego postawić żagle i rozpocząć inwazję na Anglię. Wydarzenie to, choć ogromnie zaniepokoiło skromną francuską diasporę w Hadze, okazało się dla nas o tyle korzystne, że otaczający nas ze wszech stron heretycy byli jak w amoku (dla nich najeżdżanie obcych krajów jest ciekawą nowinką i ekscytującą przygodą) i zupełnie nie zwracali na mnie uwagi. Mogłem więc bez przeszkód zająć się moją pracą.

Pierwszym moim zadaniem, o czym już napomknąłem, było zaznajomienie się z informacjami zebranymi przez d’Avaux na przestrzeni ostatnich tygodni. W Hofgebied, haskiej dzielnicy dyplomatycznej, mieszka zapewne mniej dworzan i służby niż w jej francuskim odpowiedniku, ale i tak jest ich tam aż nazbyt wielu. Sprzedajnych d’Avaux kupił, a lubieżnych w ten czy inny sposób szantażuje, dzięki czemu może dowiedzieć się praktycznie o wszystkim, co dzieje się w Hofgebied – pod warunkiem, że będzie regularnie przepytawał swoich informatorów i że wystarczy mu rozumu, aby z ich historii złożyć spójny obraz sytuacji. Nie zaskoczę chyba Waszej Wysokości stwierdzeniem, że hrabia zrobił to, zanim jeszcze zjawiłem się w Hadze i przedstawił mi raport następującej treści.

Po pierwsze, hrabina de la Zeur, w przeciwieństwie do innych pasażerów statku, nie przyплыnęła aż z Heidelbergu. Wsiadła na pokład w Nijmegen, brudna i półżywa, w towarzystwie dwóch młodych dżentelmenów, równie wyczerpanych jak ona i mówiących z akcentem charakterystycznym dla doliny Renu.

Ta informacja sama w sobie sporo mi wyjaśniła. Domyślałem się, że w tamten sierpniowy dzień w St. Cloud Madame zorganizowała przemycenie hrabiny na pokład łodzi pływającej



po Sekwanie. Gdyby łódź popłynęła w górę rzeki, mogłaby powyżej Paryża odbić w lewo na wysokości Charenton i posuwając się w górę Marny, dotrzeć do odległych północno-schodnich rubieży królestwa Waszej Wysokości. Nie jest moim zamiarem rzucanie kalumnii na bratową Waszej Wysokości. Podejrzewam raczej, że hrabina de la Zeur, słynna ze swej lisiej przebiegłości, wykorzystwała naturalną u Madame, całkiem ludzką troskę o poddanych na drugim brzegu Renu i przekonała ją, że wysłanie jej na wycieczkę w ten właśnie rejon Europy będzie dla nich w jakiś sposób korzystne. Rzecz jasna, w ten sposób trafiłaby prosto w ten rejon Francji, w którym cudzoziemski szpieg najłatwiej mógłby obserwować przebieg przygotowań do wojny.

Jako że podczas swoich licznych chwalebnych kampanii Wasza Wysokość wiele czasu poświęcał studiowaniu map i rozważaniom natury logistycznej i strategicznej, interesując się najdrobniejszymi szczegółami działań wojennych, z pewnością pamięta, że nie ma bezpośredniego połączenia wodnego między Marną i rzekami spływającymi do Niderlandów. Jednakże w Lesie Argonne biją źródła nie tylko Marny, lecz także Mozy, która w swoim dolnym biegu przepływa zaledwie kilka mil od Nijmegen. W ten oto sposób doszedłem – tak jak d’Avaux przede mną – do następującej roboczej hipotezy: popłynąwszy łodzią z St. Cloud w górę Marny, hrabina zeszła na brzeg w okolicach Argonne, które, jak Wasza Wysokość wie, były w tym okresie teatrem działań wojennych. Stamtąd udała się łądem nad Mozę, a nią spłynęła do Nijmegen, skąd pochodzą pierwsze wzmianki na jej temat od informatorów d’Avaux.

Po drugie, wszyscy, którzy widzieli ją po drodze z Nijmegen do Hagi, są zgodni co do tego, że nie miała przy sobie prawie żadnych rzeczy osobistych. Skromny bagaż hrabiny znajdował się w jukach jednego z jej niemieckich towarzyszy podróży. Wszystko im zamokło, ponieważ w dniach poprzedzających jej przybycie do Nijmegen sporo padało. Znalazłszy się na pokładzie statku, wypakowali juki i rozłożyli rzeczy na pokładzie, żeby je wysuszyć. Nikt nie zauważył, żeby przewozili w nich jakiegokolwiek książki, papiery czy dokumenty; nie mieli też piór ani atramentu. Hrabina nie rozstawała się za to z małą torebką i drewnianą ramą, na której rozpięła płótno z rozpoczętym haftem. Poza tym nie miała dosłownie nic; wszyscy informatorzy d’Avaux w Binnenhofie to potwierdzają. Służący, którzy przyszykowali dla niej apartament w pałacu, zgodnie utrzymują, że ze statku przyniosła co następuje:

(numer 1) Suknię, w której podróżowała, pleśniejącą i pomarszczoną po uprzednim (jak należy się domyślać) długim przebywaniu w jukach. Wkrótce po tym, jak hrabina ją zdjęła, suknię podarto na szmaty. Niczego w niej nie znaleziono.

(numer 2) Chłopskie ubranie w rozmiarze w przybliżeniu pasującym na hrabinę, brudne i mocno znoszone.

(numer 3) Rozpiętą na ramie robótkę, której bardzo zaszkodziło wielokrotne moknięcie i suszenie (kolory włóczki spłynęły na płótno).

(numer 4) Torebkę, w której znaleziono tylko kawałek mydła, grzebień, kilka gałganków, przybory do szycia i prawie pustą sakiewkę.

Wszystkie wymienione przedmioty zostały hrabinie odebrane lub zniszczone, poza monetami, przyborami do szycia i haftem. Zwłaszcza haft hrabina darzy niezwykłym przywiązaniem, mimo że jest wyraźnie zniszczony. Zakazała służącym go dotykać i sypia z nim pod poduszką, jakby się bała, że przez pomyłkę mógłby zostać zużyty na szmaty.

Po trzecie, następnego dnia po przybyciu, odzyskawszy siły i ubrawszy się schludnie, hrabina udała się do znajdującego się pod miastem księżęcego leśnego domku, gdzie przez trzy kolejne dni spotykała się z księciem i jego doradcami. Zaraz potem książe wycofał swoje oddziały z południa kraju i rozpoczął inwazję na Anglię. Mówi się, że hrabina wyczarowała jak z powietrza obszerny raport, obfitujący w nazwiska, fakty, liczby, plany i inne szczegóły, które trudno byłoby spamiętać.

\* \* \*

Tyle, jeśli idzie o dokonania d'Avaux. Dostarczył mi wszelkich informacji niezbędnych kryptologowi. Nie pozostało mi nic innego, jak poddać zgromadzone przez niego fakty działaniu brzytwy Occama. Doszedłem do wniosku, że hrabina nie spisała swoich notatek atramentem na papierze, lecz igłą i nitką na płótnie. Technika ta, jakkolwiek niezwykła, ma swoje zalety. Kobieta, która nieustannie pisze, zwraca powszechną uwagę; kobieta, która haftuje, nikogo nie dziwi. Kiedy ktoś rewiduje bagaż osoby podejrzanej o szpiegostwo, szuka w nim przede wszystkim papieru; haft zignoruje. Poza tym atrament na papierze źle się spisuje przy dżdżystej pogodzie, za to dokument wyhaftowany trzeba by spruć nitką po nitce, aby zniszczyć informację, którą zawiera.

Zanim zjawiłem się w Hadze, hrabina opuściła apartamenty w Binnenhofie i przeniosła się na drugą stronę Plein, do domu heretyckiego „filozofa” Christiaana Huygensa, z którym się przyjaźni. W dzień mojego przyjazdu udała się do Amsterdamu na spotkanie z partnerami w interesach. Opłaciłem dyskretnego włamywacza, który wielokrotnie pracował dla d'Avaux, i kazałem mu wejść do domu Huygensa, znaleźć haft i przynieść mi go, nie zostawiając przy tym żadnych śladów. Trzy dni później, po przeprowadzeniu opisanej poniżej analizy, kazałem mu odłożyć haft na miejsce. Hrabina wróciła z Amsterdamu po kilku następnych dniach.

Jest to kawałek grubo tkanego płótna, kwadratowy, o boku długości flamandzkiego łokcia. Hrabina zostawiła ze wszystkich stron margines mniej więcej na szerokość dłoni. Pośrodku został więc obszar o boku długości około osiemnastu cali – szmat płótna doskonale nadający się na *opus pulvinarium*, pokrycie poduszki. Prawie cały ten obszar jest pokryty haftem w technice krzyżykowej. Ścieg krzyżykowy jest popularny wśród angielskiego chłopstwa, zamorskich kolonistów i innych wieśniaków, zabawiających się wyszywaniem naiwnych wzorów na topornie utkanym samodziale. Ponieważ we Francji ustąpił miejsca

ściegowi półkrzyżkowemu, Wasza Wysokość może nie być z nim obznajomiony, toteż pozwolę sobie pokrótce go w tym miejscu opisać. Haft sporządza się na kanwie, grubej tkaninie o wyraźnie widocznym siatkowym splocie, w którym gołym okiem widać osnowę i wątek, tworzące regularną kwadratową siatkę w kartezyjańskim stylu. Podczas haftowania każdy z jej maleńkich kwadracików zostaje przykryty ścięciem w kształcie litery *x* i przybiera kolor włóczki. Widziany z daleka staje się maleńkim barwnym punkcikiem w powstającym obrazie. Haftowane w ten sposób wzory zawsze mają ząbkowane brzegi, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie hafciarka stara się osiągnąć kształt łuku. To wyjaśnia, dlaczego haft krzyżkowy został praktycznie wyparty z Wersalu i innych miejsc, w których dobry gust bierze górę nad sentymentalizmem. Co nie zmienia faktu, że można sobie z łatwością wyobrazić, jak wygląda taki pojedynczy ściąg widziany z bliska: jedna nitka biegnie z północnego zachodu na południowy wschód, jeśli można się tak wyrazić, druga zaś, przeciągnięta z północnego wschodu na południowy zachód, krzyżuje się z nią pod kątem prostym. O tym, która znajdzie się na górze, a która na dole, decyduje kolejność ich położenia. Wprawne hafciarki kładą ścięgi odruchowo, zawsze w tej samej kolejności, toteż w ich haftach ułożenie nitek tworzących *x* jest za każdym razem takie samo. Ale nie wszystkie hafciarki pracują z taką regularnością. Obejrzawszy kanwę przez lupę, stwierdziłem, że hrabina należy do tego drugiego rodzaju, co zwróciło moją uwagę, ponieważ pod wieloma innymi względami jest osobą zdyscyplinowaną i prowadzi nad wyraz uporządkowane życie. Przyszło mi do głowy, że ułożenie tworzących krzyżyki nitek może być nośnikiem ukrytych informacji.

Gęstość splotu wynosiła około dwudziestu nitek na cal. Proste mnożenie wykazało, że jeden bok kanwy liczy około trzystu sześćdziesięciu nitek, a całe płótno musi zawierać w przybliżeniu sto trzydzieści tysięcy kwadracików.

Odosobniony kwadracik przekazuje zaledwie drobinę informacji, ponieważ może przyjmować tylko jeden z dwóch stanów – albo na wierzchu znajdzie się nitka północnozachodnio-południowowschodnia, albo północnowschodnio-południowozachodnia. Wydaje się więc z pozoru bezużyteczny; jak bowiem zapisać wiadomość w alfabecie złożonym z dwóch znaków?

*Mirabile dictu*, jest na to sposób. A dowiedziałem się o nim dzięki nadmiernej gadatliwości dżentelmena, o którym już wspominałem – Fatia de Duilliers. Fatio uciekł do Anglii, kiedy na kontynencie ziemia zaczęła mu się palić pod nogami, i tam zaprzyjaźnił się ze słynnym angielskim alchemikiem, Newtonem. Stał się kimś w rodzaju Ganimedesa przy Newtonie-Zeusie; nie odstępował go na krok. Gdy tylko coś ich rozdzieli, Fatio rozpowiada wszem wobec o bliskiej przyjaźni łączącej go z wielkim człowiekiem-. Wiem o tym od signore Viganiego, który jest alchemikiem w tym samym kolegium, gdzie pracuje Newton, i często musi spożywać z Fatiem posiłki. Szwajcar łatwo popada w irracjonalną zawiść i zawsze jest gotowy zszargać reputację każdego, kto jego zdaniem mógłby być dlań rywalem

w staraniach o względy Newtona. Jedną z takich osób jest doktor Waterhouse, który w młodości dzielił z Newtonem pokój na stacji i, o ile wiem, był jego kochankiem. Fakty jednak nie grają roli – liczą się tylko wyobrażenia Fatia. Ostatnio w bibliotece Towarzystwa Królewskiego zastał doktora Waterhouse'a śpiącego nad papierami, na których zapisywał rachunki na liczbach złożonych wyłącznie z zer i jedynek; to taka matematyczna ciekawostka, specjalność Leibniza. Doktor Waterhouse obudził się, zanim Fatio zdążył się bliżej przyjrzeć jego pracy, ale dokument wyglądał, jego zdaniem, na jakiś list z zagranicy, i doszedł do wniosku, że doktor próbuje go rozszyfrować. Wkrótce potem udał się z Newtonem do Cambridge i przy stole profesorskim napomknął o tej historii, żeby wszyscy wiedzieli, jaki jest bystry, i żeby dać do zrozumienia, że Waterhouse bez wątplenia jest ostatnim durniem, a zapewne także i szpiegiem.

Dzięki zasiadaniu w *cabinet noir* wiedziałem, że mniej więcej w tym czasie hrabina de la Zeur wysłała list do towarzystwa Królewskiego, a także prowadziła interesy z bratem doktora Waterhouse'a. Wspominałem już o jej podejrzenie obfitej i pozbawionej sensu korespondencji z Leibnizem. Stosując po raz kolejny brzytwę Occama, sformułowałem hipotezę, zgodnie z którą hrabina używa szyfru – prawdopodobnie wymyślonego przez Leibniza – opartego na arytmetyce binarnej, czyli operującej wyłącznie zerami i jedynekami, a zatem stanowiącej dwuliterowy alfabet, który – co już wyjaśniłem – doskonale nadaje się do zakodowania w hafcie krzyżykowym.

Poprosiłem bystrookiego urzędnika z ambasady, żeby ścieg po ściegu przejrzał cały haft, zapisując na kartce jedyne dla wszystkich kwadracików, w których nitka północnozachodnio-południowowschodnia biegnie górą, oraz zera dla tych, w których znajduje się pod spodem. Następnie podjąłem próbę złamania szyfru.

Ciąg cyfr binarnych może reprezentować zwyczajną liczbę. Na przykład 01001 odpowiada liczbie 9. Za pomocą pięciu dwójkowych cyfr można zapisać trzydzieści dwie różne liczby, co wystarcza do zakodowania całego alfabetu łacińskiego. Z początku zakładałem, że szyfr hrabiny jest właśnie tak skonstruowany, lecz, niestety, nie tylko nie wyczytałem z niego żadnej użytecznej informacji, ale nie znalazłem nawet żadnej prawidłowości, która dawałaby mi nadzieję na przyszłość.

Wkrótce potem opuściłem Hagę, zabierając ze sobą zerojedynekowy zapis haftu, i wsiadłem na statek do Dunkierki. Większość załogi stanowili Flamandowie, jednakże kilku marynarzy wyróżniało się z tłumu. Porozumiewali się zwięzłym, gardłowym językiem, którego nigdy przedtem nie słyszałem. Kiedy zapytałem tych groźnych żeglarzy, skąd pochodzą, nie bez dumy odparli, że są mieszkańcami Qwghlm. Wtedy to zrozumiałem, że Boża opatrzność przywiodła mnie na pokład tego statku. Wypytałem ich szczegółowo o język i sposób jego zapisu. Posługują się runami, tworzącymi niezwykle prymitywne, ale jednak funkcjonalny alfabet, pozbawiony samogłosek i złożony z szesnastu spółgłosek, z których kilku nie wymówi nikt, kto nie urodził się na ich skalistej wysepce.

Tak się składa, że szesnastoliterowy alfabet idealnie przekłada się na szyfr binarny: do zapisania jednej litery wystarczą zaledwie cztery cyfry dwójkowe – czyli cztery ścięgi haftu. Język qwghlmiański jest wręcz niewiarygodnie oszczędny – Qwghlmianin kilkoma chrząknięciami i burknięciami wyraża treść, na którą Francuz potrzebowałby paru zdań – i praktycznie nieznaną poza tą przeklętą wysepką. Obie te przyczyny sprawiają, że doskonale nadaje się do celów hrabiny, która w tym wypadku pisała przecież sama do siebie. Nie trzeba go dodatkowo kodować, bo sam w sobie jest szyfrem doskonałym.

Na próbę podzieliłem spisany ciąg zer i jedynek na czterocyfrowe kawałki i przełożyłem każdy z nich na liczbę od jednego do szesnastu. Wkrótce zacząłem dostrzegać prawidłowości, które wprawnemu kryptografowi nieomylnie wskazują, że znalazł się na właściwej drodze. Po powrocie do Paryża znalazłem w Bibliothèque du Roi uczoną pracę o qwghlmiańskich runach, która pozwoliła mi przetłumaczyć liczby na znaki tego alfabetu – było ich łącznie około trzydziestu tysięcy. Już krótkie porównanie z podaną z tyłu dzieła listą qwghlmiańskich słów dowiodło, że podążam słusznym tropem, ale sam nie byłem w stanie przetłumaczyć tekstu. Zwróciłem się o pomoc do ojca Édouarda de Gex, od niedawna interesującego się Qwghlm i mającego nadzieję nawrócić wyspę na prawdziwą wiarę i zmienić ją w cierń wbity w ciało heretyków. Odesłał mnie do ojca Mxnghra z dublińskiego Towarzystwa Jezusowego, który urodził się i wychował w Qwghlm, a przy tym słynie z całkowitej lojalności wobec Waszej Wysokości; regularnie odbywa ryzykowne podróże do Qwghlm, aby chrzcic jego mieszkańców. Przesłałem mu odszyfrowany tekst i w kilka tygodni później otrzymałem pocztą zwrotną jego łaciński przekład, liczący niemal czterdzieści tysięcy słów. To oznacza, że potrzebujemy więcej niż jednego łacińskiego słowa, aby oddać sens jednego znaku w qwghlmiańskim alfabecie.

Tekst ten jest tak skąpy i fragmentaryczny, że z trudem daje się czytać, tym bardziej że autorka stosuje wiele dziwaczych synonimów – na przykład zamiast „muszkiet” pisze „angielski kij”. Większość stanowią nieciekawe spisy nazwisk, oddziałów, miejsc *et caetera* – informacje kluczowe w profesji szpiega, naturalnie, ale teraz, kiedy wojna już trwa i sytuacja zmienia się z dnia na dzień, pozbawione większej wartości. Część tekstu stanowi jednak osobisty pamiętnik, który hrabina spisywała haftem, najprawdopodobniej z nudów. Dowiadujemy się z niego, w jaki sposób dotarła z St. Cloud do Nijmegen. Pozwoliłem sobie przełożyć go na bardziej wyrafinowany język i nadać mu formę spójnej, choć poszatowanej opowieści, teraz zaś załączam go poniżej ku uciechu Waszej Wysokości. W paru miejscach uzupełniłem tekst zaczerpniętymi z innych źródeł dodatkowymi informacjami o działaniach hrabiny. Na końcu znajdzie Wasza Wysokość moje posłowie i krótki list od d'Avaux.

\* \* \*

*Gdybym musiała czytywać romanse przez dłuższy czas, nużyłyby mnie. Ponieważ jednak czytam zaledwie po trzy, cztery stronice rankiem i wieczorem, siedząc (za przeproszeniem) na nocniku, nie meczę się ani nie nudzę ich lekturą.*

Liselotte w liście do Zofii,  
1 maja 1704

Wpis w dzienniku  
17 sierpnia 1688

Drogi Czytelniku,

nie potrafię przewidzieć, czy ten strzep płótna nie ulegnie zniszczeniu – może się to stać wskutek czyjejś złej woli albo też przez czysty przypadek. Być może ktoś zrobi z niego poszewkę. Być może trafi w ręce jakiegoś mądrego człowieka i po wielu latach bądź stuleciach moja wiadomość zostanie odszyfrowana. Na razie kanwa, na której wyszywam te słowa, jest nowa, czysta i sucha. Spodziewam się jednak, że zanim ktoś je odczyta, płótno spłynie deszczem i łzami, popłami się i spleśnieje od starości i wilgoci, może nawet pobrudzi się dymem i krwią. W każdym razie gratuluję Ci, Czytelniku – kimkolwiek jesteś i w jakiegokolwiek epoce żyjesz – bystrości umysłu, która pozwoliła Ci przeniknąć moją tajemnicę.

Wielu ludzi powiedziałoby, że szpieg nie powinien prowadzić zapisków, ponieważ mogą wpaść w niepowołane ręce. Odpowiadam na to tak: mam obowiązek zgromadzić szczegółowe informacje i przekazać je mojemu panu, ale jeśli dowiem się tylko tego, co mogę potem wyrecytować z pamięci, będzie to znaczyło, że nie przykładałam się do pracy.

Szesnastego sierpnia tysiąc sześćset osiemdziesiątego ósmego roku spotkałam się z Liselotte von der Pfalz, Elżbietą Charlottą, księżną orleańską, znaną na francuskim dworze jako Madame lub la Palatine, a wśród krewnych w Niemczech jako Kawaler Szeleszczących Liści, przy wrotach stajni w jej majątku w St. Cloud nad Sekwaną, pod Paryżem. Kazała sobie przyprowadzić i osiodłać ulubionego konia do polowań, ja zaś przeszłam się od boksu do boksu i wybrałam sobie wierzchowca odpowiedniego do jazdy wierzchem – bo taki właśnie był oficjalny cel przejażdżki. Razem wjechałyśmy w las, który w okolicach posiadłości ciągnie się całymi milami wzdłuż Sekwany. Towarzyszyło nam dwóch młodzieńców z Hanoweru. Liselotte utrzymuje bliskie kontakty z rodziną zamieszkałą w tamtych stronach, toteż od czasu do czasu przyjmuje u siebie jakiegoś bratanka lub kuzyna, który przybywa nabrać ogłady w wersalskiej socjocie. Historie tych chłopców same w sobie są interesujące, ale ponieważ nie mają nic wspólnego z moją opowieścią, powiem tylko, że obaj są niemieckimi heteroseksualnymi protestantami, przez co w St. Cloud byli całkowicie godni zaufania, chociażby przez swoją absolutną izolację. W spokojnym zakolu Sekwany, osłonięta zwieszającymi się gałęziami drzew, czekała na nas mała płaskodenna łódź. Wsiadłam do niej

i ukryłam się pod kłębem sieci rybackich. Przewoźnik odbił od brzegu i wypchnął łódź na środek nurtu, gdzie wkrótce napotkaliśmy statek płynący w górę rzeki. Od tamtej pory przebywam na jego pokładzie. Przepłynęliśmy już przez sam środek Paryża, po północnej stronie Ile de la Cité. Za miastem, w miejscu gdzie Marna wpada do Sekwany, skręciliśmy w lewo i odtąd stale płyniemy w górę Marny.

Wpis w dzienniku  
20 sierpnia 1688

Od kilku dni niespiesznie posuwamy się w górę biegu Marny. Wczoraj przepłynęliśmy przez Meaux i zostawiliśmy je [zgodnie z moimi przypuszczeniami] daleko za sobą, dziś jednak znów znaleźliśmy się tak blisko tego miasta, że było słychać bijące w nim dzwony kościelne – a to z powodu absurdalnie zakrzywionego koryta rzeki, płaczącej się i wijącej jak ojciec Édouard de Gex, kiedy go o coś zapytać. To statek z rodzaju tych, jakie Francuzi nazywają szalandą – długa, wąska skrzynia, zbudowana tanim kosztem i zaopatrzona w jeden kwadratowy żagiel, który marynarze podnoszą na maszcie, gdy tylko wiatr powieje od rufy. Jednakże przez większość czasu maszt służy jako punkt zaczepienia dla holów, za które ciągną szalandę idące brzegiem konie pociągowe.

Kapitan szalandy i mój opiekun, monsieur LeBrun, musi chyba śmiertelnie bać się Madame, bo za każdym razem, gdy podchodzę do nadburcia lub wystawiam się na najmniejsze choćby niebezpieczeństwo, zaczyna się pocić i łapać za głowę, jakby się obawiał, że mu odpadnie. Najczęściej siedzę więc przy rufie na baryłce z solą, patrzę, jak Francja przesuwa się za burtą, i obserwuję ruch na rzece. Noszę chłopięce przebranie i chowam włosy pod kapeluszem, co wystarcza, by ukryć moją prawdziwą pleć przed ludźmi patrzącymi na mnie z innych łodzi lub z brzegu. Kiedy ktoś mnie pozdrawia, uśmiecham się, ale nic nie mówię, więc po chwili biorą mnie za imbecyla – być może, na przykład, za syna monsieur LeBruna, który za mocno uderzył się w głowę. Brak zajęć nawet mi odpowiada, ponieważ od wejścia na pokład mam okres i dosłownie przesiaduję na stercie szmat.

Na każdym kroku widać, że francuska wieś produkuje mnóstwo żywności. Niedługo jęczmień dojrzeje i będzie można swobodnie poprowadzić tędy armię. Jeżeli planowana jest inwazja na Palatynat Reński, wojsko uderzy od północy [oddziały stacjonują przy granicy z Holandią], a stąd będzie tylko czerpało zaopatrzenie. W związku z tym szpieg nie bardzo ma tu czego wypatrywać, może poza załadunkiem i transportem pewnych towarów dla wojska. Żołnierze będą sami nieśli większość zapasów, ale można się chyba spodziewać, że proch i – zwłaszcza – ołów zostaną przewiezione w górę Marny z arsenałów leżących pod Paryżem. Przecież przewiezenie tony ołowiu wozem wymaga kilku zaprzęgów i dalszych paru wozów z paszą dla wołów, a przetransportowanie jej w zębie szalandy jest banalnie proste. Zerkam

więc na barki płynące w górę rzeki i zastanawiam się, co mają w ładowniach. Na pierwszy rzut oka przewożą taki sam ładunek jak szalanda monsieur LeBruna, czyli soloną rybę, sól, wino, jabłka i inne towary pochodzące z okolic, gdzie Sekwana uchodzi do morza.

Wpis w dzienniku  
25 sierpnia 1688

Nieruchome przesiadywanie całymi dniami ma swoje zalety. Staram się obserwować otoczenie oczami naturalisty. Kilka dni temu przyglądałam się szalandzie, która płynęła w górę rzeki jakieś ćwierć mili przed nami. Jeden z marynarzy nie mógł dosięgnąć zawieszanej wysoko na maszcie liny. Chwytał więc za rant denka stojącej na pokładzie beczki, przetoczył ją w dogodne miejsce i się na nią wdrapał. Ze sposobu, w jaki sobie z nią radził, i z wydawanego przez nią odgłosu wnoszę, że była pusta. Nie ma w tym nic dziwnego, wiadomo przecież, że puste beczki też przewozi się z miejsca na miejsce. Ale patrząc na nią, zaczęłam się zastanawiać, czy umiałabym odróżnić szalandę z niewinnym ładunkiem, taką jak barka monsieur LeBruna, od wyładowanej paroma tonami ołowiu i dla niepoznaki zastawionej pustymi beczkami, aby szpiedzy nie domyślili się, co naprawdę przewozi.

Nawet z pewnej odległości można śledzić kołysanie szalandy, obserwując ruchy topu masztu – maszt bowiem dzięki swojej długości odzwierciedla w przesadzie ruchy kadłuba, a w dodatku jest dobrze widoczny z daleka. Pożyczyłam od monsieur LeBruna parę drewniaków i zwodowałam je na stojącej wodzie w zęzie. Do jednego włożyłam żelazną sztabkę, do drugiego zaś wsypałam taką ilość soli z pękniętej beczki, żeby jej ciężar był równy ciężarowi sztabki. Obciążenie sabotów było więc równe, ale jego rozkład nie: sól rozlokowała się równomiernie w całej objętości buta, sztabka zaś skupiła cały ciężar w jego „zęzie”. Kiedy rozhuštałam buty, z łatwością zauważyłam, że ten obciążony sztabką kołysze się wolniej i wykonuje bardziej zamaszyste ruchy, ponieważ jego środek ciężkości znajduje się dalej od osi kołysania.

Kiedy oddałam buty monsieur LeBrunowi i wróciłam na swoje stanowisko obserwacyjne na pokładzie, sięgnęłam po otrzymany od monsieur Huygensa zegarek. Najpierw zmierzyłam czas stu bujnięć naszej szalandy, a następnie zaczęłam podobnie mierzyć ruch innych barek na rzece. Większość z nich kołysała się z podobną częstotliwością, ale zauważyłam także dwie takie, które chygotały się znacznie wolniej. Od tej pory, co zrozumiałe, przy każdej okazji starałam się dokładniej je oglądać, obserwując ich załogi i ładunki. Z pewnym rozczarowaniem stwierdziłam, że pierwsza z nich przewozi urobek z kamieniołomów, którego, rzecz jasna, nawet nie próbowano ukrywać. Ale druga z podejrzanych szaland wiozła na pokładzie beczki.



Monsieur LeBrun naprawdę uważa mnie teraz za kretynkę, ale nie ma to większego znaczenia, ponieważ nasza wspólna podróż powoli dobiega końca.

Wpis w dzienniku

28 sierpnia 1688

Przeplłynęliśmy już przez całą Szampanię i dotarliśmy do St.-Dizier przy granicy z Lotarynią, gdzie Marna zatacza łuk na południe. Ponieważ mnie interesuje kierunek północno-wschodni, w tym miejscu muszę zejść na ląd. Przemieszczałam się dotąd raczej powoli, ale przynajmniej zobaczyłam rzeczy, które uszłyby mojej uwagi, gdybym podróżowała szybciej. Poza tym nie mam się na co uskarżać: posiedziałam sobie trochę na słońcu, na łodzi, płynąc przez cichy i spokojny kraj – cóż może być przyjemniejszego?

Bez względu na to, jak utrwalone są moje poglądy, czuję, że moja determinacja osłabła po kilkutygodniowym pobycie w Wersalu. Jego mieszkańcy są tak zamożni, atrakcyjni i pewni siebie, że nie sposób oprzeć się ich wpływowi. Z początku to oddziaływanie jest niezauważalne, ale z czasem każdy zaczyna orbitować wokół Króla Słońce.

Kraj, który przebyłam, jest płaski i – w odróżnieniu od poszatkowanej ogrodzeniami i żywopłotami zachodniej części Francji – całkowicie otwarty. Nie trzeba mieć mapy, by wiedzieć, że na północ i wschód stąd rozciągają się rozległe, żyzne ziemie. Złote łąny dojrzewają na moich oczach, zupełnie jakby gęsta śmietanka wypływała wprost z gleby. Komuś, kto tak jak ja urodził się w zimnym, kamienistym kraju, ta okolica przypomina raj. Ale kiedy patrzę na nią oczami mężczyzny, oczami władcy, widzę, że aż się prosi, by ją podbić. Jest pełna potencjalnych łupów, żywności dla wojska i paszy dla koni; prędzej czy później wojna musi się tędy przetoczyć, w jedną lub drugą stronę. Lepiej więc odepchnąć wojnę od siebie w dogodnym momencie niż beczynnie czekać, aż zaciemni horyzont i runie na nas zniecka. Gołym okiem widać, że dopóki Francja nie zajmie tych pól i nie oprze się o naturalną barierę Renu, będzie ją można tędy bezkarnie najeżdżać. W takim terenie żadna granica nie może być trwała.

Los stawia Ludwika przed wyborem: może albo walczyć o utrzymanie wpływów w Anglii, co będzie przedsięwzięciem niepewnym i w niewielkim stopniu poprawi bezpieczeństwo Francji, albo ruszyć nad Ren, zając palatynat i raz na zawsze zabezpieczyć Francję przez zakusami Niemiec. Ten drugi ruch wydaje się w sposób oczywisty korzystniejszy, ale moją rolę, jako szpiega, nie jest doradzanie królom w rządach, lecz obserwowanie, jak rządzą.

St.-Dizier, gdzie zejść z pokładu szalandy, to średniej wielkości port rzeczny z paroma bardzo starymi kościołami i ruinami z czasów rzymskich. Zaraz za nim rozciąga się mroczny las Argonne, przez którego środek biegnie granica francusko-lotaryńska. Kilkanaście mil

dalej na wschód rozpościera się dolina Mozy, płynącej na północ, do Hiszpańskich Niderlandów, i tworzącej kręte granice Hiszpanii, Holandii i Niemiec.

Dalsze trzydzieści mil na wschód od Mozy znajduje się położone nad Mozela miasto Nancy. Mozela również płynie na północ, ale za Księstwem Luksemburga skręca na wschód i wpada do Renu pomiędzy Moguncją i Kolonią – tak mi się przynajmniej wydaje, kiedy przypominam sobie mapy widziane w bibliotece w St. Cloud. Nie chciałam ich ze sobą zabierać, gdyż uznałam, że byłoby to posunięcie niezbyt rozsądne.

Według map, między Nancy i Renem rozciąga się kolejne pięćdziesiąt albo i sto mil terytoriów o niejasnej przynależności, tworzących archipelag odosobnionych hrabstw i biskupstw, okruchów ziemi, które przed wojną trzydziestoletnią należały do Świętego Cesarstwa Rzymskiego. W końcu dociera się do leżącego nad Renem Strasburga, zajętego przez Ludwika XIV już jakiś czas temu. Można powiedzieć, że zajęcie Strasburga stworzyło mnie. Panujący w mieście chaos i wybuch zarazy ściągnęły tam Jacka, a perspektywa dobrych zbiorów jęczmienia i nieuchronnej wojny popchnęła go potem do Wiednia, gdzie się poznaliśmy. Zastanawiam się, czy dotrę teraz do Strasburga i, w pewnym sensie, zatoczę koło. Jeśli tak, zamknę również inny krąg – bo właśnie ze Strasburga Liselotte przybyła do Francji przed siedemnastu laty, aby poślubić Monsieur i nigdy więcej nie wrócić do domu.

Wpis w dzienniku  
30 sierpnia 1688

W St.-Dizier przebrałam się z powrotem w strój damy i zatrzymałam w klasztorze. Jest to jeden z tych przybytków, w których dobrze urodzone kobiety spędzają resztę żywota, jeśli nie udało im się wyjść za mąż – albo jeśli nie miały na to ochoty. Nastrojem bardziej przypomina burdel niż zakon. Jego mieszkanki w większości nie przekroczyły jeszcze trzydziestki i spala je żądza. Próbuje więc stale albo przemycać mężczyzn do środka, albo wymykać się na zewnątrz, a gdy jedno i drugie się nie powiedzie, praktykują na sobie nawzajem. Liselotte poznała niektóre z nich w Wersalu i utrzymywała z nimi korespondencyjną znajomość, gdy zniknęły z dworu. Teraz też posłała im zawczasu list, w którym przedstawiła mnie jako swoją odległą powinowatą i dworzkę, i wyjaśniła, że udaję się do Palatynatu, aby przywieźć jej pewne dzieła sztuki i antyki, które powinna była odziedziczyć po śmierci brata, a które stały się wśród rodzeństwa przedmiotem zajadłych sporów i targów. Ponieważ nie do pomyślenia jest, aby kobieta sama odbywała taką podróż, miałam poczekać w klasztorze w St.-Dizier na moją eskortę w osobie pomniejszego arystokraty z Palatynatu, który miał po mnie zajechać powozem, przewieźć na północny wschód przez całą Lotaryngię i niewyobrażalnie popłatane granice leżących za nią państweczek, a na koniec odstawić do Heidelbergu. Moja tożsamość i misja, którą rzekomo wypełniam, są fałszywe, ale eskortę mam najprawdziwszą. Mieszkańcy

palatynatu Reńskiego, co rozumiałe, są tak samo ciekawi swoich przyszłych losów, jak ich zniewolona królowa Liselotte.

Pisząc te słowa, wciąż czekam na mojego towarzysza podróży, o którym na razie ani widu, ani słyhu. Denerwuję się, że mógł zostać pojmany lub nawet zabity, ale na razie nie pozostaje mi nic innego, jak rankiem chodzić na mszę, przesypiać popołudnia i szaleć z siostrzyczkami po nocach.

Odbyłam przyjemną rozmowę z matką przełożoną, wspaniałą damą w wieku około sześćdziesięciu lat, która przymyka oko na wybryki młodszych kobiet. Wspomniała przelotnie o znajdującej się niedaleko hucie żelaza, co sprawiło, że zwątpiłam w swój osąd w kwestii rozkołysanych szaland. Może po prostu przewoziły żelazo, nie ołów? Później jednak, kiedy wybrałam się do miasta w towarzystwie młodszych dziewcząt, widziałam zacumowaną przy nabrzeżu rozładowywaną szalandę. Beczki przetaczano na brzeg, a ciężkie wozy zaprzężone w woły czekały w pogotowiu. Zapytałam moje towarzyszki, czy tak to zawsze wygląda, ale dziewczęta nie mają pojęcia o tak przyziemnych sprawach i były dla mnie całkowicie bezużyteczne.

Nieco później oznajmiłam, że jestem zmęczona i udałam się do przydzielonej mi celi, udając, że chcę się zdrzemnąć. Tam przebrałam się w męski strój i opuściłam teren klasztoru jedną ze ścieżek często używanych przez zakonnice wymykające się na schadzki do miasta. Tym razem udało mi się podejść znacznie bliżej nabrzeża, ukryć za beczkami, które wcześniej wyładowano z szalandy, i przyrzeć się jej przez szparę pomiędzy nimi. Widziałam, jak z zęzy wyciągano małe, ciężkie przedmioty, które następnie ładowano na wozy. Nie widziałam twarzy człowieka nadzorującego rozładunek, ale sporo mogłam wywnioskować z ubioru tego mężczyzny. Pewne detale zdobień jego butów przywodziły mi na myśl buty kochanków Monsieur, na które zwróciłam uwagę niedługo przed wyjazdem z St. Cloud. Jego spodnie...

Nie. Zanim ktoś przeczyta te słowa, moda zdąży się zmienić. Szkoda czasu na rozwodzenie się nad szczegółami. Powiem tylko tyle: wszystko, co miał na sobie, wyglądało, jakby najdalej przed miesiącem wyszło spod ręki paryskich krawców.

Obserwację przerwało mi kilku niezdarnych wagabundów, którzy zakradli się do portu w nadziei, że uda im się coś ukraść. Jeden z nich oparł się całym ciężarem o beczkę – założył, że jest pełna i utrzyma jego ciężar, ona jednak przechyliła się gwałtownie, a kiedy odskoczył, z głuchym łoskotem runęła na nabrzeże. Dworzanin, który wypatrzył mnie wśród beczek, natychmiast dobył szabli i wycelował ją we mnie. Kilku robotników rzuciło się w moją stronę. Wagabundy wzięły nogi za pas, a ja pobiegłam za nimi, domyślając się, że lepiej ode mnie będą wiedzieli, jak zniknąć w zaułkach St.-Dizier. I rzeczywiście, przesadzali mury i czolgali się rynsztokami z taką wprawą, że sama omal nie straciłam ich z oczu, chociaż deptałam im po piętach.

W końcu dotarliśmy na plac przed kościołem, gdzie wagabundy miały kryjówkę wśród winorośli pnącej się po murach starego grobowca. Mężczyźni nie próbowali mnie ani

przegonić, ani zaprosić do środka, przycupnęłam więc w półmroku parę kroków od nich i słuchałam, jak mamroczą; nie rozumiałam większości ich żargonu, ale domyśliłam się, że jest ich czterech. Trzech z nich bełkotało coś przeprasząco, czwarty zaś, wyraźnie sfrustrowany, beształ ich i domagał się z ich strony poprawy. Kiedy wyszedł za potrzebą, podeszłam do niego i powiedziałam:

– Spotkajmy się, sami, przy tym narożniku klasztoru, który jest obrośnięty dzikim winem. Po czym rzuciłam się do ucieczki, bojąc się, że może próbować mnie zatrzymać.

Godzinę później wypatrzyłam go z murów klasztoru. Rzuciłam mu monetę i powiedziałam, że dostanie jeszcze dziesięć, jeśli pójdzie za wozami z towarem z szalandy, dowie się, gdzie pojechały, i za trzy dni złoży mi raport. Bez słowa rozplątał się w ciemnościach.

Następnego dnia rano matka przełożona dała jednej z dziewcząt list, który w nocy znaleziono pod murami klasztoru. Ledwie adresatka zerknęła na pieczęć, zawołała:

– To od mojego kochanego kuzyna!

Gwałtownym szarpnięciem odpieczętowała list i od razu go przeczytała, sylabizując na głos co drugie słowo, jako że ledwie umiała czytać. Wynikało z niego, że jej kuzyn przejeżdżał nocą przez St.-Dizier, ale z ogromnym żalem informował, że nie miał czasu jej odwiedzić. Niestety, miał do wykonania zadanie niecierpiące zwłoki. Wyglądało jednak na to, że przez pewien czas będzie w pobliżu, więc być może wkrótce nadarzy się okazja do spotkania.

Po rozdarciu listu woskowa pieczęć potoczyła się pod krzesło, a ja, korzystając z nieuwagi adresatki, wydobyłam ją stamtąd na klęczkach. Nie rozpoznałam odcisniętego na niej herbu, ale niektóre jego elementy wydały mi się znajome; musiałam się z nimi zetknąć w Wersalu. Domyśliłam się, że jest to herb pewnego gaskońskiego rodu, słynnego z dokonań wojennych. Wydało mi się wielce prawdopodobne, że to właśnie autor listu dzień wcześniej kierował rozładunkiem.

Wpis w dzienniku

2 września 1688

*UWAGA KRYPTOGRAFA: W oryginale poniższy fragment obfituje w szczegółowe opisy ładunków transportowanych szalandami do St.-Dizier oraz herbów i insygniów osób, które hrabina widziała w tym mieście. Fakty te z całą pewnością były bardziej interesujące dla księcia orańskiego niż dla Waszej Wysokości, dlatego pozwoliłem je sobie pominąć.*

– B.R.

Trzy spokojne i leniwe dni w klasztorze w St.-Dizier pozwoliły mi odrobić zaległości w haftowaniu. Przy odrobinie szczęścia dziś wieczorem powinnam otrzymać wiadomość od mojego wagabundy. Jeżeli do jutra arystokrata z Palatynatu nie da znaku życia, będę musiała wyruszyć w dalszą drogę sama, chociaż na razie nie mam pojęcia jak zorganizować taką podróż.

Próbowałam jak najlepiej wykorzystać ten beztroski czas, tak jak czyniałam to na pokładzie barki. W ciągu dnia sporo rozmawiałam z Eloise, adresatką listu. Nie było to łatwe, ponieważ Eloise nie jest zbyt inteligentna i niewiele mamy wspólnych zainteresowań. Nie ukrywałam, że spędziłam ostatnio sporo czasu w Wersalu i St. Cloud. Kiedy słuchy o tym doszły do Eloise, zaczęła siadywać obok mnie przy posiłkach i wypytywać, czy znam tego lub owego, i co się stało z tą lub ową. W końcu dowiedziałam się w ten sposób, kim jest ona sama i jej elegancki kuzyn – to kawaler d'Adour, który od kilku lat wysługuje się marszałkowi Louvois, głównodowodzącemu królewskiej armii. Wyróżnił się w niedawnych masakrach protestantów w Piemencie i, najkrócej mówiąc, dowiódł, że jest godny zaufania i można mu powierzyć ważną misję.

Wieczorami starałam się mieć oko na rzekę. W porcie zacumowało jeszcze kilka szaland z podobnym ładunkiem.

#### Wpis w dzienniku 5 września 1688

Tyle rzeczy wydarzyło się jednocześnie, że na kilka dni zupełnie zaniedbałam mój haft. Teraz nadrabiam zaległości, jadąc powozem po wyboistej drodze w Argonne. Ten sposób prowadzenia notatek ma nawet więcej zalet dla wędrownego szpiega, niż początkowo przypuszczałam. Nie byłabym w stanie teraz pisać piórem na papierze – a z haftowaniem jednak jakoś sobie radzę.

Żeby za długo się nad tym nie rozwodzić, wyjaśnię, że mój wagabunda wrócił o umówionej porze i zarobił dziesięć srebrnych monet, informując mnie, że zaprzężone w woły wozy zabierają ładunek z szaland na wschód, do Lotaryngii. Omijając leśnymi traktami Toul i Nancy, wjeżdżają do Alzacji, czyli znów do Francji [Księstwo Lotaryngii graniczy z Francją zarówno od wschodu, jak i od zachodu]. Z braku czasu mój wagabunda musiał tam zawrócić i nie dane mu było prześledzić drogi wozów do samego końca, ale nie ma cienia wątpliwości, że jadą nad Ren. Od podróżnego na trakcie dowiedział się, że podobne wozy zjeżdżają się z różnych stron do twierdzy w Haguenau, z której ostatnio dobiegają straszne hałasy i buchają kłęby dymu. Podróżny ten uciekł spod Haguenau, ponieważ żołnierze siłą wcielają tam do wojska wszystkich złapanych włóczęgów zapędzają ich do pracy przy wycinaniu drzew –

mniejsze idą na Opał, drewno większych jest potrzebne do budowy. Nawet szalasy wagabundów zostały porąbane i spalone.

Po usłyszeniu tych nowin nie zmrużyłam oka do rana. Jeżeli dobrze pamiętam mapy, Haguenau leży nad dopływem Renu i stanowi część *barrière de fer*, którą zbudował Vauban dla ochrony Francji przed Niemcami, Holendrami, Hiszpanami i innymi nieprzyjaciółmi. Jeżeli miałam rację i szalandy naprawdę wyładowują w St.-Dizier ołów, to w Haguenau jest on przetapiany na kule do muszkietów. Wyjaśniałoby to także zapotrzebowanie na drewno opałowe – ale po co im tyle budulca? Domyśliłam się, że budują z niego barki, którymi spławiają amunicję z biegiem Renu. Wystarczy dzień lub dwa, żeby rzeczny nurt zaniósł je na tereny Palatynatu.

Pewne fakty, które zwróciły moją uwagę na królewskim dworze, nagle nabrały nowego znaczenia. Kawaler de Lorraine, pan ziem, przez które wozy jechały do Haguenau, od dawna był najważniejszym z kochanków

Monsieur, a zarazem najokrutniejszym i najbardziej nieprzejednanym dręczycielem Madame. Teoretycznie jest wasalem cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego, bo Lotaryngia w dalszym ciągu jest cesarskim lennem, ale w praktyce ze wszystkich stron otaczają ją ziemie francuskie; nie sposób do niej wjechać inaczej niż przez tereny rządzone z Wersalu. To wyjaśnia, dlaczego kawaler de Lorraine większość czasu spędza na dworze pod Paryżem, a nie w Wiedniu.

Powszechnie wiadomo, że diuk Orleanu został wychowany w taki sposób, aby przez swą bierność i zniewieściałość nigdy nie stanowić zagrożenia dla królewskich ambicji starszego brata. Można przypuszczać, że kawaler de Lorraine, który regularnie penetruje Monsieur i rządzi jego uczuciami, wykorzystuje w ten sposób słabość dynastii rządzącej Francją. O tym też wie każdy na dworze. Teraz jednak zaczęłam to wszystko postrzegać w innym świetle. Nie można penetrować, nie dając się wziąć w objęcia, a Monsieur objął i zagarnął kawalera de Lorraine w taki sam sposób, jak Francja Lotaryngię. Ludwik napada i penetruje, jego brat uwodzi i zagarnia... Łączy ich wspólna wola. Uzupełniają się jak prawdziwi bracia. Ja widzę w Monsieur homoseksualistę, który zawiera udawane małżeństwo, a następnie odrzuca żonę na rzecz mężczyzn. Ludwik widzi w nim brata, który rozpęta dlań udawaną wojenkę w Palatynacie Reńskim, rzekomo po to, by bronić dóbr należnych małżonce, a przy okazji wykorzysta posiadłości kochanka jako szlak tranzytowy dla przewożonego na front zaopatrzenia.

Kiedy przed paroma tygodniami ta właśnie trójka – Monsieur, Madame i kawaler de Lorraine – udała się w pośpiechu do St. Cloud, myślałam, że króla znużyły ich sprzeczki. Teraz zaś rozumiem, że król myśli metaforami i że musiał ich zebrać w jednym miejscu, jak zwierzęta na arenie, i doprowadzić ich spór do punktu kulminacyjnego przed rozpoczęciem kampanii wojennej. Tak jak Rzymianie wierzyli, że burze są przejawem domowych scysji Jowisza i Junony, tak spór w plugawym trójkącie z St. Cloud objawi się wojną w Palatynacie.

Imperium Ludwika, które w tej chwili urywa się na Argonne, oprze się na Renie i sięgnie aż do Mannheim i Heidelbergu. Kiedy w St. Cloud znów zapanuje zgodna, domowa atmosfera, Francja będzie o dwieście mil szersza, a *barrière de fer* przebiegnie przez spaloną ziemię, na której kiedyś mieszkali niemieckojęzyczni protestanci.

Wszystko to zrozumiałam nagle, w jednej chwili, ale potem do świtu przewracałam się z boku na bok, rozmyślając o tym co powinnam zrobić. Przed kilkoma tygodniami sama wymyśliłam taką małą metaforę, z psami o imionach Deimos i Phobos w rolach głównych. Zawarłam ją w liście do d'Avaux, mając nadzieję, że szpiedzy księcia orańskiego przeczytają ją i zrozumieją. Myślałam wtedy, że jestem bardzo przebiegła, teraz jednak widzę, że w porównaniu z metaforą Ludwika moja przenośnia prezentuje się mizernie i dziecinnie, a co najgorsze – nie jest wcale jednoznaczna. Chodziło bowiem o to, że wtedy jeszcze nie miałam pewności, czy Louvois najpierw uderzy od południa na Republikę Holenderską, czy też wycofa się, obejdzie ją od wschodu i przekroczy Ren. Teraz znam już odpowiedź na to pytanie i chciałam ją przekazać księciu Oranu, ale utknęłam w klasztorze w St.-Dizier i na poparcie moich słów mam jedynie oparty na pogłoskach raport wagabundy oraz własne przekonanie, że zdołałam przeniknąć myśli króla. To przekonanie mogło zresztą do rana się ulotnić, tak jak nocne strachy, które rozpływają się w brzasku dnia.

Niewiele brakowało, żebym sama została wagabundą i ruszyła na szlak wiodący na wschód, kiedy przed poranną mszą pod klasztor zajechał zakurzony i zachlapany błotem powóz. Dżentelmen, który z niego wysiadł, zapukał do bramy i zapytał o mnie, podając moje przybrane nazwisko.

Ruszyliśmy w drogę, gdy tylko konie zostały nakarmione i napojone. Moim towarzyszem jest doktor Ernst von Pfung, pobłażliwy arystokrata i uczonec z Heidelbergu. Kiedy był dzieckiem, jego kraj najechały i złupiły wojska cesarskie. Po zakończeniu wojny trzydziestoletniej, kiedy na mocy traktatu pokojowego Palatynat Reński przypadł Królowej Zimy, rodzina von Pfunga pomogła królowej osiedlić się w pozostałościach zamku w Heidelbergu, dzięki czemu doktor zna Zofię i jej rodzeństwo od bardzo dawna. Kształcił się w Heidelbergu, od początku aż do uzyskania doktoratu z prawa. Pełnił funkcję doradcy Karola Ludwika [brata Zofii, ojca Liselotte], kiedy ten był elektorem, a później starał się hamować nieprzewidziane zapędy następnego elektora, starszego brata Liselotte, Karola. Tyle że Karol był idiotą i interesowało go wyłącznie inscenizowanie oblężeń nadreńskich zamków, w których to oblężeniach zatrudniał w charakterze żołnierzy włóczągów pokroju Jacka. Podczas którejś z tych przygód nabawił się gorączki i zmarł. Jego śmierć wywołała spór o sukcesję, który król Francji właśnie zamierza wykorzystać.

Ponieważ w najwcześniejszych – i zarazem najstraszniejszych – wspomnieniach doktora von Pfunga katolicy żołnierze palą, rabują i gwałcą, zamartwia się on, że ten koszmar mógłby się powtórzyć, z tą tylko różnicą, że miejsce wojsk cesarskich zajęliby Francuzi. Wydarzenia z ostatnich kilku dni bynajmniej nie poprawiły mu humoru.

Pomiędzy Heidelbergiem i Księstwem Luksemburga Święte Cesarstwo Rzymskie zapuszcza na południe, w głąb Francji, stumilową wypustkę, sięgającą prawie do samej Mozeli. Wypustka ta nosi nazwę Saary. Doktor von Pfung, jako pomniejszy cesarski arystokrata, przywykł do tego, że może przejeżdżać przez Saarę swobodnie i bezpiecznie. W pobliżu lotaryńskiej granicy kraj ten dzieli się na maleńkie księstwa. Kluczając wśród nich, doktor zamierzał bezpiecznie przedostać się do samej Lotaryngii, która – oficjalnie – jest częścią cesarstwa, a przemierzywszy ją całą, przekroczyłby granicę francuską nieopodal St.-Dizier.

Na szczęście doktora cechuje mądrość i wyobraźnia, jakich należy oczekiwać od człowieka w jego wieku z jego wykształceniem. Zamiast po prostu założyć, że ten plan się powiedzie, kilka dni wcześniej wysłał jeźdźców na zwiady. Kiedy nie wrócili, mimo wszystko wyruszył w drogę, licząc na łut szczęścia, ale wkrótce spotkał na trakcie jednego z nich, a ten nie przynosił dobrych wieści. Zwiadowcy napotkali pewne trudności, których natury doktor nie chciał mi wyjaśnić. W każdym razie zarządził w tył zwrot i ruszył na południe wschodnim brzegiem Renu do Strasburga. Tam przekroczył granicę, znalazł się w Alzacji i dalej pędził na złamanie karku. Będąc arystokratą, ma prawo nosić broń i chętnie z tego prawa korzysta; oprócz rapiera przy pasie ma także – w powozie – muszkiet i dwa pistolety. Towarzyszy nam dwóch jeźdźców – młodych, podobnie uzbrojonych dżentelmenów. W każdej gospodzie i przy każdym brodzie musieli łąć jak z nut i blefować zawadiacko, żeby swobodnie przejechać dalej. Stałe napięcie związane z podróżą najbardziej odbiło się na doktorze. Gdy tylko wyjechaliśmy z St.-Dizier, przeprosił mnie uprzejmie, zdjął perukę z okolonej siwymi włosami łysiny, wyciągnął się przy otwartym oknie i przez kwadrans drzemał.

Podczas podróży nabrał wielu podejrzeń, natomiast niczego nie wie na pewno, co stawia nas oboje w podobnej sytuacji. Kiedy się obudził, zaproponowałam:

– Mam nadzieję, że nie poczyta mi pan tego za zbyt bezpośrednią, doktorze, ale mam wrażenie, że bardzo wiele zależy od tego, ile informacji zbierzemy – lub przeoczmy – w ciągu najbliższych kilku dni. Oboje wykorzystaliśmy wszelkie swoje umiejętności i spryt, a mimo to ledwie zadrasnęliśmy skorupę problemu. Czy nie wydaje się panu, że powinniśmy porzucić subtelności, zbratać się z odwagą i rzetelnie wziąć do pracy?

Wbrew moim oczekiwaniom doktor wyraźnie się odprężył. Uśmiechnął się, odsłaniając równe zęby, i skinął głową w czymś na kształt ukłonu-

– Już postanowiłem położyć moje życie na szali – przyznał. – Jeżeli wydaje się pani podenerwowany i rozkojarzony, to tylko dlatego że nie wiedziałem, czy mogę rozporządzać również pani losem. Nadal jestem niespokojny, jako że zostało pani znacznie więcej życia niż mnie, ale...



– Wystarczy, doktorze – przerwałam mu. – Nie traćmy czasu i energii na czece pogawędki. Klamka zapadła. Rzućmy kośćmi. Kim są ci dwaj młodzieńcy, którzy nam towarzyszą?

– To oficerowie kawalerii. Ludzie honoru, z rodzaju tych, którzy zapewne zginą pierwsi, kiedy Louvois zaatakuje.

– Woźnica?

– Od dziecka służy mojej rodzinie. Nie pozwoliłby mi samemu ani podróżować, ani umrzeć.

– Dobrze. Proponuję jechać prosto nad Mozę, która nie powinna leżeć dalej niż dwa, trzy dni ostrej jazdy na wschód stąd. Trzeba tylko przejechać przez Argonne.

Doktor von Pfung natychmiast zabębnił w dach powozu i wydał woźnicy dyspozycję, żeby przez cały dzień starał się jechać tak, by mieć słońce po prawej ręce. Woźnica, co zrozumiałe, wybierał najbardziej uczęszczane ze wschodnich traktów i naturalną koleją rzeczy podążaliśmy śladem, jaki w ostatnich dniach wyryły w ziemi ciężkie wozy zaprzężone w woły.

Minęło zaledwie kilka godzin, a na długim podejździe pod grzbiet rozgraniczający doliny Marny i Ornain wyprzedziliśmy pierwszy ich konwój. Wykorzystując szerszy od czasu do czasu szlak, wyprzedzaliśmy wozy jeden po drugim. Oboje z doktorem wyglądaliśmy przez okna. Widzieliśmy jak na dłoni wypełniające wozy gąski szarego metalu, który mógłby być żelazem, ale biorąc pod uwagę, że nie było na nim ani śladu rdzy, z pewnością był to jednak ołów. Mam nadzieję, Czytelniku, że nie uznasz mnie za dziecinną ani głupią, jeśli przyznam, że potwierdzenie moich podejrzeń i przenikliwość sprawiło mi przyjemność i wprawiło mnie w niemałe podniecenie. Ale wystarczył jeden rzut oka na twarz mojego współpasażera, by wszelkie miłe uczucia odpłynęły w niebyt – doktor wyglądał jak człowiek, który wraca nocą do domu i stwierdza, że z okien buchają płomienie i kłęby dymu.

Na czele konwoju jechał francuski kawalerzysta. Miał taką minę, jakby skazano go na sto lat czyścica. Nie próbował nas zatrzymywać, w końcu więc zostawiliśmy za sobą jego i całą kolumnę wozów, ale wkrótce, ze względu na naturę terenu, musieliśmy porzucić myśli o nadrobieniu straconego czasu. Argonne to szeroki grzbiet ciągnący się z północy na południe (czyli dokładnie w poprzek naszej marszruty), w dodatku gęsto poprzecinany głębokimi dolinami rzek. A tam, gdzie teren jest płaski, rośnie gęsty las. Nie mieliśmy więc innego wyjścia, jak jechać po szlakach, korzystając ze znajdujących się na nich rozchwierutanych mostów i zatłoczonych jak nieszczęście brodów.

Dobrze przynajmniej, że widok udręczonego kawalerzysty nasunął mi pewien pomysł. Poprosiłam doktora, żeby zamknął oczy, i kazałam mu obiecać, że nie będzie podglądał. Tak się przestraszył, że po prostu wysiadł z powozu i przez chwilę szedł traktem pieszo, ja zaś w tym czasie zrzuciłam smętny zakonny habit i włożyłam sukienkę. W Wersalu nikt nie

chciałby nią nawet zmyć podłogi, ale tu, w lesie Argonne, musiała zwracać powszechną uwagę.

Kiedy kilka godzin później zjeżdżaliśmy w dolinę rzeczki zwanej Ornain, wyprzedziliśmy kolejną karawanę ciągniętych przez woły wozów, posuwającą się w dół zbocza w gąszczu przekleństw, kolizji i drzazg z rozszczepianych desek. Tak jak poprzednio, prowadził ją młody oficer. Wyglądał równie żałośnie jak ten, którego widzieliśmy wcześniej, ale tylko do czasu, gdy wychyliłam się z okna – i przy okazji prawie wyskoczyłam z sukienki. Kiedy ochłonął po pierwszym wstrząsie, prawie rozplakał się z wdzięczności. Ucieszyłam się, że sprawiłam mu przyjemność w tak prosty sposób – wkładając suknię i otwierając okno. Rozdziawił usta jak ryba, postanowiłam więc zarzucić przynętę.

– Przepraszam, monsieur, nie widział pan mojego stryja?

Otworzył usta jeszcze szerzej i poczerwieniał.

– Jest mi ogromnie przykro, mademoiselle, ale nie znam pani stryja.

– To niemożliwe! Wszyscy oficerowie go znają!

– Proszę o wybaczenie, mademoiselle. Źle mnie pani zrozumiała. Pani stryj z pewnością jest sławnym człowiekiem i natychmiast rozpoznałbym jego nazwisko, a wtedy bez wątpienia oddałbym mu należną cześć, taki jednak ze mnie dureń i ignorant, że nie wiem, z kim mam do czynienia. Nie wiem więc również, który z wielkich ludzi ma zaszczyt być pani stryjem, mademoiselle.

– Myślałam, że mnie pan rozpoznał. – Skrzywiłam się. Na twarzy żołnierza odmalowało się przerażenie. – Jestem... – Odwróciłam się i pacnęłam doktora von Pfunga w rękę. – Przestań! – Znów spojrzałam na oficera. – Mój opiekun to stary piernik. Nawet mi się przedstawić nie pozwoli.

– Mademoiselle, to doprawdy nie wypada, by młoda dama sama przedstawiała się młodemu mężczyźnie.

– W takim razie będziemy musieli rozmawiać incognito, a potem udawać, że rozmowy nie było – powiedziałam, wychylając się z okna jeszcze bardziej. – Jak na schadzce.

Skinęłam na oficera. Przez chwilę bałam się, że zemdleje, spadnie z konia i okręci się wokół osi powozu. Z trudem, bo z trudem, ale jednak utrzymał się w siodle i podjechał tak blisko, że aby ułatwić sobie zachowanie równowagi, mogłam oprzeć się o rękę jego szabli. Zniżyłam głos.

– Domyśla się pan zapewne, że mój stryj jest wysokiej rangi oficerem, skierowanym w te okolice, żeby w nadchodzących dniach wypełnić wolę króla.

Żołnierz skinął głową.

– Wracalam właśnie z Oyonnax do Paryża, kiedy dowiedziałam się, że przebywa w tych stronach. Postanowiłam odszukać jego obóz i złożyć mu niespodziewaną wizytę, i ani pan, ani mój opiekun mi w tym nie przeszkadzicie! Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie znajdę ten obóz.

– Czy pani stryjem jest kawaler d’Adour, mademoiselle?

Zrobiłam taką minę, jakby zbierało mi się na wymioty.

– Oczywiście, oczywiście... Wcale tak nie myślałam. Nie pochodzi pani też raczej z rodu Lorraine, bo nie potrzebowałaby pani wskazówek... Może w takim razie Étienne d’Arcachon? Ależ nie, proszę o wybaczenie, d’Arcachon nie ma rodzeństwa, nie może więc też mieć bratanicy. Widzę jednak, że pani piękna buzia złagodniała, mademoiselle... Czyżbym zbliżał się do odkrycia prawdy? Jedynym człowiekiem w okolicy, który rangą przewyższa młodego d’Arcachona, jest marszałek Louvois we własnej osobie. Nie wiem, czy już wycofał się z frontu holenderskiego, ale kiedy to zrobi, proszę go szukać nad Mozą. Jeżeli tam usłyszysz pani, że już przyplłynął, mademoiselle, będzie musiała się pani udać na wschód, w głąb Saary.

\* \* \*

Tę rozmowę odbyłam przedwczoraj. Od tamtej pory cały czas brniemy przez las na wschód. Podróż przypomina trochę żalobną procesję, bo gdy tylko doktor von Pfung usłyszał nazwisko Louvois, stracił resztkę złudzeń co do tego, że Palatynat mógłby uniknąć francuskiego najazdu. Tyle że oficer, który wymienił jego nazwisko, mógł zgadywać, opierać się na bezpodstawnych plotkach, albo po prostu mówić to, co sądził, że chce usłyszeć. Musimy zdobyć niepodważalne dowody i na własne oczy zobaczyć, z kim mamy do czynienia.

Kiedy piszę te słowa, mozolnie zjeżdżamy kolejnym długim zboczem w zagłębienie terenu, które musi być doliną Mozy. Dalej rzeka przebija się przez Ardeny, przecina hiszpańskie Niderlandy i wpływa na ziemie przylegające do holenderskiej granicy, gdzie od dawna obozują najlepsze francuskie oddziały, szachując Wilhelma z flanki i blokując wszelkie ruchy jego armii.

*UWAGA KRYPTOGRAFA: W tym miejscu relacja zaczyna się rwać. Hrabina zablądziła w sam środek terenu zajmowanego przez armie Waszej Wysokości, gdzie przytrafiła się jej przygoda, której nie miała czasu opisać. Później, uciekając na północ w kierunku Nijmegen, sporządziła suche, niejasne notatki na ten temat, przeplecione długimi raportami szpiegowskimi, wyliczając oddziały maszerujące na południe doliną Renu, gdzie miały dołączyć do głównych sił Waszej Wysokości, i podając nazwiska ich dowódców. Po rozmowach z ludźmi, którzy widzieli ją we francuskim obozie, udało mi się odtworzyć jej marszrutę i częściowo zrozumieć zapiski. Dalsza zamieszczona tu relacja jest nieporównanie obszerniejsza od tego, co znalazłem w hafcie. Jest przy tym, jak mniemam, wierna faktom, przez co będzie*

*ciekawsza i bardziej przyjemna w lekturze. Usunąłem z niej wszystkie nudne spisy batalionów et caetera.*

– B.R.

Wpis w dzienniku

7 września 1688

Jadę co koń wyskoczy na północ. Mogę notować tylko po parę zdań w przerwach na zmianę koni. Straciliśmy powóz. Woźnica i doktor von Pfung nie żyją. Podróżuję w towarzystwie dwóch kawalerzystów z Heidelbergu. Jesteśmy w tej chwili w wiosce nad Mozą, chyba gdzieś niedaleko Verdun. Właśnie mówią mi, że musimy jechać dalej.

\* \* \*

Później. Zbliżamy się chyba do punktu, gdzie stykają się Francja, Księstwo Luksemburga i hiszpańskie Niderlandy. Musieliśmy odbić od Mozy i zagłębić się w las. Od miejsca, w którym się znajdujemy, aż do Liege, sto mil na północ stąd, Moza, zamiast płynąć prosto, zatacza szeroki łuk na zachód i na znacznym odcinku płynie przez ziemie francuskie. Dzięki temu doskonale sprawdza się jako szlak transportowy dla ciągnących z północy francuskich wojsk, ale dla nas zupełnie się nie nadaje. Spróbujemy więc przebić się przez Ardeny [bo tak nazywa się te lasy] na północ.

Wpis w dzienniku

8 września 1688

Jesteśmy nad rzeką. Próbuje złapać oddech i opatrzyć otarcia od siodeł. Hans szuka brodu. Ja przez ten czas spróbuję wszystko opisać.

Kiedy trzy dni temu [musiałam policzyć na palcach, bo mam wrażenie, że minęły nie trzy dni, lecz trzy tygodnie!] zjechaliśmy wreszcie nad Mozę, natychmiast zobaczyliśmy poszukiwane dowody – powalone tysiące wiekowych drzew, kłęby dymu wypełniające dolinę, pospiesznie sklecone pomosty wybiegające w nurt rzeki. Awangarda wojsk z nad holenderskiej granicy popłynęła w górę rzeki, spotkała się z przysłanymi z Wersalu oficerami i rozpoczęła przygotowania do przyjęcia głównych sił.

Doktor von Pfung milczał przez kilka godzin, a kiedy wreszcie przemówił, z jego ust popłynęły tylko rozwleczone, niezrozumiałe dźwięki. Zrozumiałam, że dostał wylewu.

Zapytałam, czy chce, żebyśmy zawrócili, ale pokręcił głową, wskazał na mnie i pokazał na północ.

Wszystko się posypało. Do tego momentu zakładałam, że postępujemy zgodnie z jakimś spójnym planem doktora, ale patrząc z perspektywy czasu, rozumiem, że po prostu rzuciliśmy się na oślep w wir niebezpieczeństwa, jak żołnierz, który daje się ponieść narowistemu koniowi. Długo nie mogłam zebrać myśli. Ze wstydem muszę przyznać, że na skutek mojego rozkojarzenia wpakowaliśmy się w sam środek obozowiska regimentu kawalerii. Francuski kapitan zastukał do drzwi powozu i kazał nam się opowiedzieć.

Wiedzieli już, że większość naszego małego grona porozumiewa się po niemiecku; nie trzeba by długo czekać, żeby się zorientowali, iż doktor i pozostała dwójka pochodzą z Palatynatu, to zaś oznaczałoby, że jesteśmy szpiegami i zasługujemy na najgorsze traktowanie.

Podczas długiego rejsu szalandą w górę Marny miałam aż nadto czasu, żeby wyobrazić sobie podobne nieszczęścia. Wymyśliłam więc i przećwiczyłam kilka bajeczek dla Francuzów, na wypadek gdyby przyłapano mnie na szpiegostwie. Kiedy jednak spojrzałam temu kapitanowi w oczy, zaniemówiłam i nie lepiej od doktora nadawałam się do opowiadania zmyślonych historyjek. Problem polegał na tym, że ani ja, ani Liselotte nie przewidziałyśmy, że francuska kampania przybierze takie rozmiary. Brało w niej udział tak wiele osobistości z królewskiego dworu, że w każdej chwili mogłam napatoczyć się na hrabiego lub markiza, z którym w Wersalu tańczyłam lub jadłam kolację i który natychmiast mnie rozpozna. A wtedy zamiast podawać fałszywe nazwisko i opowiadać nieprawdziwą historię, równie dobrze mogłabym od razu przyznać się, że jestem szpiegiem.

Dlatego powiedziałam prawdę.

– Proszę nie czekać, aż ten pan nas przedstawi. Miał wylew i postradał mowę – wyjaśniłam zdumionemu kapitanowi. – Jestem Eliza, hrabina de la Zeur, w służbie Elżbiety Charlotty, księżnej Orleanu i prawowitej dziedziczki tronu Palatynatu Reńskiego. To właśnie w jej imieniu dokonacie inwazji na Palatynat. Jej również służą moi opiekunowie, dworzanie z Heidelbergu. A ja jestem jej osobistą wysłanniczką. Mam śledzić wasze poczynania i dopilnować, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Idiotyczną wzmiankę o sprawiedliwości doczepiłam na końcu zdania, bo zabrakło mi słów i zaczynałam się denerwować. Nawet w podziemiach pałacu cesarskiego w Wiedniu, kiedy czekałam, aż szabla janczara werźnie mi się w szyję, nie czułam się tak bezbronna jak tu, nad Mozą. Myślę jednak, że mętność moich słów wywarła na kapitanie wrażenie, ponieważ cofnął się od okna, ukłonił nisko i obiecał, że niezwłocznie poinformuje zwierzchników o moim przybyciu.

\* \* \*

Hans wrócił. Podobno znalazł miejsce, w którym możemy spróbować przeprowić się przez rzekę. Dodam więc tylko, że wieść o naszym przybyciu została przekazana w górę hierarchii dowodzenia, aż dotarła do człowieka, który mógł mnie przyjąć, nie naruszając protokołu. Człowiekiem tym okazał się Étienne d'Arcachon.

Wpis w dzienniku  
10 września 1688

Mówią, że zbliżamy się do Bastogne. Miałam mało czasu na haftowanie, bo codzienne problemy bardzo dają się nam we znaki. Nawet w najspokojniejszych czasach w ardeńskim lesie roi się od wagabundów i rozbójników [a także, jak mówią niektórzy, wiedźm i strachów]. Ostatnio dołączyła do nich znaczna liczba francuskich dezertersów z maszerujących na południe oddziałów. Zeskakują z wolno płynących barek i brodząc w wodzie, wychodzą na brzeg, a potem przepadają w lesie. Musimy poruszać się bardzo ostrożnie i co noc wystawiać straże. Piszę te słowa, stojąc na warcie. Głupotą byłoby siedzieć przy rażno trzaskającym ogniu, usadowiłam się więc na drzewie, w rozwidleniu gałęzi, i opatulona kocami, haftuję przy świetle księżyca.

Ludzie najciężej doświadczeni przez życie często płodzą i wychowują przygłupich nicponi, jakby w ten sposób chcieli podkreślić swoją wielkość – tak jak bogaci Arabowie, którzy zapuszczają paznokcie. Podobnie rzecz się ma z diukiem d'Arcachon i jego jedynym prawowitym synem, Étienнем. Diuk przeżył koszmar rewolucji Frondy i zbudował królowi flotę wojenną. Étienne wybrał karierę wojskową – oto młodzieńczy bunt w jego wykonaniu.

O niektórych ludziach mówi się, że prędzej daliby sobie rękę uciąć, niż zrobiliby to czy tamto; o Étienne powiadano, że prędzej straciłby rękę, niż świadomie naruszył etykietę. Teraz jednak mówi się, że naprawdę z nadmiaru uprzejmości obciął sobie rękę, a właściwie stracił ją kilka lat temu na jakimś balu; relacje z tego wydarzenia różnią się między sobą, mam jednak wrażenie, że nie przysporzyło ono chluby jego rodzinie. W każdym razie szczegółów nie znam, ale cała ta historia brzmi prawdziwie. Étienne stał się zapalonym patronem rzeźbiarzy i złotników: sownie płaci im za protezy dłoni, jakie dla niego wykonują – niektóre wyglądają jak prawdziwe. Ręka, którą podał mi, kiedy wysiadałam z powozu, była wykonana z kości słoniowej i ozdobiona paznokciami z macicy perłowej. Kiedy w swoich apartamentach zasiadał do pieczonej kuropatwy, założył dłoń z rzeźbionego hebanu z przymocowanym na stałe nożem o ząbkowanym ostrzu; przy stole używał go do cięcia mięsa, ale równie dobrze mógłby użyć go jako broni! A po kolacji, kiedy próbował mnie uwieść, miał protezę wykonaną z nefrytu ze specjalnie powiększonym środkowym palcem, stanowiącym w istocie doskonałą kopię męskiego członka w erekcji. Kopia sama w sobie nie była niczym niezwykłym; widywałam podobne w wielu prywatnych kolekcjach „sztuki” w

Wersalu i okolicach. Panie i panowie uwielbiają trzymać w sypialniach takie zabawki jako dowód swojego wyrafinowania; wiele z tych komnat przypominało prawdziwe świątynie Priapa. Zaskoczyła mnie natomiast dodatkowa właściwość protezy, najwidoczniej pustej w środku i wyposażonej w mechanizm zegarowy. Kiedy bowiem Étienne d'Arcachon przestawił ukrytą dźwigienkę, proteza nagle ożyła i zaczęła buczeć jak szerszeń złapany w butelkę. W jej wnętrzu musiała kryć się ciasno zwinięta sprężyna, zawczasu nakręcona.

Nie muszę Ci chyba mówić, Czytelniku, jak bardzo sama byłam napięta po ostatnich wydarzeniach. Zapewniam Cię jednak, że napięcie w moim ciele ustąpiło znacznie szybciej niż w owej sprężynie.

Możesz pogardzać mną za to, że oddawałam się cielesnym przyjemnościom, kiedy doktor von Pfung leżał powalony wylewem krwi do mózgu, ale przesiedziawszy tyle czasu w zamkniętym powozie sam na sam z umierającym człowiekiem, nabrałam gwałtownej ochoty na zaznanie radości życia. W chwili szczytowania zamknęłam oczy i osunęłam się na wznak na łóżko. Z mojej piersi wydobył się przeciągły krzyk, całe ciało się rozluźniło. Étienne wykonał jakiś dyskretny manewr, na który prawie nie zwróciłam uwagi, ale kiedy otworzyłam powieki, miejsce nefrytowego fallusa zajął prawdziwy, należący do Étienne'a d'Arcachon. Znów pewnie podasz w wątpliwość mój zdrowy rozsądek, skoro pozwoliłam się wziąć w ten sposób. Masz do tego prawo, Czytelniku. Gdybym wyszła za mąż za takiego człowieka, popełniłabym okrutny błąd. Dopóki jednak szuka się kochanka, można trafić gorzej niż na mężczyznę, który jest czysty i niezwykle uprzejmy, a zamiast środkowego palca prawej dłoni ma wibrującego fallusa z nefrytu. Przyjemnie mi było czuć jego uda między moimi. Nie przyszło mi do głowy się opierać, a zanim zdążyłam na dobre rozeznaczyć się w sytuacji, on już szczytował.

Wpis w dzienniku

12 września 1688

Wciąż w tych przeklętych Ardenach. Przemieszczamy się w ślimaczym tempie na północ, z krótkimi przerwami na podglądanie ruchów francuskich wojsk. Las nie może się już daleko ciągnąć. Dobrze, że przynajmniej oswoiliśmy się z tym terenem i nauczyliśmy w nim poruszać, choć czasem mam wrażenie, że posuwamy się naprzód w tempie myszy wgrzyzającej się w drewnianą belkę.

Kiedy rankiem obudziłam się w łóżku Étienne'a d'Arcachon, on zdążył już wyjść, w czym nie było nic niezwykłego. Znacznie bardziej niezwykły był fakt, że na nocnym stoliku znalazłam napisany przez niego wiersz miłosny:

*Są panie, co chwalać się rodowodami,*

*Aż w końcu tchu w zachwytach im nie staje.  
Lecz drzewa stare, o pniach pokrytych mchami,  
Często rak toczy, zgnilizna i liszaje.*

*Krew mojej damy czysta jak górską krynica.  
Tytuł ma kupiony? Gorsze są obrazy.  
Nieskalana uroda jej jasnego lica  
Marzyć mi pozwala, o dzieciach śnić bez skazy.*

Mieszkał w małym *château* na wschodnim brzegu Mozy. Z okna widziałam belgijskie barki – różnych armatorów, pod różnymi banderami i dowództwem – płynące w górę rzeki. Na ich pokładach tłoczyli się francuscy żołnierze. Kiedy ubrałam się i zesłam na dół, czekał już na mnie powóz doktora von Pfunga.

Kiedy poprzedniego wieczoru opowiedziałam Étienne'owi d'Arcachon o losie mojego towarzysza podróży, przysłał swojego osobistego lekarza, aby się nim zaopiekował. Przystałam na to z pewnym niepokojem, mając w pamięci gwałt, jakiego dopuścił się królewski medyk na samym królu Francji. I rzeczywiście, woźnica poinformował mnie, że przez noc doktorowi dwukrotnie upuszczano krwi, co bardzo go osłabiło. Dał do zrozumienia, że bezzwłocznie chce wracać do Palatynatu, by ostatni raz spojrzeć na zamek w Heidelbergu.

Oboje z woźnicą zdawaliśmy sobie sprawę, że nie będzie to możliwe. Zgodnie z historyjką, którą uraczyłam naszego gospodarza, pełniliśmy rolę obserwatorów z ramienia Liselotte. W takim razie mogliśmy albo towarzyszyć głównym siłom, albo cofnąć się na zachód, w kierunku St. Cloud – z całą pewnością zaś nie powinniśmy wysforowywać się przed armię. A doktor von Pfung właśnie tego chciał. Wiedziałałam, że powinnam ruszyć na północ i poinformować księcia orańskiego, że lada chwila Francuzi odstąpią od południowej granicy jego państwa. Obmyśliliśmy więc plan, zgodnie z którym mieliśmy rzekomo odwiedzić doktora na zachód. W rzeczywistości przy pierwszej nadarzającej się okazji powóz zawróciłby ku wschodowi, kierując się do Heidelbergu, a ja ruszyłabym na północ w towarzystwie dwóch jeźdźców [obaj mieli imponujące nazwiska i tytuły, ale ja będę ich tu nazywać po imieniu: Hans i Joachim]. Gdyby ktoś później dziwił się moim posunięciom – co było więcej niż prawdopodobne – stwierdziłabym, że moi towarzysze, którzy okazali się protestanckimi szpiegami Wilhelma Orańskiego, uprowadzili mnie wbrew mojej woli.

Z początku wszystko szło zgodnie z planem – przekroczyliśmy Mozę, tym razem ze wschodu na zachód, i zaczęliśmy posuwać się wzdłuż jej brzegu w kierunku północno-zachodnim, przeciwnym do ruchu sunących traktem taborów wojskowych; ponieważ barki z żołnierzami posuwały się w górę rzeki, musiały być ciągnięte przez prowadzone brzegiem zaprzęgi.



Mniej więcej po pół dnia drogi dotarliśmy do promu, gdzie postanowiliśmy się rozdzielić. Wsiadłam do powozu, ucałowałam doktora i pożegnałam się z nim, mimo że wszystkie słowa, zwłaszcza improwizowane w takim pośpiechu, wydały mi się nieadekwatne; doktor potrafił więcej wyrazić spojrzeniem i jedyną sprawną ręką, niż ja tuzinem zdań. Znów przebrałam się w męski strój, aby uchodzić za służącego Hansa i Joachima, i dosiadłam kuca wypożyczonego ze stajni Étienne'a. Po krótkich targach z przewoźnikiem, który nie miał najmniejszej ochoty przeprowiać się na drugi brzeg w panującym na rzece ścisku, powóz wjechał na prom. Pod koła podłożono klocki, konie zostały spętane i rozpoczął się krótki rejs w poprzek Mozy.

Prom miał już przybić do wschodniego brzegu, kiedy zainteresował się nim francuski oficer, płynący na jednej z przybyłych z północy barek. Wypatrzył przez lunetę wymalowany na drzwiach pojazdu herb doktora von Pfunga i zorientował się, że powóz pochodzi z Palatynatu.

Woźnica miał wprawdzie list żelazny od Étienne'a d'Arcachon, ale list ten zezwalał mu wyłącznie na podróż w kierunku zachodnim – tymczasem właśnie przyłapano go na przekraczaniu Mozy z zachodu na wschód. Nie pozostało mu więc nic innego, jak rzucić się ucieczki, i to właśnie zrobił, gdy tylko prom dobił do brzegu. Jedyna droga po tamtej stronie biegła przez pewien czas równoległe do rzeki, by na wysokości pierwszej wioski odbić w głąb łądu. Woźnica musiał więc nią pojechać, doskonale widoczny z łodzi przewożących francuskich muszkietarów; niektóre barki były dodatkowo uzbrojone w falkonetki. Na wszystkich wszczęto alarm, Francuzi więc mieli aż nadto czasu, żeby załadować broń w oczekiwaniu na zjazd powozu z promu. Oficer schował lunetę i dobył szabli, którą najpierw wznosił nad głowę, a potem nią machnął, dając sygnał do salwy. W jednej chwili dym prochowy spowił łodzie i rzekę. W całej dolinie zaroilo się od spłoszonych ptaków, które wyprysnęły z drzew i zerwały się do lotu. Pociski posiekły karety na drzazgi i żywcem rozszarpały konie. Los dzielnego woźnicy i jego zdjętego niemocą pasażera był oczywisty. Mogłabym godzinami siedzieć nad brzegiem i zalewać się łzami, ale wieśniacy po naszej stronie rzeki zwrócili na nas uwagę i wiedzieli, że towarzyszyliśmy powozowi. Należało się spodziewać, że wkrótce sprzedadzą tę informację Francuzom na rzece. Ruszyliśmy więc dalej na północ, rozpoczynając podróż, która trwa do tej pory.

Wpis w dzienniku

13 września 1688

Okoliczni chłopcy twierdzą, że tutejszy pan na włościach jest biskupem. Mam nadzieję, że dotarliśmy do biskupstwa Liege, znajdującego się całkiem blisko jednej z wyciągniętych macek Republiki Holenderskiej. Hans i Joachim toczą zacieklą dyskusję po niemiecku, który

to język znam nad wyraz słabo, ale wiem, że jeden upiera się przy tym, żeby w pojedynkę wyruszyć na wschód, dotrzeć do Renu, tam skręcić na południe i uprzędzić Palatynat o inwazji. Drugi obawia się, że jest na to za późno, a ponieważ swojej ojczyźnie już nie mogą pomóc, powinni zemścić się na Francuzach, opowiadając się po stronie obrońcy Protestantów.

\* \* \*

Później. Hans i Joachim postanowili co następuje: pojedziemy na północ, do Maastricht, przedzierając się po drodze przez linie francuskich wojsk. Stamtąd spłyniemy barką do Nijmegen, gdzie Moza i Ren prawie się stykają. Mamy do przejechania około stu mil, ale i tak będzie to chyba szybsza droga nad Ren niż podróż stąd prosto na wschód, przez Bóg wie jakie tereny i niebezpieczeństwa. W Nijmegen Hans i Joachim zasięgną języka u pasażerów i przewoźników przybywających z góry Renu, z Heidelbergu i Mannheim.

Po wyruszeniu z obozu w okolicach Liege szybko wyjechaliśmy z rejonu zajmowanego przez wojska francuskie. Przemierzyliśmy obszar zrytej ziemi, na którym jeszcze przed paroma dniami znajdował się stały obóz Francuzów. Przed sobą mamy już tylko kilka regimentów, pozostawionych przy granicy dla zachowania pozorów. Zatrzymują i wypytują podróżnych, próbujących wjechać do Francji, ale nie interesują się takimi, którzy – tak jak my – udają się do Maastricht.

Wpis w dzienniku  
15 września 1688

Na statku. Płyniemy z Maastricht do Nijmegen. Niezbyt wygodnie, ale przynajmniej nie musimy już ani iść, ani jechać wierzchem. Odnawiam znajomość z mydłem.

Wpis w dzienniku  
16 września 1688

Siedzę w kabinie statku płynącego na zachód przez Republikę Holenderską. Otaczają mnie drzemiące księżniczki.

Niemcy uwielbiają bajki, czy też, jak je nazywają, *Märchen*, chociaż nieszczególnie idzie to w parze z ich racjonalną naturą. Równoległe z uporządkowanym chrześcijańskim światem istnieje u nich *Märchenwelt*, romantyczne, pogańskie królestwo cudów i magicznych

stworów. Nigdy nie pojmowałam, dlaczego wierzą w *Märchenwelt*, ale dziś jestem bliżej zrozumienia tego fenomenu niż wczoraj.

Wczoraj dotarliśmy do Nijmegen. Udaliśmy się od razu nad Ren. Ja rozglądałam się za statkiem płynącym w stronę Hagi i Rotterdamu, a Hans i Joachim zaczęli wypytywać podróżnych przybyłych niedawno z górnych partii doliny. Ledwie rozlokowałam się w wygodnej kabinie na płynącym do Hagi statku, gdy odszukał mnie Joachim. Towarzyszyły mu dwie istoty jakby żywcem wyjęte z *Märchenwelt*, nie gnomy, karły ani wiedźmy wprawdzie, ale księżniczki – jedna duża [na moje oko dobiega trzydziestki] i jedna kieszonkowa [już trzy razy poinformowała mnie, że ma pięć lat]. Jak można się było spodziewać, mniejsza ma lalkę, która, jak twierdzi jej właścicielka, również jest księżniczką.

Nie wyglądają jak księżniczki. Matka, Eleonora, potrafi wprawdzie nosić się po królewsku, ale nie od razu stało się to dla mnie oczywiste, ledwie bowiem zauważyła czyste łóżko [moje] i upewniła się, że Karolina – bo tak ma na imię jej córeczka – jest pod moją opieką, padła jak kłoda na [moje] łóżko i zasnęła kamiennym snem, z którego przebudziła się dopiero po paru godzinach, kiedy już dawno odbiliśmy od brzegu. Większość tego czasu spędziłam na pogawędkach z małą Karoliną, chcącą za wszelką cenę wbić mi do głowy, że jest księżniczką. Tylko kiedy to samo mówiła o brudnym kłębkę szmat, który ścisnęła w ramionach, nie traktowałam jej poważnie.

Za to Joachim upierał się, że kobieta w wymiętej sukni chrapiąca pod moim kocem to najprawdziwsza dama z królewskiego rodu. Chciałam sobie z niego zakpić, że dał się nabrać hochsztaplerce, ale w porę zaczęłam sobie przypominać opowieści o Królowej Zimy, którą papieskie legiony wyгнаły z Czech i skazały na tułaczkę po Europie, aż znalazła schronienie w Hadze. Poza tym życie w Wersalu najlepiej nauczyło mnie, że wielu arystokratów przez całe życie wegetuje w rozpaczliwej sytuacji materialnej. Co więc takiego dziwnego było w fakcie, że trzy księżniczki – matka, córka i lalka – włóczyły się głodne i zagubione po porcie w Nijmegen? Wojna dotarła w te okolice, a wojna zdziera zasłonę oddzielającą na co dzień nasz świat od *Märchenwelt*.

Zanim Eleonora się obudziła, naprawiłam lalkę i na tyle już oswoiłam się z Karoliną, że czułam się za nią odpowiedzialna, i gdyby jej matka po przebudzeniu okazała się jakąś furiatką, nie oddałabym jej małej. [Nie zawsze tak reaguję na małe dzieci. Kiedy w Wersalu grałam rolę guwernantki, trafiały pod moją opiekę całe tabuny nieznośnych smarkaczy, których nazwisk nie pomnę. Karolina była dziewczynką bystrą i miło mi się z nią rozmawiało, zwłaszcza biorąc pod uwagę, w jakim towarzystwie obracałam się przez ostatnie tygodnie].

Kiedy Eleonora wstała, umyła się i zjadła część moich zapasów, opowiedziała mi historię niesamowitą, ale – wedle współczesnych standardów – całkiem wiarygodną. Twierdzi, że jest córką księcia Saxe-Eisenach. Wyszła za mąż za margrabiego Brandenburgii-Ansbach. Pełne nazwisko ich córeczki brzmi Wilhelmina Karolina z Ansbach. Jednakże kiedy przed kilku laty

margrabia zmarł na ospę, tytuł przeszedł na jego syna z poprzedniego małżeństwa, który zawsze uważał Eleonorę za kogoś w rodzaju złej macochy [bo to przecież wszystko *Märchen*] i wyrzucił ją razem z małą Karoliną z rodzinnego Schloß. Wróciły więc do Eisenach, gdzie urodziła się Eleonora. Eisenach to miasteczko na skraju Lasu Turyńskiego, leżące około dwustu mil od miejsca, w którym teraz się znajdujemy. Wtedy, kilka lat temu, jej pozycja na świecie była dokładną odwrotnością mojej – miała znakomity tytuł i żadnego majątku. Ja mogłam tytułować się tylko niewolnicą i wagabundą, ale przynajmniej miałam jakieś pieniądze. Eleonora musiała zamieszkać w domku myśliwskim w Lesie Turyńskim, ale w gruncie rzeczy w Eisenach przyjęto ją niewiele lepiej niż w Ansbach po śmierci męża. I tak część roku spędzała w Eisenach, a część poświęcała na podróże po północnej Europie i odwiedziny u dalekich krewnych, zmieniając miejsce pobytu, zanim nadużyła rodzinnej gościnności.

Niedawno zawitała do Ansbach w nadziei na poprawienie stosunków ze swoim pasierbem. Ansbach znajduje się bardzo blisko leżącego nad Renem Mannheim, toteż tam właśnie udały się z Karoliną, szukając schronienia u kuzynostwa, które przed laty okazało Eleonorze odrobinę życzliwości. Tyle że tym razem przybyły w najgorszym możliwym momencie – kilka dni temu, kiedy to francuscy żołnierze tłoczyli się na Renie na pokładzie barek budowanych w Haguenau i ostrzeliwali z armat miejskie fortyfikacje. Na szczęście znalazł się w Mannheim ktoś, kto wykazał się przytomnością umysłu i załadował matkę z córką na płynący w dół rzeki statek wypełniony zamożnymi uchodźcami. Dzięki temu szybko opuściły zagrożony rejon, chociaż jeszcze przez cały następny dzień, jeśli nie dłużej, słyszały łoskot wystrzałów, niosący się echem po dolinie Renu. Bez przeszkód dotarły do Nijmegen, ale ponieważ podróżowały ściśnięte jak śledzie, wśród pasażerów z ropiejącymi ranami, Eleonora prawie wcale nie spała. Kiedy schodziły na ląd, Joachim – który w Palatynacie Reńskim jest ważną osobą – rozpoznał je na trapie i przyprowadził do mnie.

Nurt Renu powoli niesie nas – wraz z mnóstwem innego wojennego śmiecia – w stronę morza. Zdarzało mi się słyszeć i Francuzów, i Niemców wypowiadających się z niechęcią o Niderlandach, porównujących je do rynsztoka, który zbiera wszystkie śmieci i ścieki chrześcijańskiego świata, a zarazem nie ma dość siły, żeby wypłuć je do morza, przez co odpadki piętrzą się wokół Rotterdamu. To okrutne i niedorzeczne stwierdzenia, krzywdzące ten szlachetny i dzielny kraik. Kiedy jednak patrzę na siebie, na księżniczki i wspominam nasze niedawne tarapaty [błądzenie po nocy, po obcym i niebezpiecznym terenie, dopóki nie znaleźliśmy bieżącej wody, a potem spływanie z prądem ku morzu], nie mogę nie przyznać racji autorom tamtych słów.

Nie damy się jednak zmyć do morza. W Rotterdamie wyrwiemy się z naturalnego nurtu rzeki i skierujemy kanałem do Hagi. Tam księżniczki znajdą dach nad głową, tak jak znalazła go Królowa Zimy na zakończenie swojej tułaczki, ja zaś spróbuję zdać sensowny raport księciu Oranu. Haft od początku prezentował się fatalnie, ale zawiera informacje, na których

Wilhelmowi tak bardzo zależy. Kiedy sprawa zostanie załatwiona, może zrobię z niego ozdobną poszewkę? Każdy, kto mnie z nim zobaczy, dziwi się, że nie wyrzucę tej brudnej, poplamionej i wyblakłej szmaty, ale nie zamierzam się z nią rozstać. Niech mówią, co chcą, jest dla mnie bardzo ważna. Na początku chciałam zapisywać na niej tylko informacje o ruchach francuskich wojsk i tym podobne rzeczy, ale kiedy z upływem czasu okazało się, że często nie mam nic lepszego do roboty, zaczęłam utrzymywać w hafcie także moje przemyślenia i odczucia. Po części może robiłam to z nudów, a po części po to, żeby coś ze mnie przetrwało, gdybym została zabita lub wzięta do niewoli. To może się wydawać głupie, ale samotna kobieta, pozbawiona rodziny i mająca tylko garstkę przyjaciół, cały czas stoi na skraju otchłani rozpacz, wypływającej z obawy, że odejdzie z tego świata, nie zostawiając na nim śladu po sobie; że wszystko, co zrobiła, to rzeczy bez wartości; że jej poglądy [na przykład na osobę doktora von Pfunga] przepadną na wieki jak krzyk w ciemnym lesie. Przyznanie się do wszystkiego i odkrycie wszelkich tajemnic, tak jak ja to tutaj zrobiłam, jest niebezpiecznym przedsięwzięciem, ale gdybym się go nie podjęła, utonąłabym w bezmiarze melancholii, całkiem niezdolna do działania, i wtedy moje życie rzeczywiście straciłoby sens. A tak przynajmniej staję się częścią historii – jednej z tych, które mamusia opowiadała mi w *banyolarze* w Algierze; albo z tych, które Szeherezada przez tysiąc i jedną noc przedstawiała sułtanowi, by przedłużyć sobie życie.

Biorąc jednak pod uwagę naturę szyfru, który stosuję, Ty, Czytelniku, możesz w ogóle nie zaistnieć. Nie widzę więc powodu, dla którego miałabym dłużej przebijać igłą tę brudną szmatę, skoro jestem okropnie zmęczona, a kołysanie łodzi działa na mnie tak usypiająco.

## **Rossignol do Ludwika XIV, ciąg dalszy**

### **Listopad 1688**

Wasza Wysokość jest zapewne przerażony historią tej perfidnej zdrady. Obawiam się, że gdyby stała się powszechnie znana, wyrządziłaby ogromną szkodę reputacji bratowej Waszej Wysokości, księżnej orleańskiej, która, nawiasem mówiąc, nie posiada się ponoć z żalu i wcale nie odczuwa wdzięczności za to, co wojska Waszej Wysokości zrobiły dla zabezpieczenia jej praw do Palatynatu Reńskiego. Powodowany dżentelmeńskim szacunkiem dla jej rangi i zwykłym, ludzkim współczuciem, starałem się zachować najdalej posuniętą dyskrecję i nie rozgłaszać tych informacji, których rozpowszechnienie tylko przysporzyłoby jej dalszych cierpień. Dlatego powyższą relację przedstawiam wyłącznie Waszej Wysokości. D’Avaux dopomina się o jej kopię, ale odmawiam mu konsekwentnie i będę czynił tak nadal, dopóki Wasza Wysokość nie poleci mi udostępnić mu tego dokumentu.

W ciągu tygodni, które poświęciłem na odszyfrowanie dziennika hrabiny, Phobos i Deimos, spuszczone ze smyczy, zapędziły się na wschodni brzeg Renu. Ołów, za którym hrabina tak uparcie podążała aż nad Mozę, dotarł do Palatynatu, gdzie zakończył swą długą podróż, z niebywałą prędkością szatkując ciała i gmachy heretyków. Połowa młodych kawalerów opuściła Wersal i udała się na polowanie do Niemiec; wielu z nich pisze stamtąd listy, które z racji pełnionych obowiązków muszę czytać. Z nich to dowiedziałem się, że zamek w Heidelbergu przez wiele dni płonął jak pochodnia i że wszyscy z utęsknieniem czekają, aż pokaz będzie można powtórzyć w Mannheim. Pod koniec roku planowane są podobne spektakle w Philippsburgu, Moguncji, Spirze, Trewirze, Wormacji i Oppenheim. Zima będzie się przeciągać, i Wasza Wysokość, zatroskany brutalnością naszych wojsk, każe Louvois je wycofać i udzieli mu stanowczej nagany za niepotrzebne bestialstwo. Historycy będą zgodni, że nie można mieć pretensji do Króla Słońce za wojenne okrucieństwa.

Dzięki doskonałym źródłom wywiadowczym w Anglii Wasza Wysokość wie już z całą pewnością, że książę orański wylądował w tym kraju na czele armii. W jej skład wchodzi nie tylko Holendrzy, lecz także Anglicy i Szkoci, którzy stacjonowali w Niderlandach; hugenockie ścierwa, które przeniknęły tam z Francji; najemnicy i awanturnicy ze Skandynawii; oraz Prusacy pod rozkazami sprzyjającej sprawie Wilhelma Zofii Charlotty, córki tej przeklętej hanowerskiej suki Zofii.

Wszystko to jasno dowodzi, że Europa jest jak szachownica; nawet Wasza Wysokość nie może zdobyć (przykładowo) doliny Renu, nie poświęcając przy tym (przykładowo) Anglii. Z tego też powodu, jeżeli nawet Zofia i Wilhelm zyskają na swych niekończących się machinacjach, w ostatecznym rozrachunku przyjdzie im za to słono zapłacić. Jeśli zaś chodzi o hrabinę de la Zeur... No cóż, nowy król Anglii może uczynić ją księżną Qwghlm, lecz Wasza Wysokość z pewnością zadba o to, by poniosła odpowiednio bolesne straty.

Hrabia d'Avaux wzmógł nadzór nad hrabiną w Hadze. Praczki zatrudnione w domu Huygensa zapewniają go, że hrabina przez całe dwa miesiące nie uroniła ani kropli krwi miesięcznej. Jest w ciąży. Nosi w łonie bękartą d'Arcachona, a zatem stanowi część wielkiej francuskiej rodziny, której Wasza Wysokość jest ojcem. W sprawy rodzinne nie będę się mieszał, przynajmniej dopóki Wasza Wysokość nie postanowi inaczej.

To dla mnie zaszczyt, że mogę być uniżonym i posłusznym sługą Waszej Wysokości

Bonaventure Rossignol

**Sheerness, Anglia**

**11 grudnia 1688**

*Tedy się jasność królewska zmieniła, a myśli jego zatrwożyły nim, i związki biodr jego rozwiązały się, a kolana jego jedno o drugie się tłukły.*

Księga Daniela, 5:6<sup>15</sup>

Zazwyczaj Daniel nie miał nic wspólnego z bywalcami gospody „U świętego Jakuba” i głównie dlatego pozwalano mu w niej przesiadywać. Ten dzień był jednak wyjątkowy, z klientami „Jakuba” bowiem łączyły go aż dwie rzeczy. Po pierwsze, większość ostatniej nocy, a także upływającego właśnie dnia spędził – tak jak oni – błąkając się po Kencie i szukając króla. Po drugie, dałby się pokroić za półkwaterek piwa.

Stwierdziwszy, że jest zupełnie sam pośrodku podmokłej i błotnistej równiny, gęsto upstrzonej łódkami, wszedł do pierwszej z brzegu tawerny. Miał ochotę tylko na kufel piwa i – być może – kielbaskę na ciepło. Tymczasem oprócz nich znalazł Jakuba (z łaski Bożej króla Anglii, Szkocji, Irlandii i paru przypadkowych skrawków Francji) Stuarta, z zapalem okładanego pięściami przez dwóch pijanych w sztok angielskich rybaków. Był to dokładnie ten rodzaj głębokiego upokorzenia, jakiego monarchowie absolutni starają się za wszelką cenę unikać. W normalnych okolicznościach istniały stosowne straże i procedury, które miały temu zapobiegać. Można sobie było od biedy wyobrazić jakiegoś dawnego króla Anglii, powiedzmy Swena Widłobrodego, albo Ealmunda, władcę Kentu, jak wpadają na piwo do karczmy i wyskakują z pięściami do któregoś z klientów. Ale karczemne bijatyki zniknęły z listy Pożądanych Umiejętności Książęcych mniej więcej przed pięcioma wiekami, kiedy to zapanowała powszechna moda na rycerskość i rycerzy. A teraz było widać skutki tego zaniedbania – król Jakub II krwawił z rozbitego nosa. Chociaż trzeba uczciwie przyznać, że już od tygodni obnosił się z rozkwaszonym nochem. I tak jak w przeszłości śpiewało się o pojedynkach Ryszarda Lwie Serce z Saladynem u bram Jerozolimy, tak przyszłe pokolenia miały opiewać krwawy nos Jakuba Stuarta.

Krótko mówiąc, sytuacja w gospodzie rozwijała się zgoła niezgodnie z wszelkimi scenariuszami rozważanymi przez autorów podręczników etykiety, które Daniel miał okazję przekartkować w okresie swojej kariery na dworze. Wiedziałby, jak zwrócić się do króla na przedstawieniu teatralnym w Banqueting House albo jak zachować się na łowach w królewskim parku myśliwskim. Kiedy jednak przyszło mu być rozjemcą w królewskiej bójce w speluncie u ujścia Medway, był bezradny. Nie pozostało mu nic innego, jak zamówić wymarzony półkwaterek i zastanowić się nad sytuacją.

Jego Wysokość zaskakująco dobrze znosił niewdzięczne traktowanie. Naturalnie, nie raz już toczył bitwy na lądzie i morzu; nikt nigdy nie zarzucał mu, że jest mięczakiem. A na tę awanturę składały się głównie przepychanki i kuksańce. Nie była to właściwie prawdziwa bójka, tylko spektakl wystawiany dla – i przez – ludzi, którzy rzadko bywali na przedstawieniach Punchinella. W dodatku gospoda była stara i na wpół zapadnięta w

---

<sup>15</sup> Cytaty z Biblii za Biblią Gdańską (przyp. tłum.).

rzecznym mule, przez co sufit tak bardzo się obniżył, że rybacy nawet nie mogli się porządnie zamachnąć. Większość ciosów, zamiast w królewskie ciało, trafiała w próżnię, te zaś, które okazywały się celne, były w większości wymierzane otwartą dłonią, bez większego przekonania. Daniel miał wrażenie, że gdyby król przestał się kulić, zażartował i postawił wszystkim kolejkę, sytuacja zmieniłaby się diametralnie. Tylko że gdyby był tego rodzaju królem, w ogóle nie znalazłby się w tej spelunce.

Niemniej jednak Daniel poczuł ogromną ulgę, widząc, że Jego Wysokości nie dzieje się poważna krzywda. W przeciwnym razie czułby się w obowiązku sięgnąć po wiszącą u pasa szablę, a nie miał przecież pojęcia jak się nią posługiwać. Co innego Jakub II, on na pewno wiedziałby co z nią zrobić. Nurzając górną wargę w warstwie piany na piwie, Daniel fantazjował o tym, jak odpina broń od pasa i rzuca suwerenowi, który chwyta ją w locie, wyciąga z pochwy i zaczyna rzezać poddanych. Daniel mógłby jeszcze podkreślić swój udział w walce, na przykład rozbijając kufel na czyimś łbie; a już najlepiej by było, gdyby odniósł jakąś honorową ranę, może nawet dwie... Zapewniłoby mu to darmową podróż do Francji, z pokryciem wszelkich wydatków i biletem w jedną stronę. Tam otrzymałby angielski tytuł szlachecki i, nie mogąc odwiedzić należnego mu hrabstwa, dożyłby swoich dni przy dworze Jakuba na wygnaniu.

Piękny sen nie trwał długo. Jeden z napastników obmacał królewską kieszeń i coś z niej wyszarpnął. Krucyfiks. Chwila ciszy. Ci, którzy zorientowali się w sytuacji, poczuli się zobowiązani okazać należny szacunek krzyżowi – po części dlatego że stanowił symbol Męki Pańskiej, a po części przez fakt, że był wykonany głównie ze złota. W gęstej atmosferze gospody, konsystencją i ciężarem przypominającej auszpik, krzyż błyszczał olśniewająco, nawet roztaczał własny nimb. Kartezjusz, który wzdragał się przed ideą próżni, utrzymywał, że to, co bierzemy za pustkę, jest w rzeczywistości gęstym oceanem wirujących i zderzających się cząstek, wymieniających się ruchem, jaki Wszechmogący nadał wszechświatowi w chwili stworzenia. Francuz musiał wpaść na ten pomysł w takiej właśnie gospodzie jak ta. Daniel miał wątpliwości, czy kula wystrzelona z pistoletu zdołałaby przeryć sobie tunel w powietrzu spod jednej ściany pod drugą.

– Co to ma być? – zapytał rybak, potrząsając krzyżem.

– Jak to co? – zirytował się Jakub II. – Krucyfiks!

Znów zapadła cisza. Danielowi wywietrzała już z głowy rola hrabiego na wygnaniu w Wersalu i nagle poczuł się nieprzyjemnie zwyczajnie, całkiem w swojej skórze. Kusiło go, żeby podejść i przyrznać Jego Wysokości, choćby przez wzgląd na pamięć Drake'a, któremu na pewno ręka by nie zadrżała.

– Co to, jesteś jakimś zakichanym jezuickim szpiegiem? Jak nie, to po co obnosisz się z tym bałwochwalstwem? – spytał mężczyzna o zwinnych dłoniach, wymachując krzyżem tuż poza zasięgiem rąk króla. – Ukradłeś go, co? Zwinąłeś święty krzyż z płonącego kościoła!



Ci ludzie nie mieli pojęcia kto przed nimi stoi! Cała scena nagle nabrała sensu – bo do tej pory Daniel miał poważne wątpliwości, kto z obecnych w gospodzie cierpi na wywołane syfilisem omamy.

Jakub II zaskoczył cały Londyn, kiedy po północy odjechał galopem z Whitehallu. Ktoś widział go, jak wrzucał Wielką Pieczęć Królewską do Tamizy, co – jak na króla – było zachowaniem dość niezwykłym. Potem pognął jak strzała na wschód i od tamtej pory nie widział go żaden arystokrata ani plebejusz – do chwili gdy Daniel zbłądził do tej gospody, szukając orzeźwienia.

Na szczęście ochota, żeby podbiec i wyróżnić Jego Wysokość w królewską facjatę, już mu przeszła. Na wpół śpiący mężczyzna, oklapnięty na ławce pod ścianą, mierzył Daniela niezbyt dobrze wróżącym mu wzrokiem. Daniel doszedł do wniosku, że jeśli zamożny człowiek może zostać pobity i ograbiony tylko dlatego, że komuś przypomina szpiega jezuitów, los purytanina Daniela Waterhouse'a też jest niepewny.

Osuszył kufel do połowy i obrócił się wokół własnej osi, stojąc na środku tawerny. Poły jego płaszcz rozchyliły się, odsłaniając przypasaną szablę. Karczmarz z zawodowym zainteresowaniem odnotował obecność broni, ani przez chwilę nie patrząc na nią wprost. Należał do ludzi, którzy kątem oka dostrzegają absolutnie wszystko; gdyby dać mu lunetę, przytknąłby ją do ucha i widział przez nią nie gorzej od Galileusza. Miał co naj – mniej dwukrotnie złamany nos i potrzaskany lewy oczodół, przez co jego twarz wyglądała jak bryła gliny wyciekającej przez palce zaciśniętej pięści.

– Proszę dać swoim przyjaciołom do zrozumienia – powiedział do niego Daniel – że jeśli temu dżentelmenowi stanie się poważniejsza krzywda, jest świadek, który tak przedstawi sprawę sędziom, że im się włoski w perukach wyprostują.

Po tych słowach wyszedł na drewniany chodnik przed karczmą. Ów chodnik można by nazwać gankiem lub pomostem – w zależności od punktu widzenia. W teorii nie byłoby problemu z podpłynięciem do niego płaskodenną łodzią i zacumowaniem przy nim; w praktyce łodzie powyciągano na błotnisty brzeg w odległości rzutu podkową od obrośniętych brudem pali, na których wspierała się gospoda. Prowadzące od łodzi ślady wyglądały jak obrzmiałe rany w rozmięklej ziemi, a na deskach zmieniały się w bryzgi blocka. Pół mili dalej przeróżne statki kołysały się na kotwicy w szerokiej gardzieli Medway, uchodzącej w tym miejscu do Tamizy. Był odpływ! Jakub, morski bohater wojenny, admirał, który walczył (a czasem nawet wygrywał) z Holendrami, którego działa słyszał z daleka Isaac Newton, wymknął się z Londynu w najgorszym możliwym momencie. I tak jak król Kanut, musiał teraz czekać na przypływ. Okropność. Wyczerpany długą jazdą król musiał jakoś zabić czas i przypadkiem trafił akurat do tej gospody. Właściwie czemu miałby tego nie zrobić? Do tej pory, gdziekolwiek się pojawiał, ludzie klękali przed nim i mu służyli. Tyle że Jakub, który nie pił, nie przeklinał, jękał się i nie znał języka rybaków, równie dobrze mógł zablądzić do hinduskiej świątyni. Zmienił tradycyjną blond perukę na czarną, ale stracił ją na samym

początku szarpaniny. Rzadkie, żółtawe włosy, spocone i tłuste, kleiły mu się do na wpół łysej czaszki. Peruka pozwalała przeoczyć wiek właściciela. Daniel miał przed sobą podstarzałego jegomościa, zagubionego pięćdziesięcioletka.

Nagle odniósł wrażenie, że więcej łączy go z tym despota, papistą i syfilitykiem niż ze wszystkimi mieszkańcami Sheerness razem wziętymi. Nie podobał mu się kierunek, w jakim popychały go uczucia, kazał więc stopom nieść się w przeciwną stronę – ku drożynie uchodzącej za główną ulicę Sheerness, i dalej, do tawerny, gdzie stłoczyła się niezwykle liczba eleganckich dżentelmenów, wyłamujących palce i rozdających kopniaki wałęsającym się pod nogami kurczakom. Wszyscy ci ludzie – wśród nich i Daniel – przybyli w pośpiechu ze stolicy, ledwie kilka godzin po swoim królu, zakładając, że skoro Jego Wysokość opuścił Londyn, z pewnością ominie ich coś ważnego, jeśli za nim nie podążą. Jakże się pomylili!

\* \* \*

Wszedł do środka i o tym, co widział, opowiedział Aylesbury'emu, królewskiemu szambelanowi. Kiedy odwrócił się i zmierzał do wyjścia, niewiele brakowało, żeby skończył ze śladami ostróg na plecach – tak bardzo spieszyło się dworzanom, z których każdy chciał być pierwszy na miejscu zdarzenia. Stajenny przyprowadził mu konia. Wspiąwszy się na siodło – i zrównawszy w ten sposób z resztą jeźdźców – Daniel zwrócił uwagę, że na zwróconych ku niemu twarzach nie rysuje się przesadna cierpliwość. Pod żadnym względem nie podzielał ich romantycznego uniesienia. Wyjechał pierwszy na ulicę i rażnym galopem skierował się nad rzekę. Dla przypadkowych przechodniów grupa konnych musiała wyglądać jak oddział Kawalerów ścigający Kragłogłowego; Daniel miał tylko nadzieję, że nie jest to zwiastun wydarzeń z nieodległej przyszłości.

Dojechali na miejsce. Niewiarygodna wręcz liczba ważnych osobistości wcisnęła się do tawerny i stentorowymi głosami zaczęła wygłaszać rozmaite oświadczenia. Można by się spodziewać, że pijackowie i obiboki będą pryskać drzwiami i oknami, jak myszy spłoszone światłem latarni, ale na dwór nie wyszła żywa dusza. Nawet wtedy, gdy dla wszystkich stało się jasne, kogo mają przed sobą. Inaczej mówiąc, wyglądało na to, że prości ludzie z Sheerness nie traktują idei monarchii z przesadnym nabożeństwem.

Daniel przez minutę albo dwie zwlekał z wejściem do środka. Słońce zachodziło za poszczerbiony wał chmur, grube promienie jarmarcznego blasku kładły się w poprzek szerokiego ujścia Medway – zasolonej niecki o średnicy kilku mil i linii brzegowej poskręcanej jak zwoje mózgowie, w której zebrało się mrowie statków handlowych i okrętów wojennych. Te ostatnie skupiły się jak stado owiec na drugim końcu zalewu, za rozpiętym w poprzek rzeki łańcuchem, pod osłoną dział zamku Upnor. Z niewiadomego powodu Jakub spodziewał się, że flota Wilhelma Orańskiego zaatakuje właśnie w tej okolicy, czyli w najgorszym z możliwych miejsc. Tymczasem Protestancki Wiatr pognał holenderską flotę aż

do Zatoki Tor, setki mil na zachód stąd, prawie na granicy z Kornwalią. Od tamtej pory książę równym krokiem maszerował na wschód, a angielskie oddziały, które wyszły mu na spotkanie, natychmiast podawały tyły. Jeżeli nawet Wilhelm nie dotarł jeszcze do Londynu, wkrótce musiało to nastąpić.

Mieszkańcom wybrzeża, którzy otrząsnęli się z pierwszego szoku, wróciła ich naturalna, przesadna angielskość. Kobiety przemykały pospiesznie z podkasanymi spódnicami ku tawernie, sprawiając wrażenie, jakby ślizgały się po powierzchni mokradeł. Znosiły królowi jedzenie! Ludzie nienawidzili go tutaj i chcieli się go pozbyć, ale to jeszcze nie był powód, żeby nie okazać mu gościnności.

Daniel zwlekał nie bez powodu. Czuł, że powinien wejść do gospody i pożegnać się z królem. Poza tym bał się, że jeśli skieruje się na tym wierzchowcu w stronę Londynu, zostanie okrzyknięty koniokrądem.

Z drugiej strony została mu jeszcze godzina dnia, a korzystając z odpływu, mógł znacznie skrócić czas niezbędny na objechanie rozlewiska, sforsowanie rzeki i znalezienie suchej drogi do Londynu. Miał silne poczucie, że tu, gdzie jest, dzieje się coś ważnego. Ale, wracając do króla i jego zaimprovizowanego dworu w Sheerness, skoro miejscowe szumowiny nie były w stanie traktować monarchy poważnie, dlaczego sekretarz Towarzystwa Królewskiego miałby się nim przejmować?

Daniel odwrócił konia zadem do króla, spiął go ostrogami i pogalopował wprost w zachodzące słońce.

Od czasu babilońskich astronomów zdarzało się, że podczas zaćmień słońca obserwowano na ziemi złowieszcze cienie. Tymczasem zimowej Anglii zdarzało się fundować swoim udręczonym mieszkańcom zjawisko przeciwnej natury – po długich tygodniach, podczas których niebo było bezbarwne i mdłe, słońce znienacka przebijało się spod brzucha chmur – kiedy myślano już, że zaszło na dobre – i zalewało okolicę różem, pomarańczem i zielenią, czystymi i intensywnymi jak barwy szlachetnych kamieni. I mimo że Daniel był z całego serca empirystą, to kiedy ogarniała go taka jasność, śmiało przypisywał jej ukryte znaczenie. Przestrzeń z przodu wypełniało tylko światło, tak jakby jechał wprost w witraż. Za jego plecami (a tylko raz zadał sobie trud, żeby obrócić się w siodle i zerknąć przez ramię) niebo było siną pustką, a ziemia poszarpanym bezmiarem błota. Na środku pustkowiecia tawerna wznosiła się na palach, chylących się ku sobie nawzajem jak banda pijaczków. Ściany z desek wydzierały niebu odrobinę blasku, jedyne okno lśniło jak karbunkuł. Był to jeden z tych groteskowych krajobrazów, które przyciągały Holendrów gotowych je malować. I gdyby tak się nad tym zastanowić, to właśnie tak się stało tym razem – Holender przybył i namalował.

\* \* \*

Mało który podróżny zwracał uwagę na zamek Upnor. Był to skromny kamienny fort, zbudowany przed stu laty z polecenia Elżbiety, lecz sprawiający wrażenie znacznie starszego – tym bardziej że jego pionowe mury były już zupełnie przestarzałe. Niemniej jednak od czasów restauracji stanowił oficjalną siedzibę Louisa Angleseya, hrabiego Upnor i właściciela pięknej (jak zakładał Daniel) Abigail Frome. I właśnie dlatego Daniela na widok zamku przeszedł dreszcz; czuł się jak mały chłopczyk przejeżdżający obok nawiedzonego domu. Gdyby mógł, objechałby go szerokim łukiem, ale kursujący w jego pobliżu prom stanowił zdecydowanie najlepsze połączenie brzegów Medway, a w dodatku pora była fatalna, żeby dać się odwieść przesądom od powziętego zamiaru. Gdyby nie prom, musiałyby przejechać kilka mil w górę rzeki po jej wschodnim brzegu, aż do olbrzymiej stoczni wojskowej w Chatham, gdzie miałyby do wyboru kilka przepraw przez Medway. Tyle że wizyta w bazie floty wojennej podczas wrogiej inwazji mogłaby raczej wydłużyć niż skrócić jego podróż.

Zatrzymał się na przystani i udając, że daje koniowi odpocząć, bez przekonania rozejrzał się po okolicy. Słońce zaszło na dobre i krajobraz rysował się przed nim ciemnym błękitem na tle jeszcze ciemniejszego błękitu. Stojący frontem do rzeki zamek był otulony własnym cieniem, ale niektóre okna – zwłaszcza w przybudówkach – jaśniały światłem. W pobliskim pogłębionym kanale stał smukły dwumasztowiec.

Kiedy w sześćdziesiątym siódmym Holendrzy zapuścili się w te okolice i w trwającym trzy dni niespiesznym ataku część okrętów Karola II spalili, a część ukradli, zamek Upnor spisał się całkiem dziarsko – odmówił kapitulacji i z bezpiecznej odległości ostrzeliwał wszystkich Holendrów, jacy zapuścili się w zasięg jego armat. Hrabia Upnor, który długi hazardowe i histerię ze spiskiem papieskim miał dopiero przed sobą, przez chwilę mógł pławić się w odbitym blasku chwały. Ale fakt, że Holendrzy panoszyli się w głównej stoczni wojskowej jak u siebie w domu, rozdrażnił nawet takiego sprzedajnego niedojdę jak Karol II. Wkrótce w okolicy wyrosły fortyfikacje z prawdziwego zdarzenia, a zamek Upnor zdegradowano do roli olbrzymiej prochni, czegoś w rodzaju wysuniętego magazynu londyńskiej Tower; dano w ten sposób do zrozumienia, że nikt nie będzie płakał, jeśli Upnor wyleci w powietrze. Wyładowane prochem barki regularnie przyływały z Tower i cumowały w miejscu zajmowanym dziś przez ten dwumasztowy żaglowiec. Daniel kiepsko znał się na statkach, ale nawet wieśniak musiałby zauważyć, że dwumasztowiec ma na rufie kabiny z licznymi oknami, gdzie za zasuniętymi kotarami i zamkniętymi okiennicami palą się światła. Louis Anglesey rzadko się tu pokazywał – bo i po co zdrowy na umyśle hrabia miałby przesiadywać w wilgotnej kamiennej norze na beczkach z prochem? Jednakże w trudnych chwilach nie była to najgorsza kryjówka. Mury nie powstrzymałyby może holenderskich kul, ale tygodniami mogły opierać się naporowi protestanckiej tłuszczy, a do rzeki był dosłownie rzut kamieniem. Wystarczyło, żeby Upnor wsiadł na swój statek i właściwie był jedną nogą we Francji.

Zamku pilnowała garstka strażników przyciskających piki do piersi, dzięki czemu dłonie mieli wolne i mogli je schować pod pachy. Dla zabicia czasu gawędzili, spoglądali na biegnącą pod murami rzymską drogę, a czasem odwracali się i śledzili kolejny akt rozgrywającej się w zamku domowej komedii. Na wodzie unosiły się kurze pióra i obierki z ziemniaków, wiatr niósł zapach drożdży – krótko mówiąc, zamek funkcjonował jak normalny dom. Daniel doszedł do wniosku, że Upnora jeszcze w nim nie ma, ale mieszkańcy oczekują jego przybycia. Może nie tej nocy, ale z pewnością niedługo.

Zostawił zamek Upnor za sobą i wrócił do swojej samotnej nocnej przejażdżki po Anglii. Chwilami miał wrażenie, że na podobnych eskapadach strawił już pół życia. Po tym, jak sforsował Medway, od Londynu nie dzieliły go już żadne poważniejsze przeszkody, a do przejechania zostało mu około dwudziestu pięciu mil. Nawet gdyby nie jechał starym rzymskim traktem, nie powinien zablądzić – wystarczyłoby jechać od ogniska do ogniska. Ryzykował tylko, że tłum weźmie go za Irlandczyka. Fakt, że w niczym Irlandczyka nie przypominał, nie miał żadnego znaczenia; liczyły się plotki, a wedle nich Jakub sprowadził do Anglii cały legion celtyckich mścicieli. W taką noc jak ta wielu Anglików zgodziłoby się zapewne z twierdzeniem, że obcych jeźdźców należy najpierw spalić, a kiedy popioły ostygną, zidentyfikować na podstawie charakterystycznych cech uzębienia.

Przez całą drogę towarzyszyły mu więc na przemian nuda i groza, nuda i groza. Fragmenty nudne pozwalały spokojnie rozmyślać nad ciężącą na nim niezwykłą rodzinną klątwą – wyraźną skłonnością do towarzyszenia angielskim królom w ich ostatnich chwilach. Na własne oczy widział, jak spadła głowa z karku Karola I; patrzył, jak lekarze dobijają Karola II; a teraz to. Gdyby następny władca znał się na rzeczy, dopilnowałby, żeby Towarzystwo Królewskie kazało Danielowi do końca życia mierzyć ciśnienie atmosferyczne na Barbadosie.

Ostatni odcinek drogi zawiódł go znów w pobliże rzeki, która – rozświetlona wijącym się jak wąż szeregiem okrętowych latarni – przedstawiała sobą całkiem miły widok. Płaską jak stół dolinę znaczyły natomiast słupy oślepiającego ognia; ich ciepło czuł na policzkach z odległości mili, jak pierwszy palący rumieniec wstydu. Większość z nich pochodziła po prostu od ognisk, będących dla Anglików jedynym sposobem wyrażania emocji, choć w jednym z miasteczek, przez które przejeżdżał, katolicki kościół nie tylko płonął, ale walił się w gruzy; skapani w pomarańczowej poświacie ludzie wyłamywali łomami cegły ze ścian – ludzie, w których Daniel nie rozpoznawał już swoich rodaków.

Ciągnęło go ku rzece. Z początku tłumaczył sobie, że wabi go jej chłód i spokój. W Greenwich zjechał z traktu na nierówne pastwisko królewskiego parku. Nie widział dosłownie nic, co samo w sobie było dość zabawne, skoro w parku miało się mieścić obserwatorium. Z uporem trzymał się jednak raz obranej polityki, polegającej na prowadzeniu konia dokładnie tam, gdzie ten nie chciał iść, czyli pod górę. Miało to sporo wspólnego z próbami wywołania rewolucji w dużym i całkiem znośnie prosperującym kraju.

W środku nicości, wśród pagórków, na stromym stoku przycupnęła kanciasta budowla z niesymetrycznym dachem – niesamowity nawiedzony dom. Nawiedzony przez filozofów. Jego postument – zawierający pomieszczenia mieszkalne – był okolony drzewami, które dokumentnie zasłaniały widok z okien. Każdy inny mieszkaniec ściałby je bez namysłu, lecz Flamsteed pozwalał im się swobodnie rozrastać. Nie przeszkadzały mu, ponieważ całe dnie przesypiał, a nocami nie wyglądał przez okna, tylko patrzył w teleskop.

Daniel dotarł do miejsca, skąd w prześwitach wśród drzew majaczyły mu światła Londynu. Na tle łagodnie rozświetlonego nieba rysował się czarny X, tworzony przez sześćdziesięciostopowy refraktor osadzony na maszcie z rozbitego żaglowca. Pod szczytem wzniesienia Daniel skręcił w prawo, instynktownie unikając spotkania z Flamsteedem, który emanował tajemniczą siłą odpychającą. Prawdopodobnie nie spał, ale z powodu wszechobecnych światel nie mógł też prowadzić obserwacji, był więc jeszcze bardziej poirytowany niż zazwyczaj, a może na dodatek przestraszony. Dla bezpieczeństwa zamknął na głucho grube okiennice w oknach części mieszkalnej i zaszył się w jednym z maleńkich pokoików, skąd nie słyszał niczego poza tykaniem zegarów. Na górze, w ośmiokątnej wieżycze znajdowały się dwa zegary – zaprojektowane przez Hooke’a, zbudowane przez Tompiona i wyposażone w trzynastostopowe wahadła, które tykały (a właściwie dudniły metalicznie) co dwie sekundy, w wolniejszym niż bicie serca, hipnotyzującym rytmie, rezonującym w całej budowli.

Daniel pchnął konia w powolny trawers pod szczytem pagórka. W dole, nad rzeką, odsłaniały się powoli ruiny Placentii, królewskiego pałacu Tudorów. Następne pojawiły się nowsze kamienne budowle, które w tym samym miejscu zaczął stawiać Karol II, aż w końcu Daniel zobaczył Tamizę – najpierw zakole w Greenwich, a potem widok w górze rzeki aż po wschodnie rubieże Londynu. I nagle ukazało mu się całe miasto. Światła Londynu kładły się na pomarszczonej tafli wody jasną smugą, przełamowaną ciemnymi sylwetkami stojących na kotwicy statków. Gdyby dawno temu nie widział na własne oczy pożaru, który strawił miasto, mógłby w tej chwili pomyśleć, że cały Londyn płonie.

Znalazł się w dębowo-jabłoniowym zagajniku, porastającym tuż pod szczytem największą stromizną. Apartamenty Flamsteeda znajdowały się zaledwie kilka metrów powyżej, za plecami Daniela, przy południku zerowym. Zakręciło mu się w głowie od zapachu fermentujących jabłek, których Flamsteedowi nie chciało się pozbierać, gdy na jesieni pospadały z drzew. Nie bawił się w pętanie konia – puścił go wolno, żeby się najadł – i upił – jabłkami – a sam przesunął się w miejsce, z którego dobrze widział cały Londyn. Opuścił spodnie, przykucnął i zaczął eksperymentować z różnymi położeniami miednicy, mając nadzieję, że któreś z nich umożliwi mu wyciśnięcie choć kropli moczu. Czuł w pęcherzu głąz, przewalający się z boku na bok jak kula armatnia w worku.

Od czasu, gdy dwadzieścia dwa lata wcześniej Londyn spłonął doszczętnie, nigdy nie był tak rozświetlony. A już z pewnością nigdy nie rozbrzmiewał takimi dźwiękami. Kiedy słuch

Daniela oswoił się z panującą na pagórku ciszą, do jego uszu zaczął dobiegać zgiełk miasta – nie huk wystrzałów, nie turkot wozów na bruku, lecz szmer ludzkich głosów: najczęściej bełkotały coś nieskładnie, ale co rusz tworzyły chóry, wzbierając, zderzając się, łącząc i rozpluwając jak morskie fale, sondujące przypominającą labirynt deltę rzeki w poszukiwaniu drogi w górę jej nurtu. Śpiewały *Lilliburlero*, piosenkę, która w ostatnich tygodnia rozpowszechniła się w całym Londynie. Brzmiała wprawdzie dość absurdalnie, ale nikt nie miał wątpliwości co do jej sensu: precz z królem, precz z papieżem, precz z Irlandczykami.

Gdyby jeszcze żywił jakieś wątpliwości co do znaczenia sceny w tawernie, widok miasta jasno świadczył o tym, że dokonała się rzecz nazywana przez Daniela rewolucją. Była to rewolucja wspaniała, a najwspanialsze było w niej to, że nastąpiła bez rozgłosu. Obeszło się bez wojny domowej, bez rzezi, bez drzew uginających się pod ciężarem wisielców i bez statków wywożących z Anglii niewolników. Czy bardzo sobie pochlebiał, przypisując właśnie sobie część zasług?

Od dziecka wyczekiwał jednej jedynej wielkiej chwili, w której nastąpi Apokalipsa. Tymczasem, zamiast wyróżnionego dramatycznego momentu, był świadkiem powolnej zmiany; sięgnęła ona daleko, a działała dyskretnie i niespiesznie jak nawóz rozrzucony na polu. Jeżeli nawet nastąpiły jakieś ważne i gwałtowne wydarzenia, doszło do nich tam gdzie Daniela nie było. Gdzieś tam krył się punkt zwrotny, który później ludzie mieli nazwać Chwilą, W Której To Się Stało.

Nie był aż tak stetryczalym purytaninem, żeby się z tego nie cieszyć. Jednakże całą tę bezpłciowość i nijakość rewolucji uznał za znak. Wyobraził sobie, że jest astronomem i siedzi w ośmiokątnej wieży (wznoszącej się za jego plecami), gdy z kontynentu przychodzi list, w którym Kepler stwierdza, że Ziemia nie leży jednak w centrum wszechświata. Tak jak ten wyimaginowany astronom, Daniel również miał ogromną wiedzę i wynikające z niej poglądy, z których tylko część była błędna, ale które w całości musiał zrewidować i od nowa zrozumieć. Trochę go ta refleksja przygnębiła; przypominało to chwilę, gdy kapryśny wiatr dmuchnie w głąb komina, wypełni dymem pokój pełen bawiących się w nim gości, i okryje pudding gorzką warstewką sadzy. Nie był gotowy na życie w takiej Anglii.

I teraz już rozumiał, dlaczego rzeka tak go pociągała – nie chodziło o to, że była taka spokojna, lecz o to, że mogła go zanieść gdzie indziej.

Zostawił konia w sadzie, dołączywszy liścik z wyjaśnieniem dla Flamsteeda, który na widok zwierzęcia musiał wpaść w szal. Zszedł nad Tamizę i obudził znajomego przewoźnika, pana Bhnha, patriarchę małej qwghlmiańskiej osady na południowym brzegu rzeki. Pan Bhnh tak się przyzwyczaił do nocnych przepraw naturalistów, że któryś z nich żartobliwie mianował go członkiem Towarzystwa Królewskiego. Teraz zgodził się przewieźć Daniela na Psią Wyspę po północnej stronie koryta.

Całkiem niedawno obniżka kosztów produkcji szkła okiennego, idąc w parze z rozwojem architektury, umożliwiła stawianie całych ciągów sklepów o wychodzących na ulicę

przeszkłonych witrynach, dzięki czemu przechodnie mogli podziwiać wyłożone w nich towary. Przemysłni inwestorzy, tacy jak Sterling (hrabia Willesden) Waterhouse i Roger (markiz Ravenscar) Comstock wybudowali całe dzielnice, w których dworzanie spędzali czas właśnie na takim podziwianiu. Słowo „zakupy” coraz częściej oznaczało przyklejanie nosa do szyby. Daniel, rzecz jasna, nie poddał się temu nowomodnemu kaprynowi, ale teraz, przepławiając się na drugi brzeg rzeki, takim samym wzrokiem taksował statki. I przebierał w nich jak w ulęgawkach. Łodzie wiosłowe, puchówki i barki kursujące po delcie Tamizy zupełnie go nie interesowały. Stateczki żeglugi przybrzeżnej – czyli wszystkie z gąflowym ożaglowaniem – traktował jak zawałidrogę. W gąszczu masztów wypatrywał prawdziwych żaglowców, wznoszących reje z dumą, jak księża Wysokiego Kościoła udzielający tłumowi sakramentu, pod samo niebo, gdzie wiatr wiał rześko i mocno. Zwisające z rej żagle przywodziły mu na myśl kapłańskie szaty. Niewiele takich statków cumowało tej nocy w porcie, ale Daniel wyłowił je wszystkie z ciżby i każdy ocenił surowym okiem. Szukał takiego, który go stąd zabierze. Chciał chociaż raz odpłynąć tak daleko, żeby stracić z oczu ląd, a potem umrzeć i dać się pochować na innym kontynencie.

Jeden żaglowiec szczególnie przyciągnął jego uwagę – smukły, schludny, dobrze utrzymany. Korzystając z przypływu, posuwał się wolno w górę rzeki, popychany delikatną południową bryzą. Daniel nie czuł nawet jej podmuchów, ale załoga *Zająca* dostrzegła drżenie wstążek zawieszonych na topach masztów i natychmiast postawiła topsle, które chwyciły odrobinę wiatru. Przesłoniły też część iluminacji, rzucając w mrok długie, trójkątne cienie. Żagle trzepotały nad czarną rzeką, połyskując jak zasłonięte firankami i oświetlone od środka okna. Pan Bnhn płynął za *Zajęcem* przez dobre pół mili, wykorzystując jego pusty kilwater, wyryty wśród mniejszych jednostek.

– Szykuje się długi rejs – stwierdził w zadumie. – Może do Ameryki? Wyjdzie z portu przy najbliższym odpływie.

– Gdyby miał linę z kotwiczką, wdrapałbym się na pokład jak pirat – powiedział Daniel. – I gdzie się ukrył.

Pan Bnhn nie przywykł do tego, by jego klienci wygłaszali tak niezwykle opinie.

– Wybiera się pan do Ameryki, panie Waterhouse?

– Pewnego dnia tak. Ale na razie trzeba jeszcze posprzątać tutaj.

Panu Bnhnowi wcale się nie podobało, że ma wysadzić Daniela w ognistej dzicy wschodniego Londynu, gdzie roiło się tej nocy od pijanych niebieskich ptaków, a perspektywa pościgu za prawdziwym lub wymagowanym jezuitą burzyła im krew w żyłach.

Daniel nie podzielał obaw pocziwego przewoźnika. Bez przygód przebył całą drogę z Sheerness, a nawet tam, w tawernie, nikt go nie zaczepiał. Ci, którzy w ogóle zwracali na niego uwagę, szybko przestawali się nim interesować – albo (o dziwo) peszyli się i spuszczaali wzrok. Wszystko przez to, że na jego twarzy malowała się niewymuszona nonszalancja



I człowieka, który wie, że i tak najdalej za rok umrze. Ludzie jakby wyczuwali, że zalatuje od niego cmentarzem, i chętnie go omijali. A z drugiej strony człowiek bezdzietny, któremu zostało tak mało życia, nie musiał się szczypać z pieniędzmi.

– Zapłacę funta, jeśli zabierzesz mnie prosto do Tower – zaproponował Daniel.

Widząc malujące się na twarzy pana Bhnha wahanie, ostrożnie rozchylił sakiewkę, wyrzucił z niej garść monet na deski oświetlone blaskiem latarni i wybrał z nich jedną lekko połyskującą i prawie okrągłą. Na środku widniała powgniatana i porysowana srebrna wypukłość, którą przy sprzyjającym oświetleniu, zmrużonych powiekach i dużej dozie wyobraźni można by od biedy uznać za podobiznę pierwszego króla Jakuba. Jakub I nie żył wprawdzie od sześćdziesięciu paru lat, ale cieszył się opinią władcy rzetelnie prowadzącego królewską mennicę. Dłoń przewoźnika zacisnęła się na monecie i w tej samej chwili powieki Daniela zatrzasnęły się z niemal słyszalnym łoskotem. Przez chwilę resztkami świadomości zdawał sobie sprawę z tego, że pan Bhnh troskliwie okrywa go grubymi wełnianymi kocami, a potem wszystko zniknęło.

\* \* \*

*Bo się wróci król północny, i uszykuje większe mnóstwo niż pierwsze; lecz po wyjściu czasu kilku lat z nagła przyjdzie z wielkiem wojskiem i z wielkim dostatkiem.*

*Onychże czasów wiele ich powstanie przeciwko królowi z południa; ale synowie przestępników z ludu twego będą zniesieni dla utwierdzenia tego widzenia, i upadną.*

*Bo przyciągnie król z północy, i usypie wały, i weźmie miasto obronne, a ramiona południowe nie oprą się, ani lud jego wybrany, i nie stanie im siły, aby dali odpór.*

Księga Daniela, 11: 13-15

Ponieważ zasnął w łodzi pana Bhnha, właściwie nie powinien się być zdziwić, kiedy obudził się tej samej nocy w tej samej łodzi – tymczasem Daniel był kompletnie oszołomiony; musiał wszystko na nowo zobaczyć i zrozumieć. Jego ciało było ciepłe od góry, zimne od dołu i ogólnie bardzo niezadowolone z niemiłego traktowania. Kilka razy na próbę otworzył i zamknął powieki, żeby sprawdzić, czy uda mu się w końcu obudzić w ciepłym łóżku, ale musiał się znajdować pod działaniem potężnego czaru, który skazał go na egzystencję w tym a nie innym czasie i miejscu. Nazwanie stanu, w jakim się znajdował, sennym koszmarem byłoby pójściem na łatwiznę, gdyż otaczająca go rzeczywistość obfitowała w szczegóły i tętniła zepsuciem, czego koszmarom zwykle brakowało. Nadal otaczał go płonący, dymiący, rozspiewany Londyn, ale przed sobą, na wyciągnięcie ręki, miał Daniel niski, kamienny mur, wyrastający z wód Tamizy i gęsto oblepiony pływającym w rzece świństwem. Na jego szczycie wznosił się zlepek niepozornych budynków, obok stały dźwigi i armaty, płonęło kilka małych i dość zdyscyplinowanych ognisk, kręcili się uzbrojeni

mężczyźni i tłoczyli chłopcy na posyłki. Powietrze pachniało węglem, żelazem i siarką, przez co budziło skojarzenia z laboratorium Isaaca. A ponieważ zmysł węchu jest zakorzeniony głęboko w lochach umysłu, tam gdzie kryją się i mnożą mroczne, na wpół ukształtowane fantazje, Danielowi przeszło przez myśl, że może Isaac przyjechał do Londynu z zamiarem objęcia doczesnej władzy i zbudował w mieście laboratorium wielkie jak całe Jeruzalem.

Dopiero po chwili dostrzegł kamienne baszty i mury wznoszące się nad kamiennym nabrzeżem, i następne wieże w głębi, wyższe od tych pierwszych, i – wreszcie – górującą nad wszystkim twierdzą z jasnego kamienia. Nagle zrozumiał, że leży w łodzi u stóp Tower. Grzmot wody w sztucznie spiętrzonych kataraktach Mostu Londyńskiego, dobiegający gdzieś z lewej strony, potwierdził jego domysły.

W murze nabrzeża był wydrążony łukowato sklepiony przepust, którego posadzkę stanowiła cuchnąca i nieruchoma odnoga Tamizy. Łódź pana Bhnha utrzymała się w przybliżeniu na wysokości przepustu, chociaż nurt spychał ją w dół rzeki, a przyływ parł w górę, przez co padała łupem maruderskich wirów i niepokornych fal. Inaczej mówiąc, przewoźnik wykorzystywał całą swoją umiejętność nietonięcia, nabytą w skalistych cieśninach Qwghlm, ciężko i rzetelnie zapracowując na swojego funta – tym bardziej że poza zwycięskimi zmaganiem z żywiołem prowadził również negocjacje z człowiekiem stojącym na nabrzeżu nad przepustem. Ten człowiek z kolei, używając tuby, przekrzykiwał się z mężczyzną w peruce znajdującym się na parapecie ściany twierdzy – średniowiecznego, opatrzonego blankami muru, gęsto utkanego nowoczesnymi działami, przy których nie uwijały się liczne ekipy artylerzystów.

Część zgromadzonych na nabrzeżu ludzi stała na tyle blisko ognisk, że Daniel rozeznał kolory ich mundurów. Miał przed sobą strażników z Black Torrent Guards.

Wstał, odrzuciwszy ciężące mu grube i wilgotne koce. Ciało boleśnie przypomniało mu, że obchodzi się z nim po macoszemu, odkąd przed dwudziestoma czterema godzinami wstał z łóżka na wieść o ucieczce króla.

– Sierzancie! – zawołał do mężczyzny na nabrzeżu. – Proszę poinformować tamtego oficera, że zbiegły więzień wrócił.

\* \* \*

Kiedy królewscy strażnicy udali się z Jakubem na zachód, ich dowódca, John Churchill, wymknął się dyskretnie z obozu i wyjechał naprzeciw Wilhelma Orańskiego. Black Torrent Guards mogli być tym zaskoczeni, ale nie Daniel, który prawie rok wcześniej podczas wizyty w Hadze osobiście przekazał Wilhelmowi Orańskiemu znajdujący się wśród wielu innych list od Johna Churchilla. Nie czytał, rzecz jasna, tych listów, ale domyślał się ich treści.

Po kilku dniach Churchill wrócił z całym regimentem do Londynu, jeśli jednak miał nadzieję odzyskać dawną kwatery w Whitehallu, to srodze się zawiódł. Wilhelm, nie

nabrawszy jeszcze należytego rozeznania w nowo objętym królestwie, w pałacach Whitehall i St. James rozlokował własną Błękitną Gwardię i odpowiadało mu, że Black Torrent Guards będą stacjonować w bezpiecznej odległości. Tym bardziej że strzegąca rzeki Tower i tak wymagała przecież obrony jako siedziba królewskiej mennicy i największy arsenał królestwa.

Żołnierze Churchilla znali Daniela jako nieszczęśnika, którego Jakub II wtrącił do więzienia. Hip, hip, hurra! Wiedzieli, że Jeffreys nasłał na niego morderców. Hip, hip, hurra! I że zawarł jakiś dyskretny układ z sierżantem Shaftoe. Hip, hip, hurra! po raz trzeci. Z tych powodów na krótko przed „ucieczką” stał się kimś w rodzaju maskotki regimentu. Irlandczycy trzymali przy oddziałach olbrzymie wilczarze, a Black Torrent Guards mieli własnego purytanina.

Koniec końców pozwolono panu Bnhowi przeprowadzić łódź przez tunel pod nabrzeżem. Kiedy wypłynęli z drugiej strony, na krótko mignęło im niebo, w połowie przesłonięte przez masywną sylwetkę wieży świętego Tomasza, będącą solidną twierdzą, doklejoną do zewnętrznego muru Tower i rozkraczoną nad kolejnym kamiennym łukiem wypełnionym śmierdzącą wodą z fosy. W tym przepuście drogę przegradzała im krata, która jednak została podniesiona, kiedy się do niej zbliżyli; jej pionowe zęby zostawiały po sobie oleiste wiry na wodzie. Pan Bnh zawahał się, tak jak zrobiłby to na jego miejscu każdy zdrowy na umyśle człowiek, i na moment zadarł głowę, jakby się bał, że już nigdy nie ujrzy nieba. Wziął do ręki pych i namacał dno.

– To herb mojego rodu – stwierdził Daniel. – Kamienny zamek, pod którym przepływa rzeka.

– Proszę tak nie mówić! – zasyczał pan Bnh.

– Dlaczegoż to?

– Wpływamy w Bramę Zdrajców!

\* \* \*

Za wąskim przepustem Bramy Zdrajców znajdował się zbiornik przykryty pięknym kamiennym sklepieniem. Jakiś inżynier zbudował tu niedawno napędzaną siłą pływów maszynę, pompującą wodę do cysterny położonej gdzieś wyżej, w głębi twierdzy. Jej przeraźliwy zgrzyt, przywodzący na myśl zgrzytającego zębami jaskiniowego trolla, przeraził pana Bnha bardziej niż wszystko, co tej nocy widział i słyszał. Przewoźnik bardzo chętnie się ulotnił, a Daniel stanął na wiekowych, oślizłych schodach. Ostrożnie wszedł po nich na Water Lane, uliczkę biegnącą między wewnętrznym i zewnętrznym pierścieniem umocnień, gdzie niedawno rozbito tymczasowe obozowisko. Wylegiwało się w nim – na kocach lub cienkich słomianych podściółkach – kilkuset Irlandczyków. Szczęściarze palili fajki, inni wygrywali na piszczałkach żałobne lamenty, od których włos jeżył się na głowie. Nikt nie palił tu uroczystych ogni; płonęły tylko nieliczne małe ogniska, na których gotowano strawę.

Ogień kładł się smętną, czerwonawą poświatą na dnach kociołków oraz rękach i twarzach siedzących dookoła ludzi. Z pewnością istniało jakieś racjonalne wytłumaczenie obecności Irlandczyków, chociaż Daniel się go nie domyślał. Ale to właśnie takie tajemnice ubarwiały miejskie życie.

Podszedł do niego Bob Shaftoe, oganiając się od dwóch małych obdartusów, pędzących za nim na bosaka, chociaż był już grudzień. Oстрыm, nawet okrutnym tonem kazał im iść w diabły. Nim zaczęli uciekać, Daniel mógł przyjrzeć się ich buziom i odniósł wrażenie, że w jednej z nich dostrzega rodzinne podobieństwo do rysów Boba.

Sierżant Shaftoe szedł w stronę wieży Byward, gdzie znajdowała się brama prowadząca do miasta. Daniel zrównał się z nim i po paru krokach jazgot maszyny do podnoszenia wody przycichł na tyle, że nie musieli do siebie krzyczeć.

– Już byłem gotowy wyruszyć bez pana – poskarżył się Bob.

– Dokąd?

– Bo ja wiem... Do zamku Upnor?

– Tam go jeszcze nie ma. Założę się, że wciąż siedzi w Londynie.

– Chodźmy w takim razie na Charing Cross. Ma tam niedaleko dom.

– Moglibyśmy pojechać konno?

– Pyta pan, czy dowódca obsady Tower sprezentuje panu, zbiegowi, konia...

– Nieważne. Są inne sposoby pokonania Strandu. Wiadomo coś o Jeffreysie?

– Dałem Bobowi Carverowi bardzo wyraźnie do zrozumienia, że dostarczenie nam informacji o miejscu pobytu tego jegomościa jest sprawą niezwyklej wagi. Nie wiem czy się tym przejął. W dodatku ma krótką pamięć, a dziś Londyn obfituje w rozrywki i atrakcje, które człowiekowi pokroju Carvera mogą się wydać szczególnie pociągające.

Wyszli przez bramę poza obręb twierdzy i znaleźli się na mostku – leżąca na początku drewniana kładka, którą łatwo było zrzucić do fosy, dochodziła do kamiennej rampy, a ta do grobli przerzuconej nad resztą fosy. Tu natknęli się na Johna Churchilla, palącego fajkę w towarzystwie dwóch uzbrojonych dżentelmenów; Daniel znał ich i nawet mógłby sobie przypomnieć ich nazwiska, gdyby byli wari takiego zachodu. Widząc Daniela, Churchill zostawił swoich kompanów, stanął przed sierżantem Shaftoe i posłał mu złowrogie spojrzenie, jednoznacznie mówiące „idź dalej!”. W ten sposób Daniel został na środku grobli sam na sam z Churchillem.

– Powiem prawdę: nie mam pojęcia, czy weźmie mnie pan teraz w ramiona i mi podziękuję, czy dźgnie mnie nożem i zepchnie do fosy – wypalił bez ogródek Daniel. Był podenerwowany i tak wykończony, że nie do końca panował nad tym, co mówi.

Churchill potraktował jego słowa ze śmiertelną powagą, z czego Daniel wywnioskował, że dzięki łutowi szczęścia powiedział coś niezwykle ważnego. Często widywał Churchilla w Whitehallu; zawsze otaczała go aura powagi i dostojeństwa, którą wzbudzała przede wszystkim peruka. Wszyscy wyczuwali, kiedy się zbliżał. Nigdy jeszcze nie był osobą tak

ważną jak tej nocy – tymczasem, kiedy tak stali na grobli, peruka (rozpaczliwie dopominająca się o czyszczenie) była wszystkim, co zostało mu z majestatycznego nimbu. Łatwo było dostrzec w nim syna sir Winstona, szczeniaka z Towarzystwa Królewskiego, który zapuścił się do wielkiego świata.

– Od tej pory wszyscy będą mieli takie wątpliwości – odparł Churchill. – Dawne wzorce, wedle których ocenialiśmy ludzkie cnoty, przepadły wraz z monarchią absolutną. Pańska rewolucja szerzy się jak pożar. I jest zdradliwa. Nie wiem, czy koniec końców i pan nie da się złapać w jej sieci. Jeśli jednak tak się stanie, nie będzie w tym mojej winy...

– Wyraz pańskiej twarzy zdaje się dopowiadać „pod warunkiem, że...”.

– Pod warunkiem, że w dalszym ciągu będzie pan wrogiem moich wrogów...

– Niestety, nie mam wyboru.

– To pan tak twierdzi. Ale kiedy przejdzie pan przez tę bramę – Churchill wskazał stojącą na końcu grobli Wieżę Środkową, której zębaty kontur odcinał się czernią od pomarańczowego nieba – znajdzie się pan w Londynie, jakiego pan nie zna. W porównaniu z ostatnimi zmianami wielki pożar był niczym. W tym nowym Londynie lojalność jest kwestią delikatną, a sojusze są płynne. Na szachownicy miasta oprócz białych i czarnych figur pojawiły się inne, w różnych odcieniach szarości. Wiem, że pan jest gościem, a ja skoczkiem; poznaję to po naszych sylwetkach i naszym wpływie na rozgrywkę. Ale w blasku ognia trudno rozpoznać kolor figury.

– Od dwudziestu czterech godzin jestem na nogach i nie nadążam za pańskimi figurami. Retorycznymi.

– To nie ze zmęczenia, tylko dlatego że jest pan purytaninem i naturalistą. Jedni i drudzy słyną z niezdolności pojmowania tego co ulotne i niejednoznaczne.

– Jestem bezbronny wobec pańskich drwin. Ale skoro nikt nas tu nie może usłyszeć, proszę mówić śmiało, co pan myśli.

– Dobrze. Wiem o wielu sprawach, panie Waterhouse, ponieważ dużo i chętnie rozmawiam z ludźmi. Wymieniamy się wiadomościami z równym zapalem, jak kupcy akcjami na giełdzie. Wiem na przykład, że Isaac Newton jest dziś w Londynie.

Danielowi niezwykle dziwny wydał się fakt, że John Churchill słyszał o Isaacu. Przynajmniej do chwili, gdy ten powiedział:

– Wiem również, że niedawno pojawił się w mieście Enoch.

– Enoch Rudy?

– Proszę nie udawać idioty. Robię się podejrzliwy, bo wiem, że idiotą pan nie jest.

– Mam tak mgliste pojęcie o Sztuce, że moje serce zaprzecza temu, co wie umysł.

– Tak właśnie mógłby pan mówić, gdyby był pan jednym z nich i usiłował to ukryć.

– Ach tak... Teraz rozumiem, co miał pan na myśli, mówiąc o szachach i odcieniach figur. Sądzi pan, że pod tymi łachami skrywam czerwoną togę alchemika?! Co za pomysł!

– Uważa pan, że powinienem zdawać sobie sprawę z niedorzeczności takich podejrzeń? Niby skąd? Zgoda, nie jestem tak uczony jak pan, ale też nikt jeszcze nie nazwał mnie głupcem. I mówię to panu otwarcie: nie wiem, czy ma pan coś wspólnego z alchemią, czy nie.

– I ta niewiedza pana irytuje – domyślił się Daniel.

– Nie tylko irytuje, ale wręcz niepokoi. Wiem, jak w określonej sytuacji zachowa się żołnierz, purytanin, francuski kardynał albo wagabunda... No, z wagabundami to różnie bywa. Ale motywy ezoterycznego bractwa są dla mnie nieprzeniknione, i wcale mi się to nie podoba. A ponieważ w nowym ładzie chciałbym zajmować eksponowaną pozycję...

– Wiem, wiem. – Daniel westchnął, próbując zebrać myśli. – Moim zdaniem przecenia pan alchemików. Nie ma na świecie drugiej takiej zbieraniny oszustów, głupców, próżniaków i hochsztaplerów.

– Do której z tych grup zaliczyłby pan Isaaca Newtona?

Daniel poczuł się tak, jakby ktoś wyrznął go pałką między oczy.

– A króla Karola II? Czy Jego Wysokość był hochsztaplerem, czy może raczej głupcem?

– Tak czy inaczej, muszę się z nimi spotkać – wykrztusił w końcu Daniel.

– Byłbym panu bardzo zobowiązany, panie Waterhouse, gdyby udało się panu przeniknąć otaczający ich całun.

– Jak bardzo?

– Co pan ma na myśli?

– Czy gdyby w taką noc jak dzisiejsza zginął pewien hrabia, dałoby się na to przymknąć oko?

– To zależy od hrabiego – odparł bez zająknięcia Churchill. – Znajdzie się pewnie ktoś, kto nie będzie skłonny przymknąć oka. Proszę o tym nie zapominać.

– Przybyłem od strony rzeki.

– Czy w zawołowany sposób daje mi pan do zrozumienia, że przyplłynął pan przez Bramę Zdrajców?

Daniel skinął głową.

– Ja, jak pan widzi, przybyłem lądem. Wielu jednak powie, że przeszedłem tą samą bramą, co pan.

– A zatem jedziemy na jednym wózku. Mówi się, że wśród złodziei honor nie istnieje. Nie wiem, nie znam się na tym, ale może zdrajcy jakiś tam swój honor mają? Jeżeli jestem zdrajcą, to z całą pewnością honorowym; mam czyste sumienie, nawet jeśli moja reputacja jest splamiona. Dlatego wyciągam do pana rękę, Johnie Churchillu, pan zaś może do rana stać jak skamieniały i się w nią wpatrywać, jeśli taka pańska wola. Jeżeli jednak zechciałby mnie pan wesprzeć w rozstrzygnięciu tej alchemicznej kwestii, byłoby mi ogromnie miło, gdyby jak dżentelmen uściśnął pan moją dłoń. Słusznie raczył pan zauważyć, że bractwo ezoteryczne jest silne. Nie mogę z nim walczyć, nie mając poparcia własnego bractwa.

– Zawierał już pan kiedyś jakieś umowy, panie Waterhouse? – spytał Churchill, taksując wzrokiem wyciągniętą rękę Daniela, który czuł na sobie wzrok Boba Shaftoe, obserwującego ich z końca grobli.

– Owszem. Jako architekt, i nie tylko.

– Zatem zdaje pan sobie sprawę, że w każdej umowie obie strony mają swój e zobowiązania. Gdybym zgodził się pana „wesprzeć” w ewentualnych kłopotach, będę miał prawo oczekiwać przysług także z pańskiej strony.

Dłoń Daniela ani drgnęła.

– Doskonale – powiedział Churchill i wyciągnął rękę wśród dymu, mroku i wilgoci.

\* \* \*

Na Charing Cross paliły się dziesiątki ognisk. To, które przyciągnęło uwagę Daniela, płonęło na zielono.

– Dom hrabiego Upnora jest tam! – zawołał Bob Shaftoe, stanowczo wskazując okolice Piccadilly.

– Proszę się mnie trzymać i słuchać, sierżancie, jakbym był przewodnikiem i zabierał pana na polowanie na grubego zwierza, o którym nic a nic pan nie wie.

Zaczęli się przepychać przez bezmierny wszechświat placu wypełniony ciemną materią – tłumami cisnącymi się do ognia i śpiewającymi *Lilliburlero*, rzezimieszkami przeróżnej maści, którzy przypętali się z Hog’s Den, aby na tłumie zerować, oraz łaciatymi kundlami, które żarły się o wszystko, co uszło uwagi rzezimieszków. Zielone płomienie na chwilę zniknęły Danielowi z oczu. Już był gotów porzucić poszukiwania, gdy w tym samym miejscu ogień rozbłysnął czerwienią, nie taką zwykłą, z pomarańczowym odcieniem, lecz wściekle szkarłatną.

– Gdybyśmy się rozdzielili, spotkajmy się na północnym skraju Tilt Yard, tam gdzie King Street wychodzi na Cross.

– W porządeczku, profesorze.

– Co to był za chłopak, z którym rozmawiał pan przy wyjściu z Tower?

– Gонец od Boba Carvera.

– Tak? Jakie wieści przynosił?

– Okna w domu Jeffreysa są zabite deskami. W środku jest ciemno.

– Pięknie się spisał, skoro nawet zadał sobie trud, żeby je pozabijać.

– Słusznie to przewidzieliśmy te parę tygodni temu, profesorze. Jeffreys dobrze zaplanował ucieczkę.

– Dobrze dla nas. Gdyby uciekał w panice, jak mielibyśmy go znaleźć? Czy pan Carver miał jeszcze coś ciekawego do powiedzenia?

– Chodziło mu raczej nie tyle o przekazanie nowych informacji, co raczej sprawienie wrażenia, że pracowity i rzetelny z niego gość.

– Tego się bałem – mruknął Daniel.

Przed nimi płomienie zmieniły barwę na niebieską.

– Fajerwerki? – zdziwił się Bob.

– Jedni lepiej planują ucieczkę, inni gorzej.

Udało im się w końcu przedrzeć na południowo-zachodnią krawędź placu, gdzie King Street zakrzywiła się i przechodziła w Pall Mall, a widok na park i Ogród Wiosenny przesłaniał łuk rezydencji, wybrzuszący się w głąb Charing Cross, jak tama, która z trudem wytrzymuje napór wody. Zmiennobarwne ognisko rozpalono właśnie przed tymi domami, w odległości strzału z łuku. Nie gromadzili się przy nim ludzie – może dlatego że prawdziwy ośrodek picia, śpiewów i zabawy znajdował się gdzie indziej, bliżej Haymarket, a może dlatego że ogień prychał złowieszczo i wydzieliał piekielne wonie. Daniel wszedł na orbitę wokół niego i zobaczył rozpadające się i rozpływające w ogniu książki, mapy i drewniane pudła. Płomień właśnie pochłaniał skrzynię, z której, po kilka naraz, wypadały szklane fiołki. Kiedy pękały pod wpływem gorąca, buchały z nich strugi gazów, rozblyskujących od czasu do czasu jaskrawymi kolorami.

Bob szturchnął Daniela i wskazał mu jeden z domów. Starszy lokaj przytrzymał uchylone drzwi frontowe, a dwóch młodszych służących wynosiło przez nie na wpeł otwarty kufer. Wysypywały się z niego książki i luźne kartki. Kiedy tragarze zeszli po schodach, lokaj puścił drzwi i pospiesznie ruszył ich śladem, zbierając pogubione papiery i tworząc z nich naręczę, które wygodnie opierało się mu na wydatnym brzuchu, gdy brnął w kurzu i piachu w stronę ogniska. Wyglądało to tak, jakby zamierzał rzucić się głową naprzód wprost w wielobarwne piekło, ale tuż przed nim zatrzymał się i potężnym wydechem brzucha zepchnął cały swój ładunek w płomienie. Chwilę później dwaj młodzicy rozbujali kufer i cisnęli go wprost w ognisko. Ogień przygasł na dłuższą chwilę, jakby zaskoczony, ale szybko wgrzyzł się w nowy zapas paliwa, rozhulał na nowo i na skutek wysokiej temperatury przybrał białawy odcień.

Okrażający ognisko Daniel przystanął i zapatrzył się na mapę, wyrysowaną różnymi kolorami atramentu na doskonałej jakości pergaminie. Leżała tuż obok najgorętszej partii ogniska, toteż płomienie przeświecały od spodu przez białe plamy – których nie brakowało, jako że była to mapa w większości niezbadanych mórz; wypełniały je podobizny lewiatanów i kanibali z głowami całymi w warkoczykach. Archipelag naniesiony na mapę jakimś złocistym atramentem nosił podpis „Wyspy króla Salomona”. Na oczach Daniela inkaust buchnął ogniem i zapłonął jak proch. Słowa zniknęły z tego świata, ale ognistymi literami wypaliły mu się w pamięci.

– To dom monsieur LeFebure’a – wyjaśnił, podchodząc bliżej. Bob ruszył za nim. – Widzi pan te trzy duże okna nad wejściem? Lśnią głęboką czerwiecią, bo zasłony są



zaciągnięte, a w środku pali się światło. Kiedyś udało mi się przez te okna podejrzeć Isaaca Newtona, używając do tego jego własnego teleskopu.

– Co robił?

– Zawierał znajomość z hrabią Upnor, któremu tak zależało na tym spotkaniu, że kazał go śledzić.

– Co to za dom w takim razie? Jaskinia pederastów?

– Nie. Od czasów restauracji jest to główna kryjówka alchemików w Londynie. Nigdy nie byłem w środku, ale teraz zamierzam tam wejść. Gdybym nie wrócił, proszę iść do Tower i powiedzieć swojemu przełożonemu, że nadszedł czas, żeby wywiązał się z zawartej umowy.

Na widok Daniela brzuchaty sługa czujnie stanął w drzwiach.

– Mam do nich dołączyć – burknął Daniel i przepchnął się obok niego do sieni.

Wnętrze urządzone w stylu wersalskim – przepysznie, najdrożej jak tylko można i z zamiarem oszołomienia ważnych person przychodzących kupić proszki i eliksiry monsieur LeFebure'a. Właściciela już nie było, bo w porę czmychnął za granicę – co w znacznym stopniu wyjaśniało, dlaczego dom był tej nocy mniej więcej równie schludny jak targ rybny. Służba i dwaj dżentelmeni znosili przeróżne skarby z piętér i piwnic, rozkładali je na stołach i podłodze i z zapalem w nich bobrowali. Dopiero po chwili Daniel rozpoznał w jednym z dżentelmenów Roberta Boyle'a, a w drugim sir Eliasa Ashmole'a. Dziewięć na dziesięć rzeczy odrzucali w przybliżeniu w kierunku wejścia, przeznaczając je do spalenia. Resztę pakowali do worków i skrzynek, przygotowując transport. Pozostawało tylko pytanie, dokąd chcą je wywieźć. W kuchni bednarz pakował książki do beczek, które następnie szczelnie zamykał, co sugerowało przygotowania do rejsu.

Daniel wszedł na prowadzące na górę schody szybkim, stanowczym krokiem, jakby doskonale orientował się w rozkładzie pomieszczeń. W rzeczywistości musiały mu wystarczyć mgliste wspomnienia sprzed dwudziestu lat, kiedy to przez teleskop udało mu się zajrzeć do środka. Jeśli pamięć go nie zawodziła, pokój, w którym Upnor spotkał się z Newtonem, był wyłożony ciemną boazerią i znajdowało się w nim mnóstwo książek. Przez dwie dekady miewał dziwne sny związane z tym pokojem, a teraz, kiedy wreszcie miał do niego wejść, ślaniał się na nogach. Był tak skołowany, że całe przeżycie niewiele różniło się od snu.

Na schodach i w korytarzu na piętrze zapalono chyba gros świec; nie było już sensu ich oszczędzać. W powyciągane ze schowków, obrośnięte pajęczynami kandelabry powtykano przypadkowo dobrane świece; wąskie świeczki stały w kałużach skrzepłego pszczelego wosku, rozlanego na drogich, wypolerowanych do połysku poręczach. Ktoś zdjął ze ściany obraz przedstawiający Hermesa Trismegistusa i podparł nim drzwi małego pokoiku na szczycie schodów. Pomieszczenie wyglądało jak spiżarenka dla służby i było w większości ukryte w mroku, ale z korytarza sączyło się dość światła, by Daniel zobaczył chudego mężczyznę o wydatnym nosie i ogromnych ciemnych oczach, które nadawały mu zatroskany,

smutny wygląd. Rozmawiał z kimś stojącym w głębi pokoju, ale tej drugiej osoby Daniel nie widział. Mężczyzna przyciskał do piersi starą książkę, założywszy w niej wybrane miejsce palcem. Spojrzenie wielkich oczu spoczęło na Danielu, bez śladu zdumienia.

– Dzień dobry, doktorze Waterhouse.

– Dzień dobry, panie Locke. Witam po powrocie z holenderskiego wygnania.

– Jakie wieści?

– Król został osaczony w Sheerness. A co u pana, panie Locke? Nie powinien pan pisać dla nas nowej konstytucji albo czegoś w tym guście?

– Czekam, aż książkę orański objawi nam swą wolę w tym względzie – odparł niewzruszony Locke. – A ten dom to całkiem niezłe miejsce na takie wyczekiwanie.

– Z pewnością lepsze od tego, w którym mieszkam.

– Wszyscy jesteśmy pańskimi dłużnikami, doktorze Waterhouse.

Daniel zawrócił i zrobił pięć kroków, kierując się ku frontowi domu.

Zatrzymał się przed zamykającymi korytarz dużymi drzwiami. Usłyszał głos Isaaca Newtona:

– Co my właściwie wiemy o tym wicekrólu? Załóżmy nawet, że uda mu się przekazać go Hiszpanom... Ale czy zrozumie jego prawdziwą wartość?

Kusiło go, żeby postać chwilę i nadstawić ucha, ale czuł na plecach wzrok Locke'a i nie pozostało mu nic innego, jak otworzyć drzwi.

Na wprost niego znajdowały się trzy ogromne okna wychodzące na Charing Cross, zasłonięte szkarłatnymi kotarami wielkości grotzagli i podświetlone tuzinami świec w uchwytych i kandelabrach kutych w intrygujące kształty, niby przemienione w srebro gałęzie drzew oplecione dławiącymi je pnączami. Zakręciło mu się w głowie, jakby tonął w morzu czerwonego światła, ale jego oczy szybko przyzwyczyły się do tego widoku. Mrugnął i odzyskał równowagę.

Na środku pokoju stał stół o blacie z czarnego, czerwono żyłkowanego marmuru. Siedzący przy nim dwaj ludzie podnieśli wzrok na Daniela – z lewej strony miał hrabiego Upnor, z prawej Isaaca Newtona. Nicolas Fatio de Duilliers stał w nonszalanckiej pozie w kącie pomieszczenia i udawał, że czyta książkę.

Nie wiedzieć czemu, Daniel nagle ujrzał tę scenę oczami podejrzliwego Johna Churchilla. Oto miał przed sobą katolickiego arystokratę, lepiej czującego się w Wersalu niż w Londynie; wychowanego w duchu purytańskim Anglika, najmądrzejszego człowieka na świecie, ostatnio skłaniającego się ku herezji; oraz szwajcarskiego protestanta, który wsławił się tym, że uchronił Wilhelma Orańskiego przed skutkami knowań Francuzów. A teraz rozmowę przerwał im dysydencki zdrajca. Dzielące ich różnice, mogące w innych okolicznościach prowokować pojedynki i wzniecać wojny, tutaj nie miały żadnego znaczenia. Bractwo najwyraźniej potrafiło wznieść się ponad tak trywialne komplikacje, jak reformacja czy nadchodząca wojna z Francją. Nic dziwnego, że Churchill mu nie ufał.

Isaac za dwa tygodnie miał obchodzić czterdzieste szóste urodziny. Odkąd całkiem posiwiiał, jego twarz prawie się nie zmieniła. Nigdy nie przerywał pracy, żeby coś zjeść czy wypić, toteż zachował szczupłą sylwetkę i jedyną oznaką starzenia się była u niego postępująca przezroczystość skóry, zwłaszcza wokół oczu, gdzie przezierały spod niej sploty niebieskich żyłek. Podobnie jak wielu rezydentów kolegium, chętnie ukrywał ubranie (które najczęściej było w fatalnym stanie, nie tylko niechlujne i znoszone, ale także poplamione i przepalane najróżniejszymi substancjami) pod togą akademika. Tyle że nosił czerwoną togę, która nawet w kolegium wyróżniała go z tłumu – a co dopiero w Londynie. Na ulicę w niej wprawdzie nie wychodził, ale teraz miał ją na sobie. Nie przepadał za perukami, toteż siwe włosy swobodnie opadały mu na ramiona. Ktoś musiał je czesać, i to pewnie nie on sam. Daniel podejrzewał o to Fatia.

Dla hrabiego Upnor ubiegłe dwie dekady były ciężkie. Raz czy dwa wypędzono go z kraju za zabicie człowieka w pojedynku, co przychodziło mu równie naturalnie, jak sztauerowi dłubanie w nosie. Przegrał w karty rodzinną rezydencję w Londynie, a w okresie największego nasilenia tak zwanego spisku papistów musiał na kilka lat schronić się na kontynencie. Wszystko to sprawiło, że zaczął się ubierać nieco bardziej konserwatywnie. W komplecie z czarną peruką i cienkim czarnym wąsikiem miał strój, który był obowiązkowo trzyczęściowy – składał się z kamizelki, surduta i spodni z tej samej tkaniny, najprawdopodobniej delikatnie tkanej wełny – i w zasadzie również czarny. Tyle że całe ubranie było haftowane srebrną nicią, oplatającą wąskie paski pergaminu (albo czegoś podobnego), dźwigające ją ponad poziom materiału i nadające ubraniu lekko trójwymiarowy charakter. Odnosiło się wrażenie, że hrabiego oplata sieć niezwykle cienkich, srebrnych pnączy, poruszająca się wraz z nim. Na nogach miał buty jeździeckie ze srebrnymi ostrogami, a przy pasie hiszpański rapier, którego garda była istną burzą zgrabnie zakrzywionych stalowych pręcików z kulistymi końcówkami; wyglądały jak rój komet, rozprzestrzeniający się spiralnie od rękojeści na zewnątrz.

Strój Fatia prezentował się stosunkowo skromnie – sutanna zapinana na mnóstwo guzików, przeciętna peruka w kolorze brązowym, płócienna koszula, koronkowy fular.

Wszyscy trzej byli umiarkowanie zaskoczeni widokiem Daniela i nie bardziej niż zwykle urażeni, że wparował do pokoju bez pukania. Upnor nie zamierzał go chyba przeszyć tym swoim rapierem. Isaac sprawiał wrażenie, jakby pojawienie się Daniela tu i teraz nie odbiegało niezwykłością od jego codziennych doświadczeń (co zapewne było prawdą). A Fatio – jak zwykle – po prostu obserwował.

– Najmocniej przepraszam za wtargnięcie – powiedział Daniel. – Ale pomyślałem, że zainteresuje panów wiadomość, że króla widziano w Sheerness, nie dalej niż dziesięć mil od zamku Upnor.

Hrabia Upnor z widocznym wysiłkiem opierał się silnym emocjom, które próbowały zawładnąć jego twarzą; Daniel nie był pewien, jaki grymas chce na nią wypłynąć, ale

podejrzewał, że chodzi o pogardliwy uśmiezek niedowierzania. W każdym razie Upnora miał chwilowo z głowy i mógł mówić dalej:

– Szambelan jest w tej chwili przy Jego Wysokości, ja zaś przypuszczam, że inni członkowie dworu jutro udadzą się w dół rzeki, ale na razie królowi brakuje dosłownie wszystkiego: jadła, napoju i dachu nad głową. Kiedy przejeżdżałem wczoraj obok zamku Upnor, pomyślałem, mój panie, że dysponujesz zapewne środkami pozwalającymi zaspokoić przynajmniej niektóre potrzeby Jego Wysokości...

– Naturalnie – przerwał mu Upnor. – Niczego tam nie brak.

– Czy życzysz sobie zatem, mój panie, abym posłał gońca z wiadomością?

– Sam mogę to zrobić.

– Nie wątpię, mój panie, że możesz pchnąć posłańca. Chciałem tylko się do czegoś przydać i dlatego...

– Nie o to mi chodziło. Mogę sam przekazać służbie takie polecenie, ponieważ o świcie udaję się do Upnor.

– W takim razie proszę o wybaczenie.

– Coś jeszcze, panie Waterhouse?

– Nie. Chyba że mógłbym się panom do czegoś tutaj przydać.

Upnor przeniósł wzrok na Newtona, który wprawdzie cały czas patrzył na Daniela, ale musiał kątem oka zauważyć pytające spojrzenie hrabiego, bo odparł:

– W tym domu, drogi Danielu, zgromadzone są ogromne zasoby wiedzy alchemicznej. Większość z nich to dyrdymały, ale jest w nich także odrobina prawdziwej mądrości, sekretów, jakie należy zachować w tajemnicy przed ludźmi, w rękach których mogłyby stać się niebezpieczne. Nasze zadanie polega na tym, by oddzielić ziarna od plew, spalić to co bezużyteczne i dopilnować, by rzeczy wartościowe trafiły do laboratoriów i bibliotek ludzi światłych. Nie bardzo widzę, jak mógłbyś być dla nas użyteczny, skoro dla ciebie cała alchemia jest jedną wielką bzdurą, a w dodatku w przeszłości zdarzały ci się dobrze udokumentowane napady piromańskiego szału w obecności podobnych pism.

– Wciąż interpretujesz moje zachowanie w roku siedemdziesiątym siódmym w najgorszy z możliwych sposobów.

– Wcale nie. Zdaję sobie sprawę, iż uważałeś, że obsypujesz mnie łaskami. Co nie zmienia faktu, że twoje wyczyny z siedemdziesiątego siódmego dyskwalifikują cię dożywotnio jako osobę, której można by powierzyć traktaty alchemiczne w pobliżu otwartych źródeł ognia.

– Dobrze. Dobranoc, Isaacu. Dobranoc, mój panie. Dobranoc, monsieur.

Korzystając z faktu, że Upnor i Fatio byli wyraźnie zaskoczeni tajemniczą wypowiedzią Isaaca, Daniel uklonił się zdawkowo i rakiem wycofał z pokoju.

Wrócili do przerwanej rozmowy, jakby Daniel był służącym, który podał herbatę.

– Kto go tam wie, co mu po głowie chodzi? – mówił Upnor. – Tyle lat w kraju, w którym roi się od klik kryptożydów i Indian, składających się nawzajem w ofierze na szczytach piramid...

– Można by napisać list i go zapytać – zaproponował Fatio tak promiennym i rozsądnym głosem, że rozdrażnił nawet Daniela, pospiesznie wycofującego się poza zasięg słuchu. Było oczywiste, że Szwajcar nie jest alchemikiem, a w najlepszym razie jest nim od bardzo niedawna i nie nauczył się jeszcze mówić o wszystkim w sposób znacznie bardziej zawoalowany i tajemniczy.

W końcu Daniel odwrócił się i prawie zderzył z mężczyzną, który, widziany kątem oka, przypominał mu zabłąkanego, rubasznego mnicha. Miał na sobie płaszcz, a w ręce trzymał duży kamienny kufel, ewidentnie wypożyczony z jednej z miejscowych piwiarni.

– Proszę bardziej uważać, panie Waterhouse – powiedział przyjaźnie Enoch Root. – Tak pan nadstawia uszu, że przestaje patrzeć pod nogi.

Daniel odskoczył. Locke stał tam, gdzie wcześniej, tuląc do piersi książkę. Root był człowiekiem, z którym wcześniej rozmawiał. Korzystając z faktu, że zaskoczenie odjęło Danielowi mowę, pociągnął solidny łyk *ale*.

– Proszę mnie nie pouczać. Próżny trud.

– Próżne co? Root?

– Nie umie się pan zachować. Pije pan sam w towarzystwie innych.

– Każdy jest niegrzeczny na swój sposób. Niektórzy mają zwyczaj wpadać nieproszeni do cudzych domów i wtrącać się do rozmów.

– Miałem do przekazania ważne wiadomości.

– A ja właśnie je opijam.

– Nie obawia się pan, że pijąc, skraca pan sobie życie?

– Często pan myśli o długowieczności, panie Waterhouse?

– Każdy człowiek o tym myśli. Ja jestem człowiekiem. A pan?

Locke przenosił wzrok to na jednego, to na drugiego z rozmówców, jakby śledził mecz tenisowy, ale w tej chwili utkwiał spojrzenie w Enochu, który sprawiał wrażenie, że bardzo stara się nie irytować. Co wcale nie oznaczało, że nie jest zirytowany.

– W twoim pytaniu dostrzegam dziwną arogancję, Danielu. Newton zakłada, że istnieje jakaś przestrzeń absolutna, gdzie można zmierzyć i zważyć wszystkie rzeczy. Nawet komety, wyobraź sobie! A ty uważasz za całkiem naturalne i z góry ustalone, że ziemia jest domeną ludzi, których przesady powinny być miernikiem wszechrzeczy. Dlaczegoż ja nie miałbym zapytać: Danielu Waterhouse, kim lub czym jesteś? Dlaczego w Stworzeniu roi się od tobie podobnych? Jaki jest wasz cel?

– Ośmielam się panu przypomnieć, że od dnia wszystkich świętych minął już z górą miesiąc. W dodatku nie mam ochoty na słuchanie bajeczek o straszidłach.

– Tak jak ja nie mam ochoty na to, by zaliczano mnie do grona straszycel i innych wytworów ludzkiej imaginacji. Albowiem to Bóg mnie sobie wyobraził, tak jak wyobraził sobie ciebie, i w ten sposób powołał nas do istnienia.

– Kipi pan niechęcią do przesądów i wybujałej wyobraźni, tymczasem zastaję pana, jak zwykle, w towarzystwie alchemików.

– Mógłbyś powiedzieć „Zastaję pana w ośrodku wspaniałej rewolucji w towarzystwie wybitnego filozofa i polityka” – odparł Root, zerkając na Locke’a, który spuścił wzrok w symbolicznej namiastce ukłonu. – Ale skąpisz mi takich pochwał.

– Widuję pana wyłącznie w towarzystwie alchemików. Chyba pan nie zaprzeczy?

– Ja ciebie też, Danielu. Zdaję sobie jednak sprawę, że nie zajmujesz się tylko alchemią. Wiem, że dużo czasu spędzałeś z Hookiem w Bedlam. Mogłeś tam spotkać księży, przychodzących rozmawiać z obłąkanymi. Czy ci kapłani też są dla ciebie obłąkani?

– To porównanie nie bardzo mi się podoba... – wtrącił Locke.

– Spokojnie! – Root roześmiał się triumfalnie i poklepał go po ramieniu. – To tylko figura retoryczna.

– Chybiona – zauważył Daniel. – Ponieważ pan naprawdę jest alchemikiem.

– Tak mnie nazywają. Odkąd ludzkość sięga pamięcią, wszystkich adeptów nauki, którą i ty, i ja studiujemy, określano tym właśnie mianem. Nawet dziś mało kto rozumie różnicę między alchemią i młodszą, pełną wigoru dziedziną wiedzy kojarzoną z waszym klubem.

– Jestem zbyt zmęczony, żeby za panem nadążyć, kiedy tak pan kluczy. Jednak z szacunku dla pańskich przyjaciół, pana Locke’a i Leibniza, zgodzę się na domniemanie pańskiej dobrej woli.

– Niech Bóg ma pana w opiece, panie Waterhouse.

– Pana również, panie Root. Ale jedno panu powiem, i panu również, panie Locke. Zanim tu przyszedłem, widziałem mapę, którą po wyniesieniu z tego domu ciśnięto w ogień. Mapa była w znacznej mierze pusta, ponieważ przedstawiała ocean, najprawdopodobniej taką jego część, do której nigdy nie dotarł człowiek. Pergaminową pustkę przecinało kilka równoleżników, w paru miejscach zdobiły ją autorytatywnie wyrysowane wyspy, a tam, gdzie autora poniosła fantazja, także wizerunki fantastycznych potworów. Ta mapa to dla mnie symbol alchemii. Dobrze, że spłonęła; dobrze, że spłonęła właśnie dziś, w przeddzień rewolucji, którą ośmielę się nazwać dziełem mojego życia. Za kilka lat pan Hooke nauczy się budować doskonałe zegary, kończąc w ten sposób rozpoczęte trzydzieści lat temu prace pana Huygensa. A wtedy Towarzystwo Królewskie zacznie wykreślać mapy, na których oprócz równoleżników znajdują się także południki, tworzące razem siatkę, i nazwiemy ją kartezyjską, chociaż nie była pomysłem Kartezjusza. Wtedy też naniesiemy na nie wyspy, tam gdzie naprawdę się znajdują; tam, gdzie ich nie ma, nie będziemy ich rysować, podobnie jak nie będziemy rysować smoków ani morskich bestii. I tak skończy się alchemia.

– Szlachetne to zamiary – powiedział Root. – Życzę powodzenia. Tylko proszę nie zapominać o biegunach.

– O biegunach?

– Północnym i południowym. Tam pańskie południki zbiegną się w pęk. Nie będą już równoległe i oddzielone, lecz połączone.

– To fikcja geometryczna.

– Kiedy całą naukę opiera się na geometrii, panie Waterhouse, fikcja staje się rzeczywistością.

Daniel westchnął.

– Zgoda. Może koniec końców wrócimy do alchemii, ale na razie nikt nie potrafi zbliżyć się do biegunów. Chyba że pan, panie Root, polecą tam na miotle. Ja zaś wolę wierzyć w geometrię zamiast w bajki, przez które na parterze przekopują się pan Boyle i sir Elias. Niewiele już życia mi zostało, więc geometria mi wystarczy. Dziś nie mam czasu na dalsze dyskusje.

– Ma pan inne sprawy do załatwienia?

– Chciałbym pożegnać się jak należy z moim starym dobrym druhem, Jeffreysem.

– Jeffreyś przyjaźni się również z hrabią Upnor – zauważył od niechcienia Root.

– Wiem o tym. Nawzajem tuszują swoje morderstwa.

– Przed paroma godzinami Upnor wysłał Jeffreyśowi paczkę.

– Z pewnością nie do domu, prawda?

– Nie. Do rąk własnych kapitana pewnego statku, który stoi w porcie.

– Jak się nazywa ten statek?

– Nie wiem.

– Jak się nazywał posłaniec?

Enoch Root oparł się o balustradę i spojrzał w dół klatki schodowej.

– Tego też nie wiem. – Przełożył kufel do drugiej ręki i wskazał młodego służącego, który właśnie wynosił za drzwi kolejną partię książek do spalania. – Ale to był on.

\* \* \*

Oświetlony latarniami *Zajac* kołysał się na kotwicy niedaleko Wapping – przedmieścia wciśniętego w zakole Tamizy tuż poniżej Tower. Gdyby Jeffreyś już się na nim zaokrętował, byłiby bezradni; pozostałoby im tylko wynająć jakiś piracki statek i dogonić *Zajac*a na morzu. Jednakże krótka rozmowa z przewoźnikami z nabrzeża w Wapping pozwoliła im ustalić, że na razie nie przewożono na pokład żadnych pasażerów. Najwyraźniej Jeffreyś na coś czekał – i z pewnością czekał gdzieś w pobliżu, żeby mieć statek na oku i w razie konieczności czmychnąć na pokład. Ponieważ lubił wypić, na miejsce oczekiwania musiał wybrać okolicę, gdzie serwowano mocne trunki. W ten sposób zawężili obszar poszukiwań

do zaledwie kilku tawern, rozrzuconych nierównomiernie na odcinku od Tower do Shadwell, w większości skupionych przy schodach i dokach pełniących funkcję bram prowadzących ze świata lądowego do morskiego. Zbliżał się świt i normalne gospody byłyby od paru godzin pozamykane, ale karczmy na nabrzeżu obsługiwały różnych klientów – o różnych porach. Rytm ich życia wyznaczały przyływy i odpływy morza, a nie ruch słońca po niebie. A to przecież była najdziksza noc w dziejach Anglii; żaden normalny karczmarz nie zamknąłby gospody.

– Z życiem, profesorze – powiedział Bob Shaftoe, wysiadając na Schodach Króla Henryka z łodzi wynajętej przy Charing Cross. – Mamy prawie najdłuższą noc w roku, ale nawet ona nie będzie trwała wiecznie. A ja jestem przekonany, że w zamku Upnor czeka na mnie moja Abigail.

Były to dość grubiańskie słowa, jak na przemowę skierowaną do starego, zmęczonego naturalisty, ale i tak stanowiły wyraźny krok naprzód w porównaniu z pierwszym spotkaniem w Tower, kiedy Bob traktował Daniela nieufnie i oschle, lub z ostatnim okresem ich znajomości, kiedy odnosił się do niego protekcyjnie. Po tym, jak przed paroma godzinami widział go w Tower ściskającego prawicę Johna Churchilla, konsekwentnie zwracał się do niego per „profesorze”. Miał też irytujący zwyczaj wypytywania go co chwila, czy dobrze się czuje i czy aby nie jest zmęczony, ale wyzywał się go przed kwadransem, kiedy Daniel uparł się, żeby sforsować bystrza pod Mostem Londyńskim, zamiast tracić czas na przybijanie do brzegu i obchodzenie ich łądem.

Daniel podjął to ryzyko pierwszy raz w życiu, Bob drugi, a ich przewoźnik – czwarty. Po zachodniej stronie mostu piętrzył się wał wody, przeciskającej się pod łukami jak spanikowany tłum uciekający z płonącego teatru. Łódź stanowiła zaledwie jedną milionową częśćkę jego masy, toteż woda miotła ją jak piórkiem. Na skraju katarakty okręciła się niczym kurek na wietrze, wyrznęła w pale wbite w dno poniżej Chapel Pier z taką siłą, że wgięło się nadburcie, odbiła się i obróciła w przeciwną stronę, po czym bokiem wpadła w cieśninę między filarami, nabierając przy okazji chyba tonę wody. Daniel od dziecka wyobrażał sobie taką przeprawę i zastanawiał się, jak też wygląda most od spodu, ale zanim tym razem otrząsnął się na tyle, żeby spojrzeć do góry, znajdowali się już pół mili dalej i właśnie mijali Bramę Zdrajców.

Ten wyczyn przekonał Boba, że Daniel jest zdecydowany popełnić tej nocy samobójstwo i nie potrzebuje jego pomocy. Pozwolił mu wysiąść z łódki o własnych siłach i nie zaproponował, że wniesie go na barana po schodach. Wdrapali się więc do Wapping, ociekając wodą i zostawiając przewoźnikowi (sowiec opłaconemu) wybranie wody z łodzi.

Sprawdzili cztery gospody, zanim trafili do „Czerwonej krowy”. Wnętrze nosiło liczne ślady nocnej hulanki, ale prace porządkowe szły pełną parą. W tej okolicy brzegi rzeki były rzadko zabudowane – przy głównej ulicy, biegnącej wprost do odległej o milę Tower, gospody i burdele tłoczyły się co najwyżej w dwóch rzędach, a dalej rozciągały się zielone



poła. Stąd też w „Czerwonej krowie” Daniel miał okazję zaobserwować przeciwieństwa nie mniej ciekawe od tych, jakie widział w Sheerness. Na przykład mleczarka, świeża i czysta, jakby anioły przyniosły ją wprost z okrytych rosą łąk Devonshire, niosąca do tylnego wejścia skopek mleka, musiała ostrożnie wyminąć portugalskiego marynarza z drewnianą nogą, który zasnął na stercie siana, tuląc w ramionach butelkę po dzinie. Ten i inne widoki – wśród nich mężczyzna o urodzie Malajczyka, siedzący przy wejściu i palący nabitą haszyszem fajkę – przekonały Daniela, że „Czerwona krowa” zasługuje na rzetelne przeszukanie.

Podobnie jak na statku, kiedy marynarze kończą wachtę i, zszedłszy z rei, kładą się spać w hamakach, które jeszcze nie ostygły po poprzednich gospodarzach, tak i tu nocni hulacy wytaczali się przez drzwi, a ich miejsca zajmowali rzeczni robotnicy różnych profesji, spragnieni porannej przekąski i napitku.

Ale w kącie sali siedział człowiek, któremu wcale nie spieszyło się do wyjścia. Był ponury jak gradowa chmura. Cień skrywał mu twarz przypominającą zatkniętą na patyku grudę ołowiu. Mógł być albo nieprzytomny, albo niezwykle czujny. W ręce ścisnął stojący na stole kieliszek. Była to poza człowieka zmuszonego do długiego oczekiwania na coś i udającego, że sący drinka. Blask świecy padał na jego dłoń. Kciuk drżał mu nerwowo.

Daniel podszedł do baru w drugim końcu sali, która i tak była niewiele większa niż wronie gniazdo. Zamówił jeden kieliszek, zapłacił za dziesięć.

– Tamten gość... – zaczął i rzucił znaczące spojrzenie. – Stawiam funciaka, że to zwykły prostak. Jeden z tych, którzy są równie pospolici jak powietrze.

Karczmarz wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, miał siwe włosy i rumianą twarz i był tak samo angielski do szpiku kości jak mleczarka.

– Byłbym złodziejem, gdybym przyjął taki zakład – odparł. – Pan widzi tylko jego ubranie, rzeczywiście wyglądające pospolicie. Ja zaś słyszałem także jego głos, którego z pewnością pospolitym nazwać nie można.

– W takim razie kolejny funciak, ma usposobienie łagodne i słodkie jak bita śmietana.

Karczmarz zrobił zatroskaną minę.

– Serce mi pęka, że znów muszę panu odmówić, ale sytuacja jest podobna, moja wiedza na jego temat nie pozwala mi uczciwie przyjąć takiego zakładu.

– Stawiam funta, że w życiu nie widział pan równie pięknych brwi, jak u tego jegomościa. Mogłyby służyć za drapaki do czyszczenia garnków.

– Kiedy przyszedł, miał kapelusz naciągnięty na czoło i pochyloną głowę. Nie widziałem jego brwi. Taki zakład mogę przyjąć.

– Pozwoli pan?

– Spokojnie, proszę pana. Zaraz pošlę chłopaka, który to sprawdzi. Jeżeli pan chce, proszę wyznaczyć swojego sędziego.

Gospodarz odwrócił się, złapał za rękę chłopca, mniej więcej dziesięcioletniego, pochylił się nad nim i przez chwilę szeptał mu do ucha. Chłopak poszedł prosto do siedzącego w kącie

mężczyzny i powiedział parę słów, gestem wskazując kieliszek. Gość nie raczył mu odpowiedzieć, tylko zamachnął się ręką, jakby zamierzał go uderzyć. Refleks światła zabłysł na grubym złotym pierścieniu. Chłopak wrócił i powiedział coś w takim żargonie, że Daniel nie zrozumiał ani słowa.

– Tommy mówi, że jest mi pan winien funta – powiedział karczmarz.

– Czyli nie miał krzaczastych brwi? – Zawiedziony Daniel westchnął.

– Nie o to się założyliśmy. Zakład brzmiał: ten gość nie ma krzaczastych brwi. „Nie miał” to jakieś zdziwienie.

– Nie rozumiem...

– Mam tu pod kontuarem pałkę z tarniny. Była świadkiem naszego zakładu i twierdzi, że jest mi pan winien funciaka. I niech mi pan nie wciska kitu.

– Proszę jej nie niepokoić, dobry człowieku. Zapłacę. Proszę tylko, by mi pan to wytłumaczył.

– Nie wiem, może wczoraj miał krzaczaste brwi – odparł nieco udobruchany gospodarz. – Ale dziś nie ma brwi w ogóle. Tylko szczecinę.

– Obciął je!

– Ja nie jestem od takich domysłów, mój panie.

– Proszę, oto pański funt.

– Dziękuję, ale wolałbym pełnowartościowy pieniądz ze srebra, a nie jakiegoś fałszerskiego stopu...

– Zaraz. Mam coś lepszego.

– Lepszą monetę? Nie pogardzę.

– Nie, lepszy pomysł. Co by pan powiedział, gdyby pańska tawerna stała się sławna na wieki jako miejsce, w którym słynnego i groźnego mordercę spotkał zasłużony koniec?

Tym razem to karczmarz nie krył rozczarowania. Po jego minie było widać, że nie życzy sobie gościć żadnych groźnych morderców, ale po paru słowach zachęty ze strony Daniela dał się przekonać, żeby pchnąć gońca do Tower, a samemu stanąć z pałką przy tylnym wyjściu. Daniel znaczącym spojrzeniem poderwał na nogi siedzącego przy wejściu Boba Shaftoe, a potem wyjął z kominka płonąca żagiew, przeszedł w kąt sali i zamachał nią na prawo i lewo, tak że rozświetliła półmrok.

– Niech cię piekło pochłonie! Niech cię zaraza, Danielu Waterhouse! Ty zdradziecka szmato! Ty nędzny tchórz! Jak śmiesz w ten sposób naprzykrzać się arystokracji?! Jakim prawem?! Jestem baronem, a ty zasmarkanym renegatem! A Wilhelm Orański to nie żaden Cromwell ani republikanin, tylko zwykły książę, arystokrata jak ja! Okaże mi należyty szacunek, a tobie zasłużoną pogardę! To ty poczujesz na szyi katowskie ostrze i zginiesz w Tower jak oćwiczona zdzira! Zaslugujesz na to!

Daniel odwrócił się do zebranych w tawernie gości; bardziej chodziło mu o spożywających śniadanie przewoźników i żeglarzy niż przysypiających nocnych marków.

– Przepraszam, że panom przeszkadzam – zaczął, podnosząc głos. – Słyszeliście pewnie o Jeffreysie, sędzim-szubieniczniku, obwieszającym wszystkie drzewa w Dorset ciałami Bogu ducha winnych Anglików i sprzedającym w niewolę angielskie dziewczęta?

Jeffreys zerwał się na równe nogi, przewracając przy okazji stół, i rzucił się do najbliższego wyjścia – czyli na tyły gospody. Drogę zastąpił mu karczmarz, wzniosłszy trzymaną oburącz pałkę niczym drwał, który przymierza się do ścięcia drzewa toporem. Jeffreys stanął jak wryty – i zawrócił. Pomknął w stronę głównego wejścia. Bob Shaftoe dał mu się rozpędzić i przez kilka sekund cieszyć nadzieją, zanim zrobił krok w bok, stanął w drzwiach i wyciągnął sztylet zza cholewy. Jeffreys z najwyższym trudem wyhamował dosłownie na cal przed tym, jak ostrze wbiło mu się w pierś. Wyraz twarzy Boba nie pozostawiał złudzeń: nie cofnąłby klingi.

Wszyscy goście powstawali od stołów i zaczęli sięgać pod ubrania, zdradzając rozlokowanie noży, pałek i innych niezbędnych akcesoriów. Na razie jednak nie mieli rozeznania w sytuacji i reagowali odruchowo, zerkając wyczekująco na Daniela.

– Wszyscy znacie nazwisko człowieka, o którym mówię. To on odpowiada za Krwawy Sąd i wiele innych zbrodni dokonanych w majestacie prawa, i nie podejrzewał, że przyjdzie mu za nie zapłacić. Ten człowiek, George Jeffreys, baron Wem, stoi teraz przed wami.

Daniel wycelował palec jak pistolet prosto w twarz Jeffreysa, który uniósłby z przerażenia brwi, gdyby je jeszcze miał. Ale ponieważ ich nie miał, jego twarz była dziwnie wyprana z uczuć i pozbawiona mocy oddziaływania na Daniela. Cokolwiek by z nią zrobił, nie był już w stanie wzbudzić w Danielu strachu, litości ani zauroczenia. Przypisywanie aż takiej siły brwiom wydawało się niezbyt rozsądne, toteż musiało chodzić o coś innego. W Jeffreysie albo w Danielu zaszła jakaś głębsza zmiana.

Sztylety i pałki zaczęły wynurzać się spod płaszczy – nie po to, by od razu wejść do akcji, ale żeby osaczyć Jeffreysa. A Daniel pierwszy raz w życiu zobaczył, jak Jeffreysowi odjęło mowę; nie był w stanie nawet zakląć.

Daniel spojrzał Bobowi w oczy i skinął głową.

– Z Bogiem, sierzancie Shaftoe. Mam nadzieję, że uda się panu odbić pańską księżniczkę.

– Ja też. Obojętne, czy przeżyję, czy zginę podczas tej misji, proszę pamiętać, że panu pomogłem. Pan na razie mi się nie odwdzieczył.

– Pamiętam o tym i nie zapomnę. Gdybym lepiej nadawał się do ścigania uzbrojonych łotrów, ruszyłbym teraz z panem. Czekam na chwilę, kiedy będę mógł się panu zrewanżować.

– Nie chodzi o rewanż, lecz po prostu o dotrzymanie umowy – zauważył Bob. – Musimy tylko wybrać monetę, jaką mi pan zapłaci.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i wybiegł z karczmy.

Jeffreys rozglądał się nerwowo, taksując otaczających go mężczyzn i ich broń. W końcu jego wzrok spoczął na Danielu: nie był już wściekły, lecz urażony i zadziwiony, jakby pytał: dlaczego? Po co tyle zachodu? Przecież uciekałem! Jaki to ma sens?

Daniel wytrzymał jego spojrzenie i wypowiedział pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy:

– Prochem jesteśmy.

I wyszedł w miasto. Wschodziło słońce. Od strony Tower nadbiegali prowadzeni przez chłopca żołnierze.

## Wenecja

### Lipiec 1689

*Początki Republiki Weneckiej były następujące: tłum nędznych uchodźców umykających przed barbarzyńcami, którzy ogarnęli cesarstwo rzymskie, schronił się na kilku trudno dostępnych wysepkach na Adriatyku:.. Ich miasto osiągnęło niezwykle splendor i wspaniałość, a ich kupcy zostali zaliczeni w poczet starożytnej arystokracji, wszystko zaś dzięki potędze handlu.*

Daniel Defoe, *Opisanie handlu angielskiego*

*Do Elizy, hrabiny de la Zeur i księżnej Qwghlm*

*Od G. W. Leibniza*

*Lipiec 1689*

Elizo,

Twoje wątpliwości co do rzetelności poczty weneckiej po raz kolejny okazały się nieuzasadnione – Twój list dotarł do mnie szybko i bez widocznych śladów manipulacji. Naprawdę mam wrażenie, że za dużo czasu spędzasz w Hadze, przez co stajesz się pedantyczna i świętoszkowata jak Holenderki. Powinnaś przyjechać do mnie w odwiedziny. Przekonałabyś się, że najbardziej rozpustni ludzie na świecie bez trudu zdążają z dostarczaniem poczty, chociaż przy okazji wykonują jeszcze wiele innych trudnych czynności.

Piszę te słowa, siedząc przy oknie z widokiem na kanał, gdzie dwaj gondolierzy, o mało się przed chwilą nie zderzywszy, przerzucają się morderczymi groźbami. Takie sceny obserwuję tutaj niemal codziennie. Wenecjanie mają nawet dla nich specjalną nazwę: mówi się o „furiu gondolierskiej”. Niektórzy twierdzą, że to nowe zjawisko, że dawniej przewoźnicy nie wydzierali się na siebie w ten sposób. Ich zdaniem jest to skutek zbyt szybkiego tempa życia we współczesnym świecie, porównywalny z reakcją na zatrucie rtęcią, która wielu alchemikom zżarła nerwy, czyniąc z nich roztrzęsionych szaleńców.

Widok z tego okna niewiele się zmienił przez ostatnie sto lat (Bóg mi świadkiem, że w pokoju przydałby się remont), ale rozrzucone na stole listy (dostarczone punktualnie przez

wenecką pocztę) są świadectwem zmian, jakich świat nie widział, odkąd upadł Rzym i cesarz-wagabunda przeniósł swój dwór tutaj. Wiem już, że Wilhelm i Maria zostali koronowani w Westminsterze (o czym Ty i kilka innych osób byliście łaskawi mnie poinformować), ale w tej samej partii listów otrzymałem wiadomość od przebywającej w Berlinie Zofii Charlotty, że Rosja ma nowego cara. Nazywa się Piotr, jest wysoki jak Goliat, silny jak Samson i mądry jak Salomon. Rosjanie podpisali traktat z cesarzem Chin i ustalili przebieg granicy na jakiejś rzece, której nawet nie ma na mapach. Rosja rozciąga się dziś aż po Pacyfik – bądź też (w zależności od tego, którym mapom wierzyć) aż po Amerykę. Kto wie, może Piotr mógłby przejść pieszo do Massachusetts, nie mocząc nóg?!

Zofia Charlotta twierdzi jednak, że nowy car spogląda przede wszystkim na zachód. Ona i jej niezrównana matka planują już zaproszenie go do Berlina i Hanoweru, by móc z nim osobiście poplirtować. Za żadne skarby świata nie chciałbym tego przegapić, ale Piotr musi się pozbyć wielu rywali i zmiażdżyć Turków, zanim będzie mógł myśleć o takiej podróży, wobec czego powinienem mieć aż nadto czasu, by w porę wrócić z Wenecji.

Wenecja zaś ma wzrok utkwiony na wschód – Wenecjanie i sprzymierzone z nimi chrześcijańskie armie spychają Turka wstecz. W mieście mówi się wyłącznie albo o najświeższych wiadomościach z frontu, albo o tym, kiedy będą następne nowiny. Dla ludzi, którzy tak jak ja bardziej interesują się filozofią, obiady i kolacje stały się przez to ogromnie nużące. Święta Liga zajęła Lipovą, która, jak zapewne wiesz, strzeże przejścia do Transylwanii, pojawiła się więc nadzieja, że wkrótce uda się odeprzeć Turków aż nad Morze Czarne. Za miesiąc będę mógł przepisać to zdanie słowo w słowo, zastępując jedne niezrozumiałe nazwy geograficzne innymi, równie niepojętymi. Biada Bałkanom.

Wybacz, jeśli to, co piszę, zalatuje nonszalancją. Taki jest chyba wpływ Wenecji. Miasto finansuje wojny w staromodny sposób, czyli ściągając podatki od kupców, co w naturalny sposób ogranicza możliwości podbojów. Za to wieści z Anglii i Francji brzmią nadzwyczaj niepokojąco. Najpierw Ty piszesz, że (według Twoich informatorów w Wersalu) Ludwik XIV przetapia srebrne meble z *Grands Appartements*, aby opłacić powstającą właśnie jeszcze liczniejszą armię (a może po prostu znudził mu się wystrój wnętrz?). Potem od Huygensa dowiaduję się, że rząd w Londynie wpadł na pomysł sfinansowania armii i floty poprzez zaciągnięcie długu narodowego; chce użyć całej Anglii jako zabezpieczenia i nałożyć specjalny podatek, z którego zysk posłuży do spłacenia tegoż długu. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić zamieszania, jakie te nowiny wprowadziły w Amsterdamie! Huygens wspomniał mi również, że na statku, na którym przepłynął Morze Północne, roilo się od amsterdamskich Żydów, przewożących do Londynu cały swój majątek. Bez wątplenia część srebra z ulubionego fotela Ludwika trafiła tym sposobem (przez getto w Amsterdamie) do londyńskiej Tower, gdzie wybito z niego nowe monety z podobiznami Wilhelma i Marii, którymi następnie opłacono budowę nowych okrętów w Chatham.

Na razie wypowiedzenie przez Ludwika wojny Anglii nie odbiło się w Wenecji szerszym echem. Flota diuka d'Arcachon niepodzielnie panuje na Morzu Śródziemnym. Podobno przechwyliła sporo holenderskich i angielskich statków handlowych w okolicach Smyrny i Aleksandrii, ale nie słyszałem dotąd o żadnych zaciętych morskich potyczkach. Mówi się również, że Jakub II wylądował w Irlandii, skąd ma nadzieję przypuścić szturm na Anglię, ale nie znam szczegółów tej sprawy.

Najbardziej niepokoję się o Ciebie, Elizo. Huygens rzetelnie mi Cię opisał. Był wzruszony, że wraz z zaprzyjaźnionymi księżniczkami – Eleonorą i małą Karoliną – przyszyście go odprowadzić, kiedy wyruszał do Londynu, zwłaszcza że byłaś już w dość zaawansowanej ciąży. Za pomocą różnych astronomicznych metafor usiłował zobrazować Twoją krągłość, wielkość, promiennność i urodę. Bez wątpienia darzy Cię szczerym uczuciem i chyba odrobinę mu żal, że to nie on jest ojcem (skoro już o tym mowa, to kto nim jest? Nie zapominaj, że mieszkam teraz w Wenecji; cokolwiek powiesz, nie uda Ci się mnie zaszokować).

W każdym razie, mając świadomość, jak silnie pociągają Cię rynki finansowe, martwię się, że niedawne zawirowania mogły zwabić Cię na Damplatz, który, pogrążony w chaosie, nie jest najlepszym miejscem dla brzemiennej kobiety.

Ale niepokoję się poniewczasie, ponieważ z pewnością poród masz już za sobą, wyszliście z niego oboje żywi lub martwi i, co za tym idzie, trafiliście albo do żłobka, albo do grobu. Mam jednak nadzieję, że oboje cieszyicie się dobrym zdrowiem i ilekroć widzę obraz Madonny z Dzieciątkiem (co w Wenecji zdarza mi się średnio trzy razy na minutę), wyobrażam sobie, że to Wasz portret.

Modłę się również za księżniczki i kieruję ku nim najlepsze życzenia. Ich życie było niezwykle smutne jeszcze zanim wojna zmusiła je do tułaczki. Tym bardziej więc cieszę się, że w Hadze znalazły cichą przystań i taką przyjaciółkę jak Ty. Niestety, wieści z frontu nad Renem (Bonn i Moguncja przechodzą z rąk do rąk, itp.) sugerują, że księżniczkom nie będzie na razie dane wrócić do miejsca, gdzie spokojnie żyły na wygnaniu.

Zadałaś mi takie mnóstwo pytań o księżniczkę Eleonorę, że swoim zainteresowaniem pobudziłaś moją ciekawość. Przywodzisz mi na myśl kupca, który rozważa niezwykle poważną transakcję z obcym kontrahentem i rozpytuje o jego referencje.

Nie poznałem księżniczki Eleonory osobiście, stąd też jej urodę znam tylko z dziwnie ostrożnych stwierdzeń (np. „To najpiękniejsza niemiecka księżniczka”). Nie znałem również jej świętej pamięci męża, margrabiego Jana Fryderyka z Brandenburgii-Ansbach. Przyznam jednak, że niedawno o nim myślałem, ponieważ rosyjskiego cara często przedstawia się w podobnych słowach, jakich dawniej używano w odniesieniu do małżonka Eleonory: postępowy, nowoczesny, zdecydowany za wszelką cenę zapewnić swojemu krajowi jak najlepszą pozycję w obliczu nowego ładu ekonomicznego.

Ojciec Karoliny robił co w jego mocy, aby przypodobać się hugenotom i wszystkim, których podejrzewał o posiadanie jakichś niezwykłych umiejętności. Za wszelką cenę chciał uczynić z Ansbach ośrodek, jak by to powiedział nasz przyjaciel Daniel Waterhouse, „sztuk technicznych”. Ale świętej pamięci Jan Fryderyk pisał również powieści – tak, tak! – a wiesz przecież, jaką wstydliwą słabość do nich żywię. Kochał muzykę i teatr. Szkoda, że ospa go zabrała. I źle się stało, że jego własna syn tak bardzo uprzykrzył życie Eleonorze, że wołała się wynieść z miasta razem z małą Karoliną.

Takie są powszechnie znane fakty. Wszystko, co poza tym wiem o księżniczkach, to plotki, tyle że moje plotki są niezwykle obfite i najwyższej próby. Eleonora ma bowiem swoje miejsce w machinacjach Zofii i Zofii Charlotty, dzięki czemu jej imię regularnie przewija się w listach kursujących w tę i z powrotem między Hanowerem i Berlinem. Podejrzewam, że Zofia i Zofia Charlotta usiłują doprowadzić do powstania czegoś w rodzaju superpaństwa na północy Niemiec. Do tego potrzeba jednak kogoś z książęcego rodu, a wśród niemieckich protestantów książąt i księżniczek jest jak na lekarstwo. A wskutek wojny jeszcze ich ubywa. Piękne i niezamężne księżniczki są w tej sytuacji szczególnie cenne.

Gdyby nasza cenna Eleonora była dodatkowo zamożna, mogłaby sama kierować swoim losem, a przynajmniej mieć na niego jakiś wpływ. Odkąd jednak po sprzeczce z pasierbem została bez grosza przy duszy, jedyne jej aktywa to własne ciało i córka. Ponieważ ciało udowodniło już swoją zdolność do produkcji małych książątek, wydaje się zdadne do wyższych celów. Zdziwiłbym się, gdyby za kilka lat twoja przyjaciółka nie zamieszkała w Hanowerze lub Brandenburgii jako małżonka jakiegoś mniej lub bardziej paskudnego niemieckiego arystokraty. Radziłbym jej wybrać któregoś ze zwariowanych ekscentryków; przynajmniej nie będzie się nudzić.

Mam nadzieję, że nie wydam Ci się niedelikatny, ale takie są fakty. Poza tym ich sprawa nie wygląda wcale najgorzej. Przebywają w Hadze, gdzie nie grożą im okrucieństwa, jakich armia Louvois dopuszcza się na Niemczech. Są miasta bardziej olśniewające, ale Haga w zupełności im wystarczy, zwłaszcza że i tak jest o niebo lepsza od zagrody dla królików w Lesie Turyńskim, gdzie, jeśli wierzyć plotkom, Eleonora i Karolina przebiedowały ostatnie kilka lat. Najlepsze jednak z tego wszystkiego jest to, że dopóki są w Hadze, księżniczka Karolina ma stały kontakt z Tobą, Elizo, i od Ciebie uczy się, jak być wspaniałą kobietą. Nie wiem, jaki los zgotują Eleonorze dwie swatki, Zofia i Zofia Charlotta. Jestem za to przekonany, że od Ciebie i od nich Karolina nauczy się kierować swoim życiem i kiedy osiągnie wiek stosowny do zamążpójścia, będzie mogła wybrać takiego księcia i taki kraj, który najbardziej będzie jej odpowiadał. Dzięki temu Eleonora będzie miała z niej pociechę na stare lata.

Jeśli chodzi o Zofię, to same Niemcy z pewnością jej nie wystarczą. Jej wuj był królem Anglii, a ona chciałaby być jej królową (wiesz, że doskonale mówi po angielsku?). I dlatego siedzę tutaj, z dala od domu, tropiąc przodków jej męża wśród gwelfów i gibelinów. Ach,

Wenecja! Codziennie dziękuję na kolanach Bogu, że Zofia i Ernest August nie pochodzą z rodu, który miał swą siedzibę w jakiejś mieścinie w rodzaju Lipovej.

Mam nadzieję, że wszyscy – Ty, Eleonora, Karolina, i, jeśli taka wola Boża, Twoje dziecko – macie się dobrze i że znajdujesz się pod troskliwą opieką holenderskich położnych. Napisz, gdy tylko zbierzesz siły.

Leibniz

PS Tak mnie drażni mistyczne podejście Newtona do kwestii siły, że pracuję nad stworzeniem dziedziny nauki, która zajmowałaby się tylko i wyłącznie tym zagadnieniem. Mam ochotę nazwać ją „dynamiką”; słowo to pochodzi od greckiego określenia siły. Ciekaw jestem, jak Ci się podoba? Bo choćbym nie wiem jak płynnie znał grekę, to jednak Ty masz prawdziwy gust.

## Haga

### Sierpień 1689

Drogi doktorze,

„dynamika” nasuwa skojarzenia nie tylko z siłą, ale także z dynastiami, które wykorzystują różne siły (często zmyślnie zamaskowane), aby trwać – tak jak Słońce za pomocą tajemnego oddziaływania zmusza planety do składania mu hołdu. Uważam zatem, że nazwa brzmi dobrze, zwłaszcza że staje się Pan ekspertem od dynastii starych i nowych, i specjalistą w dziedzinie równoważenia potężnych, przeciwstawnych sił. Biorąc zaś pod uwagę fakt, że nadanie nazwy daje nazywającemu władzę nad nazywanym, popisuje się Pan nie lada sprytem, zawierając w nazwie tej nowej dyscypliny swój sprzeciw wobec poglądów Newtona. Radziłabym tylko mieć na względzie jedno rozróżnienie: granica między przemyślnością (uważaną za zaletę) i sprytem (różnie postrzeganym) jest równie niewyraźna, jak większość granic państwowych we współczesnym świecie chrześcijańskim. Anglicy są szczególnie nieufni wobec ludzi sprytnych (co właściwie jest dziwne, sami bowiem mają tej cechy w nadmiarze) i chętnie kreślą tę granicę w taki sposób, aby zaliczyć prace Newtona (i wszystkich Anglików w ogóle) do domeny „przemysłnych”, Pana zaś skazać na banicję do kraju „spryciarzy”. A na Anglików trzeba szczególnie uważać, bo to głównie oni rysują mapy. Huygens przystał do Towarzystwa Królewskiego, ponieważ uważał, że siedziba Towarzystwa jest jedynym miejscem na świecie (poza komnatą, w której Pan akurat przebywa, doktorze), gdzie prowadzi się rozmowy nie będące śmiertelnie nudnymi. I nawet nieustanne docinki pana Hooke’a nie są go w stanie zniechęcić.



Za mało jednak piszę o sobie – chyba między innymi dlatego, że samo istnienie tego listu dowodzi doskonale, że jednak żyję. Ale także dlatego że trudno mi się zmusić do napisania czegoś o dziecku. Niech Bóg zlituje się nad jego małą duszyczką, która przebywa już wśród aniołków w niebie.

Po kilku falstartach poród zaczął się wieczorem dwudziestego siódmego czerwca – moim zdaniem bardzo, bardzo późno; miałam wrażenie, że noszę tę ciążę już chyba ze dwa lata! Wczesnie rano następnego dnia pękł wór z wodami płodowymi, które wypłynęły ze mnie jak woda z przełamanej tamy<sup>16</sup>. Wtedy w Binnenhofie zapanowało zamieszanie, bo uruchomiono cały aparat gotowy na przyjęcie dziecka: wezwano medyków, pielęgniarki, położne i księży, co postawiło wszystkie plotkarki w promieniu pięciu mil od pałacu w stanie najwyższej gotowości.

*Jak się Pan domyśla, doktorze, niewiarygodnie długi i nudny opis porodu i położu jest zaledwie naczyniem dla tej oto zaszyfrowanej wiadomości. Mimo to proszę go przeczytać, ponieważ zużyłam galon atramentu i zapałkałam kilka brudnopisów, próbując ująć w słowa choć jedną setną moich cierpień, burzy, która wybuchła w trzewiach, kiedy moje ciało usiłowało się rozpęknąć. Proszę sobie wyobrazić, że łyka Pan pestkę melona, czuje, jak owoc kielkuje w Pańskim brzuchu i osiąga pełne rozmiary, a potem próbuje zwymiotować go przez ten sam nieduży otworek. Dzięki Bogu, że mam to za sobą. I niech Bóg ma mnie w swojej opiece, bo kocham tego malucha.*


*Tak, tak – napisałam „kocham”, nie „kochałam”. Bo w przeciwieństwie do tego, co piszę otwartym tekstem, dziecko żyje. Ale nie uprzedzajmy faktów.*

*Z powodów, które niebawem staną się oczywiste, musi Pan jak najszybciej zniszczyć ten list. O ile ja pierwsza go nie zniszczę, rozpuszczając atrament kapiącymi na papier łzami. Przepraszam za te paskudne plamy*

*Dla Holendrów i Anglików jestem księżną Qwghlm. Dla Francuzów – hrabiną de la Zeur. Ale ani protestanckiej księżnej, ani francuskiej hrabinie nie puszcza się płazem urodzenia nieślubnego dziecka.*

*Ciążę udało mi się ukryć tak, że wiedziała o niej dosłownie garstka ludzi, ponieważ odkąd brzuch mi się zaokrąglił, bardzo rzadko pokazywałam się publicznie. Większość czasu spędzałam na piętrach domu Huygensa, przez co miałam zupełnie nieciekawą wiosnę i równie nudne lato. Eleonora i Karolina, księżniczki Ansbach, są podejmowane ze wszelkimi należnymi honorami w Binnenhofie, który – jak Pan wie – od domu Huygensa dzieli bardzo niewielką odległość. Prawie codziennie przechodziły przez plac, żeby złożyć mi wizytę, a właściwie Eleonora przechodziła, a Karolina pędziła ile sił w nóżkach. Orowadzanie ciekawskiej sześciolatki po takim domu jak dom Huygensa, gdzie na każdym kroku czekają zegary, wahadła, soczewki, pryzmaty i inne przyrządy, to rozkosz dla dziecka – i prawdziwa próba charakteru dla wszystkich osób znajdujących się w zasięgu głosu malucha. Karolina*

---

<sup>16</sup>  Przelom: czterdziesty trzeci heksagram I Ching. Inaczej 011111.

umie zadać po sto pytań na temat każdego wygrzebanego w kącie drobiazgu, nawet najmniej interesującego. Eleonora, która nie wie prawie nic o filozofii naturalnej, szybko zmęczyła się powtarzaniem „nie wiem” i odechciało jej się dalszych odwiedzin. Ja jednak nie miałam nic lepszego do roboty, opiekowałam się więc Karoliną i starałam się odpowiadać najlepiej jak umiałam na wszystkie jej pytania. Zauważywszy to, Eleonora nabrała zwyczaju przysiadania w jakimś osłonecznionym kąciku, gdzie mogła się zająć haftowaniem albo pisaniem listów; czasem zostawiała Karolinę pod moją opieką, sama zaś udawała się na przejażdżkę lub uroczystą kolację. Taki układ odpowiadał całej naszej trójce. Wspominał mi Pan, doktorze, że świętej pamięci margrabia Jan Fryderyk, ojciec Karoliny, pasjonował się filozofią naturalną i sztukami technicznymi, a ja mogę Pana teraz zapewnić, że córka odziedziczyła po nim te zamiłowania. Może pozostały jej jakieś wyblakłe wspomnienia ojca, jak pokazywał jej swoją kolekcję skamielin albo najnowszy zegar wahadłowy, i teraz czuje z nim łączność duchową, kiedy pokazuje jej przeróżne cuda w domu Huygensa. Jeśli tak jest, jej los powinien się wydać znajomy człowiekowi, dla którego jedyną pamiątką po ojcu była jego biblioteka.

Tyle o Elizie i Karolinie. Ale Eliza i Eleonora również rozmawiały, nocą, kiedy Karolina spała już w swoim pokoju w Binnenhofie. Rozmawiałyśmy o dynamice – ale nie o dynamice przedmiotów toczących się po nachylonych płaszczyznach, tylko o dynamice rodów królewskich i arystokratycznych. Obie przypominamy poniekąd myszy buszujące po torze do gry w kule, usiłujące nie dać się zgnieść tym toczącym się i zderzającym kulom. Musimy zrozumieć dynamikę, żeby przeżyć.

Kilka miesięcy przed zejściem w ciążę odwiedziłam Londyn. Byłam z Danielem Waterhouse'em w Whitehallu, kiedy ponoć urodził się syn Jakuba II, obecny pretendent do tronu. Czy Maria z Modeny naprawdę była brzemienna, czy tylko obnosiła się z poduszkami pod suknią? A jeśli była w ciąży, to z kim – z syfilitykiem Jakubem, czy z jakimś zdrowym ogierem, sprowadzonym do królewskich apartamentów w celu spółdzenia krzepkiego dziedzica korony? Powiedzmy, że faktycznie była brzemienna. Czy niemowlę przeżyło połóg? A może dziecko wyniesione z królewskiej sypialni rzeczywiście było sierotą, przemyconą do pałacu w szkandeli, a potem triumfalnie pokazaną publicznie, by ród Stuartów mógł dalej rządzić Anglią? W pewnym sensie nie ma to wielkiego znaczenia, ponieważ król został usunięty, a syn wychowuje się w Paryżu – ale pod pewnymi względami ma znaczenie wręcz ogromne. Wieść zza morza niesie, że ojciec dziecka zajął Derry, kontynuuje triumfalny marsz przez Irlandię i będzie się starał odzyskać królestwo dla syna. Wiele więc zależy od tego, co się stało – lub nie stało – w pewnej sypialni w Whitehallu.

Proszę o wybaczenie, gdyż kontynuując takie rozważania z pewnością urażam Pański intelekt. Czy znalazł Pan jakichś bękartów lub podrzutek w rodzie Zofii? Zapewne tak. Czy ogłosił Pan ten fakt publicznie? Oczywiście nie. Mimo to proszę spalić ten list i rozsypać popioły nad kanałem, o którym tyle Pan pisze. Tylko radzę najpierw sprawdzić, czy pod oknem nie przepływa jakiś krewki gondolier.

*Jako chrześcijanka, arystokratka i panna nie mogłam być w ciąży i powić dziecka. Eleonora wiedziała to równie dobrze jak ja. Rozmawiałyśmy o tym całymi godzinami, a mój brzuch rósł i rósł.*

*Mój błogosławiony stan w żadnym razie nie był tajemnicą – służba w domu wiedziała o wszystkim, ale po fakcie mogłam się wszystkiego wyprzeć. Specjaliści od plotek wiedzieliby, że kłamię, ale w ostatecznym rozrachunku ich opinia się nie liczy. Gdyby, Boże uchroni, dziecko urodziło się martwe albo zmarło w niemowlęctwie, można by uznać, że nic się nie wydarzyło. Ale gdyby przeżyło i chowało się dobrze, sprawy poważnie by się skomplikowały.*

*Chociaż przyznam, że perspektywa tych komplikacji specjalnie mnie nie przerażała. Jednego się w Wersalu nauczyłam – ważne osobistości umieją kłamać o swoich romansach, perwersjach, ciążyach, poronieniach, porodach i bękartach na tyle samo sposobów, na ile marynarz umie wiązać węzły. Kiedy więc mijały kolejne miesiące, ociężałe i nieuniknione jak ruch wahadeł zegarów Huygensa, miałam aż nadto czasu na przemyślenia, które kłamstwo wybrać, kiedy dziecko przyjdzie na świat.*

*Z początku, kiedy dopiero zaczynał mi się zaokrąglać brzuszek, myślałam o tym, żeby oddać komuś dziecko. Jak Panu wiadomo, istnieje całe mnóstwo hojnie finansowanych „sierocińców”, gdzie wychowują się nieślubne dzieci arystokratów. Zresztą gdybym trochę poszukała, udałoby mi się pewnie znaleźć przyzwoite małżeństwo, które nie mogło mieć własnych dzieci i z radością powitałoby w domu zdrowego malca.*

*Jednakże od dnia, kiedy ten malec zaczął mnie kopać od środka, myśl o oddaniu go obcym stawała się coraz bardziej niepojęta, aż wreszcie całkowicie ją porzuciłam.*

*Kiedy byłam w siódmym miesiącu, Eleonora posłała do Eisenach po niejaką Frau Heppner. Frau Heppner zjawiała się parę tygodni później, podając się za opiekunkę Karoliny i nauczycielkę niemieckiego. I rzeczywiście, tym również się zajęła, ale w rzeczywistości z zawodu jest akuszerką. Odbierała Eleonorę, kiedy ta przyszła na świat, była również przy narodzinach wielu innych dzieci, bardziej i mniej szlachetnie urodzonych. Eleonora zapewniła mnie, że Frau Heppner umie dochować tajemnicy i mogę jej całkowicie zaufać.*

*W Binnenhofie, choć daleko mu do francuskich luksusów, znajduje się kilka kompleksów apartamentów urządzonych w taki sposób, że goszcząca w pałacu dama z królewskiego rodu może się w nich zatrzymać wraz z towarzyszącymi jej dworkami, szambelanką et caetera. Z lektury moich poprzednich listów zorientował się Pan już, że księżniczka Eleonora nie miała świty dość licznej, aby zająć całe takie apartamenty. Przywiozła ze sobą parę służących z Eisenach, a na miejscu Wilhelm w akcie dobrej woli przydzielił jej jeszcze dwie holenderskie służące. Na koniec doszła Frau Heppner, ale i tak jeden pokój pozostawał wolny. I tak oto Frau Heppner w chwilach wolnych od nauczania Karoliny zaczęła gromadzić pościel i inne akcesoria niezbędne w sztuce położniczej i szykować ten dodatkowy pokój na przyjęcie dziecka.*

*Plan był następujący: kiedy zaczną się skurcze, miałam zostać przeniesiona w lektyce do Binnenhofu, wprost do apartamentów Eleonory. Pewnie wyda się to Panu niewiarygodne, ale nawet ćwiczyliśmy ten manewr – wynajęłam dwóch barczystych Holendrów do roli tragarzy i w ostatnich tygodniach cięży raz dziennie kazałam się przenosić z domu Huygensa do pałacu, równym krokiem i bez postojów, dopóki nie znalazłam się w sypialni u Eleonory.*

*Takie próby kostiumowe wydawały mi się dobrym pomysłem, ponieważ nie doceniałam siły mojego nieprzyjaciela i nie zdawałam sobie sprawy z tego, ilu szpiegów ma w Binnenhofie. Z perspektywy czasu widzę, że odstąpiłam przed nim cały mój plan i umożliwiłam zastawienie idealnej pułapki.*

*Ale znów uprzedzam fakty. Frau Heppner miała według planu czuwać nad przebiegiem porodu. Gdyby dziecko zmarło, a ja nie, nikt nie musiał o niczym wiedzieć. Gdybym to ja zmarła, a dziecko przeżyło, trafiłoby pod opiekę Eleonory i odziedziczyło mój majątek. Gdybyśmy oboje przeżyli, miałam po kilku tygodniach rekonwalescencji – i zniknięciu oczywistych śladów przebytego porodu – przeprowadzić się do Londynu. Zabrałabym dziecko ze sobą i przedstawiła jako osieroconego bratanka albo siostrzeńca, jedyne ocalałego świadka jakiejś masakry w Palatynie Reńskim. Rzezi tam nie brakuje, a w Anglii nie brakuje Anglików gotowych uwierzyć w podobną historyjkę, choćby była dziurawa jak rzeszoto. Grunt, że pochodziłaby od księżnej, która bardzo przysłużyła się nowemu królowi.*

*Wiem, brzmi to wszystko niedorzecznie. Podobne bzdury nawet by mi przez myśl nie przeszły, gdyby nie wizyta w Whitehallu, kiedy to miałam okazję zobaczyć (z daleka) całą rzeszę możnych i sławnych osób, które zebrały się tam tylko po to, by stanąć w królewskiej sypialni, przez cały dzień wpatrywać się w waginę królowej niczym wieśniacy, czyhający na pokazie sztuczek magicznych na spotkanie iluzjonisty.*

*Zakładałam, że moja wagina, tak pospolita i zwyczajna, nie ma szans przyciągnąć podobnie licznej i dystygowanej publiczności. Myślałam więc, że dzięki podjętym odpowiednio wcześniej przygotowaniom będę mogła bez przeszkód ułożyć sprawę po swojej myśli.*

*W tym miejscu odsyłam Pana do otwartego tekstu, doktorze, aby zapoznał się Pan ze wszystkimi cudownymi wrażeniami, jakie towarzyszyły mi w pierwszych godzinach porodu (domyślałam się, że musiały upłynąć godziny – najpierw na dworze było ciemno, a potem wstał dzień). Kiedy wody odeszły i zorientowałam się, że nadszedł czas, posłałam po tragarzy. Wyczekując chwil między skurczami, zesłam powoli na parter i zasiadłam w lektyce, która czekała w przylegającej do domu izdebce. Znalazłszy się w środku, zamknęłam drzwi i zasunęłam firanki w oknach, aby ciekawskie oczy nie wypatrzyły mnie, kiedy będę przemierzać plac. Ciemna i zamknięta przestrzeń wcale mi nie przeszkadzała – miałam przecież świadomość, że dziecko w moim łonie od tygodni żyje w znacznie gorszych warunkach i znosi je cierpliwie, jeśli nie liczyć sporadycznych szturchańców.*

Niedługo potem usłyszałam znajome głosy tragarzy i poczułam, jak lektyka podnosi się z ziemi i obraca, rozpoczynając krótką podróż do Binnenhofu. Na razie nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego. Nie wykluczam, że chwilę się zdrzemnąłam, ale z całą pewnością straciłam rachubę zakrętów, kiedy przemierzaliśmy długie pałacowe galerie. W końcu jednak poczułam, jak tragarze stawiają lektykę na posadzce, i usłyszałam ich oddalające się kroki.

Otworzyłam zasuwkę i pchnęłam drzwi, spodziewając się ujrzeć twarze Frau Heppner, Eleonory i Karoliny.

Zamiast nich zobaczyłam doktora Alkmaara, dworskiego lekarza, którego widziałam raz czy dwa w życiu, ale nigdy z nim nie rozmawiałam.

Nie znajdowałam się w apartamentach Eleonory, lecz w nie znanej mi sypialni, w jakiejś innej części Binnenhofu. Czekają tam już – na mnie! – posłane łóżko, na podłodze stała balia z parującą wodą, obok leżał stos podartych na szmaty prześcieradeł. W pokoju było kilka wyglądających znajomo kobiet oraz jeszcze jeden mężczyzna – młody i zupełnie obcy.

Wpadłam w pułapkę. Byłam tak wstrząśnięta, że w ogóle nie wiedziałam co robić. Chciałabym móc powiedzieć Panu, doktorze, że nie straciłam głowy i widząc, co się święci, wyskoczyłam z lektyki, wybiegłam na galerię i odzyskałam wolność. Ale w rzeczywistości byłam kompletnie otumaniona. W dodatku w tej samej chwili chwycił mnie silny skurcz. Nie mogłam się ruszyć.

Kiedy ból zmalął, leżałam już na łóżku – doktor Alkmaar i pozostali musieli mnie wyciągnąć z lektyki. Tragarze dawno się ulotnili. Ten, kto zorganizował moje porwanie – a miałam całkiem niezłe pojęcie o tym, kto to mógł być – musiał albo ich przekupić, żeby zanieśli mnie w niewłaściwe miejsce, albo w jakiś sposób przekonać, że zmieniałam zdanie. Nie miałam nawet jak wysłać wiadomości. Mogłam zacząć wzywać pomocy, ale rodzące kobiety zawsze krzyczą o pomoc. A w pokoju pomocnych rąk nie brakowało.

Doktor Alkmaar nie słynął z serdeczności, ale cieszył się opinią dobrego fachowca i (co równie istotne) lojalnego poddanego. Jeśli mnie szpiegował (czego mogłam się spodziewać), mógł o mnie opowiedzieć tylko Wilhelmowi Orańskiemu, który i tak zna moje tajemnice. Pomagał mu jeden z jego uczniów (to ten obcy młodzian) i dwie dziewczyny, na dobrą sprawę nie mające czego szukać w tym pokoju. Kiedy przed prawie dziewięcioma miesiącami przybyłam do Hagi na jednym statku z Eleonorą i Karoliną, Wilhelm próbował urządzić dla mnie apartament i przydzielić służbę stosowną do mojej nowej rangi. Zrobił to nie dlatego, że go o to prosiłam, lecz dlatego że tak wypada – księżna rezydująca w królewskim pałacu nie może się obejść bez służby. Przysłał mi dwie młode kobiety, córki mniej znacznych arystokratów, które spędzały czas na dworze, czekając na mężów i żalując, że nie mogą być w Wersalu. Ponieważ wszędzie służba pałacowa ma zwyczaj szpiegować swoich panów i panie, starałam się spotykać z Eleonorą dyskretnie, w miejscach gdzie moje służące nie mogły nas podsłuchać. Później, kiedy przeniosłam się do domu Huygensa, odprawiłam je i zapomniałam o nich. Tyle że zgodnie z literą dworskiego protokołu pozostały moimi służącymi, bez względu

na to, czy tego chciałam, czy nie. Mój otumaniony umysł, rozpaczliwie usiłujący rozeznąć się w sytuacji, podsunął mi takie właśnie wyjaśnienie.

Znów odsyłam Pana do otwartego tekstu, gdzie znajdzie Pan opis różnych moich cierpień i upokorzeń. Najważniejszy w tej narracji jest jednak fakt, że kiedy chwyciły mnie najgorsze skurcze, nie byłam do końca przytomna. Jeżeli wydaje się to Panu niewiarygodne, proszę zjeść parę zepsutych ostryg, a później, kiedy wnętrzności będą się Panu wywracały na nice, zasiąść do swoich różniczkowo-całkowych obliczeń.

Po jednym z tych skurczów spojrzałam spod zmrużonych powiek na doktora Alkmaara, który stał między moimi udami. Miał podwinięte rękawy i mokre pozlepiane włoski na przedramionach. Domyśliłam się, że przeprowadził małe rozeznanie w moim wnętrzu.

– Chłopiec – oznajmił, bardziej na użytek widzów niż mój, bo ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, domyślałam się, że jego zdaniem albo śpię, albo jestem nieprzytomna.

Otworzyłam oczy odrobinę szerzej. Miałam nadzieję, że już jest po wszystkim i chciałam zobaczyć dziecko. Ale doktor Alkmaar miał puste ręce i wcale się nie uśmiechał.

– Skąd pan wie? – zapytała Brigitte, jedna z moich dwóch służących. Sprawiała wrażenie, jakby jej miejsce było na wiejskim podwórzu, przy maselnicy. W dworskiej sukni wyglądała zgoła niestosownie. I była kompletnie nieszkodliwa.

– Próbuje wyjść tyłem naprzód – odparł z roztargnieniem doktor.

Brigitte zaparło dech w piersi. Wiadomość była zła, ale widok Brigitte poprawił mi humor. Była głupia i drażnił mnie jej słodki charakterek, a tu nagle stała się jedyną osobą, która okazała mi choć cień współczucia. Miałam ochotę wstać i ją przytulić, ale wydało mi się to niezbyt rozsądne. Marie, moja druga służąca, zapytała:

– To znaczy, że oboje umrą, tak?

Skoro już piszę ten list, nie mogę Pana trzymać w niepewności, doktorze: wiadomo, że nie umarłam. Wspominam o tej rozmowie, aby zilustrować charakter Marie. W przeciwieństwie do Brigitte, która zawsze była serdeczna (choć ciężko myśląca), Marie miała serce z lodu; gdyby do pokoju wpadła mysz, Marie zdeptałaby ją bez namysłu. Była córką barona, w którego rodowodzie przewijały się najróżniejsze resztki, odpadki, niedopalki i ogarki holenderskich i niemieckich książątek. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że (za pozwoleniem, doktorze) w ich rodzinie kazirodztwo praktykowano od dawna – i nader chętnie.

– To znaczy, że muszę sięgnąć do środka i odwrócić dziecko główką do przodu – odparł doktor Alkmaar. – Istnieje jednak ryzyko, że pępowina je przydusi. Główną przeszkodą są skurcze macicy, która zaciska się na dziecku z siłą, jakiej nie dorównałoby żadne męskie ramię. Muszę poczekać, aż łono się rozluźni, i wtedy spróbować ponownie.

Czekaliśmy więc, ale nawet w przerwach między skurczami moje łono pozostawało tak napięte, że doktor Alkmaar nie był w stanie poruszyć dziecka.

– Mam pewne leki, które mogłyby pomóc – rozmyślał na głos. – Mógłbym też upuścić jej krwi, żeby osłabła. Nie, na razie poczekajmy, aż zupełnie opadnie z sił. Będę miał większe szanse.

Oczekiwanie się przedłużało. Dla widzów był to po prostu nudny obowiązek, dla mnie zaś przeżywanie raz po raz krwawego morderstwa i odradzanie się, umieranie i powracanie do istnienia. Z tym że po każdym kolejnym razie była to jakaś niższa forma życia.

Kiedy do pokoju wparował goniec, leżałam bezwładnie jak wór ziemniaków.

– Doktorze Alkmaar! – zawołał. – Przybywam od łóża kawalera de Montluçon!

– A czemuż to nowy ambasador o czwartej po południu jest jeszcze w łóżku?

– Miał jakiś atak i pilnie wymaga pomocy! Chce, żeby mu pan upuścił krwi!

– Jestem zajęty – odparł doktor po chwili namysłu. Nie podobało mi się, że w ogóle się zastanawiał.

– Idzie tu już położna, która pana zastąpi – odparł goniec.

W tym momencie jakby na dany sygnał rozległo się pukanie do drzwi. Marie podskoczyła ku nim z ożywieniem, jakiego nigdy wcześniej nie okazywała, i w progu stanęła ciesząca się dwuznaczną reputacją stara akuszerka. Patrzałam ukradkiem spod zasłony rzęs, jak Marie rzuca się jej na szyję w udawanym wybuchu radości i szepcze jej coś do ucha. Położna wysłuchała jej, coś odpowiedziała, znów wysłuchała, odpowiedziała – i tak trzy razy, zanim zwróciła na mnie spojrzenie swoich pozbawionych wyrazu szarych oczu. Poczulałam, że śmierć wyciąga po mnie rękę.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o objawach – mówił tymczasem doktor Alkmaar, coraz bardziej zainteresowany nowym przypadkiem. Patrzył na mnie tak, jakby wszystko widział przeze mnie na wylot.

Zebrałam resztki sił, dźwignęłam się na łokciu i drugą ręką złapałam go za zakrwawiony fular.

– Jeżeli uważa mnie pan za trupa, to jak pan wytłumaczy to?!

I szarpnęłam z całej siły.

– Minie jeszcze dużo czasu, zanim wystarczająco pani osłabnie – odparł. – Zdążę upuścić krwi kawalerowi de Montluçon...

– Który zaraz potem będzie miał następny atak! – powiedziałam. – I jeszcze jeden! Nie jestem idiotką. Wiem, że kiedy osłabnę na tyle, żeby mógł pan obrócić we mnie dziecko, nie będę już miała siły go wypchnąć. O jakim leku mówił pan przed chwilą?

– Doktorze! Francuski ambasador jest umierający! Protokół stwierdza, że... – zaczęła Marie, ale doktor Alkmaar uciszył ją gestem.

– To tylko próbka – odparł, zwracając się do mnie. – Na jakiś czas rozluźnia pewne partie mięśni. Potem jego działanie zanika.

– Próbowal go pan już?

– Tak.

– I co?

– Przestałem trzymać mocz.

– Kto go panu dał?

– Wędrowny alchemik, który dwa tygodnie temu wpadł z wizytą.

– Szarlatan czy...

– Cieszy się świetną opinią. Powiedział, że przy tylu ciężarnych kobietach w pałacu lek może mi się przydać.

– To był Rudy?

Doktor Alkmaar zerknął szybko na boki, zanim ledwo zauważalnie skinął głową.

– Niech mi pan go da.

Był to jakiś wyciąg roślinny, strasznie gorzki, ale po kwadransie rzeczywiście się rozluźniłam i zaczęło mi się kręcić w głowie, chociaż wcale nie straciłam jeszcze dużo krwi. Byłam więc półprzytomna, kiedy doktor obrócił dziecko – co zresztą mi odpowiadało, bo nie było to wydarzenie, które chciałabym śledzić w pełni świadomie. Moje zamiłowanie do filozofii naturalnej ma swoje granice.

Usłyszałam, jak mówi do położnej:

– Teraz dziecko jest skierowane główką do dołu, jak należy. Chwała Bogu, pępowina mi nie przeszkodziła. Kiedy za kilka godzin działanie leku ustąpi, wrócą skurcze i, jak Bogda, urodzi normalnie. Proszę pamiętać, że poród jest spóźniony, a dziecko dobrze rozwinięte. Tak jak często się to zdarza w takich sytuacjach, zdążyło już nawet wypróżnić się w łonie.

– Dla mnie to nie nowina – odparła nieco urażona akuszerka.

– Trochę kału dostało się dziecku do ust – ciągnął doktor Alkmaar, nie przejmując się tym, czy ją uraża, czy nie. – Przy pierwszym oddechu może zostać zassany do płuc. Gdyby tak się stało, nie pożyje nawet tydzień. Udało mi się wsunąć mu palec do buzi i wygarnąć większość kału, ale proszę pamiętać, żeby trzymać chłopca głową w dół i jeszcze raz oczyścić mu buzię. Zanim zdąży wziąć wdech.

– Co my byśmy bez pana zrobili... – powiedziała starucha z goryczą.

– Włożył mu pan palec do buzi? – spytała z niedowierzaniem Marie.

– Właśnie to powiedziałem.

– Zauważył pan coś... niezwykłego?

– Nie rozumiem...

– Podniebienie... szczeka...

– Poza tym, że buzia była pełna dziecięcego gówienka, wszystko było z nią w porządku. – Doktor wziął do ręki torbę z lancetami i podał ją asystentowi. – Pójdę teraz upuścić krwi francuskiemu ambasadorowi.

– Dla mnie też niech pan weźmie kwaterkę – jęknęłam.

Słyszając mój wątpliwy żart, Marie, która właśnie zamykała drzwi za doktorem, rzuciła mi mordercze spojrzenie.



\* \* \*

*Starucha siadła przy mnie, od stojącej na nocnej szafce świeczki zapaliła sobie fajkę i zajęła się przemienianiem wypełniającego pokój powietrza w tytoniowy dym.*

*Słowa Marie były zaszyfrowaną wiadomością, którą zrozumiałam w chwili, gdy dotarły do moich uszu. Oto ich prawdziwe znaczenie:*

*Dziewięć miesięcy temu na brzegu Mozy wpadłam w tarapaty. Chcąc się z nich wydostać, przespałam się z Étienнем d’Arcachon, potomkiem starego rodu, słynącego z faktu, że cielesne defekty są w nim przekazywane z pokolenia na pokolenie, tak jak w innych rodzinach symbole heraldyczne. Każdy, kto był w królewskich pałacach Wersalu, Wiednia lub Madrytu, widział zajęcze wargi i rozszczepione podniebienia, dziwacznie uformowane zuchwy i zdeformowane czaszki arystokratów; Karol II, król Hiszpanii, spokrewniony z d’Arcachonami na trzy różne sposoby, może przyjmować tylko płynne pokarmy. Kiedy w jednym z tych rodów na świat przychodzi dziecko, wszyscy najpierw – zanim zdąży choćby odetchnąć – dokładnie sprawdzają ukształtowanie jego ust i szczęk.*

*Miło mi było usłyszeć, że mój syn nie będzie podobnie oszpecony. Jednakże z faktu, że Marie w ogóle zadała takie pytanie, wynikało, że domyśla się, kto jest ojcem dziecka. Jak to możliwe?*

*„To oczywiste”, mógłby Pan odpowiedzieć. „Étienne d’Arcachon chępił się pewnie na prawo i lewo tym, że uwiódł hrabinę de la Zeur, a dziewięć miesięcy wystarczyło, by jego przechwałki dotarły do uszu Marie”.*

*Ale Pan go nie zna. Étienne jest zupełnie inny niż reszta rodziny: uprzedzająco grzeczny i nieskory do przechwałek. Skąd zresztą miałby wiedzieć, że to jego dziecko? Wie tylko, że miał jedną okazję mnie pukać (jak ująłby to Jack), ale przecież i przedtem, i potem podróżowałam całymi tygodniami w towarzystwie mężczyzn, a wątpię, żebym na Étienne zrobiła wrażenie cnotliwej!*

*Jedyne możliwe wyjaśnienie, to że Marie, albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś, kto jej rozkazuje, odszyfrował i przeczytał mój dziennik, w którym napisałam wprost, że spałam tylko z Étienнем.*

*Było więc jasne, że Marie i stara akuszerka służą jakiemuś wysoko postawionemu Francuzowi. Hrabiego d’Avaux wkrótce po rewolucji angielskiej odwołano do Francji, a jego miejsce zajął ten kawaler de Montluçon. Ale de Montluçon był nikim i nie miałam cienia wątpliwości, że to tylko marionetka na usługach d’Avaux albo innej wysoko postawionej osoby z Wersalu.*

*Nagle zaczęłam współczuć królowej, żonie Jakuba II: oto bowiem leżałam na wznak w cudzoziemskim pałacu, a tłum obcych wpatrywał się prosto w moją waginę.*

*Kto to zorganizował? Kto wydawał rozkazy Marie?*

*Było oczywiste, że kazano jej – między innymi – sprawdzić, czy dziecko jest zdrowe.*

*Kogo to mogło interesować, czy nieślubny syn Étienne'a ma ładnie uformowaną czaszkę, czy nie?*

*Étienne napisał dla mnie wiersz miłosny, o ile można go tak nazwać:*

Są panie, co chwałą się rodowodami,  
Aż w końcu tchu w zachwytach im nie staje.  
Lecz drzewa stare, o pniach pokrytych mchami,  
Często rak toczy, zgnilizna i liszaje.

Krew mojej damy czysta jak górską krynica.  
Tytuł ma kupiony? Gorsze są obrazy.  
Nieskalana uroda jej jasnego lica  
Marzyć mi pozwala, o dzieciach śnić bez skazy.

*Chciał mieć zdrowe dzieci. Zdawał sobie sprawę, że jego ród wymiera i potrzebuje świeżej krwi. Zrobiono ze mnie hrabinę, ale wszyscy wiedzieli, że mój rodowód został zmyślony i w rzeczywistości jestem zwykłą prostytutką. Étienne'owi to nie przeszkadzało – w jego rodzie tytułów było tyle, że wystarczyłoby na trzech diuków. Tak naprawdę nie zależało mu również na mnie – liczył się tylko fakt, że rodzę zdrowe dzieci, że moje potomstwo jest wolne od defektów. Albo on sam, albo ktoś działający w jego imieniu kierował Marie, a Marie w tej chwili całkowicie panowała nade mną.*

*To tłumaczyło jej niezdrowe zaciekawienie tym, co takiego namacał doktor Alkmaar, włożywszy dziecku palec do buzi. Jakie inne zadania jej wyznaczono?*

*Chłopczyk, który próbował wyczołgać się z mojego łona, choćby nawet najzdrowszy na świecie, na zawsze musiałby pozostać bękartem. Dla Étienne'a byłby to zaledwie kłopotliwy drobiazg (w końcu wielu mężczyzn miało dzieci z nieprawego łoża), ale dla mnie poważny problem.*

*Pokazałam, że jestem w stanie rodić d'Arcachonom zdrowe potomstwo. Na wieść o tym Étienne na pewno chciałby się ze mną ożenić, aby jego następne dzieci nie były już bękartami. Jaki los czekałby jednak chłopca, który dziś miał przyjść na świat, niezręcznego, wstydliwego bękartą? Czy Étienne kazałby go zawieźć do sierocińca? Oddałby na wychowanie jakiejś bocznej gałęzi rodu? Czy też – proszę mi wybaczyć tę okropną wizję, ale tak wtedy działał mój umysł – Marie miała dopilnować, żeby dziecko przyszło na świat martwe?*

*W przerwach między skurczami rozglądałam się po pokoju i rozważałam różne możliwości działania. Musiałam stamtąd uciec i urodzić wśród przyjaciół. Po całym dniu w pogoju byłam zbyt słaba, żeby wstać z łóżka, więc nie bardzo mogłam po prostu wyjść z sypialni i rzucić się do ucieczki.*

*Pomyślałam jednak, że mogłabym wykorzystać siłę jednych i słabość drugich. Wspominałam już, że Brigitte była zbudowana jak koń, i wiedziałam, że jest poczciwą dziewczyną. Zdarza mi się czasem mylić w ocenie ludzkich charakterów, ale kiedy człowiek leży unieruchomiony w łóżku przez – zdałoby się – tydzień, zdąży dobrze poznać towarzyszących mu ludzi.*

*– Brigitte? – powiedziałam. – Czy byłabyś tak miła i przyprowadziła księżniczkę Eleonorę?*

*Brigitte uśmiechnęła się i ścisnęła moją spoconą dłoń, ale Marie była szybsza.*

*– Doktor Alkmaar zabronił pani przyjmować gości! – odparła.*

*– Czy Eleonora jest gdzieś daleko stąd? – zapytałam.*

*– Na drugim końcu galerii – wyjaśniła Brigitte.*

*– W takim razie biegnij do niej i powiedz, że niedługo urodzę zdrowego chłopca.*

*– To jeszcze wcale nie jest takie pewne – zauważyła Marie, kiedy Brigitte wybiegła z pokoju.*

*Marie i stara akuszerka stanęły w kącie i zaczęły się naradzać szeptem. Nie przewidziałam, że tak się stanie, ale było mi to na rękę. Wyciągnęłam świecę ze świecznika stojącego na szafce nocnej. Szafka była przykryta koronkową serwetą z frędzlami, które rażno zajęły się ogniem, gdy tylko przytknęłam do nich płomień świecy. Zanim Marie i starucha zainteresowały się tym, co robię, płomień zdążył już przeskoczyć na frędzle baldachimu nad łóżem.*

*To właśnie miałam na myśli, mówiąc, że muszę wykorzystać słabość niektórych gapiów. Ledwie Marie i akuszerka zorientowały się w sytuacji, wywiązało się między nimi coś w rodzaju zapasów, ponieważ nie mogły się dogadać, która pierwsza powinna wybiec z pokoju. Nie zwracały sobie głowy okrzykami w rodzaju „Pali się!” – po prostu uciekły. Krzyknął za to sługa, idący z miednicą wrzątku w rękach. Widząc buchający przez drzwi gęsty dym, wrzasnął – stawiając na nogi cały pałac – i wbiegł do sypialni. Na szczęście zachował dość przytomności umysłu, żeby do tej pory nie rozlać wody, i teraz chlusnął nią na największe skupisko płomieni, jakie wpadło mu w oko, czyli na baldachim. Wrzątek mnie poparzył, ale nie zrobił wrażenia na rozszalałych płomieniach, które właśnie zaczynały lizać zasłony.*

*Proszę pamiętać, że leżałam na wznak, wpatrując się w sufit przez stojący w ogniu baldachim i dym kłębiący się nad nim jak burzowa chmura. Dym wkrótce zaczął opadać, zmniejszając zapas świeżego powietrza w pokoju. A ja mogłam tylko czekać, aż napłynie mi do płuc.*

*Nagle w drzwiach stanęła Brigitte. Przykucnęła, dzięki czemu mogła zajrzeć do środka pod poduchą dymu, i spojrzała mi w oczy. Czy nazwałam ją wcześniej głupią? Jeśli tak, wycofuję to oskarżenie. Upłynęło zaledwie kilka uderzeń serca, gdy jej twarz przybrała wyraz determinacji i Brigitte wparowała do sypialni. Obiema rękami złapała za szew materaca (płaskiego wora z pierzem, na którym leżałam), zrzuciła buty, zaparła się stopami o podłogę i*

szarpnęła się ku drzwiom. Omal nie wyrwała mi materaca spod pleców – ale szczęśliwie zsunęłam się razem z nim. Poczułam, jak krawędź łoża szoruje mi po plecach, a potem spadłam pośladkami na posadzkę i uderzyłam głową o łóżko; materac troszkę złagodził oba uderzenia. Poczułam jakieś szarpnięcie w łonie, ale nie miało to w tej chwili znaczenia – odniosłam wrażenie, że całe moje ciało rozpada się jak statek, który morze zepchnęło na rafy. Każdy skurcz był jak kolejna fala uderzająca mną o skały. Wyraźnie pamiętam widok kamiennej posadzki prześlizgującej się dosłownie o cal od moich oczu, butów służby pędzącej w przeciwnym kierunku z wiadrami i kocami, oraz – z przodu, między zadartymi kolanami – potężnych stóp i muskularnych łydek Brigitte, migających czasem spod rąbka zakrwawionej sukienki: lewa, prawa, lewa, prawa, kiedy nieustępliwie wlekła mnie na materacu przez galerię. W pewnym momencie dym zrzędł na tyle, że zaczęłam dostrzegać freski na suficie. Zatrzymałyśmy się pod Minerwą, która zerknęła na mnie spod zasłony hełmu surowo, ale (miałam nadzieję) łaskawie. Pchnięte przez Brigitte drzwi ustąpiły i znalazłam się w sypialni Eleonory.

Eleonora i Frau Heppner popijały sobie kawę, a księżniczka Karolina czytała nagłos książkę, więc, co zrozumiałe, na mój widok odjęło im mowę. Frau Heppner, akuszerka, pierwsza mruknęła coś po niemiecku i wstała od stolika.

Zobaczyłam nad sobą twarz Eleonory.

– Frau Heppner powiedziała „Nareszcie coś się zaczyna dziać” – wyjaśniła.

\* \* \*

Religia przyciąga czasem ludzi wyjątkowo złych, którzy na dodatek mają świadomość swojego okrucieństwa, takich jak ojciec Édouard de Gex. Żywią oni bowiem nadzieję, że będzie miała moc uczynienia ich cnotliwymi, że pozwoli im nazwać dręczące ich demony i je zwyciężyć. Jeśli jednak człowiek jest tak przebiegły jak ojciec Édouard, umie wypaczyć wiarę w taki sposób, żeby służyła jego najgorszym intencjom. Dochodzę do wniosku, drogi doktorze, że prawdziwą korzyścią z religii nie jest przeobrażenie ludzi złych w dobrych, bo to niemożliwe, lecz co najwyżej okiełznanie najgorszych ludzkich instynktów.

Słabo znam Eleonorę, zbyt słabo, by się domyślać, jakie łotrostwa drzemią w jej duszy. Nie odrzuca wiary (w przeciwieństwie do Jacka, który gardził religią, chociaż ta mogłaby mu pomóc), ale i nie trzyma się jej kurczowo jak ojciec Édouard. To pozwala mi mieć nadzieję, że w jej wypadku religia spełni taką rolę, jaką powinna, czyli powstrzyma jej dłoń przed ciosem, gdyby poddała się jakiemuś okrutnemu impulsowi. Nie mam zresztą innego wyjścia niż mocno w to wierzyć, odkąd powierzyłam jej moje dziecko: chłopczyk prosto od akuszerki trafił w ręce Eleonory, która przygarnęła go do piersi takim gestem, jakby znała się na rzeczy. Nie protestowałam. Ze zmęczenia ledwie mogłam się ruszać, a potem zasnęłam kamiennym snem, jakby mi było obojętne, czy się jeszcze obudzę, czy nie.

*Niezaszyfrowana wersja opowieści o porodzie jest tą, w którą wierzy cały Binnenhof. Czyli: skutek haniebnego tchórzostwa Marie i tej starej akuszerki moje dziecko zmarło, a ja uszłam z życiem tylko dzięki dzielnej Brigitte, zaciągnęła mnie ona do pokoju, gdzie niemiecka położna, Frau Heppner, usunęła z mojego łona łożysko i błony porodowe, zatamowała krwotok i w ten sposób mnie uratowała.*

*W większości są to bzdury, ale jeden akapit jest prawdziwy – ten, w którym pisze o fizycznej radości, jaka ogarnia człowieka w chwili, gdy pozbywa się ciężącego mu od dziewięciu miesięcy brzemia, tylko po to, by natychmiast przyjąć na barki nowy ciężar, tym razem duchowej natury. Tam piszę o żalu po śmierci dziecka. W rzeczywistości – która zawsze jest bardziej złożona – mam na myśli brzemię niepewności i zasmucenia tragediami, jakie mogą się nigdy nie wydarzyć.*

*Znów mieszkam sama w domu Huygensa; dziecko zostało w Binnenhofie pod opieką Eleonory i Frau Heppner. Zaczęłyśmy już rozpuszczać pogłoski o tym, że jest sierotą urodzoną na statku na Renie. Jego matka miała cudem ująć przed rzezią w Palatynie.*

*Wszystko wskazuje na to, że ja przeżyję. Kiedy dojdę do siebie, zabiorę dziecko, spróbuję dostać się do Londynu i tam ułożyć życie nam obojgu. Gdybym jednak miała się pochorować i umrzeć, Eleonora się nim zajmie. Ale prędzej czy później – czy to jutro, czy za dwadzieścia lat – coś nas rozdzieli i mój syn znajdzie się sam w szerokim świecie, wiodąc życie, o którym nie będę wiedziała. Jeśli Bóg pozwoli, umrę pierwsza.*

*Za kilka tygodni lub miesięcy nastanie w Hadze czas pożegnań. Ja i dziecko pojedziemy na zachód, Eleonora z Karoliną udadzą się na wschód, aby cieszyć się gościnnością kobiet, którym Pan służy, i brać udział w ich spiskach.*

*Kiedy z Bożą pomocą wyląduję w Londynie, napiszę do Pana. Jeżeli nie dostanie Pan ode mnie listu, będzie to znaczyło, że podczas rekonwalescencji padłam ofiarą knoń d'Avaux. Nie wiem, czy hrabia chce śmierci dziecka, ale z pewnością chciałby, żebym wróciła do Wersalu, gdzie jako mimowolna małżonka Étienne'a d'Arcachon tym bardziej będę jego marionetką. Najbliższe tygodnie, zanim odzyskam siły, będą najbardziej niebezpieczne.*

*Pozostały do wyjaśnienia jeszcze dwie zagadki. Pierwsza z nich brzmi: jeżeli to Étienne jest ojcem, dlaczego dziecko urodziło się bez skazy? Druga: skoro mój szyfr został złamany i cały cabinet noir czytuje mą prywatną korespondencję, po co zdradzam Panu te wszystkie sekrety?*

*Prawdę mówiąc, jest jeszcze trzecia nierozstrzygnięta kwestia, która być może, nie daje Panu spokoju: dlaczego właściwie przespalam się z Étienнем? Dlaczego wybrałam go spośród dziesięciu milionów napalonych Francuzów?*

*Odpowiedzią na wszystkie trzy pytania może być jedna informacja. W Wersalu poznałam Bonaventure'a Rossignola, królewskiego kryptografa. Rossignol, czy też Cukiereczek, jak wolalam go nazywać (Witaj, Cukiereczku!), jesienią, podczas przygotowań do najazdu na Palatynat, został wysłany na front reński. Kiedy i ja się tam wtaraibaniam – i wpadłam w*

*tarapaty – Bon-bon dowiedział się o tym błyskawicznie (czytywał przecież wszystkie depesze) i galopem (dosłownie) przybył mi na ratunek. W obecnych okolicznościach trudno mi należycie przedstawić całą tę historię, więc od razu przejdę do jej zakończenia. Muszę przyznać, że galanteria Bon-bona rozpalila moją krew w sposób, jakiego wcześniej nie znałam. Kiedy tak piszę, wygląda to bardzo prosto i zwyczajnie – ale przecież taka właśnie jest prawda, czyż nie? Rzuciłam się na niego. Kochaliśmy się kilka razy. Było przesłodko, ale koniec końców musieliśmy obmyślić dla mnie jakiś plan ucieczki. Nie miałam wielkiego wyboru. Najlepszym pomysłem było uwiedzenie Étienne’a d’Arcachon, a właściwie stanie w otepiętym bezruchu jak w transie, kiedy to on mnie uwodził. W zamian pozwolił mi wymknąć się na północ. Opisałam to wszystko w moim dzienniku. Kiedy dotarłam do Hagi, d’Avaux dowiedział się o jego istnieniu i zmusił królewskiego kryptografii, by mu go przelożył – co też Bon-bon zrobił, lecz pominął najciekawsze fragmenty: te, w których sam odgrywał rolę romantycznego bohatera. Nie mógł ze mnie zrobić cnotki, bo d’Avaux już za dużo wiedział i zbyt wielu Francuzów było świadkami mojego spotkania z Étienmem. Wobec tego opowiedział historię w taki sposób, że uczynił ze mnie kochankę Étienne’a – zdrową matkę jego dzieci, o jakiej marzył on sam i cała jego rodzina.*

*Muszę kończyć. Moje ciało chce wykarmić dziecko; kiedy w nocy słyszę dobiegający z drugiej strony placu płacz, z moich piersi sączy się strużka mleka, którą zmywam powodzią łez. Mogłabym powiedzieć, że poród pozbawił mnie męskości, ale będąc kobietą, wolę mówić, że cierpię na nadmiar kobiecości.*

*Do widzenia, doktorze. Jeżeli po powrocie do Hanoweru spotka Pan tam dziewczynkę imieniem Karolina, proszę ją uczyć, tak jak uczył Pan Zofię i Zofię Charlotte. Powiadam Panu, w przyszłości ona zepchnie je obie w cień. Gdyby Karolinie towarzyszył mały chłopczyk, sierota ze statku pływającego po Renie, będzie Pan znalazł jego prawdziwą historię. Będzie Pan wiedział, kto jest jego ojcem i co się stało z jego matką.*

ELIZA

## **Bishopsgate**

### **Październik 1689**

*Zbyt ograniczony jesteś, by samego  
Siebie pojąć. Choćbyś pękł, nawet swojego  
Ciała nie zrozumiesz. Bo przecież od wieków  
Dusze sądziły, że wszystko, co w człowieku,  
Z ognia się składa, ziemi i innych żywiołów.  
Inne dziś składniki kładą tam pospołu.*

*Jedna dusza mówi tak, myśl inną ma druga,  
Do porozumienia obu droga wiedzie długa.  
Czy wiesz chociaż, skąd się bierze ta udreka,  
Gdy kamień do pęcherza wpada, lecz skóra nie pęka?*

John Donne,

*O wędrówce duszy, w drugą rocznicę*

Gość (choć miał pięćdziesiąt sześć lat, poruszał się znacznie zwawiej niż jego młodszy gospodarz) z udawaną obojętnością patrzył, jak jego pedantyczne sługi rozbiegają się wśród regałów, stosów, skrzyń i baryłek z książkami, tworzących osobistą bibliotekę Daniela Waterhouse'a. Jeden z pomocników zabłąkał się w pobliże otwartej beczułki, ale gość przegonił go znaczącym cmokaniem, chrząkaniem i pstrykaniem palcami.

– Wszystko, co pan Waterhouse popakował w beczułki, najprawdopodobniej ma zostać wysłane do Bostonu.

Kiedy jednak wszyscy asystenci zajęli się wreszcie wycenianiem i katalogowaniem zbiorów, odwrócił się do Daniela i eksplodował entuzjazmem jak potrząśnięta butelka szampana.

– Nie umiem wyrazić, jak ogromnie cieszę się na twój widok, stary druhu!

– Doprawdy, mój stan nie budzi chyba w tej chwili aż takiego zachwytu, panie Pepys. Ale to niezwykle uprzejme z pańskiej strony, że udaje pan euforię.

Samuel Pepys wyprostował się, zamrugał i otworzył usta, żeby skorzystać z podsunętej mu przez Daniela okazji do podtrzymania rozmowy. Kiedy jednak dłoń mu zadrżała i odruchowo powędrowała do kieszeni, w której od trzydziestu lat spoczywał kamień, instykt dżentelmena kazał mu zmienić zdanie i chwilowo nie poruszać tak drażliwego tematu.

– Kiedy posłuchałem, co mówią o tobie członkowie Towarzystwa, pomyślałem, że musisz już być w Massachusetts.

– Powinienem był zacząć się zbierać zaraz po rewolucji – przyznał Daniel. – Ale czekałem na spotkanie Jeffreysa z katem, i nagle nastał kwiecień, a ja dopiero wtedy odkryłem, że zanim opuszczę Londyn, muszę pozamykać różne swoje sprawy. Nie sądziłem, że będzie to wymagało takiego zachodu. Znacznie prościej byłoby po prostu paść trupem i zostawić całą czarną robotę żałobnikom.

Machnięciem ręki wskazał stosy książek, kurczące się teraz raptownie, w miarę jak korpus najemnych bibliotekarzy Pepysa znosił mu pod nogi kolejne pozycje. Pepys oglądał okładkę każdej z nich i spojrzeniem w lewo lub w prawo dawał do zrozumienia, którą zostawić, a którą zabrać. Książki przeznaczone do zabrania trafiały do zaprawionego w bojach rachmistrza, który, zaopatrzoney w papier i atrament, sporządzał ich szczegółowy spis.

Wzmianka o wygodzie związanej z umieraniem podsunęła Pepysowi drugą już okazję do zmiany tematu rozmowy. Musiał z całej siły zacisnąć pięść, żeby nie sięgnąć do kieszeni. Na

całe szczęście przeszkodził w tym także asystent, podając mu książkę zawierającą ryciny rozmaitych ryb. Pepys zmarszczył brwi, po czym w jednej chwili rozpoznał dzieło i odrzucił je z obrzydzeniem. Kilka lat wcześniej Towarzystwo Królewskie wydało je w zbyt dużym nakładzie i od tamtej pory jego członkowie próbowali nawzajem wciskać sobie te książki jako zapłatę za stare długi, podkładali je pod zamykające się drzwi i krzywe stoły, suszyli w nich kwiaty *et caetera*.

Daniel nie był z natury okrutnym człowiekiem, ale od wielu dni leżał w łóżku złożony uporczywymi mdłościami i nie mógł się powstrzymać, żeby nie zadrwić z Pepysa po raz trzeci.

– Pański osąd jest szybki i bezlitosny – zauważył. – Książka albo trafia na pana lewicę, albo na prawicę. Gdyby miotany sztormem statek rozbił się na skałach i przed świętym Piotrem stanęła nagle kolejka przemoczonych duszyczek, nawet on nie umiałby tak szybko ich rozdzielać.

– Droczysz się ze mną, Waterhouse. Przejrzałeś mnie na wylot. Wiesz, po co przyszedłem.

– Bynajmniej. Jak się panu żyje po rewolucji? Nic o panu nie słyszałem.

– Jestem na emeryturze, Waterhouse. Znow wiodę życie dżentelmena-uczonego. Mam zamiar skompletować bibliotekę, która mogłaby konkurować ze zbiorami sir Eliasa Ashmole’a, zająć się codziennymi sprawami Towarzystwa i wypełnić pustkę spowodowaną pańskim odejściem.

– Z pewnością kusilo pana, żeby zakrzętnąć się wokół nowego dworu i parlamentu...

– Ani trochę.

– Naprawdę?

– Poruszanie się w tych kręgach trochę przypomina pływanie. Pływanie z kieszeniami pełnymi kamieni! Wymaga stałego wysiłku; jeżeli się poddasz, zginiesz. Zostawiam takie życie młodszemu, bardziej energicznemu pływakom. Takim jak twój przyjaciel markiz Ravenscar. W moim wieku znacznie lepiej czuję się na suchym lądzie.

– Mówił pan coś o kamieniach w kieszeni...

– Słucham?

– Daję panu znak, panie Pepys. Sygnał, na który pan czeka.

– Naturalnie!

Pepys jednym skokiem dopadł do łóżka Daniela i podsunął mu stary kamień przed oczy.

Daniel nigdy wcześniej nie widział go z tak bliska, teraz zaś zauważył, że z kamienia sterczą dwie symetryczne wypustki, przypominające różki, które pojawiły się w miejscach, gdzie kamień próbował wrosnąć w ściankę moczowodu. Zrobiło mu się nieswojo, przeniósł więc wzrok na znajdującą się niemal równie blisko twarz Pepysa.

– Patrz! Oto moja śmierć: przedwczesna, bezsensowna, możliwa do uniknięcia. Moja i twoja, Danielu. Tylko że ja trzymam swoją w garści, a ty masz swoją tam... Nie kul się tak,



nie dotknę cię. Chciałem tylko pokazać, że twój kamień znajduje się nie dalej niż dwa cale od mojej ręki. A swój trzymam w tej ręce. Dwa cale! Ale dla mnie ta niewielka odległość oznacza trzydzieści dodatkowych lat życia! Trzy dekady, a jak Bóg da, to może jeszcze ze dwie następne, które przeznaczę na łajdaczenie się, picie, śpiewanie i naukę. Błagam cię, Danielu, poczyń stosowne przygotowania i przemieść sobie ten kamień o dwa cale, z pęcherza do kieszeni. Tam będziesz mógł go bez przeszkód nosić przez następne dwadzieścia albo trzydzieści lat.

– To bardzo znaczące dwa cale, panie Pepys.

– Niewątpliwie.

– W roku zarazy, kiedy mieszkaliśmy w Epsom, pomagałem panu Hooke’owi trzymając świece, kiedy kroił ciała różnych stworzeń. Także ludzi. Nabyłem wtedy umiejętności, które pozwalały mi pociąć większość członków większości istot, ale zawsze byłem bezradny wobec sztywności i tych paru cali wokół pęcherza. Te musiały zostawić panu Hooke’owi, który miał więcej wprawy ode mnie. Wszystkie te otwory, zwieracze, gruczoły, przerażająco ważne instalacje...

Na wzmiankę o Hooke’u Pepys rozpromienił się, jakby chciał coś powiedzieć, ale Daniel ze smętną, skwaszoną miną kontynuował swój wykład o anatomii.

– Ja to wszystko wiem – przerwał mu w końcu Pepys.

– Oczywiście.

– Wiem to z własnego doświadczenia, a miałem okazję odświeżać sobie tę wiedzę za każdym razem, gdy któryś z moich przyjaciół umierał z powodu kamienia. Ot, choćby John Wilkins...

– Naprawdę nie powinieneś teraz o nim mówić. To jest cios poniżej pasa!

– Patrzy na ciebie z nieba i mówi: „Bardzo chętnie cię tu przyjmę, Danielu, ale nie spiesz się bez potrzeby. Ćwierć wieku nie zrobi mi różnicy. Pozbądź się kamienia i dokończ swoją pracę”.

– Nie wyobrażam sobie większego upokorzenia. Ani większej podłości z pańskiej strony, panie Pepys. Niechże pan da spokój schorowanemu człowiekowi!

– No dobrze... Chodźmy zatem na piwo.

– Dziękuję, ale źle się czuję.

– Kiedy ostatnio jadłeś jakiś stały pokarm?

– Nie pamiętam.

– A ciekły?

– Nie bardzo mam ochotę przyjmować płyny, skoro nie mam jak ich wydaląć.

– Mimo to chodźmy do baru. Przyszykowaliśmy ci przyjęcie pożegnalne.

– Proszę je odwołać, panie Pepys. Nad oceanem szaleją już jesienne sztormy; nierozsądnie byłoby teraz płynąć do Ameryki. Porozumiałem się więc z panem Edmundem Pallingiem, moim dawnym znajomym, który od lat wybiera się do Massachusetts z całą

rodziną. Umówiliśmy się, że w kwietniu przyszłego roku zaokrętujemy się w Southend-on-Sea na *Torbay*. To nowy statek. Po rejsie trwającym mniej więcej...

– Umrzesz najdalej za tydzień od dzisiaj.

– Wiem.

– A zatem to doskonały moment na przyjęcie pożegnalne.

Pepys klasnął dwa razy w ręce, czym w przedziwny sposób wywołał donośne dudnienie na korytarzu.

– Nie dam rady wyjść do powozu, panie Pepys.

– Nie będzie takiej potrzeby.

Pepys otworzył drzwi i przepuścił do środka dwóch tragarzy z lektyką – jedną z najmniejszych, jakie produkowano, przypominającą właściwie sarkofag na patykach i przystosowaną do tego, żeby wnieść w niej człowieka do samego domu i dzięki temu ogromnie popularną wśród osób nieśmiałych i dyskretnych. Na przykład prostytutek.

– Co ludzie pomyślą?

– Że Towarzystwo Królewskie ma jakiegoś tajemniczego gościa. Czyli nic nadzwyczajnego. Nie myśl o naszej reputacji, Danielu; gorszej już mieć nie możemy. A kiedy ciebie wśród nas zabraknie, będziemy mieli aż nadto czasu, żeby wszystko wytłumaczyć.

Pod ostrzałem krytyki – głównie niekonstruktywnej – ze strony Pepysa, tragarze dźwignęli Daniela z łóżka, na przemian szarzejąc przy tym i zieleńjąc na twarzy. Daniel pamiętał, jaki odór unosił się w sypialni Wilkinsa na krótko przed jego śmiercią, i przypuszczał, że sam teraz śmierdzi podobnie. Ciało miał lekkie i sztywne jak wysuszona na słońcu ryba. Włożyli go do tej czarnej skrzynki i zamknęli drzwiczki na zapadkę. Nozdrza Daniela wypełniły się zapachami perfum i pudrów używanych przez tradycyjną klientelę lektyki. A może tak po prostu pachniał Londyn na co dzień, tylko on, leżąc w łóżku, o tym zapomniał? Jego układ odniesienia zaczął się chwiać i przechylać, kiedy tragarze znosili go po schodach.

Ponieśli go na północ, za rzymski mur – czyli w niewłaściwym kierunku. Biorąc jednak pod uwagę, że był o krok od śmierci, nielogiczne byłoby zamartwianie się czymś tak mało znaczącym jak uprowadzenie przez tragarzy. Poruszywszy zesztyniałym karkiem, wyrztał przez umieszczoną z tyłu ażurową kłapkę i zobaczył skradający się za nimi powóz Pepysa.

Kiedy przemierzali kolejne ulice i zaułki, oczom Daniela ukazywały się rozmaite widoki, perspektywy i mniej lub bardziej żałosne widowiska, ale jeden duży, niedawno wykończony gmach z kopułą cały czas wracał w jego pole widzenia. I był coraz bliżej. Bedlam.

Każdy inny londyńczyk zacząłby w takim momencie drzeć się wniebogłose i próbował kopniakami wyważyć drzwi lektyki – zdałby sobie bowiem sprawę, że nie wiadomo na jak długo trafi do przytułku dla obłąkanych. Daniel należał jednak do tych nielicznych mieszkańców miasta, którzy widzieli w Bedlam coś więcej niż cmentarzysko pogrzebanych

za życia wariatów. Mieszka tam przecież jego przyjaciel i kolega po fachu, Robert Hooke. Pozwolił więc spokojnie przenieść się przez próg.

Mimo wszystko ulżyło mu, kiedy tragarze skęcili przed rzędem izolatek i ponieśli go do znajdującej się pod kopułą pracowni Hooke'a. Krzyki i skowyty chorych przycichły, upodabniając się do ledwie słyszalnego gwaru rozmów, a potem zostały całkowicie zagłuszone przez chór weselszych głosów, dobiegający zza wypolerowanych drewnianych drzwi. Pepys prześliznął się obok lektyki i je otworzył. W środku byli dosłownie wszyscy – nie tylko Hooke, lecz także Christiaan Huygens, Isaac Newton, cień Newtona Fatio, Robert Boyle, John Locke, Roger Comstock, Christopher Wren i ze dwudziestu innych ludzi, głównie bywalców siedziby Towarzystwa, choć trafiły się wśród nich także wyjątki, takie jak Edmund Palling czy Sterling Waterhouse.

Wyciągnęli go z lektyki, jakby wypakowywali ze skrzyni jakiegoś rzadkiego, egzotycznego stwora, i przytrzymali na rękach, dopóki nie przewaliło się kilka fal wiwatów i toastów. Roger Comstock (który, odkąd cała Dorosła Angielska Starszyna uciekła do Francji, z dnia na dzień stawał się coraz ważniejszą osobistością) wszedł na warsztat, na którym Hooke szlifował soczewki (Hooke się wściekł i Wren musiał go przytrzymać), i uciszył towarzystwo. Uniósł puchar napoju bardziej krystalicznego od wody.

– Wszyscy wiemy o szacunku i podziwie, jakim pan Daniel Waterhouse darzy alchemię – zaczął. Jego słowa zabrzmiały podwójnie śmiesznie w połączeniu z pompatycznym głosem i zachowaniem, Roger przemawiał bowiem jak w parlamencie. Kiedy ucichły śmiechy i parlamentarne poszczekiwanie, mówił dalej, nie mniej poważnie niż przed chwilą: – W naszych czasach alchemia stworzyła wiele cudów, a jej najwybitniejsi adepci zapewniają mnie, że w najbliższych latach osiągną cel, do którego od tysiący lat dążyli wszyscy alchemicy, a mianowicie... Dadzą nam niemoralność!

W pokoju wybuchł zgiełk nie do opisania, a na twarzy Rogera odmalowało się udawane zdumienie. Daniel nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na Isaaca, który chyba ostatni na świecie zaśmiałyby się z żartu na temat alchemii lub niemoralności. Ale Isaac uśmiechnął się i wymienił z Fatiem porozumiewawcze spojrzenia.

Roger przytknął otwartą dłoń do ucha i udał jeszcze większe zaskoczenie.

– Że co? Jak mówicie? Nieśmiertelność, tak? – Obruszony, odwrócił się i oskarżycielskim gestem wycelował palec w Boyle'a. – Szanowny panie! Z samego rana odwiedzi pana mój adwokat, aby poruszyć kwestię zwrotu moich pieniędzy!

Publika była już zupełnie bezradna, co bardzo odpowiadało Rogerowi. Mogli tylko czekać, aż znów przemówi, co też chętnie uczynił:

– Chemicy odnoszą mniejsze sukcesy. Słyszałem, że bywalcy przybytków, w których podaje się różne trunki, doświadczalnie i na własnej skórze stwierdzili, że trunki te często są zanieczyszczone niepotrzebnymi lub wręcz szkodliwymi produktami ubocznymi ich wytwarzania. Spośród nich najbardziej szkodliwym jest woda, która rozdyma pęcherz i

zmusza pijącego do wyjścia na dwór, gdzie jest narażony na ziąb, deszcz i wiatr, a także nieprzychylnie spojrzenia sąsiadów i przechodniów, do czasu, aż uda mu się opróżnić pęcherz, co w przypadku naszego dzisiejszego gościa honorowego może trwać i dwa tygodnie!

– Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że przez te dwa tygodnie zdążę wytrzeźwieć – odparł Daniel. – A kiedy wrócę do gospody, stwierdzą, że ty, mój panie, opróżniłeś przez ten czas wszystkie kufle.

– To prawda. Oddaję ich zawartość naszym braciom alchemikom, którzy potrzebują ich do swoich eksperymentów. Nauczyli się oddzielać wodę od wina i wytwarzać czysty *spiritus*. Ale zamiast popadać w teologię, zajmijmy się lepiej sprawami praktycznymi. – Roger wznosił puchar nad głowę, – Panowie, bardzo was proszę o ugaszenie wszystkich ogni. Nie chcemy przecież podpalić domu pana Hooke’a. Przerażeni chorzy mogliby ze strachu ozdrowieć. Trzymam w rękach czysty spirytus, o którym przed chwilą wspomniałem; mógłby wypalić tu wszystko jak grecki ogień. Pozostanie dla nas zagrożeniem, dopóki nasz gość honorowy nie wykaże należytej ostrożności i nie zgodzi się przechować go w żołądku. Twoje zdrowie, Danielu. Możesz być spokojny, ten napój z pewnością uderzy ci do głowy, ale nawet kropelka nie obciąży twoich nerek!

Solidne dębowe krzesło stało niczym tron na środku pokoju na drewnianym podeście, umieszczonym dokładnie pod kopułą. Danielowi zrobiło się miło na myśl o tym, że miałby w nim zasiąść, ponieważ w ten sposób jego głowa znalazłaby się co najmniej na poziomie głów pozostałych zgromadzonych. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów mógłby z kimś zamienić choć dwa słowa, nie mając uczucia, że rozmówca spogląda na niego z góry. Po tym, jak usadzono go na krześle i kilkoma poduszkami utrwalono jego prawie pionową pozycję, wystarczyło mu poruszać szczękami i ręką, w której trzymał kieliszek. Goście podchodzili pojedynczo i dwójkami, i składali mu hołd.

Wren przedstawił mu postępy przy budowie kopuły katedry Świętego Pawła. Edmund Palling roztoczył przed nim szczegółową wizję kwietniowego rejsu do Massachusetts. Hooke, kiedy nie wyklócał się akurat z Huygensem o zegary i nie ripostował rubasznym żartów Rogera Comstocka na temat „zegarmistrzostwa”, opowiadał o pracach nad sztucznymi mięśniami; nie wspomniał o tym, że są mu potrzebne do budowy machin latających, ale to Daniel wiedział i bez jego wyjaśnień. Isaac Newton mieszkał z Fatiem w Londynie i był przedstawicielem Cambridge w parlamencie. Roger wprost kipiał od skandalizujących ploteczek. Sterling i sir Richard Aphthorp szykowali jakieś gigantyczne przedsięwzięcie, mające umożliwić sfinansowanie kolejnych poronionych pomysłów rządu. Hiszpania miała swoje kopalnie w Ameryce, Francja – niewyczerpane zasoby chłopstwa, które mogła dręczyć podatkami, a Sterling i sir Richard uważali najwyraźniej, że Anglia może za pomocą jakiejś metafizycznej sztuczki nadrobić brak kopalń i rzesz wieśniaków. Huygens smutnym głosem oznajmił, że hrabina de la Zeur urodziła nieślubne dziecko, które zmarło wkrótce po porodzie, ale Danielowi mimo wszystko zrobiło się ciepłej na duszy na wieść o tym, że Eliza jakoś

sobie radzi w życiu. Kiedyś zamarzyło mu się, że sam mógłby się jej oświadczyć, ale kiedy teraz na siebie patrzył, przyznawał, że byłby to najgorszy z możliwych pomysłów.

Jednakże myśli o niej pchnęły go do krainy marzeń, z której już nie wrócił. Nie stracił zmysłów gwałtownie, w jakimś jednym konkretnym momencie; przytomność wyciekała z niego po kropelce przez cały wieczór. Każdy rozmówca wznosił toast za jego zdrowie, na co Daniel odpowiadał, popijając z pucharu. Trunek, zamiast spływać mu do gardła, prześlizgiwał się w panice po śluzówkach, wypalał mu oczy i trąbki Eustachiusza i sączył się prosto do mózgu. Wzrok mu zmętniał. Gwar go uśpił.

Obudziła go cisza. Cisza i światło. Pomyślał, że może goście wynieśli go na dwór, żeby wygrzać się na słońcu. Tyle że słońce było kilka i tworzyły nad jego głową jakąś nową konstelację. Chciał zasłonić oczy przed światłem, ale nie mógł ruszyć ani jedną, ani drugą ręką. Nogi też miał jak z ołowiu. Ani drgnęły.

– Pomyślałeś może, że to jakiś defekt mózgu – usłyszał cichy głos. Dobiegał gdzieś z dołu, spomiędzy jego kolan. – Doświadczenie około-, a może nawet pośmiertne. Spodziewasz się ujrzeć archaniołów, których świetlistość wypala ci oczy. Byłbym przy nich zaledwie cieniem, marnym duchem, a dobiegające z oddali krzyki i jęki byłyby skargami dusz strąconych do piekła.

Hooke'a rzeczywiście nie było za dobrze widać, ponieważ wszystkie źródła światła miał za plecami. Przeglądał narzędzia i instrumenty ułożone na stojącym obok krzesła stole.

Kiedy Daniel przestał wpatrywać się prosto w światła, jego oczy oswoiły się z ich blaskiem i zorientował się, co go krępuje – całe mile białego lnianego sznurka spiralą oplatały mu ręce i nogi, tworząc dopasowaną sieć. Z pewnością musiał ją utkać metodyczny Hooke, gdyż unieruchamiała każdy palec Daniela z osobna, knykciec przy knykciu. Oparcia krzesła, do których je przytwierdziła, były masywne jak armatnia laweta.

Daniel wrócił pamięcią do Epsom w roku zarazy. Pewnego dnia Hooke przez pełną godzinę obserwował przez soczewkę pająka oplatającego swoimi nićmi schwytanego w pajęczynę gza.

Drugim szczegółem, jaki zwrócił jego uwagę, był metaliczny połysk przyrządów, które Hooke sortował na stole. Poza kilkoma różnymi lupami – z nimi Hooke nigdy się nie rozstawał – leżała tam zakrzywiona sonda. Można ją było wsunąć w głęb moczowodu, aby unieruchomić kamień. Obok znajdował się lancet do nacinania krocza i pęcherza moczowego, a także hak, którym przez powstały w ten sposób otwór pod jądrami dałoby się wyciągnąć kamień na zewnątrz. Nie brakło też drapaczek różnych kształtów i rozmiarów, służących do zeskrobywania nalotu z wewnętrznych ścianek pęcherza, a także wydobywania kryjących się w załomach moczowodów mniejszych kamyków. Dostrzegł też srebrną rurkę, którą Hooke zamierzał mu wetknąć w moczowód, aby wypływ moczu, krwi, limfy i ropy nie został zatamowany nieuniknioną opuchlizną. Nić z cienkiego owczego jelita miała posłużyć do zaszycia ran, a wygięte igły i szczypce – ułatwić przeciągnięcie jej przez ciało. Ale z

niewiadomych powodów żadne z tych akcesoriów nie przeraziły go tak bardzo, jak stojąca na skraju stołu waga, której błyszczące szalki, kołyszące się na lśniących łańcuchach, wysyłały mu niezrozumiałe sygnały świetlne. Hooke, jak na rasowego empirystę przystało, zamierzał oczywiście zważyć kamień, gdy tylko go wydobędzie.

– W rzeczywistości żyjesz i będziesz żył jeszcze długo, znacznie dłużej niż ja. Wiem, że niektórym zdarza się umrzeć pod wpływem wstrząsu; być może właśnie dlatego wszyscy przyjaciele chcieli cię zobaczyć, zanim trafisz w moje ręce. Ale jeśli mnie pamięć nie myli, zostałeś kiedyś postrzelony z garłacza i nic ci się nie stało, więc i teraz jestem spokojny. Światła, które cię oślepiają, to płonące fosforowe pręty. A ja, Robert Hooke, jak nikt inny nadaję się do tej roboty.

– Nie, Robercie...

Korzystając z faktu, że Daniel otworzył usta, Hooke wetknął mu w nie skórzany knebel.

– Możesz go przygryźć, albo, jeśli wolisz, wypluć i wrzeszczeć ile sił w płucach. Jesteśmy w Bedlam. Nikt nie przyjdzie cię uciszać. Nikt nie zwróci na ciebie uwagi ani nie okaże ci litości, a już z całą pewnością nie Robert Hooke. Albowiem, o czym dobrze wiesz, Danielu, zupełnie nie wiem co to litość. I bardzo dobrze, bo w przeciwnym razie nie byłbym w stanie przeprowadzić tej operacji. Rok temu, w Tower, obiecałem ci, że pewnego dnia odplacę ci za twą przyjaźń bezcenną perłą i teraz zamierzam dotrzymać tej obietnicy. Pozostaje tylko jedna niewiadoma: ciężar perły. Ciekaw jestem, ile będzie ważyła, kiedy obmyta z krwi zagrzechoce na szalce tej oto wagi. Przykro mi, że się ocknąłeś. Nie będę cię obrażał, proponując, żebyś się odprężył, ale proszę cię, nie zwariuj. Spotkamy się na drugim brzegu Styksu.

Kiedy w roku zarazy razem z Hookiem i Wilkinsem kroili żywcem psy, Daniel patrzył w brunatne ślepia zwierząt i próbował sobie wyobrazić, co się dzieje w ich umysłach. I w końcu doszedł do wniosku, że nic. Psy nie miały świadomości, nie wiedziały, co to przeszłość i przyszłość, żyły wyłącznie chwilą – i przez to wiwisekcja była dla nich jeszcze straszniejsza. Nie mogły ani wyczekiwać końca cierpień, ani wspominać szczęśliwych chwil, gdy uganiały się po łąkach za królikami.

Hooke wziął do ręki lancet i zamierzył się do cięcia.

# DRAMATIS PERSONAE

Arystokratów zwykle nazywano więcej niż jednym mianem – mieli nie tylko imiona nadane na chrzcie i nazwiska, ale także tytuły. I tak, na przykład, młodszy brat króla Karola II nazywał się Stuart. Na chrzcie dali mu Jakub, więc można by go nazwać Jakubem Stuartem. Ponieważ jednak przez większość życia był księciem Yorku, mówiono o nim – przynajmniej w trzeciej osobie – per „York” (w drugiej osobie stawał się „Waszą Wysokością”). Tytuły mogły się zmieniać, w owej epoce bowiem plebejusze często uzyskiwali tytuły szlacheckie, a arystokraci niższej rangi awansowali w hierarchii. Nie dość więc, że człowiek mógł nosić kilka mian, to jeszcze te miana zmieniały się, gdy nabywał nowe tytuły przez nadanie godności szlacheckiej, awans, podboje albo (co można by uznać za połączenie tych trzech sposobów) małżeństwo.

Wielość imion nie będzie niczym niezwykłym dla tych spośród czytelników, którzy mieszkają na wschód od Atlantyku lub są przyzwyczajeni do podobnych lektur. Inni mogą się jednak w tym gąszczu zgubić i niepotrzebnie zdenerwować. *Dramatis Personae* powinny im ułatwić orientację.

Zbyt częste i przedwczesne zagłębienie do tego spisu może jednak popsuć przyjemność z lektury, gdy czytelnik dowie się, kto i kiedy umrze, a kto przeżyje.

Człowiek podejmujący się opracowania takiego spisu staje przed problemem, z którym zmagał się Leibniz, próbując uporządkować bibliotekę swoich mecenasów. Pozycje na liście (u Leibniza – książki, tutaj – postaci) powinny być ułożone w jakimś liniowym, przewidywalnym porządku. Poniższe zestawienie ma układ alfabetyczny według nazwisk. Ponieważ jednak wiele postaci ma więcej niż jedno nazwisko, nie zawsze jest jasne, gdzie ich szukać. Postawiłem na łatwość obsługi kosztem spójności i umieściłem postaci na liście pod tymi nazwiskami, pod którymi występują w książce najczęściej. Na przykład Louis-François de Lavardac, diuk d’Arcachon, znajduje się pod A, nie zaś pod L, ponieważ zwykle nazywam go po prostu diukiem d Arcachon. Ale Knotta Bolstrooda, hrabiego Penistone, znajdziecie pod B, bo zwykle występuje jako Bolstrood. Odpowiednio pod literami L i P znajdują się stosowne odsyłacze.

Hasła, które według mądrych źródeł historycznych są w miarę wiarygodne, wypisano zwykłą czcionką. Hasła podane *kursywą* zawierają informacje mogące prowadzić do nieporozumień, obrażeń, a nawet śmierci ewentualnego podróżnika w czasie, gdyby ten zaufał im bezkrytycznie i w oparciu o nie odwiedził wskazaną epokę i miejsce.

\* \* \*

ANGLESEY, LOUIS: 1648-. *Hrabia Upnor. Syn Thomasa More Angleseya. Dworzanin i przyjaciel księcia Monmouth podczas interregnum oraz po restauracji, w Kolegium Trójcy Świętej w Cambridge.*

ANGLESEY, PHILLIP: 1645-. *Hrabia Sheerness. Syn Thomasa More Angleseya.*

ANGLESEY, THOMAS MORE: 1618-1679. *Książę Gunfleet. Czołowy Kawaler i członek dworu Karola II na wygnaniu w okresie interregnum. Po restauracji jedna z liter A w CABAL Karola II (patrz: CABAL). Podczas zamieszania ze spiskiem papistów wyniósł się do Francji, gdzie później zmarł.*

ANNA I, królowa Anglii: 1665-1714. *Córka Jakuba II i jego pierwszej żony, Anny Hyde.*

APTHORP, RICHARD: 1631-. *Biznesmen i bankier. Jedna z liter A w CABAL (patrz: CABAL) Karola II. Założyciel Bank of England.*

D'ARCAHON, DIUK: 1634-. *Louis-François de Lavardac. Kuzyn Ludwika XIV Budowniczy, a następnie admirał francuskiej floty wojennej.*

D'ARCAHON, ÉTIENNE: 1662-. *Étienne de Lavardac. Syn i następca Louisa-François de Lavardac, diuka d'Arcachon.*

D'ARTAGNAN, CHARLES DE BATZ-CASTELMORE: ok. 1620-1673. *Francuski muszkieter i pamiętnikarz.*

ASHMOLE, SIR ELIAS: 1617-1692. *Astrolog, alchemik, samouk, kontroler i audytor akcyzy, kolekcjoner ciekawostek, założyciel Ashmolean Museum w Oksfordzie.*

D'AVAUX, JEAN-ANTOINE DE MESMES, HRABIA: *Francuski ambasador w Republice Holenderskiej, późniejszy doradca Jakuba II podczas jego irlandzkiej kampanii.*

BOLSTROOD, GOMER: 1645-. *Syn Knotta. Dysydencki podżegacz. Wyemigrował do Nowej Anglii, gdzie zajął się wyrobem mebli.*

BOLSTROOD, GREGORY: 1600-1652. *Dysydencki kaznodzieja. Założyciel purytańskiej sekty barkerów.*

BOLSTROOD, KNOTT: 1628-1682. *Syn Gregory'ego. Przez Karola II mianowany hrabią Penistone i sekretarzem stanu. Litera B w CABAL Karola II (patrz: CABAL).*

BOYLE, ROBERT: 1627-1691. *Chemik, członek oksfordzkiego Klubu Filozofii Doświadczalnej. Członek Towarzystwa Królewskiego.*

VON BOYNEBURG, JOHANN CHRISTIAN: 1622-1672. *Mecenas Leibniza w Moguncji.*

CABAL: *nieoficjalna nazwa gabinetu rządzącego Anglią po restauracji, u boku Karola II. CABAL był luźno wzorowany na Conseil d'en Haut Ludwika XIV, co oznaczało, że każdy jego członek odpowiadał za pewną dziedzinę władzy, ale strefy wpływów były mętnie określone i często się nakładały (patrz tabela).*



## CABAL

	<i>Osoba odpowiedzialna</i>	<i>Ogólny zakres obowiązków</i>	<i>Najbliższe odpowiadające stanowisko<sup>17</sup></i>
<b>C</b>	COMSTOCK, JOHN (HRABIA EPSOM)	(na początku panowania) sprawy wewnętrzne, sądownictwo; w późniejszym okresie ustąpił ze stanowiska (początkowo) skarb państwa i (nieoficjalnie) sprawy zagraniczne, zwłaszcza kwestie francuskie (w późniejszym okresie pieczę nad skarbem państwa przejął Apthorp); po odejściu Comstocka, a przed spiskiem papistów – sprawy wewnętrzne i marynarka wojenna	Lord Kanclerz (najwyższy sędzia)
<b>A</b>	ANGLESEY, LOUIS (KSIĄŻĘ GUNFLEET)	sprawy zagraniczne (dla zachowania pozorów)	różne, między innymi Lord Admirał (zwierzchnik marynarki wojennej)
<b>B</b>	BOLSTROOD, KNOTT (HRABIA PENISTONE)	finanse	Sekretarz Stanu
<b>A</b>	APTHORP, SIR RICHARD	wojsko	Kanclerz (minister) Skarbu Państwa
<b>L</b>	LEWIS, HUGH (KSIĄŻĘ TWEED)		Marszałek, albo (w tamtych czasach nie było takiego stanowiska) Minister Obrony

CASTLEMAINE, LADY – patrz: Villiers, Barbara.

CHESTER, LORD BISKUP – patrz: Wilkins, John.

CHURCHILL, JOHN: 1650-1722. Dworzanin, żołnierz, pojedyńkowiec, bawidamek, bohater. Późniejszy książę Marlborough.

CHURCHILL, WINSTON: Royalista, sędzia, dworzanin, członek Towarzystwa Królewskiego w początkowym okresie jego istnienia, ojciec Johna Churchilla.

CLEVELAND, KSIĘŻNA – patrz: Villiers, Barbara.

COMENIUS, JOHN AMOS (JAN AMOS KOMEŃSKI): 1592-1670. Czeski pansofista. Jego prace były inspiracją między innymi dla Wilkinsa i Leibniza.

---

<sup>17</sup> Przy czym czasem ci ludzie rzeczywiście zajmowali takie stanowiska, a czasem nie.

- COMSTOCK, CHARLES: 1650-1708. *Syn Johna. Adept filozofii naturalnej. Po odejściu Johna na emeryturę i śmierci starszego brata Richarda wyemigrował do Connecticut.*
- COMSTOCK, JOHN: 1607-1685. *Czołowy Kawaler, członek dworu Karola II na wygnaniu we Francji. Potomek tak zwanej srebrnej gałęzi rodu Comstocków. Producent broni i amunicji. Mecenase Towarzystwa Królewskiego w początkowym okresie jego istnienia. Po restauracji litera C w CABAL Karola II (patrz: CABAL). Ojciec Richarda i Charlesa Comstocków.*
- COMSTOCK, RICHARD: 1638-1673. *Najstarszy syn i dziedzic Johna Comstocka. Zginął w bitwie morskiej w zatoce Sole.*
- COMSTOCK, ROGER: 1646-. *Potomek tak zwanej złotej gałęzi rodu Comstocków. Na początku lat sześćdziesiątych kolega Newtona, Daniela Waterhouse'a, księcia Monmouth, hrabiego Upnor i George'a Jeffreysa ze studiów w Kolegium Trójcy Świętej. Późniejszy markiz Ravenscar i przedsiębiorca, także pośrednik w handlu nieruchomościami.*
- DE CRÉPY: *ród pomniejszych francuskich arystokratów, przynajmniej do czasu wojen religijnych, kiedy to przyjął strategię agresywnego awansu i podwójnie spowinowacił się ze starym, choć podupadłym rodem de Gex. Jedną z jego przedstawicielek (Anna Maria de Crépy, 1653-) wyszła za mąż za znacznie starszego diuka d'Oyonnax i przeżyła go o wiele lat. Jej siostra (Charlotta Adelajda de Crépy, 1656-) wyszła za markiza d'Ozoir.*
- CROMWELL, OLIVER: 1599-1658. *Przywódca parlamentarny, generał wojsk antyroyalistycznych w czasie angielskiej wojny domowej. Pogromca Irlandii. Przywódca Anglii w okresie Rzeczypospolitej Angielskiej, czyli interregnum.*
- CROMWELL, ROGER: 1626-1712. *Syn i (do czasu restauracji) następca swojego znacznie sławniejszego ojca, Olivera.*
- EAUZE, CLAUDE – patrz *d'Ozoir, markiz.*
- ELEONORA, KSIĘŻNICZKA SAXE-EISENACH: zm. 1696. *Matka Karoliny, księżniczki Brandenburgii-Ansbach (ojcem Karoliny był pierwszy mąż Eleonory, margrabia Ansbach). Pod koniec życia wyszła za mąż za elektora saksońskiego.*
- ELŻBIETA CHARLOTTA: 1652-1722. *Liselotte, La Palatine. Na francuskim dworze królewskim znana jako „Madame”. Córka Karola Ludwika, elektora Palatynatu Reńskiego, bratanica Zofii. Zameżna z Filipem, księciem orleańskim, młodszym bratem Ludwika XIV. Dała początek rodowi Orleans.*
- EPSOM, HRABIA – patrz: *Comstock, John.*
- FILIP, KSIĄŻĘ ORLEAŃSKI: 1640-1701. *Młodszy brat Ludwika XIV, króla Francji. Na francuskim dworze znany jako „Monsieur”. Mąż najpierw Henrietty Anny potem Liselotte. Dał początek rodowi Orleans.*
- FRYDERYK V, ELEKTOR PALATYNATU REŃSKIEGO: 1596-1632. *W 1618 roku przez krótki czas król Czech („Król Zimy”). Żył i umarł na wygnaniu podczas wojny trzydziestoletniej. Ojciec wielu książąt, elektorów, księżnych itd., w tym Zofii.*

FRYDERYK WILHELM, ELEKTOR BRANDENBURSKI: 1620-1688. Znany jako „Wielki Elektor”.

Po wojnie trzydziestoletniej stworzył stałą armię zawodową, niezbyt liczną, ale skuteczną. Wygrywając przeciwko sobie największe potęgi tamtych czasów (Szwecję, Francję oraz Habsburgów), scalił rozproszone lenna Hohenzollernów w jedno państwo prusko-brandenburskie.

DE GEX: *ród pomniejszych arystokratów z Jury, któremu do początków siedemnastego wieku nieszczególnie się wiodło. Wtedy jednak dwoje żyjących jeszcze dzieci Henryka, seniora rodu.(1595-1660) – Franciszek i Luiza Anna – wzięło się w bardziej arystokratyczny ród de Crépy. Dzieci Franciszka odziedziczyły nazwisko de Gex. Jego najmłodszym synem był Édouard de Gex. Luiza Anna urodziła Annę Marie de Crépy (późniejszą księżnę d’Oyonnax) i Charlotte Adelajdę de Crépy (późniejszą markizę d’Ozoir).*

DE GEX, OJCIEC ÉDOUARD: 1663-. *Najmłodsza latorośl Małgorzaty Diany de Crépy (zmarła, wydając go na świat) i Franciszka de Gex, który w chwili jego narodzin miał trzydzieści osiem lat i podupadał na zdrowiu. Édouard wychowywał się w sierocińcu i szkole w Lyonie, prowadzonych przez jezuitów, którzy dostrzegli w nim wyjątkowo zdolnego ucznia. W wieku dwudziestu lat wstąpił do zakonu jezuitów i trafił do Wersalu, gdzie stał się ulubieńcem mademoiselle de Maintenon.*

GUNFLEET, KSIĄŻĘ – patrz *Anglesey, Thomas More*.

GWYN, NELL: 1650-1687. Handlarka owocami, aktoreczka, jedna z kochanek Karola II.

HAM, THOMAS: 1603-. *Złotnik, mąż Mayflower Waterhouse, szef spółki jubilerskiej „Bracia Ham. Złotnicy”. Karol II mianował go hrabią Walbrook.*

HAM, WILLIAM: 1662-. Syn Thomasa i Mayflower.

HENRIETTA ANNA: 1644-1670. Siostra Karola II i Jakuba II, pierwsza żona Filipa, diuka Orleanu, brata Ludwika XIV.

HENRIETTA MARIA: 1609-1669. Siostra Ludwika XIII, króla Francji. Żona Karola I, króla Anglii, matka Karola II i Jakuba II.

HOOKE, ROBERT: 1635-1703. Artysta, lingwista, astronom, geometra, konstruktor mikroskopów, mechanik, zegarmistrz, chemik, optyk, wynalazca, filozof, botanik, anatom itd. Kurator Eksperymentów w Towarzystwie Królewskim, główny mierniczy londyński po pożarze w 1666 roku. Przyjaciel i współpracownik Christophera Wrena.

HUYGENS, Christiaan: 1629-1695. Wielki holenderski astronom, zegarmistrz, matematyk i fizyk.

HYDE, ANNA: 1637-1671. Pierwsza żona Jakuba, księcia Yorku, późniejszego Jakuba II. Matka dwóch angielskich królowych: Marii (panowała razem z Wilhelmem) i Anny.

JAKUB I, KRÓL ANGLII: 1566-1625. Pierwszy król angielski z dynastii Stuartów.

JAKUB II, KRÓL ANGLII: 1633-1701. W młodości książe Yorku. Po śmierci brata w 1685 roku król Anglii. Odsunięty od tronu podczas wspaniałej rewolucji (przełom 1688/1689).

JAKUB VI, KRÓL SZKOCJI – patrz Jakub I, król Anglii.

JEFFREYS, GEORGE: 1645-1689. Walijski dżentelmen, prawnik, doradca księcia Yorku, przewodniczący Sądu Najwyższego, później (na dworze króla Jakuba II) Lord Kanclerz. W 1685 roku mianowany baronem Wem.

JAN FRYDERYK: 1620-1679. Książę Brunswiku-Lüneburga. Kolekcjoner książek, mecenas Leibniza.

KAROLINA, KSIĘŻNICZKA BRANDENBURGII-ANSBACH: 1683-1737. Córka Eleonory, księżniczki Saxe-Eisenach.

KATARZYNA BRAGANCKA: 1638-1705. Portugalska żona Karola II, króla Anglii.

KAROL I, KRÓL ANGLII: 1600-1649. Król z dynastii Stuartów. Ścięty przed Banqueting House po triumfie dowodzonych przez Olivera Cromwella wojsk wiernych parlamentowi.

KAROL II, KRÓL ANGLII: 1630-1685. Syn Karola I. W okresie interregnum wygnany do Francji, później do Niderlandów. Wrócił do Anglii w 1660 roku i ponownie wprowadził monarchię (restauracja).

KAROL LUDWIK, ELEKTOR PALATYNATU REŃSKIEGO: 1617-1680. Najstarszy syn Króla i Królowej Zimy, brat Zofii, ojciec Liselotte. Po wojnie trzydziestoletniej wrócił na tron Palatynatu Reńskiego.

KAROL, ELEKTOR PALATYNATU REŃSKIEGO: 1651-1685. Syn i następca Karola Ludwika. Entuzjasta gier wojennych. Zmarł młodo na chorobę, której nabawił się podczas jednego z odgrywanych oblężeń.

KÉROUALLE, LOUISE DE: 1649-1734. Księżna Portsmouth, jedna z kochanek Karola II.

KETCH, JACK: przezwisko nadawane katom.

KRÓL ZIMY – patrz: Fryderyk V.

KRÓLOWA ZIMY – patrz: Stuart, Elżbieta.

LAVARDAC: *gałąź rodu Burbonów, z której wywodzili się różni dziedziczni diukowie i parowie Francji, wśród nich diuk d’Arcachon (patrz: d’Arcachon).*

LEFEBURE: Francuski alchemik i aptekarz, który w czasach restauracji przeniósł się do Londynu, by tu świadczyć swe usługi członkom dworu królewskiego.

LEIBNIZ, GOTTFRIED WILHELM: 1646-1716. Odsyłam do książki.

L’ESTRANGE, SIR ROGER: 1616-1704. Rojalistyczny pamflecista, a po restauracji Nadzorca Pras, czyli naczelny cenzor Karola II. Zaciekły rywal Milтона. Tłumacz.

LEWIS, HUGH: 1625-. *General. Po restauracji Karol II mianował go księciem Tweed w uznaniu zasług wojennych. Lewis ze swoim oddziałem (nazywanym odtąd Coldstream Guards) sforsował Tweed i przybył w sukurs odradzającej się monarchii. Litera L w CABAL Karola II (patrz: CABAL).*

LISELOTTE – patrz *Elżbieta Charlotta.*

LOCKE, JOHN: 1632-1704. Naturalista, lekarz, doradca polityczny, filozof.

DE MAINTENON, MADEMOISELLE: 1635-1719. Kochanka, a później druga i ostatnia żona Ludwika XIV.

MARIA: 1662-1694. Córka Jakuba II i Anny Hyde. Po wspaniałej rewolucji (1689) królowa Anglii (rządziła wraz z mężem, Wilhelmem Orańskim).

MARIA Z MODENY: 1658-1718. Druga i ostatnia żona Jakuba II, króla Anglii. Matka Jakuba Stuarta, „Starego Pretendenta”.

MAURICE: 1621-1652. Jedno z wielu książątek urodzonych przez Królową Zimy. Brał udział w angielskiej wojnie domowej po stronie Kawalerów.

DE MESMES, JEAN-ANTOINE – patrz: d’Avaux.

MINETTE – patrz: Henrietta Anna.

MONMOUTH, KSIĄŻĘ (JAMES SCOTT): 1649-1685. Nieślubny syn Karola II i niejakiej Lucy Walter.

MORAY, ROBERT: ok. 1608-1673. Szkot. Żołnierz, dostojnik, dworzanin, faworyt Karola II. Ważna postać w początkowym okresie istnienia Towarzystwa Królewskiego, najprawdopodobniej odegrał kluczową rolę przy opracowywaniu jego statutu.

NEWTON, ISAAC: 1642-1727. Odsyłam do książki.

OLDENBURG, HENRY: 1615-1677. Imigrant z Bremy. Sekretarz Towarzystwa Królewskiego, wydawca *Philosophical Transactions*. Słynący z obfitej korespondencji.

D’OYONNAX, ANNA MARIA DE CRÉPY, KSIĘŻNA: 1653-. *Dama dworu delfiny. Satanistka i trucicielka.*

D’OZOIR, CHARLOTTA ADELAJDA DE CRÉPY, MARKIZA: 1656-. *Żona Claude’a Eauze, markiza d’Ozoir.*

D’OZOIR, CLAUDE EAUZE, MARKIZ: 1650-. *Nieślubny syn Louisa-François de Lavardac, diuka d’Arcachon, i służącej, Luce Eauze. Pod koniec lat sześćdziesiątych uczestniczył w nieudanej ekspedycji Francuskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej do Indii. W 1674 roku, kiedy wystawiono na sprzedaż tytuły szlacheckie, aby sfinansować wojnę z Holandią, zapożyczył się u ojca i kupił sobie tytuł markiza d’Ozoir. Zabezpieczeniem kredytu były jego zyski z handlu afrykańskimi niewolnikami.*

PENISTONE, HRABIA – patrz: *Bolstrood, Knott.*

PEPYS, SAMUEL: 1633-1703. Urzędnik, administrator Królewskiej Marynarki Wojennej, członek parlamentu, członek Towarzystwa Królewskiego, pamiętnikarz, salonowiec.

PETERS, HUGH: 1598-1660. Żarliwy kaznodzieja purytański. Spędziwszy trochę czasu w Holandii i Massachusetts, wrócił do Anglii, gdzie został kapelanem Cromwella. Irlandczycy znienawidzili go za udział w rzeziach w Drogheda i Wexfordzie. W 1660 został zabity (nożem) przez kata, który wykonał na nim wyrok za udział w królobójstwie Karola I.

PORTSMOUTH, KSIĘŻNA – patrz Kéroualle, Louise de.

QWGHLM, KSIĘŻNA: *tytuł nadany Elizie przez Wilhelma Orańskiego.*

RAVENSAR, MARKIZ – patrz *Comstock, Roger.*

ROSSIGNOL, ANTOINE: 1600-1682. „Pierwszy francuski kryptograf z prawdziwego zdarzenia” (David Kahn „Łamacze kodów” – kupić i przeczytać). Faworyt Richelieu, Ludwika XIII, Mazarina i Ludwika XIV.

ROSSIGNOL, BONAVENTURE: zm. 1705. Po śmierci ojca, nauczyciela i współpracownika, Antoine’a, naczelny kryptograf Ludwika XIV.

RUPERT: 1619-1682. Jedno z wielu książątek urodzonych przez Królową Zimy. Brał udział w angielskiej wojnie domowej po stronie Kawalerów.

DE RUYTER, MICHEL ADRIAANSZON: 1607-1676. Nieprzeciętnie utalentowany holenderski admirał. Szczególnie skuteczny w potyczkach z Anglikami.

VON SCHÖNBORN, JOHANN PHILIPP: 1605-1673. Elektor i arcybiskup Moguncji. Mąż stanu, dyplomata, mecenas Leibniza w początkach jego kariery.

SHEERNESS, HRABIA – patrz *Anglesey, Phillip*.

STUART, ELŻBIETA: 1596-1662. Córka Jakuba I, króla Anglii, siostra Karola I. Wyszła za mąż za Fryderyka, elektora Palatynatu Reńskiego. W 1618 roku na krótko ogłoszona królową Czech (stąd przydomek „Królowa Zimy”). Wojnę trzydziestoletnią spędziła na wygnaniu, głównie w Republice Holenderskiej. Przeżyła męża o trzy dziesięciolecia. Miała liczne potomstwo, wśród nich Zofię.

STUART, JAKUB: 1688-1766. Kontrowersyjny, ale najprawdopodobniej prawowity syn Jakuba II i jego drugiej żony, Marii z Modeny. Po śmierci ojca angielscy jakobici nazwali go Jakubem III, a zwolennicy sukcesji hanowerskiej – Starym Pretendentem.

UPNOR, HRABIA – patrz *Anglesey, Louis*.

VILLIERS, BARBARA (LADY CASTLEMAINE, KSIĘŻNA CLEVELAND): 1641-1709. Niemordowana kochanka wielu możnych i wysoko postawionych Anglików, między innymi Karola II i Johna Churchilla.

WALBROOK, HRABIA – patrz *Ham, Thomas*.

WATERHOUSE, ANNE: 1649-. *Z domu Robertson. Angielska kolonistka z Massachusetts. Zona Praise-Goda Waterhouse’a.*

WATERHOUSE, BEATRICE: 1642-. *Z domu Durand. Hugenotka. Żona Sterlinga.*

WATERHOUSE, CALVIN: 1563-1605. *Syn Johna, ojciec Drake’a.*

WATERHOUSE, DANIEL: 1646-. *Najmłodszy (i to zdecydowanie) syn Drake’a i jego drugiej żony, Hortense.*

WATERHOUSE, DRAKE: 1590-1666. *Syn Calvina, ojciec Raleigha, Sterlinga, Mayflower, Olivera i Daniela. Niezależny kupiec, agitator polityczny, przywódca pielgrzymów i dysydentów.*

WATERHOUSE, ELIZABETH: 1621-. *Z domu Flint. Żona Raleigha Waterhouse’a.*

WATERHOUSE, EMMA: 1656-. *Córka Raleigha i Elizabeth.*

WATERHOUSE, FAITH: 1689-. *z domu Page. Angielska kolonistka z Massachusetts. Żona Daniela (znacznie od niego młodsza), matka Godfrey’a.*

WATERHOUSE, GODFREY WILLIAM: 1708-. *Syn Daniela i Faith. Mieszka w Bostonie.*

WATERHOUSE, HORTENSE: 1625-1658. *Z domu Bowden. Druga żona Drake'a Waterhouse'a (od 1645 roku). Matka Daniela.*

WATERHOUSE, JANE: 1599-1643. *Z domu Wheelwright. Należała do pielgrzymów z Lejdy. Pierwsza żona Drake'a Waterhouse'a (od 1617 roku). Matka Raleigha, Sterlinga, Olivera i Mayflower.*

WATERHOUSE, JOHN: 1542-1597. *Pobożny angielski protestant. Za panowania Krwawej Marii przeniósł się do Genewy. Ojciec Calvina Waterhouse'a.*

WATERHOUSE, MAYFLOWER: 1621-. *Córka Drake'a i Jane, żona Thomasa Hama, matka Williama Hama.*

WATERHOUSE, OLIVER I: 1625-1646. *Syn Drake'a i Jane. Zginął podczas angielskiej wojny domowej, w bitwie pod Newark.*

WATERHOUSE, OLIVER II: 1653-. *Syn Raleigha i Elizabeth.*

WATERHOUSE, PRAISE-GOD: 1649-. *Najstarszy syn Raleigha i Elizabeth. Wyemigrował do Ameryki i osiadł w Kolonii Zatoki Massachusetts. Ojciec Wait Stilla Waterhouse'a.*

WATERHOUSE, RALEIGH: 1618-. *Najstarszy syn Drake'a, ojciec Praise-Goda, Olivera II i Emmy.*

WATERHOUSE, STERLING: 1630-. *Syn Drake'a. Specjalista od rynku nieruchomości. Późniejszy hrabia Willesden.*

WATERHOUSE, WAIT STILL: 1675-. *Syn Praise-Goda. Mieszka w Bostonie. Ukończył Kolegium Harvarda. Independencki kaznodzieja.*

WEEM, WALTER: 1652-. *Mąż Emmy Waterhouse.*

WHEELWRIGHT, JANE – patrz *Waterhouse, Jane.*

WIELKI ELEKTOR – patrz Fryderyk Wilhelm.

WILHELMINA KAROLINA – patrz: Karolina, księżniczka Brandenburgii-Ansbach.

WILKINS, JOHN (BISKUP CHESTER): 1614-1672. Kryptograf. Pisarz science fiction. Założyciel, pierwszy przewodniczący i pierwszy sekretarz Towarzystwa Królewskiego. Osobisty kapelan Karola Ludwika, elektora Palatynatu Reńskiego. Przełożony Kolegium Wadhama w Oxfordzie i profesor Kolegium Trójcy Świętej w Cambridge. Prebendariusz Yorku, diakon Riponu, posiadacz licznych innych tytułów kościelnych. Przyjaciół dysydentów religijnych, zwolennik wolności wyznania.

WILLESDEN, HRABIA – patrz *Waterhouse, Sterling.*

WILHELM II ORAŃSKI: 1626-1650. Ojciec lepiej znanego Wilhelma III Orańskiego. Zmarł młodo (na ospę).

WILHELM III ORAŃSKI: 1650-1702. Król Anglii od 1689 roku (rządził wspólnie z Marią, córką Jakuba II).

WREN, CHRISTOPHER: 1632-1723. Geniusz. Naturalista i architekt, członek Klubu Filozofii Doświadczalnej, później także Towarzystwa Królewskiego.

YORKU, KSIĄŻĘ: Tytuł tradycyjnie przysługujący temu, kto akurat jest pierwszy w kolejce do tronu angielskiego. W „Żywym srebrze” przez większość czasu tą osobą jest Jakub, brat Karola II.

DE LA ZEUR: *Ludwik XIV nadał Elizie tytuł hrabiny de la Zeur.*

ZOFIA: 1630-1714. Najmłodsza córka Królowej Zimy. Wyszła za mąż za Ernesta Augusta, który potem został księciem Brunszwiku-Lüneburga. W późniejszym okresie nazwę księstwa zmieniono na Hanower, a Ernest August i Zofia uzyskali status elektora i elektorki. Od 1707 roku Zofia była pierwszą kandydatką do tronu Anglii. Zofia Charlotta: 1668-1705. Najstarsza córka Zofii. Wyszła za mąż za Fryderyka III, elektora brandenburskiego, syna Wielkiego Elektora. W 1701 roku, kiedy cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego wyniósł Księstwo Prus i Brandenburgii do rangi królestwa, została pierwszą królową Prus. Dała początek pruskiej linii królewskiej.